

**PATRICK
ROBINSON**

**NA ŚMIERĆ
I ŻYCIE**

To the Death

Przełożył
Janusz Szczepański



DRAMATIS PERSONAE

Stany Zjednoczone

Paul Bedford (prezydent USA)

prof. Alan Brett (doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego)

adm. w st. spocz. Arnold Morgan (specjalny doradca prezydenta)

Kathy Morgan (jedyna osoba, przed którą adm. Morgan czuje respekt)

ktradm. George Morris (dyrektor NSA - Agencji Bezpieczeństwa Narodowego)

kmdr por. Jimmy Ramshawe (asystent dyrektora NSA)

wiceadm. John Bergstrom (d-ca SPECWARCOM - sił specjalnych US Navy)

kmdr Rick Hunter (hodowca koni, były oficer US Navy SEALs)

Emily Gallagher (matka Kathy Morgan)

Bliski Wschód

gen. Rawi Raszud (dowódca zbrojnego ramienia Hamasu, były oficer SAS)

Szakira Raszud (jego miłość, dla której przeszedł na stronę islamistów)

Ramon Salman (szef komórki Hamasu W Bostonie)

Tarik Fahd (przywódca polityczny Hamasu)

Fausi i Ahmed (attache przy ambasadzie Jordanii w Waszyngtonie)

kmdr Mohammed Abad (dowódca irańskiego okrętu podwodnego)

Izrael

David Gavron (ambasador w USA)

płk. Ben Joel (dowódca grupy szturmowej Mosadu)

Rozdział 1

Terminal międzynarodowy bostońskiego lotniska Logan - bryła betonu, szkła i aluminium posadowiona na sztucznym półwyspie nieopodal portu morskiego - pulsował tłumem podróżnych. Tysiące ludzi kłębiło się w kolejkach do kas, do odprawy, kontroli osobistej, po kawę, colę, donaty. Oblężony był nawet McDonald, choć nie minęła jeszcze ósma rano w ponury i mroźny styczniowy poranek.

Na południe! Tylko tam wszyscy zmierzali, jakby pchał ich instynkt dzikich gęsi: na Florydę, Jamajkę, Barbados - gdziekolwiek, byle uciec od tego zimna, śniegu z deszczem, oblodzonych dachów i puchatych kurtek. To szczyt sezonu - drogie bilety, cenowy rozbój w hotelach, wszędzie rojno i gwarno - ale kto by na to zważał, kiedy o szyby przedmiejskich domków i zmarzniętych biurowców w centrum tłucze zimny wiatr znad stalowoszarych wód zatoki Massachusetts?

I pomyśleć, że kiedyś była to ojczyzna zaprawionych w boju z przyrodą mieszkańców Nowej Anglii, którzy brali zimę taką, jaka jest, stawiali jej czoło i spokojnie czekali wiosny... Dziś to już rasa wymarła. Ludzie przywykli do dobrobytu, wygody, powszechnej dostępności podróży lotniczych i do narzekania: „Na cholere mi to, czy ja jestem Eskimosem? Zabierzcie mnie stąd!” I właśnie dlatego zimą, a zwłaszcza w styczniu, na zwykły nurt podróży służbowych nakłada się powodziowa fala wczasowiczów łaknących słońca, palm i kolorowych drinków z małutkimi papierowymi parasolkami. Wszyscy mieli już dosyć stania, czekania, opóźnionych odlotów, podenerwowanej obsługi i siebie nawzajem.

- Ale popieprzony dzień się szykuje - mruknął posterunkowy Pete Mackay, gładząc kolbę służbowego peemu.

- Ameryki, brachu, nie odkryłeś - odrzekł jego partner Danny Kearns. - W tym tłoku pod Dunkin' Donuts mógłby się kryć sam Osama bin Szpadel w brokatowym turbanie i też byś go nie wypatrzył.

Mackay i Kearns służyli razem w bostońskiej policji od lat, a przyjaźnili się niemal od kołyski. Ich irlandzkie rodziny od pięciu pokoleń żyły w południowym Bostonie, po przeciwnej od lotniska stronie zatoki. Prapradziadkowie przyплыnęli ze Starego Kraju prawie równocześnie, tuż po klęsce głodu, i nikt już nie pamiętał czasów, kiedy Mackayowie i Kearnsowie się nie znali. Ojcowie Pete'a i Danny'ego spędzili całe życie w policyjnym

mundurze, a teraz pałeczkę, nomen omen, przejęli po nich synowie, weterani podwórkowych meczów i bójek dzielący chude, ale wesołe dzieciństwo, absolwenci tej samej podstawówki, szkoły średniej, a w końcu Uniwersytetu Bostońskiego. Przez całe studia grali w uczelnianej reprezentacji, wiernie zaś i zażarcie kibicowali ligowej drużynie New England Patriots i rok w rok co najmniej jedenaście miesięcy głęboko wierzyli, że tym razem doczekają się pucharu i znów wrócą złote lata rozgrywek Super Bowl. Futbol był dla nich pokarmem i powietrzem; nawet w snach prowadzili ukochaną drużynę do szarży - zwałisty Pete jako najlepszy w historii skrzydłowy, skromniejszy Danny w roli najszybszego obrońcy. Kiedy się dało, na mecze chodzili razem i zawsze zabierali synów, których mieli po dwóch.

Trzydziestoczteroletni Pete Mackay był policjantem z powołania i zanosilo się na to, że zajdzie wysoko: łączył w odpowiednich proporcjach ambicję, twardy charakter i tę niezbędną szczyptę cynizmu. W akcji wciąż był szybki, potrafił podejmować błyskawiczne decyzje i świetnie sobie radził w podbramkowych sytuacjach, o jakie w centrum miasta nietrudno. Ze służbowego colta strzelał jak snajper, a prawy sierpowy miał godny ligowego ringu.

Danny Kearns, pierwszy prześmiewca komisariatu, nie był tak oddany służbie i tylko czekał na koniec zmiany, żeby się wyrwać do domu, gdzie czekała nań żona, piękna Włoszka Louise. Pete, choć jego Marie też nic nie brakowało, zawsze węszył za nowymi sprawami i chętnie gawędził z kolegami z kryminalnego, wyczekując dnia, kiedy sam awansuje na detektywa sierżanta.

We dwójkę stanowili zgrany i lubiany zespół, poświęcali też wiele godzin na działalność charytatywną na rzecz funduszu dla rodzin policjantów zabitych i rannych w akcji.

Tego ranka jak zwykle patrolowali terminal C, czujnie wypatrując czegokolwiek choćby odrobinę podejrzanego. Zazwyczaj po prostu przechadzali się wolno od końca do końca, starając się pozostawać w zasięgu wzroku dyżurnych służby ochrony lotniska. Tym razem nie było to takie łatwe - tłok panował bowiem nie do opisania, ludzie zdawali się poruszać we wszystkich kierunkach naraz mimo heroicznego wysiłku personelu usiłującego wprowadzić jako taki ład: „Tędy, sir... Przepraszamy państwa za utrudnienia... Proszę stanąć w tamtej kolejce... Naprawdę się staramy... Sir, ja tylko wykonuję swoje obowiązki... Proszę nie blokować przejścia!...”

- Ale bajzel... - Danny pokręcił głową zdegustowany. - Byłem kiedyś w Grecji i wiesz, co ci powiem? Lepiej tam się traktuje kozy niż tu pasażerów.

- Domyślam się, zwłaszcza że o Grekach i kozach różnie się słyszy. - Pete parsknął

śmiechem na to porównanie, szybko jednak spoważniał. - Żarty żartami, ale gdyby coś się teraz stało, to jak tu reagować? Mucha w smole szybciej by kraulem pływała. Próbowałem to sobie wykalkulować i wychodzi mi, że stąd do tamtych ochroniarzy trzeba by się przedzierać co najmniej trzydzieści sekund. Chyba że po drodze znokautowalibyśmy kilku cywilów.

- Jak Ryman w ostatnim meczu ze Steelersami? Położył wtedy trzech bocznych obrońców. To była gra!

- Chyba to jedyny sposób, z byka i do przodu. Ale mówię poważnie, warunki operacyjne są dziś fatalne.

- Pewnie, że przydałoby się więcej luzu.

- Lepiej dziś nie traćmy ochrony z oczu.

Policjanci ruszyli dalej, ale po kilkunastu metrach przepychania się między podróżnymi zrezygnowali i zawrócili.

*

Donald Martin, jeden z niższej rangi wiceprezesów dużej firmy brokerskiej, nie mógł nic zrobić, żeby się sprawniej przedrzeć przez nowy system kontroli dokumentów i dostać na lot do Atlanty. Jechał bez bagażu i przed północą chciał być z powrotem w domu. Towarzyszył w służbowej podróży samemu prezesowi Elliottowi Gardnerowi, jednemu z rekinów bostońskiej finansjery. Gardner, szpakowaty sześćdziesięcioletni mężczyzna o wyniosłej postawie, znosił uciążliwości porannego szczytu z godnością, aczkolwiek lekko poirytowany, że nawet bilety pierwszej klasy nie chronią go przed nadmiarem niepożądanego kontaktu z tak zwanym szarym człowiekiem - zwłaszcza w zniemchomiałej kolejce do kontroli osobistej. Przed nimi stało małżeństwo z dwójką dzieci i wózkami załadowanym stertą bagażu. Młodsza latorośl właśnie zaczęła się drzeć wniebogłosy... Prezes zdążył w duchu wyrazić nadzieję, że nie spotka się z nimi w samolocie, kiedy poczuł na ramieniu dotknięcie czyjejś dłoni.

Stał za nim młody mężczyzna, dobrze ubrany, o wyraźnie bliskowschodnich rysach - mógł być Turkiem bądź Arabem, ale raczej nie Żydem - który zwrócił się doń z szerokim uśmiechem:

- Bardzo pana przepraszam... Mam dwa dość ciężkie nesesery, a chciałbym skoczyć tu blisko do Starbucksa po kawę. Czy jeśli zostawię jeden, byłby pan uprzejmy mieć na niego oko i może przesunąć go dalej, jeśli ta kolejka wreszcie drgnie?

Gardner zerknął na elegancką walizeczkę z brązowej skóry. Nie zwykł odmawiać grzecznym prośbom i tym razem także odrzekł bez zastanowienia:

- Nie ma problemu. Proszę zostawić, przypilnuję.

Don Martin podniósł wzrok znad gazety i w roztargnieniu spytał szefa, czego chciał od niego nieznajomy.

- Nic takiego. Prosił, żeby zwrócić uwagę na jego neseser, bo idzie po kawę. To tamten, właśnie podchodzi do Starbucksa. Właściwie powinienem go poprosić, żeby przyniósł i nam po kubku.

- Jak był ubrany? - Martin poczuł nagły niepokój.

- Miał beżową marynarkę.

Don odwrócił się i wskazując palcem, upewnił się:

- Ten, który tam idzie pod prąd?

- Tak, to on. O co chodzi, Don?

- A o to, szefie, że właśnie minął kawiarnię i idzie dalej.

- Pewnie do toalety.

- Gdziekolwiek się wybiera, złamał naczelną zasadę bezpieczeństwa o niezostawianiu bagażu bez opieki. I pan też, prezesie. Skąd wiadomo, co on tam ma? I na dodatek gość wygląda na pieprzonego Araba!

Podczas gdy dystyngowany biznesmen stał zdumiony tym nagłym otarciem się o niebezpieczny „inny świat”, Martin podniósł wysoko rękę i rozejrzawszy się, spostrzegł dwójkę policjantów o trzydzieści metrów w dół korytarza.

- Policja! - krzyknął. - Proszę tutaj!

Pete Mackay obrócił się na pięcie, zobaczył wołającego i ruszył w tym kierunku, wiedząc, że Dan Kearns będzie o krok za nim. Kiedy dotarli na miejsce, Don Martin odsuwał już ludzi na stronę, tworząc pusty krąg wokół podejrzonej walizeczki.

- Panie posterunkowy, facet wyglądający na Araba zostawił ten bagaż, mówiąc, że idzie po kawę - wyjaśnił Mackayowi. - Tylko że minął Starbucksa i właśnie opuszcza terminal tamtym korytarzem.

Pete wiedział, co robić w takich sytuacjach. Wyciągnął z futerału na pasku miniaturowy stetoskop i przytknął do nesesera.

- O Jezu... Danny, słyszę tykanie. Dawaj detektor!

Wykrywacz metalu zapiszczał głośno.

- Mamy coś, Pete. Nie ma co czekać!

- Jak on był ubrany? - krzyknął Mackay.

- Beżowa marynarka, czarna koszulka - odrzekł szybko prezes Gardner. - Krótkie czarne włosy, śniada cera.

- Łap go, Pete, ja się tu wszystkim zajmę!

Posterunkowy Kearns spędził setki godzin, patrolując Logan, i dobrze się orientował w rozkładzie lotniska. Za pobliskimi szklanymi drzwiami biegła czteropasmowa droga dojazdowa; z taksówek i autobusów wysiadali kolejni podróżni i ruch panował niewiele mniejszy niż w samym terminalu. Danny potrafił szybko podejmować decyzje, ale nigdy jeszcze nie miał do czynienia z tak nagłą sytuacją. Co teraz? Zarządzić ewakuację i mieć nadzieję, że wszyscy zdążą opuścić strefę zagrożenia? Czy raczej zagrać kowboja, chwycić neseser i wynieść go jak najdalej od tłumu, modląc się, by mu to świństwo nie wybuchło w rękach? Ten drugi wariant natychmiast stawiał przed nim kolejne pytanie za milion: co zrobić z bombą, kiedy już ją wytaszczy na zewnątrz? Nie miał zamiaru trzymać jej ani sekundy dłużej niż potrzeba.

Za podjazdem rozciągał się wielopoziomowy parking. Jeśli uda mu się wrzucić tam trefny bagaż, eksplozja zniszczy parę samochodów i zrani lub nawet zabije kilka osób. Jeśli zostawi go tu, na środku korytarza, ofiar może być z tysiąc.

Decyzja mogła być tylko jedna. Posterunkowy Kearns, kochający mąż i ojciec, złapał brązowy neseser klasycznym chwytem futbolisty - przy ciele, prawa ręka od spodu, lewa z góry - i rzucił się biegiem ku drzwiom, instynktownie obniżając środek ciężkości, gotów zbić z nóg każdego, kto mu stanie na drodze. Do boju, Patrioci! Dojście do drzwi blokuje grupka pięciu, może sześciu ludzi - zwód w lewo, z bodiczka najbliższego i powrót w prawo, i dalej! Drzwi otworem, bagażowy w czerwonej czapce pcha pusty wózek - za późno na zwrot, sorry - i bagażowy wali się na chodnik. Przeskok - i już krawężnik. Autokar hamuje z piskiem wielkich opon, z tyłu wjeżdża na niego taksówka. Dwaj policjanci patrolujący strefę dojazdową zdążyli tylko odwrócić głowy, gdy w uszy wwiercił im się krzyk Danny'ego:

- Z drogi! Mam tu pieprzoną bombę!

Obydwaj wyskoczyli na asfalt, w środek strumienia pojazdów. Czarna limuzyna wpadła na furgon dostawczy, lśniąca chromem terenówka wjechała na chodnik, by uniknąć zderzenia. Kearns parł przed siebie, na nic nie zważając i raz po raz wrzeszcząc na całe gardło:

- Wychodzić z parkingu, natychmiast!

Wyrosła przed nim niska betonowa ściana pierwszej kondygnacji garażu i Danny przygotował się do najlepszego rzutu w swojej karierze. Widział, że w wybranym sektorze nie ma nikogo; zdawało mu się, że słyszy ryk tysięcy kibiców i że do szarży zagrzewa go sam Tom Brady, legendarny napastnik Patriotów, wciąż w szczytowej formie mimo skończonych trzydziestu pięciu lat.

Mocniej zacisnął dłoń na uchwycie nesesera, wyprostował się, odwinął rękę za siebie i

miotnął z całych sił, jak najdalej na środek parkingu. Przez moment patrzył, jak brązowa walizeczka leci płaskim łukiem, prześlizguje się po dachu jasnego cadillaca i zsuwa na ziemię. Nie przestając krzyczeć, sam wykonał przepisowe padnij, chroniąc się pod ścianą i osłaniając głowę rękami; podejrzewał, że jeśli terrorysta zna się na rzeczy, to oprócz mechanizmu zegarowego z pewnością zastosował także zapalnik uderzeniowy.

Wybuch nastąpił trzydzieści dwie sekundy później, niszcząc cztery samochody i uszkodzając kilkanaście innych; od detonacji runęły też cztery filary i zawalił się siedmiometrowej średnicy fragment stropu. W polu rażenia znalazło się dwanaście osób, ciężko poranionych odłamkami betonowej konstrukcji, nikt jednak nie zginął. Całą okolicę spowiła chmura pyłu i dymu z płonących wraków, a w powietrzu unosił się charakterystyczny odór spalonego kordytu. Lotnisko międzynarodowe Logan zamieniło się w pobojuwisko.

Bitwa nie była jednak jeszcze skończona. Kiedy Danny zajęty był usuwaniem bomby poza terminal, Pete ścigał zatłoczonym korytarzem człowieka w beżowej marynarce. Szybko zrozumiał, że nie ma szans dogonić go przed głównymi drzwiami, dopadł więc wyjścia awaryjnego numer dwa i po chwili gnał chodnikiem wzdłuż przeszklonej ściany, modląc się w duchu, żeby podejrzany też zechciał wyjść przez najbliższe drzwi automatyczne - do których on mógł teraz dobiec szybciej niż ktokolwiek poruszający się wewnątrz.

Zdażył jeszcze przed eksplozją. Był na miejscu od kilkunastu sekund, kiedy z terminalu wybiegł mężczyzna, który zostawił swój podręczny bagaż pod opieką prezesa Gardnera. Na taki moment Pete Mackay czekał... być może całe życie. Klasyczna futbolowa blokada, jaką powitał ściganego, zbiłaby z nóg niedźwiedzia grizzly. Podejrzany odbił się od niego jak piłka i poleciał bezwładnie na ścianę, ale jeszcze dobrze nie upadł, kiedy już dłonie policjanta zacisnęły mu się na gardle w żelaznym uścisku.

I wtedy wybuchła bomba, a do akcji wkroczył drugi przeciwnik, także o arabskich rysach, który wyskoczył z zaparkowanej o kilkanaście kroków od wyjścia limuzyny i z rozbiegu wymierzył Mackayowi potężnego kopniaka w żebra. Pete zwinął się z bólu, ale zdażył złapać napastnika za nogę, tymczasem jednak pierwszy terrorysta pozbierał się i rzucił w stronę samochodu. Jego współnik z łatwością wyrwał się wciąż leżącemu Pete'owi i po chwili siedział już za kierownicą. Silnik zawył na wysokich obrotach i wóz ruszył; policjant był jednak równie szybki - zanim uciekający zdążyli pokonać pierwsze metry, on był już na ich pasie ruchu i naciskał spust pistoletu maszynowego, celując w przednią szybę. Strzelał do końca, uskakując w ostatniej chwili przed maski rozpędzonej limuzyny. Kierowca już nie żył, ale w przedśmiertnym skurczu wcisnął gaz do deski. Czarny wóz zбочzył w prawo, odbił się od krawężnika i uderzył skośnie w parkujący właśnie mikrobus Hertza, przewrócił się do

góry kołami i stanął w ogniu.

Ogłuszony jeszcze hukiem eksplozji Danny Kearns pozbierał się i podbiegł do płonącego samochodu, by pomóc koledze. Kopnięciem wybił szybę od strony pasażera i już we dwójkę z Pete'em wywlekli na asfalt mężczyznę w nadpalonej beżowej marynarce.

Od wybuchu upłynęło zaledwie kilka minut, kiedy centralny dyspozytor skierował większość miejskich radiowozów na Logan, by wesprzeć ochronę w ewakuacji całego lotniska. Wieża kontrolna kierowała wszystkie nadlatujące samoloty na lotnisko zapasowe w Providence w sąsiednim stanie Rhode Island, startować zaś pozwalano tylko tym, które zdążyły już odkołować od rękawów terminalu.

Kearns i Mackay objęli tymczasowo dowodzenie akcją w terminalu C, zawracając wszystkich podróżnych do najbliższych wyjść i każąc jak najszybciej opuszczać rejon portu lotniczego. Nikt nie wiedział, czy zamach jest tylko pojedynczym aktem terroru, czy może zwiastunem nowego 11 września - i nikt nie zamierzał niepotrzebnie ryzykować. Lotnisko międzynarodowe Logan przestało funkcjonować i wszystko wskazywało na to, że nie wznowi działalności co najmniej przez najbliższe czterdzieści osiem godzin.

Ilekoć dzieje się coś na wielką skalę, wieść o tym obiega pokoje redakcyjne prasy, radia i telewizji lotem błyskawicy. Niezawodna poczta pantoflowa sprawdziła się i tym razem: za kwadrans dziewięta w całym mieście wiadano już o sparaliżowaniu przez terrorystów jednego z najważniejszych węzłów komunikacji lotniczej na Wschodnim Wybrzeżu. Na razie policja nie dopuszczała w pobliże Logan żadnych wozów transmisyjnych - nie od dziś wiadomo, że w sytuacjach kryzysowych żurnaliści mają się za ważniejszych od walczących z ogniem strażaków, policjantów usiłujących utrzymać porządek i zapobiec dalszym wypadkom, a nawet od lekarzy pogotowia ratujących rannych, w rzeczywistości zaś pałętają się tylko wszystkim pod nogami i utrudniają pracę. „Ale jak można było do czegoś takiego dopuścić?... Dlaczego ochrona jest tak niekompetentna?... Czy teraz polecą głowy?... Społeczeństwo ma prawo wiedzieć... Jak aktualnie przedstawia się sytuacja?” Komendant policji uznał, że na razie społeczeństwo może się obejść bez odpowiedzi na te i inne doniosłe pytania, jednakże sama informacja o akcie terroru w Bostonie rozeszła się po całym kraju w kilkanaście minut, a wkrótce o eksplozji wiedział cały świat, niezależnie od strefy czasowej.

Służby bezpieczeństwa przeszły na najwyższy poziom alarmowy. Kompleks Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) w Fort Meade zdawał się wibrować od niezliczonych depech i sygnałów; za pięć dziesiąta doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa mógł się już zameldować w Gabinetcie Ovalnym z informacją o tym najnowszym ataku i bohaterskiej akcji dwójki bostońskich gliniarzy, którzy ocalili życie tysiącowi ludzi. Nie było wątpliwości,

że Al-Kaida znowu uderzyła - nawet jeśli tylko w lotniskowy parking. Departament Ochrony Kraju (Homeland Security) ogłosił dla całych Stanów Zjednoczonych alert najwyższego zagrożenia bombowego.

*

Prezydent Paul Bedford, demokrata „na prawo od centrum”, jak zwykł mawiać o swoich poglądach, był kiedyś oficerem marynarki wojennej. Teraz, jako zwierzchnik sił zbrojnych USA, wciąż wolał polegać na radach generalicji niż zawodowych polityków. Powodów miał po temu wiele: na pewno podobał mu się niekwestionowany patriotyzm wojskowych, podobnie jak nienaganne manieri i szacunek dla prezydenckiego urzędu; przede wszystkim jednak cenił ich jasność myślenia i błyskawiczną orientację w tym, co można zrobić, co należy zrobić i co musi być zrobione - bez mylenia tych trzech kategorii.

Tego dnia czekał go kameralny lunch z admirałem Arnoldem Morganem, ongiś dowódcą atomowego okrętu podwodnego, później dyrektorem NSA, a na koniec - to jest do emerytury - doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. To jemu w praktyce zawdzięczał prezydenturę i do dzisiaj zdarzało mu się tytułować go „sir”, jak regulamin nakazuje młodszemu oficerowi zwracać się do przełożonego.

Admirał miał się zjawić w południe - a to znaczy, że nie pół minuty przed ani po dwunastej. Bedford bezwiednie zerkał na wyświetlacz elektronicznego zegara na biurku, czekając na moment, kiedy znikną cyferki 11:59 i pojawi się 12:00, drzwi się otworzą bez pukania i Morgan wkroczy do gabinetu z rześkim i najzupełniej retorycznym „Proszę o pozwolenie wejścia na pokład, sir!” Uwielbiał tę chwilę i ten styl; z jednej strony budziło to w nim nostalgiczne wspomnienia z nocnych wacht na mostku fregaty rakietowej prującej czarne wody Atlantyku, z drugiej zaś obwieszczało nadejście człowieka, któremu ufał najbardziej na świecie.

Tego przedpołudnia nie miał jednak czasu na wspominki i refleksje - sytuacja była zbyt poważna. Fanatycy z Al-Kaidy o mały włos nie wysadzili w powietrze zatłoczonego terminalu na jednym z najruchliwszych lotnisk w kraju, a według raportu CIA na tym jednym zbrodniczym akcie się prawdopodobnie nie skończy.

Obecnym doradcą do spraw bezpieczeństwa był ciemnowłosy, kościsty profesor Alan Brett, były wykładowca z uniwersytetu Princeton i akademii wojsk lądowych West Point, który święcie wierzył, że przez ostatnie trzydzieści lat jedynie George W. Bush wiedział, jak Ameryka powinna postępować z bliskowschodnimi terrorystami. Bedford nie obawiał się, że ten były pułkownik piechoty może go mieć za mięczaka, był jednak zdania, że Brett należy do typowych jastrzębi i kiedy ktoś zagraża USA, woli raczej oddać cios za szybko i za mocno,

niż zwlekać z reakcją do wyjaśnienia sprawy. Prezydentowi to jednak nie przeszkadzało, a w motywację profesora wierzył bez zastrzeżeń.

Pół godziny wcześniej Brett zdał mu szczegółową relację z okoliczności zamachu na Logan, przedstawił też analizę CIA zalecającą utrzymywanie najwyższej czujności. To się już działo: wszystkie porty lotnicze na Wschodnim Wybrzeżu albo już były zamknięte, albo przyjmowały ostatnie loty krajowe oraz przyloty z zachodniej strony Atlantyku. Wszystkie samoloty z Europy zawracano do punktu startu. Nie pracowało lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku, waszyngtońskie Dulles i Reagan, stały Atlanta, Miami i Jacksonville. Transatlantyckie loty przyjmowały tylko pomniejsze porty, wskutek czego tysiące pasażerów lądowało o setki kilometrów od celu podróży. Jeżeli zamachowcom z Al-Kaidy oprócz zabijania niewiernych zależało na sianiu chaosu, to ten drugi cel osiągnęli śpiewająco; pierwszy udaremniła im tylko czujność wiceprezesa Martina i działania posterunkowych Kearnsa i Mackaya.

Prezydentowi spieszno było porozmawiać z Morganem, na razie jednak mógł tylko słuchać napływającego bez przerwy strumienia informacji - a te nie były najgorsze. Wyciągnięty z płonącej limuzyny tajemniczy mężczyzna w beżowej marynarce dostał postrzał w ramię i miał poparzoną lewą dłoń, był jednak żywy i przytomny pod opieką chirurgów w szpitalu Massachusetts General i pod silną strażą policyjną. Jeśli wierzyć znalezionemu przy nim egipskiemu paszportowi, nazywał się Reza Aghani. CIA ściśle współpracowała w tej sprawie z NSA i miała już pewien trop - niestety, wskazywał on wyraźnie, że spisek jest o wiele bardziej złożony i niebezpieczniejszy, niż się w pierwszej chwili wydawało.

Piątek, 13 stycznia 2012, godz. 9.55. Siedziba NSA, Fort Meade

Komandor porucznik Jimmy Ramshawe, asystent dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, pracował na zwiększonych obrotach. Zazwyczaj można było poznać stopień jego zaangażowania w prowadzoną sprawę po ogólnym stanie jego biura. Na co dzień to niemałe pomieszczenie wyglądało jak umiarkowanie groźne pole minowe ze strategicznie rozmieszczonymi na podłodze stosami dokumentów - od najważniejszych tuż przy biurku do coraz mniej istotnych w miarę posuwania się ku drzwiom. Tego dnia można by pomyśleć, że to raczej przepelniony skład makulatury po trafieniu rakieta kierowaną średniego zasięgu.

Na szarej wykładzinie najbliższej zawalonego papierami biurka leżało więcej danych o poczynaniach terrorystów spod sztandaru Osamy bin Ladena, niż dałoby się znaleźć we

wszystkich medresach Bagdadu. Ramshawe był w pracy już od piątej rano, do czego zmusiło go wprowadzenie przez dyrektora stanu podwyższonej gotowości. Przyczyną alertu stały się meldunki z wydziału telefonicznego Biura Nasłuchu Elektronicznego (NSO).

Po tragedii 11 września Agencja przeforsowała ściśle monitorowanie wszystkich połączeń wykonywanych z dawnych rezydencji rodziny bin Ladena w Bostonie. Decyzję podjęto po serii konsultacji z poprzednim dyrektorem, admirałem Morganem, który stwierdził na koniec, że tak ma być i kropka - „bez względu na to, kto tam teraz mieszka, na prawa człowieka, prawo kanoniczne czy prawo buszu”.

Uwagę służb przyciągała szczególnie jedna z posesji w dzielnicy Back Bay. NSO rejestrowało tam tyle rozmów przychodzących z Bagdadu, Teheranu i strefy Gazy, że od dawna nikt się już temu nie dziwił. Żadna z nagranych konwersacji nie kojarzyła się z niczym szczególnym, nie wywoływała alarmu i nic z nich nie wynikało. Jednakże to, co tego dnia nad ranem wpadło w uszy dyżurnych, wyglądało na konkretną informację. Dzwoniący, niejaki Ramon Salman, nie był notowany przez bostońską policję. Miał powierzchowność Araba; jego zdjęcia figurowały w kartotece Agencji, ale nikt go nigdy nie przesłuchiwał. Posłużył się telefonem komórkowym; namierzono go w bloku przy Commonwealth Avenue - w apartamencie zajmowanym wcześniej przez kuzyna Osamy - a wybrany numer należał do abonenta w Syrii. Sam ten splot okoliczności nie musiał automatycznie budzić podejrzeń, sygnałem alarmowym była jednak treść tej lakonicznej, jednostronnej wiadomości. Zarejestrowano tylko głos Salmana; jego rozmówca nie odezwał się ani słowem; dla doświadczonego personelu NSO, który na przełomie tysiącleci rutynowo już podsłuchiwał rozmowy bin Ladena z jego jaskini w Hindukuszu z matką w Arabii Saudyjskiej, było to jednak dziecinną igraszką. Odbiorcę zlokalizowano w centrum Damaszku, a meldunek Salmana brzmiał: „Charlie godzina D ósma rano czasu miejscowego. Wykonuje Reza, ubezpiecza Ari, potem wycofanie na Houston. Lot 62 potwierdzony”.

Komandor Ramshawe zagonił do roboty wszystkich kryptologów będących do dyspozycji NSA, ale nawet po ośmiu godzinach wyłożonej pracy nikomu nie udało się określić prawdziwej treści sygnału, bez wątpienia kierowanego do jednego z syryjskich ośrodków Al-Kaidy lub Hamasu.

Co gorsza, Ramon Salman zniknął bez śladu. Kiedy o siódmej rano policja wyłamała drzwi jego mieszkania, było kompletnie puste - nie została nawet pasta do zębów czy napoczęty kartonik mleka w lodówce, nie działał telefon ani telewizja kablowa. Jak to pół godziny później ujął Jimmy Ramshawe, składając raport sytuacyjny szefowi, admirałowi George'owi Morrisowi: „Niech mnie szlag, jeśli coś z tego rozumiem, ale bardzo mi się to

wszystko nie podoba. I kim, u diabła, jest ten Charlie?”

O ósmej dziewięć przyszło olśnienie: „Charlie to nie imię, baranie, ale litera. C jak Charlie. Terminal C na Logan, który o godzinie D para śniadych sukinsynów usiłowała wysadzić w powietrze. A niech mnie jeże zadcpczą!”

Klucza do zagadki tego najnowszego ataku Al-Kaidy należało więc szukać w mieszkaniu przy Commonwealth Avenue - tylko że mimo wysiłków tuzina speców z wydziału kryminalnego nie sposób było tam cokolwiek znaleźć. Ślepy zaułek. Ramon Salman zapadł się pod ziemię razem ze swoją tajemnicą. Może policja gdzieś go zwinie, a może nie. Ameryka to spory stóg siana i szpilka ma się tam gdzie gubić. Arab przypuszczalnie opuścił mieszkanie nie później niż o trzeciej nad ranem - sześć godzin przed zamknięciem lotnisk. Sukinsyn mógł teraz być dosłownie wszędzie, a nawet przy niemal nieograniczonych możliwościach Crypto City, jak pracownicy nazywają siedzibę NSA, nie da się wytropić przeciwnika, który nie daje żadnego znaku życia. Pozostała tylko jedna szansa: trzeba się wziąć do obróbki rannego Rezy Aghaniego i skłonić go do mówienia.

Reszta zagadkowej wiadomości pozostawała jednak, według barwnego australijskiego słownika komandora porucznika Ramshawe'a, cholernym WNT, czyli wrzodem na tyłku. Rezę mają, Ari w kostnicy - ale „Houston” i „lot 62” nic nikomu nie mówiły. Zaalarmowano na wszelki wypadek teksańską policję, by szukała Salmana w tym portowym mieście i okolicach, ale żadna z linii lotniczych nie utrzymywała z południową częścią stanu połączenia o takim numerze. Oczywiście ów lot mógł nie mieć nic wspólnego z Ramonem Salmanem i jego ucieczką do Houston; komputery Crypto City podały na ten tydzień tysiące innych możliwości, od prywatnych awionetek po prom kosmiczny. Z kontekstu wiadomości wynikało, że powinno chodzić o samolot, którym terroryści zamierzają opuścić USA, i to najprawdopodobniej jeszcze tego samego dnia. Jimmy jednak czuł przez skórę, że to krótkie zdanie może dotyczyć odrębnej akcji - drugiego uderzenia. Rozmyślał nad tym przez następne pół godziny, dwukrotnie w tym czasie próbując się skontaktować ze swym mentorem, Wielkim Człowiekiem, czyli admirałem Morganem. Pani Morganowa poinformowała go jednak, że mąż jest teraz razem z dyrektorem NSA na pokładzie lotniskowca w bazie Norfolk, ale jeśli Jimmy ma do niego jakąś szczególnie pilną sprawę, to około południa złapie go w Białym Domu na lunchu z prezydentem.

- Szczególnie pilna to ona może na razie nie jest, ale o dwunastej... kto wie? - mruknął Ramshawe, odkładając słuchawkę.

Tymczasem do prezydenta dotarła już informacja, że zatrzymany Reza Aghani odzyskał przytomność po operacji rany postrzałowej i strzeżony przez sześciu policjantów

popija sobie herbatkę, do nikogo nie odzywając się ani słowem.

- Kiedy najwcześniej może stanąć przed sądem? - spytał Bedford.

- Może za dobę - odrzekł Alan Brett. - CIA twierdzi jednak, że przypuszczalnie mamy do czynienia z naprawdę niebezpiecznym osobnikiem. Niemal na pewno to irański szyita normalnie działający w Syrii lub Gazie, prawdopodobnie członek Hamasu. Boją się, że jakiś cywilny sędzia zwolni go z powodu kruczków prawnych i gość znów w nas wkrótce uderzy.

- Dałoby radę przerzucić tę sprawę do sądu wojskowego?

- Hmm... Atak bombowy... Może by się i dało. Porozumiem się z Pentagonem.

- Zrób to, Alanie. Spotkamy się po południu. Teraz łąda chwila spodziewam się Arnolda Morgana. Ten na pewno obstawałby przy rozstrzelaniu Aghaniego nazajutrz o świcie...

- Plan niegłupi - zaśmiał się Brett, wychodząc z gabinetu.

Dwie minuty później zegar pokazał dwunastą zero zero i drzwi się otworzyły. Bedford nie podniósł nawet głowy znad biurka, czekając z rozbawieniem na znajomą kwestię.

- Osiem szklanek, sir! - odezwał się szorstki głos. - Proszę o pozwolenie wejścia na pokład.

- Można wejść, spocznij.

Prezydent powitał swego specjalnego doradcę szerokim uśmiechem. Arnold Morgan, jak zwykle nienagannie ubrany w stalowoszary garnitur, śnieżnobiałą koszulę i krawat Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, nie tracił czasu na kurtuazyjne pogaduszki w rodzaju „Dzień dobry, jak się masz?” Jego zasadą było od razu wytaczać działa, zwłaszcza gdy w grę wchodził najmniejszy choćby problem rodem z Bliskiego Wschodu.

- I co, ci cholerni turbaniarze znowu dali o sobie znać? - wycedził przez zęby. - Jak to tam wygląda?

- Licho. Jedyna dobra wiadomość jest taka, że jednego z dwóch zamachowców mamy pod strażą w Massachusetts General.

- Pod strażą cywilną czy wojskową?

- Na razie cywilną. Sześciu policjantów.

- W takim razie trzeba to zaraz zmienić.

- Słucham?

- Panie prezydencie, sugeruję, by niezwłocznie posłać tam żandarmerię i przewieźć sukinsyna do szpitala marynarki w Bethesdzie. Weźmy sprawy pod kontrolę.

- Ale co na to lekarze? Może jego stan jeszcze nie pozwala na przeniesienie.

- Pozwala na pewno, sir, a zresztą kogo to obchodzi? Ten facet usiłował zabić tysiąc

obywateli amerykańskich, prawda? Do diabła z nim i jego stanem, niech go wojsko weźmie pod klucz.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego to według ciebie takie ważne, Arnie. Przecież on nam nie ucieknie.

- W takim razie wyłożę to łopatologicznie, sir. Jeśli tego zaraz nie zrobimy, to najdalej jutro rano u prokuratora stanowego zjawi się dwóch horrendalnie drogich adwokatów opłaconych przez kogoś z krewnych i znajomych bin Królika, którzy oświadczą, że biedaczek Aghani przez pomyłkę wsiadł do niewłaściwego samochodu i nagle znalazł się w środku jakiejś strzelaniny, zarobił kulkę, poparzył sobie paluszki i w ogóle został okrutnie potraktowany, więc nie tylko należy go natychmiast wypuścić, ale jeszcze przysługuje mu prawo do ogromnego odszkodowania za straty moralne i cierpienia fizyczne doznane wskutek brutalnych czynów policji.

Prezydent rozważał to przez chwilę z ponurą miną, lecz nagle podniósł głowę.

- Masz rację, Arnie, ale przecież są świadkowie. Dwóch szanowanych biznesmenów z Bostonu zezna pod przysięgą, że on właśnie zostawił w hallu tę walizkę z bombą.

- A tuż po nich obrona przedstawi piętnastu śniadych dżentelmenów, którzy przysięgną na Allacha, że ci dwaj panowie po prostu się mylą, pan Aghani całe życie prowadził się nienagannie, nie ma nic wspólnego z żadną terrorystyczną organizacją i nigdy nawet nie posiadał walizki, a w ogóle to jest praktykującym katolikiem i szedł sobie do spowiedzi. I to nie jego wina, że akurat wtedy jeden zwariowany gliniarz postanowił rozwalić dynamitem parking na Logan, a drugi ostrzelał Bogu ducha winnego kierowcę.

- Arnoldzie, taki numer nikomu nie przejdzie.

- O. J. Simpsonowi przeszedł.

- Co więc mam według ciebie zrobić?

- Niech Pentagon obwieści, że to była robota jakiejś arabskiej grupy Szkarłatny Dżihad czy coś w tym rodzaju, głoszącej świętą wojnę. Skoro ktoś z nami wojuje, to sprawa jest w gestii armii. Reza Aghani munduru nie nosi, można go więc uznać za dywersanta, a tacy też podlegają jurysdykcji wojskowej.

- W porządku, zaraz to załatwię.

- I pamiętaj, Paul, że jeśli stanie się coś jeszcze, to ten ranny sukinsyn jest naszym jedynym źródłem informacji. Trzeba go naprawdę szczelnie zamknąć, a zwłaszcza trzymać dziennikarzy na dystans. Nie potrzeba nam żadnego zamieszania wokół jego osoby, żadnych oskarżeń o bezprawne przetrzymywanie ludzi bez udowodnionej winy i tak dalej.

- Tego akurat im zabronić nie można. Prasa żyje sensacjami, a interes kraju jej nie

musi obchodzić.

- Za to prezydenta musi. Nie chcę nic więcej, sir, jak tylko tego, byśmy nie tracili piłki z oczu.

- Jasne, Arnie. Poczekaj chwilkę, wprowadzę w temat Alana, a potem poszukamy czegoś na ząb. - Prezydent podniósł słuchawkę i polecił Brettowi zorganizować przeniesienie rannego terrorysty do szpitala wojskowego i powiadomić o wszystkim sekretarza stanu. - Załatwione. Zjemy obiad tutaj czy w jadalni?

- Dzisiaj nie jest dzień na wielkie biesiadowanie, Paul. Instykt mi mówi, że lepiej nie schodzić z mostku.

- Okay, w takim razie dzwonię po Henry'ego.

Trzy minuty później osobisty kamerdyner prezydenta pukał już do drzwi gabinetu i proponował parę dań do wyboru.

- Zanim się zdecyduję, muszę wiedzieć, czy Maggie jest w domu - rzekł Arnold, mając na myśli wciąż piękną i smukłą amazonkę z Wirginii, która wyszła za swojego chłopaka z wczesnej młodości, Paula Bedforda, gdy tylko zamienił on granatowy mundur porucznika US Navy na garnitur polityka.

- Maggie? Skąd, poleciała odwiedzić matkę w Middleburghu.

- W porządku. Henry, możesz mi zatem podać solidny sandwich z żytniego chleba i pieczonej wołowiny, z musztardą i majonezem. Do tego kawa, czarna ze śrutem.

Kamerdyner przyjął zamówienie z uśmiechem; znał admirała od lat.

- Dla mnie to samo, bez śrutu - rzucił Bedford, który nie używał cukru w ogóle, a preferowanego przez Morgana sztucznego słodzika wręcz nie znosił. - Mogę wiedzieć, Arnie, co obecność mojej żony ma wspólnego z twoim menu?

- A to, że jutro umówiły się z moją Kathy na wspólne wyjście. Jakiś pokaz mody czy coś w tym guście. Wolę, żeby nie widziała mnie tutaj, jak się zajadam czymś, co nie jest trawą, żonkilami i chudym twarożkiem.

Paul zachichotał.

- Nie sądzisz chyba, że zobaczyłbyś mnie z ociekającą majonezem kanapką, gdyby Maggie była bliżej niż o milę?

Tego samego dnia, godz. 12.06. Krajowe centrum kontroli lotów, Herndon, Wirginia

Przy ośmiu wyłączonych z ruchu dużych lotniskach międzynarodowych dyżurni na wieży mieli pełne ręce roboty. Takiego zamieszania w Herndon nie przeżywano od dawna - wszystkie korytarze powietrzne nad Wschodnim Wybrzeżem były zamknięte, obowiązywał najwyższy, czerwony alert. Lokalne loty przekierowywano w głąb lądu bądź na małe lotniska na Florydzie i w obu Karolinach. Większe liniowce zmierzające z Ameryki Południowej do Nowego Jorku czy Waszyngtonu musiały lądować na Zachodzie. Raporty, które w normalny dzień przyprawiałyby personel o żywsze bicie serca, ginęły w ogólnym natłoku informacji. „Mamy niewielki układ niżowy z południowego wschodu przesuwający się na zachód... Nie ma zgłoszenia o starcie prezydenckiego... W Andrews spokój... American 142, zwrot w lewo o trzydzieści dwa stopnie, kierunek Pittsburgh... Dzień dobry, United 96... Przykro mi, skręcajcie na Cincinnati, JFK nieczynne”.

Wrażenia nie zrobiła nawet istotna wiadomość o rozpoczęciu lotów ćwiczebnych na lotniskowcu US Navy osiemdziesiąt mil morskich na wschód od Norfolku; odpowiedzialny za ten sektor kontroler tylko machinalnie sprawdził, czy nikt się nie pakuje w rejon działania myśliwców. Wszyscy pracowali w napięciu, wpatrzni w ekrany radarów, sprawdzając lot za lotem, układając nowe plany dla każdego, kasując starty i lądowania. Naczelnym zadaniem było dziś wspierać lotniska w jak najszybszej ewakuacji pasażerów - na wypadek gdyby Al-Kaida miała w zanadrzu kolejną niespodziankę.

- Szefie, proszę do mnie! - W głosie operatora Steve'a Farrella, otyłego dwudziestopięciolatka o zaskakująco bystrym umyśle, brzmiała wyraźna nuta niepokoju. - Mam tu jednego narwańca, sir.

- Kogo masz?

- Narwańca. Pilot zignorował komendę i pruje dalej starym kursem.

- Gdzie jest?

- O, tutaj, sir. Jakies trzysta mil na południe od nas, leci na północ. Właśnie minął Cape Fear w Karolinie Północnej.

- Cel lotu?

- Montreal.

- Skąd startował?

- Z Barbados, sir. Uzupelniał paliwo w Palm Beach na Florydzie.

- Typ?

- Boeing 737.

- Ma włączony transponder?

- Nie, sir.

- Próbowaleś na krótkich?

- Jasne. Siedem minut temu starałem się go złapać selektywnym wywołaniem, a potem na fonii. Przed chwilą uruchomiłem mu alarm w kokpicie, żeby wiedział, że mamy do niego interes. I nic.

- Jesteś pewien, że gdzieś nie spadł?

- Absolutnie, sir. Leci prosto jak strzełił, aktualnie deczko na prawo od Raleigh.

- Co to za linie?

- Thunder Bay Airways. Kanadyjczycy. W planie lotu nie ma żadnych międzylądowań na naszym terenie. Tankowanie w Palm Beach nie było przewidziane, jak mówi wieża w Miami.

- Może nie dostali benzyny na Barbados.

- Może. To co robimy, sir?

- Hmm... Na razie leci nad pustkowiem, ale lepiej zawiadom służby. CIA, NSA, a potem Secret Service w Białym Domu. To powinno wystarczyć, już oni się nim zajmą.

- Co mam im powiedzieć, sir?

- To, co mnie. Mamy narwańca. I próbuj dalej nawiązać z nim łączność, Steve. Nigdy nic nie wiadomo, może to zwykła awaria odbiornika.

Tego samego dnia, godz. 12.13. Fort Meade

Jimmy Ramshawe od rana był wyczulony na wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu wiązało się z samolotami. Od parunastu sekund miał na ekranie nową wiadomość o jakimś kanadyjskim pilocie, który puszczał mimo uszu wezwania do zmiany kursu i uparcie ciągnął ku moczarom Karoliny Północnej. Lakoniczny meldunek z centrum kontroli lotów zelektryzował go tak, jak słynne zdanie „Houston, mamy problem” centralę NASA 13 kwietnia 1970 roku. Jeszcze nie doczytał wszystkiego do końca, gdy już chwycił za słuchawkę, kazać sekretarce łączyć z Herndon.

- Wieża kontrolna Herndon, operator Davis, słucham.

- Mówi komandor porucznik Ramshawe z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, wydział wywiadu wojskowego. Proszę powiedzieć koledze, który prowadzi tego zbuntowanego boeinga Thunder Bay Airways, żeby natychmiast do mnie zadzwonił.

Magiczne hasło „NSA” i tym razem nie zawiodło. Wystarczyło siedem sekund, żeby Steve Farrell upuścił nadgryzionego pączka, złapał słuchawkę i wybrał podany numer.

- Tu operator Farrell. Chciał pan ze mną rozmawiać, sir?

- Dzień dobry, panie Farrell. Jimmy Ramshawe, NSA. Chodzi mi o ten samolot Thunder Bay. Gdzie on teraz jest?

- Proszę mi mówić Steve. Leci nad południowo-wschodnim przedmieściem Raleigh na pułapie dziesięciu tysięcy sześciuset metrów, z prędkością siedmiuset kilometrów na godzinę. Pilot zignorował moje polecenie zwrotu w lewo, nie odpowiada na wywołanie i ma wyłączony transponder radarowy. Zupełna cisza, sir, jakby go tam w ogóle nie było.

- A masz pewność, że jest?

- Echo na radarze jak: dzwon, sir. To z całą pewnością samolot i leci tam, gdzie nie powinien.

- Czy wcześniej trzymali się zgłoszonej trasy przelotu?

- Też nie. Po tankowaniu w Palm Beach wieża w Miami skierowała ich nad ocean. Mieli pozostawać z dala od lądu, dopóki nie dotrą do linii brzegu Connecticut, skąd już prosta droga do Montrealu. Na wysokości Norfolku lotnictwo marynarki prowadzi jednak teraz ćwiczenia, więc kazaliśmy temu boeingowi ominąć ich rejon od zachodu i wejść znowu nad ląd.

- I wszystkie te polecenia usłyszeli?

- Usłyszeli i wykonali, sir.

- Czyli zbuntowali się dopiero po pańskim ostatnim sygnale?

- Tak jest. Zamilkli jak nożem uciął, gdy tylko poleciłem im skrócić do Cincinnati.

- Ma komplet pasażerów?

- Nie. Załogowany jest jako częściowo pusty, dokładnej liczby nie znamy.

- Kto jest właścicielem tych linii?

- Nie mam pojęcia. Zazwyczaj startują z Toronto, z lotniska Downsview.

- A ich siedziba?

- Nie wiemy, sir. Rzadko widzujemy ich samoloty. Prawdę mówiąc, to może być prywatny czarter.

- Jaki to numer lotu?

- Dobre pytanie, sir. Sprawdziłem, ale dostałem dwie różne odpowiedzi. Zupełnie jakby zgłosili dwa odrębne plany przelotu. W systemie figurują pod numerami 446 i 5544.

- Słuchaj, Steve, wyglądasz mi na bystrego gościa. Zrobimy tak: ja się dowiem, ile się da o właścicielu Thunder Bay Airways, a ty wyszukaj mi prawidłowy numer lotu i nakreśl ich przypuszczalną dalszą trasę. I nie spuszczaaj tego typu z oczu, dobra? To czekam na telefon.

- Załatwione, sir. Zaraz oddzwonię.

Jimmy odłożył słuchawkę i zaczął szperać w internecie. W mig się zorientował, że

Thunder Bay to małe kanadyjskie miasteczko portowe na północno-zachodnim brzegu Jeziora Górnego i zarazem kurort narciarski, ale bez portu lotniczego z prawdziwego zdarzenia. Dalsze poszukiwania przerwał mu dzwonek telefonu; zgłaszał się Steve Farrell z nowymi informacjami.

- Pilotem jest kapitan Mark Fustok, sir. Jeśli nie zbcoczy z aktualnego kursu, to przeleci nad Richmond, Potomakiem i nad samym centrum Waszyngtonu. Numer lotu wciąż niejasny.

- Ostatnia pozycja?

- Mija granicę stanu Wirginia, przy miasteczku Greensville. Prędkość i pułap bez zmian i wciąż nie słucha, co się do niego mówi.

- Pilnuj go dalej, Steve.

W tej chwili na ekranie komputera wykwitło okienko z nadchodzącym sygnałem od analityków z wywiadu wojskowego. Ramshawe czytał go w pełnym skupieniu. Thunder Bay Airways istniały od dwóch lat, cieszyły się doskonałą opinią inspektorów bezpieczeństwa i dzierżawiły biuro na małym lokalnym lotnisku. Ich domeną były regularne zimowe połączenia z regionem karaibskim, a do tego przez cały rok oferowały wyspecjalizowane pakiety turystyczne z pobytami w ekskluzywnych hotelach na Bliskim Wschodzie: w Dubaju, Arabii Saudyjskiej, Katarze, Egipcie, Tunezji i Maroku. W zarządzie nie było żadnych Amerykanów i tylko dwóch obywateli kanadyjskich. Dziewięćdziesiąt procent akcji przedsiębiorstwa należało do zagranicznego funduszu powierniczego z siedzibą na Bahamach. W Thunder Bay działało biuro obsługujące krajowe połączenia z Montrealem i Toronto na użytek narciarzy. Prezesem firmy był niejaki Ismael Akhbar, Kanadyjczyk pochodzenia irańskiego, absolwent wydziału budowy maszyn Uniwersytetu McGill.

Jimmy wybrał numer biura w Thunder Bay i wyjaśnił dziewczynie, która odebrała telefon, że stara się odszukać jedną z pasażerek, nie może się jednak dopatrzeć numeru jej lotu.

- To dlatego, że nie mamy planowych lądowań w USA. Jeśli się leci tylko tranzytem, nie trzeba zgłaszać wszystkich danych lotu. Jak się nazywa osoba, której pan szuka?

Ramshawe podał jej nazwisko swojej starej ciotki, aktualnie mieszkającej na owczej farmie tysiąc dwieście kilometrów od Gór Wododziałowych w Nowej Południowej Walii, podkreślając, jak bardzo mu zależy na skontaktowaniu się z nią.

- Niestety, pani Sheili Wilson nie ma na pokładzie naszego lotu z Barbados - odpowiedziała urzędniczka. - Gościmy dziś dwadzieścia siedem osób, ale nikogo o takim nazwisku.

- Cóż, trudno. Będę szukał gdzie indziej. Może mi pani powiedzieć, jaki numer ma ten

wasz lot?

- Oczywiście, sir. To TBA 62, bezpośrednio z Barbados do Montrealu.

Serce zamarło Jimmy'emu w piersi. Kiedy wznowiło pracę, wykrztusił:

- TBA ile?

- Sześćdziesiąt dwa, proszę pana. Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

- Nie, dziękuję. Proszę tylko pozdrowić ciocię Sheilę, gdyby jednak doleciała. - Wbił słuchawkę w widelki i nacisnąwszy guzik interkomu, wrzasnął: - Natychmiast połączyć mnie z Białym Domem!

Otwarcie linii do Gabinetu Ovalnego zajęło trzy minuty. Jimmy oznajmił sekretarzowi prezydenta, że musi niezwłocznie porozmawiać z admirałem Morganem. Po chwili usłyszał znajomy głos:

- Morgan. Mów.

- Sir, tu Jimmy Ramshawe. Przeczytał pan już transkrypcję tej rozmowy telefonicznej między Bostonem a Syrią?

- Jasne. Masz coś nowego w tej sprawie?

- Właśnie znalazłem lot 62, ten niby potwierdzony. W kontroli ruchu lotniczego nazywają takich narwańcami... Pilot lekceważy polecenia z wieży i właśnie kieruje się na Richmond w Wirginii. Obecny kurs prowadzi dalej prosto do Waszyngtonu.

- Jesteś w kontakcie z operatorem, który go prowadzi?

- Tak jest.

- I co on na to? Niepokoi się czy przyjmuje to jak zwykłą pomyłkę?

- Nie ma żadnej pomyłki, sir. Jest przekonany, że pilot celowo unika łączności, nie słucha instrukcji i leci tam, gdzie sam sobie zaplanował.

- Pozycja?

- Mamy teraz dwunastą dwadzieścia pięć... robi siedemset na godzinę, czyli ponad jedenaście i pół kilometra na minutę. Powinien być jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na południowy zachód od Richmond...

- Ile jest stamtąd do Waszyngtonu? Sto pięćdziesiąt?

- Zgadza się, sir. To daje około pół godziny, biorąc pod uwagę, że musi zwolnić, schodząc na niższy pułap.

- Niższy pułap? Myślisz, że to może być drugi atak?

- Arnie, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Na pokładzie jest tylko dwadzieścia siedem osób. To arabski samolot i chyba zamierza uderzyć w miasto. Tak w każdym razie zakładam. Będę śledził sytuację. Sir, nalegam, aby doradził pan prezydentowi

poderwać myśliwce. Przyjdzie nam to pudło zestrzelić.

Po raz pierwszy w życiu to komandor Ramshawe odłożył słuchawkę bez pożegnania z admirałem Arnoldem Morganem, który zastygł z głuchą słuchawką przy uchu obok biurka głowy państwa.

- Panie prezydencie, według NSA do Waszyngtonu leci boeing 737 z zamiarem samobójczego ataku na miasto - powiedział. - Nasi ludzie są zdania, że to akcja tej samej grupy, która próbowała dziś szczęścia na Logan.

- Co więc mamy zrobić? - spytał poblady Bedford.

- Jak to my? Pan, panie prezydencie, musi dać rozkaz startu dyżurnym myśliwcom w bazach Andrews i Langley, i to natychmiast!

- Chcesz powiedzieć, że mam rozkazać wojsku zestrzelić z zimną krwią pasażerski liniowiec?

- Chcę powiedzieć, że ma pan dać im wolną rękę. Niech sami zadecydują w zależności od sytuacji.

- Ależ, Arnie, przecież tam są cywile!

- To samo martwiło wszystkich jedenastego września. I właśnie dlatego trzy tysiące ludzi zginęło w World Trade Center. Gdyby nasi piloci strącili tych sukinsynów do Hudson, nie byłoby takiej tragedii.

- Wiem, wiem. Za późno podjęto decyzję, tak?

- Tak jest, wszyscy robili w portki na myśl o zestrzeleniu nieuzbrojonych odrzutowców pasażerskich.

- Nie dziwię się.

- Paul, tu nie ma czasu na takie rozterki. Podrywaj myśliwce i każ im strzelać bez uprzedzenia. Pasażerowie i tak zginą, cokolwiek zrobisz... ale na Boga, nie pozwól, żeby ten samolot staranował Kapitol albo Biały Dom! To byłoby niewybaczalne, skoro tyle już wiemy.

- Tak to chyba wygląda - odrzekł powoli prezydent. - Od jednej prostej prawdy nie da się uciec: rząd i wojsko nie zareagowało w porę i trzy z czterech porwanych wtedy samolotów uderzyły w wybrany cel. Nie doleciał tylko ten jeden, na którym sami pasażerowie podjęli działanie.

- Powiedziane, jak przystało na oficera, Paul. Tak jest, nie wydano wtedy tego najważniejszego rozkazu i lotnictwo tkwiło na ziemi do końca. To się więcej nie może powtórzyć.

**Godz. 12.31. Centrum Dowodzenia Obrony Powietrznej „Północny Wschód”,
Rome, Nowy Jork**

Pułkownik Rick Morry wyskoczył zza biurka niczym rakieta. Na ekranie jego komputera widniała wiadomość o prawdopodobnym porwaniu przez terrorystów odrzutowca boeing 737, znajdującego się obecnie w okolicy Richmond i kierującego wprost na stolicę. Co więcej, prezydent Bedford wydał już pozwolenie na zlokalizowanie, przechwycenie i ewentualnie zestrzelenie samolotu, jeśli zajdzie taka konieczność. Rozkaz nadszedł bezpośrednio z Gabinetu Ovalnego i dotyczył właśnie ich rejonu operacyjnego: stanowiska koordynacji obrony powietrznej sektora północno-wschodniego, położonego na zachód od Syracuse, siedemdziesiąt kilometrów od skutych lodem wód jeziora Ontario.

- Majorze Freeman! - krzyknął. - Pogotowie bojowe!

Pokrótkie zapoznał podwładnego z sytuacją. Scott Freeman, doświadczony oficer liniowy, chwycił słuchawkę i ogłosił alarm dla dyżurnych maszyn w Langley i Andrews, z krótkim, acz dosadnym wyjaśnieniem, że nie chodzi o „żadne gówniane ćwiczenia”.

W pokoju operacyjnym zapadła cisza; wszyscy patrzyli na majora, który czekał na meldunki z obu wymienionych lotnisk.

- Przyjąłem, cztery F-16 z Langley w powietrzu. - I pół minuty później: - Przyjąłem, Andrews, czekać na sygnał. Start za osiem minut, dwunasta czterdzieści jeden. Dokładną pozycję boeinga podamy później. W rejonie nie ma żadnych innych pasażerskich samolotów, wszystkie lotniska zamknięte od ósmej.

Morry podszedł do konsoli Freemana i przekazał mu, że podejrzanego boeinga prowadzi w cywilnej kontroli lotów operator Steve Farrell. Major od razu zadzwonił na wieżę.

- Uwaga Herndon, z Langley lecą pod Waszyngton cztery myśliwce marynarki, dwieście pięćdziesiąt kilometrów, w rejonie za czternaście minut. Steve, możesz mi podać przybliżone koordynaty TBA 62 na dwunastą pięćdziesiąt pięć?

- Przewidywana pozycja na ten czas... chwileczkę... Woodbridge, Wirginia, dwadzieścia trzy kilometry na południe od miasta. Podaję współrzędne... trzydzieści osiem trzydzieści osiem północnej, siedemdziesiąt siedem szesnaście zachodniej. On już traci prędkość i wysokość, robi teraz czterysta osiemdziesiąt na godzinę i zszedł na osiem i pół tysiąca metrów. Leci nad hrabstwem King William, mniej więcej dwadzieścia kilometrów na północ od Richmond.

- Dziękuję, Herndon, przyjąłem.

- Herndon do CDOP Rome, odbieramy na częstotliwości ogólnej transmisję prawdopodobnie z tego boeinga! Obcy akcent, w tle słychać krzyki... coś o wykonywaniu woli Allaha. Obiekt nadal posuwa się na północ.

- Przekażcie nagranie NSA - polecił Freeman. - Maszyny z Langley już go doganiają.

- Zrobi się. TBA 62 bez zmiany kursu, ale wysokość szybko maleje. Już tylko sześć czterysta i schodzi niżej. Na wywołania nie odpowiada.

- Dziękuję, Steve. Klucz z Langley na przechwyceniu, klucz z Andrews właśnie wystartował i leci nad miasto.

- Herndon do wszystkich, alert czerwony! Obiekt szybko się zniża, mija pułap pięć dwieście, bez pozwolenia, powtarzam, bez pozwolenia!

- Langley operacyjny do CDOP Rome. Prowadzący F-16 ma już obiekt w polu widzenia, kurs zero, nad hrabstwem Charles w Marylandzie.

- Przyjąłem, Langley. Podejść na tysiąc pięćset metrów od jego szóstej. Herndon, myśliwce meldują pułap trzy trzysta, proszę o weryfikację...

Godz. 12.50, Biały Dom, Waszyngton

Paul Bedford powoli odłożył słuchawkę.

- Arnie, nasze F-16 siedzą mu na ogonie.

- Uzbrojone?

- Aha. W rakiety. Dzwonili z Langley, żeby się ostatecznie upewnić, czy rzeczywiście chcę rozwalić ten samolot...

- Zanim on rozwali najważniejszą instytucję amerykańskiej demokracji, tak?

- Naprawdę myślisz, że o to mu chodzi?

- Niekoniecznie. Równie dobrze może skrócić na Biały Dom, co też mi nie bardzo odpowiada. W każdym razie nie w tej chwili...

- Arnie, posłuchałem twojej rady. Jedenaście lat temu tysiące ludzi zginęły przez czyjeś niezdecydowanie, a ja nie chcę powtórki. Słyszałeś, jak przed chwilą powiedziałem, że potwierdzam?

- Słyszałem.

- To była odpowiedź na pytanie z centrum dowodzenia, czy mają moją bezwzględną zgodę na zestrzelenie TBA 62, gdyby pilot do końca nie zastosował się do poleceń z kontroli lotów.

- Podjąłeś słuszną decyzję, Paul. Pewnie ci się oberwie, że niby za pochopnie... ale

zapewniam cię, że to betka w porównaniu z oskarżeniami, jakimi by cię zasypano, gdyby ten sukinkot wrąbał się przez te dziesięcotonowe wrota z brązu do Kapitolu i unicestwił największą izbę legislacyjną na świecie.

Prezydent patrzył na admirała, kręcąc głową ni to z niedowierzaniem, ni to w oszołomieniu.

- Słyszysz mnie, Paul? Kamień węgielny pod budynek Kongresu położył przed dwustu laty nasz pierwszy prezydent, generał Waszyngton. Ty przejdiesz do historii jako prezydent, który go ocalił od zniszczenia przez wroga.

Centrum Dowodzenia Obrony Powietrznej „Północny Wschód”

- CDOP Rome do dowództwa północnego okręgu sił powietrznych. Nasze F-16 z Langley śledzą lot TBA 62, gotowe do akcji. Proszę o pozwolenie otwarcia ognia.

- Północny do CDOP, zezwalam.

Krajowe centrum kontroli lotów, Herndon

- Herndon do CDOP. Lot 62 zmniejszył prędkość do czterystu na godzinę, pułap dwa czterysta, malejący. Podchodzi nad Chicamuxen Creek. Wygląda na to, że leci wzdłuż Potomacu. Transponder nadal wyłączony, brak odpowiedzi na nasze sygnały.

- CDOP do Herndon. Czy on przed chwilą nie zmienił, kursu?

- Zgadza się, CDOP. Drobnny zwrot o trzy stopnie w lewo, na Woodbridge. Prędkość stała, opadanie stałe. Przewidywany pułap nad miastem tysiąc pięćset metrów.

- Macie go wciąż nad rzeką?

- Tak jest, właśnie się zbliża do najszerszego miejsca, u ujścia do zatoki Occoquan. Od brzegu do brzegu jest tam ponad dziesięć kilometrów.

- CDOP do Herndon, zdejmujemy go. Bez odbioru.

Nad Potomakiem, w kokpicie myśliwca wielozadaniowego F-16

- Zielony jeden, zrozumiałem. Rakiety odbezpieczone, cel prawy silnik boeinga.

- Zielony dwa, rakiety gotowe, cel lewy silnik.

- Langley Operacyjny do klucza Zielonego. Rozkaz potwierdzony, dajcie mu bobu!

Cztery rakiety powietrze-powietrze klasy Sidewinder opadły spod skrzydeł

myśliwców, przez ułamek sekundy zdawały się wisieć nieruchomo, aż elektroniczna komenda uruchomiła ich silniki. Ogniste smugi strzeliły do przodu; układy naprowadzania ustawione na wykrywanie źródeł ciepła błyskawicznie zlokalizowały gorące strugi spalin boeinga i jak po sznurku skierowały pociski ku jego potężnym silnikom.

Trafiły wszystkie niemal jednocześnie. Poczwoźna eksplozja spowiła samolot w chmurę ognia i dymu. Oba skrzydła odpadły, rozerwane mocą wybuchu; okaleczony kadłub siłą inercji pokonał jeszcze paręset metrów, zanim odwrócił się spodem do góry i jak kamień runął w dół. Po chwili zamknęły się nad nim zbełtane wody Potomacu.

- Zielony jeden do Langley. Cel zniszczony. Odchodzę na trzy tysiące, kurs sto sześćdziesiąt jeden, powrót do bazy.

Krajowe centrum kontroli lotów, Herndon

- Herndon do CDOP Rome. Dwunasta pięćdziesiąt siedem lot TBA 62 zniknął z naszego radaru. Ostatnia znana pozycja dwadzieścia trzy kilometry na południe od Waszyngtonu, kurs północny, pułap tysiąc dwieście. Bez odbioru.

Godz. 13.05. Biały Dom

- No i po wszystkim, Arnie. Na Boga, zestrzeliliśmy go!

- Panie prezydencie, jak się mawia u nas w Teksasie, człowiek czasem musi zrobić, co musi.

- Taak... Ten zwrot rzeczywiście bardziej pasuje do Dzikiego Zachodu niż do Wirginii. Wyobrażasz sobie, jaki się z tego zrobi huk w prasie?

- W prasie? - Admirał Morgan popatrzył na Bedforda ze zdziwieniem. - Chcesz powiedzieć, że jest jakiś kategoriyczny imperatyw, żeby to upublicznić? Do mnie dotarło tylko... popraw mnie, jeśli się mylę... że jakiś niedzielny pilot czarterowy zza północnej granicy źle zrozumiał instrukcje z ziemi i zamiast skrócić nad ląd, wpakował swojego pocziwego boeinga prosto w Atlantyckie. Całe szczęście, że leciał prawie pusty i na pokładzie nie było żadnego obywatela USA.

- Masz na myśli jakieś fałszywe oświadczenie dla dziennikarzy?

- Absolutnie nie. Oświadczenie to my wydamy, i to bardzo dobitne, w sprawie bomby w Bostonie. Potem niech ktoś z centrum kontroli lotów opowie pismakom, że kilka godzin później obcy samolot prawdopodobnie zwołował na oceanie. Ot, taki zbieg okoliczności...

ten sam dzień i w ogóle. Rząd amerykański nie będzie się jednak na ten temat wypowiadał, dopóki nie zdobędzie więcej informacji. Rzecznik kontrolerów powinien napomknąć, że w tym boeingu mogło dojść do awarii układu hydraulicznego czy coś w tym rodzaju, a pilot leciał przez zakazaną strefę u wybrzeża Karoliny Północnej, zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów od rejonu ćwiczeń lotnictwa marynarki. Odrzucił wszystkie nasze zalecenia i rady, no i zniknął nam z oczu. Wraku na razie nie odnaleziono, a wojsko naturalnie nie odezwie się ani słóweczkiem.

- Ktoś mógł przecież widzieć samo zestrzelenie, Arnie.

- Mało prawdopodobne. Samolot spadł w najszerzej części rzeki i z pewnością płonął przed uderzeniem w wodę. Pewnie, że może się znaleźć paru świadków, ale koniec końców to będzie jak z UFO: ciekawe, ale nieudowodnione.

- Albo jak z tym lotem TransWorld Airways, który się rozbił nieopodal Long Island dwadzieścia lat temu? Pamiętam, że było kilka doniesień, jakoby coś w niego trafiło, ale żadnego nie uznano za prawdziwe.

- O, właśnie. Bierzmy się więc do roboty. Trzeba zgrać wersje wojskowych i kontroli lotów. Potem ktoś musi wydać instrukcje CIA... myślę, że można to zostawić chłopakom z NSA. W tym czasie Brett niech dzwoni do Departamentu Obrony i załatwi, żeby marynarka pilnie wydobyła z rzeki ten wrak. Wszystko oczywiście w największej tajemnicy. No i nie zapomnijmy dopilnować, żeby tego pieprzonego turbaniarza przewieziono do Bethesdy.

W tej chwili do gabinetu wsunął się kamerdyner, niosący na tacy dwie wielkie, piętrowe kanapki, talerz frytek i dużą butelkę gazowanej wody mineralnej.

- Tak, jak pan lubi, admirale - zaanonsował, celowo nie zwracając się do prezydenta, jakby świadomy śmiertelnego grzechu, który według katechizmu pani prezydentowej właśnie popełnił.

Dwaj smakosze niezdrowej żywności zasiedli do podziału łupów. Bedford nalał wody do dwóch kryształowych szklanek i obaj wgrzyźli się w swoją, jak to Kathy nazywała, „broń kalorycznego rażenia”.

- Święci pańscy, jakie to dobre... - mruknął prezydent.

Morgan żuł z miną tak rozanieloną, że odzew na to pobożne hasło był najzupełniej zbędny. Dziesięć minut później Henry przyniósł „nuklearnie gorącą” kawę, odmierzył admirałowi kilka granulek słodziku z niebieskiego pojemniczka i bezszelestnie zniknął.

- To o której planujesz wygłosić prezydenckie orędzie? - spytał Arnold, gdy za kamerdynerem zamknęły się drzwi. - Dobrze byłoby zdążyć na wieczorne wydania.

- Orędzie? Myślisz, że powinienem załatwić to aż tak oficjalnie?

- Jak najbardziej! Narodowi trzeba powiedzieć, że znów zostaliśmy zaatakowani przez dyszących nienawiścią islamskich fanatyków i tylko błyskawiczna i zdecydowana akcja dwójki bohaterkich bostońskich policjantów zapobiegła tragedii na wielką skalę. Wyjawisz, że jednego ze sprawców ujęto i w tej chwili trwa szeroko zakrojone śledztwo, a w swoim czasie zastosujemy ostre działania odwetowe.

- A co mam mówić, jeśli któryś z dziennikarzy zada pytanie, czy zamach w Bostonie ma jakiś związek z tajemniczą katastrofą boeinga nad oceanem?

- To proste. Zaginiony samolot był zarejestrowany w kraju ościennym, nad terytorium USA leciał tranzytem, na pokładzie była garstka ludzi i ani Biały Dom, ani Pentagon nie posiada szczegółowych informacji na temat okoliczności wypadku. Jeżeli okaże się konieczne podjęcie i tego wątku w dochodzeniu, odpowiednie służby natychmiast prasę o tym poinformują.

- Myślisz, że to kupią?

- Panie prezydencie, Marlin Fitzwater, szef kancelarii Reagana, zwykł nazywać korpus prasowy lwami i wiedział, że co wieczór trzeba je nakarmić. Ta historia z bombą i terrorystami wystarczy im za całego bawołu. Najedzą się do syta, a panu pozostanie tylko powtarzać, że na pewno będziemy szukać zemsty. Będą uszczęśliwieni.

Rozdział 2

Piątek, 13 stycznia 2012, godz. 15.30. Fort Meade

Komandor porucznik Ramshawe od razu poznawał, kiedy dzwoni Wielki Człowiek - już sam brzęczyk telefonu zdawał się wibrować zniecierpliwieniem. Intuicja nie zawiodła go i tym razem; jeszcze nie przyłożył słuchawki do ucha, kiedy popłynęło z niej słowne tabasco:

- JIMMY!!! Zapodawaj, młodzieńcze, co tam od rana wyniuchałeś, tylko bez gładzenia!

- Który aspekt uważa pan za najważniejszy, sir?

- Chcę wiedzieć, do jakiego stopnia nasze działania były słuszne.

- W stu procentach, sir.

- Szczegóły!

- CIA przechwyciła telefoniczny meldunek do Damaszku, w którym po pierwsze była mowa o bombie na Logan... czas, miejsce, wykonawcy... a po drugie, znalazła się informacja, że coś podejrzanego dzieje się z lotem 62. I co się okazuje? Parę godzin później jakiś maniak rzeczywiście pikuje boeingiem na Waszyngton, nie zwracając uwagi na krzyki z kontroli naziemnej. Numer lotu? Sześćdziesiąt dwa. Prognoza trafna, trafiony i zatopiony.

- Okey, Jimmy. Tak tylko chciałem raz jeszcze usłyszeć głos rozsądku, Chyba się starzeję...

- Kto jak kto, ale ty, Arnie... - Ramshawe parsknął śmiechem.

Morgan już tego jednak nie usłyszał, swoim zwyczajem grzotnąwszy słuchawką na widelki w pół ostatniego słowa. Siedział w swoim przestronnym domowym gabinecie, wpatrzony w płomyki pełgające po zwęglonych szczapach w kominku, rozmyślając o bombie, pilocie-samobójcy i niekończącym się ciągu zła, jakie ci islamscy fanatycy usiłowali zgotować Stanom Zjednoczonym.

- Pieprzeni turbaniarze... - mruknął do siebie. - Ale dzisiaj byliśmy górą. Kamikadze w Potomacu, Logan bez ofiar, terrorysta w kiciu. A im szybciej się znajdzie w Gitmo¹, tym

¹ Żargonowa nazwa amerykańskiej bazy wojskowej nad zatoką Guantanamo na Kubie, od czasu wojny w Iraku wykorzystywanej też jako więzienie dla podejrzanych o terroryzm i związki z Al-Kaidą, przede wszystkim z krajów arabskich. Wprawdzie w 2009 roku prezydent Obama polecił zakończyć ten aspekt jej

lepiej się poczuje.

Godz. 17.00. Szpital Massachusetts General, Boston

Masywne cielsko śmigłowca sea king w barwach służby ratowniczej US Navy z bazy w New London pokazało się w oddali nad rzeką Charles, przesunęło się trzydzieści metrów nad mostem Longfellow i skręciwszy pod kątem prostym nad dach imponującego piętnastopiętrowego gmachu największego szpitala w Bostonie, z zadziwiającą delikatnością przysiadło na płycie heliportu. Pilot, komandor John Fallon, omiół spojrzeniem oczekujący go całkiem spory tłumek: sześciu salowych, sześciu umundurowanych policjantów, dwie pielęgniarki, lekarza w długim białym kitlu i trójkę typowych tajniaków, zapewne z CIA - ponurych dryblasów w ciemnych trenczach, nasuniętych niemal na oczy kapeluszach i grubych szalikach.

Cała ta ekipa otaczała samojezdne nosze, na których spoczywał pacjent skrepowany solidnymi pasami, jakich zwykle się używa w przypadku psychopatycznych przestępców w rodzaju Hannibala Lectera.

- Kim, u diabła, jest ten gość? - Fallon zapytał swojego podoficera ładunkowego w stopniu bosmana.

- Mnie pan pyta? Byle się tylko nie wyplątał z tej uprzęży u nas na pokładzie...

- Nie ma obawy, ci trzej smutni mięśniacy będą go pilnować przez całą drogę.

Bosman otworzył drzwi i zeskoczył na beton. Salowi natychmiast podtoczyli nosze, złożyli podwozie i wsunęli do kabiny śmigłowca. Tajniacy wskoczyli do środka i zajęli miejsca po obu stronach pacjenta, podoficer zatrzasnął drzwi i maszyna z wolna uniosła się nad dach. Nikt się nie odezwał choćby słowem, zwłaszcza pacjent, który konsekwentnie milczał już od ósmej pięć tego ranka, kiedy to Pete i Danny wyciągnęli go z płonącego samochodu.

Pilot położył się na kurs południowo-zachodni, ale po paru minutach skręcił o trzydzieści pięć stopni w lewo, ku lodowatym wodom zatoki Narragansett i cieśniny Rhode Island, a potem wzdłuż wybrzeża na południe, trzymając się cały czas nad oceanem o parę kilometrów od brzegu. Dopiero na wysokości zatoki Delaware skierował się znów na zachód, prosto nad Annapolis i dalej ku północnym przedmieściom Waszyngtonu, gdzie zaczynał się rozległy teren Centrum Medycznego Marynarki Wojennej w Bethesda, założonego jeszcze

działalności - czego autor wydanej rok wcześniej powieści przewidzieć nie mógł - ale czy rzeczywiście tak się stało, któż może wiedzieć? (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

przez Franklina Roosevelta.

Komandor Fallon z daleka widział, że lądowisko otacza kordon tak silny, jakby miał się tam zjawić ranny prezydent - co zresztą nieraz się już zdarzało, Bethesda jest bowiem w takich wypadkach pierwszym ogniwem pomocy lekarskiej; tam właśnie przywieziono Johna F. Kennedy'ego, kiedy Air Force One powrócił z Dallas. Nie miał pojęcia, kim jest jego pasażer na noszach, ale jedno było pewne: dla kogoś musiał być ważny. Gdyby wiedział, do kogo należy czarny hummer stojący w strefie ścisłego zakazu parkowania przed głównym wejściem, domyśliłby się jak bardzo.

Admirał Arnold Morgan był już na miejscu i popijał mocną kawę w gabinecie komendanta szpitala, kontradmirała Adama Robertsa. Wraz z nim na przybycie więźnia czekali też profesor Brett i Jimmy Ramshawe. Już samo to świadczyło, jak wielką wagę przywiązuje rząd amerykański do zeznań obywatela egipskiego Rezy Aghaniego.

Przyjęcie nowego pacjenta odbyło się w tempie ekspresowym: salowi niemal biegiem wtoczyli nosze przez automatyczne drzwi wejściowe, otoczeni przez agentów, którzy z nim przylecieli, czterech żandarmów marynarki, tyluż policjantów, dwóch lekarzy i dwie pielęgniarki. Cały ten orszak skierował się prosto do zastrzeżonego oddziału przeznaczonego na wyłączny użytek urzędującego prezydenta USA: pięciu zaciemnionych, dźwiękoszczelnych pomieszczeń oddzielonych od reszty kompleksu pancernymi drzwiami z zamkiem szyfrowym i korytarzem naszpikowanym czujnikami nacisku, wykrywaczami ruchu i Bóg wie czym jeszcze. Kombinację otwierającą ten sezam znali tylko pełniący służbę na miejscu dwaj dyżurni z Secret Service, podlegający bezpośrednio centrali w Białym Domu. Po raz pierwszy w historii miał tam być leczony - i przesłuchiwany - nie najwyższy funkcjonariusz władzy wykonawczej USA, ale cudzoziemiec podejrzany o akt terroru. Naturalnie gdyby Paul Bedford zgłosił w tej chwili choćby lekkie przeziębienie, Egipcjanin natychmiast zostałby przeniesiony do innej, na pewno też niedostępnej dla postronnych części szpitala, na razie jednak mógł się cieszyć komfortem apartamentu głowy państwa. Jak zauważył wcześniej tego dnia admirał Morgan: „Pogodzę się niemal ze wszystkim, ale nie z tym, że ktoś mógłby uciszyć tego Araba kulą czy bombą. Poza nim nie mamy żadnych tropów, a szykuje się nam nowy jedenasty wrześnie”.

Rezę Aghaniego położono w sali normalnie przeznaczonej na sypialnię dla osobistej ochrony prezydenta. Komendant wystawił przy nim wzmocniony posterunek: dwóch żandarmów przed drzwiami i dwóch wewnątrz. Pierwszym, który „odwiedził” rannego

terrorystę, był sam Arnold Morgan, do którego po chwili dołączył komandor porucznik Ramshawe. Egipcjanin na ich widok natychmiast zamknął oczy i opuszczył głowę na poduszkę.

- Słuchaj, Aghani! - zaczął bezceremonialnie admirał. - Jesteś zatrzymany przez wymiar sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych pod zarzutem nielegalnego aktu wojny przeciwko naszemu państwu, a konkretnie kierowania grupą dywersyjną mającą zniszczyć terminal pasażerski lotniska w Bostonie za pomocą bomby, którą ty sam podłożyłeś. Nie jesteś już w mocy władz cywilnych, podlegasz jurysdykcji wojskowej. Jak się może domyślasz, w praktyce oznacza to, że możemy sobie poczynać z tobą znacznie swobodniej. Dobra wiadomość jest taka, że raczej nie posuniemy się do urznięcia ci głowy, ale wszelkie inne środki perswazji, jakie możesz sobie wyobrazić, jak najbardziej wchodzą w grę. Wrócę tu dokładnie za dwadzieścia cztery godziny i jeśli do tego czasu nie wyśpiewasz całej prawdy, każę cię przetransportować do ośrodka przesłuchań więzienia wojskowego, gdzie potraktują cię znacznie ostrzej, do wyroku śmierci w trybie doraźnym i egzekucji włącznie.

Morgan nie czekał na odpowiedź ani nawet się nie upewnił, czy zatrzymany go zrozumiał; odwrócił się na pięcie i wymaszerował z sali, ruchem głowy dając znak Jimmy'emu, że ma iść za nim. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, ruszył prosto do elegancko umeblowanego prezydenckiego salonu, rzucił płaszcz na oparcie chippendale'owskiego krzesła z XVIII wieku i rozsiadł się wygodnie na ciemnozielonym miękko tapicerowanym szeszlunku, wartym prawdopodobnie nie mniej niż sto tysięcy dolarów.

Koszt ponownego wyposażenia tego pokoju - i montażu doskonalszych zabezpieczeń - przyprawił o intensywny rumieniec wstydu prezydenta Cartera, piewce oszczędności, cięć budżetowych i prostoty w administrowaniu krajem. To za jego kadencji złodziejom jakimś cudem udało się sforsować przeszkody i umknąć z antykami, obrazami i rzeźbami za równe sześćset tysięcy. Arnold Morgan nie czuł jednak najmniejszego skrępowania, korzystając z luksusu z nonszalancją godną francuskiego delfina.

- Kawa, James! - zakomenderował. - I zorganizuj trochę ciastek, żebyśmy nie musieli na głodniaka się głowić, jak tu najlepiej napędzić stracha tej pieprzonej śpiącej sułtanównie z Egiptu.

- Robi się, sir! - Jimmy trzasnął obcasami i wyszedł.

Admirał odruchowo sięgnął po pilota i włączył telewizor na kanał Fox News. W wiadomościach królowały niepodzielnie doniesienia na temat bostońskiego zamachu, przy czym reporterzy głównie narzekali na informacyjną blokadę założoną przez władze, mieli jednak nadzieję, że dowiedzą się wszystkiego z zapowiedzianego na dziewiętnastą wystąpienia prezydenta.

W głównym bloku nie było żadnej wzmianki o katastrofie boeinga spoczywającego od paru godzin na dnie Potomacu. Dopiero pod koniec wydania spikerka odczytała krótką notatkę na podstawie oświadczenia rzecznika prasowego krajowego centrum kontroli lotów w Herndon, z której wynikało tylko, że gdzieś nad Atlantykiem na wysokości wirginijskiego wybrzeża zaginął kanadyjski samolot pasażerski.

Morgan, który osobiście napisał owo oświadczenie i przekazał je do Herndon za pośrednictwem kancelarii Białego Domu, słuchał ładnej rudowłosej prezenterki z satysfakcją: nie padło ani jedno słowo na temat przyczyny i dokładniejszych danych o miejscu ewentualnej katastrofy. Dziennikarka przeprowadziła następnie szybki wywiad telefoniczny z przedstawicielem IATA, od którego oczekiwała raczej ploteczek niż konkretnych informacji.

- Jaki teraz panuje nastrój w waszej organizacji? Czy mają państwo poczucie porażki?

- Przepraszam, nie bardzo rozumiem - zdziwił się indagowany.

- No, przecież to w jakimś sensie wasza odpowiedzialność, prawda? - dopytywała się spikerka, zatrudniona przez stację niekoniecznie dla jej intelektu i profesjonalizmu. - Ktoś musiał czegoś nie dopilnować.

- Proszę pani, my samolotów nie pilotujemy.

- Ale piloci są członkami waszego związku, nie?

- Szlag mnie trafi... - Arnold ze złością wcisnął wyłącznik, jak zwykle zirytowany błogą ignorancją współczesnych niedouczonej żurnalistów, którzy spokojnie potrafią pleść milionom widzów, czytelników lub słuchaczy najgłupsze androny z satysfakcją ewangelisty głoszącego prawdy objawione.

Humor poprawiło mu nadejście Ramshawe'a, za którym do salonu wpłynął steward z kawą w bezcennym srebrnym dzbanku w stylu georgiańskim i paterą biszkoptów.

- Wiesz, Arnie, kiedy tak się zastanawiam nad dzisiejszymi wydarzeniami, dochodzę do wniosku, że na Wschodnim Wybrzeżu musi działać bardzo prężna komórka Al-Kaidy - powiedział Jimmy. - Tylko fuksem uniknęliśmy tragedii na miarę World Trade Center... na razie.

- Chcesz powiedzieć, że możemy się spodziewać kolejnego ataku?

- Absolutnie. Myślisz, że chłopakom uda się złamać tego drania w ciągu najbliższej godziny?

- Chyba nie, Jimmy. Być może należałoby się uchwycić tego wątku z Houston, jeśli komuś się uda wpaść na ślad Ramona Salmana. Ale i to będzie strzał na oślep...

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł doradca prezydenta, Alan Brett.

- Są ze mną ludzie z CIA - oznajmił od progu. - Zobaczysz się z nimi teraz, Arnie?

- Za moment. Siadaj, nalej sobie kawy i mów, co o tym myślisz.

- Kawa się przyda, choć siedzę, prawdę mówiąc, jak na szpilkach. Boję się, że na tym nie koniec i oni wywiną nam jeszcze jakiś numer. Nasz pacjent to niewątpliwie twarda sztuka, nie boi się nas i naszych metod, a determinacji dodaje mu nienawiść.

- Jak na niewątpliwie twardą sztukę to raczej mikrus - mruknął pod nosem Ramshawe.

- Nie wiem, czy dałby radę obronić się przed małym kangurkiem.

- To samo pewnie Galowie mówili o Juliuszu Cezarze, który też dryblasem nie był - zaśmiał się Brett. - A koniec końców to nie oni przybyli, zobaczyli i zwyciężyli...

- Nasz bin Cezarek też omal nie zwyciężył w Bostonie, ale na szczęście tylko przybył i zobaczył - wtrącił Arnold. - Trzeba go jednak traktować jak groźną bestię, bo taki jest.

- Chłopcom z CIA nie trzeba tego tłumaczyć - uspokoił go profesor. - Ile mają czasu?

- Zamierzam nakłonić prezydenta, żeby jutro w południe odesłał tego łapserdaka do Guantanamo.

- To znaczy, że zostało im osiemnaście godzin.

- Na pewno nie więcej, ale niech działają tak, jakby mieli dwie. Jakież nowinki w sprawie boeinga?

- Kiedy wychodziłem, prezydent rozmawiał właśnie z szefem operacji morskich. Wygląda na to, że marynarka będzie podnosić wrak i sama przeprowadzi dochodzenie.

- A co w Houston? Trafili na tego Salmana?

- Jeszcze nie.

- W porządku, Alan. Nie będę w takim razie zawracał głowy agentom, lepiej niech się od razu biorą do dzieła.

Godzina 20.30. Biały Dom

- Niezła mówka, Paul - pochwalił Morgan. - Koncentrujmy się na bohaterstwie tych bostońskich gliniarzy, bo to zamknie pismakom paszcze na kilka dni. Niech tam oblegają ich rodziny i nauczycieli z podstawówki, podczas gdy my po cichu będziemy przykręcać śruby turbaniarzom.

- Turbaniarzowi, chciałeś powiedzieć. Mamy tylko jednego.

Admirał z wolna potoczył wzrokiem po Gabinetcie Owalnym, zanim odparł:

- Mając do dyspozycji wszystkie możliwości wielkiego mocarstwa, musimy dopaść tego drugiego i na to właśnie liczę.

- Też racja. - Bedford skinął głową. - Swoją drogą, mógłbyś niezłe zarabiać na życie

jako rzecznik prasowy, Ta twoja notatka o boeingu po mistrzowsku informuje, nie informując.

- Taa... nawet myślałem, czy nie dać ogłoszenia. Kłamstwa, wykręty i uniki, specjalizacja: stosunki międzynarodowe i znikanie dużych przedmiotów, ceny przystępne.

Bedford zachichotał, ale szybko spoważniał.

- Myślisz, że nikt się nie zorientuje, co naprawdę spotkało ten samolot? - spytał.

- Nikt, przynajmniej dopóki to ode mnie zależy.

Sobota, 14 stycznia, godz. 2.00. Baza US Navy w Norfolku, Wirginia

Noc była pogodna i bezchmurna, choć mroźna. Wzdłuż nabrzeży zajmującego osiem tysięcy akrów największego na świecie portu wojennego i głównej kwatery potężnych sił morskich USA woda ścinała się lodem. Przy rozrzuconych po rozległej zatoce pirsach stało około czterdziestu okrętów, w tym trzy atomowe lotniskowce *John C. Stennis*, *George Washington* i *Theodore Roosevelt*, mocarni weterani wieloletniej służby w najbardziej zapalnych rejonach globu, przednia straż honoru Stanów Zjednoczonych. Jasnoszare kadłuby połyskiwały w poświacie księżyca, ale w całej bazie panowała cisza, którą od czasu do czasu przerywało tylko lądowanie śmigłowca, warkot wozów patrolowych czy odgłos kroków zmieniającej się wachty. Drapieżna sfera odpoczywała przed nowym dniem i nowymi zadaniami.

O drugiej nad ranem lądowa bryza już ucichła. Trwała wprawdzie najsilniejsza faza przyływu, ale woda też podnosiła się bezszelestnie, bez najdrobniejszego plusku czy poszumu tworzących się gdzieś bystrzyn. W mroźnym, nieruchomym powietrzu dźwięki niosą się daleko, tak więc niespodziewany odgłos pracy pary okrętowych silników marki Caterpillar, z połączoną mocą czterech tysięcy dwustu koni mechanicznych pchających niezidentyfikowaną jednostkę na północ środkiem kanału wejściowego natychmiast musiał przyciągnąć uwagę każdego, kto akurat znajdował się na którymś z nabrzeży lub pokładów.

W Norfolku, jak w każdej bazie wojskowej, działa sprawna poczta pantoflowa i większość personelu zawsze wie, kiedy jakiś okręt ma wychodzić w morze. Tym razem jednak nikt nie miał zielonego pojęcia, kogo i dokąd diabli niosą po nocy - nikogo to też jednak specjalnie nie obchodziło. Było to po prostu trochę nieoczekiwane, ale poza tym wszystko wyglądało normalnie: okręt niósł przepisowe światła pozycyjne i najwyraźniej właśnie opuścił położoną w głębi zatoki stocznnię remontową.

Powodem tak późnego - lub wczesnego, jak kto woli - odbicia były przede wszystkim

intensywne prace malarskie, które w ciągu wieczornej zmiany ukryły wszelkie oznaki przynależności jednostki do floty wojennej. USS *Grabber*, okręt ratowniczy klasy Safeguard o wyporności dwóch tysięcy ośmiuset osiemdziesięciu ton, aktualnie w „cywilnym przebraniu”, pruć fale z pełną prędkością dwunastu węzłów, a za nim podążały w szyku torowym dwa płaskopokładowe samobieżne pontony do przewozu ciężkich ładunków, także świeżo przemalowane. Mała flotylla wyglądała jak tabor pływający jakiejś drobnej firmy zajmującej się płatnym ratownictwem i pracami podwodnymi, a celem jej skrytej wyprawy, zarządzanej przez samego szefa operacji morskich US Navy, był najgorętszy obecnie kasztan do wyciągnięcia z politycznego ognia. Niezwykły był także skład załogi *Grabbera*. Oprócz normalnej obsady pokładowej - szypra, nawigatora, sternika, bosmana i marynarzy wachtowych - i zespołu specjalistów od podnoszenia wraków w nadbudówce kryło się szesnastu nurków pod komendą starszego bosmana Marka Coulsona, podoficera morskich sił specjalnych, którego wraz z bosmanem Rayem Flaminim, sternikiem miniaturowych łodzi podwodnych, ściągnięto samolotem z bazy US Navy SEALs w Virginia Beach. Większość spała jak susły, korzystając z czternastogodzinnego przelotu w górę zatoki Chesapeake, a potem Potomacu - każdy wiedział, że później niewiele będzie okazji do drzemki. Ich zadanie było pilne i należało je przeprowadzić nie tylko szybko i sprawnie, ale też w największej tajemnicy. Całością operacji dowodził niedawno awansowany komandor Bob Wallace, były podwodniak i kwalifikowany nurek, który w życiu nie służył na jednostce ratowniczej.

Zespół mijiał ostatnie nabrzeża bazy i zbliżał się do wyjścia na Chesapeake. Parę rumbów na lewo majaczyły już kanciaste zarysy Fortu Monroe. Morze było tam bardziej wzburzone i do równomiernego terkotania dźwięku dołączył rytmiczny szum spienionej wody, gdy dziób nurzał się w nadbiegających falach. Sternicy pontonów - niezgrabnych prostokątnych pudeł - musieli zdwoić uwagę, by się utrzymać na kursie. *Grabber* wyprowadził je ukośnie na północny tor wodny i cała trójka, przecięwszy zatokę w dwie godziny, dotarła do przylądka Charles na wschodnim brzegu Wirginii. Kiedy dzwon wybił cztery szklanki oznaczające koniec wachty „świtówki” - od czwartej do ósmej rano - przekraczali już granicę stanu Maryland. Było jasno, ale mdłe, zamglone słońce dopiero zaczynało swoją codzienną wspinaczkę; na tle nieba wyraźną ciemną smugą rysował się przylądek Lookout, wysuniętą kosą osłaniający ujście Potomacu. Woda była tam spokojniejsza, za to dość silny prąd opóźniał żeglugę.

Potomac to duża rzeka. Od źródła w zamykających dolinę Shenandoah Alleghenach płynie ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów, zanim dotrze do Harper's Ferry i skęci na wschód, ku Waszyngtonowi, skąd do lejkowatego estuarium zostaje jeszcze drugie tyle.

Grabber i pontony miały jeszcze sto sześćdziesiąt kilometrów do przebycia w pełnym świetle dnia. Wszystkie utrzymywały ścisłą ciszę radiową; od czasu do czasu mijały się ze zderzającymi na południe frachtowcami, ale nie wymieniały z nimi choćby przyjaznego pozdrowienia. Tak minęła wachta przedpołudniowa i na okręcie podano obiad, obsada pozbawionych kambuza pontonów musiała się jednak zadowolić kanapkami, czekoladą i kawą z termosów.

Godziny mijały, robiło się coraz zimniej. Około piętnastej szyper zwolnił do ośmiu węzłów - zbliżali się do podanej w rozkazie pozycji i teraz trzeba było z jak największą precyzją wybrać właściwe miejsce kotwiczenia. Kiedy przepływali obok Quantico, komandor Wallace nawiązał kontakt z bazą lotniczą korpusu marines w Turner Field. Na wysokości portu wojennego w Stump Neck, położonego w ujściu Chicamuxen Creek, lewego dopływu Potomacu, włączono sonar. Oficer nawigacyjny monotonnym głosem co dwadzieścia sekund odczytywał wskazania odbiornika GPS. Posuwali się z minimalną prędkością jeszcze pięć kilometrów. Słońce zniknęło już za niskim brzegiem hrabstwa Charles, kiedy Wallace polecił zatrzymać silniki, a po chwili dał komendę „Wolno wstecz”. *Grabber* powoli wytracił prędkość i stanął.

- Trzydzieści osiem trzydzieści osiem North, siedemdziesiąt siedem zero dwa West - oznajmił nawigator. - Jesteśmy na pozycji.

- Dzięki, Tommy - powiedział komandor. - Oba stop, rzucić kotwicę. Zespół pierwszy, przygotować się do zejścia pod wodę. Sprawdzić markery i sprzęt, opuścić zodiaki.

Kotwiczenie zajęło szyprowi jeszcze kilka minut - po wypuszczeniu łańcucha o trzy szakle więcej niż potrzeba rzucił dodatkowo kotwicę z rufy, po czym wybierając łańcuch dziobowy i luzując rufowy, ustawił *Grabbera* w żądanym położeniu. Bez tego dodatkowego zamocowania okręt tańczyłby na rzeczonym prądzie jak wiejski Burek obszczekujący listonosza.

Na sennym dotąd pokładzie wszczął się ożywiony ruch. Podzielona na wyspecjalizowane zespoły załoga rzuciła się do pracy: z magazynków wyciągano i testowano akwalungi, podwodne reflektory, liny i pomarańczowe pławy znacznikowe. Na mostku marynarz czuwał „na oku”, przepatrując okolicę za pomocą nocnej lornetki, w czym wspomagał go obserwator brzegowy i radarzyści z wieży kontrolnej odległego o pięć kilometrów portu Stump Neck. Przy pirsie stały tam też dwa ścigacze patrolowe, gotowe na każdy sygnał o pojawieniu się intruza skoczyć pełną prędkością do akcji. Ten odcinek Potomacu zdecydowanie nie nadawał się teraz na turystyczne żeglowanie czy wędkowanie.

Komandor Wallace i jego zespół działali na bezpośredni rozkaz z Pentagonu i obecnie

ich pierwszorzędnym zadaniem było zlokalizowanie jeszcze przed świtem wraku boeinga Thunder Bay Airways i oznakowanie go pławami. Dysponowali jedynie koordynatami ostatniej jego pozycji zarejestrowanej przez stację kontroli lotów w Herndon. Oczywiście nikt nie miał pewności, czy samolot znajduje się akurat w tym miejscu. Spadając, musiał się znaleźć poniżej pułapu radaru - a tym samym zniknąć z ekranu Steve'a Farrella - i sunąć dalej siłą inercji, przy prędkości rzędu trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, z każdą sekundą przemieszczał się o blisko sto metrów. Nie było też wiadomo, czy nurkowie odnajdą go w całości. Z raportu dowódcy klucza myśliwców, które go zestrzeliły, wynikało, że silniki uległy zniszczeniu, a oba skrzydła odpadły, ale sam kadłub do chwili uderzenia w wodę pozostał nieuszkodzony. Wallace ustawił więc swoją miniflotę tam, gdzie „denata” widziano po raz ostatni - i teraz pozostawało tylko zacząć poszukiwania. Pewne było tylko to, że dno trzeba penetrować od miejsca kotwiczenia w górę rzeki.

Komandor zszedł z mostku na główny pokład, gdzie dwaj komandosi z SEALs i dwaj inni płetwonurkowie szykowali się do zanurzenia. Reflektory zodiaców zalewały powierzchnię rzeki jasnym światłem, ale czarne odmęty wydawały się tym mniej zachęcające; Wallace wzdrygnął się na myśl o nurkowaniu w tym atramencie i z podziwem patrzył, jak czwórka fachowców jeden po drugim znika pod powierzchnią.

Koordinator prac podwodnych natychmiast uruchomił łączność z płetwonurkami, którzy tymczasem parli już przed siebie tuż nad dnem, kierując się wskazaniem elektronicznego urządzenia nawigacyjnego, które sygnałem świetlnym ostrzegało ich, gdy schodzili z osi przyjętego toru ruchu spadającego samolotu.

Upłynęło dwadzieścia minut, potem jeszcze pięć. Ponieważ praca zapowiadała się na dłuższy czas, starszy bosman Coulson z góry ustalił, że nurkowie będą się zmieniać maksymalnie co pół godziny. Następna czwórka przygotowywała się już do zejścia pod wodę, gdy koordinator wykrzyknął:

- Sir, mają coś! - Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Marynarz słuchał przez chwilę, potwierdził odbiór i zameldował: - Coulson trafił na wrak, sir. Sto metrów przed dziobem. - Minęły kolejne trzy minuty, zanim odezwał się znowu, tym razem z szerokim uśmiechem: - Mówi, żebyśmy wypatrywali pławy. Zamocował ją do wybitego okna kokpitu, sir!

Z wielkiego szperacza na pokładzie pelengowym *Grabbera* wystrzelił snop białego światła, omiatając wodę przed okrętem. Sekunda za sekundą wlokły się, rzekłbyś, w nieskończoność, aż wreszcie z głębi wyskoczyła jaskrawopomarańczowa kula, zatańczyła na fali i znieruchomiła, gdy prąd naprężył jej linę. Dwie minuty później przy burcie okrętu

wynurzyła się głowa Coulsona. Komandos zsunął z twarzy maskę i zawołał:

- Mam go, sir! Namiary okazały się dokładne. Nie widziałem jeszcze skrzydeł, ale kadłub siedzi jak złoto. Prawie całkiem się w połowie przełamał i pęknie, gdy go zaczniemy podnosić. I bardzo dobrze, trzeba tylko zamocować do każdej części po dwa stropy i wyjmujemy je elegancko jedną po drugiej.

- Jak to widzisz, Mark? Jedna lina przez kabinę, druga wokół ogona?

- Nie da rady - odparł Coulson, wspinając się po drabince na pokład. - Cały statecznik odłamał się przy wodowaniu, nigdzie go nawet nie widać.

- To może przeciągnąć stropy pod kadłubem?

- Wątpię, sir. On nieźle walnął w dno i jeszcze pojechał rozpędem. Myślę, że wkopał się na jakiś metr.

- Jaki tam jest grunt?

- Wygląda na gęsty muł. Trzyma mocniej niż piasek.

Wallace podał bosmanowi dłoń i pomógł mu się wspiąć na fałszburłę.

- Dobra robota, Mark. Co dalej?

- Trzeba tam od razu posłać techników, niech obejrzą kadłub i podejmą jakieś decyzje.

Ale jak na mój rozum, nie powinno być problemu z jego wyciągnięciem.

- Widziałeś zwłoki?

- Nie za wiele, sir. Zajrzałem tylko pobieżnie. Wszyscy są w fotelach z zapiętymi pasami.

- Wyciągamy je od razu czy poczekamy na wydobycie wraku?

- Ja bym radził zaczekać. Głównie dlatego, że tu o wiele łatwiej będzie ich zapakować w worki niż tam, pod wodą...

- Dobra. No, leć teraz się rozgrzać, kawa czeka i żarcie. Pogadamy za godzinę. I... stokrotne dzięki, Mark.

*

Pięć godzin później dokładne oględziny były zakończone i kolektywnie ustalono sposób postępowania. Nie ulegało wątpliwości, że klasyczną metodą, to jest za pomocą stropów opasujących kadłub, wraku podnieść się nie da - potrzebny byłby specjalistyczny sprzęt do przekopania się pod dnem i przepchnięcia lin, a poza tym jest to operacja czasochłonna i skomplikowana. Uznano, że najlepiej będzie przeciągnąć stropy przez otwory okienne kabiny pasażerskiej i najzwyczajniej w świecie poderwać całość dźwigiem. Specjalista od prac podwodnych potwierdził opinię starszego bosmana Coulsona, że kadłub pęknie przy pierwszej próbie podnoszenia, ale obie części osobno dadzą się wyłowić bez

przeszkód. Przygotowania rozpoczęto bez dalszej zwłoki, a jednocześnie kilku płetwonurków podjęło poszukiwania ogona i skrzydeł boeinga. Rozkaz wyraźnie mówił, żeby nie zostawić na dnie rzeki żadnej jego rozpoznawalnej części. Jak w rozmowie z dowództwem marynarki zaznaczył admirał Morgan, „tego tylko brakowało, żeby jakiś wścibski reporterzyna coś wywęszył i naskrobał artykuł o tajemniczej katastrofie pod Waszyngtonem, a nie daj Boże znalazł kawałek samolotu z numerem rejestracyjnym i adresem właściciela”.

Dochodziła północ. Temperatura spadła do sześciu stopni poniżej zera i zerwał się lodowaty wiatr. Komandor Wallace chciał wykorzystać bezksiężycową noc i do świtu zdążyć z przeciągnięciem stropów przez obie części wraku, ale nie zamierzał podnosić go za dnia - z tym trzeba było odczekać do następnego wieczora. Praca wlokła się niemiłosiernie; technicy spodziewali się zakończyć ten etap nie wcześniej niż za dziesięć godzin. Kiedy oni biedzili się z opornymi stalowymi linami grubości tłustego węgorka, ich koledzy podzieleni na dwie zmieniające się co pół godziny grupy przeczesywali z wykrywaczami metalu muliste dno, szukając mniejszych fragmentów boeinga, zwłaszcza zaś resztek rozsadzonych przez rakiety silników. Na powierzchni też nie próżnowano; marynarze z *Grabbera* rzędem pław świetlnych odгородzili rejon operacyjny od głównego toru wodnego, na obu krańcach ustawili zaś pływające tablice ostrzegawcze: „Akwen zamknięty - ćwiczenia US Navy. Trzymać się na prawo od pław”. Bliskość portu wojennego przydawała całej sprawie wiarygodności: marynarka trenuje, wszystko jawnie i legalnie, żadnych sekretów. Nie ma mowy o ściśle tajnym, diabolicznym oszustwie, jednym z największych, do jakich kiedykolwiek posunęły się siły zbrojne i rząd Stanów Zjednoczonych.

W czasie pokoju afery na taką skalę praktycznie się nie zdarzają. Politycy wzbraniają się przed podejmowaniem podobnych decyzji, ponieważ większość wyborców nie postrzega ogłoszonej przez prezydenta Busha wojny z terrorem jako prawdziwego, toczącego się tu i teraz, zażartego konfliktu. Trudno się temu dziwić - w końcu do dzisiaj działa - i nawet ma stronę internetową - Towarzystwo Płaskiej Ziemi.

Na smaganim mroźnym wichrem pokładzie *Grabbera* nikomu nie przychodziło do głowy zastanawiać się nad takimi rzeczami. Osiemnaście metrów pod wodą technicy przygotowywali wybrane otwory okienne do przewleczenia stropów, które już czekały zaczepione do haków bliźniaczych dźwigów pokładowych. Wszystko było ciężkie, oporne, zamarznęte na kość. Wallace regularnie zarządzał zmiany, pilnując, żeby nikt nie pracował dłużej niż pół godziny naraz. Kiedy świt zaróżowił niebo i wodę, na powierzchni kołysało się osiem pomarańczowych markerów, znaczących pozycję poszczególnych odnalezionych części wraku, w tym masywnego ogona z logo Thunder Bay Airways, na który natrafił tuż

pod dziobem okrętu bosman Flamini.

Przez całe przedpołudnie pracowano przy mocowaniu stropów i przygotowywaniu wszystkiego do pierwszego unosu. W opinii Marka Coulsona decydujący moment miał nastąpić w tej pierwszej chwili - powodzenie operacji w dużej mierze zależało bowiem od tego, czy nadwerżony kadłub przełamie się czysto podczas podnoszenia tylnej części. Gdyby tak się nie stało, pozostałoby tylko przeciąć go za pomocą ładunków wybuchowych. Pod wodą nigdy nie jest to proste - łatwo tam o wypadek, nieprzewidziany skutek, a na pewno o narobienie bałaganu. Innego wyjścia jednak nie było, gdyż dźwigi *Grabbera* nie dałyby sobie rady z podniesieniem całego boeinga, a czas naglił.

O piętnastej trzydzieści wszystko było gotowe, ale na rzece panował spory ruch i dowódca operacji zarządził przerwę. Co pół godziny para pływaczy schodziła pod wodę, by sprawdzać stropy; reszta załogi spokojnie czekała zmierzchu, wykorzystując sposobność do dłuższego odpoczynku w ciepłych pomieszczeniach okrętu. Ściemniać zaczęło się około siedemnastej. Zapłonęły światła na pławach, niknące w odmętach stalowe repery dźwigów oświetlił zimny blask pokładowych jarzeniówek. Coulson, Flamini i sześciu nurków zeszło pod wodę, by po raz ostatni dokonać oględzin i obserwować przebieg operacji. Wymieniono sygnały, dowódca wydał komendę i o wpół do szóstej przedni dźwig zaczął pracę na najniższym biegu.

Kilka metrów od wraku starszy bosman Coulson patrzył w napięciu, jak stalówka z wolna się napręża. Tylne części kadłuba drgnęła i centymetr po centymetrze ruszyła w górę, ciągnąc za sobą wciąż z nią złączony przód samolotu. Przez chwilę dał się ponieść obawie, że aluminiowe płyty wytrzymają ciężar i cały kadłub się uniesie, grożąc zerwaniem stropów albo awarią dźwigu. Nagle jednak rozległ się głośny trzask, przedni fragment kabiny zawibrował, odłamał się i opadł na dno, wzbijając chmurę mułu. Dalej poszło jak po maśle: ciężki ładunek wynurzył się z rzeki, czekający w pogotowiu ponton natychmiast podsunął się pod niego i zanim komandos wysunął głowę z wody i wdrapał się na *Grabbera*, wrak spoczywał już bezpiecznie i marynarze przykrywali go ogromną plandeką.

Przez następne trzy godziny wyłowiono z Potomacu wiele drobniejszych szczątków, aż wreszcie wszystkie zlokalizowane fragmenty - poza ogonem i przednią częścią kadłuba - były wydobyte i ukryte przed wzrokiem niepowołanych. O dwudziestej trzeciej było po wszystkim i ponton ruszył w drogę powrotną do Norfolku, eskortowany przez dwa ścigacze ze Stump Neck i fregatę, która zmaterializowała się nie wiedzieć skąd. Żadnego ryzyka, żadnych błędów - jak zapowiedział Wielki Człowiek. Okręty miały z bliska pilnować cennego ładunku mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów w dół rzeki, czyli do świtu; resztę drogi do

bazy ponton powinien pokonać samotnie, ale osłona do końca obowiązana była trzymać się przy nim tuż poza zasięgiem wzroku.

Na *Grabberze* Wallace zarządził godzinny odpoczynek; krótko po północy nurkowie wrócili na dno, by podwiesić na dźwigu stropy przedniej, mniejszej części wraku. Ponieważ już wcześniej została wyrwana z kleistych objęć mułu, unos poszedł szybko i bez problemów. W niespełna godzinę spoczęła na pokładzie drugiego pontonu. Najłatwiej poradzili sobie z odłamanym ogonem, który technicy od razu przecięli palnikami, oddzielając sterczący na kilka metrów statecznik pionowy. O wpół do trzeciej można już było podnosić kotwicę i obie jednostki ruszyły w dół rzeki. Na dnie nie pozostało z boeinga nic, co dałoby się łatwo odnaleźć i zidentyfikować. Mistyfikacja była pełna: nikt nigdy się nie dowie, jaki naprawdę los spotkał pasażerski liniowiec, rzekomo zaginiony daleko nad otwartym oceanem. Podjęte później poszukiwania w rejonie ostatniej znanej - tej oficjalnej - pozycji lotu TBA 62 nie dały oczywiście rezultatu i dochodzenie zamknięto z konkluzją, że samolot uległ katastrofie w nieznanym miejscu, bez śladu i dowodów.

We wraku znaleziono tylko piętnaście ciał. Ich tożsamość ujawniły odkryte przy nich paszporty; ogień na pokładzie strawił jednak wszelkie inne papiery w kokpicie, zanim ugasiły go zimne wody Potomacu. Nienaruszone pozostały za to metalowe skrzynie w przedziale bagażowym, zawierające blisko ćwierć tony trotylu zamaskowanego z wierzchu książkami i ubraniami. Materiał wybuchowy był zaopatrzony w elektryczne zapalniki, ale nieaktywne. Resztki detonatora znaleziono w przedniej części kabiny. Wniosek nasuwał się oczywisty: atak myśliwców musiał kompletnie zaskoczyć terrorystów, którzy nie zdążyli uzbroić swojej potężnej, choć dość prymitywnej bomby. Gdyby ich zamiar się powiódł i zdołaliby uderzyć w Kapitol, siła eksplozji rozniosłaby budynek w drobiazgi, a wraz z nim setki pracowników instytucji rządowych. To była bezsprzecznie najjaśniejsza chwila w kadencji prezydenta Paula Bedforda - i nikt nigdy się o tym nie miał dowiedzieć... poza ścisłym gronem wtajemniczonych.

Wszystkie osoby, które zginęły wskutek zestrzelenia boeinga, były obywatelami Kanady zamieszkałymi w Montrealu bądź Toronto. Nikt nie nosił arabskiego imienia lub nazwiska. Wyglądało na to, że ciała sprawców niedoszłego zamachu uległy spopieleniu i Potomac wchłonął ich prochy bez śladu.

Przesłuchania pracowników lotniska w Palm Beach nie wniosły wiele nowego do śledztwa. Tak, boeing TBA poprosił o zgodę na lądowanie, otrzymał ją, zatankował i odleciał. Według informacji uzyskanych z Barbados paliwa tam nie brakowało, a lot 62 wystartował z pełnymi zbiornikami.

Ta ostatnia wiadomość przyprawiła komandora porucznika Ramshawe'a niemal o palpacje. Dla niego sprawa była oczywista. W Palm Beach działa jakiś agent Al-Kaidy. Oni nie musieli, tylko chcieli się tam zatrzymać. I jeśli wkrótce nie wyjdzie na jaw, że trotyl wjechał na pokład właśnie tam, to jestem pieprzonym diabłem tasmańskim, mruknął pod nosem.

- Połączyć mnie natychmiast z admirałem Morganem!!!

Wtorek, 18 stycznia, godz. 16.30. 4500 m nad Wirginią Zachodnią

Piętnaście kanadyjskich trupów przedstawiało dla władz amerykańskich pewien problem: jak się ich pozbyć cichaczem. I właśnie dlatego transportowy śmigłowiec sikorski super-stallion przekraczał właśnie na dużym pułapie pasmo Alleghenów w liczącej ponad tysiąc sto kilometrów drodze do wielkiej bazy wojskowej Fort Campbell, osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od Nashville, na samej granicy Tennessee i Kentucky. W jego przedziale ładunkowym, mieszczącymi pięćdziesięciu marines z pełnym bojowym ekwipunkiem, spoczywało piętnaście zalutowanych metalowych trumien.

W odludnym południowo-zachodnim zakątku bazy, nad brzegiem szeroko tam rozlanej rzeki Cumberland, znajdował się niewielki, od lat nie używany cmentarzyk. Tej nocy miał się tam odbyć zbiorowy, anonimowy pogrzeb. Wykop był już przygotowany, a dwa buldożery czekały w pogotowiu, by szybko zakończyć sprawę. Teren wokół cmentarza był malowniczo pofałdowany, porośnięty leśnymi kępami - słowem, oaza spokoju. Doskonałe miejsce ostatniego spoczynku dla niewinnych ofiar islamskiego terroru, niemych strażników śmiertelnie groźnej tajemnicy...

Śmigłowiec marynarki nie zabawił długo w Fort Campbell. Po pozbyciu się makabrycznego ładunku i uzupełnieniu zbiorników natychmiast ruszył w drogę powrotną na Wschodnie Wybrzeże.

*

Przekazana Arnoldowi Morganowi rewelacja komandora porucznika Ramshawe'a o działającym na terenie portu lotniczego Palm Beach wspólniku terrorystów odbiła się szerokim, wibrującym echem w Langley. CIA zawsze stawiała sobie za punkt honoru wiedzieć o wszystkim wcześniej niż NSA, FBI i wszelkie inne gałęzie amerykańskiego wywiadu i kontrwywiadu; nikt jednak nie powiązał faktów tak szybko jak Jimmy. Natychmiast zrodziły się nowe pytania. Kto wydał pilotowi TBA 62 zgodę na lądowanie? Kto przydzielił mu miejsce postoju? Czy mógł tam niepostrzeżenie załadować pięć metalowych

skrzyń z trotylem? Czy w ogóle ktokolwiek zwrócił na niego uwagę?

Odpowiedzi na dwa ostatnie jawiły się nader niepokojąco: niczyich podejrzeń nie wzbudziła nadmierna zapobiegliwość kapitana, który miał w zbiornikach dość paliwa na całą zgłoszoną trasę, a śmiertcionośny ładunek mógł trafić na pokład boeinga bez przeszkód. Śledztwo ruszyło pełną parą. Florydzka policja, CIA i FBI rzuciły się na lotnisko niczym stado jastrzębi. Zajęto terabajty zapisów z kamer telewizji przemysłowej i przesłuchiowano kolejno wszystkich pracowników portu. Ostatecznie ustalono, że owe skrzynie znalazły się w niemal pustej hali bagażowej w piątek około trzeciej nad ranem, a o dziewiątej trzydziści załadowano je na ostatni wózek w składzie z bagażami pasażerów lotu United Airlines. Zanim jednak mały drogowy pociąg opuścił halę, podjechał do niego inny ciągnik, kierowca odczepił ową przyczepę i odjechał z nią, przez nikogo nie niepokojony. Dlaczego ktokolwiek miałby się nim interesować? Facet miał na sobie przepisowy uniform, pojazd był firmowy, a w bagażowni nie takie rzeczy się widywało.

Za kwadrans dziesiąta wylądował TBA 62 i kontroler skierował go na stanowisko tankowania. Podłączono węże, uruchomiono pompę, a w tym czasie pojedynczy pracownik podjechał z wózkiem, na którym stało pięć identycznych stalowych kufrów. Mechanik pokładowy otworzył luk, skrzynie załadowano do środka, wszystko wyglądało najnormalniej pod słońcem. Nikt nawet okiem nie mrugnął - i kiedy o dziesiątej czterdziści boeing TBA kołował na pas startowy, był już latającą bombą samobójczą. Brygada męczenników Al-Kaidy miała w rękach swoje narzędzie.

Ustalenie tożsamości tajemniczego kierowcy ciągnika bagażowego nie zajęło wiele czasu. Mężczyzna starał się chować twarz przed wszechobecnymi kamerami, ale i tak każdy wiedział, kto to jest: trzydziestoczteroletni Mo Dixon. Popularne zdrobnienie, pod jakim był znany kolegom, nie pochodziło jednak, jak większość była przekonana, od imienia Maurice, lecz Mohammed. Spał snem sprawiedliwego, kiedy policja wpadła do jego mieszkania w West Palm Beach. W czasie rewizji znaleziono dwa paszporty - amerykański i syryjski - a poza tym nic podejrzanego. W trakcie przesłuchania wyszło na jaw, że pracował w ambasadzie Syrii w Caracas, a do Stanów wjechał w 2001 roku, posługując się sfałszowanym dokumentem. Od tamtej pory imał się różnych zajęć, najczęściej jednak nie robił nic - w każdym razie nic użytecznego dla USA. Mohammed Rahman był zawodowym szpiegiem i blisko współpracował z palestyńską organizacją terrorystyczną Hamas.

Nie ulegało wątpliwości, że wywiad wojskowy powinien go poddać rygorystycznemu przesłuchaniu - głównie dla ustalenia, czy mógł współdziałać z ukrywającym się Saudyjczykiem Ramonem Salmanem. Admirał Morgan niezwłocznie zorganizował przerzut

zatrzymanego prosto do Guantanamo.

*

Policja nowojorska reaguje nerwowo na wszelkie zdarzenia związane z dwoma nurtami przestępczości: narkotykami i rozbojem; dlaczego pierwszym, tłumaczyć nie trzeba; drugiemu zaś nadał priorytet urzędujący mer miasta. Kiedy jednak pojawia się hasło „terrorizm”, wszystko inne idzie w ką.

W Nowym Jorku, jak w każdym dużym mieście, handel i usługi są jedną z najważniejszych gałęzi gospodarki. Oprócz sieciowych gigantów prosperują tam tysiące drobnych rodzinnych sklepików i warsztatów. Sporo z nich obraca artykułami elektrotechnicznymi; w drogeriach można nabyć najróżniejsze chemikalia, w składach ogrodniczych nawozy - a wszystko to może się przydać komuś, kto zechciałby wysadzić to i owo w powietrze. W ramach usprawniania profilaktyki antyterrorystycznej po ataku na World Trade Center wszystkie takie punkty regularnie odwiedzają policyjni inspektorzy, przypominając właścicielom o obowiązku informowania władz w każdym przypadku, gdy jacyś podejrzani ludzie będą kupować cokolwiek, co może być użyte do sporządzenia bomby.

Poprzedniego wieczoru o dwudziestej pierwszej pan Sam Goldblum z zachodniego Broadwayu zadzwonił do znajomego z komisariatu dzielnicowego z doniesieniem, że dwaj klienci zamówili u niego wyłącznik czasowy, wyjaśniając, że budują amatorski system alarmowy do swojego magazynu w Bowery. Goldblum im nie uwierzył. Miał rodzinę w Tel-Awiwie i umiał rozpoznać Palestyńczyków (choć stwierdził też, że mogą być Irańczykami). Tak czy owak nie wzbudzili w nim zaufania, poprosił więc, żeby znajomy, posterunkowy Mike Carman, zajrzał do niego rano i obejrzał owo urządzenie.

Mike z kolegą, Joem Pallizim, zjawili się w warsztacie o wpół do dziesiątej następnego ranka. Elektroniczny wyłącznik zamocowany był od tyłu do małej tarczy zegarowej wyskalowanej na dwadzieścia cztery godziny. Dwaj gliniarze nie byli wykwalifikowanymi saperami, ale wichajster im się nie podobał, postanowili więc poczekać do południa, przechwycić zleceniodawców i zobaczyć, co z tego wyniknie. Zajęli pozycję w nieoznakowanym samochodzie na rogu Prince Street przed placem Waszyngtona i zaczęli obserwację. Dwie minuty po jedenastej zjawili się dwaj młodzi mężczyźni, postali chwilę przed warsztatem i weszli do środka. Komórka Carmana zabrzęczała i na ekranie wyświetlił się sms: „Mike, to oni”.

Dziesięć minut później obaj podejrzani, ubrani w podobne czarne adidas, dżinsy i skórzane kurtki, wynurzyli się na ulicę. Obydwaj mieli typowe bliskowschodnie rysy; jeden dzierżył w dłoni białą plastikową torbę z napisem „Goldblum Electrics”.

Policjanci wysiedli z auta i bez trudu dogonili odchodzących. Mike wyprzedził ich i zatrzymał uniesioną dłonią. Joe wyciągnął służbowy rewolwer i kazał im stanąć twarzą do muru, podczas gdy Carman odebrał im torbę i ostrym tonem zażądał wyjaśnienia, co w niej mają.

- To zwykły alarm antywłamaniowy - tłumaczył jeden. - Nie zrobiliśmy nic złego!

- W takim razie nie macie nic przeciwko temu, żebyśmy odprowadzili was do domu i sprawdzili to urzędzono na miejscu?

To się śniadym obywatelom nie spodobało i jeden z nich usiłował uciec; weterani setek patroli byli jednak przygotowani na taki wariant. Mike błyskawicznym ruchem chwycił go za kark, zanim delikwent zrobił dwa kroki, a Joe już zakładał kajdanki drugiemu. Poprowadzili ich pod widniejący na prawie jazdy niedoszłego uciekiniera adres, parę przecznic od warsztatu Goldbluma.

Rezultatem tej drobnej akcji było spektakularne odkrycie domowej fabryczki bomb zaimprovizowanej w mieszkaniu na czwartym piętrze. Policjanci znaleźli tam worki chemikaliów, dość lasek dynamitu, by zburzyć most Waszyngtona, duży zapieczętowany pojemnik z białym proszkiem, który później zidentyfikowano jako biologicznie czynny posiew węgla, i spory zapas elektrycznych przewodów i baterii.

Mike Carman natychmiast zameldował o wszystkim telefonicznie dyżurnemu w komisariacie. Wiadomość o zlokalizowaniu meliny terrorystów błyskawicznie poszła w świat i zanim jeszcze zespół techników i laborantów wyruszył z komendy, o wszystkim wiedziały już najważniejsze służby wywiadowcze. Jimmy Ramshawe od razu złapał za telefon i zadzwonił do komendanta dzielnicy po szczegóły, zaczynając od pytania o adres.

- Chwileczkę, sir... O, już mam. Ulica West Houston, numer siedemdziesiąt pięć...

- Matko Boska! - wyrwało się Jimmy'emu. - Niech nikt się stamtąd nie rusza. Organizujcie kocioł! Pilnujcie, żeby żaden z zatrzymanych nigdzie nie telefonował i w ogóle nie dał żadnego znaku. To sprawa najwyższej wagi!

- Zrobi się, sir!

Godzinę i dziesięć minut później organizator zamachu na bostońskim lotnisku, Ramon Salman, niczego nie podejrzewając spokojnie wszedł do mieszkania 4D przy West Houston 75. Okrzyk „Nie ruszać się!”, widok wymierzonej weń lufy rewolweru i ucisk kajdanek na rękach nie wiedzieć kiedy wykręconych do tyłu były dla niego kompletnym zaskoczeniem.

Nie minęła doba, a cała trójka dołączyła do Rezy Aghaniego i Mohammeda Rahmana w celach więzienia w bazie Guantanamo. Komandor porucznik Ramshawe z dość głupią miną poinformował CIA, że intensywne poszukiwania Salmana w okolicach Houston można

odwołać.

*

Niemal dokładnie na dwudziestym równoleżniku, trzysta sześćdziesiąt kilometrów na południe od zwrotnika Raka, zagubieni w rozległej przestrzeni najstarszej z zamorskich baz sił zbrojnych USA - i jedynej na terytorium kraju komunistycznego - trzech terroryści, Aghani, Salman i Rahman, byli przez specjalistów z wywiadu wojskowego poddawani ostremu reżimowi przesłuchań.

Więzienie w Guantanamo przez kilka lat istnienia zdążyło obrosnąć w mroczną legendę. Żaden inny tego rodzaju ośrodek w cywilizowanym świecie nie budzi takiego strachu i takich kontrowersji, ale też żaden nie może się pochwalić zbliżoną skutecznością w łamaniu najtwardszych przeciwników i w wyciąganiu informacji o planach ich towarzyszy broni. Niemal wszystkie poważniejsze sukcesy w walce z terroryzmem zachodnie służby zawdzięczają „uzyskanym danym operacyjnym”, a zasługi za zdobycie większości tego materiału należy przypisać osławionemu Gitmo.

Zespoły śledczych pracują w sekrecie, ich metod nie opisują podręczniki dla detektywów, a wyniki przesłuchań nie oglądają przysłowiowego światła dziennego. Nijak się to ma do praw człowieka, ale gdzie w grę wchodzi życie tysięcy niewinnych obywateli narażonych na zbrodnicze knowania garstki fanatyków, tam nie ma miejsca na cackanie się z podejrzanymi. Groteskowym paradoksem naszych czasów jest to, że argumentami o prawach człowieka chętniej i głośniej się szermuje w obronie złoczyńców niż ich ofiar: islamski terrorysta, który unurzał we krwi zatłoczony dworzec czy szkołę, musi dostać czysty drelich, przepisową stawkę żywieniową i egzemplarz Koranu; schwytanego na gorącym uczynku somalijskiego pirata wypuszcza się, bo nie ma spójnego kodeksu, który pozwoliłby wymierzyć mu karę. Przesłuchania w celach więzienia Guantanamo to z pewnością nie Wersal ani też powód do dumy, ale dzięki nim w porę ujawniono setki planowanych zamachów i ocalono wiele istnień ludzkich.

Obecność tysięcy amerykańskich żołnierzy w tej odgradzonej zasiekami, polem minowym i kilkumetrowej wysokości płotem enklawie od początku była i jest solą w oku rządu kubańskiego. Stany Zjednoczone dzierżawią ten skrawek wyspy na mocy podpisanego w 1903 roku przez pierwszego prezydenta niepodległej Kuby, Tomasa Estradę Palmę, traktatu pełnego żelaznych klauzul o „pełnej kontroli i jurysdykcji”, „wieczystej suwerenności” i „odstąpieniu od umowy tylko za obustronną zgodą”. Castro tylko raz próbował wypowiedzieć dzierżawę; posiłkując się konwencją wiedeńską z 1969 roku, argumentował, że wszelkie porozumienia między USA i Kubą były zawierane pod groźbą użycia siły militarnej ze strony

Amerykanów. Wuj Sam uderzył jednak żelazną pięścią w stół konferencyjny, wyśmiał żądania towarzysza Fidela i przypomniał mu, że jako raczkujący dyktator nie wzbraniał się przed przyjęciem od Stanów dużej pożyczki, tym samym ratyfikując zawartą za poprzedniego ustroju umowę.

Nic zatem dziwnego, że ci dwaj sąsiedzi, których geograficznie dzieli tylko stosunkowo wąska Cieśnina Florydzka, nie mogą utrzymywać stosunków dyplomatycznych, a poziom współpracy między nimi jest bliski zera bezwzględnego. Nie wpływa to jednak na byt garnizonu Guantanamo, zaopatrywanego bez przeszkód drogą morską. Więzienie CIA - ośrodek na poły niezależny, rządzący się własnymi prawami - jest w nim państwem w państwie. Znienawidzone przez bojowników dżihadu na całym Bliskim Wschodzie, na długie miesiące stało się przymusowym domem schwytanych działaczy Hamasu, Hezbollahu i wielu innych grup terrorystycznych z Al-Kaidą i talibami włącznie. Niejednemu przywódcy lokalnej organizacji sen z powiek spędza myśl, że któryś z jego ludzi wyląduje w tej tropikalnej bazie i zacznie sypać - jak to się już wielokrotnie stało. Ujęcie i przewiezienie do Gitmo Salmana, Aghaniego i Rahmana odbiło się nerwową czkawką w zakamarkach Damaszku, Gazy, Teheranu, Kabulu i jaskiniach Hindukuszu.

Czy uwięzieni zniosą bezlitosny napór amerykańskich śledczych? Wszystkie bliskowschodnie organizacje terrorystyczne mają dobrych adwokatów, którym najczęściej udaje się zapewnić swoim klientom procesy w sądach cywilnych USA i Wielkiej Brytanii, a za pośrednictwem angielskojęzycznej stacji TV Al-Dżazira rozpowszechniają opowieści o brutalności zachodnich służb dochodzeniowych, podchwytywane przez aktywistów praw człowieka i dziennikarzy całego świata.

Guantanamo to jednak nie dotyczy. Tam nikt nie ma wpływu na przebieg śledztwa; wszystko odbywa się na warunkach określonych przez Pentagon - co bardzo odpowiadało Arnoldowi Morganowi. Jeżeli zaś więzień nie jest tylko mgliście podejrzany o związki z Al-Kaidą, ale brał udział w akcie terroru na miarę ataku na pasażerski terminal czy na sam Kapitol, tym mniej może liczyć na łagodne traktowanie - choć i tak warunki znacznie się tam polepszyły od pierwszych miesięcy działalności więzienia w 2002 roku, kiedy to około trzystu osadzonych przetrzymywano w osławionym Obozie X - szeregu stalowych klatek na otwartym terenie i w palącym kubańskim słońcu - często z workami na głowach, w tłumiących dźwięki nausznikach i nie przepuszczających światła goglach.

Od dawna tę nieużywaną już prowizorkę zastąpił nowoczesny i bardziej humanitarny Obóz Delta z miejscami dla dwóch tysięcy więźniów, ale bliskowschodnia propaganda wciąż epatuje tamtym drastycznym obrazem i metodami w rodzaju opisanej deprivacji

sensorycznej jako przykładami okrucieństwa Wielkiego Szatana. Nikt zdaje się nie brać pod uwagę, że większość wystawionych na tak niehumanitarne traktowanie aresztantów złapano na próbach mordowania amerykańskich żołnierzy i cywilów, a zgotowany im los jest o niebo lepszy niż w przypadku zakładników porywanych przez dżihadystów.

W miarę potrzeb więzienie w Guantanamo było rozbudowywane i obecnie składa się - poza dwoma wymienionymi - z sześciu nowszych obozów oznaczonych numerami od 1 do 4 oraz kryptonimami Echo i Iguana. Trzy z nich to ośrodki o zaostrzonym rygorze, mogące łącznie pomieścić osmiuset ludzi - wyłącznie w pojedynczych celach o wymiarach dwa i pół na dwa metry, wysokich również na dwa i pół. Do dzisiaj przebywa w nich około pięciuset więźniów; paruset przekazano w 2005 roku władzom innych krajów - najczęściej ich ojczystych - i można się domyślać, że warunki z Gitmo wspominają teraz z łezką w oku.

Ramon Salman trafił do bazy po bezpośrednim locie z lotniska wojskowego Boca Chica nieopodal Key West, osiemdziesiąt kilometrów od południowego cypla Florydy. Skutego kajdankami na rękach i nogach dowieziono do „izby przyjęć”, gdzie otrzymał przydziałowe wyposażenie: dwa pomarańczowe kombinezony, karimatę i koc do spania, dwa wiadra, parę gumowych kłapek, ręcznik, mydło, szampon i tanią edycję Koranu na duchową pociechę.

Dwaj strażnicy z żandarmerii wojskowej MP poprowadzili go następnie do celi mieszczącej się w innym bloku niż obu jego współników. Żaden z trójki zamachowców nie wiedział, że jego koledzy zamknięci są nie dalej niż o dwieście metrów od niego.

Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, został sam z własnymi myślami. Od chwili, gdy posterunkowy Joe Pallizi ucapił go za kark w mieszkaniu przy West Houston 75, nie odezwał się do nikogo ani razu. Aresztowanie, podobnie jak widok skutych i zakneblowanych kolegów, musiały być dla niego szokiem; zapał się jednak w sobie i odmawiał nawet podania imienia i nazwiska. Zidentyfikowano go tylko na podstawie zdjęć policyjnych zrobionych dużo wcześniej, kiedy jeszcze zajmował apartament w Bostonie. Ani słowa o bombie na Logan; ani pary z ust w sprawie lotu 62. W notatce przeznaczonej dla administracji więzienia napisano po prostu:

Ramon Salman, ostatni znany adres: Commonwealth Avenue 2, Boston, Mass. Aresztowany w odkrytej siedzibie terrorystów, West Houston Street 75, Nowy Jork. Podejrzany o działalność terrorystyczną przeciwko USA, w tym zamach bombowy na lotnisko Logan (13 stycznia 2012) i inne zbrodnicze akcje z wykorzystaniem samolotu. Klasyfikacja

czynu: NIELEGALNY AKT WOJNY. Odmawia współpracy. Narodowość prawdopodobnie syryjska, paszportu nie znaleziono.

O dziewiętnastej, zgodnie z rozkładem dnia, przyniesiono mu posiłek: ryż, czerwona fasola, banan, kromka chleba i mała butelka wody. Przez chwilę dwaj mężczyźni, strażnik i więzień, mierzyli się wzrokiem; oczy Salmana płonęły nienawiścią, a usta wykrzywił wyzywający grymas. Żandarm nie pozostał mu dłużny - wiedział o nim tyle, że musi być ważnym ogniwem w Al-Kaidzie, człowiekiem, który planował zagładę tysięcy Amerykanów, udaremnioną dzięki czujności cywilnego pasażera, a wpadł tylko wskutek przechwycenia jego telefonicznego meldunku do mocodawców na Bliskim Wschodzie. Kapral MP nie uważał, że takim typom przysługują jakiegokolwiek prawa. Zatrzaszkując z hukiem okienko w stalowych drzwiach, mruknął pod nosem:

- Należałoby ci porządnie skopać ten arabski tyłek, a nie bananami karmić, sukinsynu.

Na razie nikt Salmanowi niczego nie skopał, ale o pierwszej w nocy miało się zacząć pierwsze przesłuchanie...

Żarówka w jego celi zgasła punktualnie o dwudziestej pierwszej. Od tej pory sporo czasu miało upłynąć, zanim dane mu będzie ujrzeć światło - w początkowej fazie zmiękczenia aresztanta dąży się do maksymalnej dezorientacji i utraty poczucia czasu.

Przyszli po niego cztery godziny później. Worek na głowę, kajdanki na ręce i nogi, przemarsz po omacku z dłońmi strażników zaciśniętymi na obu przedramionach. Posadzono go na krześle i dopiero wtedy usłyszał pierwsze skierowane do siebie słowa. Oficer śledczy mówił cicho i powoli.

- No dobra, Ramon. Wiemy, że znasz angielski. Mamy twoich dwóch koleżków... Wiesz o kim mówię? Nie o tych, z którymi cię drapnęliśmy. Rezę Aghaniego i bagażowego z Palm Beach, Mohammeda Rahmana. Obydwaj okazali się rozsądni i wszystko nam wyśpiewali, w tym zwrotkę o twojej roli w udaremnionych zbrodniczych aktach przeciwko Stanom Zjednoczonym w dniu trzynastym stycznia. Jak widzisz, wiemy wystarczająco dużo, chciałbym jednak wyjaśnić parę szczegółów. Jesteś Syryjczykiem jak Mohammed, prawda?

Był to strzał w ciemno, domniemanie oparte tylko na zeznaniu Rahmana o pracy w syryjskiej ambasadzie i na lokalizacji odbiorcy telefonicznego meldunku z Commonwealth Avenue.

Arab milczał. Czy jest krewnym Osamy bin Ladena, którego kuzyn jest zarejestrowanym właścicielem mieszkania w Bostonie? Cisza. Czy pracował dla Osamy? Cisza. Czy jest aktywnym działaczem Al-Kaidy? A jeśli nie, to dlaczego dzwonił wtedy do

Syrii? Groch o ścianę.

Pytania ciągnęły się cztery godziny, zawsze zadawane neutralnym tonem, bez cienia groźby. Potem odprowadzono go do celi - wciąż skutego, z workiem na głowie, w ciemności. Co pół godziny ktoś wchodził i szarpnięciem wrywał go z drzemki. Jadł i pił po ciemku. Cztery razy dziennie i przez pół każdej nocy był przesłuchiwany. Spać nie pozwalano mu w ogóle.

O północy w piątek 20 stycznia nacisk się wzmógł. Salman był już zupełnie dezorientowany, nie wiedział, czy jest noc, czy dzień, środek tygodnia czy niedziela, stracił rachubę czasu spędzonego w więzieniu. Nadal nic nie mówił, ale wyraźnie pękał. Zaczynał mieć zwidy, mamrotał coś niezbornie - prawdopodobnie po arabsku, ale nikt nie był tego pewien. O dwudziestej czwartej nagle puszczone mu ogłuszająco głośną muzykę, kiepskiego rocka. Nie miał założonych kajdanek i obserwujący go strażnicy widzieli, jak zatyka uszy pięściami.

W tym momencie wpadli do celi, poderwali na nogi, skuli, narzucili worek na głowę i tak zostawili przez następną godzinę. Kiedy wrócili, ton był już inny.

- Salman! Powstań! Siadaj! I słuchaj uważnie, bydlaku, bo nasza cierpliwość właśnie się wyczerpała. Jak nie odpowiesz na pytania, to tak oberwiesz, że ci się żyć odechce.

Ktoś zerwał mu worek. Oczy Araba, od tylu dni nawykłe do absolutnej ciemności, eksplodowały bólem, kiedy wwiertł się w nie ostry blask silnej żarówki. Jednocześnie gdzieś z korytarza dobiegły przenikliwe wrzaski bezgranicznego strachu i udręki, jęki z piekła rodem, odgłosy uderzeń, trzask biczów. Ta spreparowana taśma już nieraz spełniła swoje zadanie; Salman jednak zacisnął tylko zęby, naprężył mięśnie i milczał.

- Widzisz to, sukinsynu? To klasyczna policyjna pałka. Za dwie minuty przywalę ci nią prosto w ryj. Masz tylko jedną szansę. Gadaj, jesteś z Hamasu, Hezbollahu, od talibów czy z Al-Kaidy?

Więzień nie poruszył nawet ustami. Siedział skulony na twardym krześle, wsłuchany w potępieńcze jęki spoza celi. Dygotał cały, ale coś mu mówiło, że Amerykanin nie spełni groźby i nie uderzy. Każdy wie, że ludzie Zachodu to mięczaki. Trzymał fason godzinę, aż w końcu dali mu spokój. Śledczy zaczęli już myśleć, że nigdy go nie złamią.

Mylili się. Ramon Salman pękł następnej nocy.

Niedziela, 22 stycznia, godz. 19.30

Rezę Aghaniego cały dzień trzymano na słońcu. Spędził dziesięć godzin w niezmienionej, bardzo niewygodnej pozycji. Dostawał posiłki i wodę, nie mógł się jednak poruszyć i trwał tak, obolały, przegrzany, oszołomiony. Być może serdecznie żałował, że właśnie Elliotta Gardnera poprosił o przypilnowanie nesesera w terminalu C na Logan.

O dziewiętnastej zabrali go z powrotem do celi i przynieśli kolację: ryż, chleb, fasolę i jabłko. Gdy zjadł, z głośników runęło na niego piekielnie głośne techno i bombardowało mu uszy całą godzinę. Muzyka urwała się równie nagle i wtedy go skuto i wywleczono do pokoju przesłuchań. Zadawali mu te same pytania, na które już setki razy odmawiał odpowiedzi. Kto jest twoim bezpośrednim przełożonym? Od kogo dostawałeś rozkazy? Jak on się nazywa?

Aghani miał dość. Rana od policyjnej kuli boleśnie pulsowała i jego opór z każdą chwilą słabnął. Zrobiłby wszystko, żeby to się wreszcie skończyło. Bał się, że mogą go tu po prostu zabić i nikt - rodzina w Teheranie, żona, dzieci - się nigdy nie dowie, jaki los go spotkał.

Nękały go okropne halucynacje. Tkwił zawieszony na psychicznej ziemi niczyjej, straciwszy zdolność rozróżniania rzeczywistości od majaków. Patrzył na śledczego i myślał, że to jego ojciec. Ponura cęła o brudnobiałych ścianach zmieniała się w jego ulubioną kawiarnię na Vali-ye Asr. Nie pamiętał zadanego przed dziesięcioma sekundami pytania.

Amerikanin powtarzał je jednak raz za razem i w końcu Aghani niczym bezwolny automat odpowiedział.

- Salman. Nazywa się Ramon Salman. Jest moim dowódcą... - Po czym w ostatnim przyływie oporu wykrzyknął: - Ale nigdy go nie znajdziecie! Zdażył wrócić do domu!

- Jest z Hamasu, tak? - od niechcienia rzucił przesłuchujący.

Zgadywał, ale było to prawdopodobne: nie było tajemnicą, że z każdym rokiem więzi między Al-Kaidą a sponsorowaną przez Iran organizacją palestyńską się zacieśniają. Nazwa Al-Kaida stała się mglistym pojęciem, z pewnością niewystarczającym do określenia konkretnej grupy terrorystycznej. Działała w Bagdadzie i Basrze, w Iranie i Afganistanie, w górach Pakistanu, ale dla agencji wywiadu nie znaczyło to nic. Hamas zaś od razu kojarzył się z Gazą, Teheranem i Damaszkiem - dokąd tydzień temu Ramon Salman telefonował z meldunkiem. A to już miało wielkie znaczenie.

Reza Aghani i na to pytanie odpowiedział. Był półprzytomny, nie zaznał snu od bardzo dawna.

- Tak, z Hamasu - wybełkotał i bezsilnie opadł na krzesło.

Śledczy krzyknął, żeby zabrano go na nosze i odtransportowano do więziennego szpitala.

Siedemnaście słów, pierwszych, jakie wydusił z siebie Egipcjanin od chwili aresztowania, nie pozostawiało wątpliwości: był pokonany. Musiał mówić prawdę. Teraz z nowym zapałem zabrano się do obróbki Ramona Salmana.

Strażnicy zbudzili go brutalnie, puścili muzykę, trzasnęli drzwiami i zostawili go samego. Wróciwszy po godzinie, zastali go kiwającego się w bezmyślnym otępieniu, zupełnie nie w rytmie rockowej łupaniny. Zerwali mu worek z głowy i włączyli jarzeniówki, niemal go oślepiając.

Syryjczyk nie wiedział już, czy żyje, czy znalazł się w piekle. Przywidzenia mieszały mu się z rzeczywistością; nie mógł zrozumieć, co robią w tej celi jego dzieci i dlaczego raz po raz zamienia się ona w znajomą herbaciarnię w podziemiu kamienicy przy alei Al-Bakry, niedaleko jego mieszkania w damasceńskiej kazbie.

- Salman! Wiesz, czego od ciebie chcemy, i zaraz nam to powiesz! Podaj nazwisko twojego szefa z Hamasu!

Arab opuścił bezwładnie głowę do tyłu i zdawał się zasypiać, wpatrzony niewidzącymi oczyma w sufit.

- No, Ramon, weź się w garść. - Głos płynął nie wiadomo skąd, łagodniejszy teraz i miękki. - Niczego nie zyskasz swoim uporem. Powiedz mi, jak się nazywa twój dowódca. Czy to ten Anglik, były major SAS, który przystał do Hamasu? Dalej, po co mamy ciągnąć tę zabawę! Możesz to skończyć w jednej chwili. Podaj mi tylko jego nazwisko. Kto to jest, gdzie mieszka?

Salman podniósł powoli głowę i sennym głosem wyszeptał:

- W Damaszku. Mieszka w Damaszku, na ulicy Szaria Bab Tuma.

- To Rawi Raszud, prawda? - Głos znów zabrzmiał ostro. - Dawniej znany jako major Raymond Kerman. To dla niego pracujesz, TAK?

Ostatnie słowo, niemal wyrzeszczane, sprawiło, że Saudyjczyk podskoczył na krześle. Zaczął trząść się jak osika, przerażony, że lada chwila usłyszy wyrok śmierci.

- Gadaj, sukinsynu! Czy to do niego dzwoniłeś tydzień temu z mieszkania przy Commonwealth Avenue?

Salman nie mógł wytrzymać ani chwili dłużej. Zacisnął powieki pod oślepiającym blaskiem i ledwo słyszalnym szeptem odpowiedział:

- Tak jest. Moim dowódcą jest generał Rawi Raszud.

Rozdział 3

O dwudziestej pierwszej raport z Guantanamo trafił równocześnie do skrzynek pocztowych NSA, wydziału bliskowschodniego CIA w Langley i wydziału nasłuchu w Waszyngtonie. Wieść rozeszła się lotem błyskawicy po wszystkich gałęziach amerykańskiego wywiadu: Ramon Salman sypnął; udaremniony atak z 13 stycznia był dziełem Hamasu zaplanowanym przez generała Raszuda, którego miejsce pobytu jest obecnie znane.

Uzyskana informacja potwierdziła to, co agencje wywiadowcze podejrzewały już od dłuższego czasu: pozbawiona przywództwa i miliardów Osamy bin Ladena Al-Kaida rozpadła się na luźno związane, niezdyscyplinowane grupki, a na główną siłę ruchu dżihadu wysforowała się zbrojna gałąź Hamasu pod dowództwem wyrachowanego stratega i doskonałego militarnego praktyka Raymonda Kermana vel Rawiego Raszuda.

Ujrawszy na ekranie komputera znajomy symbol GBI - Guantanamo Bay Intelligence - oficer dyżurny nocnej zmiany w Fort Meade natychmiast połączył się z dyrektorem Morrisem i Komandorem porucznikiem Ramshawe'em. Kontradmirał Morris przebywał akurat w odległej o dwieście siedemdziesiąt kilometrów bazie morskiej w Norfolku, Jimmy zaś w ambasadzie australijskiej, gdzie jadł kolację z narzeczoną, ambasadorką Jane Peacock.

Dziewczyna odebrała telefon - przekierowany automatycznie z mieszkania Jimmy'ego - podała mu słuchawkę i jęknęła żałośnie, słysząc jego suche „Zaraz tam będę”.

- Przepraszam cię, kochanie... - Jimmy pocałował ją miękko w policzek. - Naprawdę mi przykro, ale to bardzo ważna sprawa.

- Jak zwykle. Widzimy się jutro?

- Jasne! - odkrzyknął już z holu. - Urządzimy sobie wieczór na mieście. Wpadnę o siódmej, dobrze?

- Jak dobrze pójdzie, komandorze...

Już z obwodnicy Ramshawe zadzwonił do Wielkiego Człowieka i uprzedził, że połączy się ponownie za pół godziny na bezpiecznej linii. Kiedy przybył do Fort Meade, usłyszał na wartowni, że dyrektor przylatuje wkrótce śmigłowcem z Norfolku. Sukces śledczych z Guantanamo był ostatnim brakującym elementem w dawno rozpoczętej układance.

Wszystkie zachodnie służby wywiadowcze wiedziały o zaskakującej dezercji majora brytyjskiej SAS Raymonda Kermana i jego przejściu na stronę Hamasu. Nastąpiło to w 2004 roku w nieznanych bliżej okolicznościach; wiadomo było tylko, że podczas walki z palestyńskimi rebeliantami w izraelskim mieście Hebron z jakiegoś powodu zabił dwóch swoich podkomendnych i zniknął, jakby się pod ziemię zapadł. W ciągu następnych kilku lat terrorystyczna organizacja Hamas, dotąd działająca raczej prymitywnymi metodami, dokonała wielu spektakularnych operacji militarnych z wykorzystaniem wysoko wyszkolonych komandosów, a dwukrotnie nawet okrętu podwodnego. Wy tłumaczenie mogło być tylko jedno: Palestyńczycy pozyskali nowego specjalistę, zdolnego przygotować i przeprowadzić akcje w profesjonalny sposób. Podejrzenie padło na zaginionego majora Kermana, oficera wybitnego nawet jak na wyśrubowany poziom Special Air Service.

Pewności jednak nikt nie miał. Raz po raz w zdobywanych informacjach przewijało się nazwisko nieznanego wcześniej generała Raszuda, nikt jednak nigdy nie ustalił jego tożsamości ani nie poznał jego historii choćby w zarysie. Arnold Morgan i Jimmy Ramshawe nie mieli wątpliwości, że Kerman i Raszud to ta sama osoba, a amerykańscy komandosi parokrotnie omal go nie ujeli. Tajemniczy generał zawsze jednak jakimś cudem się wywinął, by po jakimś czasie znów dać się Zachodowi we znaki.

Teraz go wreszcie namierzono i zagadka się wyjaśniła. Zapis przesłuchania z Guantanamo niedwuznacznie to potwierdzał, a na dodatek ujawnił adres zamieszkania poszukiwanego wroga numer jeden: ulica Bab Tuma w zabytkowej części Damaszku, prowadząca do bramy o tej samej nazwie w starożytnym murze miejskim z czasów rzymskich, po wschodniej stronie miasta. Ramon Salman nie potrafił podać numeru domu, wiedział jednak, że znajduje się on „około stu metrów od bramy”. To jednak wystarczyło aż nadto, resztę CIA mogła bowiem bez trudu ustalić. Dni generała Raszuda były policzone.

Ramshawe zadzwonił do admirała Morgana z kodowanego telefonu, przekazał mu tę elektryzującą nowinę i dodał, że dyrektor Morris wkrótce będzie w biurze.

- Natychmiast przyjeżdżam - rzucił bez wahania Morgan. - Będę za trzy kwadranse.
- Tylko bez szaleństw na szosie, Arnie. Szkoda czasu na wyciąganie cię z kicia.
- Młody człowieku, jeśli dzisiaj ktokolwiek zechce choćby wyciągnąć lizak zza paska, cała komenda miejska będzie od rana szukać nowej pracy.

Prawdopodobieństwo, że ktoś z waszyngtońskiej drogówki zatrzyma do kontroli admirałską limuzynę z floty Białego Domu (przysługującą mu dożywotnio) prowadzoną przez stałego szofera (do pierwszego spóźnienia), było znikome. Przez długie lata służby Arnolda Morgana na najwyższych stanowiskach administracji cywilnej i wojskowej zdarzyło

się to tylko jeden jedyny raz. Legenda głosi, że wyprzedzony przez jadącą z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę czarną landarę policjant włączył koguta i syrenę i burcząc pod nosem: „Guzik mnie obchodzi, który to ważniak siedzi w tym pudle, dogonię go, wlepię maksymalny mandat, a może i zamknę”, ruszył w pościg. Kiedy limuzyna się zatrzymała, biedny gliniarz tylko rzucił okiem na pasażera i z głupią miną wydukał:

- Ehm, sir... Dzień dobry... Ja tylko tak sobie pomyślałem, czy nie przyda się panu eskorta?

- Jasne, jeśli potrafisz utrzymać tempo - odwar knął Wielki Człowiek i limuzyna z piskiem opon wystrzeliła do przodu, zostawiając struchlałego policjanta w obłoku kurzu.

Dokładnie czterdzieści cztery minuty po rozmowie z Jimmym admirał Morgan, były dyrektor NSA, kroczył już holem budynku Ops-2B w Crypto City, odprowadzany do windy przez dwóch wystraszonych krótkim dialogiem wartowników.

- Do którego biura, sir?

- Do pieprzonego dyrektorskiego, ma się rozumieć. A myślałeś, chłopcze, że gdzie idę, do sortowni poczty?

Przed atakiem serca uratowało młodego marynarza towarzyszące tej słownej salwie filuterne mrugnięcie admirała. Kiedy dotarli przed masywne, obite skórą drzwi gabinetu dyrektora, jeden z wartowników chciał zapukać i otworzyć gościowi, nie zdążył jednak nawet wyciągnąć ręki, kiedy Morgan naciskał już klamkę i po chwili zasiadał za wielkim biurkiem, które kiedyś należało do niego. Czynił tak nieodmiennie przy każdej wizycie u swego następcy, a George Morris uważał to za jego zasłużony przywilej i zaszczyt dla siebie. Admirał cieszył się tak wielkim poważaniem wśród kolegów z generalskimi i admirałskimi stopniami, że wszyscy w naturalny sposób ustępowali mu pierwszeństwa. W chwilach odprężenia nawet sam prezydent żartobliwie prosił Wielkiego Człowieka o pozwolenie zajęcia własnego fotela w Gabinetcie Ovalnym.

Drzwi otworzyły się znowu i stanął w nich Jimmy Ramshawe.

- Dyrektor Morris właśnie wylądował, sir - zameldował oficjalnie. - Będzie tu za chwilę.

- Wie, że przyjechałem?

- Arnie, w NSA pracuje dwadzieścia osiem tysięcy ludzi i wszyscy wiedzą, że tu jesteś.

- Włącznie z tym gościem, który tu odpowiada za kawę?

- Absolutnie, sir. Kawa w drodze, nuklearnie gorąca i ze śrutem.

- Dobra robota, młodzieńcze. A teraz opowiadaj o tym arabskim bohaterze, który pękł

w Gitmo.

- Wygląda na to, że chłopaki najpierw złamali Rezę Aghaniego, tego postrzelonego w Bostonie. Wiedział mało-wiele, działał pod rozkazami Ramona Salmana z Commonwealth Avenue, tego od telefonu do Damaszku, któregośmy zwinęli w Nowym Jorku. To nam potwierdziło wersję z Hamasem. Teraz już śledczy mogli się na całego wziąć do Salmana. Zgrywał twardziela, jak oni wszyscy, ale nie musieli go nawet palcem tknąć, wystarczyło normalne zmiękczenie. Przyznał, że pracował dla naszego starego znajomka, generała Raszuda, a potem już bez problemu wyśpiewał jego adres. I o tym właśnie będziemy dzisiaj dyskutować, jak się domyślam.

Przerwało im nadejście kontradmirała Morrisa. Arnold wyszedł zza biurka i serdecznie uścisnął mu dłoń. Przez kilka sekund były dowódca atomowego okrętu podwodnego i były komendant zespołu lotniskowca patrzyli sobie w oczy - dwaj wojownicy z powołania, patrioci, zaprzyjaźnieni od trzydziestu lat i wciąż zdolni z zimną furią odparować każdy wymierzony w ich ukochane Stany Zjednoczone cios. Na pogaduszki o zdrowiu i pogodzie żaden nie zamierzał tracić czasu.

- Arnie, czy mnie słuch nie myli? - spytał Morris. - Naprawdę dopadliśmy wreszcie tego typa Kermana?

- Z tym dopadnięciem to lekka przesada, George. Ale wiemy, gdzie się drań zadekował... a to znacznie więcej, niż wiedzieliśmy przez ostatnie pięć czy sześć lat.

- Nie zależy nam, żeby brać go żywcem, nie?

- A po diabła on nam tu żywy? To zwykły zbrodniarz. Wysadzał nam w powietrze elektrownie, rafinerie, wulkany i Bóg wie co jeszcze. Jest bystry, świetnie wyszkolony i cholernie niebezpieczny. Takich się zabija bez ostrzeżenia i bez ceregieli, procesów i reportaży. Kula w łeb i po krzyku.

- No, ty jesteś dobry w te klocki...

- Taa... miałem swoje niezłe momenty - odrzekł Arnold, mrugając porozumiewawczo do Jimmy'ego Ramshawe'a, który parsknął śmiechem.

Dochodziła północ. Morris nalał wszystkim kawy, która zmaterializowała się na podręcznym stoliku, po czym Morgan przystąpił do rzeczy.

- To jak go załatwimy, panowie? Snajper, dynamit, trutka na szczury czy zbombardujemy całą ulicę?

- Czemu tylko ulicę? - spytał jowialnie Morris. - Od razu wywołajmy trzecią wojnę światową.

- Ha, ha. Mówię prawie serio, George. Spodziewam się, że kierownictwo Hamasu

szybko się zorientuje, że ktoś sypie. Góra trzy, cztery tygodnie. I wtedy przerzucą naszego generała do zupełnie innej, bezpieczniejszej kryjówki. Znów stracimy go z oczu, więc lepiej ruszmy tyłki od razu i załatwmy sprawę, póki się nie zestarzała.

- Atak frontalny raczej wykluczony, tak?

- Jezu, George, czy muszę to potwierdzać? Za parę tygodni wznawiamy pertraktacje pokojowe na Bliskim Wschodzie.

- Czyli wyspecjalizowany zabójca. CIA, siły specjalne?

- Szczerze mówiąc, żadna z tych opcji mnie nie rajcuje. Po pierwsze, nie wiemy, jak silną ochronę ma Raszud ani czy to jego bojownicy, czy może nawet syryjskie wojsko. Rozpracowanie go zajmie nam trochę czasu, a nawet gdyby udało się nam przerzucić tam zespół szturmowy czy choćby pojedynczego snajpera, to nie ma gwarancji, że zdoła się potem wycofać. Gdyby go złapali, cena byłaby horrendalna.

- To może faktycznie podłożyć mu bombę? - spytał Jimmy.

- To niezłe rozwiązanie, ale w tamtym regionie mamy tyle problemów, że ryzykowalibyśmy zbyt wiele. Prezydent chyba by na to nie poszedł. Wyobrażacie sobie, jaki byłby szum, gdyby ktoś odkrył nasze zaangażowanie w taki zamach?

- Szum to mało - przytaknął George Morris. - Liberalna prasa by nas ukrzyżowała jako gangsterów, morderców i terrorystów. Wicie, zniżanie się do poziomu wroga i tak dalej.

- Ano właśnie. Takie rzeczy trzeba, niestety, brać pod uwagę - zgodził się Arnold. - Myślę, że warto by podrzucić tę robotę komuś innemu.

- Innemu? A znajdzie się chętny, żeby brać na siebie ryzyko i całej operacji, i jej potencjalnych reperkusji?

- Jest jedna organizacja, która mogłaby się tego podjąć, bo i tak ma u wszystkich przechłapanie - wtrącił Ramshawe. - Mam na myśli Mosad.

- Z ust mi to wyjąłeś, chłopcze. Oni chcą śmierci Raszuda jeszcze bardziej niż my.

- Przypomnij mi dlaczego? - spytał Morris.

- No, po pierwsze podczas bitwy o Hebron okazał się zdrajcą, co w Izraelu jest karane śmiercią. Potem przeprowadził dwa napady na banki w Jerozolimie i Tel Awiwie, zgarniając grube dziesiątki milionów. To było jakieś osiem lat temu... Cztery miesiące później zorganizował atak na najcięższe więzienie Nemrod i odbił wszystkich najważniejszych więźniów politycznych, przy okazji mordując niemal cały personel. Mosad już raz omal go nie wykończył. Parę lat temu zlokalizowali go w jednej marsylskiej restauracji, on się jednak nie dał, zastrzelił obu nasłanych agentów i zwiął. A jak wiemy, Izraelczycy nigdy wrogom nie przebaczą.

- Wciąż go szukają?

- Nie przebaczą i nie rezygnują. Pewnie dlatego udaje się im przetrwać. Tak jest, szukają go cały czas, ale nie słyszałem, żeby kiedykolwiek znów wpadli na jego trop. Dzisiaj, kiedy bin Laden się wycofał, Rawi Raszd jest chyba najgroźniejszym i najsprytniejszym przeciwnikiem, z jakim Zachód ma do czynienia.

- Myślę, że nie będziemy nawet musieli prosić Mosadu, żeby się nim za nas zajęli - rzekł Jimmy. - Wystarczy im podpowiedzieć, gdzie go znajdują, zapewnić o wiarygodności źródła, a jeszcze nam podziękują.

- Masz rację. - Morgan pokiwał głową. - W oczy nam tego nie powiedzą, ale będą wiedzieli, w jakim celu przekazujemy im te dane.

- Czy mamy wciągnąć w to prezydenta, sekretarza stanu albo kogo tam jeszcze? - dopytywał się dyrektor NSA.

- Chyba żartujesz! To będzie zwykła przyjacielska pogawędka między zaprzyjaźnionymi wywiadami. Im mniej będzie powiedziane, tym lepiej, a potem przeczytamy meldunek od kogoś z informatorów, że pewien superterrorysta właśnie zginął od eksplozji w Damaszku.

- Skąd wiesz, że zastosują bombę?

- To ich ulubiona metoda działania. Mniejsze ryzyko spudłowania, a poza tym można być daleko, kiedy zadziała detonator.

- To od czego zaczniemy?

- Od telefonu, rzecz jasna - odrzekł Arnold, podnosząc słuchawkę. - Dajcie no mi ambasadę izraelską... Jak to kiedy? Sekundę temu!

Po chwili miał już połączenie i bezceremonialnie zażądał rozmowy z ambasadorem.

- Sir, nie wolno mi łączyć rozmów, dopóki się nie dowiem, o co panu chodzi - odpowiedziała dyżurna telefonistka ambasady.

- A ja nie przywykłem się tłumaczyć - odparł sucho Morgan. - Powiedz tylko Jego Ekscelencji Gavronowi, żeby do mnie natychmiast oddzwonił. Nazywam się Arnold Morgan i jestem w biurze dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade. I niech się pospieszy!

Trzask odkładanej słuchawki. Młoda izraelska operatorka wiedziała, że nikt nigdy tak obcesowo nie traktował ambasadora Gavrona, i знаła nazwisko Morgan. Dwadzieścia trzy sekundy później na biurku George'a Morrisa zadzwonił telefon.

- Cześć, Davidzie! - Głos Arnolda ociekał słodyczą. - Trzeba ci przyznać, że umiesz się pospieszyć, jak ci każą. - Reakcję rozmówcy na to dictum skwitował wybuchem śmiechu.

- Czy to pilne? Ależ skąd! Ot, uzmysłowiłem sobie, żeśmy się dawno nie widzieli, podjąłem więc ściśle tajną decyzję, że jutro stawiam ci kolację... Co znaczy, czy Kathy też będzie? Wiem, że ona ci się bardziej podoba ode mnie... No jasne, że wybiorę porządną knajpę. Prywatna łoża u Matisse'a ci odpowiada?... I nie, wcale nie mam ukrytego motywu. Dziewiętnasta trzydzieści. To do jutra!

I tym sposobem admirał Morgan ponownie wkroczył z butami w życie jednego z najbardziej poważanych byłych szefów Mosadu, co zresztą nieodmiennie bawiło starego izraelskiego generała wojsk pancernych, weterana dziesiątek bitew.

David Gavron był prawdziwym *sabra*, Żydem urodzonym w Izraelu, patriotą do szpiku kości dumnie obnoszącym się z nieregularną blizną na lewym policzku. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, szczupłą i wyprostowaną sylwetkę, na pierwszy rzut oka zdradzającą byłego frontowca, opaloną na brąz skórę i przenikliwe błękitne oczy. Jasne włosy wydawały się spłowiałe od pustynnego słońca w czasach, kiedy jako młody dowódca czołgu desperacko bił się o życie własne i swojego kraju.

Zażarte zmagania, jakie przeszły do historii pod nazwą wojny Jom Kippur, na długie lata pozostawiły żar w sercach ówczesnych oficerów i żołnierzy, który u części z nich nigdy nie wygasł. Należał do nich i obecny ambasador w USA.

Owego strasznego dnia - 8 października 1973 roku - kapitan Gavron miał dwadzieścia sześć lat i pędził ile sił w maszynie, by dołączyć do dźwigającej cały ciężar egipskiego natarcia dywizji pancerniej generała Abrahama „Brena” Adana. Był u jego boku, gdy ruszali do kontrataku w stronę rojącego się od wrażeń oddziałów brzegu Kanału Sueskiego.

Egipcjanie zaatakowali, kiedy cały Izrael modlił się w synagogach. Kiedy dwie armie stanęły naprzeciw siebie na piaskach Synaju, Adan nie był jeszcze gotowy do boju, zaskoczony niespodziewaną ofensywą. Przeciwnik miał wszystkie atuty i spokojnie przeprawił się przez kanał, okopał i czekał na wielokrotnie słabszych Izraelczyków.

Ludzie Adana natarli z niesamowitą brawurą. Przez pierwsze pół godziny wydawało się nawet, że Egipcjanie nie wytrzymają naporu i podadzą tyły, ale w końcu ich przewaga liczebna dała o sobie znać. Zacięta walka trwała jeszcze cztery godziny, zanim okaleczona dywizja musiała się wycofać w głąb półwyspu. Poległy setki żołnierzy. Davida Gavrona trafiła kula z kałasznikowa, gdy wyciągał z płonącego czołgu nieprzytomnego kolegę, a chwilę potem wybuch artyleryjskiego pocisku odrzucił go o kilka metrów i na zawsze naznaczył blizną na twarzy. Ważył się wtedy los całego państwa izraelskiego, które od błyskawicznej zagłady ocaliło jedynie bohaterstwo tych w większości nastoletnich pancerniaków i piechurów, padających pokotem, ale trwających na posterunku, dopóki w

końcu nie nadciągnęła odsiecz.

Na długie dni pustynia Synaj zamarła w bezruchu wojny pozycyjnej, ale w końcu generał Adan przegrupował siły i znów ruszył do ataku. Obandażowany kapitan Gavron parł naprzód o trzydzieści metrów od czołgu legendarnego wodza i na zawsze zachował w żywej pamięci chwilę, gdy „Bren” z uniesioną pięścią ryknął swoje hasło bojowe: „Za mną!”

Nikt, kto tam był, nie zapomniał tego okrzyku, którego echo zginęło w huku salwy izraelskich dział. Rzucili na wroga wszystko, co mieli. Arabscy dowódcy nie wytrzymali nerwowo i poderwali wojsko do ucieczki, ścigani przez nieustępliwego przeciwnika. Szarżujące izraelskie oddziały nie zatrzymały się aż do samego kanału, z marszu przeprowiły się na zachodni brzeg i dalej gromiły egipską 3. armię, aż w końcu zostawiły ją pobitą i wykrwawioną, a same wróciły na Synaj. David Gavron, odznaczony za odwagę na polu bitwy, szybko awansował i wkrótce został najmłodszym pułkownikiem w historii armii izraelskiej. Generałowie Adan i Arik Szaron, późniejszy premier, do końca życia uważali go za najbardziej zaufanego przyjaciela.

Arnold Morgan znał tę biografię na wrywki. Wiedział, że w Rawim Raszudzie ambasador widzi tylko groźnego gada, którego należy uśmiercić jak najszybciej i bez względu na cenę. Obaj z Gavronem mieli podobny stosunek do wrogów swych krajów; obaj byli do głębi serca przede wszystkim wodzami, którzy z własnej woli dźwigali na barkach brzemie odpowiedzialności za ojczyznę. Tacy się już urodzili.

*

Elegancka restauracja „Matisse” znajdowała się, jak to ujął Morgan, na pozycji idealnej dla ich celów, mniej więcej w połowie odległości między jego willą w Chevy Chase a ambasadą Izraela, a na dodatek zaliczała się do pięciu najlepszych lokali w Waszyngtonie, chętnie odwiedzanych przez prezydentów i senatorów. Projektant przy urządzaniu jej wnętrza czerpał inspirację z dzieł Henri’ego Matisse’a; reszty dopełniały śnieżnobiałe obrusy, nienaganna obsługa i doskonała śródziemnomorska kuchnia. W bogatym menu i karcie win próżno by szukać cennika - tutejsza klientela go nie potrzebowała, a i szef kuchni próbę wyceny swojej maestrii uznałby za kamień obrazy.

Arnold i Kathy Morganowie mieszkali zaledwie o półtora kilometra od „Matisse’a” i bywali tam dość często. Na ten wieczór admirał wybrał kameralną salkę z wielką narożną kanapą i kominkiem z jasnego piaskowca. Było oczywiste bez uzgadniania, że ich obsługą zajmie się osobiście śliczna Deanna, jedna z córek właściciela.

Morganowie zjawili się pierwsi, jak przystało na gospodarzy. Gdy tylko usiedli, Arnold zamówił butelkę swojego ulubionego białego burgunda, meursault Premier Cru

Perrieres z rocznika 2004. Był pewien, że wybór zadowoli Dawida Gavrona, który wprawdzie większość życia był abstynentem, ale wraz ze zmianą zawodu i biegiem lat złagodził poglądy i lubił od czasu do czasu podelektować się dobrym winem - a tego dnia nadarzała się po temu specjalna okazja.

Ambasador nieco się spóźnił - całe dwanaście minut - ale ani słówkiem nie starał się sumitować. Złożył na smukłej dłoni Kathy pocałunek, uścisnął rękę Arnoldowi i zasiadł wygodnie w fotelu. Natychmiast zjawił się *sommelier* z osnutą mgiełką skondensowanej pary, przepisowo schłodzoną butelką meursaulta i nalał do trzech kryształowych kieliszków.

Gavron wznosił pierwszy toast:

- Za Stany Zjednoczone!

- Dziękuję ci, Davidzie - odrzekł Morgan, który poniekąd utożsamiał się ze swym krajem. - Zanim zaczniemy, pozwól, że każę przygotować bordeaux do głównego dania.

- Nie zgłaszam sprzeciwu! - zagrzmiął Izraelczyk, ukazując szereg równych, białych zębów w szerokim uśmiechu, który i Kathy, i kilka innych pięknych kobiet, w tym parę rozwódek, uważało za czarujący - tym bardziej że znały jego historię wojownika, Jamesa Bonda z Mosadu i wytrawnego dyplomaty.

Arnold zabrał się do studiowania karty win i po namyśle zażyczył sobie Chateau Palmer 1996 z okręgu Margaux na lewym brzegu Żyrondy.

- To powinno spełniać wymagania - orzekł. - Szesnastoletnie, z południowego stoku... sam Tomasz Jefferson preferował tamtejsze wina. I wiecie co? Mówi się, że po prawdziwie upalnym lecie przewyższają one wszystko, co ma do zaoferowania nawet górne Medoc.

- Arnio, skąd ty, u diabła, wiesz takie rzeczy?

- Zaprawdę, Dawidzie, jeszcze się dzisiaj zdziwisz, jak daleko sięga moja wiedza.

- Nie po raz pierwszy, przyjacielu. I, mam nadzieję, nie ostatni... znając twoją skłonność do dzielenia się darami Bachusa z dobrymi słuchaczami. Ten meursault jest naprawdę przedni... Chyba nigdy lepszego nie próbowałem.

- Trzeba przyznać, że mają tu wspaniałą piwnicę - przytaknął Arnold. - Czy jednak będziemy tak sobie tylko sączyć burgunda, czy może rzucimy okiem na menu?

- Ja bym na razie poprzestała na winie - odezwała się Kathy. - Chyba że ci się spieszy, Dawidzie?

- Mnie? Moja droga, mogę tu siedzieć z parą moich ulubionych Amerykanów i popijać francuskie nektary choćby do północy!

- To się dobrze składa - wtrącił Morgan. - Jest bowiem pewna postać z naszej przeszłości, o której może by warto pogadać nie przy jedzeniu.

- Z naszej, powiadasz? Któż to taki?

- Pamiętasz jeszcze niejakiego Rawiego Raszuda?

- Czy go pamiętam? Na Mojżesza i Abrahama, dziś jeszcze się czasem budzę w nocy z myślą o tym draniu! Co on tam nowego znalazł?

- Na razie nic takiego, ale na pewno nie z braku inicjatywy. Po prostu wypłynęły pewne nowe informacje na jego temat.

- Założę się, że wiem, z jakiego źródła.

- Trzymam zakład, że nie wiesz.

- Okay... Czy to może... mały domek nad uroczą zatoką Guantanamo, gdzie przypiekacie zamachowców z Bostonu?

- Dawid, skąd ty, u diabła, wiesz takie rzeczy?

- Zaprawdę, Arnoldzie, jeszcze się dzisiaj zdziwisz, jak daleko sięga moja wiedza.

Obaj mężczyźni się w głos roześmieli, ale w oczach Morgana nie było ani isierki wesołości, kiedy mówił dalej:

- Nikt nie wie, kogo mamy w Gitmo, a kogo nie... z wyjątkiem, jak się okazuje, Mosadu.

- Za wiele to my nie wiemy. Słyszałem po prostu od jednego z naszych prawników, że i ten ranny terrorysta złapany na gorącym uczynku, i ta grubsza ryba, którą złowiliście w Nowym Jorku, zostali wyjęci spod cywilnej jurysdykcji. Resztę już sobie dośpiewałem. Nietrudno się było domyślić, że będziecie chcieli usunąć ich z widoku, osadzić gdzieś w wojskowym areszcie i spokojnie, elegancko wysłuchać, co mają do powiedzenia.

- I to cię naprowadziło na Guantanamo?

- A jak. Nie będę jednak wyciągał od ciebie potwierdzenia, bo nic nas to nie obchodzi. Powiem tylko, że jeśli macie cokolwiek, co by nam pomogło przyskrzynić tego sukinsyna Raszuda... przepraszam cię, Kathy... to zaskarbicie sobie naszą dozgonną wdzięczność.

- Nie ma za co. Nie zapominaj, że ja na co dzień żyję w centrali manewrowej okrętu podwodnego - uspokoiła go Kathy. - Nawet nasz zegar na kominku wybija szklanki zamiast godzin... od lat nie wiem, która jest naprawdę... i zdażyłam też przywyknąć do marynarskiego języka.

- To kamień z serca. - Gavron poczęstował ją swoim olśniewającym uśmiechem. - A wracając, Arnoldzie, do tego... pana... to zrobilibyśmy wszystko, byle go dopaść, ale on nam się ciągle wymyka, czy to w Izraelu, czy w Syrii, Francji, a raz nawet w Londynie. Zawsze jest o krok przed nami.

- A zatem ucieszyłaby cię wiadomość, że być może mamy jego adresik?

- Czyby ucieszyła? Stary, cały kraj by to świętował! On nam za dużo krwi napsuł.

Czując swoją przewagę, Morgan uznał, że jeszcze potrzyzyma gościa w niepewności.

- Proponuję teraz przejrzeć kartę dań - powiedział. - Niedobrze jest się tak ekscytować z pustym żołądkiem.

Menu było krótkie: trzy przystawki, cztery dania główne. Deanna wyrosła obok stolika jak na zawołanie, gotowa przyjąć zamówienia.

- Dla mnie kraby w cieście, a potem jagnięcina - zadysponował Arnold. - Kathy, co wybierasz?

- Poproszę o sałatkę z owoców morza i solę z rusztu.

Gavron zdecydował się na *foie gras* i pierś z kaczki w sosie z portwajnu, podaną z risotto i szpinakiem, ale głowę miał zaprzątniętą czym innym. Gdy tylko kelnerka odeszła, niezwłocznie wrócił do tematu.

- Arnie, naprawdę wiecie, gdzie go znaleźć?

- Naprawdę. A skoro znasz źródło tej informacji, to wiesz, że jest wiarygodna.

- Zdradzisz mi ten sekret?

- Masz pióro?

Ambasador wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki smukły złoty długopis i cieniutki, oprawny w skórę notes, i spojrzał na Morgana wyczekująco.

- Raszud przebywa w Syrii. Zajmuje dom w Damaszku, około stu metrów od wschodniej bramy w starym murze obronnym. Ulica nazywa się Bab Tuma, brama tak samo. Dom stoi po lewej, patrząc od mostu na Baradzie. Numeru niestety nie mogę ci podać, bo nasz informator też go nie zna. Mówi, że to spora osiemnastowieczna willa tuż za rogiem od restauracji „Elissar”.

- Fantastycznie, Arnie! Mieszka tam z żoną?

- Jaką żoną?

- Nie wiedziałeś, że się ożenił? To Palestynka, którą spotkał już po dezercji. Podobno pobrali się po paru dniach znajomości. Słyszałem, że jest równie piękna jak niebezpieczna. Chodzą słuchy, że parę lat temu w Bejrucie osobiście zastrzeliła dwóch francuskich agentów.

- Ma dobrego nauczyciela - burknął Arnold.

- Najlepszego - zgodził się Gavron. - On był, zdaje się, majorem SAS? Nadal nie znamy jego przeszłości, a Brytyjczycy nabrali wody w usta i nie chcą się przyznać, że zgubili gościa.

- A dziwisz się? Głupio im teraz. Jimmy Ramshawe mówi, że Kerman jest synem bogatego Irańczyka osiadłego w Londynie. Skończył elitarną szkołę Harrow, a potem z

honorami Królewską Akademię Wojskową w Sandhurst, dostał się do SAS i dochrapał dowództwa batalionu... nagle rzucił wszystko w diabły i przystał do Palestyńczyków.

- Harrow to podobno szkoła na bardzo wysokim poziomie? - zauważyła Kathy.

- Na szczytowym. Godna rywalka Eton, kończył ją Churchill. Tam go pewnie nauczyli patriotyzmu.

- Majora Kermana też tego uczyli... - wtrącił Gavron. - Dopiero na naszej pustyni przypomniał sobie o swych prawdziwych korzeniach. Jakie to niesamowite! Tak się odżegnać od wszystkiego, co wcześniej kochał i cenił, i zmienić się w zaciętego wroga...

- Masz rację, Davidzie - przytaknął Arnold. - Ja sobie takiej radykalnej przemiany nie mogę wyobrazić. Chryste, to musiał być ogromny przełom!

- Czy zamierzacie się nim zająć, Arnie?

- Na razie nie. Wiesz, te nowe negocjacje... Ewentualna wpadka miałyby zbyt poważne konsekwencje.

- Nasza organizacja na szczęście jest wolna od takich ograniczeń. Możecie to nam zostawić.

- Miałem nadzieję, że to właśnie zaproponujesz, stary.

- Domyśliłem się. W końcu za darmo nikt nie stawia kolacji... zwłaszcza tak wyśmienitej jak dzisiejsza.

Poniedziałek, 6 lutego 2012, godz. 16.45. Kwatera główna Mosadu, Bulwar Króla Saula, Tel Awiv

Atmosfera w pokoju odpraw była poważna, ale nie napięta. Stojący przed dużym ściennym monitorem sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna w generalskim mundurze mówił cichym, ale zdecydowanym głosem, dotykając wskaźnikiem punktu na wyświetlonym planie Damaszku.

- W tym miejscu wynajęliśmy mieszkanie na drugim piętrze. Prymitywne, ale jest elektryczność i łazienka. Woda tylko zimna. Nasi agenci zanieśli tam już parę materacy i koce. Komfortu się nie spodziewajcie... kuchni nie ma, będziecie mieli tylko elektryczny czajnik i dzbanek do parzenia kawy.

Przy stole konferencyjnym siedzieli czterej agenci, byli wojskowi. Na tę okazję wszyscy włożyli zielone mundury, mieli też przy sobie pistolety maszynowe uzi i podręczne torby z niezbędnym ekwipunkiem. Dwaj z nich, oficerowie, nosili nad lewą górną kieszenią skrzydlate odznaki elitarnej dywizji spadochronowej.

- Jak widzicie na planie, panowie, mieszkanie zostało wybrane z uwagi na dobry widok na duży dom naprzeciwko. Mieliśmy z tym cholerne szczęście. Zajmował je stary Arab, który zgodził się nam je udostępnić i dobrze na tym zarobił. Przez cały czas trwania akcji macie nie zaglądać do jego skrzynki pocztowej, nie odbierać telefonów, nikomu nie otwierać drzwi, a z komórek korzystać tylko w nagłej potrzebie. Będziecie jedli jeden ciepły posiłek dziennie, po zmroku. Wychodzić w tym celu tylnym wejściem i nigdy nie wracać do tej samej restauracji. Na szczęście życie w Damaszku kwitnie do późnej nocy, więc nie będzie z tym problemu.

Jeden ze spadochroniarzy zapytał o metodę ewakuacji.

- W tym miejscu - generał stuknął wskaźnikiem w ekran - jedną przecnicę od lokalu, przed domem numer czterdzieści sześć, jest zamknięty garaż. Naturalnie zrobicie tam rozeznanie... stoi w nim stara, zdezelowana landara, na oko niezdatna do pokonania choćby paru ulic. Pod maską ma nowiutki benzynowy silnik mercedesa, nowe opony i cały układ napędowy, wzmocnione zawieszenie. Może iść w zawody z ferrari, a nikt nie zatrzyma na niej oka ani na moment. W bagażniku znajdziecie dwa cekaemy na wszelki wypadek. To wasza droga ewakuacji. Opuszczając miejsce akcji, będziecie w arabskich ubraniach. Wyjedziecie poza mury przez wschodnią bramę i skręcicie na obwodnicę w prawo. Dalej prosto na lotnisko. Będą tam czekać dwaj agenci. Jeden zajmie się samochodem, drugi wyda wam paszporty... w tamtą stronę nie będą wam potrzebne... i odstawi pod prywatnego learjeta, którym natychmiast odleciecie do Izraela. Władze syryjskie nie będą nawet wiedziały, że w ogóle tam u nich byliście.

Generał, który nie przedstawił się im z nazwiska, stanął twarzą do nich, ostrzyżony na zero, sztywno wyprostowany, z uniesioną głową - uosobienie wojskowej surowości. W armii izraelskiej nigdy nie brakowało oficerów, których determinacja w sprawach obronności kraju graniczy z fanatyzmem. Taki niewątpliwie był i on.

W 1967 roku jako dwudziestoletni porucznik bił się ramię w ramię z generałem Abrahamem Joffem w przełęczy Mitla na Synaju, odpierając natarcie Egipcjan w wojnie nazwanej później sześciodniową. Siły izraelskie w niecały tydzień rozbiły atakujące jednocześnie armie czterech państw arabskich i zestrzeliły trzysta siedemdziesiąt samolotów. Taka szkoła uczy czujności wobec przysięgłego wroga.

Odprawa, którą tego dnia prowadził, była typowym elementem działania Mosadu. Okrywała ją ścisła tajemnica; do strzeżonego przez dwóch wartowników pokoju nie wolno było wносить telefonów komórkowych ani żadnych innych środków łączności. Cała czwórka sporządziła testamenty i pożegnała się z rodzinami już wcześniej. Wyjeżdżając na akcję, nie

zabierali żadnych notatek; siedzibę Mosadu mieli opuścić śmigłowcem z lądowiska na dachu. Po krótkim postoju w sztabie Północnego Okręgu czekał ich dalszy lot za Wzgórza Golan - wzdłuż linii demarkacyjnej z 1974 roku - a potem na wschód, nad pustynią, ku odległym o niespełna sto kilometrów przedmieściom Damaszku.

Dowódcą zespołu był czterdziestoletni pułkownik Ben Joel, były komandos, uczestnik odwetowego ataku na dom Jasera Arafata w Gazie, wyspecjalizowany oficer piechoty, koordynator wsparcia powietrznego i saper, a przy tym weteran utarczek na pałki i gaz łązający z agresywnymi demonstrantami palestyńskimi.

Na jego zastępcę wyznaczono majora Izaaka Szermana, syna legendarnego, obsypanego orderami sierżanta Moryca Szermana, który u boku Jonatana Netanjahu odbijał porwany przez terrorystów samolot linii El-Al na ugandyjskim lotnisku Entebbe. Moryc z zawodu był dyrygentem; nikt z oddziału szturmowego nie zapomniał tych ostatnich minut przed akcją, kiedy ich armijny transportowiec sunął nisko nad czarnymi wodami Jeziora Wiktorii, a on prowadził chóralną, śpiewaną pełną piersią tę najbardziej porywającą patriotyczną pieśń izraelskich sił zbrojnych - „Naprzód, do końca naprzód” - którą komandosi zagłuszali w sobie ludzki, żołnierski lęk przed tym, co czekało ich na płycie lotniska. Kiedy maszyna schodziła już do lądowania, Szerman włączył rozgłośnię pokładową i puścił na cały regulator hymn narodowy. Niektórzy z uczestników akcji przysięgali potem, że pieśni i widok dyrygującego z zapalem sierżanta-muzyka sprawił, że czuli się olbrzymami, i dał im siły do morderczej walki, jaką przyszło im stoczyć na lotnisku i która kosztowała życie Joniego Netanjahu. Moryc Szerman ze złamanym sercem pomagał wnieść ciało młodego dowódcy na pokład przed lotem powrotnym po zakończonej sukcesem akcji. Teraz syn Moryca szykował się do równie trudnej, choć odmiennej w charakterze operacji na wrogim terenie, niosąc w pamięci ostatnie słowa żegnającego go ojca: „Idź odważnie, synu, i nigdy nie zawieź towarzyszy”.

Trzeci w grupie był inny były komandos, od niedawna w Mosadzie i świeżo awansowany na podpułkownika. Jego ojciec zginął na Synaju w pierwszych dniach wojny Jom Kippur. John Rabin nigdy go nie widział, ale za jego przykładem wybrał zawód żołnierza. Zaliczał się do najlepszych w armii ekspertów od materiałów wybuchowych.

Do tej dobranej czwórki doszedł jeden z tych na poły anonimowych, mało komu znanych speców od roboty „w terenie” - niewysoki, ale potężnie zbudowany, świetnie wyszkolony w walce wręcz i artysta sztyletu, któremu zabijanie przychodziło tak łatwo jak innym oddychanie - czego nikt by się nie domyślił po jego szczerym uśmiechu i wesołym usposobieniu. Przedstawił się tylko imieniem Abraham, a jego zadaniem miało być

ochranianie pozostałej trójki.

Tego samego dnia, godz. 24.00. Sztab Północnego Okręgu, Galilea

Śmigłowiec transportowy sea panther z wolna uniósł się nad płytę lotniska, pochylił do przodu i odleciał na północ, ku ciemnym wodom jeziora Genezaret, stopniowo wzbijając się na pułap półtora tysiąca metrów. Przed dotarciem w pobliże linii demarkacyjnej pilot znów zszedł niemal nad samą ziemię, by uniknąć syryjskich radarów - jeśli któryś w ogóle pracował (co było mało prawdopodobne). Oprócz niego w maszynie byli tylko czterej agenci ubrani w arabskie džellaby z ukrytymi pod nimi poręcznymi uzi. W torbach wieźli jedynie prowiant i wodę; całe niezbędne wyposażenie - semteks, detonatory, przewody, mechanizmy zegarowe, narzędzia, laptop, kamera z teleobiektywem, dwa telefony komórkowe - czekało już w mieszkaniu przy Bab Tuma, podobnie jak kubki, łyżeczki, pudełko tureckiej kawy, cukier i dwa tysiące funtów syryjskich.

Mknęli z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę. Nikt nie rozmawiał; ciszę przerwał dopiero pilot, informując ich o przekroczeniu pasma Golan.

- Schodzimy teraz na piętnaście metrów. Przygotujcie się, do celu dziesięć minut.

Posługując się okularami noktowizyjnymi, prowadził maszynę tuż nad pofałdowaną powierzchnią pustyni, póki nie zamajaczyła przed nim wąska nitka asfaltowej szosy do Damaszku. Wylądowali punktualnie o pierwszej. Wskoczywszy na piasek, agenci pomaszrowali we wskazanym przez lotnika kierunku ku odległej o sto metrów drodze, nie oglądając się nawet za śmigłowcem, który natychmiast wzbił się w powietrze i po półminucie rozpląnął w ciemności. Zatrzymali się na poboczu. Czekali nie dłużej niż kwadrans, kiedy w oddali pojawiła się rosnąca z każdą chwilą plamka światła, która szybko się rozdzieliła na bliźniacze jasne krążki samochodowych reflektorów. Wkrótce zatrzymał się przy nich duży dostawczy ford z wgiętymi drzwiami, pękniętą boczną szybą, odrapany i brudny. Kierowca, znany pułkownikowi Joelowi oficer Mosadu, przywitał ich krótkim:

- Cześć, Ben. Pakujcie się!

Abraham bez pytania usadowił się na przednim siedzeniu, pozostała trójka zajęła miejsca z tyłu. Od miasta dzieliło ich pięćdziesiąt kilometrów, które wbrew odstręczającemu wyglądowi auta przebyli we względnym komforcie; wóz miał dobre resory i był dobrze wyciszony. Jak im wyjaśnił kierowca, w wojskowych warsztatach udało się zamienić nadwozie nowiutkiego furgonu mercedesa na to fordowskie rodem ze składnicy złomu; cała reszta, jak to ujął, pozostała zdrowym duchem w lichym ciele, dobrze pasującym do arabskich

zaułków.

- Łączyłeś się z pilotem, Jerry? - spytał Joel.

- Nie było potrzeby. Wiedziałem, o której macie nadlecieć, i wstukałem pozycję do GPS-a. Przyczaiłem się o dwa kilometry dalej i czekałem, aż usłyszę warkot śmigłowca.

- Sprytnie. Jak to tutaj wygląda, mamy się spodziewać kontroli na wjeździe do Damaszku?

- Coś ty? To nie Bagdad. Zresztą gdyby nawet coś zmusiło tutejszą policję do ruszenia tyłków, to na coś takiego jak nasza limuzyna nawet by nie spojrzeli. Wyglądamy jak beduini jadący z warzywami na targ. Nie ma problemu.

Niepozorny furgon mknął gładko po pustej drodze krajowej numer pięć i rzeczywiście bez żadnych przeszkód znaleźli się w granicach miasta. Na pierwszym skrzyżowaniu Jerry skręcił w lewo, w aleję Kalid Ibn al-Walid, potem w prawo przed dworcem kolejowym Hedżaz i dalej wzdłuż północnego odcinka starego muru obronnego. Wkrótce przejechali pod łukiem Bab Tuma na ulicę o tej samej nazwie. Skręciwszy w drugą przecznicę po prawej, po pięćdziesięciu metrach kierowca zatrzymał wóz w ciemnym miejscu, przed wejściem do zaniedbanej dwupiętrowej kamieniczki.

Wszyscy wysiedli.

- Na klatce nie ma światła - szepnął Jerry, otwierając kluczem drzwi. - Wchodzimy na samą górę.

Jeden za drugim cicho wspinali się po wąskich schodach. Na ostatnim piętrze agent na oślep wymacał drzwi mieszkania i po chwili cała piątka była już wewnątrz. Dopiero teraz, upewniwszy się, że zasłony na oknach są zaciągnięte, włączył światło.

- Obok jest jeszcze jedno mieszkanie - powiedział. - Musieliśmy i je wykupić, żeby nikt się nam po sąsiedzku nie narzucał.

Abraham i Izaak zachichotali. Jerry pokazał im jeszcze, gdzie jest łazienka i zaimprovizowany kącik kuchenny, po czym zgasił światło i podszedł do okna.

- Wasz cel jest tam. - Wyciągnął rękę ku posesji po drugiej stronie ulicy. - Ten dom z wysokim parterem i schodami wejściowymi. Zawsze jest tam dwóch ochroniarzy. Nie możecie ani na chwilę osłabić czujności. No, to trzymajcie się - rzucił na pożegnanie i po chwili już go nie było.

Ben Joel i jego ludzie stali wpatrzeni w dwustuletni budynek, w którym Rawi i Szakira Raszudowie spali zapewne mocnym snem, chronieni przez dwóch, a może i więcej goryli z Hamasu.

- Dobra, panowie. Już dwadzieścia po drugiej. Zjemy coś, zaparzymy kawę i od

trzeciej bierzemy się do roboty - zarządził dowódca. - Dzielimy się na dwie pary, zmiana co cztery godziny. My z Johnem zaczynamy. Najpierw ustawię sprzęt, Abraham przygotuje komputer i otworzymy dziennik obserwacji. Zapisy co dwadzieścia minut. John, możesz się zająć przygotowaniem bomby. Czas ataku nie jest określony, sami musimy wybrać właściwy moment. Baza chce tylko, żebyśmy ich powiadomili, ruszając do akcji. Pytania?

Trzej podkomendni Bena pokręcili przecząco głowami. Pułkownik zgasił światło, rozsunał ciężkie story i podniósł lornetkę do oczu. Po minucie zaczął opisywać, co widzi.

- To tak... na górnych kondygnacjach okna są szczelnie zasłonięte, parterowe bez zasłon. Duży pokój na lewo od przedpokoju, patrząc od wejścia. Nad drzwiami frontowymi witrażowe okienko, przedpokój oświetlony, światło wpada do pokoju, więc drzwi otwarte albo ich nie ma. Warta przypuszczalnie siedzi tam, gdzie jasno.

- Zapisałem - mruknął Abraham, pilnie stukając w klawiaturę laptopa.

Joel ponownie zaciągnął story i zapalił światło. Sięgnął po kanapki i rozwijając papier, mówił dalej.

- Ponieważ mamy rozkaz przeprowadzić atak w godzinach nocnych, celem musi być ten salon na parterze, bo tylko tam mamy możliwość obserwacji wnętrza. To znaczy, jeśli posłużylibyśmy się wybuchem kontrolowanym. Opcja druga to zburzenie całego domu, ale to byłby spory bałagan.

- Przyjechaliśmy tu, żeby zabić Raszuda. - Izaak wzruszył ramionami. - Misja musi być wykonana bez względu na cokolwiek, a semteksu mamy tyle, że można by rozbić na atomy Ścianę Płaczu. Jak się nie da elegancko i precyzyjnie, to pójdziemy na całość.

- Absolutnie - zgodził się pułkownik. - Dajcie mi kubek kawy, co?

- Wygląda na to, że trzeba będzie się pozbyć wartowników - zauważył Abraham.

- Inaczej nie dostaniemy się do środka - przytaknął Joel. - Chyba że jest w ciągu doby jakaś chwila, kiedy willa nie jest chroniona.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić - odrzekł John Rabin z uśmiechem.

O trzeciej zabrali się do pracy. Rabin zamknął się w drugim pokoiku z materiałem wybuchowym, zapalnikami i całym saperskim inwentarzem, podczas gdy pułkownik zasiadł na krześle przy oknie i wycelował lornetkę w willę Raszuda. Zmieniali się trzy razy na godzinę; kiedy John przejmował obserwację, Ben uzupełniał zapisy w komputerowym dzienniku, choć na ogół niewiele miał do odnotowania.

Coś drgnęło dopiero o szóstej rano. Frontowe drzwi rezydencji się otworzyły i na ganek wychynęli dwaj młodzi mężczyźni w dżinsach i luźnych białych koszulach. Joel chwycił aparat i zrobił im serię zdjęć. Obydwaj skęcili w lewo i wkrótce zniknęli w

perspektywie ulicy Bab Tuma. Pułkownik wypatrywał nadejścia nowych ochroniarzy, ale się ich nie doczekał; wkrótce jednak zauważył jakiś ruch w domu. W oknie salonu zobaczył wyglądających na ulicę dwóch innych Arabów z kałasznikowami przewieszonymi przez piersi. Żaden z nich nie był Rawim Raszudem.

Kiedy przyszła pora na zmianę i John Rabin wynurzył się ze swojego prowizorycznego warsztatu, Joel podzielił się z nim tym nowym spostrzeżeniem.

- Ochrona jest luzowana o szóstej. Dwóch wyszło z domu, ale ich zmiennicy nie zjawili się tą samą drogą, co oznacza, że spędzili noc na miejscu. To duża willa i pewnie mają tam swoje pomieszczenie.

- Chyba że korzystają z jakiegoś tylnego wejścia.

- Tak, trzeba dziś zrobić rozpoznanie. Jeśli są tam drugie drzwi, warto by je mieć na oku przez jakiś czas i zobaczyć, czy i kiedy są używane.

- Dobra. Tylko może przydałyby się nam posiłki. Wystawienie dwóch posterunków równocześnie trochę nam napnie harmonogram, nie uważasz?

- Ba! Ale to nie wchodzi w grę, za dużo by z tym było teraz zamieszania. Im szybciej się z tym uporamy, tym lepiej dla nas. Obejrzę tę chałupę od zaplecza dziś przed południem. Bomba gotowa?

- A jakże. Potrzebuję jeszcze z pół godziny na przetestowanie zapalnika czasowego, a potem możemy ją podłożyć w każdej chwili.

- Ile daleś?

- Przygotowałem dwie połówki. Jak uznamy, że wystarczy wysadzić w powietrze tylko ten salon, jak mówiłeś, to użyjemy jednej. Jeśli nie będzie nam zależało na zachowaniu reszty willi dla potomności, damy obie.

- W porządku. Robi się jasno, trzymaj się za zasłonę. Wyciąłem w niej dwie dziurki. Nie spuszczaaj ich z oczu na dłużej niż dziesięć, dwadzieścia sekund. Zaparzę świeżej kawy.

Przekazali służbę kolegom o siódmej. Abraham wyszedł z kamienicy, żeby sprawdzić garaż i samochód, po czym kuśtykając jak starzec dotarł zaułkami na tyły domu Raszuda. Okazało się, że jest tam niewielki ogród lub podwórze, odgrrodzone od ulicy prawie czterometrowym murem z dwuskrzydłową bramą. Drewniane wrota wyglądały na bardzo mocne, a zamykał je ciasno napięty łańcuch z masywną kłódką.

- No, no... żeby się tędy dostać, trzeba by paru lasek dynamitu - mruknął pod nosem.

Uliczka była zupełnie pusta, postanowił więc zaryzykować. Przeszedł wzdłuż muru i przystanął przy bramie z ręką opartą na murze, udając, że odpoczywa. Przyjrzał się dobrze kłódce i znalazł to, czego się z nadzieją spodziewał: rdzę. Było oczywiste, że nikt dawno nie

korzystał z tego wejścia. Postawszy jeszcze chwilę, ruszył ciężko przed siebie pod chłodny lutowy wiatr. Przy murze sąsiedniej posesji parkował biały furgon i Abrahama korciło przez moment, by wspiać się na niego i zajrzeć na drugą stronę, ale odrzucił ten pomysł jako zbyt ryzykowny.

Przeszedłszy niecałe sto metrów, zauważył leżącą na ziemi drabinę malarską, kilka dużych puszek po farbie i smętnie przechyloną betoniarkę. Oparł się i tej pokusie, obiecując sobie jednak, że wróci tu po zmroku na ponowny rekonesans i może wtedy rzuci okiem na podwórko Raszuda. Resztę wyprawy spożytkował na zorientowanie się w okolicy i miejscowych przybytkach gastronomii. Wrócił do mieszkania tylnym wejściem.

Pułkownik Joel jeszcze nie spał i rozmawiał przy oknie z Izaakiem. Abraham zdał mu relację z rekonesansu: potwierdził, że samochód czeka gotowy w garażu, i zameldował o tylnym, wyglądającym na nieużywane wejściu na obserwowaną posesję.

- Nie zajrzałem jeszcze za mur, ale mam sposób. Znalazłem tam drabinę i spróbuję po zmroku jeszcze raz.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. - Joel sceptycznie pokręcił głową. - Mogą cię przyłapać.

- Cóż, musiałbym wtedy kogoś stuknąć. - Osilek wzruszył ramionami.

- Odpada! Tylko nam brakowało policyjnego śledztwa na tyłach willi Raszuda.

- Taa... o tym nie pomyślałem. - Abraham sposepniał, lecz zaraz się rozjaśnił. - Ale wiecie co? Przynajmniej jedno wiemy na pewno. Ta kłódka jest tak zardzewiała, jakby nikt jej nie ruszał od ostatniej krucjaty. Mamy więc tylko, jedno wejście do pilnowania.

- I z takim założeniem sporządzą plan. Dzięki, Abi. W ciągu godziny coś się powinno ruszyć.

Ledwo pułkownik skończył mówić, kiedy drzwi willi się otworzyły i na ganek wyszedł generał Rawi Raszud we własnej osobie, a za nim Szakira i ochroniarz z kałasznikowem w ręku. Ben spojrzał na przywiezione z sobą fotografie. Mieli raptem trzy: dwa zdjęcia zrobione przez Amerykanów na nadmorskim urwisku na Wyspach Kanaryjskich i niechętnie udostępnioną przez Brytyjczyków fotografię z akt majora Kermana w Ministerstwie Obrony.

To byli oni: głównodowodzący zbrojnego ramienia Hamasu i jego palestyńska żona. Pułkownik Joel nie miał wątpliwości. Musiał przyznać, że uroda Szakiry Raszud zrobiła na nim wrażenie. Minęła dziewiąta i temperatura nie przekraczała piętnastu stopni. Oboje obserwowani mieli na sobie zachodnie ubrania: dzinsy, koszule - Rawi białą, Szakira niebieską - i skórzane wiatrówki. Ben chwycił aparat, ustawił teleobiektyw na duże zbliżenie i

zrobił cztery zdjęcia, po czym w bezruchu przypatrywał się wychodzącym.

Ochroniarz rozejrzał się po ulicy, odstał na bok i przysiadł na białej ławeczce na prawo od drzwi. Raszudowie zeszli na ulicę sami, kierując się w lewo, ku bazarowi Medhata Paszy, gdzie często jadal śniadania w swojej ulubionej restauracyjce. Tego oczywiście Izraelczyk nie mógł wiedzieć, ale cel ich porannego spaceru wcale go nie interesował. Ważne dlań było tylko to, o której wyszli, kiedy wrócą i co w tym czasie porabiają ochroniarze w willi. Rawi z Szakirą jeszcze nie zniknęli z pola widzenia, kiedy nastąpiła kolejna zmiana: z domu wynurzył się drugi uzbrojony mężczyzna i usiadł po drugiej stronie drzwi. Obaj odstawili broń pod ścianę, zapalili papierosy i zaczęli rozmawiać. To była ta dwójka, która zaczęła wartę o szóstej.

Gospodarze wrócili do domu w południe i zaraz potem zmienili się wartownicy. Tym razem dwaj nowi przybyli z zewnątrz; poprzednicy przekazali im pistolety maszynowe i po krótkiej pogawędce odeszli. Wyglądało na to, że w domu nie ma już innych ochroniarzy.

Przez kilka godzin praktycznie nic się nie działo. Czasem tylko któryś z wartowników zniknął na chwilę za drzwiami - nigdy obydwaj naraz - po czym znów wszystko wracało do normy. Punktualnie o osiemnastej w willi zameldowała się nocna zmiana: czterech mężczyzn. Dwóch zluzowało kolegów na ganku, pozostali weszli do domu.

Pułkownik Joel przespał całe popołudnie, ale miał już jasny obraz sytuacji. Czterech ochroniarze pozostają w willi od osiemnastej do szóstej rano, pełniąc służbę kolejno dwójkami. Potem jedna para opuszcza dom, druga trzyma straż do dwunastej i przekazuje obowiązki zmianie popołudniowej. Wszystko się zgadzało: ci dwaj, którzy teraz zaszyli się gdzieś w willi, to byli ci sami ludzie, których Ben sfotografował wychodzących o szóstej.

Wszystko teraz zależało od tego, jakie plany miał Raszud na wieczór. Jeśliby wyszedł gdzieś na kolację, należałoby przed jego powrotem cichaczem załatwić wartowników i ukryć gdzieś ciała, a potem podłożyć bombę w salonie na parterze i spokojnie czekać. Gdyby zaś został w domu, trzeba by po likwidacji ochrony użyć podwójnej porcji materiału wybuchowego i pogrzebać wszystkich pod gruzami.

Raszud miał jednak zwyczaj jadać w restauracji codziennie - czasem tylko z Szakirą, czasem w gronie przyjaciół.

O dziewiętnastej czterdzieści pięć pod willę zajechała taksówka. Żaden z wartowników nie stał na zewnątrz, ale niemal natychmiast jeden wyszedł na ganek i zbiegł po schodach, by coś powiedzieć szoferowi. Pięć minut później państwo Raszudowie odjeżdżali już w sobie tylko znanym kierunku, odprowadzani wzrokiem trzech izraelskich agentów.

- John, czy są jakieś przeszkody, żebyśmy załatwili to dzisiaj? - spytał Ben.

- Żadnych. Bomba jest gotowa, musisz tylko zdecydować, czy rozwalamy tylko ten salon, czy całą chałupę.

- Niech pomyślę... Załóżmy, że on wróci około dwudziestej trzeciej albo i później. O północy powinni się zmienić wartownicy, ale nie możemy czekać aż do tego czasu. Trzeba by załatwić tych dwóch gdzieś o wpół do jedenastej, modląc się, by nam nikt nie przeszkodził.

- A jak przeszkodzi?

- Wyliminować.

- Pistolety?

- Noże.

- Nabałaganimy...

- Ale za to unikniemy hałasu.

- Czyli przyjmujemy, że nasz obiekt wróci jeszcze przed zmianą warty?

- Niekoniecznie.

- Jak to niekoniecznie? Przecież kiedy następna dwójka się obudzi, to zobaczy, że ich koleś zniknęli, nie?

- I co mogą zrobić innego, niż pozostać na posterunku i czekać na szefa? Dla nas to żaden problem, bomba będzie już na miejscu.

- Ładnie, pięknie. - John Rabin nie dawał się przekonać. - Tylko że nasz generał w tej sytuacji każe ochronie szukać zaginionych, a sam natychmiast pójdzie na górę do sypialni... z taką żoną i po dobrej kolacji ja w każdym razie bym tak zrobił.

- Wziąłem i to pod uwagę. - Pułkownik się roześmiał. - Wchodzimy o dwudziestej drugiej trzydzieści, załatwiamy wartowników, instalujemy dużą bombę i odpalamy, gdy tylko ten sukinsyn wejdzie do przedpokoju i zamknie drzwi. W ten sposób nie będzie miało znaczenia, który pokój wybierze.

- Jasne. To znaczy, że zapalnik czasowy specjalnie się nam nie przyda?

- Nie. Użyjemy detonatora radiowego i nadajnika sprzężonego z zegarem, który zostawimy tu na górze. Kiedy tylko drzwi się zamkną za naszym obiektem, ustawiamy na dziesięć minut i się zmywamy prosto do garażu. To da nam dość czasu, żebyśmy do chwili wybuchu zdążyli odjechać na co najmniej pięć do sześciu kilometrów.

- Tak, teraz już wszystko mi się zgadza, szefie. To jak, może wyjdziemy się przejść z godzinkę?

- Dobry pomysł. Trzeba przekąsić, cały dzień przesiedzieliśmy na głodniaka. Powiedz chłopakom, że przyniesiemy im coś z restauracji.

Dwie godziny później zespół zabójców z Mosadu był gotów do akcji. Wszystko

zostało spakowane do dwóch dużych worków pocztowych, które Jerry miał później zabrać z garażu. Za pięć w pół do jedenastej Izaak z Abrahamem, ubrani w dżellaby, zeszli na dół i spacerkiem pokonali kilkadziesiąt metrów dzielące ich od willi Rawiego Raszuda. Na ulicy Bab Tuma ruch był niewielki; nie zwracając niczyjej uwagi przeszli na drugą stronę i weszli na ganek. Izaak zastukał głośno do drzwi, które się natychmiast otworzyły. Wartownik zdębiał, ujrawszy wymierzoną w siebie lufę peemu.

- Czego chcecie? - krzyknął.

- Spokojnie! - odpowiedział po arabsku major Szerman. - Muszę niezwłocznie rozmawiać z generałem Raszudem.

- Zdawało mi się, że jest was dwóch? - Zdezorientowany ochroniarz wysunął się przed próg.

Nie zdążył się nawet rozejrzeć. Abraham silnym pchnięciem wbił mu nóż prosto w serce. Arab otworzył jeszcze usta do krzyku, ale nie zdołał już wydobyć z siebie głosu i osunął się martwy na posadzkę.

- Rami, z kim tam gadasz? - Drugi wartownik nadchodził już z przedpokoju i po chwili podzielił los kolegi.

Tymczasem Ben Joel wbiegał już po schodach z bombą w wytartej skórzanej torbie, a tuż za nim John Rabin. Obydwaj wpadli do salonu i zanurkowali pod ustawiony pośrodku masywny stół z litego drewna, by przykręcić ją od spodu do blatu. Abraham z Izaakiem zajęli się ukryciem zwłok; wywlekli je do zaniedbanego miniaturowego ogródka przed frontem willi, odgradzonego od ulicy metrowej wysokości murkiem, z pozbawionym furtki wejściem. Wystarczyła im minuta, by wrzucić trupy między krzewy w przeciwnym rogu, wiedząc, że nikt ich tam nie znajdzie przed świtem, a może i później.

Major Rabin kończył już wtedy sprawdzanie połączeń elektronicznego detonatora, osłaniany przez Joela na wypadek, gdyby któryś ze śpiących ochroniarzy z nocnej zmiany coś usłyszał i wstał na zwiady. Nic jednak nie mąciło nocnej ciszy. Na dany przez Johna znak pułkownik wyszedł z willi, spiesznie wrócił do mieszkania i zadzwonił na komórkę majora. Wymienili kilka krótkich zdań, nie dłużej niż przez osiem sekund; John dokręcił ostatnie śrubki i wraz z dwoma pozostałymi wyszli na ulicę, upewniając się, czy zamek w drzwiach się nie zatrzaśnie. Tego wieczora zależało im na tym, żeby gospodarze nie mieli problemów z dostaniem się do własnego domu. Mieli tylko nadzieję, że Rawi i Szakira wrócą przed północą.

Po kilku minutach cała czwórka była już w wynajętym mieszkaniu i w napięciu obserwowała cel. Na parapecie spoczywało niewinnie wyglądające czarne pudełeczko,

mające uaktywnić bombę.

Minęła dwudziesta trzecia piętnaście, a Raszuda wciąż nie było widać. Zaczynali się już denerwować, kiedy Abraham spostrzegł światła taksówki skręcającej w Bab Tuma z ulicy Al-Bakri.

Pojazd zatrzymał się przed wejściem do willi.

- No, to zaczynamy, panowie - mruknął Abraham. - Ptaszki wróciły do gniazodka.

Szakira wysiadła lewymi tylnymi drzwiami. Z prawej strony wysunął się jej towarzysz, wziął ją pod rękę i razem weszli na schody. Zapukała do drzwi, które uchyliły się pod jej dotknięciem. Musiała ją zdziwić nieobecność ochroniarza, weszła jednak do środka, pociągając za sobą owego mężczyznę, którego twarz skrywał mrok. Żadne nie zauważyło niczego podejrzanego.

Okno salonu rozbłysło światłem. Przy wejściu widać było męską sylwetkę; Szakira zniknęła gdzieś w głębi domu.

- Teraz, John! - zakomenderował pułkownik Joel. - Zamykamy sprawę. Ustaw wyłącznik na dziesięć minut i spadamy.

Rabin przestawił wskazówkę i wcisnął guzik na nadajniku. Nie było na co czekać; Izraelczycy chwycili bagaż i w pośpiechu opuścili mieszkanie. Biegiem dopadli garażu. Abraham wskoczył za kierownicę i włożył kluczyk do stacyjki; Joel usiadł obok niego, Izaak zajął miejsce z tyłu, John zaś czekał na zewnątrz, żeby zamknąć za samochodem drzwi. Po chwili zaułek został za nimi i Ben wysłał wiadomość Jerry'emu, że są w drodze. Zanim wystukał ostatnie litery, Abraham skręcał już w prawo za bramą Bab Tuma, w ulicę wiodącą ku obwodnicy i portowi lotniczemu. Zanim jednak dojechali do skrzyżowania, bomba Johna Rabina eksplodowała.

Siła wybuchu poderwała cały dach willi na dziesięć metrów w górę. W powietrze wystrzelił słup ognia. Stare mury rozpadły się, zasypując ogród i ulicę stertami gruzu i szkła. Najstarsze nieprzerwanie zamieszkane miasto świata zadrżało, rzekłbyś, w posadach.

- Niech mnie szlag, udało się! - wykrzyknął Abraham. - Dostaliśmy go! A teraz do domku...

*

Dziesięć minut później, kiedy poobijany mercedes izraelskich agentów mknął obwodnicą w stronę lotniska, Rawi Raszud wrócił z kolacji z żoną bliskiego przyjaciela Abdula Chana, jednego z przyrodnych braci Szakiry. To, co zobaczył, przerastało najgorsze wyobrażenia. Cała ulica w promieniu kilkudziesięciu metrów od tego, co jeszcze niedawno było jego domem, zasypana była drobnymi i większymi odłamkami cegieł, a w powietrzu

wisiała chmura pyłu. Na miejscu były już dwa policyjne radiowozy, z daleka widział też przeciskający się od niewłaściwego końca wóz strażacki. Wycie syren mieszało się z trzaskiem płomieni i zawodzeniem kobiet.

Rawi rzucił się biegiem ku zburzonej fasadzie... ale to nie miało najmniejszego sensu. Z frontowej części willi nie został kamień na kamieniu. Słyszał za sobą histeryczny płacz Fatmy Chan, ale myślał tylko o Szakirze. Zawrócił i pognął na tyły posesji.

Mur z tamtej strony ocalał, nienaruszone były też ciężkie drewniane wrota. Słyszał dobiegający stamtąd kobiecy krzyk, zduszony, nieartykułowany, przetykany szlochem. Kątem oka dostrzegł biały furgon i bez namysłu, paroma skokami dostał się na jego blaszany dach. Teraz mógł zajrzeć na swoje podwórko.

Tylne drzwi willi były otwarte na oścież. Na ziemi, skulona pod murem, zakrwawiona, ale żywa, siedziała jego Szakira.

Abdula z nią nie było. Przywiózł ją wcześniej do domu, uparła się bowiem, że kawę wypiją u nich, i chciała ją zaparzyć wcześniej, żeby była gotowa na powrót Rawiego i szwagierki. Było oczywiste, że chłop zginął. Raszud zdał też sobie sprawę, że jeśli nie opanuje odruchu i przeskoczy, by ją natychmiast przytulić i uspokoić, oboje znajdą się w pułapce - przez willę wyjścia już nie było.

Zsunął się z furgonu na ziemię, obiegł posesję i zaczął wołać o pomoc. Policja i sanitariusze z ambulansu ochoczo podbiegli, radzi, że w ogóle jest jeszcze kogo ratować. Pociągnął ich za sobą z powrotem do zaułku i wskazał zamkniętą bramę. Któryś z mundurowych rozbił starą kłódkę krótką serią z pistoletu maszynowego, uważając, by pociski nie przebiły desek.

Dwadzieścia minut później Szakira i Rawi byli w drodze do szpitala klinicznego imienia prezydenta Asada. Dziewczyna była w stanie wstrząsu pourazowego, a rana na głowie, którą odniosła, gdy spadł na nią kawał kuchennego sufitu, wymagała założenia piętnastu szwów. Dyżurny chirurg zdecydował, że musi zostać przez noc pod opieką lekarską. Rawi został przy niej, wdzięczny Allahowi za jej ocalenie.

Na lotnisku czwórka zamachowców wsiadała do samolotu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Zadanie zostało wykonane. Prawie.

Rozdział 4

Potężny wybuch, który wstrząsnął wschodnim krańcem ulicy Bab Tuma, przyciągnął całą sforę reporterów i zmusił ich redakcje do niemal całonocnej pracy. Szybko wyszło na jaw, że oprócz zniszczonej willi od eksplozji ucierpiało wiele innych budynków w okolicy. Kilka osób odniosło obrażenia, ale szczęśliwym zrzędzeniem losu była tylko jedna ofiara śmiertelna: Abdul Chan, którego zwłok wprawdzie jeszcze nie znaleziono, wiadomo było jednak, że znajdował się w domu w chwili katastrofy. Nikt nie wiedział, że pod stertą gruzu spoczywają także ciała dwóch zasztyletowanych ochroniarzy generała Raszuda. W relacjach dziennikarzy podkreślano przede wszystkim siłę wybuchu, skalę zniszczeń i bezradność policji wobec braku wszelkich poszlak, które mogłyby wyjaśnić przyczyny wypadku. Na telewizyjnym kanale „Syria 2” w głównym wydaniu porannych wiadomości o ósmej rano podekscytowany spiker stwierdził, że „wśród rannych, którzy trafili do miejskiego szpitala, była pani Szakira Raszud, mieszkanka zburzonej willi. Pani Raszud przebywała w domu, kiedy nastąpił wybuch, a uratowała się prawdopodobnie dlatego, że zeszła do kuchni znajdującej się w piwnicy. Jej przyrodni brat, pan Abdul Chan, został na parterze budynku i jak twierdzi policja, nie było szans, by przeżył. Dziś rano nie udało się nam uzyskać żadnej wypowiedzi od poszkodowanej ani od jej męża, pana Rawiego Raszuda, lekarze przewidują jednak, że około południa będzie już mogła opuścić szpital”.

Jerry słuchał relacji w osłupieniu. Mieszkał w okolicy placu Męczenników, na przeciwległym skraju damasceńskiej starówki od Bab Tuma, ale eksplozję słyhać tam było wyraźnie. Odebrawszy wiadomość o zakończeniu akcji i wycofaniu się zespołu pułkownika Joela, niezwłocznie udał się usunąć ślady ich pobytu w wynajętym mieszkaniu. Strefę dotkniętą wybuchem ominął od zachodu, starając się trzymać ciemniejszych uliczek.

Nie mógł pojąć, jak to się stało, że tak doświadczeni specjaliści jak Joel i Rabin popełnili tak kolosalny błąd. Mieli obserwować willę i odpalić ładunek dopiero wtedy, gdy zdobędą pewność, że Raszud wrócił do domu. Taki był cały sens tej ryzykownej operacji. To, że Szakira ocalała, było do zaakceptowania. Lecz jakim cudem Rawi nie tylko przeżył, ale nawet nie odniósł kontuzji? Gdyby lekarze musieli mu choćby przykleić plaster, dziennikarze na pewno by się o tym dowiedzieli i roztrąbili na cały świat. A przecież chłopaki musieli wiedzieć, że wchodzi do willi, bo inaczej nie zdetonowałiby bomby. Jerry był zdumiony nie

mniej niż policjanci, choć z zupełnie innego powodu.

Wyłączył telewizor i wyszedłszy na plac, zatelefonował do Hadar Dafna, biurowca Mosadu przy bulwarze Króla Saula, przekazując najświeższe wiadomości. W Tel Awiwie nikt jeszcze nie czytał pierwszych wydań damasceńskich gazet ani nie słuchał radia czy telewizji. Szefostwo wiedziało tylko, że nad ranem grupa Joela bezpiecznie dotarła do domu i zameldowała o wykonaniu zadania.

No, to teraz się zacznie zabawa, pomyślał Jerry.

O jedenastej rano ósmego lutego Rawi i Szakira Raszudowie wyszli z bramy szpitala i wsiedli do czekającej taksówki; wcześniej jednak musieli się przedrzeć przez tłum rozkrzyczanych żurnalistów, zasypujących ich pytaniami. „Jak się wam udało uratować?... Czy domyślacie się, kto to zrobił?... Co pani czuła zaraz po eksplozji?... Panie Raszud, czy to panu żona zawdzięcza życie?” Flesze, kamery, tłum gapiów, własna twarz na ekranach telewizorów, w gazetach, internecie - istny koszmar dla przywódcy organizacji terrorystycznej; Rawi jednak stawiał czoło tej medialnej nawale ze spokojem.

- Tak, jesteśmy właścicielami zburzonego domu... Nie, nie wyszliśmy z restauracji razem... Zona i jej brat wrócili wcześniej, a ja ze szwagierką jakieś dwadzieścia minut po nich... Naturalnie, że obie panie są wstrząśnięte i zrozpaczone.

- Panie Raszud, czy to mógł być zamach na pańskie życie?

- Wątpię. Już raczej fatalny zbieg okoliczności albo ktoś mnie pomylił z kimś innym.

Przez kilka godzin ta wersja wystarczała i prasie, i policji. Raszudowie zatrzymali się w hotelu „Barada” przy alei Said al-Dżabri i więcej się nie pokazywali. Jednakże śledztwo nie posuwało się naprzód i zasadnicze pytanie pozostawało bez odpowiedzi: kto, u licha, mógł podłożyć tak potężną bombę? To już nie był jakiś tam koktajl Mołotowa czy amatorski ładunek, na jaki stać byle grupkę rozpalonych kazaniami lokalnego mułły samozwańczych dżihadystów, ale profesjonalna broń sporządzona przez ekspertów. Komuś udało się zmylić czujność ochrony i jakimś sposobem umieścić ją w willi, a potem zdetonować w kilka minut po powrocie mieszkańców. Przypadek? Wykluczone! To była zaplanowana i świetnie przeprowadzona operacja, a jedynym zbiegiem okoliczności było to, że gospodarze przeżyli. Nic nie wskazywało też na to, że mógł to być zamach samobójczy. Dochodzeniowcy z komendy stołecznej doszli do przekonania, że bombę odpalono za pomocą zdalnie aktywowanego detonatora, a celem był Rawi Raszud. Problem tkwił w tym, że nikt nie miał pojęcia, kim on właściwie jest, czym się zajmuje i dlaczego ma tak zaciętych wrogów. W Damaszku mieszkał od kilku lat i nigdy nie było z nim najmniejszego problemu.

Do tych zagadek wkrótce doszła kolejna. Około dziewiętnastej stało się oczywiste, że

Rawi i Szakira Raszdowie zniknęli, jakby się rozplynęli w powietrzu. Wymeldowali się z „Barady” i nikt ich więcej nie zobaczył.

Na wieść o zamachu Hamas zadziałał błyskawicznie i z wojskową sprawnością. Dwóch bojowników z placówki w przygranicznym mieście Dara przyjechało samochodem do Damaszku, zgarnęło swojego wodza i jego małżonkę z hotelu i wyposażyło oboje w pachnące jeszcze farbą drukarską paszporty na nazwisko Mehadi. Przerzuceni do Jordanii, w Ammanie wynajęli apartament w hotelu „Rhum Intercontinental”.

Mosad był na bieżąco informowany o biegu wydarzeń przez Jerry’ego, który jednak nie chcąc przyciągać niczyjej uwagi, mógł tylko przekazywać ogólnodostępne informacje z prasy i telewizji. To wszakże wystarczało, żeby zdać sobie sprawę z porażki. Izraelczycy po raz kolejny stracili z oczu swojego wroga numer jeden; nie wiedzieli nawet, do jakiego kraju uciekł ani pod jakim nazwiskiem podróżuje.

Minęła cała doba, zanim dziennikarze wpadli na to, że Rawi Raszd i jego piękna żona mogą mieć jakieś podejrzone powiązania. Pożywki dla tych spekulacji dostarczyło odkrycie w ruinach ich willi zwłok dwóch mężczyzn. Nie znaleziono wprawdzie przy nich broni - ich kałasznikowy zabrał Abraham - mieli jednak zapasowe magazynki, a sąsiedzi potwierdzili, że często widywano tam uzbrojonych ochroniarzy. W czwartek wieczorem policja podała do wiadomości, że obaj zginęli od ciosu nożem w serce. Coraz bardziej wyglądało to na działanie wyspecjalizowanej grupy wojskowej lub paramilitarnej, wciąż jednak nie było odpowiedzi na pytanie, kim jest obiekt zamachu i kto pragnie jego śmierci?

Prasa prześcigała się w domysłach. Czy to były porachunki między gangami narkotykowymi? A może tajemniczy Raszd to terrorysta, który zbyt zażądał za skórę zachodnim służbom specjalnym? Albo przeciwnie, naraził się islamskim ekstremistom? Nie wykluczano też najbardziej prozaicznej wersji o rodowej wendecie, choć zdawał się temu przeczyć dobór środka zagłady. Ponieważ żadne nowe tropy się nie pojawiały, historia po paru dniach umarła śmiercią naturalną i w weekend nikt już o niej nie pamiętał - z wyjątkiem tych, którym od wybuchu wyleciały szyby lub popękały ściany.

Gazety amerykańskie poświęciły tej sprawie najwyżej po kilka wierszy. Agencje dowiedziały się o niej z „Syria Times” i puściły w świat krótką notatkę pod banalnym tytułem „Eksplzja w Damaszku”:

Damaszek. Bomba, którą w nocy z wtorku na środę podłożono na Starym Mieście, zabiła co najmniej jedną osobę i raniła kilka innych. Wiele budynków mieszkalnych przy ulicy Bab Tuma doznało poważnych uszkodzeń, jeden uległ całkowitemu zniszczeniu.

Rzecznik policji nie potwierdził, czy stoi za tym któryś z odłamów dżihadu, przyznał jednak, że sprawcy użyli dużej ilości materiału wybuchowego, o wiele większej niż zazwyczaj stosują zamachowcy-samobójcy.

„New York Times” umieścił ją w dolnym rogu jednej ze stron działu bliskowschodniego, „Washington Post” wcisnął jako zapchajdziurę w części międzynarodowej, a „Boston Globe” w ogóle nie uznał jej za godną odnotowania.

Wiadomość nie uszła uwagi komandora porucznika Ramshawe’a, który naturalnie od razu rozpoznał podany w niej adres i zinterpretował ją jako nekrolog Rawiego Raszuda vel Raymonda Kermana. Zatelefonował do Arnolda Morgana, który też już zdążył przeczytać to lakoniczne doniesienie i skontaktować się z ambasadą izraelską. David Gavron do niego oddzwonił i potwierdził, że to robota Mosadu, admirał wyczuł jednak w jego głosie dziwną niepewność i domyślił się, że nie wszystko poszło im gładko. Jego przypuszczenie potwierdziło się godzinę po telefonie od Jimmy’ego. Gavron odezwał się ponownie i już bez ogródek powiedział:

- Arnie, tak między nami, to trochę to spieprzyliśmy. - W paru zdaniach wyjaśnił, co zaszło w Damaszku i że trudno za to winić zespół operacyjny. - Kto mógł się spodziewać, że oni wrócą do domu osobno i z kimś innym? Śmiem twierdzić, że w tych okolicznościach każdy popełniłby ten sam błąd.

- Chyba masz rację - mruknął Arnold. - A więc znowu go zgubiliśmy. Przekażę chłopakom w Guantanamo, żeby spróbowali wyciągnąć od Salmana numer komórki, na którą dzwonił do Syrii, ale marna na to nadzieja, a poza tym na pewno i tak nie jest już aktualny.

*

Rawi i Szakira Mehadi, według doskonale podrobionych paszportów szacowni obywatele Jordanii, autorzy przewodników turystycznych pracujący nad nową publikacją na temat historycznych regionów winiarskich Bliskiego Wschodu, jechali w celach zawodowych do Izraela.

Podróż w tym kierunku jest nie tyle niebezpieczna, ile po prostu dziwna. Odległość z Ammanu do granicy na Jordanie wynosi zaledwie trzydzieści dwa kilometry. Jordańczycy wciąż uznają zagarnięty przez Izraelczyków region Zachodniego Brzegu za własne terytorium, wobec czego udający się tam turysta oficjalnie wcale nie opuszcza kraju. Służba graniczna nie stempluje więc paszportów, wydaje tylko blankietowe przepustki z zastrzeżeniem, że okaziciel nie zepuści się dalej niż do dawnej granicy. Okaziciel posłusznie zatem stwierdza, że do Izraela się nie wybiera, i swobodnie wjeżdża na spinający brzegi

biblijnej rzeki most imienia króla Husajna, który w połowie przeszła nagle zmienia nazwę na most Allenby'ego, a po drugiej stronie trafia na izraelski punkt kontroli granicznej. Urzędnicy rejestrują jego przybycie do Izraela, ale i oni nie pieczętują paszportu - głównie dlatego, żeby nie narobić turyście kłopotów na przyszłość - i wydają wizę na osobnym arkusiku. W ten sposób każdy, kto postawi stopę na Zachodnim Brzegu, przebywa w dwóch krajach naraz.

Most Króla Husajna jest jedynym przejściem między Jordanią a Izraelem, a przekroczyć go można tylko w jeden sposób: mikrobusem linii JETT. Nie jest do tego uprawniony żaden inny pojazd, nie ma też ruchu pieszego.

Rawi i Szakira, oboje przyodziani w tradycyjne szaty arabskie, przyjechali na przejście graniczne taksówką, przesiedli się do busika, przejechali za Jordan i stanęli w krótkim ogonku do okienka kontroli, starając się w miarę możliwości nie pokazywać twarzy kamerom monitoringu. Rawi na tę okoliczność przyprawił sobie długą, szpakowatą brodę, Szakira zaś, od stóp do głów okutana w czarną burkę z czadorem, zasłoniła jeszcze oczy okularami przeciwsłonecznymi i szła lekko przygarbiona o pół kroku za mężem, jak przystało na porządną muzułmańską żonę.

Po szybkim załatwieniu formalności ruszyli dalej piechotą, za cały bagaż mając niewielką skórzaną torbę i profesjonalny reporterski aparat fotograficzny. Mniej więcej półtora kilometra dalej podjechał po nich czarny sedan z niebieskimi tablicami rejestracyjnymi Autonomii Palestyńskiej, obejmującej Zachodni Brzeg Jordanu i strefę Gazy. Szofer uchylił przyciemnianą szybę, gestem nakazał wsiadać i gdy tylko zatrzasnęli za sobą drzwi, ruszył z powrotem na zachód. Bezpieczni i ukryci przed światem państwo Mehadi pozbyli się charakterystyki i z westchnieniem ulgi rozsiedli na wygodnej tylnej kanapie. Byli w dobrych rękach.

Dzielące ich od Jerozolimy sześćdziesiąt kilometrów pokonali autostradą w pół godziny. Po przedarciu się przez uliczny ruch czekała ich jeszcze dwugodzinna podróż do Gazy. Droga minęła bez przygód, przez wojskowy punkt kontroli przejechali bez indagacji i wkrótce znaleźli się na prowadzącej do samego morza ulicy Omar el-Mochtar.

W swej długiej historii Gaza była wielokrotnie niszczona i odbudowywana. Swoje znamię odcisnęli na niej krzyżowcy, Turcy, Saraceni, Brytyjczycy i Francuzi pod wodzą Napoleona. Arena niekończących się starć między Arabami i Izraelczykami, fedainami i armią, a także między zwalczającymi się różnymi palestyńskimi frakcjami, dzisiaj przedstawia chyba żałośniejszy widok niż kiedykolwiek. Na wpół zburzone budynki, pyliste, nieutwardzone ulice upstrzone gruzem i odpadami, a do tego osiem obozów dla uchodźców, ofiar kolejnych wojen, podczas których wykuwało się nowoczesne państwo izraelskie:

dziesiątek tysięcy pozbawionych domów ludzi przesyconych goryczą, rozczarowaniem wobec arabskich pobratymców i nienawiścią - po części usprawiedliwioną - do Izraela, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i całego Zachodu.

To była duchowa ojczyzna Rawiego Raszuda, urodzonego w Iranie i wychowanego w Anglii byłego oficera brytyjskiego, który kiedyś odpowiedział na mistyczny zew pustyni i jej ludu, ocalił od śmierci młodą Palestynkę, poślubił ją i całym sercem przystał do nowych współbraci.

Tu, w Gazie, narodził się i okrzepł Hamas, jedna z najgroźniejszych islamskich organizacji terrorystycznych, utworzony w 1987 roku przez fanatycznego szejka Ahmeda Jassina na wzór powstałego w 1928 roku w Egipcie Bractwa Muzułmańskiego. Słowo *hamas* oznacza entuzjazm lub zapal, ale jest też akronimem od *Harakat al-Muqawamah al-Islamiya*, Islamski Ruch Oporu. Hamas jest znany przede wszystkim ze spektakularnych, choć chaotycznych aktów przemocy wymierzonych w Izrael. Był zawsze tylko jedną z kilku podobnych i często rywalizujących organizacji palestyńskich i dopiero pod przewodnictwem nawróconego na islam i oddanego nowej sprawie Raymonda Kermana wysforował się na poczesne miejsce, usuwając w cień nawet słynną Organizację Wyzwolenia Palestyny Jasera Arafata.

Teraz Rawi i Szakira czuli, że wracają do prawdziwego domu, choć na palcach mogli policzyć spędzone tu wspólnie tygodnie. Kiedy przejechali przez centrum i znaleźli się na luźniej zabudowanym, pełnym zieleni przedmieściu, Szakira uśmiechnęła się szeroko.

- Zawsze lubiłam to miejsce, Rawi. Myślę, że będziemy tu szczęśliwi.

Raszud, który dotąd nie doszedł do siebie po niespodziewanym zamachu, tylko skinął głową, wcale nie taki pewny radoszej przyszłości.

Samochód skręcił w boczną uliczkę i zagłębił się w labirynt małych bloków mieszkalnych. Przy drugiej przecznicy kierowca zatrzymał się pod wysokim murem, wyróżniającym się czerwienią cegieł wśród otynkowanych na biało sąsiednich posesji. Wysiadł i zastukał do pokrytej lśniącem czarnym lakierem drewnianej bramy. Przez małe okienko zamienił kilka słów z odźwiernym czy wartownikiem, po czym zwrócił się do swoich pasażerów.

- Mogą państwo wysiąść, jesteście oczekiwani.

Jedno skrzydło bramy uchyliło się. Uzbrojony w kałasznikowa bojownik z głową omotaną tradycyjną chustą w biało-czerwoną szachownicę zaszalutował im po wojskowemu i poprowadził na niewielki, cienisty dziedziniec ze sporą fontanną pośrodku.

- Może zechcecie ugasić pragnienie - powiedział. - Zaraz poproszę pułkownika, panie

generale.

Rawi napełnił wodą dwa kamionkowe kubki, podał jeden żonie i jednym haustem wypił zawartość drugiego. Ledwo zdążył odstawić naczynie, drzwi domu otworzyły się z trzaskiem i na ganek wyszedł pułkownik Hassad Abdullah, towarzysz broni Rawiego z czasów napadu na więzienie Nemrod.

Dwaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie i beduińskim zwyczajem przez chwilę z powagą patrzyli sobie w oczy, a potem uścisnęli się z powściągliwą radością weteranów, którzy niejedno przeszli i niejedną śmierć widzieli, ale sami zdołali się jakoś kosztusze wywinąć.

- Nie znajduję słów, by wyrazić, jaką przyjemność sprawiło mi wasze przybycie, generale Raszud - rzekł na powitanie Abdullah. - Będziecie dziś gośćmi przy moim stole, ale potem przyjdzie się nam pożegnać. Naszych szefów bardzo zaniepokoił ten zamach i, krótko mówiąc, to mnie powierzyli dochodzenie w tej sprawie. Jutro wcześniej rano jadę do Damaszku.

- Zasmucasz mnie, Hassadzie. Miałem nadzieję, że choć kilka dni spędzimy razem. Powspominałoby się stare dzieje i o przyszłości pogadało...

- Niestety, mamy tylko dzisiejszy wieczór. Ta bomba przy Bab Tuma była dla nas wszystkich wielkim wstrząsem.

- Domyślam się, że nie wiadomo jeszcze, kto to zrobił.

- Ja w każdym razie nic nie wiem. Przerzucają mnie tylko pilnie do Syrii.

- Kto więc zostaje w domu?

- Tylko służba i dwóch ochroniarzy.

- Myślisz, że będziemy tu bezpieczni?

- Bez wątpienia, tym bardziej że oprócz mnie nikt tutaj nie wie, coście za jedni...

Niedziela, 12 lutego 2012 r., godz. 9.00. Ulica Bab Tuma, Damaszek

Pułkownik Abdullah przechadzał się ulicą od brzasku, starając się wydedukować, gdzie zamachowcy mieli swoją „dziupłę”. Nie ulegało wątpliwości, że willa Raszuda musiała być pod obserwacją - wynikało to niezbiecie z policyjnego raportu, w którym podkreślono, że eksplozja nastąpiła w kilka minut po powrocie Szakiry do domu. Pierwszym krokiem do wykrycia sprawców było więc ustalenie, skąd tę obserwację prowadzono. Potem już łatwiej będzie o dalszy trop - a ślady złoczyńca zostawia zawsze, trzeba tylko umieć je dostrzec. I wiedzieć, gdzie szukać.

Abdullahowi szybko udało się zawęzić pole poszukiwań. Policijni eksperci stwierdzili z całą pewnością, że Abdul Chan zginął w salonie na parterze i tam też była podłożona bomba - najprawdopodobniej pod stołem, o czym świadczyło to, że z mebla zostały tylko niewielkie drzazgi. Stąd płynął kolejny wniosek: ktokolwiek zdetonował ładunek, musiał widzieć, co się w pokoju dzieje. W grę wchodziły więc jedynie budynki po drugiej stronie ulicy, a widok na willę miały tylko trzy mieszkania. Tylko jedno z nich było puste.

Podjejrzenia Abdullaha jeszcze się wzmożyły po rozmowie z agentem pośrednictwa mieszkaniowego, który okazał się wyjątkowo niechętny do współpracy. I właśnie dlatego pułkownik wraz z młodym bojownikiem Hamasu stali teraz pod tylnym wejściem do kamienicy, w której przed kilkoma dniami czatowali na Raszuda agenci Mosadu. Bez trudu wyłamali zamek łomem i po chwili wbiegali schodami na ostatnie piętro. Z pokonaniem drzwi do niezajętego mieszkania poszło im jeszcze łatwiej. W milczeniu obeszlą puste pomieszczenia. Zbyt puste, pomyślał Abdullah. Na pierwszy rzut oka wyglądały, jakby nikt tam nigdy nie mieszkał. Profesjonalnie zatarte ślady...

Instynkt podpowiadał Abdullahowi, że jest we właściwym miejscu. Minimalnie rozsunął zasłony - ewidentnie nowiutkie, w gatunku o wiele za dobrym jak na tę rudere - i dyskretnie wyjrzał na zewnątrz. Miał stąd doskonały widok na ruiny zniszczonej willi, odruchowo się jednak cofnął, uświadamiając sobie, że gdyby to on miał prowadzić obserwację, nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Szparę widać byłoby dobrze nawet nocą przy zgaszonych światłach i któryś z ochroniarzy generała mógłby się tym zainteresować. Raz jeszcze przyjrzał się zasłonkom i wtedy je spostrzegł: dwie niewielkie, okrągłe dziury wycięte w tkaninie, w odstępnie około dziesięciu centymetrów. Spróbował przez nie wyjrzeć, ale rozstaw był za duży dla oczu... za to może w sam raz dla lornetki.

Pół godziny przeszukiwali całe mieszkanie, ale Jerry był prawdziwym zawodowcem - nie było tam nic do odkrycia. Pułkownik nie miał wątpliwości, że zamach na Rawiego był starannie zaplanowaną i brawurowo, a zarazem w pełni profesjonalnie przeprowadzoną akcją, choć jedynym namacalnym tego dowodem były dwa otworki w okiennych storach. Abdullahowi to jednak wystarczyło. Ktokolwiek to zrobił, musi zostać wytropiony i zlikwidowany.

Obraz rysował się coraz wyraźniej. Punkt obserwacyjny wybrany był idealnie. Mieszkanie wynajęto tylko na miesiąc; sąsiednie na tym samym piętrze kupili ci sami ludzie, a teraz zostało ponownie wystawione na sprzedaż - tyle przynajmniej Palestyńczyk się dowiedział od milkliwego pośrednika. Nowe zasłony z celowo wyciętymi dziurkami, niesamowita siła eksplozji i perfekcyjne zatarcie śladów dopełniały tej mozaiki. To nie była

partacka próba zabójstwa w wykonaniu jakiejś grupy amatorów, ale precyzyjna operacja militarna - to zaś samo w sobie zawężyło krąg podejrzanych. Na całym świecie generał Rawi Raszud miał tylko dwóch liczących się, zaciętych, nieubłaganych i potężnych wrogów: Stany Zjednoczone i izraelski Mosad. Nikt inny nie mógł aż tak go nienawidzić i nie dysponował takimi środkami, by się porwać na podobne przedsięwzięcie.

Polityczne kierownictwo Hamasu przyjęło ten punkt widzenia. W środę 15 lutego przewodniczący Tarik Fahd zwołał na godzinę dziesiątą nadzwyczajne zebranie w pokoju sytuacyjnym w podziemiu willi, w której zakwaterowano Rawiego i Szakirę. Byli tam pułkownik Abdullah, który dopiero co wrócił z Damaszku, jego zastępca major Fajsal Sabah, dwaj doradcy, Ahmed Alaam i Ali al-Fajed, oraz oczywiście oboje Raszudowie - Szakirę dopuszczono do tego ściśle męskiego grona, zdążyła bowiem wyrobić sobie opinię nieustraszonej i nieubłaganej dla wrogów bojowniczk.

Jedynym meblem w pozbawionym okien pomieszczeniu był duży stół. Zebrani zasiedli wokół niego na ułożonych wprost na kamiennej posadzce poduszkach. Wentylację zapewniał murowany wywietrznik z wylotem w ogrodzie, a dostępu broniły podwójne drzwi z grubych desek, za którymi objęli straż czterej uzbrojeni ludzie.

Tarik Fahd powitał wszystkich, służba wniosła dzbanki tureckiej kawy i podała ją w małych szklankach ze srebrnymi uchwyty, a do tego kilka gatunków bardzo słodkiej, sezamowej i migdałowej bakławy, tak uwielbianej w całym Lewancie. Nie tracąc czasu, przewodniczący przeszedł do tematu dnia.

- Nikt z nas nie ma już chyba wątpliwości, że ktoś bardzo zdeterminowany próbował zlikwidować naszego głównodowodzącego. Dzięki niech będą Allahowi miłosiernemu, że ten niecny zamiar się nie powiódł i możemy dziś powitać Rawiego i Szakirę wśród nas. Zgadząmy się wszyscy, że owym na razie niezidentyfikowanym wrogiom należy się krwawa zemsta. - Zamilkł na chwilę, jakby się wahał; wypił łyk smolistej kawy. - Chciałbym teraz przedstawić naszą wersję przebiegu wydarzeń, która powinna nas doprowadzić do oczywistej konkluzji. Będę się starał posługiwać wyłącznie znanymi nam faktami, unikając nieuzasadnionych domniemań. Zacznę więc od popołudnia trzynastego stycznia, kiedy to nasz brat Ramon Salman zadzwonił do generała i potwierdził, że atak na bostońskie lotnisko nastąpi zgodnie z planem. - Fahd zerknął na Raszuda, który skinął potakująco głową. - Kilka godzin później ta akcja została udaremniona przez wroga, głównie dlatego, że nasz bojownik jakimś cudem pozwolił, aby neseser z bombą dostał się w ręce policjanta. W ślad za tym pierwszym niepowodzeniem dostaliśmy dwa bolesne ciosy. Drugi z naszych braci zginął od policyjnych kul, a ranny Reza Aghani został ujęty. Zabrano go do szpitala Massachusetts

General, a potem ślad po nim zaginął. Nasi adwokaci w Stanach twierdzą, że Rezę szybko usunięto poza amerykański system sędziowski, co z całą pewnością oznacza, iż został przerzucony do któregoś z wojskowych ośrodków śledczych, najprawdopodobniej w Guantanamo. Przyjmijmy na razie, że trafił na Kubę nie później niż osiemnastego stycznia. Dziwnym trafem już następnego dnia nowojorska policja aresztowała Ramona Salmana, który jednak również nie trafił w tryby cywilnej maszyny prawnej. Nie mamy dowodów, że wywieziono go do Guantanamo, ale jest to bardzo prawdopodobne. Należy więc założyć, że do dwudziestego trzeciego stycznia, po trzech dniach tortur i brutalnych przesłuchań, Salman mógł im wszystko powiedzieć. - Tarik zrobił dramatyczną pauzę, po czym podniesionym głosem dokończył: - I oto cztery dni później do kamienicy naprzeciwko willi generała przy Bab Tuma w Damaszku wprowadził się zespół uderzeniowy, który dokonuje profesjonalnego zamachu na jego życie w stylu sił specjalnych.

- Jak wyszkoloną miałeś ochronę, Rawi? - spytał Abdullah. - Nie zaskoczyło cię, że tak łatwo dali się wykończyć?

Raszud zamyślił się. Szakira dołała mu kawy; wypił łyk i rzekł:

- Patrząc na to z perspektywy czasu, muszę ci przyznać rację, Hassadzie. To naprawdę zdumiewające. Jeden z nich zdobywał ze mną Nemrod, sam go może pamiętasz. Szedł w pierwszej linii, zlikwidował wartowników przy bramie i zniszczył sprzęt łącznościowy. To był wysokiej klasy bojownik.

- Z drugiej strony dobrze wiemy, że łatwo o sukces, kiedy się działa z zaskoczenia - zauważył Tarik Fahd. - Podczas szturm na więzienie mieliście tę przewagę, ale w Damaszku było inaczej, nie?

- Zgadza się - przytaknął Rawi. - Niemniej trudno mi sobie wyobrazić, jak tacy świetnie wyszkoleni ochroniarze mogli dać się podejść atakującym.

- Którzy byli albo Izraelczykami, albo Amerykanami - dodał Fahd. - Co do tego nie ma chyba wątpliwości. Co prawda nie wydaje mi się, aby Jankesi zdołali w tak krótkim czasie przerzucić do Damaszku swoich komandosów, ale wykluczyć tego nie mogę.

- Ktokolwiek to zrobił, był fachowcem na miarę Navy SEALs - zgodził się Raszud. - To mogli być albo oni, albo Mosad. Innej możliwości nie widzę.

- A co powiesz o brytyjskiej SAS? - spytał z przekornym uśmiechem pułkownik Abdullah. - Oni przecież tyle zrobili dla Izraela, a o ich sprawności sam najlepiej możesz zaświadczyć.

- Tak, oni z pewnością potrafiliby czegoś podobnego dokonać. Tylko że za poprzedniego laburzystowskiego rządu brytyjska armia tak ucierpiała finansowo, że dotąd się

nie pozbierała i chyba już nie wróci do dawnej świetności. Nie, Brytyjczycy nie są już zdolni do tak szybkiego działania. Pozostają więc tylko te dwa warianty.

- A ty za którym byś się opowiedział? - spytał Fahd.

- Za oboma - odrzekł Rawi po namyśle. - Oni musieli współpracować. Amerykanie szykują się do rozmów pokojowych i sami nie ryzykowaliby przyłapania na burzeniu damasceńskiej starówki.

- Dobra uwaga - pochwalił Tarik. - Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że Jankesi rozpracowali naszą siatkę, torturami wymusili zeznania na aresztowanych, a potem wystawili Rawiego Żydom.

- Też tak uważam. Przypomnę też, że Mosad zawsze woli posłużyć się bombą niż kulą. Z pewnością nie wybaczyli mi śmierci swoich agentów w Marsylii.

- Że nie wspomnę o wystrzeleniu klawiszy w Nemrod i odbiciu wszystkich najniebezpieczniejszych więźniów politycznych... - Przewodniczący popadł w zadumę, po czym spytał: - Co więc o tym sądzicie? Będziemy szukać zemsty?

- Oczywiście! - wykrzyknął Rawi. - Nigdy nie wolno nam potulnie przyjmować tak poważnych ciosów bez natychmiastowego odwetu. Problem tylko w tym, że Mosad zdążył się już zorientować, że ich akcja zakończyła się kompletnym fiaskiem, i zdwoi czujność. Poza tym aż za dobrze wiemy, że oni na każdy atak odpowiedzą jeszcze silniejszym. Gdyby nam się udało, a oni by się zwiedzieli, że to nasza robota, mogliby całą Gazę zrównać z ziemią.

- Zwiedzieliby się? - Tarik zaśmiał się gorzko. - Jeśli cokolwiek im się stanie, to automatycznie nas obciążą winą, zanim jeszcze kurz opadnie.

- Wszystko to prawda, ale uważam, że musimy poświęcić trochę czasu na zaplanowanie poważnego uderzenia albo w Amerykanów, albo w Żydów - upierał się Raszud.

- To musi być coś niespotykanego, dramatycznego. Coś, co trafi na czołówki największych gazet i sprawi, że usiądą i zaczną nas słuchać, jak jeszcze nie słuchali, nawet po World Trade Center.

- Można by wysadzić w powietrze kwaterę główną Mosadu w Tel Awiwie - zaproponował Abdullah.

- Tak, jeśli poświęcilibyśmy ze dwudziestu najlepszych ludzi - odparł Rawi. - Tylu by potrzeba i z góry wiadomo, że żywi by z tego nie wyszli.

- A z taką stratą nie możemy się pogodzić - orzekł stanowczo Tarik. - Na miecz Proroka, to byłoby wielkie marnotrawstwo! Wierzę jednak, że Allah wskaże nam drogę.

- Allah jest wielki! - zaintonował Raszud.

Wszyscy obecni powtórzyli to znane już na całym świecie islamskie zawołanie,

Allahu akbar, wstęp do wyznania wiary. Potem już ciszej złączyli się w modlitwie:

Ciebie jednego o wsparcie prosimy. Wiedź nas prostą drogą, którą przed nami kroczyli ci, których sobie upodobałeś. Światłość nad światłości, Bóg prowadzi kogo chce do swej chwały...

Waszyngton

Niemal stała obecność admirała Arnolda Morgana u boku głowy państwa nie wszystkim z prezydenckiego personelu była w smak. Szczególną antypatią darzyli go etatowi autorzy przemówień - trzej młodzi jeszcze absolwenci renomowanych uczelni, którzy z całych swoich zarozumiałych dusz wierzyli, że tylko oni wiedzą, co prezydent powinien mówić - a to się czasem przeradza w przekonanie, że powinien ich również słuchać. Nie zawsze i nie u wszystkich, na tyle jednak często, by najbliżsi jego współpracownicy traktowali ich bardzo nieufnie.

Przygotowywanie przemówień dla prezydenta z biegiem lat stało się działalnością kolektywną. Ktoś tworzył pierwszy szkic, poddawał go pod dyskusję, potem korekta, adiustacje, nowe myśli i nowe szkice... „Na Boga, tego to on lepiej niech nie mówi!... Dlaczego? W końcu on tu rządzi, nie?... Tak, ale wiesz, jak się prasa na niego rzuci za coś takiego?... Rzuci się tak czy owak... Tak, ale... Nie, ale... Możliwe, ale...”

Gdyby im tylko pozwolić, poprawiliby Szekspira. Być albo nie być [skreślić drugie „być”, zbędne], oto jest pytanie [zamienić „pytanie” na „problem” - więcej zdecydowania, mniej niepewności]. Po paru latach nieustannych takich zakulisowych literackich manewrów łatwo zapominają, że słowa prezydenta niewiele muszą mieć wspólnego z czynami, i gotowi są uwierzyć, iż ich myśli i słowa są równoznaczne z rzeczywistą polityką.

Kiedy więc na arenę wkracza tyran w rodzaju Arnolda Morgana i daje jasno do zrozumienia, że nie obchodzi go, kto co komu kiedy powie, tylko to, co prezydent naprawdę zrobi, wśród skrybów zaczyna wrzeć - zwłaszcza jeżeli ów tyran sam coś nagle ułoży, da sekretarkom do przepisania i każe niezwłocznie przekazać dziennikarzom w imieniu prezydenta, dodając przy tym, żeby ktoś „powiedział tym dupkom od przemówień, by nie ważyli się zmienić po drodze choćby słóweczka”.

Dyplomacja w stosunkach międzyludzkich nigdy nie była mocną stroną admirała, a mimo to świetnie sobie radził na kierowniczych stanowiskach. Na swoim okręcie podwodnym rządził żelazną ręką, a cała załoga wielbiła go jak herosa. Jako dyrektor Agencji

Bezpieczeństwa Narodowego budził grozę nie tylko w jej wielotysięcznym personelu, ale w każdym, kto musiał mieć z nim do czynienia, włącznie z dowódcami wyższego szczebla, dyplomatami i głowami państw.

Kiedy poprzedni prezydent zatrudnił go jako doradcę do spraw bezpieczeństwa, Morgan w kilka dni zburzył ustalony protokół, pomijając drogę służbową i rozmawiając wyłącznie z nim, a każdy, kto próbował zwrócić mu uwagę, rychło tego żałował. Admirał nie był więc w pewnych kręgach Białego Domu szczególnie lubiany, natomiast cieszył się pełnym zaufaniem dwóch prezydentów i przez krótki czas także trzeciego, poprzednika Paula Bedforda. James Clarke praktycznie zawdzięczał Morganowi prezydenturę, później jednak uznał, że świetnie się obędzie bez jego rad - na swoją zgubę. Nie dokończył kadencji, zmuszony wybierać między rezygnacją a impeachmentem.

Arnold Morgan był człowiekiem dla wielkich ludzi. Tylko naprawdę inteligentni darzyli go sympatią; reszta traktowała go z podejrzliwością typową dla bardziej ograniczonych umysłów, na jaką niczym nie zasługiwał: działał bezinteresownie, nie domagał się zapłaty i nie miał ambicji politycznych, a patriotyzmem mógłby obdzielić jeszcze kilka osób. Ilekroć przechodził obok wiszącego w korytarzu Białego Domu portretu Dwighta Eisenhowera, salutował skinieniem głowy. W domowym gabinecie miał podobiznę generała Douglasa MacArthura; gdy czasem siedział tam w samotności, zmagając się z jakimś trudnym problemem, zazwyczaj kończył dywagacje mrukliwym „Tak powinna postąpić Ameryka. Może to za mocne dla Angoli czy naszych zaoceanicznych koleśków wagi piórkowej, ale nie dla Wujka Sama”. I wtedy podnosił wzrok na portret z rześkim „Prawda, sir?”, jak gdyby się spodziewał, że generał mu odwarknie: „Racja, admirał”.

Czy takiego człowieka mogą zrozumieć o połowę młodszy magistrowie zżerani wybujałą ambicją?

Inna rzecz, że ten weteran zimnej wojny, nieufny wobec Rosji, Chin i „turbaniarzy”, niczego nie oczekiwał od tych, którzy według niego nie liczą się w Waszyngtonie - byle byli lojalni wobec ojczyzny, murem stali za wojskiem i bez szemrania wykonywali polecenia.

Podczas kryzysu z bombą na Logan prezydent trzymał swoich skrybów na dystans, i to dosłownie. Godzinami przesiadywał z Morganem w Gabinecie Owalnym, niedostępny dla nikogo oprócz urzędującego doradcy do spraw bezpieczeństwa, profesora Brett. To Arnold przygotował mu oświadczenie dla prasy i on za niego decydował o losie terrorystów. Jeszcze gęstsza zasłona tajemnicy okrywała sprawę lotu TBA 62, rzekomo zaginionego nad Atlantykiem na wysokości Norfolku. Po Białym Domu krążyły różne pogłoski, ale nikt nie znał najdrobniejszego faktu, ponieważ prezydent także w tej kwestii pracował wyłącznie ze

swymi dwoma doradcami - profesor Brett zaś, wykładowca z West Point i były wyższy oficer, za bardzo był podobny do Arnolda Morgana, żeby zdobyć zaufanie młodych wilków z biura prasowego.

Ani prezydent, ani admirał nie byli urodzonymi politykami. Żaden nie miał tego szóstego zmysłu, który ostrzegałby przed osobistym zagrożeniem i umożliwił knucie intryg. Na średniowiecznym dworze poszliby pod topór po pierwszych dziesięciu minutach.

Tymczasem w Białym Domu warzyła się na wolnym ogniu intryga. Do prasy trafiały drobne aluzje. „Prezydent nie widział potrzeby wtajemniczenia swoich najbliższych współpracowników... Prezydent podejmuje takie decyzje, konsultując się tylko z admirałem Morganem... W Białym Domu jest dzisiaj mniej demokracji niż kiedykolwiek przez ostatnie czterdzieści lat”.

Na razie były to tylko krople padające na ocean. Dziennikarze nie wywęszyli jeszcze rosnącego niezadowolenia części personelu. Nikomu nie przychodziło do głowy, że ktoś może działać na szkodę Paula Bedforda i jego jastrzębia, Morgana. Akcja była już jednak w toku.

Młode wilki miały nieograniczony dostęp do mediów jako instytucji, ale przede wszystkim do ludzi: reporterów, felietonistów, spikerów. Było tylko kwestią czasu, by któryś z nich pomógł koledze z tej czy innej gazety stworzyć sążnisty artykuł na temat dominującej pozycji Arnolda Morgana w Gabinetcie Ovalnym. I niewykluczone, że zacząłby się on od pytania, co się naprawdę stało z lotem TBA 62.

Zrobił to w końcu niejaki Anthony Hyman, trzydziestoletni absolwent Yale i doktor nauk politycznych z Oksfordu. Anthony wcześniej nakreślił swój życiowy plan. Po rozpoczęciu pracy w Białym Domu zamierzał w półtora roku wybić się na stanowisko szefa zespołu, po pięciu latach miał nadzieję zostać asystentem senatora - najlepiej z rodzinnego stanu Connecticut, ale niekoniecznie - a na długo przed czterdziestką wystartować do wyborów parlamentarnych.

Był mężczyzną otyłym, ze skłonnością do sarkazmu i krytykowania każdego o mniej oczywistych zaletach. Na świat patrzył przez grube szkła w złotych oprawkach z wyżyn niebosiężnej zarozumiałości i pewności siebie; kroczył po korytarzach szparkim, sprężystym krokiem i miną zapracowanego windykatora. Kręcone włosy nosił przydługie, co dziwnie harmonizowało z wiecznie wygniecionymi garniturami. W mało atrakcyjnej cielesnej powłoce krył się bystry umysł bezsprzecznie najlepszego speechwritera w prezydenckim zespole. Wielu go serdecznie nie znosiło, ale jego własna lista osób nielubianych była jeszcze dłuższa, a na niekwestionowanym pierwszym miejscu figurował na niej admirał Arnold

Morgan.

Zdarzyło się kiedyś, że Hyman przygotował oświadczenie dla prasy, chcąc udobruchać bardziej liberalne media. Prezydent nie był przekonany, że to konieczne, a że wypowiedź dotyczyła spraw wojskowych, zapytał o zdanie Wielkiego Człowieka, Morgan ledwie rzucił okiem na wydruk, podał go i wyrzucił z niesmakiem do kosza. Parę miesięcy później naraził się Hymanowi ponownie. Było to w dniu eksplozji bomby w Bostonie. Admirał osobiście sporządził szkic tekstu prezydenckiego wystąpienia i co najmniej trzy osoby słyszały, jak burknął: „Daj to komuś do wygładzenia, ale na rany Chrystusa, byle nie temu tłustemu cymbałowi, który gdzieś posiał mózg dany mu przy narodzinach”. Hyman miał wystarczająco wielu wrogów, by tak smakowita ploteczka szybko się rozniosła po Białym Domu, i naturalnie znalazł się ktoś, kto dopilnował, by słowa admirała dotarły do bezpośrednio zainteresowanego.

„Tłusty cymbał” dyszał odtąd żądzą odwetu i teraz nadarzała się po temu okazja. Postanowił wykorzystać w tym celu znajomość z komentatorem politycznym „Washington Post”, Henrym Brady. Rasowy dziennikarz nie przepuści takiej gratki i tak to pewnego mroźnego lutowego wieczoru w zacisznym barze w wirginijskiej Alexandrii nad piwem i pierścieniami smażonej w cieście cebuli Anthony Hyman sypnął prezydenta i Arnolda Morgana nie gorzej niż Ramon Salman generała Raszuda.

Zaczął od opisu ich osobistej zażyłości - tak dużej, że Morgan nawet nie puka, wchodząc bez zaproszenia do Gabinetu Owalnego, czym wyprowadza z równowagi sekretarki i asystentów prezydenta - ubarwił to informacją o przyjaźni łączącej Pierwszą Damę z panią admirałową, po czym przeszedł do meritum. Zarzucił Bedfordowi, że nigdy nie pyta nikogo innego o zdanie, kiedy już Morgan narzuci mu swój punkt widzenia; że polega na admirałe nawet w kwestii formułowania wypowiedzi na drażliwe tematy, nie konsultując się nawet ze swymi tak przecież świetnymi fachowcami z działu prasowego.

- Mówię ci, Henry, nasz prezydent ma do dyspozycji najlepsze pióra i niezawodny trust mózgow, ale bywa, że nawet nie spojrzy w naszą stronę, zwłaszcza kiedy wpieprza się ten stary tyranozaur z zamierzchłej epoki.

- Rozumiem cię, Anthony - odrzekł dziennikarz. - Ale ten dinozaur, jak go nazwałeś, cieszy się wielkim szacunkiem w międzynarodowych kręgach wywiadu i niejeden poważny problem rozwiązał z korzyścią dla kraju. Tak poważny, że mało kto kiedykolwiek się o tym dowie. To, co mi tu serwujesz, to naprawdę świetny materiał na tło, ale nie widzę w tym nic naprawdę ekscytującego...

- Cierpliwości, dojdziemy i do tego. Nie spieszysz się chyba?

- Jasne że nie, ale powiem wprost: nikt nie będzie zainteresowany opublikowaniem wielkiej antimorganowskiej historii bez jakichś konkretów wagi ciężkiej. To bardzo mocny gość, a do tego nie cierpi nas, żurnalistów.

- Dobra, dobra... Wysłuchaj mnie spokojnie, co? Weźmy na przykład ten zamach bombowy w Bostonie. Mogę ci powiedzieć, że Bedford cały ten dzień przesiedział z Morganem w Gabinetcie Ovalnym, a podjęto wtedy sporo istotnych decyzji, szczególnie w kwestii ujętego terrorysty. Wiesz... jak, kto i gdzie ma go przesłuchiwać i tak dalej. Wiadomo, że od chwili aresztowania twardo odmawiał zeznań. Wiem też, że to Morgan kazał go przewieźć ze szpitala cywilnego do wojskowego w Bethesdzie. Pierwszy krok do przekazania go pod ścisłą kontrolę armii, kapujesz?

- No, tego faktycznie nie wiedziałem. - Brady wyraźnie się zaciekawił.

- Nie wiesz też, gdzie ten zamachowiec jest teraz.

- Przypuszczam, że nadal pod strażą w szpitalu?

- Pudło, staruszku. On jest od prawie dwóch tygodni w Guantanamo.

- Poważnie? No, to już jest coś!

- To nie wszystko. Dwa dni po Logan nowojorscy gliniarze wpadli na trop innego terrorystycznego spisku i aresztowali koordynatora akcji bostońskiej.

- Nie gadaj!

- Tak jest! I zgadnij, co z nimi zrobili? Szanowny admirałek też natychmiast wysłał go do Gitmo.

- I tobie o tym powiedział, co?

- Mnie nie. Ale rozmawiałem z każdym, kto powinien mieć w tej sprawie coś do powiedzenia, i nikt nic nie wie, wyobraź sobie. Prezydent z Morganem wszystko załatwili sami, nawet bez zasięgnięcia niezbędnej porady prawnej.

- Chcesz powiedzieć, że ci dwaj rządzą Białym Domem niczym jakaś cholerna junta?

- spytał Brady, który w takich sytuacjach przywykł myśleć gotowymi nagłówkami na pierwszą stronę.

- Z ust mi to wyjąłeś! - Hyman uśmiechnął się, rozbawiony tym sformułowaniem. - Od tamtego czasu prezydent dwukrotnie wygłaszał oświadczenie w telewizji, ale ani razu nawet nie wspomniał o tym swoim nadwornym pisarzom. Ale teraz nadstaw ucha, bo zacznie się naprawdę interesujący wątek. Może nie zwróciłeś na to uwagi, ale tego samego dnia doszło do katastrofy samolotu pasażerskiego nad Atlantykiem, jakieś osiemdziesiąt kilometrów na wschód od Norfolku. Naturalnie paru waszych ludzi wyskoczyło z pytaniem, czy to może mieć coś wspólnego z bombą w Bostonie, na co rzecznik kategorycznie

odpowiedział, że absolutnie nic. Prezydent w przemówieniu tylko przelotnie napomknął o tym zbiegu okoliczności, dodając zaraz, że rząd nie ma żadnych danych o tym locie ani nawet o linii, do której należała zaginiona maszyna. Kontrola lotów potwierdziła tylko, że był to boeing 737 i że zniknął z radarów nad oceanem. I wydawało się, że na tym się skończy...

- Ale się nie skończyło?

- Stary, Biały Dom jest jak zwykła wiocha i plotki rozchodzą się tam błyskawicznie. Bardzo wielu z tych, którzy się na tym znają, twierdzi, że kryje się za tym coś znacznie większego. Co więcej, Arnold Morgan maczał w tym palce aż po łokcie.

- Zaczynam się bać, Anthony...

- Wieść gminna niesie, że trzynasty stycznia miał być następnym jedenastym września. Zamach na Logan był dziełem Al-Kaidy, która chciała w ten sposób uczcić pamięć swoich kołesiów z lotu American 11 i United 175, które, jak pewnie pamiętasz, startowały właśnie z Bostonu. To by nie było nic nadzwyczajnego, nie? No to słuchaj dalej. Trzy czy cztery godziny później ci sami ludzie zamierzali staranować pasażerskim liniowcem Kapitol w Waszyngtonie. To był właśnie ten lot TBA 62, który niby zatonął w Atlantyku.

- I nikt nie wie, dlaczego plan terrorystów się nie powiódł?

- Nikt nie ma zielonego pojęcia, co się z nim stało, i nikt też niczego ci nie powie. Ja jednak rozmawiałem z jedną waszyngtońską szyszką. Facet jest przekonany, że Morgan wymusił na prezydencie wysłanie myśliwców, żeby ten samolot zestrzeliły. Z niewinnymi cywilami na pokładzie, uważasz? I wyobraź sobie, Bedford go posłuchał.

Dziennikarzowi szczęka opadła z wrażenia. Wychylił resztę piwa jednym haustem, otarł usta i rzekł:

- Zagadka rzeczywiście niezła. Można by nad nią pracować całymi latami i do niczego nie dojść, Anthony. Jak sam powiedziałaś, nie wiadomo nawet, gdzie ten boeing spadł.

- Łatwo na pewno nie będzie - przytaknął Hyman. - Ale mógłbyś zacząć na przykład od rozpracowania Thunder Bay Airways. Samolot należał do nich, wiedzą zatem, kto był na pokładzie, a może nawet się domyślają miejsca katastrofy. Pilot mógł im na przykład przekazać zmieniony plan lotu czy coś w tym rodzaju. No niech tam, dorzucę ci jeszcze coś. Właścicielem linii jest spółka arabska...

*

Takim to sposobem 23 lutego w porannym wydaniu „Washington Post” ukazał się dwustronicowy artykuł poświęcony karierze i triumfom Arnolda Morgana ze szczególnym uwzględnieniem jego roli w wyniesieniu Paula Bedforda do władzy, kiedy poprzedni prezydent nie chciał stosownie zareagować na wyjątkowo groźny terrorystyczny atak na

USA. Autor podkreślał, jak wielu ludzi ze sfer rządowych polega na opinii admirała, jakim mirem cieszy się wśród generalicji, którą gorliwie wspiera w jej kasandrycznych ostrzeżeniach i związanych z nimi finansowych oczekiwaniach. Wskazał jednak i drugą stronę medalu: bezceremonialne zachowanie wobec innych, nieliczenie się z niczym zdaniem i łatwość robienia sobie wrogów (o ile wymagał tego interes kraju).

Artykuł kończył się stwierdzeniem, że prezydent Bedford żadnej ważnej decyzji politycznej nie podejmuje bez konsultacji ze swoim nieoficjalnym, wpływowym doradcą, ignorując rady współpracowników, do których nie tak dawno miał pełne zaufanie. Większość akapitów zaczynała się od sformułowań w rodzaju: „Jak twierdzą wtajemniczeni...”, „źródła zbliżone do prezydenta utrzymują...” czy „personel żywi obawy, że...” Nie padło ani jedno nazwisko, nie wymieniono niczyjej funkcji. Przesłanie było jednak oczywiste: Admirał Arnold Morgan ma zadziwiająco duży wpływ na poczynania Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej, co wprawdzie niektórym bardzo odpowiada, ale są też inni, którzy uważają to za zwrot w niepożądanym kierunku i skumulowanie zbyt dużej władzy w rękach zaledwie dwóch osób, na dodatek nader niechętnych do konsultowania się z ekspertami, prawnikami i politykami.

Oprócz zasadniczego artykułu gazeta zamieściła okazałych rozmiarów „ramkę” na trzy kolumny, ozdobioną zdjęciem Morgana w galowym mundurze admirałskim na tle złowrogiej sylwetki atomowego okrętu podwodnego klasy Los Angeles. Nagłówek krzyczał:

CZY ADMIRAŁ PRZEJĄŁ STER 13 STYCZNIA?

JAKI NAPRAWDĘ LOS SPOTKAŁ

ARABSKIEGO BOEINGA?

Treść była jeszcze bardziej intrygująca niż chwytliwy tytuł: opinia publiczna nie została poinformowana o prawdziwej skali zamierzeń terrorystów z Al-Kaidy bądź którejś ze stowarzyszonych organizacji, być może palestyńskiego Hamasu. Brady stwierdził wprost, że ranionego przez policję zamachowca z Bostonu przerzucono ze szpitala Massachusetts General do więzienia w Guantanamo i że w wyniku skrupulatnego dziennikarskiego śledztwa dowiedział się, iż kolejni trzej ludzie zostali aresztowani w Nowym Jorku i co najmniej jeden z nich również natychmiast trafił do amerykańskiej enklawy na Kubie - w obu wypadkach nastąpiło to zaś na wyraźny rozkaz Arnolda Morgana. Brady napisał:

W całej historii Stanów Zjednoczonych żaden cywil ani emerytowany oficer, niewybrany i niemianowany na jakikolwiek oficjalny urząd, nie dysponował tak ogromnymi wpływami w Gabinetcie Ovalnym, jakie zdaje się mieć admirał Morgan.

Po tak obszernym wstępie następowała relacja z wydarzeń z dnia 13 stycznia, skompilowana z serii wywiadów z rzecznikiem prasowym centrum kontroli lotów w Herndon, osobiście przeprowadzonych przez autora, któremu udało się tam wkroczyć dzięki tupetowi i łutowi szczęścia. Wiele się wprawdzie nie dowiedział, ale wszystko skrzętnie wykorzystał. Rzecznik przyznał, że operatorzy centrum monitorowali lot TBA 62, który utrzymywał pierwotny kurs północny nad oceanem mimo polecenia z wieży, by odbić w lewo, nad ląd.

- Jaki był powód waszego polecenia zmiany kursu?

- Niestety, nie mogę powiedzieć. To tajemnica służbowa.

- Czy raczej wojskowa?

- Przykro mi, sir. Bez komentarza.

- Ale to utajniona informacja, tak?

- Tak jest.

- Jak długo jeszcze śledziliście ten samolot od chwili, gdy pilot odmówił wykonania zwrotu?

- Nie powiedziałem, że odmówił. Powiedziałem, że utrzymywał pierwotny kurs.

- Wbrew wyraźnemu nakazowi kontroli lotów?

- Niekoniecznie, sir. Mogli mieć jakąś awarię elektroniki i nie odbierali naszych sygnałów. Nie mieliśmy z nimi łączności, więc traktujemy to jako wypadek, a nie odmowę.

- Dobra, w takim razie sformułuję to inaczej. - Brady nie dawał za wygraną. - Jak długo śledziliście ten lot od chwili, gdy zauważyliście, że nie reaguje na wasze rozkazy?

- Niecałą godzinę, sir. Mieliśmy go na radarze, gdy był o osiemdziesiąt kilometrów od brzegu.

- A potem zniknął?

- Tak jest.

- Czy macie w zapisach wysokość, na jakiej leciał?

- Z pewnością, sir.

- Czy mógłbym to zobaczyć?

- Żałuję, ale cała dokumentacja została przekazana instytucji rządowej, która zajmuje się badaniem takich spraw.

- Może ktoś wobec tego pamięta, czy zniknął wam z oczu na pułapie dziesięciu kilometrów, czy na przykład pół kilometra?

- Może i ktoś to zapamiętał, ale i ta informacja byłaby utajniona do czasu, gdy dochodzenie przyniesie zadowalające rezultaty i rząd zezwoli na upublicznienie dokumentacji.

- Proszę pana, ja tylko staram się ustalić, czy straciliście z oczu ten samolot z kompletem pasażerów gdzieś hen, w stratosferze... na przykład wskutek wybuchu bomby czy czegoś takiego. A może on po prostu doznał poważnej awarii mechanicznej?

- Jestem pewien, że kiedyś to wszystko wyjdzie na jaw, panie redaktorze. Na razie jednak nikt na takie pytania nie umie odpowiedzieć.

Nie mogąc pokonać twardego jak opoka interlokutora, Brady spróbował go postraszyć.

- Proszę pana, reprezentuję najbardziej wpływowy dziennik polityczny w kraju. Uważam, że Amerykanie mają prawo wiedzieć, co się stało, jeżeli dochodzi do katastrofy, w której giną ich rodacy.

- Mogę więc uspokoić pańskich czytelników. Na pokładzie lotu TBA 62 nie było obywateli USA. Samolot był zarejestrowany i bazował w Kanadzie, gdzie znajduje się też siedziba eksploatującej go firmy. Leciał tranzytem bez planowanego międzylądowania na naszym terytorium.

- Skąd pan to wie, skoro nie mieliście z nim łączności?

- Każdy lot, panie redaktorze, opatrzony jest numerem umożliwiającym jego rozpoznanie. Kontaktowaliśmy się, naturalnie, z właścicielem.

- Czyli z Thunder Bay Airways?

- Tak jest. I oni pewnie będą w stanie pomóc panu bardziej niż my.

Te ostatnie zdania sprawiły, że Henry natychmiast po zakończeniu rozmowy zadzwonił do biura małych linii lotniczych na zasypanym śniegiem brzegu Jeziora Górnego. Bez trudu się dowiedział, że zaginiony boeing leciał prawie pusty, miał niezaplanowane lądowanie w Palm Beach dla uzupełnienia paliwa, a wśród nielicznych pasażerów rzeczywiście nie było ani jednego Amerykanina. Prezes przedsiębiorstwa potwierdził utratę samolotu nad Atlantykiem, jak stwierdziła amerykańska kontrola lotów. Możliwe położenie wraku znał z dokładnością nie większą niż ponad sześć tysięcy kilometrów kwadratowych. O ile mu wiadomo, dalsze poszukiwania nie są prowadzone. Tak, może powiedzieć, że członkowie zarządu są pochodzenia arabskiego, a większość udziałowców to bogaci Saudyjczycy. To oficjalne informacje z rejestru sądowego.

Henry Brady miał więc już garść oderwanych faktów, które jednak przyczyniły się raczej do zaciemnienia niż wyjaśnienia zagadki. I bardzo mu to odpowiadało - o ile będzie mógł wykazać, że w centrum tych wydarzeń tkwi szara eminencja Białego Domu, admirał Arnold Morgan.

To jednak wymagało szeregu niepewnych założeń i przypuszczeń. Brady był jednak dziennikarzem, nie prokuratorem. Pracował dla prywatnej korporacji i miał określone obowiązki: dbać o poziom sprzedaży, produkując ironiczno-cyniczne kawałki podszczypujące rząd, a nie mozolić się nad odkrywaniem czystej prawdy. Niepewne założenia i bezpodstawne domysły były jego narzędziem roboczym i zamierzał posłużyć się nimi także w sprawie lotu TBA 62. Po krótkim przedstawieniu niekwestionowanych faktów napisał:

Jaki więc naprawdę los spotkał ten odrzutowiec pasażerski, lecący legalnie przez amerykańską strefę powietrzną z pasażerami na pokładzie? Czy rzeczywiście doszło do „katastrofalnej w skutkach awarii”, czy też zadziałały tam jakieś bardziej złowrogie siły? Jako reporter z dwudziestoletnim stażem jestem bardzo wyczulony na uniki i mydlenie oczu. Potrafię się zorientować, kiedy ktoś wykręca się od odpowiedzi na moje rzeczowe pytania, zadawane w imieniu rzesz czytelników.

A w tej sprawie z całą pewnością natknąłem się na mur niechęci. Odmawiano mi wszelkich informacji poza tymi oczywistymi - jak ta, że samolot zniknął z ekranów radarowych. Nie wiadomo dlaczego i nie bardzo wiadomo gdzie, jako że nie było łączności z kokpitem. Tajemnicę pochłonał Atlantyk.

Dalej Brady już się nie mógł posunąć. Ale artykuł miał być o Arnoldzie Morganie, trzeba więc było wymyślić efektowne zakończenie...

Zastanówmy się zatem nad następującą hipotezą. Czy przyczyną katastrofy boeinga mogła być bomba? A może ten lot był w jakiś sposób powiązany z zamachem na bostońskie lotnisko Logan? I czy w związku z tym nie został przypadkiem zestrzelony z zimną krwią przez amerykańskie myśliwce z rozkazu prezydenta wydanego za radą jego prawej ręki, admirała Morgana? W Białym Domu są ludzie, którzy tak właśnie uważają.

Brady oczywiście dobrze sobie zdawał sprawę, że wysnuwa wnioski na podstawie bardzo mglistych domniemań, przyjął jednak za dobrą monetę słowa Hymana, który zapewniał go, że to podejrzenie wyszło z ust wysokiego urzędnika kancelarii prezydenckiej. Jak przystało na reportera, postanowił zaryzykować. Jeżeli Biały Dom wyda stanowcze

dementi, to co z tego? Tylko podsycą w ten sposób kontrowersje. Jeśli zaś nikt nic nie odpowie, jego teza zacznie wyglądać jeszcze wiarygodniej.

Henry nie wiedział, że jego artykuł pociągnie za sobą poważne reperkusje, a tym bardziej że zaczną się one dziesięć tysięcy kilometrów od Waszyngtonu, w podziemnym pomieszczeniu willi na przedmieściach Gazy.

*

Generał Raszud pasjami lubił czytać prasę. Kiedy mieszkali z Szakirą w Damaszku, trzy razy w tygodniu kupowali w najszlachetniejszej księgarni miasta, „Librairie Avicenne”, całe pliki zagranicznych gazet. Rawi rzadko kiedy przepuszczał okazję przejrzenia nieregularnie dostarczanych numerów „New York Timesa”, „Washington Post” i londyńskiej „Daily Telegraph”.

W Gazie było o to trudniej. Zachodnie dzienniki trafiają tam sporadycznie, a odpowiadający za śledzenie prasy zagraniczni agenci Hamasu czasem nie potrafili wyłapać naprawdę istotnych informacji. Żadnemu nie umknął jednak artykuł Henry’ego Brady i w poniedziałek 5 marca w skrzynce pocztowej domu przy ulicy Omar el-Muchtar znalazły się aż trzy egzemplarze przysłane z różnych miast.

Rawi przeczytał artykuł na dziedzińcu, sącząc kawę przy stoliku ustawionym obok fontanny i rozmyślając o tym dziwnym, potężnym człowieku, którego słucha sam prezydent Stanów Zjednoczonych. Dobrze wiedział, kim jest admirał Morgan, a przed sześciu laty próbował nawet go zlikwidować podczas pobytu w Londynie, ale okazało się to niemożliwe; ochrona, jaką Morgan dysponował podczas służbowych podróży zagranicznych, dorównywała prezydenckiej.

Szakira przyniosła mu świeżą kawę i zapytała, co czyta.

- Nic ważnego. Historyjkę o takim jednym amerykańskim admirał.

- Jeśli to nic ważnego, to dlaczego masz ją w trzech kopiach?

- Skąd wiesz, że w trzech?

- Przede wszystkim stąd, że umiem zliczyć do trzech. Jedna w ręku, druga wystaje z tej koperty na stoliku, a trzecia zaśmieca nam podwórko.

- To jeszcze nie znaczy, że sprawa jest wielkiej wagi.

- Dla trzech ludzi najwyraźniej jest. Inaczej by ci nie zawracali nią głowy, nie?

- Adresatem jest pułkownik Abdullah. To jego dom.

- On też nie ma czasu na czytanie jakichś tam mihałków - upierała się Szakira.

Rzadko który mąż uważa, że żonie dodaje uroku skłonność do zadawania w kółko tego samego pytania, dopóki nie usłyszy zadowolającej odpowiedzi - Rawi był jednak

wyjątkiem od tej reguły. Bawiło go to i zarazem budziło podziw. Teraz też nasunęła mu się myśl, że powinna poświęcić się raczej karierze prawniczej niż terrorystki, wolał jej jednak nie wypowiadać na głos, przynajmniej nie w chwili, gdy mu nalewa gorący napój.

Nie uszło też jej uwagi, że mąż przez całe przedpołudnie jest dziwnie zamyślony, raz po raz wraca do lektury tego samego wycinka, nie pozostawiającego żadnych wątpliwości co do tego, kto się okazał prawdziwą nemezis dla jednej z największych bliskowschodnich organizacji terrorystycznych.

Zostawiła go samego na godzinę, a gdy wróciła, wciąż trzymał w palcach wycięty z „Washington Post” artykuł. Podniosła leżącą na kamiennej płycie drugą kopię, przebiegła wzrokiem artykuł i spytała:

- No to powiedz mi w końcu, kim jest ten człowiek, w którego zdjęcie od rana się wpatrujesz? Admirał Morgan? Nazwisko brzmi znajomo.

- W naszym fachu wszyscy je znają. To żywa i może najważniejsza przyczyna, dla której Wielki Szatan wciąż uważa, że ma prawo się szarogęsić w naszym regionie, handlować naszą ropą, trzymać wojsko na naszych ziemiach i uzbrajać Izrael przeciwko nam.

- Dlaczego akurat jemu to przypisujesz? Aż tak się nam daje we znaki?

- Daje we znaki? To istny potwór, ogr z maczugą, którą tłucze biedniejsze narody tylko dlatego, że nie potrafią się obronić przed militarną potęgą Ameryki.

- No, my im parę razy daliśmy w kość, nie?

- Owszem, ale nie tak mocno, jakbyśmy chcieli. I wygląda na to, że ilekroć poweźmiemy plan nowego poważnego uderzenia, ten człowiek wszystko nam psuje.

- Wszystko, to znaczy co?

- Wszystko. Przez niego straciliśmy dwa świetne okręty podwodne, w tym jeden o napędzie nuklearnym. Ostatnio dostał w łapy naszych ludzi w Bostonie i wysłał ich do Guantanamo, gdzie jankesi złamali co najmniej jednego i wydusili z niego nasz adres w Damaszku, a co z tego wynikło, dobrze wiesz.

- Skąd podejrzenie, że to akurat sprawka Morgana? - Szakira w duchu nie zgadzała się z porównaniem przystojnego admirała do ogra.

- Podejrzewa go o to autor tego artykułu. Jeśli mu wierzyć, samych Amerykanów zaczął niepokoić zakres jego władzy. No, przynajmniej niektórych.

- Może więc powinniśmy zaproponować mu etat u nas? - Dziewczyna się roześmiała.

- Mógłby wtedy się zemścić na tych, którzy go nie lubią. Sądząc po tym, co o nim opowiadasz, byłby niezłym terrorystą.

Teraz oboje parsknęli śmiechem, ale nagle Szakira spoważniała - coś się jej

przypomniało.

- Pamiętasz, jak byliśmy razem w Paryżu i ty na kilka dni wyjechałeś sam do Londynu, żeby kogoś zlikwidować? Czy aby nie chodziło właśnie o admirała Morgana?

Rawi spojrział na żonę z niekłamany podziwem.

- Zapamiętałaś? To było tak dawno!

- Wcale nie tak dawno, a poza tym pierwszy raz mówiłeś wtedy o zamachu na konkretną osobę. I pamiętam, że wspomniałeś o jego admiralskiej randze.

- No to mnie rozpracowałaś. Tak jest, to jedna i ta sama osoba, problem też się nie zmienił. Chodzi o jego nienawiść do nas i determinację, z jaką chce nas skruszyć.

- Musisz więc być bardzo ostrożny. - Popatrzyła mu poważnie w oczy. - Wtedy ci się nie powiodło. To najwyraźniej bardzo sprytny i groźny przeciwnik.

- Wtedy w Londynie, gdy go brałem na muszkę, byłem tylko trochę zainteresowany. Można powiedzieć, że go sprawdzałem.

- I zamierzasz wziąć go znowu na muszkę za to, co nam zrobił w Damaszku?

- Tak, kochanie. Muszę to zrobić. Zupełnie inaczej to traktuję, odkąd zobaczyłem cię zakrwawioną i płaczącą na tyłach naszego zburzonego domu. Bałem się, że umrzesz, a to by mi złamało serce. Ten zwykły wycinek prasowy dał mi wszystkie potrzebne informacje. Tak jest, zabiję Arnolda Morgana. I tym razem porażki nie będzie.

Rozdział 5

Cztery miesiące później. Środa, 20 czerwca

Poranny lot British Airways z Londynu wylądował na Logan zgodnie z rozkładem i większość pasażerów dotarła już do kontroli paszportowej. Kolejka do okienek z napisem „Tylko dla obywateli USA” była znacznie krótsza niż te dla cudzoziemców i posiadaczy zielonej karty. Podróżni - jedni speszeni, inni podenerwowani, z filozoficznym spokojem lub tłumioną irytacją, ale wszyscy posłuszni poleceniom umundurowanych ludzi o twarzach starannie oczyszczonych z cienia uśmiechu - kolejno podchodzili do wskazanych stanowisk, okazywali paszporty, składali odciski palców i tłumaczyli się z celu przyjazdu do kraju swobód demokratycznych i praw człowieka. To jest ostatnia linia administracyjnej obrony amerykańskich granic przed nielegalnymi imigrantami. Tu się drobiazgowo sprawdza dokumenty i wize wydane w ambasadach na całym świecie, które upoważniają posiadacza tylko do jednego: do stanięcia przed oschłym urzędnikiem, od którego zależy, czy przyjezdny przekroczy tę magiczną linię i otworzy się przed nim Ameryka, czy też zostanie zawrócony i odstawiony, skąd przybył.

Trochę inaczej wygląda to po prawej stronie sali, gdzie kontrolę przechodzą osoby legitymujące się granatowym amerykańskim paszportem. Atmosfera jest luźniejsza, widzi się uśmiechy i słyszy słowa „Witamy w domu”. Czasami urzędnik spyta o kraj wylotu, czasem o pogodę za oceanem, jednak i tu dokumenty są skanowane i sprawdzane w bazie danych. Nie trzeba już tylko brudzić sobie palców tuszem.

Najszybciej zawsze to idzie stosownie ubranym biznesmenom. Ameryka biznesem stoi i jego rycerze cieszą się tam respektem. Kiedy przyszła kolej na bardzo elegancką młodą kobietę w ciemnym kostiumie i białej bluzce, z neseserem i torbą na laptop, podeszła pewnie do okienka i podała paszport.

Truchlała w duchu, kiedy oficer Immigration otworzył go i spojrział na pierwszą stronę. Nazwisko Martin, imię Carla, urodzona 27 maja 1982 roku w Baltimore, Maryland. U spodu dwie długie linie cyfr i liter, z lewej strony jej fotografia en face. Rzut oka na właścicielkę, porównanie ze zdjęciem. Ładna, psiakość, laseczka. Chyba Latynoska... Odchrząknięcie, paszport przesunięty przez skaner. Stempel wjazdowy, uśmiech i „Witamy w

domu, madame”.

Carla Martin wjechała do Stanów Zjednoczonych z perfekcyjnie podrobionym paszportem, a właściwie idealną kopią cudzego dokumentu. Zdjęcie trochę nie pasowało, ale była uczesana dokładnie tak jak sfotografowana osoba i miała na szyi ten sam wisiorek: granat oprawiony w srebrną pętelkę.

Zjechała ruchomymi schodami do hali bagażowej i odebrała swoją jedyną walizkę. Na samym spodzie, pod ubraniami, spoczywał w niej inny paszport, wystawiony na nazwisko Maureen Carson, rok młodszą od Carli i urodzoną w Michigan. Miała się nim posłużyć, opuszczając USA. Amerykanie, jak wiele innych nacji, nie interesują się specjalnie tymi, którzy wyjeżdżają za granicę; obchodzą ich tylko ci, którzy by próbowali się wkraść do kraju.

Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Celnik rzucił tylko okiem na bagaż, wziął wypełnioną deklarację i skinieniem głowy dał do zrozumienia, że na tym koniec formalności. Nie spiesząc się, wyszła przed terminal i stanęła przy krawężniku. Czekala nie dłużej niż minutę, zanim zatrzymał się przy niej czarny buick. Kierowca wyskoczył z wozu, otworzył jej drzwi i schował walizkę do bagażnika. Kiedy znów usiadł za kierownicą, Carla powiedziała cicho:

- Dziękuję, Fausi. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę!

- Denerwowałaś się?

- Bardzo. Bałam się, że zauważą różnice na zdjęciu. Ona jest do mnie trochę podobna, ale naprawdę wyglądamy inaczej.

Fausi, ciemnolicy oficer wywiadu z ambasady Jordanii, zachichotał.

- A ja wiedziałem, że dasz radę. Zresztą nie było powodu do wielkich obaw. Numer paszportu, kod kreskowy i wszystkie dane są przecież najzupełniej prawdziwe.

- Niby tak, ale ta fotografia... Co by było, gdyby zauważył, że to nie moja twarz? Mógłby mnie aresztować za posługiwanie się cudzym dokumentem?

- Po prostu nie wpuściłby cię do Stanów. Wsadziliby cię do pierwszego samolotu do Londynu. To nie jest kardynalne przestępstwo, a ty masz czyste konto i tutaj, i w Anglii. Ot, musiałabyś zrezygnować z planu i tyle. Kłopotliwe, ale niegroźne. Masz zresztą przy sobie numer ubezpieczenia społecznego Carli Martin, prawo jazdy z Marylandu i trzy karty kredytowe na to nazwisko. Jesteś wiarygodna i nie zmieniają tego drobne różnice w fizjonomii. Ryzyko było, ale minimalne.

- Miły jesteś. To teraz wieź mnie, gdzie potrzeba, zdaję się na ciebie.

Fausi wcisnął pedał gazu. Z autostrady dojazdowej skręcił wprost na płatną Massachusetts Turnpike, a potem na południowy zachód, w stronę Nowego Jorku. Po

czterech godzinach szybkiej jazdy utknęli w korku przed mostem Triboro. Zanim przebili się przez popołudniowy szczyt i zatrzymali przed hotelem „Pierre”, było już wpół do ósmej wieczorem. Carla Martin wysiadła i podczas gdy odźwierny wyciągał z bagażnika jej walizkę, pożegnała się z kierowcą krótkim „Do jutra. Startujemy wcześniej!”

- Nie ma problemu! - odrzyknął Fausi. - Będę punkt dziewiąta!

Godzinę później dziewczyna odświeżona i elegancka wpłynęła do hotelowej restauracji i podeszła do stolika w rogu, zajmowanego przez przystojnego Araba w drogim garniturze. Mężczyzna wstał na powitanie i rzekł z uśmiechem:

- A więc tak wygląda legendarna Szakira Raszud! Mówiono mi o twojej wyjątkowej urodzie, ale rzeczywistość przerosła najlepsze opisy...

- Dziękuję, Ahmedzie. I ja słyszałam o tobie wiele dobrego.

- Mam nadzieję, że od męża. To wielki bohater wszystkich oddanych muzułmanów.

- Owszem, od niego. Bardzo ceni to, co dla nas robisz w Ameryce.

- A teraz ty tutaj jesteś. Od razu sobie zapamiętaj, że ani na chwilę nie możesz stracić czujności. Tutejsi ludzie są przyjaźni i ufni, ale jeśli władze wyczują, że coś jest z tobą nie tak, już się od ciebie nie odczepią, a dla wrogów są bezlitośni.

- Czyli dla nas?

- Właśnie...

Kelner nalał im białego wina i przyjął zamówienie - oboje wybrali solę z rusztu. Szakira słuchała opowieści Ahmeda o jego pracy jako attache kulturalnego i możliwości, jakie ona stwarza - przede wszystkim pod względem dostępu do wielu instytucji amerykańskich. Jordania cieszy się w sferach rządowych USA sporym zaufaniem (co prawda nie w CIA, a tym bardziej u Arnolda Morgana) i Ahmed bywa zapraszany na liczne imprezy w stolicy i Nowym Jorku. Obecnie do niego właśnie należało ulokowanie Szakiry w miejscu odpowiednim dla celów jej misji.

Z zadania wywiązał się niejako przypadkiem, pojawiając się na niedawno urządzonym przyjęciu na rzecz jednej z organizacji charytatywnych w Centrum Sztuki Johna F. Kennedy'ego nad kanałem Georgetown, po sąsiedzku ze słynnym kompleksem Watergate. Ku swej niezmiernej radości stwierdził, że wśród gości jest też admirał Morgan z żoną, szybko więc się postarał, aby go przedstawiono Kathy Morgan. Poszło to tym łatwiej, że Kathy była członkiem komitetu organizacyjnego, a ambasada Jordanii nie żałowała grosza na wspieranie różnych waszyngtońskich fundacji dobroczynnych, w tym i bohaterki tego wieczoru.

Towarzyskie konwersacje w mig setnie znudziły Arnolda Morgana, wysunął się więc

z tłumu, by porozmawiać ze znajomym urzędnikiem z Departamentu Stanu. Ten zbieg okoliczności zaoszczędził kilka miesięcy z czasu, jaki generał Raszud przeznaczył na przygotowania do akcji. Wykorzystując chwilową samotność pani Morganowej, Ahmed mógł swobodnie wypić z nią lampkę szampana i wymienić kilka uprzejmych zdań.

- Czy Waszyngton to pani rodzinne miasto?

- Prawie. Urodziłam się niedaleko stąd, w Wirginii, ale szybko wyfrunęłam z gniazda. Studia, praca, po ślubie kilka lat mieszkałam w Europie... Nie wyszło nam z pierwszym mężem, no i wróciłam.

- Do stolicy.

- Nie, najpierw do domu. Moja mama mieszka w Brockhurst. To ładne małe miasteczko nad rzeką Rappahannock.

- Miło jest mieć dokąd uciec, kiedy ma się dosyć wielkiego miasta. Pewnie często ją pani odwiedza?

- Zgadł pan. Lubię tam jeździć. Wychowałam się w Brockhurst. Nie zostało mi tam już wprawdzie wielu znajomych, ale mama jest już sama, więc chętnie dotrzymuję jej towarzystwa, kiedy tylko mogę. A pan skąd pochodzi?

- Ja też urodziłem się i wyrosłem w małym miasteczku. Moi rodzice mieszkają w Petrze, na południu Jordanii.

- Małe, ale znane! To tam odkryto całe starożytne miasto wykute w skale. Z czasów przedrzymskich, jeśli się nie mylę?

- Jestem pod wrażeniem, pani Morgan. Nie każdy pani rodak słyszał o Jordanii, nie mówiąc już o naszej historii. Tak, wszystko się zgadza. Do dzisiaj prowadzone są tam ważne badania archeologiczne.

- W Brockhurst, niestety, nic się szczególnego nie dzieje. - Kathy się roześmiała. - Największa aktywność, jaką tam zastaję, to roboty ogrodowe Emily.

- Emily?

- Mojej mamy. Zawsze nazywałam ją po imieniu. Emily Gallagher.

- To by wyjaśniało pani typ urody. - Ahmed skłonił się z galanterią. - To irlandzkie nazwisko, prawda?

- Tak jest. Wszyscy czworo moi dziadkowie przybyli do Stanów z hrabstwa Kerry.

- Nie uwierzy pani, ale i moja matka jest Irlandką.

- Zaciekawia mnie pan. Jak trafiła do Jordanii?

- To raczej mój ojciec trafił do Irlandii. Poznali się, gdy pracował w naszej ambasadzie w Dublinie. Nie mógł znieść tamtejszego klimatu, więc przenieśli się potem do

Jordanii i kupili mały hotelik w Petrze.

Na tym Kathy przerwała konwersację, usprawiedliwiając się obowiązkami - miała wesprzeć przewodniczącą komitetu przy dziękczynnym przemówieniu. Podała dyplomacie dłoń i odeszła nieświadoma, że rozmawiała z jednym z najgroźniejszych agentów arabskiej siatki terrorystycznej na terenie USA.

Ahmed szczerze nienawidził Zachodu. Był fanatycznym islamskim radykałem, choć nie działał bezpośrednio na froncie walki z Wielkim Szatanem. Pozostawał za kulisami i należał do najcenniejszych źródeł informacji, jakimi dysponował Hezbollah. W razie potrzeby oddawał też usługi Hamasowi, ale tylko w swojej dziedzinie - miał zakaz podejmowania jakiegokolwiek ryzyka operacyjnego.

Zdobyte bez wysiłku i ryzyka wiadomości przekazywał teraz w restauracji hotelu „Pierre” Szakirze Raszud.

- Możesz robić notatki, ale zniszcz je, zanim dojedziesz na miejsce. Twoim zadaniem jest zaprzyjaźnić się z panią Emily Gallagher, zamieszkałą w Brockhurst, takiej pipidówce w okolicy ujścia Rappahannock do zatoki Chesapeake.

- Byłeś tam kiedyś?

- Raz. To prawie dwieście kilometrów od Waszyngtonu, ale droga jest dobra, najpierw międzystanowa I-95, potem lokalna siedemnastka i do końca wzdłuż rzeki.

- Widziałeś jej dom?

- Oczywiście. Biały, murowany, w stylu kolonialnym. Stoi na samym skraju miasteczka. Mam przeczucie, że to prawdziwa dama i zapewne bystrzejsza, niż się spodziewamy, bądź więc bardzo ostrożna.

- A ją miałaś okazję zobaczyć? - spytała Szakira, pilnie notując w oprawnym w skórę terminarzyku.

- Wystarczył mi widok domu.

- Wspomniałeś też o miejscowym hotelu.

- Zgadza się. To dość stary budynek w centrum, z barem i restauracją.

- I mam w nim albo zamieszkać, albo podjąć pracę?

- Tak jest. Ale lepiej by było, żebyś zdobyła tam jakiś etat. Mam dla ciebie mieszkanie w nowym osiedlu około trzydziestu kilometrów na północ od Brockhurst. Apartament na ostatnim, dwudziestym pierwszym piętrze. Zaraz ci dam umowę wynajmu, musisz ją podpisać i przedstawić zarządcy na miejscu. - Ahmed wyciągnął z zanadru kopertę z dokumentem i czekiem bankierskim na sumę dziewięciu tysięcy dolarów wystawionym na Chesapeake Properties. - To na czynsz. Płacimy z góry za cztery miesiące.

- Strasznie drogo! - zdziwiła się Szakira.

- Ale jakie warunki! - Ahmed się uśmiechnął. - Niekrepujące wejście, poddasze z balkonem, dwie sypialnie, eleganckie umeblowanie. Salon taki, że rowerem można jeździć, przestronna, nowoczesna kuchnia, dwie łazienki i małe pomieszczenie gospodarcze. Portiernia obsadzona całodobowo.

- Mmm... Pewnie nie będę chciała stamtąd wyjechać. - Szakira odwzajemniła uśmiech.

- Pewnie będziesz musiała - poprawił. - Jak my wszyscy, prędzej czy później.

Było wpół do jedenastej, kiedy dopili podaną na koniec kawę.

- No, na mnie pora - rzekł dyplomata, wstając zza stołu. - Muszę wracać.

- Do Waszyngtonu?

- Tak, kierowca na mnie czeka. O tej porze nie zajmie to więcej niż cztery godziny. Oficjalnie jestem teraz na bankiecie w jednym ze stołecznych muzeów, więc nie mam wymówki i rano trzeba się zjawić w pracy.

Szakira wstała również i podziękowała za wszystko. Zanim jednak zdążyła podać mu dłoń, Ahmed położył na stole podłużne kartonowe pudełko.

- To dla ciebie - powiedział. - Mam nadzieję, że nie okaże się potrzebny... przynajmniej dopóki będziesz w USA. - To rzekłszy, skinął jej głową na pożegnanie i ruszył do wyjścia na Piątą Aleję.

Szakira wróciła do swojego pokoju na siódmym piętrze. Zamknąwszy drzwi na klucz i łańcuch, otworzyła pakunek. W środku był długi beduiński nóż o lekko zakrzywionej klindze, z rękojeścią wysadzaną czerwonymi, zielonymi i niebieskimi kamieniami. Na wierzchu leżał arkusik sztywnego papieru z krótką notatką po arabsku: „Pod żadnym pozorem nie ruszaj się bez niego z domu. Kategoryczny rozkaz generała Raszuda. Ahmed”. Szakira uśmiechnęła się na wspomnienie męża. Będę go nosić jak ty, mój drogi, pomyślała, na plecach za paskiem. Z ulgą położyła się spać, wyczerpana napięciem, jakie odczuwa każdy szpieg u startu nowej misji.

Po pierwszej nocy w Stanach Zjednoczonych większość pasażerów transatlantyckich lotów budzi się o zgoła niechrześcijańskiej porze. Kiedy w Nowym Jorku jest piąta rano, londyński Big Ben wybija już dziesiątą - i ten sam czas wskazuje zegar biologiczny przybyszów ze Starego Kontynentu.

Szakira wstała o wpół do szóstej i z braku lepszego zajęcia dwie godziny na trzech kanałach oglądała poranne telewizyjne zapchajdziury, które zresztą uwielbiała. O ósmej zjadła lekkie śniadanie: tylko sok pomarańczowy, owoce i kawa. Kiedy Fausi punktualnie o

dziewiątej zajechał pod wejście, już na niego czekała.

Z wolna brnęli Piątą Aleją przez gęstniejący z każdą minutą ruch, kierując się na zachód, ku Dziesiątej Ulicy i tunelowi Lincolna. W przeciwną stronę korek był wręcz monstualny - do miasta wciąż wlewała się rzeka samochodów z New Jersey - ale wyjeżdżających było na szczęście znacznie mniej. Ugrzęźli na kilkanaście minut przed wjazdem do tunelu, lecz kiedy już się w nim znaleźli, ruch nabrał tempa, a po drugiej stronie szybko się rozluźnił. Wkrótce wjeżdżali na płatną autostradę; po półtorej godziny mijali Filadelfię, po trzech Baltimore, a stamtąd została już tylko godzinka do obwodnicy waszyngtońskiej. Tuż po trzynastej Fausi zatrzymał się na stacji benzynowej. Zatankował, oboje wypili po kawie i wyruszyli na ostatni, stu sześćdziesięciokilometrowy odcinek do Brockhurst. Minęła szesnasta trzydzieści, kiedy dojechali na miejsce.

Szakira, ubrana w jasnoniebieskie dżinsy, tanią białą bluzkę i płaskie buty, pierwsze kroki skierowała do hotelu „Estuary”. Fausi zaparkował na pustej bocznej uliczce pięćset metrów przed celem i dalej poszła pieszo.

Frontowe drzwi hotelu otwierały się na przestronny, choć nieco ciemny hol z bordową wykładziną. Pod przeciwległą ścianą królował szeroki drewniany kontuar recepcji, za którym stał lekko znudzony mężczyzna, na oko po pięćdziesiątce. Po lewej stronie było wejście do baru - ta sama wykładzina, przyćmione światło, wysokie stołki i ani żywej duszy w środku; po prawej zamknięte drzwi broniły dostępu do restauracji.

Hmm... Żadnych gości... Na pewno nie potrzebują dodatkowego personelu, pomyślała. Z wahaniem podeszła jednak do recepcji.

- Dzień dobry.

- Witamy w „Estuary”. Czym mogę pani służyć? - Recepcjonista powitał ją miłym uśmiechem.

- Widzi pan, ja... - Odwzajemniła uśmiech z zakłopotaniem. - Szukam pracy i postanowiłam zapytać, czy u was się coś nie znajdzie. Mogę robić cokolwiek... Pokojówka, barmanka, kelnerka...

Mężczyzna pokiwał głową i wyciągnął rękę.

- Nazywam się Jim Caborn. Jestem menedżerem.

- Carla... Carla Martin. Miło mi pana poznać. - Szakira dobrze opanowała podstawy amerykańskiego *savoir-vivre*'u.

- Cóż, Carlo, na razie, niestety, niczego nie mogę ci zaoferować. Ale jeśli możesz poczekać, za tydzień zwalnia się posada barmana. Potrafiłabyś to robić?

- Oczywiście. Pracowałam trzy miesiące za barem w Londynie. Bywa tu trochę ruchu?

- Ruch jest zawsze. Teraz ludzie są w pracy, ale od wpół do szóstej zaczną się schodzić stali klienci. A już w letnie weekendy bywa naprawdę gęsto. - Caborn przyglądał się dziewczynie, chłonąc jej egzotyczną urodę. Zastanowiło go, skąd pochodzi. - Czy masz obywatelstwo?

- Tak, jestem Amerykanką. Kilka miesięcy byłam za granicą.

- A co cię sprowadza właśnie do Brockhurst?

- Przyjechałam do ciotki. Mieszka w małej osadzie Bowler's Wharf. Brockhurst to przy niej metropolia! Bardzo mi się tu podoba.

- No, Waszyngton to nie jest. - Jim się roześmiał.

- I bardzo dobrze. Ładnie tu, a ja mam dość wielkich miast.

- Słuchaj, Carla, prowadzić tu popularny bar nie jest łatwo. Musisz być szybka, dokładna, pamiętać nazwy i receptury drinków, gusty bywalców, dobrze parzyć kawę... zwłaszcza po irlandzku... no i w ogóle.

- Jim, pracowałam w naprawdę tłoczonym pubie w Covent Garden... to w centrum Londynu. Jeśli dasz mi tę posadę, chętnie zacznę choćby od dzisiaj, za darmo, żeby się przyuczyc przy poprzedniku. W ten sposób się wciągnę i za tydzień będę gotowa przejąć po nim królestwo.

Propozycja darmowej pracy niemal przeważała szalę, ale menedżer miał jeszcze jedno ważne pytanie.

- Czy potrzebujesz zakwaterowania w hotelu?

- O, nie! Będę mieszkać z ciotką. Mam mały samochód, z dojazdem nie ma więc problemu.

- Okay... - Caborn był uradowany, ale też nieco zaskoczony, że kandydatka ani słowem nie wspomniała o zarobkach. - Dostaniesz czterysta tygodniowo, brutto oczywiście, ale napiwki masz dla siebie. To kiedy chciałabyś zacząć?

- Może od jutra?

- Doskonale. Będzie mi potrzebny twój numer ubezpieczenia i paszport, przynieś też referencje, jeśli jakieś masz, albo parę telefonów do poprzednich pracodawców.

- Nie ma problemu.

Carla Martin wróciła do samochodu po torebkę. Z kompletu opinii pracowniczych - sporządzonych przez tego samego artystę, który w podziemiu syryjskiej ambasady w Londynie wyprodukował jej paszport - wybrała dwie odnoszące się do zawodu barmanki. Miała też inne, chwalaące jej zasługi jako sprzątaczk, pokojówek, kelnerki, a nawet sekretarki, choć oczywiście żadnego z tych zawodów nigdy w życiu nie wykonywała. Jedną z referencji,

które wybrała dla menedżera, pochodziła z baru „Mighty Quinn” przy Neal Street w Covent Garden. Wydrukowana na firmowym papierze zaświadczała, że panna Carla Martin była cenioną, zawsze punktualną, uczciwą i solidną pracownicą. Druga, z hotelu „Rembrandt” w Buckingham Gate, gdzie Carla też prowadziła bar, w równie ciepłych słowach opisywała jej fachowość i niezawodność.

Jimowi Cabornowi to wystarczyło aż nadto. Zapisał sobie wszystko skrzącnie na niebieskiej fiszce i zwrócił jej dokumenty.

- W takim razie witaj na pokładzie, Carlo, i do jutra. - Uścisnął jej dłoń. - Przyjdź na szesnastą. Twoja zmiana kończy się o dwudziestej trzeciej. Na niej najwięcej i najszybciej się nauczysz.

Szakira podziękowała mu wylewnie i odeszła. Jim patrzył za nią z sympatią, zadowolony z nowego nabytku. Nie mógł wiedzieć, że właśnie zatrudnił jedną z najniebezpieczniejszych dam na terytorium USA.

Na trotuarze przystanęła i rozejrzała się po najbliższej okolicy. Hotel - otynkowany na biało, z atrapą pruskiego muru - stał na rogu głównej ulicy prowadzącej ku brzegowi rzeki, wzdłuż którego skręcała w prawo. Domyśliła się, że z ostatniego piętra musi być wspaniały widok na zakole Rappahannock; już z parkingu supermarketu vis-à-vis ładnie widać było srebrzący się w przedwieczornym świetle nurt.

Brockhurst miało swoje lata - w młodej Ameryce mogło uchodzić za miasteczko zabytkowe - i projektanci nowszej zabudowy starali się nie naruszać oryginalnego stylu; wiele niedawno wzniesionych budynków nawiązywało do atmosfery początku XX wieku. Przy głównej ulicy zauważyła kilka biur pośrednictwa nieruchomości, sklepików z pamiątkami i butików. Od wiosny do jesieni to spokojne miasteczko przyciągało sporo turystów, a jedynym miejscem, gdzie mogli się zatrzymać, był hotel „Estuary” - dwanaście dwuosobowych pokoi z łazienką w głównym budynku i drugie tyle w wolnostojącym aneksie.

Obeszła budynek dookoła i zajrzała na zaplecze. Był tam mały parking i rampa dla dostawczych ciężarówek. Zaulek, z którego się tam wjeżdżało, przypominał wąski kanion między prawie pozbawionymi okien ścianami sąsiednich budynków, pokrytymi płataniną rur kanalizacyjnych i ażurowych schodów awaryjnych. Tylko przy samym skrzyżowaniu tę monotonię przełamowały witryny dwóch sklepów: z artykułami metalowymi i z konfekcją dziecięcą.

Początek był zrobiony. Teraz mogła pomyśleć o wprowadzeniu się do nowego mieszkania. Wróciła do samochodu, stuknięciem w szybę zbudziła drzemiącego za kierownicą Fausiego i wśliznęła się na tylne siedzenie.

- Możemy jechać - powiedziała. - Dostałam pracę, ale bez zakwaterowania. Zaczynam jutro po południu.

- Wspaniale! - ucieszył się Jordańczyk. - W takim razie zawiozę cię do domu.

Zawrócił samochód, dojechał do krajowej siedemnastki i skręcił z powrotem w stronę Waszyngtonu. Na trzecim skrzyżowaniu zjechał na lokalną, obramowaną szpalerem wysokich drzew drogę i przejechał kilkaset metrów, stanął przed wejściem do przemyślnie skrytego wśród leśnej zieleni kompleksu nowoczesnych apartamentowców. Napis nad bramą wjazdową informował, że to osiedle Chesapeake Heights², co trochę zdziwiło Szakirę - te strony, część półwyspu wyznaczonego biegiem rzek Rappahannock i York, były bowiem płaskie jak stół.

Zegar w holu wskazywał osiemnastą trzydzieści i zaczynało zmierzchać. Carla Martin podpisała umowę wynajmu, przekazała menedżerowi czek i oficjalnie zajęła mieszkanie na ostatnim piętrze. Fausi tymczasem podjechał do pobliskiego marketu po drobne zakupy na początek: trochę chleba, mleko, masło, kilka konserw, wędliny, jajka, soki, parę funtów ryżu, ser, drożdżówki, owoce i kawę. Całość zajęła dwa spore kartony, które sam wniósł jeden po drugim na górę.

- Czy będę ci jeszcze dzisiaj potrzebny? - spytał, świadomy swoich obowiązków całodobowego szofera, ochroniarza i pomocnika pięknej agentki.

- Dziś już nie. Jutro rano jednak chciałabym objechać okolicę. Możesz być o wpół do jedenastej?

- Nie ma problemu. No, to się zbieram, odpoczywaj. Dobrej nocy.

Fausi miał pokój w małym motelu niecałe dwadzieścia kilometrów od „Wzgórz Chesapeake”. Dla powodzenia akcji ważne było, żeby zachowali jak największą anonimowość i nie sprawiali wrażenia, że cokolwiek ich łączy. Nikt nie mógł nabrać przekonania, że ci dwoje są parą, ani nawet że się w ogóle znają. Żaden przedstawiciel władzy nie powinien zdobyć najmniejszych choćby przesłanek umożliwiających ich identyfikację. Fausi, który również posługiwał się fałszywymi dokumentami i tablicami rejestracyjnymi, nie zamierzał się więcej pojawiać w zasięgu wzroku od podjazdu apartamentowca ani frontonu „Estuary”, a tym bardziej pokazywać się lub broń Boże rozmawiać z portierami czy recepcjonistami. Był duchem, podobnie jak Carla.

Szakira spożytkowała pierwsze trzy dni bezpłatnego stażu za barem na zapoznanie się z miejscowymi. Szybko też odszukała wymuskany kolonialny dom Emily Gallagher, a raz

² Ang. - wzgórze Chesapeake.

nawet dobrze się jej przyjrzała zza przyciemnianych szyb buicka Fausiego, kiedy matka Kathy zajęta była przycinaniem róż w ogródku od ulicy. Widziała też, jak starsza pani wyprowadza na spacer psa, sporego i kudłatego golden retrievera, choć to raczej on prowadził ją.

Czwartego dnia praktyki w barze, w senny poniedziałkowy wieczór, etatowy barman wczesnie skończył pracę i Szakira po raz pierwszy została sama na gospodarstwie. Traf chciał, że tego samego dnia dopisało jej zawodowe szczęście także w prawdziwej profesji: Emily Gallagher przyszła do hotelowej restauracji na kolację z przyjaciółką. Około dziesiątej obie panie przeszły do baru i zamówiły dwie kawy po irlandzku. Dwadzieścia minut później przyjaciółka pożegnała się i wyszła, Emily zaś poprosiła jeszcze o filiżankę, tym razem już bez whisky. Oprócz niej przy stolikach siedziała tylko dwójka gości i barmanka miała wolną chwilę, pozwoliła więc sobie grzecznie zapytać klientkę, czy smakowała jej kolacja.

- O, tak - odpowiedziała zagadnięta. - Zawsze w poniedziałki przychodzę tu na dorsza z rusztu. W południe, moja droga, mają świeżą dostawę prosto z rybackiej przystani w Gloucester Point. Palce lizać.

- Mnie niestety nie poczęstowali. - Szakira się roześmiała.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Starsza pani puściła do niej oko. - Tak między nami, ten cały Caborn to okropny sknera. Pewnie uważa, że wystarczy ci hamburger.

- Kotlet mielony.

Tym razem obie zachichotały.

- Jesteś tu nowa, prawda?

- Tak, zaczęłam w piątek.

- No to mam nadzieję, że zabawisz u nas dłużej. Personel często się tu wymienia, wiesz? W tym cały problem z młodym pokoleniem. W gorącej wodzie jesteście kapani, a przez to i czasu wam brak, by się czymkolwiek cieszyć...

Szakira przeprosiła rozmówczynię i wyszła zza baru, żeby podać ostatnie drinki pozostałym dwóm klientom, gościom hotelu, po czym wróciła do starszej pani, która zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Nazywam się Emily Gallagher - przedstawiła się. - Zazwyczaj bywam u was także w czwartki, na pewno się więc spotkamy. Dobranoc, moja droga.

- Dobranoc, pani Gallagher.

- Proszę mi mówić po imieniu... Carlo - Emily zerknęła na plakietkę z imieniem na bluzce barmanki - bo inaczej będę się czuła jak antyk!

Nie padło ani jedno słoweczko o płaceniu za drinka i kawę, Szakira więc uznała - i

śluszenie - że klientka musi mieć stały układ z właścicielem, coś w rodzaju miesięcznego otwartego rachunku. Pomachawszy dłonią na pożegnanie, Emily Gallagher opuściła gościnny lokal i spacerkiem ruszyła główną ulicą w stronę oddalonego o dwieście metrów domu.

Szakira patrzyła za nią z uśmiechem pełnej satysfakcji.

*

Następnego ranka Fausi podrzucił ją do centrum miasteczka. Zrobiła zakupy w supermarkecie, zostawiła torby w samochodzie i poprosiła, żeby podjechał po nią w to samo miejsce o trzynastej. Sama niespiesznie powędrowała ku domowi Emily. Punktualnie o jedenastej ujrzała z daleka, jak jej nowa znajoma wychodzi z ogródka z psem na smyczy. Dopasowawszy tempo, Szakira znalazła się o dwadzieścia metrów za nią. Widziała, z jakim trudem starsza pani panuje nad rozbrykanym czworonogiem. Przyspieszyła nieco, zrównała się z nią i wesoło zagadnęła:

- Dzień dobry, Emily! Widzę, że przydałaby ci się pomoc w poskromieniu tej bestii.

Pani Gallagher odwróciła się zaskoczona, ale rozjaśniła się w uśmiechu na widok znajomej twarzy.

- Ach, to ty, Carlo! Masz rację, nie bardzo daję sobie z nim radę. Jest niemożliwy. Wabi się Charlie.

- Jest ładnym psem... a urodziwym wiele uchodzi na sucho - odrzekła ze śmiechem.

Charlie, jak to psy potrafią, natychmiast wyczuł, że nowa osoba to przyjaciel. Podskoczył do Szakiry, oparł się jej przednimi łapami na brzuchu, wywalił jęzor i zaczął z zapalem merdać ogonem.

Dziewczyna sięgnęła po smycz, mówiąc:

- Proszę mi go dać. Przejdę się z panią kawałek.

Emily spojrzała na nią z wyraźną ulgą.

- Mam z nim krzyż pański - wyznała. - Ale jest ze mną już siedem lat i przecież się go nie pozbędę. Tęskniłabym za nim. Dobrze mieć choć takiego domownika, kiedy się zostało samym. Najczęściej spacerujemy do zakola rzeki... to jakieś półtora kilometra. W zeszłym tygodniu wyrwał mi się i wskoczył do wody. Myślałam, że prąd go zniesie aż do Chesapeake! On jednak jak gdyby nigdy nic popływał sobie, wygramolił się na brzeg i okropnie mnie zmoczył, otrzepując się jak szalony.

- On jest właściwie za duży dla ciebie - powiedziała Szakira stanowczym tonem, bez trudu utrzymując psa w ryzach.

- Ba! I wiesz, wystarczy, że raz go nie zabiorę na długi spacer, a energia zaczyna go tak rozpierać, że omal mi domu nie rozniesie.

- To się świetnie składa! Ja uwielbiam zwierzaki i kocham spacerować. Może pozwolisz się czasem wyręczyć?

- Ach, moja droga, nawet nie wiesz, jak bardzo byś mi pomogła! Ale czy znajdziesz na to czas? Nie chciałabym ci sprawiać kłopotu...

- To żaden kłopot. Z przyjemnością będę brać Charliego na wędrownki. Nie mam tu jeszcze żadnych przyjaciół, a on jest taki boski!

I tak oto Carla Martin zaprzyjaźniła się z Emily Gallagher. Carla wyprowadzała psa na spacer trzy lub cztery razy w tygodniu. Emily czasem jej towarzyszyła, częściej jednak zostawała w domu. Bywało, że Carla przesiadywała u niej całe popołudnie przed pracą, a od czasu do czasu jadały razem obiad.

W hotelu Szakira szybko zyskała popularność, szczególnie wśród młodszej męskiej klienteli, w większości stałych bywalców, którzy spędzali w barze trzy do czterech wieczorów: zawsze w czwartki, piątki i niedziele, a czasem także w soboty. Mimo usilnych prób ukrywania wdzięków - przeważnie nosiła luźne swetry, szerokie spódnice i buty na płaskich obcasach, a bujne włosy zaczesywała gładko do tyłu i wiązała w koński ogon - nie udało się jej uniknąć przyciągania męskiej uwagi.

Najczęściej kręciło się przy niej czterech młodych dżentelmenów: lokalny geniusz komputerowy Rick, wysportowany Herb z własnym zakładem fotograficznym, szef firmy budowlanej Eric, syn dyrektora supermarketu Bill oraz najstarszy w tej grupie, trzydziestoczteroletni Matt Barker, który dochrapał się własnego salonu Toyoty (ale sam jeździł porsche) i stacji obsługi samochodów. Najprzystojniejszy był bezsprzecznie Eric, dwudziestoczterolatek, miejscowy mistrz golfa i świeżo upieczony kawaler z odzysku. Rick był erudytą, Bill najbogatszy, Herb przesadnie pewny siebie i ambitny - liczył, że zrobi karierę w nowojorskim świecie mody. Wszystkim się marzyło, że któregoś dnia zdobędą serce albo chociaż względy pięknej barmanki, ale najuparciej dążył do tego Matt Barker: ilekroć ją widział, próbował zapraszać na kolację, spacer czy przejażdżkę porsche.

Szakira robiła, co mogła, żeby nie dać się wciągnąć w bliższą zażyłość z którymkolwiek z adoratorów. W rozmowach często napomykała o narzeczonym, który czeka na nią w Londynie, nigdy nie okazywała zainteresowania ani tym bardziej zadowolenia z ich umizgów, a po zamknięciu baru - zawsze pół godziny przed północą - wymykała się tylnym wyjściem, przebiegała parking i znikła za rogiem, gdzie w samochodzie z pracującym silnikiem czekał już na nią Fausi. Nigdy nie oznajmiała, że wychodzi, ale też nie zmieniała zwyczaju. Zgodnie z utrzymywaną od pierwszego spotkania z menedżerem legendą zawsze wkładała krótkie samochodowe rękawiczki, podkreślając w ten sposób, że ma samochód i nie

potrzebuje podwożenia. Potem po prostu znikła, pozostawiając nocnemu portierowi obowiązek dopilnowania, by ostatni konsumenci spoza hotelu opuścili budynek, i zamknięcia lokalu.

W ten sposób w parę tygodni otoczyła się nimbem tajemnicy. Zaskoczeni jej znikaniem panowie pytali jeden drugiego: „Kiedy ona wyszła? Widzieliście którądy? Nawet się nie pożegnała!”

Szakira nie miała zamiaru znaleźć się poza azylem „Estuary” w towarzystwie tej żadnej rozrywki, szarmanckiej grupki młodych byczków z miejscowej klasy średniej, którzy najwyraźniej zagięli na nią parol; do baru przychodziły też czasem dziewczęta, ale z reguły te, którym wykształcenie bądź pozycja społeczna nie zapewniły wstępu na dobrą uczelnię, a potem pracy w Waszyngtonie czy Nowym Jorku - a dla Matta Barkera i spółki takie nie były warte poważniejszego zainteresowania.

Żaden z nich nie miał pojęcia, kim jest Carla Martin (za co Szakira dziękowała Allahowi), wiedzieli jednak, że to dziewczyna z klasą, a jej zdystansowanie - jak gdyby miała ważniejsze sprawy na głowie - tylko podsycalo ich ciekawość. Nie tylko Barker ją nagabywał; każdy z nich raz po raz próbował szczęścia. Bill i Eric czynili to z lekka frywolnie; Rick i Herb traktowali ją poważniej i sprawiali wrażenie poszukujących stałego związku. Matt Barker uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że się w niej zakochał. Wpatrywał się w nią, podziwiał, pragnął. Widziała to i Szakira, dlatego też trzymała go na większy dystans niż pozostałych, rzadziej z nim gawędziła, unikała spojrzeń.

Barker był okazałym mężczyzną, zawsze dobrze ubranym, ogolonym i uczesany (blond włosy nosił dłuższe, niż nakazywała aktualna moda, ale jeszcze w granicach normy). Na pierwszy rzut oka wyglądał na wziętego prawnika czy biznesmena, ale przeczyły temu zbyt duże dłonie, mimo widocznych starań trochę szorstkie od wieloletnich zmagania z silnikami, zawieszeniem i hamulcami.

- Dzień dobry, panno Carlo - witał ją nieodmiennie. - I jak, nie zmieniła pani zdania w kwestii naszej znajomości?

Szakira nie chciała go urazić, odpowiadała więc wymijająco: „Wiesz, Matt, że nie mogę... Jestem z kimś związana... Może nawet wyjdę za mąż w tym roku”.

Barker jej nie wierzył. Instynktownie czuł, że dziewczyna nie ma nikogo, a kiedy wieczór przechodził w noc i alkohol zaczynał iść mu do głowy, widział w niej najbardziej pociągającą seksualnie kobietę, jaką w życiu poznał. Gdy odwracała się doń tyłem, gapił się na nią bezwstydnie, pieścił oczyma wspaniałe biodra, smukłe plecy, jędrne pośladki i marzył, by robić to rękoma; wyobrażał sobie jej nagość, jedwabistość skóry i jej dotyk na własnym

ciele. Nie mógł się doczekać pierwszej prawdziwej randki, wierzył jednak, że któregoś dnia... wkrótce... ona się zgodzi.

Tymczasem mijały dni, wieczór uciekał za wieczorem, a Carla po swojemu rozplywała się w mroku nocy, zostawiając go samego, pozbawiając jedynej miłości, jakiej pragnął. Problem w tym, że Matt nabierał przekonania, iż ona tylko udaje niedostępną, a naprawdę też potem leży w łóżku i myśli o nim tak jak on o niej.

W końcu Szakira zdobyła wreszcie to, po co przyjechała do Brockhurst. Któregoś poniedziałku jak zwykle wstąpiła rano do Emili, żeby zabrać Charliego na spacer, i przyjęła zaproszenie na filiżankę kawy. Domyśliła się, że gospodyni zamierza ją poprosić o jakąś nową przysługę - i intuicja jej nie zawiodła.

- Carla, moja droga, mam wielkie zmartwienie. Córka poprosiła mnie o zaopiekowanie się jej psem przez miesiąc, a ja głupia się zgodziłam. Teraz jednak wiem, że najzwyczajniej pod słońcem nie dam sobie sama rady z taką szatańską dwójką.

- Marka i model?

- Słucham? Nie bardzo rozumiem...

- Marka i model. - Szakira się roześmiała. - Jak się wabi i jakiej jest rasy?

- Ach, tak. Widzisz, nawet myślę za wolno z tego wszystkiego... - Emily odpowiedziała chichotem. - To spaniel królewski, nazywa się Kipper i według określenia zięcia jest głupszy od barana.

- Miewałaś go już u siebie?

- Pewnie, że tak. Wiele razy. Kipper jest przemiły, o niebo grzeczniejszy od Charliego i nie tak łakomy, no i znacznie mniejszy.

- Emily, uważam, że nie można cię puścić na drogę publiczną z dwoma psami na smyczy, zwłaszcza gdy jednym z nich jest Charlie - orzekła stanowczo Szakira.

- Masz rację, kochana. Aż się boję zapytać, ale czy będziesz mogła mi pomóc? Zapłacę ci.

- Ależ oczywiście! Kiedy więc się spodziewamy przybycia Kipperera?

- Za cztery tygodnie, a dokładnie w poniedziałek trzydziestego lipca. Kathy z mężem wtedy wyjeżdżają. Przywiezie mi psa i pojedzie na lotnisko. Mają wieczorny lot do Londynu.

- Więc ten psi podwójny nelson założą ci trzydziestego pierwszego? - Szakira nauczyła się anglosaskiego humoru od Rawiego, który zdobywał edukację na tym polu w Harrow; jak na Arabkę, potrafiła być całkiem po europejsku dowcipna.

- Zgadza się. We wtorek do południa przypuszczalnie będę już bliska utraty zmysłów. Udałoby ci się przyjść wcześniej niż normalnie? Pomogłabyś mi jakoś opanować sytuację.

- Nie ma sprawy. Zazwyczaj się zjawiam koło jedenastej, więc dopóki będziesz miała na głowie całą tę menażerię, będę wpadać o dziesiątej.

Zapisała sobie datę w notesiku, oparła się wygodnie i podniosła filiżankę do ust, zerkając przy tym na oprawione w srebrną ramkę zdjęcie stojące na stoliku.

- Czy to twoja córka? - spytała.

- Tak, to Kathy - potwierdziła Emily z uśmiechem.

- Och, ależ to ładna kobieta! - westchnęła Szakira, patrząc na ślubną fotografię Kathy i Arnolda Morganów, zrobioną na schodach urzędu stanu cywilnego w Waszyngtonie. - Kiedy to było?

- Pięć lat temu.

- Czyli to musi być jej drugie małżeństwo - zaśmiała się Szakira. - Żadna dziewczyna o takiej urodzie nie uchowywałaby się tak długo w panieństwie.

- Nie mylisz się. Kathy już raz była mężatką. To był bogaty, ale okropny, samolubny człowiek. Tak się cieszę, że w końcu znalazła prawdziwe szczęście. Jej mąż nie każdemu może się podobać, ale jest im dobrze razem. Arnold bardzo mi przypadł do serca.

- To pewnie jadą w jakieś cudowne miejsce, skoro podrzucają ci Kipperę?

- Prawdę mówiąc, nigdy naprawdę nie wiem, gdzie oni są. On jest jakimś ważnym dyplomatą. Kathy powiedziała mi tylko, że lecą do Londynu, zatrzymają się kilka dni w „Ritzu”, a potem jadą do Szkocji.

- Brzmi nieźle.

- Prawda? „Ritz”! Ta nazwa zawsze mi przypomina angielską piosenkę z czasów wojny. „Słowik śpiewał na placu Berkeley”. Wiesz, ten wers o aniołach biesiadujących w „Ritzu”.

Szakira popadła w zadumę. Pani Gallagher była naprawdę czarującą starszą panią, przyjazną, szczodłą i zawsze tak niewymuszenie elegancką. Palestynkę przeszył nagle dreszcz grozy pomieszanej ze wstydem: jak ona może siedzieć i sączyć kawę w tym uroczym domu, potajemnie knując zamordowanie zięcia Emily?

Zaraz jednak zmusiła się do myślenia o Sprawie, o strasznym losie jej rodaków. O ubóstwie, cierpieniu, braku medykamentów, okrucieństwie i arogancji Izraelczyków, a nade wszystko o nienawistnym Wielkim Szatanie. Wspomniała słowa Rawiego, który niewzruszenie wierzył, że absolutnie trzeba wyżyć białych intruzów z Bliskiego Wschodu, a Izrael raz na zawsze unicestwić.

Oczywiście pani Gallagher nie ma z tym wszystkim nic wspólnego - ale jednak jest częścią USA, demonicznego kraju, który zdławił jej własny i teraz stoi pewny siebie, szczyrzy

swoje bielutkie zęby w szyderczym uśmiechu i wysysa podziemne bogactwo ziemi arabskiej, podczas gdy jego prawowici właściciele wegetują i umierają na granicy nędzy.

Rawi wyrażał się jasno: Amerykę trzeba zaatakować, ponieważ na nic innego nie zwróci nawet uwagi. Amerykanie nie znoszą wieści o ofiarach w ludziach, a jeszcze bardziej o utracie zasobów, pieniędzy i zysków. Nie są prawdziwymi wojownikami, chociaż dysponują przerażającym arsenałem, wielką przewagą techniczną i nader sprawną, potężną armią. Da się ich rzucić na kolana; może nie pokonać, ale zmusić do cofnięcia się we własne granice, aby muzułmanie mogli znowu, jak przed wiekami, utworzyć nowe imperium od Rogu Afryki po Atlantyk. O tym marzył Rawi Raszud, ajatollahowie, imamowie i wszyscy świątobliwi mężowie.

Taka jest wola Allaha wyrażona dobitnie w Koranie: „Śmierć niewiernym”. Tymczasem ona, Szakira Raszud, siedzi przy stole z wrogiem - matroną rodziny człowieka, którego świat dżihadu obawia się i nienawidzi najbardziej: admirała Arnolda Morgana.

Tak, wypełni swoje zadanie do końca. Poinformuje Rawiego dokładnie o czasie i miejscu, gdzie będzie mógł dopaść Morgana. I choć nie życzy źle przemilej Emily Gallagher, nie zapomni o celu swojego życia: wypełniać wolę Najwyższego. *Allahu akbar*.

Zerknęła na zegarek. Pora na modlitwę. Zastanawiała się, jaki jest stąd kierunek na Mekkę. Uznała, że prosto na wschód, za rzekę. Zwróciła się w stronę okna, czując jak w jednej chwili ogarnia ją poczucie niewytłumaczalnej więzi ze światem i wiarą islamską, wzmacniającej i chroniącej niczym kokon. Wiedziała, że Bóg jej wybaczy opuszczenie modlitewnego obowiązku tego ranka na rzecz obcowania z niewierną - jeśli podjęta w Jego imię misja zostanie wykonana.

- Grosik za twoje myśli, Carlo - wyrwał ją z zamyślenia głos Emily. - Co powiesz na jeszcze jedną kawę i może ciasteczko?

- Och, przepraszam! - sumitowała się dziewczyna. - Musiałam się rozmarzyć. U ciebie jest tak ciepło, przytulnie...

Przytulność ucięło jak nożem pojawienie się Charliego, którego uszy wyczulone były na wszelkie słowa związane z jedzeniem, a „ciasteczko” zajmowało wysoką pozycję na ich liście. Usłyszał je z czwartego pokoju i natychmiast zerwał się z legowiska na cztery łapy, gotów bić rekordy szybkości w biegu z przeszkodami.

Szakira przejęła dowodzenie.

- Charlie, siad!

Pies posłusznie usiadł.

- Dostajesz jedno małe ciasteczko, jak będziesz grzeczny.

Pojedyncze merdnięcie, wzrok zawieszony na ustach dziewczyny.

- Ale jak skoczysz na mnie albo na panią i rozlejesz kawę, nici z umowy.

Psisko, najwyraźniej znające angielski, przekrzywiło łeb z bezgranicznie smutną miną, jakby od roku nie miało nic w pysku i straciło wszelką nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze powącha coś jadalnego. Serce Szakiry stopniało, ręka sama sięgnęła do talerza i po chwili okrągły biszkopt zniknął w energicznie rozwartej paszczęce. Charlie błyskawicznie schrupał ciastko, przełknął, oblizał się i znów przyjął pokutną pozę jałmużnika na przednówku.

- Lepiej cię zabiorę na przechadzkę - orzekła Szakira, a zwracając się do Emily, dodała: - Zdaje się, że będzie padać. Pójdę z nim sama nad rzekę, dobrze? Wrócimy za niecałą godzinę, będzie miał dosyć na resztę dnia.

Podniosła się z sofy i poszła po obrozę i smycz. Emily patrzyła za nią nieco zdziwiona. Od razu zwróciła uwagę - ludzie, którzy odebrali dobre wykształcenie, są wyczuleni na takie niuanse - na to jedno drobne językowe potknięcie, częste u cudzoziemców. Carla powiedziała: „Jak będziesz grzeczny, dostajesz ciasteczko”, zamiast poprawnie „dostaniesz”. Niby nic wielkiego, ale dało to Emily do myślenia. Może któreś z rodziców Carli było imigrantem, a może wychowała się gdzieś za granicą i w dzieciństwie nie posługiwała się na co dzień angielskim? Nie zamierzała o to pytać, ale jednego była pewna: rodowity Amerykanin nie użyłby takiej formy.

Zasiana w umyśle pani Gallagher wątpliwość co do tożsamości jej młodej przyjaciółki nie miała już jednak praktycznego znaczenia. Zadanie, jakie Hamas zlecił Szakirze Raszud, było wypełnione i to dzięki samej Emily: Rawi mógł teraz zacząć planować zamach na Arnolda Morgana w dokładnie znanym miejscu i czasie. Londyn, hotel „Ritz”, zameldowanie 31 lipca rano, wyjazd 2 sierpnia.

Szakira szła żwawym krokiem, utrzymując tempo marszu do samej rzeki. Był tam niewielki park, w którym Charlie uwielbiał pohasać. Przystanąła przy barierce na brzegu i zapatrzyła się na drugą stronę - ku wschodowi. W parku oprócz niej nie było żywego ducha. Żarliwe słowa przedwiecznego wyznania wiary same cisnęły się jej na usta.

- *Allahu akbar... la ilaha Allah... Muhammadar rasulul-lah...*

Bóg jest wielki i Jego tylko czcić się godzi, a Mahomet jest Jego prorokiem.

Odpięła psu smycz z obroży, ale nie ruszyła się z miejsca. Chwilę stała w milczeniu, po czym wyszeptała surę z Koranu:

- Pamiętaj o mnie, a ja będę pamiętać o tobie. Dziękuj mi i nie bądź niewdzięczny. Wy, którzy wierzycie, szukajcie pomocy w cierpliwej modlitwie.

W tej chwili Charlie dał susa wprost w odmęty Rappahannock. Wyrwana z zadumy

dziewczyna rzuciła się biegiem w tę stronę, wykrzykując słowa, których Prorok mógłby nie zrozumieć. Pies za to dobrze pojmował jeśli nie ich znaczenie, to intencję, z jaką zostały użyte, i posłusznie wybiegł na brzeg, w podskokach znalazł się przy Szakirze, otrzepał się z wigorem, mocząc jej dzinsy... ale pokusa wzięła górę i po chwili znów pływał w mętnej wodzie. Dopiero za drugim razem udało się jej złapać go za obrozę, kiedy uszczęśliwiony wylazł w końcu na trawnik, i zapiąć smycz. Gniewnym szarpnięciem dała mu do zrozumienia, że załatwił sobie przedwczesne zakończenie spaceru i pociągnęła go z powrotem. Był tak utyłany w mule, że musiała najpierw wziąć go do ogrodu i dokładnie oplukać strumieniem z węża do podlewania, a potem zostawiła go na dworze, żeby wysechł.

- Co, znowu nabrał ochoty na rzeczną kąpiel? - spytała Emily, która widziała ich nadejście i wyszła na taras. - Przepraszam cię, Carlo, za ten kłopot. Zostaniesz na obiedzie?

Szakirze było trochę smutno na myśl, że wkrótce odjedzie z Brockhurst i już nigdy nie zobaczy tej pogodnej starszej pani, z którą zdążyła się zżyć, ani nie zazna poczucia spokoju, jakie ogarniało ją w tym uroczym, cichym domu. W pewnej chwili przyłapała się na rozważaniu, czy mogliby z Rawim znaleźć tu podobny azyl i szczęście... To jednak było niemożliwe. Uprzejmie wymówiła się od obiadu, mówiąc, że musi być dziś wcześniej w pracy.

- To do wieczora, Emily. Przyjdiesz dzisiaj na rybkę jak zwykle?

Odchodząc, poczuła raptowny przypływ melancholii. Szła z pochyloną głową do centrum, gdzie czekał na nią Fausi. Pojechali do odludnego zakątka u ujścia rzeki, skąd miała zadzwonić do szefostwa Hamasu. Miejsce wybrała już dawno: odgradzony zaroślami wąski pas plaży niedaleko przylądka Greya, szesnaście kilometrów na południe od miasteczka. Teren był tam płaski jak wszędzie, a prawie nieużywana droga kilkaset metrów od brzegu przechodziła w piaszczysty dukt. Jak przystało na terrorystkę z początku XXI wieku, miała przy sobie jeden z najdroższych modeli telefonu satelitarnego amerykańskiej sieci T-Mobile.

Ostatnie kilkadziesiąt metrów przeszła na piechotę. Nad wodą rozejrzała się i upewniła, że w okolicy nikogo nie ma, po czym wybrała numer obsadzonego non stop centrum łączności Hamasu, zakamuflowanego w starym domu na przedmieściu Tel Awiwu (izraelska sieć telefoniczna nie należy do najbardziej niezawodnych, ale jest znacznie pewniejsza niż w Gazie). Miała nadzieję, że Rawi tam będzie i w ten sposób dowie się, że jest cała i bezpieczna.

Po trzech dzwonekach odezwała się automatyczna sekretarka. Szakira monotonnym, wytrenowanym głosem wypowiedziała kilka słów:

- Tu Wirginia. Londyn, hotel Ritz, od trzydziestego pierwszego stycznia do drugiego

lutego.

Nic więcej. Żadnych wyjaśnień, żadnych aluzji co do jej dalszych planów, niczego, co mogłoby zdradzić powód sygnału, tożsamość nadawcy czy rozpracowywanej osoby. Daty podała w ustalonym prostym kodzie - o sześć miesięcy wcześniejsze od rzeczywistych; lipiec zamieniła na styczeń, sierpień na luty. Gdyby telefon w Tel Awiwie był na podsłuchu, izraelski wywiad niewiele by się z tej wiadomości dowiedział - placówka była jednak wystarczająco zakonspirowana. Lakoniczny meldunek Szakiry przyjęto tam z zadowoleniem, ale jednocześnie był on jak kij w mrowisko. Informacja o czasie i celu podróży admirała Morgana oznaczała, że generał Rawi musi wjechać na terytorium Wielkiej Brytanii, co było przedsięwzięciem niezmiernie trudnym. Jako dezerterski z SAS, zdrajca, morderca i palestyński oberterrorysta figurował na szczycie listy osób najbardziej poszukiwanych przez kontrwywiad i służby bezpieczeństwa. Podróż lotnicza nie wchodziła w rachubę - gdyby pod jakimkolwiek nazwiskiem stawiał się do kontroli paszportowej na Heathrow, komputer Immigration chyba by eksplodował. Nie mniejsze ryzyko wiązało się z próbą wjazdu na wyspę drogą morską. Zaostrzona w ostatnich latach polityka walki z przemytem narkotyków przejawiała się w praktyce wzmożoną kontrolą we wszystkich portach i intensywnym patrołowaniem wód przybrzeżnych przez jednostki straży granicznej, służby celnej i marynarki wojennej; również brzegowe stacje radarowe, zarówno wojskowe, jak i cywilnej morskiej służby ruchu wyczulone były na łodzie, jachty i kutry, które by próbowały bez meldowania podплыć do brzegu.

Raszud miał do dyspozycji tylko jedną, w miarę bezpieczną drogę, musiał jednak działać natychmiast. Tak się złożyło, że był na miejscu, kiedy Szakira zadzwoniła, ale choć serce mu się rwało, by chwycić słuchawkę i z nią chwilę porozmawiać, opanował ten nieprofesjonalny odruch. Starał się o niej nie myśleć, zabierając się do organizowania nadzwyczajnego posiedzenia kierownictwa Hamasu z gościnnym udziałem dwóch przedstawicieli Hezbollahu. W Tel Awiwie była dwudziesta pierwsza trzydzieści.

*

Szakira wróciła do „Wzgórz Chesapeake” około czternastej. Fausi wysadził ją na parkingu, nie podjeżdżając pod wejście. W holu wymieniła pozdrowienia z portierem i wjechała windą na swoje piętro. Dzień był ciepły, ale pochmurny, a zrywający się wiatr zwiastował nadchodzącą burzę.

Zrobiła sobie kanapkę z wołowym pastrami, kozim serem i humusem, który nadał całości bliskowschodni posmak i sprawił, że zatęskniła za domem. W następnej chwili przemknęło jej przez myśl pytanie, czy kiedykolwiek doczekają się z Rawim czegoś takiego

jak prawdziwy dom. Potem zaczęła myśleć o nim: gdzie jest, co robi, jak się czuje. Wypełniła swoje zadanie, ale zdawała sobie sprawę, że ta część misji była najłatwiejsza. Teraz pragnęła tylko być z nim, wspierać go i chronić - jeśli będzie umiała.

Wyniosła krzesło na taras i usiadła, kontemplując rozpościerającą się w dole zieloną równinę przeciętą brunatną wstęgą marszczoną wiatrem rzeki. Tak słabo znała ten kraj, siedlisko wszelkiego zła. Widziała tylko autostradę z Bostonu do Waszyngtonu, drogę do Brockhurst i okolice tego sennego miasteczka.

Zastanawiała ją, że odkąd postawiła stopę na amerykańskiej ziemi, spotykała się tylko z życzliwością. Żadna z napotkanych osób nie wyglądała i nie zachowywała się jak sługa Wielkiego Szatana: patrzący na nią z podziwem urzędnik kontroli granicznej, uśmiechnięty czarnoskóry olbrzym w liberii hotelu „Pierre”, który wnosił jej walizkę, uczynny portier Freddy z apartamentowca, jowialny i ufny Jim Caborn, a przede wszystkim jej przyjaciółka, dobra dusza Emily Gallagher. W jej osobistym doświadczeniu nie było w Ameryce żadnego czarnego charakteru, o jakich jej mąż ciągle perorował. Zanim go poznała, jej całym światem była Gaza, a później Hebron; wszystkiego, co wiedziała o świecie, nauczyła się od niego. Wierzyła, że Rawi się nie myli co do USA - ale nie zgadzało się to z jej doznaniem. Dla niej Amerykę uosabiała Emily, nie straszliwe potwory w rodzaju Arnolda Morgana.

Jadła w zamyśleniu, popijając kanapkę sokiem owocowym. Zastanawiała się, jak i kiedy ma stąd wyjechać. Nie mogła uprzedzić Emily o wyjeździe i martwiła się, że starsza pani będzie w kłopotcie, kiedy zwali się jej na głowę Kipper. Bardzo żałowała, że nie będzie się nawet mogła pożegnać z przyjaciółką, a tym bardziej pozostawać z nią w kontakcie. Wiedziała, że może zniknąć w każdej chwili w taki sposób, że nikt się nie zorientuje przed upływem doby lub dwóch. Jakiegokolwiek pożegnania oznaczałyby, że grupa ludzi wiedziałaby o jej planach zawczasu - a do tego dopuścić nie mogła. Musiała się rozpuścić w powietrzu.

Tok myśli przerwała jej elektroniczna melodyjka komórki. Pobiegnęła do pokoju, wyciągnęła ją z torebki i nacisnęła guzik odbioru. Tylko jedna osoba znała ten numer, Szakira wiedziała jednak, że nie zamieni z nią ani słowa.

Z głośniczka popłynęła nagrana na taśmie wiadomość: „Dublin. Wielki Meczet w Clonskeagh. Godzina siedemnasta, od szesnastego do osiemnastego stycznia”. Kropka, koniec transmisji.

Klamka więc zapadła. Musi się zjawić w stolicy Irlandii nie później niż 15 lipca wieczorem - od najbliższej niedzieli za tydzień, czyli wylecieć ze Stanów już w piątek 13 lipca.

Włączyła laptop i uruchomiła przeglądarkę internetową. Najdogodniejsze połączenie

oferowały linie Aer Lingus. Miała wprawdzie przy sobie otwarty bilet powrotny wystawiony przez British Airways, które nie miały bezpośrednich lotów ze Stanów do Irlandii, ale bez problemu mogła go przebukować.

Wróciła na balkon ze szklanką soku. Przesiedziała tam jeszcze pół godziny, pochłonięta lekturą jednego z ulubionych kolorowych magazynów poświęconych ploteczkom z życia gwiazd. Gdzieś na skraju świadomości plątała się jednak myśl o Emily i Charliem. Czy będą o niej pamiętać?

Jak niejednen szpieg przed nią, Szakira zaczynała balansować na granicy dwóch tożsamości. Chwilami nie wiedziała, czy jest miłą i uczynną Carlą Martin, która zdobyła serce Emily Gallagher, czy Szakirą Raszud, palestyńską bojowniczką, żoną i asystentką bezlitosnego terrorysty. Podświadomie broniła się przed konkluzją, że to przecież jedna i ta sama osoba.

Poniedziałek, 2 lipca, godz. 24.00. Gaza

Generał Raszud jako najwyższy rangą w zbrojnym ramieniu Hamasu poprowadził naradę osobiście. Zebrani jak zwykle zasiedli na poduszkach w pokoju sytuacyjnym willi przy Omar el-Muchtar.

Zaczął od uwagi, że w krótkim czasie, jaki upłynął od publikacji artykułu o Arnoldzie Morganie w „Washington Post”, temat podjęła z zapalem amerykańska prasa liberalna. Pojawiły się kłopotliwe pytania o charakter jego obecności u boku prezydenta. Za kogo on się uważa?... Po co współczesnym Stanom Zjednoczonym ten stary żołnierz z epoki zimnej wojny?... Narodowi należą się wyjaśnienia... Jeżeli pan Morgan pragnie mieć tak wielki wpływ na naszą politykę, to czemu sam nie stanie do wyborów?

Dziennikom natychmiast zawtórowały stacje telewizyjne. Na wielu kanałach wyemitowano dyskusje z udziałem ekspertów, którzy otwarcie atakowali admirała. Al-Dżazira też nie zasypiała gruszek w popiele, dorzucając własny reportaż o jastrzębiu prezydenta Bedforda „według dobrze poinformowanych źródeł”, zatytułowany: „Bicz na terrorystów w Białym Domu”.

Rawiego wszystkie te enuncjacje obchodziły równie mało jak samego ich bohatera. Jeżeli cokolwiek łączyło tych dwóch nieprzejednanych wrogów, to pogarda dla dyletanckich, niedouczonej, historycznych szarlatanów, za jakich uważali dziennikarzy *in gremio*.

Obchodziło go natomiast bardzo to, co mógł przeczytać między wierszami: Arnold Morgan naprawdę był motorem wydarzeń, które kosztowały Hamas utratę trzech ważnych

bojowników, prawdopodobnie skazanych na dożywotnie więzienie w Guantanamo, i udaremniły starannie przygotowaną operację z lotem TBA 62, który przypuszczalnie nie rozbił się nad oceanem, ale został zestrzelony przez amerykańskie lotnictwo. Na czyj rozkaz, można się było domyślić.

Raszud był zdania, że losy dżihadu zależą od wyniku starcia z jednym człowiekiem i że na razie jest on górą - i to nie po raz pierwszy. Z militarne punktu widzenia kontrakcja mogła być tylko jedna i on sam podejmował się ją przeprowadzić. Dzięki żonie wiedział jak i gdzie; pozostawało tylko niepostrzeżenie przedostać się do Anglii.

Głos zabrał pułkownik Abdullah, donosząc, że jeden z irańskich okrętów podwodnych rosyjskiej klasy Kilo operuje teraz u wybrzeży Libanu z jednym zasadniczym zadaniem: wspomagać bojowników Hezbollahu, gdy będą tego potrzebować. Irańczycy naturalnie zadeklarowali, że z radością oddadzą przysługę słynnemu generałowi z Hamasu.

Była to wspaniała wiadomość, gdyż bez ich pomocy organizacja przerzutu Rawiego do Londynu zabrałaby mnóstwo czasu i środków i nie było gwarancji, że się powiedzie. A czas naglił. Raszud błyskawicznie oszacował opcje, dochodząc do przekonania, że najlepszą drogą przeniknięcia na Wyspy Brytyjskie będzie lądowanie gdzieś na południu Irlandii. Odległość do pokonania była wprawdzie duża - około trzech tysięcy mil morskich - ale Kilo mógł ją przebyć w dziesięć i pół doby bez tankowania, utrzymując średnią prędkość dwunastu węzłów. Oznaczałoby to jednak konieczność płynięcia na głębokości peryskopowej z wysuniętymi chrapami, żeby można było na bieżąco ładować akumulatory; prądnice dieslowskie zaś są hałaśliwe, a wysunięty maszt z daleka widoczny dla radarów. W ten sposób okręt straciłby swoją największą zaletę: cichy bieg. W głębokim zanurzeniu i przy prędkościach nie przekraczających pięciu węzłów Kilo są praktycznie nie wykrywalne. Charakter obecnego zadania wymagał jednak kompromisu, czas grał bowiem w tym równaniu zasadniczą rolę. Rawi musiał się znaleźć w Irlandii najpóźniej w sobotę 14 lipca, żeby zdążyć się przedostać promem do jednego z mniejszych, słabiej monitorowanych portów angielskich. Trzeba też było zapewnić mu broń, której nie mógł ze sobą zabrać. Nawet w sennym rybackim miasteczku nie zaryzykowałby schwytania z karabinem snajperskim w bagażu. Byłaby to ekspresowa droga do brytyjskiego więzienia.

Nie, broń musiał odebrać już w Anglii, do jednorazowego użytku. Innej możliwości nie widział. Zapotrzebowanie wraz ze specyfikacją trzeba było błyskawicznie przesłać do syryjskiej ambasady w Londynie. Jeśli wszyscy się dostatecznie zwawo uwiną, być może czasu wystarczy nawet na zamówienie egzemplarza ręcznie wykonanego na miejscu. Limit wyznaczała data podróży państwa Morganów: 31 lipca. Hotel „Ritz”, Piccadilly Circus.

Już sama lokalizacja celu wymagała intensywnego rozpoznania terenu: miejsce publiczne, ruchliwe, dobrze kontrolowane. Na to jednak żaden znający się na rzeczy dowódca nie żałuje wysiłku - każda uzyskana przed akcją informacja jest cenna, a czasem nawet bezcenna. Rawi wiedział, że musi się znaleźć w Londynie nie później niż 20 lipca. Tylko wtedy zdąży odebrać i przetestować karabin, wybrać kryjówkę i perfekcyjnie zaplanować ewakuację. Ponowne spotkanie z Kilo musi się odbyć z sekundową dokładnością.

Potrzebował też samochodu i mnóstwa pieniędzy - zakładał, że przyjdzie mu wynająć, a może nawet kupić odpowiedni lokal po północnej stronie Piccadilly, naprzeciwko „Ritza”. Nieruchomości w tej dzielnicy są horrendalnie drogie i rzadko dostępne na rynku - tym się będzie musiał zająć ktoś z ambasady.

Całą tę machinę Palestyńczycy zamierzali puścić w ruch tylko po to, żeby zgładzić jednego człowieka. W planowanie i finansowanie akcji zaangażowane były trzy państwa: Jordania, Syria i Iran. Jednakże sama decyzja należała już tylko do generała Raszuda: światowej klasy snajpera, czołowego bojownika islamskiego terroryzmu, który nie chciał powierzyć tego zadania nikomu innemu.

Swoją tok rozumowania wyraził jasno i zwięźle:

- Każda przyszła operacja przeciwko Stanom Zjednoczonym będzie miała dwa razy większe szanse powodzenia, kiedy Arnold Morgan spocznie w grobie. I ja zamierzam go tam posłać.

Tego samego dnia, godzina 19.00. Hotel „Estuary”, Brockhurst

Jak na poniedziałkowy wieczór, Szakira miała pełne ręce roboty. Miejskowa silna grupa - Herb, Rick, Bill i Matt - dopijała już drugie piwo, było też kilkoro gości hotelowych, którzy wpadli na aperitif przed kolacją. Restauracyjna kuchnia pracowała na pełnych obrotach; szef kuchni jak zwykle polecał dziś świeżą rybę, a na Emily Gallagher i jej przyjaciółkę czekał już zarezerwowany ten sam stolik co zawsze.

Panie zjawiły się kwadrans po siódmej i swoim zwyczajem usiadły najpierw przy barze na kieliszek białego wina. Matt Barker akurat nalegał, żeby Szakira spotkała się z nim po pracy, a on zabierze ją swoim porsche w piękne miejsce nad wodą na drinka na dobranoc. Dziewczynie kończyła się amunicja wymówek i cierpliwość, z ulgą więc przesunęła się do Emily, która obserwowała całą scenę z uśmiechem rozbawienia.

- Zdaje się, że ten młody mechanik ci się trochę narzuca, Carlo?

- Matt jest w porządku - odrzekła Szakira. - Tylko że chyba się we mnie zadurzył.

- To już taki etap w życiu, kochanie. Za stary na maślane oczy licealisty, a za młody na niewymuszoną elegancję zamożnego Lotaria w średnim wieku. Bieda w tym, że na zawsze pozostanie mechanikiem. Dla takiej dziewczyny jak ty to za mało. Trzymaj się od niego z daleka. - Emily obdarzyła ją konspiracyjnym uśmiechem i dopiwszy wino, odeszła od baru.

Szakira ujrzała ją wkrótce w drzwiach sali restauracyjnej i z zazdrością pomyślała o delikatnie przypieczonym dorszku. Sama musiała się zadowolić hamburgerem, choć przy udostępnionych jej funduszach džihadu stać ją było nie tylko na łososia czy homara, ale na kuter wraz z całym połowem i załogą. Tylko że nikt nie mógł się o tym dowiedzieć...

Widząc, że barmanka pozbyła się rozmówczyni, Matt natychmiast wznowił natarcie. Nachylił się przez kontuar i słodkim tonem powiedział:

- Carla, naprawdę bardzo mi zależy, żebyś się ze mną dziś umówiła. Znamy się już tak długo i wiesz, jak cię lubię... mam nawet dla ciebie prezencik.

- To miło z twojej strony, Matt, ale tyle razy ci powtarzałam, że nie jestem wolna. Mam narzeczonego i nie mogę się z tobą spotykać. To byłoby nie w porządku wobec Raya. - Bez zastanowienia, niemal podświadomie użyła dawnego imienia Rawiego.

Na Barkerze nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Pożądał jej tak bardzo, że nie odstraszyłoby go wyznanie, iż jest zakonnica po zmianie płci. Starał się jednak ukryć graniczące już z irytacją rozczarowanie i odpowiedział spokojnie:

- No trudno. Chcę tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo cię szanuję i ile by to dla mnie znaczyło, gdybyś zmieniła zdanie.

- To już raczej w następnym wcieleniu - odparła ze śmiechem. - Powinieneś znaleźć sobie dziewczynę bez zobowiązań, nie taką, która wybiera się za męża.

Dla Matta był to dodatkowy policzek. Do urażonej dumy dołączyła zazdrość.

Wieczór płynął bezproblemowo, jednakże choć grupa Matta piła tylko piwo, wszyscy byli już pod dobrą datą.

O dziesiątej Emily z towarzyszką wróciły na kawę po irlandzku, którą wypily przy barze. Widząc, z jaką sympatią Carla się odnosi do klientki, Matt zorientował się, że łączy je większa zażyłość i żeby przypodobać się obiektowi swoich uczuć, krzyknął od stolika:

- Te kawy na mój rachunek, proszę!

Pani Gallagher nie zamierzała się wdawać w dyskusje z podchmielonymi mężczyznami, skinęła mu więc tylko uprzejmie głową, po czym syknęła do Carli:

- Żebyś mi się nie ważyła brać od niego pieniędzy!

Obie były zaskoczone, kiedy Barker nagle wstał od stołu, dopił piwo, podszedł do baru, zapłacił rachunek i się pożegnał.

- Rano wcześniej startuję - wyjaśnił. - Muszę jechać do Waszyngtonu. Porschem będę tam w mig, ale wyspać się trzeba.

Za kwadrans jedenasta zrobiło się pustawo. Miejscowa klientela poszła w ślady Matta, Emily też uznała, że na nią czas, i zostało tylko dwóch gości z hotelu. Szakira czuła się wyjątkowo zmęczona i poprosiła portiera, żeby sam zamknął bar. Przebrała się na zapleczu i wyszedłszy tylnymi drzwiami, ruszyła na ukos przez parking do bramy, gdzie jak zwykle kilkanaście metrów za rogiem miał po nią podjechać Fausi.

Tym razem czekał na nią jeszcze ktoś inny.

- Cześć, Carlita seniorita! - Z cienia przy ścianie wysunął się Matt Barker. - Mówiłem, że mam dla ciebie prezencik, nie? No, to teraz go dostaniesz.

Niespodziewanie chwycił dziewczynę za nadgarstki, przyciągnął ku sobie i brutalnie przycisnął do muru, lewą dłonią zakrywając jej usta. Jej twarz owionął gorący, przesycony odorem piwa oddech. Prawą ręką sięgnął w dół i jednym szarpnięciem poderwał jej spódnicę aż do bioder. Usłyszała, że rozpina zamek błyskawiczny, i nagle poczuła na nodze nacisk naprężonego członka. Wcisnął się jej między uda, powstrzymywany tylko przez cienkie jedwabne figi.

- Zobaczymy, czy nie jestem lepszy od tego twojego Raya - wyszeptał chrapliwie, rozrywając jej bluzkę i chwytając za pierś. - Nie udawaj cnotki, czekałaś na to tak samo jak ja i oboje dobrze o tym wiemy...

Gorączkowo walczył z jedwabiem. Szakira rozluźniła mięśnie, jakby się poddawała. Podniecony malejącym oporem Matt nie zauważył, że prawa ręka dziewczyny sunie ukradkiem za plecy, ku rękojeści ostrego, wysadzanego kamieniami sztyletu, który zgodnie z obietnicą daną Ahmedowi stale nosiła przy sobie.

Pewien wygranej Barker stracił czujność i obiema rękami starał się rozerwać bieliznę. Udało mu się to za trzecim szarpnięciem - ale w tej samej chwili Szakira wbiła mu nóż między żebra, niemal rozcinając serce na pół. Tak, jak ją uczył Rawi.

Matt Barker zadygotał w krótkim spazmie i po chwili już nie żył. Wysunęła się spod bezwładnego ciała i patrzyła, jak napastnik wolno osuwa się po ścianie. Poprawiła rozchełstane ubranie, zapięła jedyne trzy guziki, jakie zostały na bluzce, cofnęła się o krok i wymierzyła trupowi silne kopnięcie w zastygłą w grymasie bólu twarz.

- Ty głupi sukinsynu! - wycedziła, z trudem łapiąc oddech.

Wybiegła na uliczkę, zostawiając zwłoki tak, jak upadły na bok, ze sztyletem sterczącym z piersi i w wolno rosnącej kałuży krwi. Dobrze zapamiętała lekcję, że zabójca nie ryzykuje zakrwawienia ubrania, jeżeli zostawi nóż w ranie. Na jej żakiet trysnęło zaledwie

parę kropli. Nie obawiała się badań kryminologicznych - miała rękawiczki na dłoniach, a że z walki wyszła z siniakami na przegubach, ale bez najmniejszego choćby zadraśnięcia, wiedziała, że dochodzeniowcy nie określą jej grupy krwi i nie znajdą śladów DNA.

To też zawdzięczała poradom Rawiego. Będiesz zawsze uzbrojona, klarował jej, więc nigdy nie zapomnij włożyć rękawiczek, wychodząc gdzieś sama wieczorami. W ten sposób w razie czego pozbędziesz się wroga i nie zostawisz śladów.

Uliczka była pusta. Szakira szła szybko, ale powstrzymywała chęć zerwania się do biegu. Kiedy doszła do pustej działki między budynkami, z ulgą zobaczyła zaparkowanego na niej - przodem do jezdni, jak zwykle - czarnego buicka z pracującym na wolnych obrotach silnikiem.

Fausi spojrzął na nią w półmroku i natychmiast wyczuł jej napięcie. Nie uszło też jego uwagi, że dziewczyna ma potargane włosy i niedopięte ubranie. Wskoczył z samochodu i otworzył jej drzwi.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony.
- Nic wielkiego, w porządku.
- Ktoś cię zaatakował?
- Jeden z miejscowych gości, pijana świnia, próbował mnie zgwałcić.
- Domyślam się, że drogo za to zapłacił?
- Najdrożej. Był za silny, nie miałam wyjścia. Jedźmy już stąd, Fausi. Tym razem na dobre.

Rozdział 6

Fausi skręcił na północ i szybko wyjechał z Brockhurst. Noc była parna, pochmurna i bardzo ciemna, a ruch niewielki i buick mknął całą drogę z prędkością prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Oboje uznali, że lepiej zaryzykować mandat niż podejrzenie o brutalne morderstwo. Kiedy dotarli do „Wzgórz Chesapeake”, Szakira wysiadła na szosie i pozostałe sto pięćdziesiąt metrów pokonała pieszo. Przez hol przeszła szybko, żeby portier Fred nie zauważył jej rozgorączkowania. Na szczęście winda była na parterze, od razu więc mogła zniknąć mu z oczu.

Znalazłszy się w mieszkaniu, rzuciła na łóżko walizkę i w szalonym tempie ją wrzucała do niej ubrania, buty, przybory toaletowe, brudną bieliznę. Z trudem domknęła zamek, przemyła twarz, włożyła świeżą bluzkę i dżinsowy żakiet. Rozejrzała się wokoło i już wolniej zaczęła kolejno sprawdzać wszystkie szafki i szuflady w kuchni, łazience i sypialni, zajrzała pod łóżko i na półki w salonie. Przez cały pobyt starała się nie gromadzić żadnych niepotrzebnych rzeczy. Zdjęła całą pościel z łóżka, z łazienki zgarnęła dwa wilgotne ręczniki, z kuchni kilka ścierek - wszystko, z czego w laboratorium policyjnym można by pobrać próbki jej DNA - i pospieszyła do zsypu, którym mieszkańcy wrzucali śmieci do umieszczonej w piwnicy spalarki. Zamierzała opuścić apartament tylko z rzeczami, które tu ze sobą przywiozła.

Uporawszy się z pakowaniem i porządkami, powycierała jeszcze najczęściej dotykane przedmioty i powierzchnie, żeby usunąć odciski palców, po czym lekko zdyszana wyszła na balkon i zadzwoniła do willi w Gazie. Nikt nie podniósł słuchawki, czego się zresztą spodziewała. Po włączeniu się sekretarki nagrała krótką wiadomość: „Wyjeżdżam natychmiast. Komórka włączona”. Następnie wybrała lokalny numer, przeczekala dwa dzwonki i się rozłączyła. Był to sygnał dla Fausiego, żeby podjechał pod dom.

Buick cicho i bez zapalonych reflektorów wtoczył się na podwórko i zatrzymał w ciemniejszym miejscu kilkanaście metrów od wejścia do budynku. Fausi wysiadł, obszedł dom dookoła i znalazł się na parkingu. Wśród aut wypatrzył drogiego lincolna i podniesionym po drodze kamieniem rozbił w nim szybę. W nocnej ciszy alarm zawył jak trąba jerychońska. Jordańczyk wrócił biegiem do swojego samochodu, błyskawicznie podjechał pod drzwi i wpadł do holu, nasuwając na oczy szoferską czapkę. Przystanąwszy za

progiem, wrzasnął do portiera, którego klakson alarmu oderwał od telewizora na zapleczu recepcji:

- Halo, panie, zdaje się, że jacyś dwaj włamali się do czyjegoś auta! Usłyszałem hałas, włączył się alarm, a potem tamci przebiegli obok mnie.

Fred, były komandos z Zielonych Beretów, wypadł zza kontuaru jak rakieta. Takie zdarzenia nie przynoszą chwały zawodowym ochroniarzom.

- Dzięki! - odkrzyknął w przelocie. - Zaraz się tym zajmę!

Kiedy portier zniknął za drzwiami, cichy dźwięk obwieścił przyjazd windy. Na dany przez współnika znak Szakira wysiadła i powoli ruszyła do wyjścia, lekko się garbiąc i powłócząc nogami jak starsza osoba. Twarz dodatkowo skryła za otwartym magazynem ilustrowanym. Fausi chwycił walizkę i po chwili oboje byli już przy buicku. Wrzucił bagaż na przednie siedzenie i zasiadł za kierownicą, podczas gdy dziewczyna położyła się na tylnej kanapie, niewidoczna z zewnątrz.

Samochód ruszył ostro do wyjazdu z posesji, wciąż bez włączonych świateł. Fausi skręcił w prawo ku krajowej siedemnastce i wkrótce dociskał już pedał gazu na autostradzie. Nikt w całym osiedlu, a przede wszystkim nocny portier, nie wiedział, że Carla Martin właśnie się wyprowadziła.

Dochodziła dwudziesta czwarta. Daleko za nimi w Brockhurst Emily Gallagher spała snem sprawiedliwego, pewna, że nazajutrz rano jej młoda przyjaciółka jak zwykle wyręczy ją w wyprowadzaniu Charliego. Jim Caborn niedawno skończył księgować dzienny utarg z baru i zadowolony, że wreszcie ma naprawdę dobrą barmankę, oglądał jeszcze telewizję. W mroku na hotelowym parkingu z nieodkrytych przez nikogo zwłok Matta Barkera wciąż sączyła się krew.

O pierwszej Fausi dojechał do skrzyżowania z Interstate 95, asfaltową wstęgą biegnącą wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża. Skręcił w nią na północ i dopiero wtedy zapytał:

- Dokąd mam jechać, Szakiro? Na lotnisko waszyngtońskie, do Filadelfii czy Nowego Jorku?

- Do Bostonu - odrzekła.

- Aż tam? - Kierowca cicho gwizdnął. - To nam zajmie z osiem godzin. Rozumiem, że się nigdzie nie zatrzymujemy?

- Oczywiście, że nie. Domyślasz się chyba, że w tej chwili ty i twój samochód jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi na całym świecie. Każda pokonana mila oddala nas od Brockhurst, a mnie od więzienia.

- Jak sądzisz, kiedy odkryją ciało?

- Chyba wcześniej rano, kiedy ktoś z gości będzie wyjeżdżał z parkingu. Może koło ósmej. Mam nadzieję, że wezmą to za miejscową zbrodnię i zaczną szukać w najbliższej okolicy.

- Kierujemy się prosto na Logan?

- Tak. Wsiadam w pierwszy dostępny samolot do Europy.

Nawet Fausi nie mógł wiedzieć, dokąd Szakira się wybiera. Rozumiał to doskonale i nie próbował nawet pytać. Powiedział tylko:

- Będzie mi ciebie brakowało. Spędziliśmy razem nerwowe, ale przyjemne tygodnie.

- Ładnie to ująłeś, Fausi. - Szakira nigdy przedtem nie słyszała tych dwóch przymiotników w jednym zdaniu i roześmiała się. - Potrafisz się lepiej ode mnie wysławiać po angielsku. To komplement, bo ja jestem naprawdę dobra.

- Dziękuję, pani Raszud. Przyjmuję pochwałę z wdzięcznością.

Dzielące ich od Waszyngtonu sześćdziesiąt kilometrów pokonali w czterdzieści pięć minut - teraz już Jordańczyk trzymał się w granicach dozwolonej prędkości. Autostrada omija łukiem stolicę, skręcając ostro w prawo na wysokości Alexandrii i przeskakując nad Potomakiem do Marylandu po moście imienia Woodrowa Wilsona. Na drugim brzegu odbija na wschód, łączy się z obwodnicą zwaną Beltway, biegnie między miastem a terenem bazy lotniczej Andrews, a potem znów się usamodzielnia, zostawiając w tyle siedzibę NSA w Fort Meade. Dojechali do tego rozjazdu o drugiej trzydzieści, kierując się na Baltimore i Filadelfię. Jeszcze przed brzaskiem przekroczyli rzekę Delaware w Trenton i skręcili na New Jersey Turnpike, w stronę Nowego Jorku i lesistych ziem Nowej Anglii.

Zatrzymali się na kawę i po benzynę gdzieś na północ od Nowego Brunszwiku, po czym ruszyli dalej ku mostowi Waszyngtona. O piątej trzydzieści ruch zaczynał już gęstnieć, ale na razie jechało się niezłe. Przez obrzeża Nowego Jorku śmignęli nad podziw szybko i znaleźli się na autostradzie New England Thruway. Trzy i pół godziny później powitały ich tablice oznajmiające zjazd na bostońskie lotnisko. O dziewiątej piętnaście wyczerpany całonocną jazdą Fausi zaparkował przed terminalem E. Pożegnanie nie zajęło im nawet pięciu sekund: uścisk dłoni, spojrzenie w oczy i po chwili Szakira z walizką na wózku zniknęła już za szklanymi drzwiami.

W tej samej chwili za siedmioma granicami stanowymi, w budzącym się do życia Brockhurst, znaleziono zwłoki Matta Barkera. Wbrew przewidywaniom Szakiry nie odkrył ich nikt z gości hotelowych, ale idąca do pracy jedna ze sprzątaczek, która nieomal się o nie potknęła. Stała jak wryta i zaczęła wrzeszczeć na całe gardło. Nigdy nie ustalono, czy

bardziej przeraził ją widok białego w pierś trupa sztyletu, czy wystający z rozporka i wciąż sztywny penis. Pewne było tylko to, że pani Price mogłaby iść w zawody z najgłośniejszymi klaksonami.

Jim Caborn, który już siedział w swoim biurze, usłyszał krzyk i wybiegł na podwórze przekonany, że kogoś mordują. Pomylił się tylko co do czasu. Gdy zobaczył, co się stało, natychmiast wyciągnął komórkę i wybrał alarmowy numer 911.

Policja - miejscowy szeryf, dwóch posterunkowych, detektyw z wydziału zabójstw i patolog sądowy - zjawiała się na miejscu w dziesięć minut, a po dalszych pięciu nadjechał wezwany ambulans. Zwłoki zostały sfotografowane i wstępnie zbadane przez patologa, który oznajmił, że śmierć nastąpiła około północy. Wyznaczony do śledztwa detektyw uznał wobec tego, że zamknięcie miasteczka kordonem mija się z celem - jeżeli bowiem zabójca wyjechał, to jest już za późno, a jeśli nie zdecydował się na ucieczkę od razu, to już raczej zostanie na miejscu. Trupa odwieziono do kostnicy, głównie dlatego, że nie stanowił najlepszej reklamy dla hotelu „Estuary”.

- Dzięki, Joe - powiedział Jim Caborn, kiedy ambulans zniknął za rogiem. - Chodź teraz na kawę, a ja pozbię wszystkich, żebyś mógł z nimi pogadać.

Wszyscy trzej bohaterowie tego niespodziewanego dramatu w sennym zakątku nad Rappahannock, dwaj żywi i jeden martwy, znali się od najmłodszych lat. Detektyw Joe Segel chodził do jednej klasy z Mattem Barkerem, a z Cabornem grał w uczelnianej drużynie futbolowej Virginia Tech w Blacksburgu. Zbrodnia miała prawdziwie lokalny charakter.

W hotelowym barze Jim sporządził dla Segela listę osób, które według niego mogły rzucić trochę światła na ostatnie godziny życia denata, spędzone bezsprzecznie w tym właśnie lokalu. Numer jeden przydzielił Carli Martin, która często rozmawiała z Mattem; podał też nazwiska i adresy Herba, Ricka i Billa, którzy przypuszczalnie widzieli go żywego ostatni.

- O której panna Martin przychodzi do pracy? - spytał Joe.

- Również o siedemnastej. Nigdy się nie spóźnia.

- W takim razie i ja przyjdę punktualnie.

Wtorek, 3 lipca 2012, godz. 9.30. Lotnisko międzynarodowe Logan

Szakira spontanicznie zdecydowała, że nie wyjedzie z USA jako Carla Martin, i sięgnęła po paszport na nazwisko trzydziestoletniej Maureen Carson, urodzonej w stanie Michigan. Podeszła do biura sprzedaży irlandzkich linii Aer Lingus i spytała, czy są wolne

miejsca w pierwszej klasie nowo wprowadzonego lotu do Dublina przez Shannon, startującego o 10:30.

- Oczywiście, mamy jeszcze bilety. Mogę panią prosić o paszport? - Kasjerka pobieżnie zerknęła na dokument, porównała fotografię z twarzą klientki. - Jak będzie pani płacić?

- Kartą American Express.

Karta należała do dyplomaty z ambasady Jordanii w Paryżu, Szakira zaś figurowała jako pełnomocnik i znała PIN. Na znak kasjerki wystukała cztery cyfry na klawiaturze miniterminalu, zatwierdzając bająską sumę sześciu tysięcy dolarów.

- Czy mogę służyć czymś jeszcze?

- Tak, miałabym prośbę o zarezerwowanie dla mnie pokoju w hotelu „Shelboume” w Dublinie. Proszę zaznaczyć, że zamelduję się późnym wieczorem.

- Czy życzy sobie pani, żeby ktoś po panią wyjechał?

- Dziękuję, wezmę taksówkę.

Z biletem w ręku Szakira przeszła do stanowiska odprawy dla pierwszej klasy. Godzinę później duży airbus unosił ją już w stronę południowej Irlandii. W Brockhurst detektyw Joe Segel zbierał się do powrotu na komisariat, nie wiedząc, że morderczyni dosłownie wyfrunęła już nie tylko z miejsca, ale i kraju zbrodni.

Tego samego dnia, godz. 14.30. Komisariat policji w Brockhurst

Joe Segel nie miał zbyt wielu punktów zaczepienia. Kilkanaście godzin temu ktoś wsadził Mattowi Barkerowi nóż w serce, zabijając go w jednej chwili - tak orzekł lekarz sądowy. Przy denacie znaleziono piętnaście banknotów dwudziestodolarowych, kilka kart kredytowych, nikt też nie zabrał jego telefonu komórkowego. Na ciele nie było oznak świadczących o stoczonych walce, poza dużym siniakiem na lewej skroni, który mógł powstać podczas osuwania się twarzą po ścianie.

Ktoś jednak bardzo pragnął jego śmierci. Detektyw przesłuchał już najbliższych znajomych Barkera, zwłaszcza tych, z którymi widziano go feralnego wieczoru w barze „Estuary”. Żaden z nich nie miał zielonego pojęcia, co się mogło stać. Wszyscy byli wyraźnie poruszeni zbrodnią; Herb i Rick mieli nawet łzy w oczach.

Segelowi pozostało na razie tylko samo narzędzie zbrodni. Siedział za biurkiem w białych tekstylnych rękawiczkach i obracał sztylet w palcach. Nie było na nim znaku firmowego producenta, wyglądał natomiast Joemu na wyrób bliskowschodni i kojarzył się z

opowieściami Szeherazady. Te klejnoty w rękojeści! Jeśli są prawdziwe, to cacko warte jest fortunę, pomyślał. A mimo to zabójca je porzucił, zostawił wbite w pierś ofiary jak ktoś, kto zna swój zbrodniczy fach i wie, że w ten sposób uniknie zabrudzenia się krwią. Ktoś, kto potrafi zniknąć, nie pozostawiając śladów. Kryminolodzy zbadali już broń i nie znaleźli nawet fragmentu odcisku palca.

Joe czekał na wizytę miejscowego jubilera, który miał ocenić prawdziwą wartość sztyletu. Okazało się, że kamienie w rękojeści są zwykłymi szkiełkami oprawionymi w mosiądz. Ładne, ale nie droższe niż pięćdziesiąt dolarów.

Było jeszcze coś, co nie dawało spokoju detektywowi: wzwidziony członek zamordowanego. Przyczyna mogła być tylko jedna: Matt Barker zginął w stanie podniecenia płciowego, a ktoś, w kogo zamierzał swój narząd wetknąć, najwyraźniej sobie tego nie życzył. Ale kto? Kobieta czy mężczyzna? Osoba znajoma czy obca? W kim zapędy Matta wzbudziły tak stanowczy sprzeciw, że nie cofnął się przed zbrodnią?

Joe Segel nie znajdował żadnej odpowiedzi. Zakładał jednak, że morderstwa nie mogła popełnić kobieta. Cios został zadany z wielką siłą, ale precyzyjnie: skierowany skośnie w górę, prosto w serce, niosąc błyskawiczną śmierć.

- Do licha, czyżby stary Matt był pedałem? - mruknął pod nosem. - Tyle lat i nikt się nie zorientował? W każdym razie nikt z tych, których znam. Tak, bardzo jestem ciekaw, co też na to powie panna Carla Martin. - Zerknął na ścienny zegar. Do siedemnastej została jeszcze cała godzina.

*

Detektyw Segel usiadł na fotelu w hotelowym holu, kiedy stary szafkowy zegar wybijał piątą. Spokojnie odczekał pięć minut, potem jeszcze dziesięć, a wreszcie wstał i podszedł do recepcji.

- Jim, staruszkule, mówiłeś, że ona nigdy się nie spóźnia.

- Joe, staruszkule, tak zawsze było. Aż do dzisiaj.

- Posiedzę jeszcze z dwadzieścia minut, a potem będę musiał sam jej poszukać. Ta dziewczyna mogła być ostatnią osobą, która widziała go żywego. Wszyscy trzej jego kompani od stolika zgodnie zeznali, że Matt z nią rozmawiał, a zaraz potem wlał w siebie resztę piwa i wyszedł, tłumacząc, że wcześniej rano wybiera się do stolicy. To było około dwudziestej drugiej trzydziestej. A o dwudziestej trzeciej panna Martin zwinęła manatki i wyszła z hotelu... tylnymi drzwiami, na parking, gdzie znaleziono zwłoki.

- Podejrzewasz ją? - spytał Jim.

- A jakże! Na razie to jednak drugorzędna hipoteza. Prywatnie nie sądzę, aby ona to

zrobiła, i gdyby zjawiła się dziś w pracy na czas, nie brałbym jej pod uwagę. Zapisz mi jej adres i telefon, dobra?

Jim zajrzał do kartoteki pracowniczej i zaczął przerzucać fiszki. Tracił jednak tylko czas; Szakira już dawno wykradła swoją, na której miał zapisany numer jej paszportu, numer ubezpieczenia, referencje i nawet nazwę miejscowości, w której zamieszkała u ciotki: Bowler's Wharf. Na miejsce oryginału podłożyła nową, z podanym tylko adresem: Hotel „Estuary”, Brockhurst.

Jim Caborn nie wierzył własnym oczom. Podniósł wzrok na detektywa i wydukał:

- Kompletnie tego nie rozumiem.

- Czego mianowicie?

- Pamiętam dokładnie, że przyjmując ją do pracy, wypełniłem kartę szczegółowo. Wiesz, adres, dokumenty, numer z ubezpieczalni. Zapisałem nawet telefony do jej byłych pracodawców.

- A numer rejestracyjny jej wozu?

- Nie podała.

- A pytałeś?

- Dwa razy. Odpowiadała, że nie pamięta, ale zaraz przyniesie dowód i wpisze do kartoteki. Przyjąłem, że to zrobiła.

Joe Segel dostał gęziej skórki.

- Jim, nie pomyśl tylko, że chcę cię krytykować, ale muszę mieć jasność. Ta babka zaczęła u ciebie pracować... kiedy?

- Parę tygodni temu.

- Okay. I jesteś pewny, że sam wypełniłeś ten druczek?

- Jasne, że tak. Robię to z każdym zatrudnionym. Oba jej listy referencyjne pochodziły z Anglii.

- W porządku. Mamy więc tu panienkę Nikt. Zniszczyła wszystkie dotyczące jej zapisy, które trzymałeś w biurze. Podrzuciła ci fałszywy adres. I nagle ktoś pada trupem, zbrodnia ewidentnie na tle seksualnym, a nasza dziewczynka znika, jakby się pod ziemię zapadła. Ile ona miała lat?

- Czekaj, niech pomyślę... Tak, trzydzieści lat. Przypominam sobie datę urodzenia z paszportu. Maj osiemdziesiątego drugiego. Wiesz, dlaczego zapamiętałem?

- Nie mam pojęcia.

- Ja wtedy obroniłem magisterkę. Ale chwileczkę... Joe, ona mi powiedziała, że zatrzyma się u ciotki w Bowler's Wharf! Nazwisko jakieś takie... Leno, Jean Leno!

Pamiętam, bo skojarzyło mi się z telewizyjnym talk-show.

- Taak... Coś ci powiem, Jim. Ta dama zadała sobie wiele trudu, żeby zatrzeć ślady swoich stopek na naszej ziemi. Stawiam stówkę przeciw piątce, że w Bowler's nie znajdziemy nikogo, kto by się tak nazywał.

- Nie będę ryzykował piątki.

- Czy ta Carla była ładna?

- No, nie starała się podkreślać urody, jeśli to masz na myśli, ale tak, nazwałbym ją uniwersalnie piękną. Ciemna karnacja, krucze włosy, smukła z cudownie długimi nogami. Wielu facetów nie mogło od niej gał oderwać.

- Matt też?

- Zwłaszcza on.

- Umawiała się z nim? - Detektyw uniósł brwi.

- Wątpię. Słyszałem parę dni temu, jak chłopaki się z niego nabijają. Wiesz, niby taki dziany gość, miejscowy potentat, a dostał kosza od zwykłej barmanki.

- Jim, obydwaj znaleźliśmy Matta od szczeniaka, ale zdążyłem się w życiu nauczyć, że tak naprawdę nigdy się nikogo do końca nie pozna. Nie myślisz chyba, że Matt ją napastował, co? Albo że próbował... a panna Martin dźgnęła go w samoobronie?

- Matt? - Hotelarz aż usta rozdziawił ze zdumienia. - Daj spokój, w nim nie było cienia agresji! To był taki wyrośnięty Kubuś Puchatek.

- Takie sprawiał wrażenie - mruknął Joe. - Ale na tego porsche nie zarobił, przechadzając się po Stumilowym Lesie i grając w misie-patysie.

- Pewnie za niego nie zapłacił - zachichotał Caborn.

- Owszem, zapłacił.

- Skąd wiesz?

- Sprawdziliśmy dziś rano.

- Z czym w takim razie zostaliśmy?

- Z jednym wielkim brakującym elementem. O Matcie Barkerze wiemy wszystko. Znamy jego przyjaciół, kolegów, klientów, krewnych. Wszyscy mieszkają w tych stronach. I nie ma wśród nich nikogo podejrzanego.

- Tym brakującym elementem jest więc Carla Martin?

- Nie kto inny. A co w takich razach zwykły mawiać największy detektyw wszech czasów?

- Nie mam pojęcia.

- Kiedy się wyeliminuje niemożliwe, zostaje tylko prawda. Sherlock Holmes.

- I co teraz zrobisz? Roześlesz po całym kraju list gończy za moją barmanką?

- To byłaby na razie przesada. Ale szukać jej trzeba. Zaczynam mieć dziwną pewność, że ta pani nie stawi się dziś do pracy.

Tego samego dnia, godz. 22.25. Shannon, Irlandia

Airbus linii Aer Lingus z Bostonu do Dublina miał krótkie międzylądowanie na wielkim międzynarodowym lotnisku w Shannon, które przed nastaniem ery ekonomicznych samolotów szerokokadłubowych przez długie lata było pierwszym europejskim przystankiem wszystkich lotów z USA i Kanady. Do dzisiaj pozostaje preferowanym punktem startu dla wielu Amerykanów odwiedzających piękne zakątki na południu Szmaragdowej Wyspy: hrabstwo Kerry, jeziora Killamey, wybrzeże wokół Cork. Dlatego też wszystkie transatlantyckie połączenia Aer Lingus do Dublina zatrzymują się właśnie tam. Zmęczona Szakira Raszud siedziała tego wieczoru niemal sama w przedziale pierwszej klasy, gdy jej airbus kołował do startu na ostatni krótki odcinek lotu. Zerknęła na zegarek, wciąż nastawiony na czas Wschodniego Wybrzeża.

- Dwadzieścia pięć minut spóźnienia - mruknęła do siebie. - Ciekawe, czy Jim się już niecierpliwi.

Wiatr wiał z południowego zachodu, znad oceanu, i w tym kierunku startowali. Lekko załadowany samolot bez trudu oderwał się od pasa i szybko nabierał wysokości, szerokim łukiem zawracając nad ujściem Shannon, największej irlandzkiej rzeki. Droga do Dublina miała zająć zaledwie dwadzieścia minut ponad zielonymi łąkami i polami serca wyspy.

Szakira zdążyła się zdrzemnąć może z dziesięć minut, gdy głos kapitana obwieścił rozpoczęcie schodzenia do lądowania w Dublinie. Kiedy osiem minut później airbus dotknął kołami betonu pasa startowego, znów miała nerwy napięte jak postronki.

Jako pasażerka uprzywilejowana opuściła samolot jedna z pierwszych. W hali odpraw granicznych czynne były tylko dwa stanowiska i obaj urzędnicy sprawiali wrażenie, jakby znali lepsze zajęcia na późny wieczór niż siedzenie w oszklonej budce w oczekiwaniu na nielicznych przyjezdnych. Podeszła do pierwszego z brzegu i podała swój idealnie podrobiony paszport. Otworzył go na którejś ze środkowych stron, przystawił zielony stempel wjazdowy i dopiero wtedy od niechcenia zerknął na dane personalne właścicielki, a potem na nią samą. Uśmiechnął się, życzył przyjemnego pobytu w Irlandii i skinieniem głowy przypieczętował całą procedurę. Szakira zastanowiła się przelotnie, czy tak postępuje zawsze, czy tylko wobec niektórych podróżnych, i doszła do wniosku, że musi to być normą. I jak tu

myśleć o takich ludziach, że służą Wielkiemu Szatanowi?

W hali bagażowej również prawie nikogo nie było. Jej bagaż już jeździł w kółko na taśmociągu, mogła więc od razu skierować się do zielonego przejścia bezcelowego - które również świeciło pustkami. Dziwił ją ten totalny brak kontroli; nie miała w życiu okazji zapoznać się z tą kryształowo przejrzystą irlandzką logiką, w myśl której bezcelowe jest obsadzanie celnikami przejścia, skoro nikt z korzystających z niego pasażerów i tak nie ma nic do zadeklarowania. W niespełna kwadrans po wylądowaniu siedziała już w taksówce wiozącej ją do centrum. Dopiero gdy po półgodzinnej jeździe kierowca zatrzymał się na podjeździe hotelu „Shelbourne”, zorientowała się, że przecież nie ma przy sobie miejscowej waluty.

- Bardzo pana przepraszam - sumitowała się. - Proszę chwilkę poczekać, w recepcji na pewno wymienią mi pieniądze.

- Oj, Boże, nie martw się, złotko. - Irlandczyk machnął ręką. - Wezmę i zielone. Dwadzieścia osiem euro, po półtora za sztukę... powiedzmy, czterdzieści dwa dolce.

Wręczyła mu pięćdziesięciodolarówkę i powiedziała, że reszty nie trzeba. Taksówkarz uśmiechnął się szeroko i odpowiedział utartym miejscowym zwrotem:

- O, chrześcijanka z ciebie, złotko!

Nie wiedział, jak dalece się minął z prawdą.

Hotel „Shelbourne” to kwintesencja irlandzkiej gościnności i sposobu bycia. W jego barach gasiły pragnienie pokolenia stołecznych uczonych, poetów i biznesmenów. Nikt tu nie zawraca sobie głowy formalnościami w rodzaju spisywania numerów lub nawet kserowania paszportów, jak to się trafia w niektórych hotelach na świecie, nawet tych wielogwiazdkowych, a już zwłaszcza w odniesieniu do mile widzianych gości z Ameryki. Od Szakiry nawet nie zażądano okazania dokumentu.

- Proszę tylko przesunąć kartę przez czytnik - powiedziała recepcjonistka. - Dziękuję, to wszystko. Niall zawiezie pani bagaż na górę. Pokój dwieście pięćdziesiąt. Życzę miłego pobytu. Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, wystarczy podnieść słuchawkę.

Nie, to chyba niemożliwe. Wszędzie dookoła pogodni, przyjaźni ludzie - gdzież tu cała ta zachodnia zachłanność i zaborczość, o której mówi się na Wschodzie? Szakira postanowiła, że nie pozwoli Rawiemu atakować jakichkolwiek Irlandczyków - nigdzie na świecie.

Rozpakowała część rzeczy i powiesiła w szafie, a potem napełniła wannę i zrobiła sobie długą, gorącą kąpiel z pachnącą wiosną pianą. Rozluźniona i czysta, z ulgą wyciągnęła się na satynowym prześcieradle. Od poniedziałkowego ranka prawie nie spała i ani przez

chwile nie była w łóżku, a według czasu waszyngtońskiego był już wtorkowy wieczór. Przetawiała zegarek na czas lokalny. Pewnie już mnie tam szukają, pomyślała, ale chyba nikt nie łączy mnie ze śmiercią Matta Barkera.

Podobnie jak taksówkarz, bardzo się myliła.

Tego samego dnia, godz. 19.00. Bowler's Wharf

Na głównej ulicy parkowały cztery radiowozy - rzadki widok w tej niewielkiej nadrzecznej osadzie. Policjanci chodzili od domu do domu, wypytując o niejaką Jean Leno: czy może tu mieszka?... Czy ją ktoś zna?... Czy ktokolwiek w ogóle słyszał podobne nazwisko? Odpowiedzi nieodmiennie były negatywne. Proroctwo detektywa Segela się spełniało i menedżer „Estuary” dobrze zrobił, że nie przyjął zakładu. Zadawano też pytania o Carlę Martin, piękną młodą brunetkę, która rzekomo mieszkała w osadzie przez parę tygodni i dojeżdżała do pracy nieokreślonej marki małowitrazowym samochodem. Reakcja była podobna: nic niewyrażające spojrzenia i wzruszanie ramionami. Nikt nigdy nie słyszał o Carli ani o jej ciotce Jean. Joe Segel sprowadził specjalistów z zestawem do tworzenia portretów pamięciowych, którym udało się sporządzić na podstawie opisów Caborna i jednego z bywalców baru dość wierną podobiznę Szakiry. Kolejnym krokiem było wydrukowanie setek plakatów z krzyczącym wielkimi literami znanym hasłem „POSZUKIWANA”. Do diabła, ktoś w końcu musiał ją widywać, rozumował detektyw. Nikt nie może tak po prostu rozplnąć się w powietrzu. Muszę się dowiedzieć, gdzie mieszkała. Nie mogło to być daleko. Ludzie na pewno ją zauważyli.

O dziewiętnastej trzydzieści urządził w komisariacie konferencję prasową, skusiwszy gromadkę dziennikarzy wzmianką, że przypadek Matta Barkera policja traktuje jak morderstwo. Niby nic dziwnego, kiedy znajduje się gościa z wbitym w serce nożem - a jednak samo to słowo niesie znacznie silniejszy ładunek emocjonalny niż „zwykłe” zabójstwo. Zwłaszcza kiedy dotyczy sprawy, o której prasa w ogóle nie zdążyła się dowiedzieć.

Segel celowo wstrzymał się z obwieszczeniem do wieczora, nie chciał bowiem, by ta historia utknęła w lokalnych mediach. Pragnął rozgłosu, artykułów w dużych dziennikach, sensacji w ogólnokrajowych wiadomościach telewizyjnych i radiowych, jupiterów, kamer, słowem: wielkiego show. Uważał, że to jedyny sposób, by dopaść Carlę Martin. Przy takim nagłośnieniu prędzej czy później coś musi wypłynąć. Zawsze wypływa. Znajdzie się człowiek, który rzuci światło na tajemnicę zniknięcia Morderczyni z Brockhurst.

Pierwsza część jego planu powiodła się znakomicie. Zamożny biznesmen, właściciel

salonu samochodowego, willi i porsche zaszytych w ciemnym zaułku - taka wizja była bardzo pociągająca dla ludzi, którzy żyją z opisywania cudzych nieszczęść. Do małego Brockhurst zaczęli się zjeżdżać dziennikarze. Pierwsze pojawiły się oczywiście wozy transmisyjne największych kanałów informacyjnych, CNN i Fox News. Na obu nadawano nowe, całodobowe serwisy, a tego rodzaju historie - klasyczne „Kto zabił?” ze zdecydowanie pikantnym smaczkiem - dawały im pożywkę na co najmniej parę dni. Reporterzy z trzech najważniejszych stołecznych dzienników, „Post”, „Star” i „Journal”, przylecieli wynajętym do spółki śmigłowcem. CBS uznało sprawę za wartą wysłania ciężarówką wielką jak Pentagon pełnego zespołu filmowego z dwójką spikerów. ABC dla kontrastu zadowolilo się e-mailem do miejscowego korespondenta, zlecając mu śledzenie sytuacji i informowanie na bieżąco. Dla NBC nowina była ciekawa, ale też ograniczyło się do pojedynczego prezentera i miejscowego kamerzysty. Nie zabrakło dziennikarzy z pobliskich dużych miast, Richmondu i Norfolku, odległych od Brockhurst o osiemdziesiąt kilka kilometrów, no i naturalnie tuzina przedstawicieli mediów lokalnych. W sumie było to największe zgromadzenie asów, waletów i blotek z prasowej talii w całej historii miasteczka.

O morderstwie mówili wszyscy, nazwisko Matta Barkera rozbrzmiewało częściej niż prezydenta USA, Jim Caborn trzymał bar otwarty od rana do nocy i zbierał obfite żniwo.

Joe Segel zaczął konferencję od przedstawienia znanych faktów. Krótko scharakteryzował ofiarę, opisał okoliczności odkrycia zwłok, zapewnił, że śledztwo jest prowadzone skrupulatnie i z pełnym zaangażowaniem, przyznając jednak, iż na razie daleko do ujęcia sprawcy. To rzekłszy, przeszedł do informacji na temat barmanki Carli Martin, która niemal na pewno ostatnia widziała denata żywego, i jej tajemniczego zniknięcia. Z ustawionego obok stelaża patrzył na słuchaczy plakatowych rozmiarów wydruk portretu pamięciowego poszukiwanej dziewczyny, a na stoliku w tylnej części sali piętrzył się stos gotowych poręczniejszych kopii do wzięcia. Zanim Joe pozwolił na zadawanie pytań, podkreślił że „policji bardzo zależy na rozmowie z tą osobą, gdyż jej zeznania prawdopodobnie bardzo by pomogły w dochodzeniu”.

- Czy to znaczy, że prowadzicie w okolicy polowanie na morderczynię?

- No, niezupełnie, nie mam bowiem żadnych dowodów wskazujących na winę panny Martin. Świadkowie zgodnie twierdzą jednak, że rozmawiała z zamordowanym tuż przed jego wyjściem z lokalu, a wkrótce potem sama skończyła pracę i opuściła hotel. Niewykluczone, że widziała go jeszcze później, skorzystała bowiem z drzwi prowadzących na parking, gdzie nazajutrz rano znaleziono ciało.

- Jak długo po nim wyszła z baru?

- Jak się wydaje, nie później niż dwadzieścia minut.

- Czy ci dwoje byli parą? To znaczy, czy ona spotykała się z nim także poza pracą?

- Z tego co wiemy, to absolutnie nie. Bliscy znajomi Matta Barkera mówią, że on ją wielokrotnie zapraszał na randki, ale ona zawsze odmawiała.

- Gdzie Carla mieszkała? Miała zakwaterowanie na miejscu?

- Dobre pytanie. W hotelu nie mieszkała, a wygląda na to, że usunęła z kartoteki swoje dane. Nie mamy więc zielonego pojęcia, gdzie i u kogo się zatrzymała, ale musiało to być niedaleko od Brockhurst. W końcu musiała codziennie dojeżdżać do pracy, nie?

- Kiedy wymówiła posadę?

- Rzecz w tym, że w ogóle tego nie zrobiła. Po prostu więcej się nie pojawiła. Zazwyczaj przychodziła punktualnie o siedemnastej. Którą to teraz mamy? Dochodzi dwudziesta, a według słów jej szefa, ani razu nie zdarzyło się jej spóźnić. Myślę więc, że raczej nie należy się jej dzisiaj... ani jutro czy pojutrze spodziewać.

- To bardzo podejrzane, prawda?

- Owszem. Ale to nie znaczy, że ona go zabiła.

- Wielu ludzi byłoby innego zdania - nalegał reporter, który zadał ostatnie pytanie. - Mamy tu do czynienia z pościgiem za zbrodniarką i pan musi to wiedzieć.

- Myli się pan. Panna Martin mogła uciec, bo widziała coś na parkingu i z jakiegoś powodu nie chce zostać w to zamieszana. Zresztą nawet gdyby była winna, to mogło to być zabójstwo w obronie własnej. Istnieje podejrzenie, że to Matt Barker ją zaatakował. Był dużym i silnym mężczyzną, a zwłoki znaleziono z... otwartym rozporkiem.

- Na Boga, Joe! On tam leżał z ptakiem na wierzchu?

- To... hmm... potoczne określenie rzeczywiście dobrze odzwierciedla sytuację.

- Chce pan powiedzieć, że mógł napastować Carlę Martin seksualnie?

- Tego bym nie wykluczył. Ale podkreślam ponownie, że losy śledztwa zależą od tego, czy ją znajdziemy. I chciałbym, żeby państwo nam w tym pomogli.

Część dziennikarzy pokiwała głowami. Zaczęły padać pytania o szczegóły na temat denata, jego domu i rodziny; znacznie większe zainteresowanie wzbudził jednak aspekt seksualny. Joe zaspokoił pierwszy apetyt wilczego stada, dodając na koniec, że chętnie udzieli też prywatnych wywiadów i przez następną godzinę będzie czekać na chętnych w swoim biurze w komisariacie. Znał wartość rozgłosu, jaki jego sprawa zdobędzie po tej imprezie, ale nie zamierzał więcej rozprawiać o ptaku Matta Barkera w mieszanym towarzystwie i na antenie.

Jak mógł się spodziewać, chętnych było wielu i rozmowy z kolejnymi reporterami

zajęły mu ponad półtorej godziny. O wpół do dziesiątej obwieścił koniec urzędowania, zgasił światło, pozamykał za sobą drzwi i poszedł, jak to często czynił, na szklaneczkę czegoś mocniejszego przed snem do „Estuary”. Zrezygnował jednak z drinka, kiedy przez witrynę ujrzał stłoczonych w barze swoich niedawnych rozmówców, nagabujących każdego z miejscowych gości, nad którymi mieli przewagę liczebną. Na dzisiaj miał dość pytań i mikrofonów, a po mającej wkrótce nastąpić erupcji medialnego wulkanu na temat „Brutalnego mordu w spokojnym miasteczku” i „policyjnych sieci zarzuconych na Tajemniczą Kobietę” wolał się dobrze wyspać przed następnym dniem, który zapowiadał się pracowity.

Szedł pustymi uliczkami do domu, ale bez szczególnego zadowolenia, wiedząc, że czeka go równie mało entuzjastyczne powitanie. Joe miał czterdzieści sześć lat, ożenił się późno, ale jego młodsza o kilkanaście lat Joanne wykazywała już wszystkie symptomy „zespołu żony policjanta”, jak to w duchu nazywał. Z góry wiedział, co usłyszy: że ona prawie nie pamięta, jak wygląda jej mąż; że już ma dosyć czekania z odgrzewaną co pół godziny kolacją (nieważne, że nie robiła już tego od kilku tygodni); i że w ogóle to nie jest życie, a ona się nie godziła mieszkać sama jak w grobowcu. A po tym przygotowaniu artyleryjskim zaczną się pytania o Tajemniczą Kobietę - tego też był pewien. Dlatego właśnie chciał posiedzieć godzinę tylko w towarzystwie Jacka Danielsa (z czarną etykietką) i dać sobie trochę wytchnienia. Prawdę mówiąc, zaczynał już mieć dosyć Carli Martin. Gdzie się ona, u diabła, zaszła? Może jutrzejszy dzień przyniesie jakieś odpowiedzi.

Tymczasem Tajemnicza Kobieta, martwa dla świata i niedostępna dla policyjnych sieci, odsypiała zaległości sześć tysięcy kilometrów na wschód od Brockhurst, w luksusowym apartamencie szacownego hotelu „Shelbourne”.

Późnowieczorne wydania wiadomości telewizyjnych poświęciły sporo czasu - niektóre nawet ponad dwie minuty - redaktorzy w mig bowiem docenili wpływ ptaka Matta Barkera na współczynniki oglądalności. Z wybiciem dwudziestej trzeciej nazwisko detektywa Joe Segela trafiło nie tyle pod strzechy, ile pod pokryte dachówką bitumiczną dachy domów całego Wschodniego Wybrzeża.

Pierwszy wysunął się przed peleton kanał Fox News. Reporter na tle fasady hotelu „Estuary” z wystudiowanym podekscytowaniem donosił:

- Była to próba gwałtu z nieprzewidzianym przez napastnika skutkiem. W tym cichym miasteczku, zagubionym wśród meandrów Rappahannock, szanowany miejscowy biznesmen został dziś o świcie znaleziony martwy, z wbitym w pierś egzotycznym sztyletem. Jak oświadczyła policja, był częściowo obnażony i są... ehm... sztywne dowody na to, że był

zamieszany w nieokreślonego charakteru napaść na tle seksualnym. Zwłoki odkryto na zapleczu najlepszego miejscowego hotelu, a lekarz sądowy określił, że śmierć nastąpiła krótko przed północą. W tej chwili jest tylko jedna podejrzana osoba: piękna hotelowa barmanka, Carla Martin. Zamordowany, pan Matt Barker, właściciel salonu i warsztatu samochodowego, biesiadował tego wieczora w barze i według zeznań naocznych świadków prawdopodobnie prosił ją o randkę, spotkał się jednak z odmową. Oboje wyszli z hotelu w odstępie dwudziestu minut, a potem panna Martin przepadła jak kamień w wodę, pozostawiając społeczność Brockhurst pogrążoną w szoku.

W tym punkcie redaktor wydania wrzucił migawki z przeprowadzonych wywiadów, zaczynając od wypowiedzi detektywa Segela podkreślającej, jaką wagę policja przykładła do odszukania zaginionej barmanki, która starannie zatarła za sobą ślady. Następnie pokazano jednego z przyjaciół denata, fotografa Herba, który mówił chętnie, acz nie wniósł niczego nowego. Gwoździem programu była jednak rozmowa z zarumienioną panią Price, która pierwsza zauważyła trupa.

- Mówię panu, to był prawdziwy wstrząs! Idę sobie jak zwykle do pracy, patrzę, a tu Matt leży w kałuży krwi i z tą sterzczącą rzeczą.

- Ma pani na myśli narzędzie zbrodni?

- Nie, proszę pana. Może i narzędzie, ale nie zbrodni....

Cięcie, przerzut do studia, uśmiechnięci spikerzy - szpakowaty dżentelmen i olśniewająca blondynka. Reklamy. Porządna telewizyjna robota. Pół kraju tarza się ze śmiechu. O to w końcu chodzi, nie? Dać im coś na wesoło, nawet gdy mowa o morderstwie.

Poranne dzienniki potraktowały sprawę z nie mniejszym rozmachem. „Washington Post” zamieścił czołówkę jako drugą na pierwszej stronie:

**ZAGADKOWA ZBRODNIA
W MAŁOMIASTECZKOWYM ZACISZU
POLICJA POSZUKUJE
POTENCJALNEJ ZABÓJCZYNI**

Inne gazety nie były tak powściągliwe. Jedna z bulwarówek przyciągała wzrok czerwonymi kapitalikami wielkości pomidorów: „Pijany żądzą mechanik zarżnięty przez barmankę”, a obok inna wtórowała hasłem: „Seksualne zmagania na parkingu zakończone śmiercią”.

Dla Joe Segela forma i treść reportażu była bez znaczenia. Najważniejsze, że w

każdym dzienniku i na wszystkich kanałach TV pokazano szkic pamięciowy Carli Martin i do znużenia opowiadano, jak ważne są dla śledztwa jej zeznania. Miał nadzieję, że nie później jak do obiadu zaczną się pojawiać pierwsze poważniejsze tropy. Medialny rozgłos to jednak broń obosieczna - z jednej strony upowszechnienie wiadomości o przestępstwie może pomóc w dochodzeniu, a z drugiej światła jupiterów odbierają zbrodni anonimowość i sprawiają, że aparat ścigania nie bardzo już może sobie pozwolić na odłożenie sprawy ad acta jako nierozwiązanej.

Była środa 4 lipca - Dzień Niepodległości USA, ale detektywi, także domorośli, i w święta nie próżnują. Joe przewidująco ściągnął do komisariatu troje operatorów z innych miasteczek, aby przyjmowali zgłoszenia. Telefony rzeczywiście dzwoniły często, ale ich rozrzut geograficzny był beznadziejny. Joe nakreślił na ściennej mapie hrabstwa okrąg o promieniu pięćdziesięciu kilometrów ze środkiem w Brockhurst - zakładał, że Carla Martin nie mogła mieszkać dalej. Sama powiedziała hotelarzowi, że chce się zatrzymać w najbliższej okolicy. Tymczasem niemal wszyscy dzwoniący pochodzili z miejscowości zbyt oddalonych, by mogła stamtąd dzień w dzień dojeżdżać do pracy. Owszem, zdarzały się informacje warte sprawdzenia, ale instynkt podpowiadał detektywowi, że to jeszcze nie jest właściwy trop. Nastawił czujniej uszu dopiero wtedy, gdy rozmówczyni poprosiła o połączenie bezpośrednio z nim. Przedstawiła się jako Emily Gallagher i oświadczyła, że chętnie się z nim spotka u siebie w domu, ma bowiem pewne informacje w sprawie zabójstwa Matta Barkera.

Nazwisko nie było Segelowi obce. Pani Gallagher związana była z Brockhurst od wielu lat i cieszyła się wielkim szacunkiem. Niektórzy wiedzieli też, że jej córka wyszła za jednego z najważniejszych ludzi w Waszyngtonie. Joe poczuł się wyróżniony tym osobistym zaproszeniem i niezwłocznie kazał się zawieźć jednemu z podkomendnych do jej willi na przedmieściu. Kiedy pukał do drzwi, Emily właśnie skończyła doprowadzać się do porządku (Charlie omal nie wciągnął jej do rzeki). Zaparzyła kawę, postawiła na stole tacę domowych ciasteczek i dopiero wtedy była gotowa snuć opowieść o czarnowłosej piękności, która tak nagle zniknęła z jej życia.

Policjant słuchał jej z szeroko otwartymi oczami. Emily wiedziała o Carli Martin więcej niż ktokolwiek, z kim do tej pory rozmawiał. Pamiętała nawet, że dziewczyna wspominała czasem, iż mieszka w apartamencie, a raz padła też wzmianka o portierze. Podzieliła się też podejrzeniem, że Carla mogła być cudzoziemką albo spędziła długi czas za granicą. Nigdy nie zapomniała tego źle użytego trybu warunkowego - klasycznego błędu osoby, która angielskiego nie wyssała z mlekiem matki. Dorzuciła jeszcze, że w jednej z rozmów przyjaciółka opowiadała, jak lubi poleniuchować w ładny dzień na tarasie z książką

czy magazynem. Joe Segel patrzył na nią z rosnącym podziwem. Apartament, portier, taras... bardzo istotne informacje; nie dlatego, że odkrywały Amerykę, ale że pozwalały wyeliminować tak wiele niemożliwości. Elementarne, Watsonie.

Najważniejsza okazała się jednak relacja z owego wieczoru w „Estuary”, ostatniego w życiu Matta Barkera.

- To było może z godzinę przed czasem zabójstwa. Ten cały Matt nie dawał Carli spokoju. Widziałam i słyszałam wszystko. Ostrzegłam, by na niego uważała, bo to typ absolutnie nie dla niej.

- Pani też powinna być ostrożniejsza w osądach - wtrącił detektyw. - Barker był powszechnie lubiany.

- Ale miał i ciemniejszą stronę, dlatego ją uprzedzałam. Och, mam nadzieję, że wszystko się wkrótce wyjaśni i że Carla wróci pomóc mi przy Charliem i Kipperze.

- Kto to jest Kipper?

- Spaniel mojej córki. Wyjeżdża z mężem do Europy i mnie przypadł w udziale obowiązek przygarnięcia jej psa.

Joe się uśmiechnął. Przyjemnie mu się rozmawiało z Emilią. Dała się lubić.

- I naprawdę nie wie pani, gdzie ona mogła mieszkać?

- Nie mam pojęcia. Na pewno jednak gdzieś niedaleko. Przychodziła zawsze punktualnie. Byłam przekonana, że trzyma samochód na parkingu za hotelem, ale nigdy go nie widziałam. Do mnie przychodziła piechotą.

Rewelacje pani Gallagher - która wykazała się bystrością obserwacji na miarę Sherlocka Holmesa - rzuciły trochę światła na Tajemniczą Kobieta, ale zarazem pogłębiły cienie. Detektyw Segel był wdzięczny za uzyskane szczegóły; cenne było też dlań spostrzeżenie, że starsza pani wydawała się autentycznie zaskoczona zniknięciem swojej młodej znajomej bez słowa pożegnania.

Środa, 4 lipca, godz. 12.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Komandor porucznik Ramshawe również nie świętował. Dyrektor Morris od weekendu przebywał z wizytą u syna w Nowym Jorku i miał wrócić dopiero nazajutrz rano. Jimmy został sam na gospodarstwie. Co prawda w NSA pracowało wielu starszych od niego funkcją i stopniem oficerów, to on jednak był prawą ręką szefa - także z powodu swojej zażyłości z Wielkim Człowiekiem - i wszyscy o tym wiedzieli. Dzieleno się z nim wszystkimi najnowszymi informacjami, bez zawiści i urazy, nikt go bowiem nie miał za

karierowicza ani rywala. Wiadomo było, że jeśli ktoś musi coś zrobić szybko, dobrze jest wpaść na pogawędkę do Jimmy'ego i poprosić o wsparcie. Większości pracowników Agencji wydawało się oczywiste, że któregoś dnia Ramshawe zasiądzie za dyrektorskim biurkiem. Sam George Morris ufał mu bez zastrzeżeń i mawiał, że Jimmy jest ideałem wywiadowcy, wprost stworzonym do tej roboty.

Miało to naturalnie i złą stronę: najlepsi muszą więcej pracować, czasem nawet w tak wielkie święto. Szczególnie irytowało to narzeczoną młodego asa, Jane Peacock. Tego dnia miotła wręcz skry z oczu: dzień był wymarzony do surfowania, miała więc w planie olśnić tubylców swoją australijską wirtuozerią w koncercie na deskę i fale. Dyżur komandora porucznika Ramshawe'a oznaczał, że będzie musiała albo jechać tam sama, albo siedzieć w domu. Udało się jej tylko wydusić z narzeczonego solenne przyrzeczenie, że zjawi się na kolacji najpóźniej o dziewiętnastej trzydzieści.

Na razie Jimmy zajęty był przeglądaniem zagranicznej prasy. Do krajowych gazet zabierał się na końcu, często już późnym popołudniem, a i wtedy skupiał uwagę przede wszystkim na doniesieniach ze świata. Nie mógł jednak nie zauważyć cisnącej się wręcz w oczy historii o morderstwie w Brockhurst, bijącej tytułami z pierwszych stron i powtarzanej przez prezenterów dzienników telewizyjnych na tle portretów Tajemniczej Kobiety i zdjęć zaszytowanego Barkera. Otworzył „Washington Post” na stronie z głównym artykułem na ten temat.

- Aaa... Denat z ptakiem - mruknął, przypominając sobie chwytliwą frazę jednego z terenowych reporterów.

Uwagę Jimmy'ego zaprzętał jednak nie szczegół anatomiczny, lecz nóż, dobrze widoczny na fotografii. Sztylet właściwie - takiego określenia użył autor reportażu. Rzadka sprawa, pomyślał. Dzisiaj się słyszy o nożach, majchrach, sprężynowcach, ale sztylet to archaizm, coś rodem z *Juliusza Cezara* albo *Makbeta*...

- Jest li to ptak, co przed sobą widzę³? - zadeklamował jak szekspirowski bohater i zachichotał.

Wysadzana kolorowymi kamieniami rękojeść zaintrygowała go jednak bardziej, niż sam przed sobą z początku przyznawał. Jakoś nie pasowała do okoliczności zbrodni; nasuwała skojarzenia raczej z *Awanturami arabskimi* niż *West Side Story*. Sztylet, psiakość. Kto mówi o czymś takim w dwudziestym pierwszym wieku w wirginijskiej pipidówce?

³ Parafraza fragmentu Makbeta (akt II, scena I) w przekładzie J. Paszkowskiego, w którym naturalnie mowa jest o sztylcie.

Pistolety, noże, kastety, może nawet bomby - owszem. Ale nie sztylet i to jeszcze rodem z Bagdadu.

Jimmy czytał dalej. Nagle podniósł głowę.

- Brockhurst? Zaraz, zaraz... Gdzie ja to słyszałem? Brzmi znajomo...

Nalał sobie gorącej kawy i usiadł przed komputerem, usiłując sobie przypomnieć. Wpisał nazwę miasteczka do wyszukiwarki w swojej bazie danych, ale nic nie znalazł.

- Aha, zatem to nic z mojej działki.

Zatelefonował do Jane, ale i jej nic to nie mówiło.

- Dobra, najdroższa, to widzimy się wkrótce. Gdybyś sobie coś przypomniała, zadzwoń, okay?

- Gdybyś się spóźnił, nie dzwoń nigdy więcej - odparła sucho.

Jimmy wrzucił na ścienny monitor mapę Wirginii, odszukał owianą świeżą sławą miejscowość i zwiększył skalę.

- Jezu, toż to głucha wiocha! Skąd, u licha, utkwiała mi w pamięci?

Przerzucił kolejne strony dziennika, sprawdzając, czy oprócz morderstwa z Brockhurst zdarzyło się gdzieś coś diabolicznego, ale z zadowoleniem stwierdził, że świat jakby zwolnił biegu: w Iraku cisza, w Afganistanie spokój, nawet Iran przestał podskakiwać. Prawicowy prezydent Francji groził wystąpieniem z Unii Europejskiej, Brytyjczykom kończy się ropa pod Morzem Północnym i pewnie zbankrutują ze swoim rozbudowanym programem świadczeń społecznych.

I nagle doznał olśnienia. Mama Kathy! Tak jest, to ona mieszka w Brockhurst! Widział ją nawet na zdjęciu: pani Gallagher, Kathy i dwa psy na tle białego domu.

Był dumny z siebie i w nagrodę dolał sobie kawy. Przeczytał artykuł w „Post” jeszcze raz, już z większą uwagą. Zainteresowała go poszukiwana barmanka - piękna, zagadkowa, umie zacierać ślady i rozplýwać się w powietrzu. A przy tym jedyna podejrzana. Zajrzał do innych gazet, próbując ułożyć fakty w jakiś spójny obraz. Jak to mu się często zdarzało przy rozwiązywaniu skomplikowanych problemów, im dłużej nad tym myślał, tym wyraźniej zaczynał widzieć jedno podstawowe zagadnienie - co robi typowo arabskie narzędzie zbrodni w ciele denata znalezionej o parę kroków od domu teściowej Arnolda Morgana?

Coraz mniej mu się to podobało. Przypomniał sobie sążnisty artykuł w „Post” sprzed paru miesięcy, w którym odmalowano admirała jako wroga numer jeden wszystkich bliskowschodnich terrorystów. I oto mamy dziwną nową sytuację, rozmyślał. Ni stąd, ni zowąd na zabitej dechami prowincji przytrafia się pierwsze od wojny secesyjnej morderstwo, popełnione z użyciem ostrego narzędzia z arsenału Sindbada Żeglarza. Tylko że to nie on i

nie Aladyn przywiózł je tam na latającym dywanie, prawda? Należało do kogoś z mieszkańców Brockhurst, stałych bądź tymczasowych. A na co, u diabła, komuś z przykładowych członków tej spokojnej społeczności wysadzany klejnotami kindżał? Nawet jeśli miał tak serdecznie kogoś dość, to czemu nie wsadził mu pod żebro, jak normalny człowiek, noża kuchennego, myśliwskiego czy wędkarskiego, wojskowego bagnetu czy choćby scyzoryka marki Leatherman? Trzeba by o tym powiedzieć Wielkiemu Człowiekowi...

Ramshawe znowu zadzwonił do Jane.

- Słuchaj, kochanie, rodzice w domu czy będziemy mieli ambasadę dla siebie?

- A co ci chodzi po głowie? Owszem, mama z tatą wychodzą.

- Pomyślałem sobie, że jeśli macie tam czynną kuchnię, to może zaprosilibyśmy na kolację Kathy i Arnolda? Wiesz, już ze trzy razy byliśmy z nimi w raczej drogich lokalach i on mi nigdy nie pozwolił nawet się dołożyć do rachunku. Pora się odwzajemnić, nie uważasz?

- Kucharz i kamerdyner są w pracy. Nie byłoby problemu. Mam zadzwonić do Kathy? I czy australijskie wino się nada?

- Coś ty, powiedziałyby, że go sokiem z winogron częstujemy. Sprawdź wobec tego, czy im pasuje, i daj mi znać, a ja poszukam po drodze czegoś odpowiedniego.

Jane oddzwoniła po kwadransie z wiadomością, że Morganowie żałują, ale są już umówieni z prezydentem i Pierwszą Damą.

- No cóż, przynajmniej mieliśmy dobre chęci.

- I na nich się na razie skończy. Oni za trzy tygodnie wyjeżdżają na wakacje i nie będzie ich prawie cały sierpień.

- Pobiesiadujemy więc sami. Tak, tak, będę punktualnie.

Wrócił do przerwanych rozważań. Prowadzący dochodzenie detektyw uważał, że sprawczynią zabójstwa jest prawdopodobnie owa Tajemnicza Kobieta, i Jimmy był skłonny się z tym zgodzić. Dla fachowca z wywiadu poczynania Carli Martin dziwnie przypominały budowanie szpiegowskiej legendy: agent zjawia się na nowym terenie z wymyślonym życiorysem i kompletem dokumentów, wychodzi ze skóry, żeby zachować możliwie pełną anonimowość, skrzętnie zaciera wszelkie ślady i wtapia się w miejscowe tło. Tacy ludzie nie rzucają wszystkiego w diabły i nie znikają jak duchy, jeśli nie zmuszą ich do tego nieprzewidziane okoliczności.

Jimmy sącył stygnącą kawę, pogrążony w myślach. Według niego najważniejszym elementem tej łamigłówki był ów egzotyczny puginał. Postanowił, że rano wsiądzie w samochód i wybierze się do Brockhurst na wizję lokalną. Najpierw jednak musiał

skontaktować się z admirałem, podzielić się z nim podejrzeniami i upewnić, czy wypada mu złożyć z Jane wizytę pani Gallagher, kiedy będą w pobliżu - oczywiście całkiem przypadkowo.

Wybrał domowy numer Morgana. Arnold sam odebrał telefon i od razu zaczął się usprawiedliwiać, że nie mogą skorzystać z zaproszenia; wyczuł jednak szybko, że młody oficer ma do niego inną, mniej prywatną sprawę.

- No, mów, co ci tam leży na sercu, chłopcze.

- Chodzi o to morderstwo w Brockhurst...

- Denat z ptakiem i sztyletem? - przerwał mu Morgan z wyraźną niechęcią w głosie.

- Tak jest. Nie sądzisz, Arnie, że to dziwny zbieg okoliczności? Jakiś arabski nożownik, sprawny jak zawodowiec, wykonuje mokrą robotę akurat o pół mili od domu mamy Kathy?

- Posłuchaj, James. Po pierwsze, pismaki uparcie twierdzą, że zabiła go jakaś dziewczyna. Po drugie, nawet jeśli narzędzie zbrodni wyprodukowano w tajnym laboratorium Saddama Husajna, to jeszcze nie dowód, że posłużył się nim Arab. Mógł to być równie dobrze Eskimos, Buriat czy Zulus. Czy ty przypadkiem nie dostajesz manii prześladowczej?

- Mania prześladowcza należy do mojej metodologii pracy, sir.

- Jimmy, na razie nic w tej sprawie nie wiadomo. Barmanka i ofiara nie musieli mieć ze sobą nic wspólnego poza tym, że ona wyszła z baru dwadzieścia minut po nim. - Arnold Morgan najwyraźniej śledził na bieżąco wiadomości z miejsca zamieszkania teściowej. - Ale założmy, że masz rację i to ona zabiła, z premedytacją, w afekcie czy przez przypadek. I co z tego? Co to ma wspólnego z Emily? Przecież nie dla niej tam zamieszkała i podjęła pracę, nie?

- W takim razie co ją tam sprowadziło?

- Bóg jeden wie, przyjacielu. Mocno to naciągane, nie uważasz?

- Może tak, a może nie. Ale właściwie to dzwonię w innej sprawie. Tak się składa, że wybieramy się jutro z Jane w okolice Brockhurst. Czy popełnilibyśmy gafę, gdybyśmy wpadli przy okazji do pani Gallagher?

- Myślę, że by się ucieszyła. Ale jaki czart cię niesie w tamte strony?

- Och, Jane ma tam jakiś projekt plenerowy z paroma kolegami ze studiów.

- Tak. Jasne - burknął Arnold i odłożył słuchawkę.

Ramshawe parsknął śmiechem.

- Trudno przechytrzyć starego lisa - mruknął pod nosem. - Ale coś on zbyt łatwo zbywa tę sprawę. Ja tam nie dam za wygraną. Nie, sir.

Resztę wieczoru spędził w luksusie, obsługiwany z Jane przez kamerdynera w białej marynarce, jakby sam był ambasadorem. Przenocował na miejscu, a następnego ranka jeszcze przed ósmą wyruszyli w drogę. Do celu dotarli tuż przed jedenastą. Bez trudu odszukali hotel „Estuary” i Jimmy zaparkował na zapleczu, nie dalej niż dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie na asfalcie bielił się jeszcze kredowy zarys ciała i widniała brunatna plama zastygłej krwi. Weszli tylnymi drzwiami do holu i w recepcji zapytali, czy mogą jeszcze liczyć na śniadanie.

- Przejdźcie, państwo, do restauracji, coś się upichci - zapewnił z uśmiechem menedżer.

Po dziesięciu minutach przed Jimem parowała już solidna porcja jajecznicy z boczkiem i kielbasą. Jane ograniczyła się do jogurtu, płatków i sałatki ze świeżych owoców. Zaspokoiwszy głód, Ramshawe wyszedł do recepcji i poprosił o rozmowę z właścicielem hotelu.

- Do usług. Nazywam się Jim Caborn.

- Komandor porucznik Ramshawe, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Czy miałby pan chwilę, żeby się do nas przysiąść i zamienić parę słów? Jest kilka spraw, które chciałbym wyjaśnić.

- Ależ naturalnie, panie komandorze. - Hotelarz był pod wrażeniem. - Zaraz będę do pańskiej dyspozycji.

Jimmy wrócił do stolika. Caborn zjawił się po chwili, przywitał z Jane, przysunął krzesło i nalał sobie kawy.

- Przyniosę następny dzbanek, jeśli trzeba - zaoferował. - Cóż więc sprowadza wysokiej rangi oficera z NSA w nasze skromne progi? Jakbym nie wiedział... Chodzi o Carłę, tak?

- Właśnie - potwierdził Ramshawe. - Mam parę pytań i chciałbym, żeby pan się dobrze zastanowił nad odpowiedziami.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni legitymację służbową i pokazał menedżerowi, który rzucił na nią okiem bez większego zainteresowania.

- Nie musi się pan legitymować - powiedział. - Jeżeli praca hotelarza uczy ludzi czegokolwiek, to rozróżniania prawdy od fałszu. Od pierwszej chwili wiedziałem, że jest pan w porządku.

- Czy takie samo wrażenie zrobiła na panu Carla Martin?

- Hmm... Miała amerykański paszport i wszystkie potrzebne referencje... Ale było w niej coś zagadkowego. Do końca czułem, że właściwie nic o niej nie wiem.

- Czy przeszło panu przez myśl, że może być cudzoziemką?

- Nie. Ale skoro już pan o tym mówi, to rzeczywiście, zdarzały się jej drobne potknięcia w wymowie. Wie pan, coś jak Francuz, który zna płynnie angielski, ale niektóre słowa wychodzą mu inaczej niż nam.

- Chyba nie ma co pytać o jej adres?

- Zgadł pan. Podała mi fałszywy, jak się później okazało. Nikt nie wie, gdzie mieszkała.

- Myśli pan, że to ona zabiła Barkera?

- Wie pan, tego właśnie nie mogę pojąć. Taka urocza, miła dziewczyna, wykształcona, uprzejma i bardzo pracowita. Świetnie sobie dawała radę. Ale chyba trzeba tę ewentualność brać pod uwagę, skoro tak nagle zniknęła akurat w noc morderstwa. Od tamtego wieczoru nikt jej tu więcej nie widział.

- Ma pan jakieś jej dokumenty, zapisy?

- Żadnych! Albo ona, albo ktoś inny wszystko wyczyścił. Nie zostało mi nic, co by świadczyło, że w ogóle istniała.

- Profesjonalna robota... - mruknął Ramshawe.

- Profesjonalna? - Hotelarz uniósł brwi. - Powiedziałbym, że po prostu chytrze to załatwiła.

- Pracujemy w różnych zawodach, panie Caborn.

Dopili z Jane kawę, zapłacili rachunek i pożegnali się.

Już na parkingu Jane przystanęła i pokręciła głową niezadowolona.

- Jim, za szybko wyszliśmy. Jeszcze tyle pytań chodzi mi po głowie...

- Nie przyjechaliśmy tu rozwiązać sprawy morderstwa, kochanie. Ja tylko staram się dojść, kim naprawdę była panna Martin. Okoliczności śmierci Matta Barkera obchodzą mnie tyle co zeszłoroczny śnieg.

- To dokąd teraz idziemy?

- Na policję. Głównie dlatego, że chcę się przyjrzeć temu sztyletowi.

Komisariat mijali w drodze do hotelu; nie było tam daleko, ruszyli więc spacerkiem, ciesząc się ciszą i ciepłym letnim dniem. Oboje mieli na sobie dzinsy i mokasyny. Jane włożyła białą bluzkę, Jim wybrał ciemnoniebieskie polo z krótkim rękawem. On brunet z rozwiewaną przez wiatr przydługą czupryną, ona blondynka z długimi włosami spłowiałymi od australijskiego słońca niemal do białości, stanowili uderzająco urodziwą parę.

Kiedy dotarli pod komisariat, Jane uznała, że woli przejść się nad rzekę, niż bawić w detektywa, Jimmy wszedł więc sam. Poprosił dyżurnego o kontakt z Joem Segelem, którego

nazwisko zapamiętał z gazet; legitymacja zrobiła swoje i w ciągu minuty wprowadzono go do biura detektywa. Wymienili uprzejme pozdrowienia, ale Ramshawe wyczuwał w rozmówcy tę naturalną rezerwę, z jaką wszyscy lokalni policjanci traktują przybyszów z FBI, CIA, a zwłaszcza - co brzmiało jeszcze groźniej - z NSA.

- Czemu zawdzięczam ten niewątpliwy zaszczyt? - spytał Segel z uśmiechem, który nie miał odbicia w jego oczach.

- Niczemu szczególnemu - odrzekł pogodnie Jimmy. - Staram się tylko połapać w sprawie tej tajemniczej panny Martin. Wyznam, że według nas to może być cudzoziemka, i bardzo byśmy chcieli wiedzieć, czego szukała w wirginijskim miasteczku.

- I po to fatygował się pan tutaj osobiście, taki kawał drogi? Legitymacja mówi, że jest pan asystentem dyrektora.

- Powody są dwa, Joe - odparł Ramshawe, gładko przechodząc od oficjalnego wstępu do australijskiej bezpośredniości. - Po pierwsze, Carli bardzo zależało na usunięciu wszelkich danych personalnych z hotelowej kartoteki. Zakładam, że ewentualne jej starcie z Mattem Barkerem było nagłym i niepożądanym wypadkiem i tylko przyspieszyło jej wcześniej zaplanowany wyjazd. Nikt przecież nie sądzi, że przyjechała tu specjalnie po to, żeby go sprzątnąć, co? Po drugie, broń, którą się posłużyła, pochodzi z Bliskiego Wschodu, a tak się składa, że o ćwierć kilometra stąd mieszka teściowa największego w Ameryce bicia na terrorystów, jak niedawno prasa nazwała admirała Morgana. Ten zbieg okoliczności wcale się nam nie podoba.

- Kiedy tak to przedstawiłeś, Jim, to i mnie się przestał podobać - rzekł Segel. - Znam oczywiście Emily Gallagher i nie omieszkałem z nią porozmawiać o Carli. Przesłuchałem większość mieszkańców, zwłaszcza tych, którzy mają zwyczaj wpadać do baru Jima Caborna. Przyznaję jednak, że do głowy mi nie przyszło, iż dziewczyna znalazła się tu właśnie z jej powodu.

- Bo masz inne nastawienie do sprawy. Ty chcesz wykryć mordercę Barkera, a ja mam niejasne wrażenie, że ktoś planuje jakieś posunięcie przeciwko admirałowi. Na razie jednak nikomu się z tym przypuszczeniem nie zdradzam, a już na pewno nie jemu!

- Dobrze robisz! - Joe się roześmiał. - Gość mógłby wpaść w nerwicę.

- On? Tylko by mnie wyśmiał i odparł, że za mały z niego pionek, by mieć takie problemy. Ale w duchu przyznałby mi rację.

- Chcesz powiedzieć, że Carla Martin była tu w roli zwiadowcy dla dżihadu czy coś w tym rodzaju, żeby rozpracować waszego admirała?

- To bardzo prawdopodobne. Ale dość na razie o hipotezach. Czy mógłbym zerknąć

na narzędzie zbrodni?

- Mam je tutaj. Czekał, dam ci rękawiczki.

Ramshawe posłusznie nałożył cienkie lateksowe rękawice i wyjął sztylet z plastikowej torebki. Z kieszeni wyciągnął małą lupę i przyjrzał się uważnie klindze na styku z rękojeścią. Szybko spostrzegł to, czego szukał: drobny znaczek, linijkę arabskiego pisma nie dłuższą niż paręnaście milimetrów. Napis zaczynał się od litery podobnej do łacińskiego „a” z dwiema kropkami u góry, dalej widniały dwa zawijasy jak pochylone „j”, wydłużona dziewiątka z małym brzuszkiem i na końcu zaokrąglone „w”. Jimmy sięgnął do kieszeni po biały kartonik, na którym miał wydrukowaną alfabetyczną listę kilkunastu krajów Bliskiego Wschodu, od Abu Zabi po Szardżę, wraz z ich nazwami zapisanymi po arabsku. Znaki na sztylcie odpowiadały Syrii.

- No, to przynajmniej wiemy, gdzie został zrobiony - oświadczył.

- I to nam pomoże?

- Na pewno niewiele. Ale może też oznaczać, że panna Martin przywiozła go tu sobie na przykład z Damaszku.

- Czy to prawdopodobne?

- Jeżeli tak było, to zaczynam szybko tracić zainteresowanie jej osobą.

- Jak to?

- Joe, my w NSA szukamy tylko grubych ryb. Jeśli ta barmanka zaryzykowała i schowała ten sztylet w bagażu, mimo że łatwo mogłyby go znaleźć nasze służby na lotnisku, to postąpiłaby bardzo nieprofesjonalnie. Prawdziwy agent terrorystów nigdy by czegoś podobnego nie zrobił, bo ich racją bytu jest nie dać się wykryć. Jeśli ją znajdziesz... w co wątpię... nie zapomnij jej spytać, skąd go wzięła.

Joe Segel pokiwał w zamyśleniu głową.

- Jeżeli w ogóle należał do niej - odrzekł po zastanowieniu. - Samo morderstwo cię nie interesuje, zgadłem?

- Zgadłeś. Zależy mi tylko na identyfikacji Carli Martin i poznaniu celu jej pobytu w Brockhurst.

- Tylko tyle, co? Jaki będzie twój następny krok, wizyta u Emily?

- Tak. Jesteśmy... znaczy, ja z narzeczoną... przyjaciółmi rodziny. Tym bardziej więc zależy mi na ustaleniu, o co tak naprawdę w tej aferze chodziło. Nie muszę chyba dodawać, że gdy tylko ją znajdziecie, natychmiast macie nas o tym zawiadomić?

- Jeżeli znajdziemy... - Joe Segel pokręcił głową z miną człowieka odzieranego ze złudzeń.

Jimmy wstał i podał detektywowi wizytówkę.

- Telefonuj niezależnie od pory dnia. To naprawdę może być sprawa najwyższej wagi.

- Pozdrów ode mnie Emily.

Ramshawe uściskał dłoń policjantowi i wyszedł na zalaną słońcem ulicę, gdzie Jane już na niego czekała, oglądając wystawę sklepu sportowego. Dojście do domu pani Gallagher zajęło im niecałe trzy minuty. Na ganku leżał na boku Charlie; na widok wchodzących nawet nie podniósł łba, tylko merdnął od niechcenia ogonem.

Emily Gallagher otworzyła im drzwi rozpromieniona uśmiechem. Powiedziała, że Kathy ją uprzedziła o ich wizycie i że bardzo się cieszy z odwiedzin.

- Wchodźcie, wchodźcie. Napijemy się mrożonej herbaty i porozmawiamy o Carli Martin, bo chyba na to właśnie liczycie?

Jimmy i Jane wysłuchali całej historii od początku: o podejrzeniu, że Carla może być cudzoziemką, o jej dobrym wychowaniu, uczynności i solidności, a także o tym, że nieszczęsny Matt Barker absolutnie nie był dla niej odpowiednim partnerem. Dopiero przy drugiej szklance orzeźwiającego napoju Jimmy zadał pytanie, czy Emily powiedziała przyjaciółce, kiedy Kathy i Arnold wyjeżdżają na wakacje.

- Bez tego by się nie obeszło - odpowiedziała Emily. - Musiała wiedzieć, od kiedy będę miała drugiego psa do wyprowadzania i na pewno podałam jej dokładną datę. To za trzy tygodnie od dzisiaj.

- A czy wspomniała pani, dokąd się wybierają?

- Tego to ja sama dokładnie nie wiem. Ale zdaje się, że mówiłam jej, że Kathy przywiezie mi Kipperera w dniu wylotu i pojedzie ode mnie prosto na lotnisko, na wieczorny samolot do Londynu.

- O tym, jakimi liniami lecą, mowy chyba nie było?

- Nie, bo Kathy w takie detale się nie wdawała. Pamiętam jednak, że zaproponowałam Carli, aby przyszła w południe, to zjadłybyśmy obiad we trójkę i miałyby okazję się poznać.

- Podała jej pani jakieś szczegóły co do ich pobytu w Anglii?

- Nie sędzę.

- A wie pani, gdzie się zatrzymają w Londynie?

- Zdaje się, że w „Ritzu” na Piccadilly. Arnold zawsze wybiera ten hotel. Mówi, że lubi ich kuchnię, a zwłaszcza przekąski do herbaty w Palm Court.

- I o tym też się zgadało z Carłą?

- Hmm... Pewnie tak. Ona też spędziła kilka miesięcy w Londynie. Przypominam sobie, że wspominała ogórkowe sandwicze z „Ritza”, jej ulubione. Czasem je tam jadała z

pewnym angielskim oficerem, który ją emablował.

- O mój Boże...

- Słucham?

- Nie, nic takiego, pani Gallagher. Po prostu przypomniało mi się, że też kiedyś mieszkałem w tym hotelu, jeszcze jako dzieciak. Miałem wtedy jakieś czternaście lat, ale te sandwicze pamiętam do dzisiaj.

Emily zaśmiała się i wyraziła żal, że nie może być bardziej pomocna. Żegnając się z gośćmi, stwierdziła:

- Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że Carla się odnajdzie i wszystko się wyjaśni. Ona była taka miła... I świetnie sobie radziła z Charliem.

Rozdział 7

Jimmy Ramshawe gnał swoim ukochanym jaguarem drogą numer siedemnaście, nie odzywając się ani słowem. Jane Peacock pewnie zdążyłaby skomentować niezwykłą u niego milkliwość, drzemała jednak słodko, znużona drogą i upałem. Dopiero po półgodzinie, kiedy jechali przez monotonną równinę hrabstwa Essex, zdarzyły się naraz trzy rzeczy: Jane się obudziła, Jimmy przemówił (a raczej zaklął pod nosem), a jadący za nim od pewnego czasu policjant na motocyklu zatrzymał go za przekroczenie dozwolonej prędkości.

Jimmy zjechał na pobocze i wraz z prawem jazdy i dowodem rejestracyjnym podał mu legitymację służbową. Konstabl popatrzył na nią i już innym tonem spytał:

- Jedzie pan do Fort Meade, sir?
- Nie. Tym razem do ambasady Australii.
- Jakiś problem dyplomatyczny?
- I to poważny.
- Jasne, sir. Przyda się panu eskorta?
- Raczej nie. Postaram się delikatnie obchodzić z gazem.

- Nie ma sprawy, odprowadzę pana do Fredericksburga. Hej, i dzięki za to, co tam robicie dla kraju. - Policjant podał Jimmy'emu rękę i zwierzył się: - Starłem się kiedyś o przydział do Navy SEALs, ale odpadłem. Za mocne dla mnie. Ale cenię waszą robotę. Powodzenia, komandorze!

Ramshawe wrócił na szosę i przyspieszył. Motocyklista trzymał się pięćdziesiąt metrów za nim, już bez włączonego koguta.

- To niesamowite, ile w tym kraju znaczą te trzy magiczne literki. - Jane pokręciła z niedowierzaniem głową. - NSA. To może dziać cuda, co? Czasem o tym zapominam.

Jimmy nie odpowiedział, zamyślony. Po chwili rzekł cicho:

- Skoro już mowa o cudach, to ci opowiem o jednym takim. Cudem będzie mianowicie, jeśli ten gliniarz z Brockhurst kiedykolwiek znajdzie Carlę Martin.

- Nie gadaj. W końcu szuka jej pół kraju!
- Pół kraju goni za własnym ogonem. A wiesz dlaczego?
- Nie, ale na pewno mnie oświecisz.
- Otóż dlatego, że Carla Martin umarła razem z Mattem Barkerem.

- Jak to umarła?

- No, w przenośni. To była zawodowa agentka, niemal na pewno działająca na rzecz którejś z islamskich grup terrorystycznych. Zamelinowała się w Wirginii z konkretnym zadaniem: dowiedzieć się, kiedy Kathy i Arnold Morganowie zamierzają wyjechać za granicę.

- To gdzie ona teraz jest według ciebie?

- Tego to ja nie wiem, aniele. Gdybym jednak musiał zgadywać, powiedziałbym, że w Syrii.

- W Syrii? A niby jak by się tam dostała?

- Bardzo prosto. Na przykład liniami Air France z jedną przesiadką w Paryżu.

- A w jaki sposób, o wyrocznio, weszłaś w posiadanie tej wieści, niedostępnej dla zwykłych śmiertelników?

Jimmy zdjął prawą rękę z kierownicy i postukał się palcem po nosie.

- A w taki, że ja jeden mam gdzieś tak zwane morderstwo z Brockhurst i moja myśl innymi bieży szlakami. I właśnie dobiegła.

- Nie rozumiem, dlaczego tak lekko traktujesz śmierć Matta Barkera.

- Bo to był tylko biedny dureń, który usiłował wymusić pierwszeństwo na skrzyżowaniu swojej drogi życia z wojenną ścieżką dżihadu i zderzył się z walcem. Może i szkoda chłopca... choć sam sobie zasłużył... ale w szerszej perspektywie cała ta afera jest równie mało ważna jak to, czy na najbliższym postoju napiję się pepsi czy fanty. I niestety jestem na razie jedyną osobą w tym kraju, która to rozumie.

- Na pewno nie znalazłbyś zrozumienia u dziennikarzy. Ta zbrodnia ich opętała.

- Gdyby denatowi nie sterczał z rozporoka jego niewymowny, pies z kulawą nogą by się sprawą nie zainteresował. Ot, pospolita zbrodnia jakich wiele w każdej godzinie, tylko że podlana pikantnym sosikiem. I właśnie ten sosik się liczy, o cokolwiek by chodziło. Nasi łowcy sensacji nie dostrzegliby ukrytej pod nim prawdy, nawet gdyby ciałem się stała i w tyłek ich ugryzła.

- Boże, ależ cię ten twój admirał wyszkolił! - Jane parsknęła śmiechem na tę kwiecistą perorę.

- Przyjmuję to jak komplement. Ale sama pomyśl: ten incydent nosi wszelkie znamiona operacji szpiegowskiej i żeby to dostrzec, nie trzeba być Jamesem Bondem. A czy choć napomknięto o tym w reportażach, artykułach, wiadomościach? Ani słówkiem. Ile zaś razy odmieniano przez wszystkie przypadki ptaka Matta Barkera? Miliony.

- Widać dodał im skrzydeł...

- Taa... Szkoda, że żaden z tych Ikarów żurnalizmu nie wyleciał na nich nad poziomy. A to był tylko dramatyczny zbieg okoliczności. Także dla Carli, bo pokrzyżował jej plany. Może jej misja wcale się jeszcze nie zakończyła? Może miała jeszcze coś do zrobienia, a tu ten napalony osilek przygwoździł ją w ciemnym zaułku i nie miała innego wyjścia, jak go sprzątnąć. Szybko, cicho i sprawnie, jak doświadczony kiler. No i nie pozostało jej nic innego, jak wziąć nogi za pas. Założę się, że już związała za granicę, przypuszczalnie z innym paszportem. Nigdy jej nie dorwą.

- Skąd ta pewność?

- A choćby stąd, że nikt nie wie, jak ona się naprawdę nazywa i na którym kontynencie jej szukać. Przecież gliny dotąd nie ustaliły nawet, gdzie w ogóle mieszkała!

- Tak, ale lada dzień mogą do czegoś dojść.

- Postawiłabyś na to swoje oszczędności? Panna Martin jest profesjonalistką. Przestań na chwilę mnie kontrować i przyjmij założenie, że przyjechała tylko po to, żeby wyciągnąć od matki Kathy informacje o planach jej zięcia. Teraz oceń fakty. Carla wjechała do Stanów niemal na pewno z oryginalnym albo idealnie podrobionym amerykańskim paszportem, bo inaczej fałszerstwo wykryto by już na lotnisku. Ma świetne referencje jako barmanka, ale pierwsze kroki kieruje nie do „Waldorff-Astorii”, tylko do zapomnianej przez Boga i świat wirginijskiej miejsciny i zebrze o pracę w hoteliku na dwa tuziny gości. Nie nawiązuje bliższej znajomości z nikim poza... popatrz, co za traf... panią Emily Gallagher. Do pracy przyjeżdża nie wiadomo skąd i jak, a po fajrancie znika jak duch. Nikt nie widział jej samochodu, nawet Emily. Wiesz dlaczego?

- Pewnie się zaraz dowiem.

- Bo wcale go nie miała.

- To jak dostawała się codziennie do Brockhurst?

- Powiem ci, jak ja bym to robił w tej sytuacji. Załatwiłbym sobie współnika, który by mnie podrzucał w okolice hotelu, a wieczorem zgarniał w umówionym miejscu. Wtedy wystarczyłoby się wymykać w dogodnym momencie tylnym wyjściem i podbiec do czekającego wozu. I wszystko ładnie się układało, dopóki którejś nocy Matt Barker nie zastawił na nią sidła.

- Może po prostu podwoził ją narzeczony?

- Prędzej nawiedzony. Jeden z towarzyszy broni z Hamasu czy Hezbollahu albo nawet szpieg któregoś z krajów arabskich. Narzędzia zbrodni też nie musiała taszczyć ze sobą aż z Syrii i przemycać przez granicę. Już na miejscu ktoś jej go dał do samoobrony.

- Przyznaję, Jimmy, że brzmi to wiarygodnie. Fałszywy adres, wykradziona karta

pracownicza...

- To powiem ci jeszcze coś. Prędzej czy później ktoś zgłosi zniknięcie lokatora z wynajętego mieszkania. Pamiętasz, co mówiła Emily? Taras, apartament, portier... To będzie pierwszy ślad, a potem może policja wytropi jeszcze paszport Carli Martin. I na tym się skończy. Ślepy zaułek. O Tajemniczej Kobiecie nikt już więcej nie usłyszy. I nadal tylko nas będzie niepokoić prawdziwy cel jej pobytu. Ktokolwiek ją przysłał do Emily, zna już datę i przybliżony czas wylotu admirała Morgana do Londynu, jak również, w którym hotelu on się tam zatrzyma. Przypuszczam, że chce go zlikwidować. Życie Arnolda jest w poważnym niebezpieczeństwie.

- Myślisz, że ktoś w to wszystko uwierzy?

- Wątpię. A już na pewno nie sam zainteresowany.

- Co więc zamierzasz zrobić?

- Postaram się nakłonić go do rezygnacji z wyjazdu. Tylko że równie dobrze mógłbym próbować zatrzymać gołymi rękami pociąg pancerny...

Piątek, 6 lipca, godz. 10.00. Komisariat policji w Brockhurst

Detektyw Joe Segel był zasypywany informacjami. Od ogłoszenia o poszukiwaniu Carli Martin otrzymał sześćdziesiąt kilka doniesień od osób, które widziały młodą kobietę odpowiadającą jej rysopisowi, jak w biały dzień jechała do Brockhurst z najróżniejszych kierunków, a na liście pojazdów, jakimi się rzekomo przemieszczała, brakowało tylko czołgu i poduszki. Kilkoro telefonujących twierdziło, że wie, gdzie poszukiwana mieszkała; Joe za każdym razem wysyłał radiowóz, by skonfrontować wskazany adres z szablonem „Apartament - taras - portier”, wierzył bowiem w dobrą pamięć Emily Gallagher. Trzy budynki odpowiadały tym kryteriom, ale po bliższym sprawdzeniu okazywało się, że nie mieszkał tam nikt podobny do Carli, wszyscy lokatorzy są na miejscu i żadna z miejscowych pań nie przebywała poza domem w poniedziałek po dwudziestej drugiej trzydziści. Żaden z tych bloków nie nosił nazwy „Wzgórza Chesapeake”.

Joe musiał przyznać, że efekty manewru z upublicznieniem poszukiwań go rozczarowały. Najgrubszym jednak murem, na jaki natrafił w tym śledztwie, była sama tożsamość podejrzanej. W krajowej bazie danych figurowały tylko trzy białe kobiety o tym imieniu i nazwisku urodzone w USA w maju 1982 roku (Joe ufał pod tym względem pamięci Jima Caborna). Po sprawdzeniu okazało się, że dwie z nich w ogóle nie występowały o wydanie paszportu. Trzecia, Carla Martin urodzona 27 maja w Baltimore, mieszkała obecnie

w Phoenix w Arizonie, gdzie pracowała jako nauczycielka wychowania fizycznego w liceum. Jej dziewiętnastu kolegów, prawie trzy setki uczniów i spore grono ich rodziców gotowych było zeznać pod przysięgą, że w miniony poniedziałek panna Martin prowadziła szkolne rozgrywki piłkarskie, odgwizdała koniec ostatniego meczu około dziewiętnastej (czyli dwudziestej pierwszej czasu Wschodniego Wybrzeża) i o ile im wiadomo, nie dorabia sobie wieczorami za barem w odległej o tysiące kilometrów Wirginii.

Na prośbę detektywa Segela policja z Phoenix przesłuchała Carlę Martin, ale bez szczególnego zaangażowania, na pierwszy rzut oka widać było bowiem, że nie ma nic wspólnego ze zbrodnią w Brockhurst. Dlatego też nikt nie odkrył, że jej cioteczna siostra, Kathy Streeter, jest żoną niejakiego Doriego Husajna, attache kulturalnego ambasady Jordanii w Waszyngtonie. Tym bardziej zaś nikt się nie domyślał, że Husajn, absolwent Wyższej Szkoły Plastycznej w Rhode Island, podobnie jak jego kolega Ahmed jest doświadczonym szpiegiem Hezbollahu, a specjalizuje się w podrabianiu dokumentów.

Jakim cudem Carla z Brockhurst weszła w posiadanie paszportu Carli z Phoenix? - zastanawiał się Joe. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że i tak do niczego tą drogą nie dojdzie, gdyż dokument Tajemniczej Kobiety musiał być falsyfikatem. Nie mógł nawet wykluczyć ślepego trafu, że fałszerz wyssał sobie dane personalne z palca. Kolejne pytanie: jeżeli Carla jest cudzoziemką, to czy posłużyła się tym paszportem przy wjeździe do kraju? Tego nie wiedział i niewiele go to obchodziło. Dla niego liczyło się tylko wykrycie mordercy Matta Barkera. Na razie zaś wiedział na pewno tylko tyle, że nie zabiła go Carla Martin, nauczycielka wuefu z Arizony.

Nadzieja powróciła za dziesięć dwunasta wraz z telefonem od Freda Mitchella, nocnego portiera z apartamentowca „Wzgórza Chesapeake”, który oświadczył, że zna nie tylko poszukiwaną barmankę, ale i jej adres.

- Ona tu u nas mieszkała, sir. Boję się, że mogło ją spotkać coś złego.

Detektyw Segel wypadł z biura jak kometa, porywając ze sobą dwóch posterunkowych, i na sygnale pomknął radiowozem do wspomnianego leśnego osiedla. Fred potwierdził, że jedna z lokatorek jest bardzo podobna do kobiety z portretu pamięciowego, który widział w telewizji i gazecie, i że pracowała gdzieś do późna, wracała bowiem do domu przed północą. Taras? Tak, wszystkie mieszkania powyżej dziesiątego piętra mają tarasy, a jej apartament na poddaszu ma największy.

- Tylko że ona się nie nazywała Carla Martin, proszę pana. Jak to, czy jestem pewien? Mamy jej nazwisko na umowie wynajmu. To panna Jane Camaro. Mieszka u nas od paru tygodni. Mieszkanie wynajęła na cztery miesiące i zapłaciła z góry gotówką przy

zameldowaniu.

Joe skinął głową, bynajmniej niezaskoczony.

- A dlaczego pan myśli, że coś się jej przytrafiło?

- W poniedziałek wieczorem mieliśmy tu drobny incydent. Paru łobuzów włamało się do samochodu jednego z lokatorów, nowiutkiego lincolna. To się stało tuż potem, jak panna Camaro wróciła do domu, około wpół do dwunastej. Widziałem, jak wchodzi, a w następnej chwili heca z tym włamaniem. Musiałem lecieć sprawdzić, co się dzieje. Jakies pięć minut później wróciłem, zadzwoniłem do właściciela wozu i doradziłem, żeby wezwał policję. Zapisałem w komputerze czas powrotu panny Camaro, ale Brad... to mój kumpel z dziennej zmiany... nie odnotował rano jej wyjścia i potem nikt jej już nie widział.

- Możemy zajrzeć do jej mieszkania?

- Jasne. Mam tu wszystkie zapasowe klucze. Ale żeby mi się tam spieszyło, to nie powiem. Diabli wiedzą, jaki widok zastaniemy...

- Myśli pan, że ona nie żyje?

- A co mam myśleć? Nie da się wejść ani wyjść z budynku tak, żeby któryś z nas tego nie zauważył.

- Może dziewczyna ma tu w bloku kochanka, u którego zabalowała? Parę dni nieobecności to jeszcze nie tragedia.

- Wątpię. Większość mieszkań zajmują małżeństwa.

- Cóż, jeśli jej nie zastaniemy, moi ludzie będą musieli przesłuchać mieszkańców.

- Zrozumiałe, sir.

Winda zatrzymała się na dwudziestym pierwszym piętrze z cichym brzęknięciem elektronicznego dzwonka. Portier skręcił w lewo i poprowadził policjantów korytarzem pod drugie drzwi. Wsunął klucz do zamka, przekręcił i pchnął delikatnie.

W apartamencie nie zastali makabrycznego widoku, jakiego się obawiał Fred Mitchell, lecz raczej sterylną anonimowość. Po lokatorce nie został najmniejszy ślad pobytu, choć wszystko wskazywało na to, że musiała się wyprowadzić w dużym pośpiechu. W sypialni otwarte były szafy i szuflady, ale nic z ubrań, bielizny czy pościeli. Nawet łóżko świeciło gołym materacem, a łazienka wyglądała jak ekspozycja w sklepie meblowym. Kuchnia była równie wyzuta z wszelkich oznak życia, lodówka pusta i tylko w otwartej zmywarce zostały dwa kubki, talerz, szklanka i jeden zestaw sztućców - wyparzone do czysta, suche, gotowe do użycia.

Policjantom nie pozostało nic innego, jak pokiwać głowami i wyjść. Fred był uradowany, że nie ujrzał trupa panny Camaro.

- To by była fatalna reklama, nie?

- Nie najlepsza - przytaknął detektyw. - A skąd pan wie, czy ona nie wyszła z budynku w tym czasie, kiedy pan się uganiał za włamywaczami?

- A, to łatwo sprawdzić, sir. Mamy tu monitoring, a w holu są dwie kamery. Jedna nad drzwiami, druga na przeciwległym końcu. Przeleci się dyski i zobaczy. Komputer wstawia bieżącą datę i czas.

- Obraz jest na tyle wyraźny, żeby można było zidentyfikować osoby?

- Nagrywamy na obniżonej jakości, bo inaczej zajmowałyby to masę pamięci. Ale pannę Camaro nietrudno rozpoznać. Babeczka pierwsza klasa!

- Sprawdzał pan zapis po tym incydencie z lincolnem?

- Nie było po co. Opuściłem portiernię najwyżej na cztery minuty, a wiedziałbym, gdyby ktoś w tym czasie wchodził lub wychodził. Słyszałbym samochód, zauważył światła...

- Dałoby się obejrzyć zapis monitoringu z poniedziałku?

- Pewnie, ale na tym to się zna tylko szef. Ja mogę jedynie przewinąć do tyłu na zwiększonych obrotach, ale to masa materiału, potrwałoby z godzinę.

- Okay. W takim razie niech pan to zrobi w wolnej chwili sam albo z szefem i da mi znać, co wyszło.

- Jasne, nie ma sprawy.

- Czy panna Camaro miała samochód?

- O przydział stałego miejsca na parkingu się nie upomniała. Może nie wiedziała, że trzeba? Ale jakiś wóz musiała mieć, inaczej nie dałaby sobie rady w tej okolicy.

- Zarządca ściśle przestrzega tego wyznaczania miejsc?

- E tam. Parking i tak jest zawsze w połowie pusty. Nikt się tym nie przejmuje. Ale skoro już pan pyta, to faktycznie chyba ani razu jej nie widziałem za kółkiem. Co nie znaczy, że chodziła piechotą.

Joe podziękował portierowi za pomoc, uprzedził, że skontaktuje się z nim jeszcze w sprawie przesłuchiwania lokatorów, i odjechał wraz z podwładnymi. Po powrocie do biura niezwłocznie zadzwonił do komandora Ramshawe'a w Fort Meade.

Tego samego dnia, godz. 15.30. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Telefon od detektywa Segela przyniósł Jimmy'emu więcej pytań niż odpowiedzi. Ile minut upłynęło od powrotu „Jane Camaro” do zajścia na parkingu? Od kogo się o nim Fred

dowiedział? Co w tym czasie zarejestrowały kamery w holu? I czego, u diabła, chcieli ci włamywacze? Do samochodów klasy lincolna nie ma się po co dobierać, jeśli oczywiście kierowca nie zostawił na siedzeniu portfela - zabezpieczenia i alarmy są wysokiej jakości, radio fabrycznie wmontowane w deskę rozdzielczą i nie do wyjęcia. Zresztą jeżeli prawdziwy złodziej zniżyłby się do wybijania szyby, to wybrałby boczną, nie przednią. Wykroczenie zupełnie bez sensu, zwykły wandalizm bez zysku, a z dużym ryzykiem. Mógł to zrobić tylko ktoś, kto chciał wywabić Freda z portierni na parę minut. Akurat tyle, by móc niepostrzeżenie wejść lub wyjść z „Wzgórz Chesapeake”.

Ramshawe podniósł słuchawkę i zadzwonił do Freda Mitchella, który omal nie stanął na baczność, usłyszawszy, że rozmawia z wyższym oficerem z NSA. Obiecał oddzwonić za dwie godziny z informacjami i kiedy to zrobił, wszystkie okazały się zgodne z przewidywaniami.

Do dziwnego włamania doszło osiemnaście minut po powrocie panny Camaro do domu. Fred nie słyszał włączonego alarmu, gdyż oglądał telewizję. O incydencie powiadomił go szofer, który wpadł do holu i krzyknął, że widział dwóch uciekających podejrzanych typów. Szofera widział tylko przelotnie, ale zorientował się, że to przypuszczalnie Latynos albo na przykład Włoch. Fred zameldował też, że przejrzał zapis monitoringu i rzeczywiście, budynek opuściła wtedy kobieta, którą mogła być Jane; głowy za to by jednak nie dał, gdyż owa dama zasłoniła częściowo twarz jakimś czasopismem, a do tego dziwnie powłóczyła nogami. Zupełnie inaczej niż panna Camaro, która zawsze sprawiała wrażenie, że nie kroczy, lecz płynie jak łabędź. Aha, i jeszcze niosła średniej wielkości walizkę.

Carlo Martin, chylę czoło, pomyślał Jimmy. To była ewakuacja, przemyślana i zrealizowana po mistrzowsku.

Jak powiedział jeden z przeciwników Jamesa Bonda: „Raz - to przypadek. Drugi raz - zbieg okoliczności. Trzeci to już wrogie działanie”. Tymczasem w tej sprawie zbiegi okoliczności mnożyły się jak króliki i według Jimmy’ego dawno już przekroczyły masę krytyczną i uruchomiły jaskrawoczerwony sygnał alarmowy. Ktoś ewidentnie dybie na życie Arnolda Morgana. Tylko czy Wielki Człowiek w to uwierzy?

Nie uwierzył.

- Owszem, to nie jest wykluczone - burknął, kiedy Ramshawe do niego zadzwonił i podzielił się podejrzeniami. - Ale ja nie zamierzam pozwolić, żeby pojawienia się i zniknięcia jakichś tam barmanek wpływały na moje życie. Mam doskonałą ochronę, a w Londynie nie będzie ani trochę gorsza. Na Boga, James, zostaw tę historię i zajmij się czymś użytecznym! Przypilnuj lepiej tego irańskiego Kilo na wschodnim Śródziemnym. Jak widzę, kręci się

zaledwie dwieście mil od naszego lotniskowca, a to o wiele za blisko. Zadzwoń, jak będziesz miał jakieś konkrety.

Rozmowa skończona, połączenie przerwane. Klasyczny Morgan. Jimmy'ego na ogół bawił ten grubiański obyczaj telefoniczny, tego dnia jednak nawet się nie uśmiechnął. Nie widział w tej sprawie nic zabawnego.

Sobota, 7 lipca, godz. 4.00. Morze Śródziemne

Rosyjskiej budowy okręt podwodny klasy Kilo, typ 877, z numerem taktycznym i pod banderą irańskiej marynarki wojennej sunął tymczasem przez śródziemnomorskie głębiny, minawszy niedawno zachodni kraniec Sycylii i wysuniętą od niego ku Afryce płytką ławicę Adventure. Dowodził nim kapitan Mohammed Abad, a załogę stanowiło dwunastu oficerów i pięćdziesięciu trzech marynarzy. Płynął też z nimi pasażer - generał Rawi Raszud, który zaokrętował nocą na pełnym morzu, poza wodami terytorialnymi Libanu, przywieziony syryjskim śmigłowcem wojskowym.

Irańczycy nigdy dotąd się na te wody nie zapuszczali - ich marynarka ograniczała się do patrolowania Zatoki Perskiej i Morza Arabskiego. Ta jednostka niedawno jednak zakończyła długotrwały remont w miejscu swych narodzin, Stoczni Admiralicji w Sankt Petersburgu nad Bałtykiem. Oddana do eksploatacji w listopadzie 1996 roku, przez długie lata nie musiała wracać do Rosji; kompetencje stoczniovców irańskich z Szach Bahar okazały się wystarczające dla bieżącej konserwacji.

Na początku 2011 roku okręt z numerem taktycznym 901 po kilku poważnych awariach musiał zostać wycofany ze służby. Rosyjska fregata zaholowała go z Iranu aż na Bałtyk, gdzie w macierzystej stoczni przywrócono mu pełną zdolność bojową. Teraz od trzech miesięcy irańskie dowództwo trzymało go na wodach Lewantu, co bardzo niepokoiło Amerykanów. Grupa admirałów z Pentagonu (i jeden w stanie spoczynku zamieszkały w Chevy Chase) uważała, że należy go niezwłocznie zatopić na wodach międzynarodowych. Ajaatollahom mógł być potrzebny tak daleko od własnych baz tylko z jednego powodu: dla czynnego wspierania organizacji terrorystycznych, które Iran już od dawna finansował i zaopatrywał. Według amerykańskiego wywiadu mogło to oznaczać wszystko - od dostarczania rakiet bojówkom Hezbollahu aż po ostrzeliwanie okrętów izraelskich, a nawet atak na samą VI Flotę US Navy, którą Pentagon od dziesięcioleci utrzymuje na Morzu Śródziemnym. Dla irańskiego Kilo niemal na pewno byłaby to misja samobójcza, ale za to z gwarancją radosnego przyjęcia w niebie - a to dla ortodoksyjnych muzułmanów jest

wystarczającą zachętą.

Kilo typu 877 jest groźnym przeciwnikiem nawet dla najnowocześniejszych okrętów nawodnych. Uzbrojony w osiemnaście kierowanych torped, wyposażony w doskonale radary i bardzo skuteczny rosyjski sonar o nazwie „Ząb rekina”, przy kilku węzłach porusza się bezszelestnie i może schodzić na głębokość ponad dwustu metrów. Gdy trzeba, elektryczny silnik główny o mocy 3650 KM może rozpędzić go do znacznie większej prędkości. Ta jedna z najlepszych na świecie nowoczesnych jednostek o konwencjonalnym napędzie od początku była dumą rosyjskich konstruktorów i produkowana jest obecnie wyłącznie na eksport. W branżowej prasie można nawet spotkać jej całostronicowe reklamy z wiodącym sloganem: „Kilo - jedyne bezgłośnie morskie stworzenie” oraz danymi kontaktowymi biura konstrukcyjnego „Rubin” w Sankt Petersburgu. Tamtejsi inżynierowie wiele lat poświęcili na doskonalenie wyciszenia wszystkich układów okrętu, każdego urządzenia, łożyska, części ruchomych i samego kadłuba. Trud przyniósł wspaniałe owoce: pod względem cichości biegu najnowsze Kilo przewyższają nawet jednostki o napędzie atomowym, których reaktory wymagają licznych systemów wspomaganie - każdy z nich zaś jest źródłem hałasu.

Jednakże i ten majstersztyk morskiej techniki ma pewną istotną wadę: od czasu do czasu musi naładować ogromne akumulatory dostarczające energii silnikowi. Można to robić w zanurzeniu - metoda jest znana od czasów dominacji hitlerowskich U-bootów na Atlantyku podczas II wojny światowej - ale w tym celu trzeba podejść na głębokość peryskopową i wysunąć nad wodę tak zwane chrapy, czyli najprościej mówiąc rodzaj dwudrożnego komina dla dostarczania powietrza niezbędnego dla silników spalinowych napędzających prądnice i odprowadzania spalin. Dla okrętu są to godziny największego zagrożenia: metalowe chrapy są wykrywalne dla radarów, okropnie hałaśliwe prądnice usłyszy z daleka każdy sonar pasywny, a inne urządzenia detekcyjne potrafią nawet „wywęszyć” jony zawarte w spalinach. I nie ma na to żadnej rady.

Szybko płynącemu Kilo zapas energii wystarcza na dwieście mil morskich. Przy rejsie wzdłuż całego Morza Śródziemnego, od wód libańskich do Gibraltaru, oznacza to konieczność dziesięciokrotnego doładowywania. Tym samym okręt traci swój największy atut - niewykrywalność - i stosunkowo łatwo można go wyśledzić. Amerykanie dysponują na tym akwenie bardzo zaawansowanymi systemami nasłuchowymi, a sonary atomowych jednostek myśliwskich klasy Los Angeles niewiele im ustępują. Jeśli tylko obsługa zachowa czujność, nawet przeciwnik tak dobry jak Kilo ma niewielkie szanse zbliżenia się do amerykańskiej floty na odległość skutecznego strzału.

Niemniej admirał Arnold Morgan uparcie twierdził, że irańskiego podwodniaka

należy jak najszybciej zatopić. Prezydent Bedford był skłonny posłuchać jego rady - przede wszystkim dlatego, że jest to możliwe do zrobienia bez ryzyka wykrycia.

W podmorskich wojnach, gorących lub zimnych, tak było od początku. Mało kto wie, że okręt podwodny w zanurzeniu nie ma możliwości komunikowania się z bazą. Połączenie radiowe jest możliwe tylko wtedy, gdy da się wysunąć nad wodę maszt i nadać sygnał satelitarny. Dlatego też wszystkie jednostki przebywające w morzu mają z góry ustalony harmonogram wymiany wiadomości.

O umówionej godzinie - zazwyczaj w środku nocy - wynurzają się do peryskopowej i w ultrakrótkim zakodowanym impulsie przekazują dowództwu swoją aktualną pozycję, kurs i prędkość oraz odbierają oczekujące w ich skrzynce pocztowej wiadomości, po czym natychmiast chowają się znów w głębinie. Jeżeli cała procedura trwa dłużej niż piętnaście sekund, to ktoś musi być wyjątkowym ślamazarą.

Z taktycznego punktu widzenia oznacza to, że jeżeli podwodniak zostanie trafiony torpedą i zatoni, nikt się o tym nie dowie. Pierwszym sygnałem, że coś jest nie w porządku, będzie właśnie brak łączności o następnej wyznaczonej porze - do której od chwili ataku może upłynąć nawet doba. Nawet wtedy nikt nie wszczyna jeszcze alarmu; przyczyna może być bowiem całkiem prozaiczna: awaria nadajnika, chwilowa konieczność utrzymania ciszy radiowej czy nawet zwykłe zaniedbanie. Sztab zaczyna się niepokoić dopiero, gdy nie nadejdzie następny umówiony sygnał, ale i wtedy nie wiadomo, jak to interpretować i co dalej robić. Od zatonięcia okrętu mijają dwie doby. Przez ten czas sprawca mógł umykać z miejsca zbrodni z prędkością dwudziestu węzłów i przebyć ponad dziewięćset mil morskich. W dowolnym kierunku! Wytropić go już się nie da, a poszukiwania wraku są równie beznadziejne: przy tak długotrwałym braku informacji o pozycji zaginionej jednostki w grę wchodziłby akwen o powierzchni kilku tysięcy mil kwadratowych, a do tego często bardzo głęboki. Prawdopodobieństwo zlokalizowania bliskie zeru, szanse przeżycia załogi żadne, co więc robić? W zasadzie nic.

Poszkodowana flota nie będzie nawet nikogo oskarżać, bo miałyby się to z celem. Zarzutów nie sposób udowodnić i można je zbyć wzruszeniem ramion. Incydent niewyjaśniony. Czy się zdarzył? Bez wątplenia, ale oceaniczna głębia jest najlepszym strażnikiem tajemnic. Nikt nie wie, ile takich stalowych trumien rdzewieje rozsianych na dnie siedmiu mórz. Wystarczy jedna dobrze wycelowana torpeda, by dołączył do nich następny okręt, którego los na zawsze pozostanie nieznany.

Dlatego właśnie Arnold Morgan kilkakrotnie nakłaniał prezydenta Bedforda do wydania rozkazu zatopienia irańskiego Kilo operującego na Morzu Śródziemnym - „zanim

ten sukinsyn przygrzmoci nam albo Izraelczykom” - i o nim też wspomniał w rozmowie z Jimmym Ramshawe'em. Nie mógł wiedzieć, że w tej chwili płynie tym okrętem do Anglii generał Raszud, a jedynym celem tej operacji jest zamach na niego samego. Był to splot okoliczności godny pióra Aleksandra Dumasa czy sir Waltera Scotta...

Od północy Kilo płynął na peryskopowej z wysuniętymi chrapami, ładując akumulatory. O czwartej rano Rawi Raszud stał obok ekranu mapy elektronicznej i przyglądał się, jak młody porucznik Rudi Alaam, jego ziomek z wschodniej prowincji Kerman wprowadza nowy kurs według poleceń kapitana Abada. Ich aktualną pozycję obrazował okrągły symbol z wystającą kreską wektora ruchu, wycelowaną teraz niemal prosto na zachód. Mogli znów odetchnąć z ulgą - mieli za sobą najpłytsze miejsce w tym rejsie, ławicę Adventure, gdzie po raz pierwszy nawigatorzy musieli zwracać baczniejszą uwagę na zapas wody pod stępką.

Gdy tylko zostawili za rufą wody libańskie, znaleźli się na rozległym akwenu, gdzie głębokości sięgają dwóch kilometrów. Między Cyprem a Krętą dno opada jeszcze niżej, by wkrótce - na Głębi Calypso - przekroczyć izobatę czterech tysięcy metrów. Pierwszym progiem na trasie był wznoszący się do niecałych stu metrów pod powierzchnią podmorski grzbiet łączący południowo-wschodni skraj Sycylii - przylądek Passero - z Malcią, a potem właśnie płycizny Cieśniny Sycylijskiej, gdzie czubek włoskiego buta przymierza się do strzelenia Sycylią gola Tunezji. Jak dotąd, ani razu nie natknęli się na okręty amerykańskie czy brytyjskie. Jednakże teraz prawdopodobieństwo takiego spotkania znacznie wzrastało. Royal Navy od dawna czuje się tam jak u siebie, jednostki amerykańskiej VI Floty są równie częstymi gośćmi, a głębokość maleje miejscami do kilkudziesięciu metrów.

Kapitanowi Abadowi oczywiście zależało na uniknięciu wykrycia, ale nie kosztem prędkości. Gdyby nabrał przekonania, że śledzi go amerykański podwodniak, zwolniłby i zszedłby głębiej. W ewentualny atak nie wierzył - przynajmniej nie w tym ruchliwym rejonie. Zdawał sobie naturalnie sprawę, że gdyby go teraz spostrzeżono, przeciwnik bez trudu mógłby go śledzić aż za Gibraltar i posłać na dno gdzieś na atlantyckiej głębinie. Uważał jednak, podobnie jak jego przełożeni i rząd, że ma takie samo prawo pływać na tych międzynarodowych w końcu wodach jak Wielki Szatan i jego brytyjski pies. Sunął więc spokojnie przed siebie, maksymalnie ograniczając emisję wszelkich impulsów elektronicznych. Zmniejszył prędkość na czas przejścia przez ławicę Adventure, a potem znów przyspieszył, płynąc nocami na chrapach, we dnie zaś w głębszym zanurzeniu. Nie wiedział, że na jego kursie, sto dwadzieścia mil przed dziobem, czai się prawdziwy podmorski potwór - czarne cielsko USS *Cheyenne*, myśliwskiego okrętu nuklearnego klasy

Los Angeles, którego dowódca wie już o jego obecności.

Nie ma na świecie okrętu podwodnego, który uszedłby sokolim oczom wywiadu amerykańskiej marynarki wojennej. Szefostwo US Navy w każdej chwili wie, gdzie przebywają wszystkie zdolne do boju jednostki, tak konwencjonalne, jak i atomowe. Każde niezaanonsowane wyjście w morze, zwłaszcza jeśli następuje w takim czasie, by uniknąć kamer satelitów szpiegowskich, natychmiast budzi zwiększoną czujność i dany akwen zostaje poddany drobiazgowemu przeszukiwaniu za pomocą kosmicznej technologii, która sprawiłaby w zdumienie Rosjan i Chińczyków.

Amerykane rutynowo śledzili irański „901” przez całą drogę do Sankt Petersburga. Pół roku później przyglądali się, jak wyremontowany okręt wypływa na Zatokę Fińską. Zginął im z oczu na głębszych bałtyckich akwenach, ale wtedy wystarczyło pilnować Cieśnin Duńskich, w których po paru dniach musiał znów wychynąć na powierzchnię. Potem trzymano go na oku podczas przejścia wzdłuż południowej Norwegii, póki nie zniknął w odmętach Morza Północnego, kierując się na zachodni północny zachód, między Orkady i Szetlandy.

O wiele krótsza jest oczywiście trasa przez kanał La Manche, z góry jednak było wiadomo, że Kilo tamtędy nie popłynie. Analitycy ze sztabu Floty Atlantyku US Navy przewidywali, że Irańczyk opłynie Wyspy Brytyjskie i skręci na południe, by wejść na Śródziemne i przez Kanał Sueski przedostać się najkrótszą drogą do macierzystej bazy. Przewidywania się sprawdziły niemal co do joty - tylko że w ostatniej chwili podwodniak minął Port Said i kiedy następnym razem go wypatrzone, znajdował się na granicy libańskich wód terytorialnych, dwanaście mil morskich na zachód od Bejrutu. Od tamtego czasu Amerykanie starali się mieć go stale na oku. Z zainteresowaniem obserwowali, jak nocą 3 lipca syryjski helikopter opuszcza na pokład samotnego pasażera; Kilo sunął już wtedy kursem zachodnim i nikt nie miał zielonego pojęcia dokąd ani w jakim celu.

Dobę później dostrzeżono jego chrapy i odtąd śledzono aż do obecnej pozycji. Kapitan *Cheyenne* dokładnie wiedział, gdzie i kiedy się go spodziewać. W tę sobotnią noc dryfował pięćdziesiąt mil morskich na południe od sardyńskiego portu Cagliari. Rozkaz był na razie wstrzemięźliwy: wytropić i podążać za Irańczykiem, jeśli będzie trzeba - aż do Gibraltaru, gdzie przechwyciłby go wtedy inny okręt.

Nie podjęto jeszcze decyzji, czy zatopić Kilo, ale zarówno Pentagon, jak i Biały Dom skłaniały się powoli do tego rozwiązania. Było wprawdzie w marynarce paru porywczych admirałów, którzy z radością posłaliby go na dno już gdzieś w głębszej części Śródziemnego, ale to morze zanadto przypomina ruchliwy i wyczulony na płotki małomiasteczkowy targ.

Irański podwodniak posuwał się jednym z najbardziej uczęszczanych szlaków morskich, gdzie uwijają się statki wszystkich bander świata, miejscowi rybacy, pełne turystów wycieczkowce, a na patrole wychodzą nie tylko okręty NATO-wskie, ale i islamskich państw północnej Afryki. Dlatego też najwyższe szarże amerykańskie znacznie swobodniej się czują w takich sprawach dopiero na anonimowym, bezdennym przestworze Atlantyku, gdzie znacznie mniejsze jest prawdopodobieństwo, że czyjeś wścibskie oczy dostrzegą niedwuznaczne oznaki świadczące o tym, że jakiś podwodniak rozleciał się trafiony torpedą Mk 48.

Kapitan Abad, nieświadomy nastawienia sług Wielkiego Szatana w granatowych mundurach i przekonany, że jego odplnięcie spod Libanu nie zostało przez nikogo zauważone, ani pomyślał, że właśnie ważą się losy jego nowo wyremontowanej jednostki i załogi. Nie miał pojęcia, że akwen, przez który wkrótce miał przepłynąć, jest pod obserwacją sonarzystów z *Cheyenne*. Kiedy na ich ekranach pojawiły się wyraźne linie od jego śruby, płynął beztrąsko na peryskopowej z wysuniętymi chrapami i obwieszczał wszem i wobec swoją obecność donośnym warkotem dieslowskich prądnic.

Sobota, 7 lipca, godz. 9.00. Dublin, Irlandia

Szakira Raszud czekała w St Stephen's Green na przyjazd wynajętego samochodu z szoferem. Od trzech i pół dnia mieszkała w hotelu „Shelbourne” i uznała, że tak długa bezczynność zbyt rzuca się w oczy nawet jak na anonimową Maureen Carson, której tożsamość przejęła po kobiecie zmarłej kilka lat wcześniej w Bay City nad jeziorem Huron. Allah jeden wiedział, jak fałszerzowi z ambasady wpadły w ręce jej dane, ale jakoś je wyszukał i wykorzystał. W recepcji wiedziiano o niej tylko tyle, że się zameldowała i wymeldowała, przez trzy dni prawie nie wyściubiając nosa z hotelu.

Szakira sama załatwiła sobie wynajem samochodu przez kontakt w ambasadzie Iranu. W „Shelbourne” czuła się świetnie, odpowiadała jej też miejscowa kuchnia, posiłki jadła więc tylko w restauracji na parterze. Przy drugiej kolacji nawiązała rozmowę z sympatycznym sześćdziesięciolatkiem, który oznajmił, że przyjechał specjalnie na Irlandzkie Derby, jedno z najważniejszych wyścigów konnych w kraju, z milionową nagrodą główną. Informacja ją zaciekała; nie wiedziała, że w tak tłoczonym i ruchliwym mieście jak Dublin znalazło się miejsce na tor wyścigowy z prawdziwego zdarzenia. Nowy znajomy, pan Michael O'Donnell, wyjaśnił, że wyścigi odbywają się w Curragh, małej miejscowości oddalonej od stolicy o kilka kilometrów, i że tamtejszy tor jest najstarszy w Irlandii - ścigano

się w tej okolicy już w czasach rzymskich.

- Z daleka pan przyjechał? - spytała.

- Sto kilkadziesiąt kilometrów. Mieszkam w hrabstwie Tipperary i mam tam kilka pełnej krwi wierzchowców.

- Wystawia pan któregoś na derbach?

- Nie, ale bierze w nich udział Wielkanocny Buntownik, trzylatek z mojej hodowli. Klacz, Mocna Mary, wciąż jest u mnie i aktualnie karmi. Jeżeli Buntownikowi się powiedzie, dostanę za żrebaka dobrą cenę.

Szakira nie bardzo się orientowała, o czym mowa, ale nie należała do osób, które w takiej sytuacji mówią „Tak? To ciekawe...” i zmieniają temat. Musiała zawsze wszystko do końca ogarnąć. Jej uroda sprawiała, że rzadko którego rozmówcę to niecierpliwiło; przeciwnie - gotowi byli tłumaczyć bez końca, tym chętniej, im wyżej stali na społecznej drabinie. Pięknym kobietom niewielu rzeczy się odmawia...

- Czy dobrze rozumiem? Mocna Mary jest matką Buntownika, tak?

- Zgadza się. Sprzedałem go jako roczniaka. Ma już na koncie cztery wygrane gonitwy w kategorii dwulatków i dwie kolejne tej wiosny, w tym grupową na dystansie dwóch kilometrów w Anglii.

- Grupową... to znaczy że wszystkie konie biegną razem?

I tak dalej, pytanie za pytaniem, aż w końcu Szakira w pełni pojęła znaczenie osiągnięć Wielkanocnego Buntownika dla przyszłej kariery jego młodszej siostry.

- Są, jak się to mówi, pełnym rodzeństwem - dodał O'Donnell. - Ta sama matka, ten sam ojciec.

- Sądziłam, że wszystkie żrebaki w jednej hodowli mają tych samych rodziców - odrzekła ze zdziwieniem. - Czy konie nie wiążą się w stałe pary?

- Na Boga, nie! - Irlandczyk się roześmiał. - Ciągle im zmieniamy partnerów. To cała sztuka, wybrać dobrego ogiera do pokrycia klaczy.

- A jeśli on się jej nie spodoba?

- Wtedy się ją dobrze pęta, a ogiera przyprowadza w odpowiednim dniu jej cyklu.

- Ależ to okropne! - Szakira była szczerze wstrząśnięta. - Co ona musi wtedy przeżywać? Przecież to nic innego jak gwałt!

- Chryste Panie, Maureen! My się zajmujemy chowem zwycięzców, a nie pośrednictwem matrymonialnym. Tipperary to najsłynniejszy na świecie region hodowlany.

- Nie bardzo mi się podoba twoje podejście, Michael. Jak można tak zmuszać klacze do uległości tym okropnym ogierom?

- Ojciec Buntownika wcale nie jest okropny. To jeden z najpiękniejszych koni, jakie możesz w życiu zobaczyć.

- Jak się nazywa?

- Galileo.

- Jest szybki?

- Maureen, w Anglii i Irlandii są trzy liczące się wyścigi na dystansie dwunastu furlongów⁴. Odbywają się w szczycie sezonu, w czerwcu i lipcu. W dwutysięcznym pierwszym Galileo zwyciężył we wszystkich, a to się nie zdarza często.

- Czy Irlandzkie Derby zaliczają się do tej trójki?

- Jak najbardziej.

- Mam więc nadzieję, że Buntownik pójdzie w ślady ojca.

- No, to jesteśmy po tej samej stronie - zażartował hodowca; - Ja na to naprawdę liczę ze względu na jego siostrzyczkę.

- Wiem, że to ważne, ale wytłumacz mi dokładniej.

- Sprawa jest prosta. Na razie to jest miła, dobrze zbudowana klaczka i mógłbym za nią dostać z pięćdziesiąt tysięcy funtów. Jeśli jednak Buntownik wygra derby, ona automatycznie stanie się siostrą czempiona i jej wartość może wzrosnąć nawet ośmiokrotnie.

- Czterysta tysięcy funtów? A kto zapłaci tyle forsy za konia?

- Prawdopodobnie któryś z arabskich szejków, ale w jej przypadku będą to raczej właściciele stadniny Coolmore Stud po sąsiedzku w Tipperary. Tam przyszła na świat i sądzę, że zechcą ją zatrzymać.

- Czy to ładne miejsce?

- Najpiękniejsze w regionie. Rozległy teren, duże trawiaste padoki, sporo najwspanialszych ogierów ze światowej czołówki, a pracownicy zajmują się hodowlą od pokoleń. Żrebaków i roczniaków tyle, że trudno zliczyć. To miejsce ze snów koniarza, moja droga. Tam się rodzą marzenia.

- A czasem umierają?

- O, nie, kochana. Księga natury nigdy się nie zamyka - odparł Michael nieco tajemniczo. To rzekłszy, pożegnał się z uroczą rozmówczynią, rzuciwszy jeszcze na odchodnym: - Jak wygramy, to w niedzielę będzie w domu niezły jubel!

Jej pytanie, co to jest jubel, już do niego nie dotarło.

I poniekąd dlatego pani Raszud stała teraz na chodniku w St Stephen's Green,

⁴ Stosowana w jeździectwie miara długości, równa 1/8 mili (220 jardów = 201 m).

czekając na zamówiony samochód. Nie spodziewała się Rawiego przed upływem kolejnych trzech dni, postanowiła więc zwiedzić tak zachwalany najpiękniejszy region hodowlany na świecie.

Tego samego dnia. Godz. 9.00. Brockhurst

Detektyw Joe Segel stawał się ekspertem od murów nie do przebiccia, ślepych zaułków i dróg donikąd. Przez ostatnie pięć dni doświadczył ich niemało w bezowocnym tropieniu śladów zaginionej barmanki z „Estuary”. Doświadczenie mówiło mu, że to właśnie Carla Martin zabiła Matta Barkera. Był też przekonany, że działała w obronie własnej, zaatakowana przez niego z zamiarem gwałtu. Poza tym pewien był tylko jednego: dziewczyna jakby zapadła się pod ziemię. Historia morderstwa z Brockhurst dzięki pikantnemu szczegółowi przez parę dni królowała na antenie większości nie tylko lokalnych, ale i krajowych stacji telewizyjnych i radiowych. Gdyby Carla wciąż przebywała na terytorium USA i była niewinna, dawno już przynajmniej zadzwoniłaby na policję, żeby oczyścić się z podejrzania. Ponieważ tego nie zrobiła, wniosek nasuwał się dwojaki: albo się gdzieś ukrywa, żeby przeczekać najgorszą burzę, albo uciekła za granicę, być może jeszcze zanim znaleziono zwłoki jej ofiary.

Nie było już wątpliwości, że posługiwała się fałszywym paszportem. Dwa lokale londyńskie, których referencjami wsparła prośbę o pracę u Jima Caborna, istniały naprawdę, ale w żadnym nigdy nie słyszano o Carli Martin. W opuszczonym mieszkaniu nie zostawiła najdrobniejszych oznak bytności, a zapis filmowy z dnia jej prawdopodobnego wyjazdu był na tyle nieostry, że nawet Fred Mitchell nie potrafił powiedzieć, czy wychodząca z walizką kobieta to Jane Camaro, która tak mu się podobała. Na prośbę komisariatu w Brockhurst FBI i CIA przeprowadziły nawet poszukiwania na wszystkich lotniskach międzynarodowych w ważniejszych krajach Bliskiego Wschodu i zachodniej Europy. Rezultat: zerowy.

Joe nie miał żadnego punktu zaczepienia. Morderstwo z Brockhurst coraz szybciej zbliżało się do wiecznego spoczynku w archiwum spraw niewyjaśnionych i detektyw Segel zaczynał się obawiać, że odbije się brzydką plamą na jego zawodowym życiorysie.

Niedziela, 8 lipca, godz. 10.00. Fort Meade

Komandor porucznik Ramshawe miał być na obiedzie u Jane w ambasadzie, musiał więc się pospieszyć, jeżeli chciał jeszcze złapać Arnolda Morgana przed wyjściem. Raz

jeszcze wyłożył mu przez telefon swoje obawy - jak grochem o ścianę, choć podkreślał z mocą, że niebezpieczeństwo jest tym poważniejsze, iż dziewczyna, która wyciągnęła od Emily Gallagher szczegóły jego planu podróży, jest już oficjalnie poszukiwana za morderstwo.

- Arnie, czy nie mógłbyś choć zmienić daty wyjazdu?

- Wykluczone. Z Londynu jedziemy do Szkocji. Parę dni zatrzymam się u admirała MacLeana, a potem razem udamy się do Edynburga na obchody święta armii.

- Byłem kiedyś z ojcem na tej imprezie. To się ciągnie cały boży miesiąc! Nic nie stracisz, jak przesuniesz wycieczkę o tydzień czy dwa.

- Jimmy, chłopcze, jeden z uroczystych apeli będzie poświęcony mojej skromnej osobie i jest to od dawna zaplanowane. Ostateczną datę ustalono dopiero w zeszły piątek i muszę się jej trzymać. To wielki zaszczyt, jeśli chcesz wiedzieć, i nie obdziela się nim kogo popadnie. Bohaterami tych, jak to nazwałeś, imprez, byli wybitni dowódcy i politycy. Na przykład Churchill. Swojemu premierowi urządzają tę fetę dzień po mnie. Nie ma mowy, żebym z tego zrezygnował.

- Zasadniczo więc marnuję tylko czas, tak? No, ale to drobnostka. Staram się tylko ocalić ci życie.

- Na które czyha straszliwa barmanka. Daj spokój, Jimmy. Trzymajmy się rzeczywistości. Będę miał solidną ochronę, nie mówiąc o połowie brytyjskiej armii.

- Nie mówimy o żadnej barmance, Arnie! Ja się boję jej mocodawców. Dobrze wiesz, że wśród tych dżihadystów trafiają się dobrzy fachowcy. Usiłuję cię tylko zdjąć im z celownika.

- Nie martw się o mnie, młodzieńcze. Jestem ognioodporny. Muszę jechać.

Trzask odkładanej słuchawki.

- Stary, uparty kozioł! - mruknął sfrustrowany Ramshawe.

Sobota, 7 lipca, godz. 18.00. Morze Śródziemne, 37°30'N/002°10'E

Irański podwodniak znajdował się teraz pięćdziesiąt mil morskich na północny zachód od Algieru. Kapitan Abad wciąż prowadził okręt na peryskopowej, sunąc na chrapach z prędkością dwunastu węzłów i czyniąc wiele hałasu. Sonarzyści z USS *Cheyenne* słyszeli go i widzieli na ekranach wyraźnie, mimo że komandor Hank Redford trzymał się w bezpiecznej odległości sześćdziesięciu pięciu mil morskich, sześćdziesiąt stopni za jego prawym trawersem, czyli na „godzinie piątej”. Wszystko wskazywało na to, że pierwotne

przypuszczenia były słuszne i śledzony okręt rzeczywiście zmierza najkrótszą drogą do Cieśniny Gibraltarskiej.

Na ogół amerykańskie okręty myśliwskie górują nad większością potencjalnych adwersarzy tak pod względem technicznym, jak i wyszkolenia załogi; jednakże w grze z tym Kilo, świeżo odremontowanym w Rosji, gdzie być może ulepszono też jego pierwotne parametry, nawet tak groźna jednostka jak *Cheyenne* nie mogła czuć się w pełni bezpieczna. Na tak głębokich wodach żaden z równorzędnych przeciwników nie może zyskać przewagi dzięki wykorzystaniu topografii morskiego dna, na przykład chowając się w akustycznym szumie, jaki powstaje w pobliżu lądu. Tu jedynym atutem pozostaje maksymalne wyciszenie biegu. Jeśli myśliwy chce podejść na odległość skutecznego strzału, nie może dopuścić, by zwierzyna go spostrzegła. Ścigany może ujść z życiem tylko wtedy, gdy zachowa jeszcze większą ciszę.

Na to jednak nie pozwalały kapitanowi Abadowi otrzymane rozkazy. Żeby zdążyć na czas, musiał odrzucić wyuczone zasady i przemóc nakazy własnego instynktu, utrzymując stosunkowo dużą prędkość, hałasując przy tym co niemiara i na dodatek co noc wystawiając chrapy na widok obcych radarów. Liczył tylko na to, że nie odnotowano jego odejścia spod Libanu i nie wykryto po drodze. Powtarzał sobie, że w razie czego potrafi zniknąć ewentualnym napastnikom z oczu szybciej, niż im uda się go zaszachować. Podążającego za nimi Amerykanina jego sonarzyści jeszcze nie wykryli.

Tego samego dnia, godz. 15.00. Hrabstwo Tipperary, Irlandia

Szakira Raszud delectowała się niespieszną jazdą i malowniczym krajobrazem południa Irlandii. Droga z Dublina wiodła przez hrabstwa Kildare i Loais. Stadninę Coolmore Stud znalazła na kupionej poprzedniego dnia sztabowej mapie niedaleko wioski Fethard. Okolica była typowo wiejska, z jedynym większym miasteczkiem Cashel.

Konia kupować nie zamierzała, ale jak wielu ziomków miała ogromny sentyment do tych szlachetnych zwierząt i wiedziała, że większość najlepszych wierzchowców wywodzi się od pustynnej rasy hodowanej przez jej przodków. Z imienia znała tylko jednego pełnokrwistego araba, słynnego Darleya Arabiana; ciekawiło ją, czy któryś z jego potomków trafił do Coolmore, według Michaela O'Donnella najwspanialszej stadniny na świecie. Nie mogła wiedzieć, że wszystkie hodowane tam wyścigowe rumaki pochodzą w prostej linii właśnie od tego ogiera, poprzez jego potomka Eclipse'a. Żałowała, że nie ma z nią Rawiego, który świetnie się orientował w tej dziedzinie; jego ojciec, naturalizowany w Anglii Irańczyk,

sam znany hodowca, parę lat temu był bliski zdobycia prestiżowego Złotego Pucharu Ascot. Kiedy w Damaszku kupowali angielskojęzyczną prasę, Rawi zaczynał lekturę od działu sportowego, szukając opisów ostatnich gonitw. Często mówił, że brakuje mu tej specyficznej atmosfery angielskich torów i że kiedyś, jeżeli będzie mu dane wrócić do normalnego życia, chciałby kupić sobie parę dobrych wierzchowców. Oboje jednak wiedzieli, że jest to bardzo mało prawdopodobne.

Szakira nigdy nie miała okazji przyglądać się prawdziwym wyścigom, ale zawsze miała na to ochotę. I oto znalazła się w sercu zielonego rajy Tipperary, gdzie końskimi sprawami się żyje i oddycha. Zatrzymała się w Cashel i pierwsze kroki skierowała do księgarni, by kupić książkę o historii okolicy i dobry przewodnik. Dopiero z niego wyczytała, który z miejscowych hoteli warto wybrać. Poleciała kierowcy podjechać pod „Cashel Palace”. Był to nobliwy ceglany budynek z XVIII wieku, mekka koniarzy zjeżdżających tu z całego świata. Normalnie trudno tam o wolne miejsca, teraz jednak większość gości wyemigrowała do Dublina na derby i Szakira bez problemu dostała pokój. Zameldowanie było równie nieskomplikowane jak w „Shelbourne”: wystarczyło okazanie karty kredytowej. Tym razem użyła American Express, wystawionej na nazwisko Margaret Adams, obywatelki brytyjskiej. O paszport nikt jej nawet nie zagadnął.

Sama zaniósła walizkę do pokoju, grzecznie odrzucając ofertę pomocy. Rozpakowała się i wrzuciła do torebki swój żelazny zestaw: podrobione paszporty, prawo jazdy z Warwickshire, karty kredytowe, portmonetkę z podręczną gotówką i kilka tysięcy euro związane bankową banderolą w pakiet, a na wierzch cienkie skórzane rękawiczki.

Brakowało tylko jednej rzeczy, bez której czuła się jak bez ręki. Na głównej ulicy widziała jednak sklep wędkarski, w którym mogła się w nią zaopatrzyć. Spędziła w nim kilka minut, oglądając bogaty wybór noży rybackich, i wybrała model z prostym długim ostrzem, częściowo ząbkowanym i z rękojeścią obszytą skórą. Poprosiła sklepikarza o zapakowanie, wyjaśniając, że to prezent dla młodszego brata.

Nie przewidywała wprawdzie konieczności użycia broni, ale tak samo myślała, rozpakowując syryjski kindżał od Ahmeda. Po wyjściu ze sklepu natychmiast zdarła ozdobny papier i wyrzuciła do kosza, nóż zaś w eleganckiej skórzanej pochwie włożyła do torebki. Od razu poczuła się spokojniejsza.

Poleciała szoferowi zawieźć się do Fethard. Nie miała w planie wizyt w żadnym konkretnym miejscu - pragnęła po prostu obejrzeć ten kraj pięknych koni i falujących wzgórz, jakże inny od ojczyzny przodków Darleya Arabiana. Sunęli przez morze bujnej zieleni; jak okiem sięgnąć rozciągały się łąki, z rzadka usiane kępami drzew. W oddali widać było

ogrodzone padoki, a na nich klacze ze źrebiętami, żaden jednak nie znajdował się w pobliżu szosy.

Szakira nie mogła zapomnieć bajońskiej sumy, jaką Michael O'Donnell miał nadzieję uzyskać za swoją klaczkę po Wielkanocnym Buntowniku. Domyślała się, że stadniny z tak cennymi zwierzętami muszą być dobrze chronione. Zrozumiała, że nie ma co liczyć na bliskie spotkanie z wierzchowcami, więc po przejechaniu jeszcze kilku kilometrów kazała zawrócić do Cashel. Przed hotelem pożegnała się z kierowcą, który musiał wracać do Dublina, ale obiecał, że na rano załatwi jej kogoś z miejscowych, kto ułatwi jej objazd okolicy. Nie przyjął pieniędzy, mówiąc, że rozliczą się za tydzień, kiedy przyjedzie ją zabrać z powrotem do stolicy.

Ta rozmowa utwierdziła Szakirę w przekonaniu, że Irlandczycy to wspaniały naród, i raz jeszcze zakarbowała w pamięci, żeby zabronić Rawiemu ich zabijania. Jej zdaniem wpływy Wielkiego Szatana kończyły się na Wielkiej Brytanii i nie sięgały Szmaragdowej Wyspy, ojczyzny tak przyjaźnie i pokojowo nastawionych ludzi.

Znalazszy się w pokoju, rozsunęła zasłony i stanęła oczarowana widokiem za wysokim, pociętym kreskami szprosów oknem. Na wprost hotelu czerniały wysoko na tle nieba ruiny XIII-wiecznej katedry wzniesionej na skale Cashel, która przez sześć wieków była siedzibą irlandzkich królów. Do dziś zachowały się jej mury z piaskowca i przyległa okrągła baszta, zwieńczona dobrze widocznym krzyżem celtyckim.

- Ależ stamtąd musi być widok! - westchnęła i zabierając się do lektury przewodnika, postanowiła, że nazajutrz musi tam pójść.

Kolację zamówiła do pokoju, ale później nabrała ochoty na towarzystwo i rozmowę, zeszła więc do holu i spytała, czy jest w hotelu kawiarnia.

- Nic takiego nie mamy - odrzekł recepcjonista. - Ale jak zejdzie pani tamtymi schodami - dodał, wskazując kierunek - znajdzie pani najprzyjemniejszy bar na świecie. Proszę powiedzieć Dennisowi, że ja go poleciłem i że ma podać kawę po naszymu.

Szakira skorzystała z podpowiedzi i wkrótce siedziała nad wysoką szklanicą aromatycznego ciemnego płynu, w którym pod czapką bitej śmietany czaiła się solidna porcja whiskey znanej marki Jameson. W lokalu było dość tłoczno, ale znalazła miejsce przy stoliku w rogu. Nie spodziewała się, że dostanie napój tak mocno alkoholizowany, ale smakował wysmienicie, machnęła więc ręką na religijny zakaz i sączyła *Irish coffee* „po naszymu”, przyglądając się dyskretnie pozostałym gościom.

Mniej więcej po dwudziestu minutach zauważyła wchodzącego tęgiego mężczyznę, najwyraźniej miejscowego, w wieku około pięćdziesiątki. Przepisnął się do baru, zamówił

dużego guinnessa, po czym ku jej zaskoczeniu ruszył prosto do jej stolika. Nie uszła też jej uwagi zaniepokojona mina barmana.

Przybyły skinął jej głową i powiedział:

- Dobry wieczór, madame. Jestem Pat Slater.

Szakira nie zdążyła się nawet ukłonić w odpowiedzi, kiedy tuż obok Pata wyrósł Dennis.

- Słuchaj, Patryk, to elegancka dama, mieszka w „Cashel Palace”. Chyba nie będziesz jej zanudzać swoimi historiami z zamierzchłych dni?

Pat Slater uśmiechnął się jowialnie i odparł, że nikogo nie zamierza niczym zanudzać, a w ogóle to wpadł tylko na jednego, bo kobyła ma mu się w nocy żrebić, więc zaraz wraca do stajni.

Barman się wycofał i przez następne dziesięć minut Patryk wiódł z rozmówczynią uprzejmą konwersację, ciekawy, skąd i na jak długo przybyła oraz co porabia w Irlandii. Okazał się jednak słowny i gdy po guinnessie został tylko osad pianki na szklance, pożegnał się i odszedł, nie wiedząc, że elegancka dama nie powiedziała ani słowa prawdy. Na odchodnym, już u podnóża schodów, odwrócił się jeszcze i burknął:

- Ja nie zawsze byłem zwykłym koniuchem, wie pani? Kiedyś wykonywałem znacznie ważniejszą robotę.

Było już wpół do dziesiątej i większość klienteli rozeszła się na kolację. Ruch miał się zrobić znowu po jedenastej, na razie jednak Szakira została w barze prawie sama. Dopiła kawę i podeszła porozmawiać z Dennisem.

- Ten człowiek powiedział mi, że był kiedyś kimś ważnym - zagadnęła, jak zwykle spragniona wyjaśnienia do końca.

- Panno Adams, Pat Slater... powiem w sekrecie... był dawniej w IRA. To te chłopaki, które bombami i kulami zmusiły Anglię do ustępstw w Irlandii Północnej. Problem w tym, że on nigdy się z tego nie otrząsnął. Żyje tęsknotą za dawnymi dobrymi czasami, kiedy z kolesiami robili sporo draki. Tak było z większością z nich. Trudno im było wcisnąć się w ramy cywilnego życia po tylu latach ukrywania się, spiskowania i w ogóle partyzantki. Dla niektórych to jest jak narkotyk i Pat Slater do takich się zalicza.

- Czy to byli terroryści, czy walczyli jak regularna armia? - Szakira nie знаła historii IRA i była nieco zdziwiona usłyszonymi informacjami.

- Armia? Nie, nigdy nie byli organizacją militarną. Atakowali na granicy i wewnątrz kraju, podkładali bomby w miejscach publicznych, strzelali z ukrycia. Sami siebie nazywali terrorystami i byli z tego dumni, twierdząc, że tylko oni prowadzą wojnę, która doprowadzi

do wygnania Brytoli z Irlandii raz na zawsze.

- Udało się im?

- Na ile cokolwiek może się udać na Północy. Przeliczyli się z poparciem społecznym, bo większość ludzi chce utrzymania więzi z krajem i królową, jak to się u nich mówi.

- Ale czy tymi bombami i zamachami cokolwiek zwojowali?

- O, tak! Co do tego nie ma dwóch zdań. Pod koniec Brytole mieli już tego naprawdę dosyć, ale to samo można rzec o miejscowej ludności.

- Czy ich walka była czymś w rodzaju muzułmańskiego dżihadu?

- Można to i tak nazwać, choć liga nie ta sama. IRA zawsze była niewielką siłą, choć porywali się czasem na ambitne cele. Ale nic na skalę World Trade Center.

- A zatem płynie stąd wniosek, że wielki i słuszny cel da się osiągnąć poprzez długotrwałą kampanię terroru?

- Na to by wychodziło - zgodził się barman. - Rząd brytyjski nigdy by nie poszedł tak szybko na ustępstwa, gdyby się nie bał dalszych ataków w Londynie.

- To w takim razie dobra nowina dla terrorystów na całym świecie! - Szakira się roześmiała.

- Bo ja wiem czy dobra? Widziała pani kiedyś człowieka równie ponurego jak Pat Slater? Oni widzieli sławę i chwałę w dążeniu do celu, a nie w jego osiągnięciu. Może jeszcze kawkę po naszymu? Na koszt firmy, ja też sobie jedną machnę, póki na razie pusto.

- Nie powiem nie. - Szakira kiwnęła pogodnie głową. - Wie pan, ja też kiedyś byłam barmanką, ale to dawne dzieje... jakby w innym wcieleniu.

Rozdział 8

Poniedziałek, 9 lipca, godz. 7.00. Morze Śródziemne, 36°50'N/001°00'W

Od szesnastu godzin USS *Cheyenne* płynął z prędkością zwiększoną o dwa węzły, stopniowo zmniejszając dystans dzielący go od Irańczyka. Na Kilo wykryto jego obecność dopiero teraz, z odległości nieco ponad trzydziestu mil morskich, i porównując jego charakterystykę akustyczną z uaktualnioną w Sankt Petersburgu bazą danych, prawidłowo rozpoznano jako amerykańską jednostkę klasy Los Angeles. Zaalarmowany dowódca natychmiast zjawił się w pomieszczeniu sonaru i przez pół godziny razem z podwładnymi obserwował zachowanie intruza. Uspokojony brakiem jakichkolwiek oznak agresywnego działania uznał, że nie ma bezpośredniego zagrożenia, i pozwolił sobie nawet na żart.

- Skoro już ten jankeski pies tu węszy, to damy mu powąchać nasze spaliny. Może mu się w nosie zakręci!

Nie miał złudzeń, że Amerykanie go nie widzą - a w takim razie dalsze ukrywanie się nie miało sensu. Równie dobrze można coś na tym skorzystać, pomyślał. Wróciwszy do centrali manewrowej, polecił wysunąć chrapy i uruchomić prądnice oraz zwiększyć prędkość do całej naprzód - po raz pierwszy w tym rejsie.

*

- Sonar do centrali! Irańczyk przyspiesza, pojawiły się linie od kawitacji!

- Centrala do sonaru, obserwować dalej, czekam na nowy wektor.

- Sonar do centrali, obiekt nie zmienia kursu.

- Ciągnie prosto na Gibraltar - zauważył ZDO⁵.

- Na to wygląda - przytaknął Redford. - Nie dostaliśmy od wywiadu ani okrucha informacji o jego prawdopodobnym celu podróży, ale jedno jest już pewne: on się wybiera na Atlantyk. Trzymajmy się jego ogona. Panie Meyerson! - Zwrócił się do oficera wachtowego. - Prędkość dwadzieścia węzłów, proszę. Kurs na CPA⁶ jedna mila.

- Aye, aye, sir!

⁵ Zastępca dowódcy okrętu.

⁶ Ang. Closest Point of Approach - punkt największego zbliżenia, najmniejsza odległość, w jakiej miną się dwa statki przy określonych parametrach ruchu.

Irańczyk najwyraźniej chciał się urwać pogoni. Komandor Redford nie miał innego wyjścia, jak tylko podążać za nim - przynajmniej jeszcze przez kilka do kilkunastu godzin. Rozkaz wyraźnie mówił: nie zgubić go, ale nie wychodzić na ocean.

Kilo trzymał się na peryskopowej i pędził naprzód z niemiłosiernym hałasem. O dziewiątej satelita zwiadowczy US Navy sfotografował jego kilwater dwadzieścia mil na wschodni południowy wschód od Cabo de Gata, a w południe od Gibraltaru dzieliło ich już tylko sto mil. Generał Raszud, który dwukrotnie przedtem spędził całe miesiące na podwodnych misjach i orientował się w tajnikach morskiej nawigacji, ocenił, że zdąży wylądować w Irlandii na czas. Planował dotrzeć do Dublina najpóźniej w poniedziałek 16 lipca. Wiedział, że w tym celu muszą wyjść z Cieśniny Gibraltarskiej we wtorek rano - a w tej chwili wyglądało na to, że nie będzie z tym problemu.

Poniedziałek, 9 lipca, godz. 16.00. Hrabstwo Cork, Irlandia

Tego dnia Szakira zdecydowała się na dłuższą wycieczkę na wybrzeże zachodniej części hrabstwa Cork, gdzie już w tym tygodniu miał wylądować jej mąż. Stusześćdziesięciokilometrową odległość pokonała z poleconym jej w hotelu kierowcą w niespełna trzy i pół godziny, korzystając z dróg lokalnych. Na miejscu wynajęła pokój w małym zajeździe w rybackim miasteczku Schull nad Zatoką Grzmiącej Wody i odesłała samochód, umawiając się z szoferem, że przyjedzie po nią w czwartek po południu.

Po późnym obiedzie wzięła taksówkę i pojechała nadmorską szosą malowniczo wijącą się wzdłuż poszarpanego brzegu aż na sam koniec półwyspu Mizen Head. Pogoda była wymarzona, powietrze wyjątkowo przejrzyste; z cypla widać było odległą plamkę wyspy Fastnet Rock, czerniącą się na błękitnym przestworze Atlantyku. O parę mil od skalistego klifu sunęły w ślimaczym tempie dwa jachty żaglowe.

Podczas tego krótkiego pobytu Szakira zdążyła pokochać Irlandię. Lubiała przyjaznych tubylców, zachwycała się oszałamiającym krajobrazem z niezliczonymi odcieniami zieleni, który przerastał wyobraźnię człowieka wychowanego wśród martwych żółci, czerwieni i brązów pustynnej ziemi arabskiej. Stojąc na urwistym brzegu Mizen Head, z pofałdowanym bezkresem łąk za plecami, miała wrażenie, że znalazła się na gigantycznym olejnym obrazie. Wszędzie wokół czuła tchnienie historii, prastarych mitów i legend. Za każdym razem, gdy wdała się z kimś w rozmowę, kończyło się jakąś nową, mniej lub bardziej fantastyczną opowieścią. Doszła do przekonania, że dla Irlandczyków przeszłość nigdy nie jest odległa. Cały kraj usiany jest jej pomnikami - okrągłymi fortecami z kamienia, wielkimi kurhanami,

stelami pokrytymi religijnymi piktogramami sprzed dwóch tysięcy lat, ponurymi stołbami i wysokimi kamiennymi krzyżami. Chłonęła te widoki całą duszą. Najpierw wczesnym rankiem spędziła trzy godziny na skale Cashel, spacerując wokół resztek średniowiecznych fortyfikacji i pozbawionego dachu klasztoru i napawając się surowym majestatem XII-wiecznej kaplicy, najlepiej zachowanej w całym kraju. Po drodze z Dublina zatrzymywała się wszędzie, gdzie w pobliżu szosy spostrzegła coś godnego uwagi, i szukała potem w przewodniku informacji na ten temat.

Rzadko który lud jest tak przywiązany do pradawnych przekazów i podań jak Arabowie. Szakira nawet na tym tle wyróżniała się ponadprzeciętnym umiłowaniem historii; gdyby wojna nie pokierowała jej losem inaczej, z pewnością poświęciłaby jej życie. Przebywanie w miejscach, gdzie tysiąc lat temu ludzie żyli i umierali, kochali i nienawidzili, radowali się i cierpieli tak samo jak dzisiaj, budziło w niej niepohamowaną ciekawość i pobudzało wyobraźnię. Teraz dotarło do niej, że pod tym względem Irlandczycy są jej bratnimi duszami.

Długo tak stała w zadumie, smagana morską bryzą, ale w końcu poczuła chłód. Wróciła do taksówki i kazała jechać wzdłuż brzegu drogą prowadzącą do Barieycove i Goleen. Chciała obejrzeć z tamtejszych urwisk panoramę Crookhaven, zatoczki wybranej przez Rawiego na miejsce lądowania.

Był już wieczór, kiedy wróciła do Schull. Zmęczona zrobiła sobie długą kąpiel w wannie, która czasy świetności przeżyła pewnie, zanim ona przyszła na świat. Po dwudziestej zeszła do pubu, przepłukała gardło szklanką soku pomarańczowego, przysłuchując się snutej przez któregoś z bywalców kolejnej legendzie, tym razem o tym, jak niejaki Bonzo, jeden z miejscowych rybaków, wypił kiedyś szesnaście kufla guinnessa w godzinę i dwanaście minut, co uznano za nieoficjalny rekord Irlandii, dotychczas niepobity. Rozbawiła ją powaga, z jaką obecni słuchali opowiadania, choć nie obyło się bez paru rubasznym komentarzy i pełnych uznania cmoknięć. Dla niej było to zupełnie co innego od zasłyszanej przy innej okazji istnej ballady prozą o zdobyciu w X wieku skały Cashel przez Briana Boru; uderzyło ją jednak, że bardów z baru „Cashel Palace” łączy z tutejszymi gawędziarzami wspólna cecha: o wielkich wyczynach najróżniejszych kategorii mówią tym samym niemal nabożnym tonem i wszystkie traktują jak kamienie milowe irlandzkiej historii, a zarazem tak swojsko, jakby wydarzyły się nie dalej jak wczoraj.

Szakira była tym wszystkim oczarowana. Zamarzyło się jej, by kiedyś móc zamieszkać z Rawim w takiej odległej od świata rybackiej wiosce, z dala od nienawiści i śmierci, od których chyba już nigdy nie będzie wolna jej ojczyzna. Miała jednak świadomość,

że oboje zaszedli za daleko i zbyt wielu ludzi gotowych jest strzelać do nich bez ostrzeżenia, gdziekolwiek by się na nich natknęli. Nawet na irlandzkim odludziu nie byłiby bezpieczni przed bezwzględnymi zabójcami z Mosadu czy CIA.

Poniedziałek, 9 lipca, godz. 15.30. Morze Albozańskie, 36°04'N/004°00'W

Nad Morzem Albozańskim, szeroką odnogą Śródziemnego wrzynającą się klinem między wybrzeża Hiszpanii i Maroka, szalał lewanter - lokalny wschodni wicher, najczęściej pojawiający się od lipca do października - i lało przy tym jak z cebra. Kapitan Abad powitał go całym podwodniackim sercem; siekący o wodę deszcz wywoływał akustyczny szum, w którym częściowo giną odgłosy pracy mechanizmów okrętowych.

Do Gibraltaru pozostało jeszcze pięćdziesiąt mil. Śledząca ich amerykańska jednostka kilka godzin temu dała za wygraną i została daleko w tyle. Niebezpieczeństwa już nie było, niemniej dowódca nie zamierzał dalej kusić losu. Akumulatory miał w pełni naładowane, polecił więc schować chrapy i zwolnił bieg do pięciu węzłów, by do samej Cieśniny Gibraltarskiej podejść już bezszelestnie. Przed zejściem na większą głębokość rozejrzał się jeszcze wokoło przez peryskop; w mocno ograniczonym przez deszcz polu widzenia znajdował się tylko jeden zbiornikowiec płynący na zachód i zmierzający w przeciwną stronę duży kontenerowiec z granatowym kadłubem i wymalowaną na nim białymi literami nazwą armatora, francuskiego konsorcjum CMA CGM. Nigdzie nie było widać okrętów wojennych, a i nasłuch elektroniczny wykrywał tylko impulsy radarowe o charakterystyce stosowanej w urządzeniach cywilnych.

Opuściwszy peryskop, Abad przekazał Raszudowi dobre wieści: po pierwsze, nikt ich już nie tropi, a po drugie, zyskali trochę na czasie i jeśli na Atlantyku wszystko pójdzie równie gładko, powinni dopłynąć do Cork w niedzielę 15 lipca, i to jeszcze za dnia.

Rawi, który przez ostatnie dni trochę zamknął się w sobie, skinął tylko głową. Wiele spraw zaprzętało mu myśli, martwił się też o żonę. Krótki meldunek, który przekazała telefonicznie do Gazy - „Wyjeżdżam natychmiast”, bez żadnych wyjaśnień - mocno go zaniepokoił. Przeczynał, że musiało się wydarzyć coś złego.

Kto wie, może nawet Szakira wpadła i siedzi w więzieniu? Nie wiedział nawet, czy zdołała wyjechać z USA i w jakim kraju aktualnie przebywa. Miał nadzieję, że uda się jej dotrzeć do Irlandii i będzie na niego czekać w Dublinie. Na razie mógł tylko uzbroić się w cierpliwość, zamknięty w tej stalowej puszcze, póki nie dotrze na miejsce. Na szczęście podróż przebiegała zgodnie z planem i opóźnienie - jeśli się pojawi - nie będzie znaczne.

Nieznany los Szakiry był może najważniejszym, ale nie jedynym problemem, który spędzał mu sen z powiek. Czekał go wjazd do Wielkiej Brytanii, gdzie wciąż znajdował się na liście najbardziej poszukiwanych przestępców, tak przez policję, jak i wojsko. Zarzucano mu trzy morderstwa popełnione na brytyjskim terytorium, a o kilku innych władze nawet nie wiedziały. Dawna ojczyzna była dla Rawiego najbardziej niebezpiecznym krajem na świecie. Wielu ludzi znało go tu z tamtych czasów, gdy był wybijającym się studentem, a później cenionym oficerem elitarnej jednostki specjalnej.

Rawi Raszud po raz pierwszy od brzemiennej w skutki, spontanicznej decyzji, jaką podjął w ogniu walki w Hebronie, poczuł przyływ nostalgii, może nawet doprawionej żalem. Dotąd zawsze świadomie odsuwał od siebie wspomnienia dawnego życia, szacunku, jakim go darzono jako oficera, *esprit de corps*, trwałych przyjaźni nawiązanych za szkolnych dni w Harrow. Wszystko to odtrącił; stał się wyrzutkiem, banitą, wyrzekł się rodziców, kolegów i kraju, któremu tyle zawdzięczał.

Przeszedł na drugą stronę pchnięty irracjonalnym impulsem, może też poczuciem sprawiedliwości i zgrozą, jaką przejmowały go cierpienia Palestyńczyków. Pod pewnymi względami ten szalony odruch przyniósł mu szczęście: w terrorystycznym fachu zdobył wielką fortunę, ale największą dlań nagrodą była Szakira.

Teraz znowu oboje ruszali do walki, na pole minowe, jakim już na zawsze pozostanie dla niego Wielka Brytania. Najpierw jednak musiał się tam dostać, pokonując jeden z najbardziej szczelnych systemów ochrony granic na świecie. Sama myśl o tym zadaniu pączkowała tysiącem zmartwień: paszporty, służba graniczna, celnicy, policjanci patrolujący wszystkie lotniska, dworce i przystanie promowe; strach przed rozpoznaniem; a może przede wszystkim sam cel operacji.

Rawi dobrze wiedział, że admirał Morgan będzie miał silną ochronę. Może nie tak dobrą jak u siebie, ale na tyle szczelną, żeby snajper miał szansę oddać tylko jeden strzał... i to z karabinu, którego jeszcze nie wyprodukowano. Do tego dochodził problem bodaj największy: ewakuacja po wykonaniu zadania. Zdawał sobie sprawę, że każda spędzona w Anglii minuta, jaką może poświęcić na planowanie, jest na wagę złota. Za najdrobniejszy błąd przyjdzie mu słono zapłacić - może nawet własnym życiem. I co wtedy będzie z Szakirą? Oczywiście ona może zginąć wraz z nim, ale o tym nawet myśleć nie chciał.

Wyszedł z centrali i stanął w pustym korytarzu.

- Słodki Jezu, miej ją w opiece... - westchnął, zapominając na moment o Allahu i islamie. W chwili zwątpienia modlił się do Boga, którego poznał w Anglii jako dziecko i w Jego kulcie się wychował.

We wtorek o pierwszej w nocy minęli Gibraltar. Słynne słupy Heraklesa - Gibraltar Rock na północy i Dżebel Musa na południu - dzieli tam odległość dwunastu mil morskich. Od tej linii cieśnina ma ponad trzydzieści mil morskich długości, a jej drugi koniec wyznacza prosta łącząca narożnik Afryki, przylądek Spartel, z hiszpańskim przylądkiem Trafalgar. Między Tarifą i Tangerem zwięza się do ośmiu mil, by potem znów się rozszerzyć i rozmyć w Atlantyku. Oba brzegi są wysokie; na afrykańskim wznosi się przedgórze Atlasu, na europejskim wyżyny Hiszpanii. Myliłby się ten, kto by sądził, że to nie ma znaczenia dla podwodnej żeglugi. Przy takiej topografii wybrzeża dno morskie opada po obu stronach równie stromo i tworzy głęboki łuk. Dlatego właśnie średnia głębokość Cieśniny Gibraltarskiej wynosi trzysta sześćdziesiąt metrów.

Dla kapitana Abada było to bardzo istotne, mógł bowiem zanurzyć się na maksymalną głębokość, około dwustu metrów i przekraść się cichaczem obok stacji nasłuchowych Royal Navy, które dzień i noc monitorują te ruchliwe wody, szukając obcych okrętów podwodnych. Brytyjczycy od XVIII wieku, kiedy to odebrali Gibraltar Hiszpanii, uważają się za strażników tego ważnego szlaku, a od II wojny światowej nadzorują go wspólnie z amerykańskimi sojusznikami, którzy również utrzymują w tej okolicy własną bazę morską, w Rocie pod Kadyksem. Hiszpanie nieraz próbowali tupnąć nogą na tę anglosaską uzurpację; nie podoba się ona zresztą także innym nacjom śródziemnomorskim: Francji, Włochom, Grecji, no i oczywiście islamskiej północnej Afryce. Dobrana para światowych osiłków nic sobie z ich pomruków jednak nie robi i nie zamierza się wyrzec kontroli nad wejściem na ich morze.

- Sternik, trym dziesięć, kurs dwieście siedemdziesiąt! Zanurzenie sto osiemdziesiąt!

„901” powoli osuwał się coraz głębiej, pełnząc z minimalną prędkością w absolutnej ciszy ku wolnym przestrzeniom oceanu. Na trawersie wysuniętej z południowego krańca gibraltarskiej skały krótkiej ostrogi nazwanej Europa Point był już poniżej stu dwudziestu metrów, a gdy tylko minął wąskie gardło cieśniny, Abad polecił przyspieszyć o dwa węzły. Na wysokości Trafalgaru, o ósmej trzydzieści, rozpędził się do dwunastu i położył na kurs 287°, w stronę południowo-zachodniego krańca Portugalii, Przylądka Świętego Wincentego. Stamtąd już prosta droga wiodła do brzegów Irlandii.

Rawi lubił sobie pogadać z nawigatorem, porucznikiem Alaamem. Najchętniej słuchał jego opowieści o rodzinnym Kermanie, który sam pamiętał z dzieciństwa jedynie w mglistych oderwanych obrazach i tylko raz odwiedził jako dorosły, już po przejściu w szeregi Hamasu. Teraz jednak stał obok niego w milczeniu, zajęty własnymi myślami. Kątem oka widział ekran mapy elektronicznej, na którym wyświetlona była Zatoka Kadyksu i dwa najsłynniejsze iberyjskie przylądki, miejsca wspaniałych zwycięstw brytyjskiej floty sprzed dwóch wieków:

Świętego Wincentego, gdzie w 1797 roku admirał Jervis rozgromił armadę hiszpańską, oraz Trafalgar, wślawiony wiktoria lorda Nelsona nad flotyllą napoleońską wspieraną przez Hiszpanów. Widok tych dwóch nazw natychmiast wzbudził w nim poczucie dumy, wpojone za szkolnych lat, którego nikt z jego obecnych towarzyszy broni nie potrafiłby zrozumieć.

I znów przemknęło mu przez głowę pytanie, co on tu, u diabła, robi na tym okręcie wśród zagorzałych wrogów kraju, który kiedyś tak wiele dla niego znaczył, w drodze na misję bojową przeciwko jednemu z najbardziej szanowanych oficerów amerykańskiej marynarki. Była to z pewnością najbardziej nieprawomyślna refleksja, jaka mu się nasunęła od dnia, w którym stał się bojownikiem za świętą sprawę islamu.

Szybko jednak wziął się w garść. Pomyślał o małych dzieciach Szakiry, bezdusznie zastrzelonych przez jego dawnych kolegów. Dla niego nie ma już powrotu. Za późno. Teraz mógł tylko mieć nadzieję, że jego ukochana bezpieczna i zdrowa czeka nań w Irlandii. Jeśli bowiem spotkało ją coś złego, nie zostanie mu już nic w tym życiu poza bólem, żalem, krwią i śmiercią - i sprawą, w której zwycięstwo coraz mniej wierzył.

O dwudziestej trzeciej okrążyli szerokim łukiem Wicka, jak marynarze poufale zwać przyłodek św. Wincentego, trzymając się w odległości czterdziestu mil morskich, aby ominąć od zachodu czteropasmową morską „autostradę” - strefę rozgraniczenia ruchu, jakie Międzynarodowa Organizacja Morska wprowadza w newralgicznych punktach dla zmniejszenia prawdopodobieństwa kolizji. Mogli teraz znów się przysunąć pod powierzchnię i do rana doładować akumulatory. Do celu pozostało niecałe dziewięćset mil - biorąc pod uwagę konieczność ponownego zmniejszenia prędkości już od wejścia na Zatokę Biskajską, mogli dotrzeć pod Cork w niedzielę 15 lipca wieczorem. Dla Rawiego była to dobra wiadomość, jako że spotkanie z Szakirą było umówione na poniedziałek, przy głównym meczecie na przedmieściach Dublina. Żeby zdążyć, musiał postawić stopę na Szmaragdowej Wyspie nie później niż nad ranem tego samego dnia. Miejsce lądowania dzieliło od stolicy ponad trzysta kilometrów, które musiał przebyć możliwie dyskretnie, bez zwracania na siebie uwagi i pozostawiania śladów.

Jednym z naczelných przykazań każdego terrorysty jest absolutne unikanie rozpoznania. Każdy trop, czy to fizyczny, czy w ludzkiej pamięci, musi być bezwzględnie wyeliminowany. Nikt, kto go spotkał i z jakiegoś powodu mógł zapamiętać, nie może zostać wśród żywych. Dlatego właśnie, nie tylko za swoje grzechy, musiał umrzeć Matt Barker.

Generał Raszud rozumiał tę zasadę jeszcze lepiej niż Szakira. Gdyby podczas podróży ktokolwiek próbował nawiązać z nim bliższą znajomość lub choćby zbyt natrętnie mu się przyglądał, podpisałby na siebie wyrok śmierci. Stawka była za wysoka, ryzyko zbyt

poważne. Samo przerzucenie go do Irlandii kosztowało islamską wspólnotę sto tysięcy dolarów. Żaden człowiek, choćby w najbardziej niewinnych intencjach, nie może stanąć mu na przeszkodzie.

Myślami znów pobiegł ku żonie. Zachodził w głowę, co ją skłoniło do pospiesznej ucieczki z Brockhurst. Dopóki był na morzu, nie mieli możliwości kontaktowania się. Może próbowała do niego dzwonić? Może wzywała pomocy? I tak nie mógłby nic dla niej zrobić. Kto wie, czy jankesi już jej nie zamknęli w Guantanamo...

Ta myśl zmroziła mu krew w żyłach, ale też rozwiała wszelkie wątpliwości. Jeżeli Szakirę przesłuchują teraz i dręczą w tym tropikalnym piekle, to on się już postara, żeby ten szatański admirał Morgan nigdy już tam nikogo nie posłał. A potem przyjdzie czas, by ją stamtąd jakimś sposobem wydostać.

- Kapitanie, nie da się płynąć trochę szybciej? - spytał głosem nabrzmiałym nagłą furją.

- Niestety, generale. Dwanaście węzłów to nasz limit. Musimy się uzbroić w cierpliwość. Najgorsze już za nami.

Czwartek, 12 lipca, godz. 11.00. Fort Meade

Komandor porucznik Ramshawe każdego dnia dzwonił do detektywa Segela. Obydwaj czuli narastające przygnębienie; policjant miał po dziurki w nosie szukania wiatru w polu, Jimmy niepokoił się o bezpieczeństwo swojego mentora i przyjaciela. Bez konsultacji z nim uprzedził już swoich łączników w FBI i CIA, że admirał Morgan będzie potrzebował wzmocnionej ochrony. W porozumieniu z Secret Service zwrócił się do służb brytyjskich o wzmożenie czujności na wszystkich punktach granicznych, przez które potencjalny zamachowiec może próbować wjechać do kraju. Równolegle na jego prośbę FBI przekopywało elektroniczne archiwa wszystkich lotnisk Wschodniego Wybrzeża w poszukiwaniu osoby, która w noc morderstwa z Brockhurst kupiła w ostatniej chwili drogi bilet w jedną stronę do któregośkolwiek z dużych węzłów lotniczych Europy. Do tej pory nikogo takiego nie znaleziono.

Ani Jimmy, ani specje z FBI nie wpadli na to, by wziąć pod lupę także połączenia do Dublina - po prostu dlatego, że nie jest to liczący się port. Na dwadzieścia bezpośrednich międzynarodowych połączeń z Londynu Dublin może odpowiedzieć jednym. Podobnie jest z Paryżem czy Frankfurtem. Wystarczyłby jeden telefon do Aer Lingus i wiedziano by, że niejaka Maureen Carson zapłaciła kartą sześć tysięcy dolarów za bilet na najbliższy lot do

Irlandii. Pasażerowie nie posiadający wcześniejszej rezerwacji i w dodatku podróżujący tylko w jedną stronę trafiają się bardzo rzadko i z reguły są to przypadki decyzji podjętej spontanicznie lub wręcz w panice. Nawet jeśli ktoś obrabował bank i ucieka, znalazłby czas na zagwarantowanie sobie miejsca zawczasu. Morderstwo, naturalnie, bywa mniej przewidywalne...

Tak oto Carla Martin dzięki dobrej organizacji i łutowi szczęścia ostatecznie prześliznęła się przez zbyt duże oczka zarzuconej za późno sieci. Ramshawe zdobył wiele informacji o jej poczynaniach, ale za mało niezbitych faktów, żeby doprowadzić śledztwo do końca. W jego teorii za wiele było luk i domysłów, a proste przeoczenie mniej prawdopodobnego wariantu ostatecznie ją pogrzebało.

Inna rzecz, że diagnoza Jimmy'ego nikogo specjalnie nie zainteresowała. Nikt nie brał poważnie pomysłu, że anonimowa barmanka z małego hotelu w sennej mieścinie może być współczesną Matą Hari. Owszem, wysłuchiowano go uprzejmie, zatwierdzano akcje w rodzaju tej ostatniej z rejestrami podróżnych, ale na tym się kończyło, a każdy taki niecelny strzał pogłębiał niedowierzenie.

Najbardziej drażniło go jednak to, że Carli Martin udało się tak sprawnie wykonać swoje zadanie. W kilka dni wkręciła się w łaski namierzonej osoby i wyciągnęła od niej rozkład jazdy Arnolda Morgana. Można było tylko Bogu dziękować, że Emily Gallagher nie знаła numeru pokoju, w jakim się miał zatrzymać, bo i ta informacja z pewnością wpadłaby w łapki sprytnej agentki i wtedy... wystarczyłoby, żeby jakiś pieprzony terrorysta podsunął im zatrute śniadanko do łóżka.

Bieda w tym, że jego rekonstrukcja wydarzeń i płynące z niej wnioski tylko jemu układały się w spójną całość. Podczas rozmów telefonicznych wyraźnie czuł, jak w gościu po drugiej stronie drutu stopniowo narasta znudzenie, i słyszał jego myśli: „Chłopie, nie nudź już, admirałowi nic nie będzie”. On jednak wiedział lepiej, a przynajmniej był o tym przekonany. Wszedł na stronę linii lotniczych i sprawdził połączenia, z jakich mogli skorzystać Morganowie - bo Arnolda już nie śmiał o to pytać. Był pewien, że rezerwacji dokonał ktoś z kancelarii Białego Domu i z pewnością wybrał przewoźnika krajowego. Uznał, że najprawdopodobniejszy jest lot American Airlines o 21.15, z lądowaniem na Heathrow o 8:30. Podróżując pierwszą klasą, szybko przejdą odprawę i jakiś kwadrans po dziesiątej powinni już dojechać do „Ritza”. I tyle samo - Jimmy był pewien - wiedzą już arabscy terroryści.

Wymusił już na Secret Service zapewnienie, że ambasada podstawia na lotnisko samochód kuloodporny. Domagał się zwiększenia liczby agentów, wyprosił w FBI, żeby

powiadomili o możliwości zamachu Scotland Yard, i nakłonił kumpla z CIA, żeby przekazał to samo brytyjskiemu kontrwywiadowi - ot, tak na wszelki wypadek, żeby wszyscy trochę się obudzili.

Niepokój jednak nie zniknął. Jimmy potrzebował czegoś ekstra - osobistego ochroniarza dla Arnolda, doświadczonego specy, który potraktuje sprawę równie poważnie jak on, nie zważając na brak dowodów. Dowodami niech się martwi prokurator w sądzie, uważał. Tu chodzi o życie, nie zgodność z kodeksem. Niestety, sam nikogo takiego nie znał - a w każdym razie nikogo, kto mógłby rzucić wszystko i niemal z dnia na dzień pojechać za swym podopiecznym na miesiąc do Anglii i Szkocji. Ludzie wokoło byli strasznie zapracowani, a nawet wojsku brakowało odpowiedniego personelu; wszyscy uganiaли się za cholerną partyzantką w Iraku czy Afganistanie.

Czwartek, 12 lipca, godz. 23.00. Hrabstwo Tipperary, Irlandia

Szakira Raszud wróciła do Cashel. Zajrzała jeszcze do baru i wypiła z Dennisem pożegnalną kawę po irlandzku, ale przed północą była już w łóżku. Rozsunęła jednak przedtem zasłony, by popatrzeć na oświetloną sylwetkę ruin na wzgórzu, które zaczynała już traktować jak dobrego znajomego.

Nie spała dobrze. Budziła się co dwie godziny, jakby wyczuwała zagrożenie. Wędkarski nóż starym zwyczajem trzymała pod poduszką; kiedy wierząc się w pościeli, przypadkiem trafiała na niego ręką, dotyk skórzanej rękojeści trochę ją uspokajał. W chwilach wybudzenia spoglądała za okno, na skałę Cashel, i rozmyślała o jej długiej historii, królach i biskupach, rycerzach i świętych, normańskich najeźdźcach i rzymskich legionistach, którzy i tu pozostawili swoje ślady. Te spokojne rozważania na jakiś czas odrywały jej myśli od własnego losu, nie mniej burzliwego od dawnych zmagania. Wkrótce jednak znów widziała siebie na trawiastym szczycie klifu Mizen Head i wspominała upstrzoną białymi plamkami grzywaczy ciemnoniebieską powierzchnię Atlantyku. Tam, gdzieś daleko, kryła się w głębinie łódź podwodna, którą jej Rawi wracał do niej, do domu.

Do domu! Czy kiedykolwiek dane im będzie żyć jak normalni ludzie? Nawet najbiedniejszy z jej rodaków, synów narodu bez ojczyzny, miał jakiś własny kąt, choćby nędzny i brudny. Ona i Rawi nie mieli nic. Przez parę lat wydawało się jej, że mają swoje miejsce na świecie, przystań, gdzie liczą się tylko oni i są wzajemnie dla siebie. A potem znaleźli ich - jak sądziła - wrogowie z Mosadu i z własnego domu zostały tylko gruzy i krew.

Czuła, że tak już będzie zawsze. Ktoś będzie usiłował ich zabić, oni będą się ukrywać,

wymykać, starać się przetrwać, kochać i nienawidzić. Robić wszystko co w ich mocy, żeby zniszczyć Zachód i to, co reprezentuje. Szczerze wierzyła, że to święta sprawa i święta wojna, miła Allahowi i wierna słowom Proroka. Czy jednak Allah otoczy ich taką samą opieką za życia jak po chwalebnej śmierci? Tego nie była taka pewna.

Raz jeszcze zapatrzyła się na ruiny średniowiecznej katedry, zastanawiając się, jak wielu ludzi przez te wszystkie wieki zwracało się do świętego Patryka, patrona Irlandii, o wsparcie i natchnienie w trudnych chwilach, jak ona z Rawim do swego Boga? Czy wiara tych niezliczonych rzesz była mniej silna i mniej warta niż jej? Odpowiedzi nie znalazła, ale gorąco żałowała, że już nazajutrz musi opuścić to piękne miejsce, w którym mogłaby na zawsze się schować z ukochanym w cieniu wyniosłej skały Cashel.

Wyjechać jednak było trzeba. O dziewiątej miał po nią podjechać kierowca, z którym wróci do Dublinu na spotkanie z Rawim. Może on się zjawi wcześniej, niż zakładali? Na wszelki wypadek wołała być ze swoją komórką jak najbliżej, żeby od razu móc się do niego przytulić. Była pewna, że długo w Irlandii nie zabawią, bo on zechce natychmiast jechać do Anglii. A potem dni już się potoczą w zwykłym nerwowym rytmie, jak przed każdą większą akcją, dopóki kula Rawiego nie zabije człowieka, którego widziała tylko na zdjęciu w trzech gazetowych wycinkach... wieki temu... w Gazie.

Przypomniała się jej nagle Emily. Jak też ona sobie tam bez niej radzi z tym dzikusiem Charliem? Ech, żeby nie ten cholerny, durny Matt Barker! Żal jej było opuszczać pogodną, spokojną Wirginię i swoją starszą przyjaciółkę, z którą zdążyła się bardzo zżyć jak na tak krótką znajomość. Ileż na świecie jest takich miłych, przyjaznych miejsc! Ale nie dla niej i nie dla Rawiego. Dla nich świat jest polem bitwy....

Usnęła i spała już bez przerwy do rana. Przed ósmą zamówiła do pokoju lekkie śniadanie, spakowała rzeczy i omiotła pożegnaniem spojrzeniem skałę Cashel. Samochód już czekał pod hotelem i wkrótce byli na szosie. Przez całą drogę siedziała w milczeniu, kontemplując napęczniały bujną zielenią irlandzki krajobraz. Starła się nie zadawać sobie pytania, czy jeszcze kiedyś tu powróci.

Czwartek, 12 lipca, godzina 23.00. Atlantyk, 45°00'N/010°00'W

Irański Kilo sunął powoli przez czarny, pusty ocean na peryskopowej z wysuniętymi chrapami. Żegluga od samego Gibraltaru przebiegała bez przygód; ani razu nie zaobserwowali żadnego okrętu, a jeśli nawet ktoś wiedział o ich obecności, to nie dał im tego odczuć. Znajdowali się już na wysokości Bordeaux, poza obrębem Zatoki Biskajskiej, trzysta

osiemdziesiąt mil na południe od Mizen Head. Od dwunastu godzin - minęli wtedy przylądek Finisterre, północno-zachodni róg Półwyspu Iberyjskiego - kapitan Abad płynął z prędkością tylko siedmiu węzłów, przede wszystkim dla oszczędzania energii, poza tym wolał nie ryzykować wykrycia. Na tych wodach należało się już liczyć z obecnością jednostek Royal Navy, jak również francuskich, hiszpańskich i amerykańskich. Podejście pod brzegi Irlandii musiało się odbyć w największej tajemnicy, dlatego ostatnie sto mil zamierzał pokonać jeszcze ostrożniej, zwalniając do pięciu węzłów. Doładowywanie akumulatorów też się teraz odbywało z doskoku: mechanicy uruchamiali prądnice najwyżej na godzinę i w dwugodzinnych odstępach. Hasłem dnia była cisza, cisza i jeszcze raz cisza - tu już żarty się skończyły i trzeba było zachować najwyższą czujność.

Generał Raszud wciąż nie mógł się otrząsnąć z minorowego nastroju. Był pewien, że gdyby Szakira została aresztowana albo przytrafiłoby się jej coś złego, szefostwo Hamasu szybko by się o tym dowiedziało. Za każdym razem, kiedy odbierano kolejny pakiet danych, bezwiednie zaciskał zęby, bojąc się złych wieści. Oczywiście nie nadchodziły ani złe, ani dobre - o czym z góry wiedział, jako że przy tak tajnych operacjach nie ma co się spodziewać bieżących informacji; niemniej zawsze odczuwał ulgę. Wmawiał sobie, że brak wiadomości to dobra wiadomość; że Szakira na pewno dotarła do Irlandii i za trzydzieści godzin się spotkają. Musiał tylko się dostać do Dublina.

Mimo panującego na pokładzie napięcia - a może właśnie dzięki niemu - Rawi zdążył się zaprzyjaźnić z dowódcą okrętu. Mohammed Abad miał trzydzieści cztery lata, pochodził z Szirazu, dawnej stolicy Iranu położonej na południe od gór Zagros, i był fanatycznym islamistą. Podwodniackie szlify zaczął zdobywać przed dziesięciu laty, a obecnie uważano go za najlepszego oficera w tej służbie i przepowiadano mu szybki awans do stopnia admirałskiego. Należał do grupy fachowców, która przeszła wielomiesięczne gruntowne przeszkolenie teoretyczne i praktyczne w Rosji. Rawi nie znał go wcześniej, choć współpracował już z irańską marynarką, ale nabrał dla niego respektu, zwłaszcza po szarpiącym nerwy spotkaniu z amerykańskim okrętem.

Abad też miał młodszą od siebie żonę, która urodą prawie dorównywała Szakirze, a i sam był przystojnym, postawnym mężczyzną. Mówił zazwyczaj cicho, ale tak, że słuchali go wszyscy. Miał największe podwodniackie doświadczenie w całej flocie i nie było lepszego odeń eksperta w dziedzinie nawigacji, hydrologii, elektroniki, mechaniki i uzbrojenia. Załoga przywykła już, że do Starego można się zwrócić z każdym problemem technicznym, bo na wszystkim zna się lepiej od nich.

Takie jest nowe pokolenie wojowników dżihadu. Jak dawniej łączy ich niezachwiane

przekonanie, że ich kraje mają pełne prawo do niezależności wobec Zachodu i gotowość walki o nią, ale pod względem zawodowych kompetencji Amerykanie czy Brytyjczycy już nie mają nad nimi tak wyraźnej przewagi jak kiedyś. Jeszcze ćwierć wieku temu takich ludzi po prostu nie było, ale pustynne narody przez ten czas zmadrzały i zainwestowały miliardy w szkolenie militarnej elity i teraz na Bliskim Wschodzie w żadnym rodzaju wojsk nie brakuje młodych i zdolnych dowódców. Jednym z nich był właśnie kapitan Abad.

Wybiła północ. Rawi i Mohammed siedzieli w centrali manewrowej, popijając słodką herbatę. Podwodniak dotąd nawet nie próbował wypytywać generała o jego operację; nie miał wątpliwości, że chodzi o sprawę wielkiej wagi - o czym świadczył już sam sposób jego przerzucenia do Anglii. Teraz jednak, gdy zawarli bliższą znajomość, a ich długa wspólna podróż dobiegała kresu, zaryzykował delikatny sondaż.

- Czy będzie pan działał sam, generale?

- Tak. Mam tylko jedno zadanie, przy którym inni niewiele mogą mi pomóc. To mi zresztą odpowiada. Nie lubię tłoku. - Rawi się uśmiechnął. - Jeden człowiek mniej rzuca się w oczy.

- A co potem? Czy mam pana stąd zabrać? Na razie nie przyszły żadne rozkazy, ale też nikt nie kazał mi wracać do domu.

- Metody ewakuacji jeszcze nie ustaliliśmy. Zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

- W każdym razie będę w pobliżu, gdyby mnie pan potrzebował. A myślę, że tak to wyjdzie... Jeszcze nigdy nie byłem na tak zaawansowanym etapie misji bez dalszych poleceń. Czuję przez skórę, że każą mi na pana czekać.

- Będę ci wdzięczny, Mohammedzie. Cenię twoją fachowość.

- Dajcie mi trochę głębokiej wody i dobrze naładowane akumulatory, a sprawię, że znikniemy jak duchy! - Kapitan się roześmiał. - Będę zaszczycony, jeśli przypadnie mi odwiedzć pana do domu po udanej akcji.

- A ja naprawdę lepiej się będę czuł przez te trudne dni, wiedząc, że mam w pobliżu takiego sojusznika.

- Wszyscy mocno w pana wierzymy, generale. Niech pan spokojnie robi swoje, a ja tu będę gotów na każdy sygnał.

Raszud wstał, przeciągnął się i klepnął Mohammeda w ramię.

- Dobry z ciebie przyjaciel, kapitanie. Przyjemnie się z tobą pracuje. No, na mnie pora, trzeba pospać, póki można. Oby Allah zesłał nam dobrą pogodę u irlandzkiego brzegu. Dobranoc.

Okręt włókł się kursem północnym na peryskopowej z niezmienną prędkością siedmiu

węzłów, w nieregularnych odstępach wysuwając na godzinę chrapy dla uzupełnienia energii w akumulatorach. Dowódca wytyczył kurs jak najdalej od gardzieli kanału La Manche, którą wyznaczają francuska wyspa Ouessant i czubek Kornwalii, przylądek Land's End, ale tak, by nie nadkładać zarazem zbyt wiele drogi. Szedł prosto wzdłuż południka 10°W i dopiero piętnaście mil przed Mizen Head zamierzał skrócić na wschodni północny wschód ku punktowi docelowemu, posuwając się równoległe do linii brzegowej. W ten sposób omijał Brytanię o ponad sto pięćdziesiąt mil, co nie znaczy, że czuł się bezpieczny. Miał przed sobą nie więcej jak dwadzieścia godzin względnego spokoju, choć i tu mógł się natknąć na podwodny patrol. Wiedział, że potem prawdopodobieństwo to znacznie wzrośnie, a ponadto do gry wejdzie jeszcze SOSUS⁷. Amerykanie dysponują takimi urządzeniami we wszystkich strategicznie ważnych rejonach, a sieć wokół Wysp Brytyjskich należy do najgęstszych; to pozostałość z czasów zimnej wojny, kiedy chodziło o jak najściślejszą kontrolę akwenów, przez które mogły się wydostawać na Atlantyk radzieckie okręty atomowe z baz Flot Bałtyckiej i Północnej.

Mohammed Abad doskonale zdawał sobie sprawę, że spotkanie z amerykańskim okrętem myśliwskim nie przeszło bez echa i że przeciwnicy wiedzą o jego wyjściu na Atlantyk i niewykluczone, że biorą pod uwagę kierunek północnoeuropejski. Nie dawała mu też spokoju myśl, że na tych pustych, głębokich wodach niebezpieczeństwo jest o tyle większe, iż znacznie łatwiej będzie im się zdecydować na działanie agresywne. Kapitan świadomie unikał zwrotu lepiej oddającego sytuację: że po prostu bez skrupułów pošłą go na dno.

Tym bardziej należało więc unikać wykrzyčia. Abad polecił już przejście na tryb maksymalnego oszczędzania energii. Do rana pozostało niewiele godzin, potem za dnia planował tylko raz zaryzykować godzinne doładowanie, a miał przed sobą ostatnią noc na otwartych wodach, kiedy jeszcze można będzie wysuwać chrapy. Z soboty na niedzielę znajdą się już u wybrzeża Irlandii; tam wyłączona będzie nawet kuchnia, a we wszystkich pomieszczeniach pozostanie tylko oświetlenie awaryjne. Po dojściu pod Crookhaven - co według obliczeń kapitana miało nastąpić w niedzielę około osiemnastej - i nocnym lądowaniu generała Raszuda musi im wystarczyć sił, by odpelznąć w ten sam sposób co najmniej sto mil z powrotem na południowy zachód, zanim znów będzie można uruchomić prądnice.

*

⁷ Sound Surveillance System - system nasłuchu akustycznego. Sieć hydrofonów, niezwykle czułych podwodnych mikrofonów rozmieszczonych na dnie oceanu i połączonych z placówkami brzegowymi, które zbierają, analizują i przekazują dane do ośrodków operacyjnych i wywiadowczych.

Tak minęły piątek i sobota, a niedzielny poranek zastał „901” już na wodach irlandzkich. Szli na głębokości czterdziestu pięciu metrów, czujnie pilnując rysowanej przez echosondę pnącej się z wolna w górę linii dna. O szóstej przecięli izobatę 100 metrów, a o siódmej trzydzieści minęli o pięć mil na lewym trawersie skalistą wysepkę Fastnet Rock. Głębokości tam dość szybko maleją i kapitan Abad musiał podejść na peryskopową, co dało mu okazję przez moment zerknąć na jedną z najświetniejszych latarni morskich, od stu sześćdziesięciu lat bez mała ostrzegającą żeglarzy przed skalnym niebezpieczeństwem, a obecnie, w dobie wszechobecnego GPS, zredukowaną niemal do roli muzealnego zabytku - i półmetka cenionych w świecie jachtingu morderczych regat ze startem i metą w Plymouth. Dalej już do celu trasa wiodła przez stosunkowo płytki akwen przybrzeżny ze skalistym dnem.

W sezonie letnim malowniczo położony porcik Crookhaven przyciąga wiele jachtów i można się spodziewać, że do późnego wieczoru ktoś zawsze kręci się w pobliżu. Już na etapie wstępnego planowania Rawi ustalił z kierownictwem Hamasu, że lądowanie musi się odbyć pół godziny przed świtem nautycznym, który na tej szerokości geograficznej i o tej porze roku przypada mniej więcej przed trzecią rano (i niecałe dwie godziny przed wschodem słońca). Noc jest wtedy najczarniejsza, ostatni pokładowi balowicze z objęć Bachusa przechodzą w Morfeuszowe, a miejscowi rybacy dopiero budzą się na poranny połów. Okręt nie mógł podejść bliżej niż na milę od Streek Head, wschodniego cypla zatoczki, gdzie głębokość sięga jeszcze trzydziestu kilku metrów. Stamtąd generał Raszud miał już sam dostać się na ląd.

*

W niedzielny wieczór o dziewiętnastej do celu brakowało już tylko kilku mil. Irański Kilo ciągnął na minimalnych obrotach, tyle tylko, żeby pokonać przeciwny prąd pływowy i posuwać się naprzód z prędkością jednego węzła. Rawi jadł ostatnią kolację z kapitanem Abadem i porucznikiem Alaamem; na tę okazję dowódca rozluźnił nieco żelazny reżim oszczędnościowy i pozwolił kucharzowi uwarzyć *kebab-e-machsus*, tradycyjną potrawę z płatków pieczonej wołowej połówicy podawanej z białym ryżem *polo* i chlebem *nun*. Załoga musiała się jednak zadowolić suchym prowiantem i wodą. Po posiłku i pogawędce Rawi zniknął w koi, by się jeszcze wyspać przed nocnym desantem.

Po pierwszej mrocznej i cichej czeluście okrętu ożywił nagły ruch. Grupa marynarzy przygotowywała pneumatyczną łódź ze sztywnym drewnianym dnem i przyczepnym silnikiem, a dwaj mechanicy szykowali mały przenośny żurawik do wyciągnięcia jej na pokład. Raszud też był gotowy do drogi; przebrał się w cywilne ciuchy - ciemnoszare spodnie, czarną trykotową koszulkę i brązową zamszą wiatrówkę. W skórzanej podręcznej

torbie miał wszystkie dokumenty, karty kredytowe, po kilka tysięcy funtów i euro w gotówce, ciepły sweter z szetlandzkiej wełny i cienkie rękawiczki z nubuku. Jak zwykle z tyłu za paskiem trzymał swój nóż bojowy. Innej broni nie zabierał.

Za dwadzieścia trzecia Mohammed Abad dał rozkaz wynurzenia. Świsnęło tłoczone do zbiorników balastowych powietrze, okręt zadrżał i ociekając spienioną wodą jak lewiatan z wolna wysunął się na powierzchnię. Ośmiu ludzi błyskawicznie wyskoczyło na zewnątrz i wzięło się do mocowania żurawika; po kilku minutach czarny kształt zodiaca, z jeszcze pustymi komorami powietrznymi, zaczął się wynurzać z luku. Kiedy znalazła się na pokładzie, podłączono wąż od kompresora i błyskawicznie napompowano; w tym czasie kolejna grupa wytaszczyła już na górę silnik, czarną yamahę o mocy pięćdziesięciu koni mechanicznych. Dwójka motorzystów sprawnie podłączyła przewód paliwowy i kable elektryczne i łódź była gotowa do opuszczenia na wodę. Na obłej części pokładu rozpięto siatkę, po której sternik zszedł do łodzi i uruchomił silnik na jałowym biegu, po czym wrócił na pokład.

Dopiero gdy wszystko było gotowe, generał Raszud wyszedł na pokład, odprowadzany przez Mohammeda Abada. Uścisnęli sobie dłonie.

- Niech cię Allah prowadzi!

- I was niech ma w opiece!

Rawi pochylił się, uchwycił siatki i sprawnie zsunął się do łodzi, wybrał i zwinął rzucony faleń, machnął jeszcze ręką na pożegnanie zwijającym siatkę marynarzom i zgrabnym łukiem odbił od burty „901”. Zanim oddalił się o kilkadziesiąt metrów, okręt ruszył już naprzód i powoli zaczął się zanurzać.

Rozejrzał się wokół. Przed sobą miał czerniejącą na horyzoncie wąską kreskę zachodniego cypla zatoki; światło latarni na Streek Head błyskało trzy rumby po prawej. Noc była chłodna i Rawi pożałował, że schował sweter do torby, zamiast go włożyć, nie chciał już jednak się przebierać, bo bryzgi fal rozbijających się o burtę niosły się z wiatrem do łodzi. Korciło go, by skrócić podróż, rozpędzając zodiaca do maksymalnej prędkości dwudziestu węzłów, oznaczałoby to jednak sporo hałasu i ryzyko zwrócenia na siebie uwagi, ciągnął więc na niewielkich obrotach z silnikiem mruczącym nie głośniejszy niż zadowolony ryś, z wolna zbliżając się do wejścia na spokojne wody zatoki.

Crookhaven jest dobrym naturalnym portem, osłoniętym i głębokim. W XVIII wieku zawijały tu regularnie statki pocztowe z Ameryki, a nawet klipry z Dalekiego Wschodu. Słyszy się też pogłoski, że podczas II wojny światowej zaglądały tu niemieckie u-booty, korzystając z możliwości uzupełnienia zapasów i paliwa - na tyle silna była w tych stronach

wrogość wobec Anglii. Nikt się do niej (a tym bardziej do kolaboracji z Kriegsmarine) oficjalnie nie przyznaje, ale słuchy chodzą różne i na wszelki wypadek lepiej nie próbować nucić w tamtejszych pubach znanej piosenki *It's a Long Way To Tipperary*, może to wywołać nieprzewidziane reakcje bywalców, z których najłagodniejszą będzie uderzenie pięścią w stół. Tak jest od początku XX wieku, kiedy stacjonowały tam brytyjskie siły okupacyjne, znieawidzeni Black and Tans - czarno-beżowi - zwani tak od barw mundurów. Z Crookhaven jest tylko ponad pięćdziesiąt kilometrów do miasteczka Clonakilty, gdzie urodził się Wielki Gościu, Michael Collins, głównodowodzący Armii Wolnej Irlandii, patriotycznej partyzantki, która w końcu przepędziła Anglików na zawsze.

Collins miał wiele wspólnego z generałem Raszudem. Obaj nauczyli swoje pełne zapалу, acz niezdyscyplinowane oddziały skutecznie walczyć z przeważającymi siłami wroga, obaj też mieli na koncie spektakularne akcje bojowe. Heroizm ludzi Collinsa, którzy podczas powstania wielkanocnego w Dublinie w 1916 roku szli na angielskie działa tylko z pistoletami, jest niezatartą częścią irlandzkiej narodowej sagi, tak samo sławioną jak szturm Briana Boru na skałę Cashel. W rocznicę śmierci bohatera do dzisiaj odprawia się w Cork uroczyste msze w jego intencji. Pisano o nim książki, kręcono filmy, ale przede wszystkim żyje on w pieśniach.

*Byli chłopcy wśród nas i z Londynu,
Niejeden był z New Yorku gość,
Lecz czarno-beżowym sukinsynom
Ci z Cork najbardziej dali w kość,*

Dumnie głoszą słowa jednej z najbardziej znanych ballad.

Jeszcze dzisiaj można na wzmiankę o powstaniu wielkanocnym usłyszeć od najzupełniej normalnego młodego Irlandczyka komentarz w rodzaju: „Ach, tak. Nasi bardzo dzielnie się bili tego dnia”, jakby mówił o wydarzeniach znanych mu z autopsji.

Burzliwa historia tego skalistego, poszarpanego wybrzeża była więc dobrym tłem dla potajemnego lądowania współczesnego arcyterrorysty, człowieka o sercu przepełnionym nienawiścią do wroga swojego ludu. Wielki Gościu z uznaniem poklepałby generała Raszuda po ramieniu.

Dochodziło wpół do czwartej, kiedy zodiak Rawiego okrążył cypel Streak Head i wpłynął na zatokę. Na wschodzie jutrzienka powoli rozwijała szaroniebieskoróżową płachtę brzasku, a reszta nieba z szklistej czerni przechodziła w intensywny granat. Świt był

niedaleko, ale tu, między urwistymi brzegami, noc jeszcze broniła się skutecznie przed nieubłaganie nadciągającą jasnością. Crookhaven wrzyna się w ląd na ponad półtora kilometra. Daleko przed sobą Rawi widział już sylwetki zacumowanych i kotwiczących przy brzegu jachtów; było ich więcej, niż by sobie życzył. Naliczył dwanaście, na żadnym jednak nie paliły się światła. Kiedy podpłynął bliżej, przekonał się, że poza nieodłącznie kojarzącym się z marinami na całym świecie cichym pobrzękiwaniem stalowych fałów o maszty nie dobiega z nich żaden inny dźwięk. Zmniejszył obroty silnika niemal do jałowych i z ledwo słyszalnym warkotem sunął powoli dalej, przyglądając się bacznie mijanym jednostkom. Nikogo nie widział ani na pokładach, ani na pirsach, ani też na samym brzegu. Irlandia nie słynie z rannych ptaszków; Crookhaven to zupełnie inny świat w porównaniu z podobnymi porcikami w USA, gdzie ma się wrażenie, że wraz z pierwszym blaskiem świtu pół przyległego miasteczka jest już na nogach, ładując i wyładowując skrzynki, ważąc połów, cumując i odcumowując, handlując, pijąc kawę i przekomarzając się wśród pisku mew, warkotu maszyn, śmiechu i gwaru.

Zachodnie Cork jest miejscem wymarzone dla wszelkiej maści czarnych charakterów, którym zależy na sekretnym przedostaniu się do Europy. Rawi minął przystań, kierując się ku niewielkiej plaży na skraju miasteczka. Wiedział, że przy tak urwistych brzegach dno zatoki musi podnosić się stromo, pozwalając na dobiecie bezpośrednio do brzegu. Nie pomylił się; kiedy po kilku minutach wyłączył silnik, by rozpędem dopłynąć do plaży, drewniane dno wkrótce zazgrzytało o kamyki, a dziób był już na suchym lądzie. Wskoczył na brzeg i wciągnął łódź za faleń nieco dalej; zabrał torbę, szybko zrzucił ubranie i w samych bokserkach wszedł do wody, ściągając zodiaka z powrotem na fale. Dygocząc z zimna, obrócił go dziobem ku morzu, sięgnął do startera i uruchomił silnik. Przechylił się głębiej i chwycił leżący na pokładzie elektroniczny budzik połączony przewodami z niewielkim ładunkiem wybuchowym, który osobiście założył jeszcze poprzedniego dnia. Ustawił zegar na sześćdziesiąt sekund, nacisnął guzik na obudowie, po czym lekko otworzył przepustnicę i pchnął łódź naprzód. Zodiak ruszył przed siebie z prędkością ośmiu węzłów, skostniały Rawi wyprysnął zaś z wody i pospiesznie narzucił odzież. Zanim jednak zdążył zapiąć suwak wiatrówki, znad zatoki dobiegł stłumiony huk. Ładunek eksplodował, wyrывая ponadmetrowej średnicy dziurę w dnie i tnąc w strzępy gumowy kadłub, który pozbawiony pływalności i obciążony silnikiem błyskawicznie zniknął pod powierzchnią.

Rawi spojrział na zegarek. Wskazówki pokazywały dopiero wpół do piątej. Wokoło wciąż nie było żywej duszy, od mariny też nie słyszał oznak życia. Doskonale, pomyślał, wylądowałem w Irlandii i nikt o tym nie wie...

Mylił się.

Na dziobie szesnastometrowego słupa *Yonder* leżał sobie jego kapitan, trzydziestoosmioletni Bill Stannard. Przyłynął tu przez Atlantyk z Rockport w stanie Maine z dwoma tylko załogantami i to była jego zielona noc - za dwa dni miał odebrać z lotniska właściciela i jego gości, co się wiązało z nastaniem epoki przymusowej abstynencji. Po długim i dobrze zakrapianym wieczorze w pobliskiej „Crookhaven Inn” postanowił przespać się pod gwiazdami, a o świtanu zbudził go dotkliwy chłód i pierwsze symptomy solidnego kaca.

Gdy dobrze przetarł oczy i wróciła mu jako taka koordynacja myśli, zorientował się, że ze snu wyrwało go coś jeszcze; nie tyle odgłos, ile zmiana wibracji powietrza. Bill nie tak dawno służył w US Navy na okrętach podwodnych jako podoficer i słuch miał wyczulony na wszelkie odstępstwa od normalnego dźwiękowego tła, na które składa się rytm zwykłej pracy maszyn i obsługujących je ludzi. Takim odchyleniem od normy było delikatne pyk-pyk-pyk przyczepnego silnika łodzi Rawiego Raszuda. To bardziej z jego powodu niż wskutek kłuszącego zimna i pulsujących skroni otworzył oczy i bezwiednie wyteżył zmysły. Chwilę potrwało, zanim w pełni doszedł do przytomności, zdążył jednak ujrzeć czarny kadłub mijającej go wolno motorówki. Niebo było już na tyle jasne, że ze zdziwieniem zauważył, iż siedzący przy sterze postawny mężczyzna ma na sobie zamszową wiatrówkę. Zamsz pasuje do londyńskiego Knightsbridge, dublińskiej Grafion Street czy którejs z marin Nowego Jorku, gdzie jachty częściej służą do urządzania party niż do pływania; tu, na wybrzeżu, żeglarz to żeglarz, odziewa się praktycznie w nieprzemakalne kurtki, a nie takie fiu-bździum.

Bill był zaciekawiony, ale czuł się tak okropnie, że zamknął oczy i znów przyłożył głowę do desek pokładu, niepewny, czy ma dość siły, by wstać, zwlec się do kabiny, zrobić kawy i jak człowiek walnąć się na ciepłą koję. Uznał, że nie - i właśnie dlatego Rawiemu się wydawało, że całe Crookhaven śpi i nikt nie zauważył jego przybycia.

Tymczasem naczelny terrorysta Hamasu z torbą przewieszoną przez ramię maszerował już rażno w stronę miasteczka, kierując się ku drodze łączącej je z główną szosą prowadzącą wzdłuż brzegu do Goleen, Schull i Ballydehob nad Zatoką Grzmiącej Wody, a w końcu do Skibbereen. Wraz z kolegami w Gazie przyjrzeni się tym okolicom dokładnie na stronie internetowej Googlemaps, a w wyszukiwarce bez trudu znaleźli informacje o tutejszej komunikacji. Ustalili wówczas, że do odległego o dwadzieścia dwa kilometry Skibbereen musi dotrzeć pieszo, bo dopiero w tej większej miejscowości będzie mógł wsiąść do autobusu, nie stercząc zbyt długo - samotny i dobrze widoczny - na którymś z wiejskich przystanków linii ze znacznie bliższego Schull, skąd były tylko dwa połączenia na dobę.

Ze Skibbereen Rawi zamierzał dojechać do Waterford, przesiadając się kilkakrotnie z autobusu do pociągu i na odwrót. Nie bał się długich marszów; dwadzieścia parę kilometrów był w stanie pokonać w niespełna cztery godziny. Kiedy jednak spojrzął na długą wstęgę asfaltu wspinającą się na szczyt wysokiego klifu, z którego przed paroma dniami Szakira kontemlowała okolicę, trochę odebrało mu to pewności siebie, mimo że przez te wszystkie lata starał się nie gubić świetnej formy nabytej w SAS.

Nie było się co zastanawiać. Ruszył dziarsko naprzód drogą wciąż pustą, mimo że dzień był już jasny. Miasteczko jeszcze spało, kiedy dotarł na szczyt, sprawdził drogowskaz i pomaszerował w stronę Goleen, od czasu do czasu spoglądając w prawo, na piękny, bezkresny morski pejzaż. Gdzieś tam, pod obsypaną białymi plamkami grzywaczy ciemnoniebieską powierzchnią Atlantyku sunął - nie szybciej od niego - irański okręt. Rawi zatęsknił nagle do tych przyjemnych pogaduszek przy śniadaniu z kapitanem i jego nawigatorem, do ciepła, aromatu kawy i słodkich bułeczek. Nie miał przy sobie nawet butelki wody, a na razie musiał unikać sklepów, barów i w ogóle wszelkich kontaktów z miejscowymi. W takich wiejskich stronach każdy obcy rzuca się w oczy jak nowy kołek w starym płocie; ludzie go dostrzegają i zapamiętują - a to w katechizmie terrorysty jest grzechem głównym.

Topografia okolicy trochę go zaskoczyła urozmaiceniem form. Krajobraz falował wzgórzami i dolinami, droga wiła się jak zdenerwowany wąż, a za kolejnym z ukrytych za drzewami niezliczonych zakrętów mogła równie dobrze nagle opaść w dół, wspiąć się na jeszcze jeden pagórek lub niemal zawrócić, wciskając się między drugi i trzeci. Nie spodziewał się też zastać w nowoczesnym europejskim kraju tak dużych połąci ziemi bez żadnych oznak świadczących o tym, że gdzieś tam jest XXI wiek. Poza asfaltową szosą nie było tu nic nowoczesnego i Rawi czuł się trochę jak w innej epoce, maszerując tak w swoim regularnym wojskowym tempie sześciu kilometrów na godzinę, takim samym, w jakim ciągnęła na Rosję napoleońska piechota.

W hrabstwie Cork istnieje niepisany kodeks transportowy. Przy bardzo rzadko utkanej sieci kolejowej, skąpo wydzielanych połączeniach autobusowych i niewielkiej liczbie prywatnych samochodów od stu lat weszło w zwyczaj, że kierowcy na widok pieszego uprzejmie się zatrzymują, proponując podwiezienie do najbliższej miejscowości. Mieszczuchów nieodmiennie bawi widok farmerów pozdrawiających przejeżdżające auta uśmiechniętym „Dzień dobry!” Generał Raszud ten miły obyczaj poznał dopiero o szóstej, kiedy stary ciężarowy ford prowadzony przez Jerry’ego O’Connella i załadowany czterema wielkimi kadziami mleka wyskoczył z grzechotem zza zakrętu i omal go nie rozjechał. Jerry z

całych sił wcisnął hamulec, opony zadymiły na asfalcie, wozem lekko zarzuciło, ale nikomu nic się nie stało.

Pięćdziesięcikilkuletni Jerry był z dziada pradziada rolnikiem, w dziewiątym pokoleniu właścicielem farmy hodowlanej na środku półwyspu Mizen. Trudno to nazwać idealnym terenem pasterskim, ale tu i ówdzie trafiają się bujne łąki, karmione częstym deszczem i słońcem, a nie znające śniegu i mrozu. Czegóż więcej trzeba, by utrzymać dobre stado krów lub owiec?

Wszyscy tutejsi gospodarze są katolikami i mają sporo dzieci, na ogół nie mniej niż czworo. Jerry miał sześcioro rodzeństwa, a jego młodsza o kilka lat żona powiła mu pięcioro potomstwa. Żeby całą tę gromadkę nakarmić, dzień w dzień przez całe swoje życie jeździł z porannym udojem do zlewni w Goleen, skąd pośrednik zabierał mleko do dużej przetwórni. Każdego ranka wyładowywał swoje cztery kadzie, zabierał puste, czekające tam nań od poprzedniego dnia. I zasuwał z powrotem na farmę. Czasu na dłuższe postoje nie było.

Cudem zażegnany wypadek wstrząsnął poczciwym rolnikiem do szpiku kości. Wyłączył silnik i wyskoczył z szoferki, stając oko w oko z nie mniej wytrąconym z równowagi Rawim.

- Matko Boska, panie! - wykrzyknął. - O mało żem pana nie potracił, a to byłaby straszna rzecz! Mogę pana gdzieś podrzucić? Bo autobusu nie zobaczysz pan tu nigdzie wcześniej jak za trzy godziny. A do miasta jeszcze sakramencki kawał drogi.

- Nic się nie stało - odrzekł Raszud, automatycznie przybierając pełną uprzejmej wyższości postawę brytyjskiego oficera. - To moja wina, szedłem pewnie środkiem szosy.

- Tak czy siak nieładnie byłoby rozjechać takiego dżentelmena. Ja tylko staram się wynagrodzić panu nerwy.

Przez chwilę rolnik i dżentelmen wpatrywali się w siebie w milczeniu, aż w końcu ten pierwszy wyciągnął rękę, mówiąc:

- Jerry O'Connell, do usług, sir.

- Rupert Shefford. - Rawi uściśnął podaną dłoń. - I dzięki za ofertę, z przyjemnością skorzystam.

- Dokąd pan idzie?

- Do Skibbereen.

- No, tak daleko to ja nie jadę, ale zabiorę pana do Schull. O ósmej odchodzi stamtąd autobus, a jakie tam widoki! Mój dziadek zawsze powtarzał, że piękniejszego nie znajdziesz w całej Europie.

- Pewnie zjeździł kawał świata?

- Dziadek? Skąd! Nosa nigdy nie wyściubił dalej niż o trzy godziny drogi, a i to tylko raz, kiedy się wybrał do Dublina na ślub krewniaka. Tak się stęsknił za domem, że musieli go odwiedzić jeszcze przed weselem!

- Wierzę mu jednak na słowo, jeśli chodzi o te widoki. - Rawi parsknął szczerym śmiechem. - Jeszcze raz dziękuję, Jerry, bardzo mi pan pomoże.

Farmerowi niespieszno jednak było ruszać w drogę i tym samym zbyt szybko pozbyć się tak rzadkiej okazji do pogawędki z kimś nowym.

- No, niech mnie... - Pokręcił w zadziwieniu głową. - A cóż to pana sprowadza do takiej dziury jak Crookhaven w taki piękny ranek jak dzisiaj? Nie wyglądasz mi pan na żeglarza... a już na pewno nie na rolnika! Pewnie ma pan pokój w którymś z zajazdów? Moja ciotka pracuje w „Old Castle House”...

- Nie. - Rawi, nieprzygotowany na krzyżowy ogień pytań na irlandzkim odludziu, naprędce układał sobie w myśli legendę. - Zatrzymałem się u znajomych.

- Na łądzie czy na jachcie?

- Na łądzie. Kolega ze szkolnej ławy.

- Ach, nie ma to jak takie spotkania po latach! Miło się wspomina stare dzieje nad szklaneczką jamesona, nie?

- Tak, trochę sobie wczoraj wypiliśmy...

- A kto to właściwie, ten pański kolega? - O’Connell wiedziony niepohamowaną ciekawością ani myślał, że jego szanse przeżycia tego spotkania maleją z każdą sekundą. - Moja rodzina mieszka tu co najmniej od trzystu lat i znamy się ze wszystkimi jak łyse konie. Na pewno wiem, o kogo chodzi, a wiesz pan, jak to jest, przyjaciele naszych przyjaciół... To jak się on nazywa?

Raszud już wiedział, że niebaczną uwagą zapuścił się na pole minowe. Przeklinał się w duchu za niewinne z pozoru kłamstwo; prędzej potrafiłby pofrunąć, niż odgadnąć nazwisko choćby jednego z miejscowych - a zresztą wtedy dopiero by się zaczęło! Jerry O’Connell już teraz wiedział o nim za dużo i mógłby go potem rozpoznać. Zmyślona postać kolegi tylko by zaostrzyła jego czujność, a do południa w całym hrabstwie wiedziano by, że jakiś obcy brunet w zamszowej kurtce pałęta się po okolicy i kłamie w żywe oczy.

Od niechcenia, niby obchodząc samochód, by wsiąść na miejsce dla pasażera, Rawi ruszył na tył wozu i zza skrzyni wykrzyknął:

- Hej, Jerry, chyba złapałeś gumę! W lewym kole nie ma powietrza.

- W tylnym? No, opona była trochę zdarta... Niech rzucę okiem.

Terrorysta przykucnął przy kole, prawą ręką sięgając pod kurtkę po nóż. Farmer stanął

przy nim i zdziwiony rzekł:

- Z oponą wszystko w porządku. Skąd pan...

Były to jego ostatnie słowa w życiu. Jak atakująca kobra były major SAS wyprostował się błyskawicznie, trzonkiem noża trafiając z wielką siłą między krzaczaste brwi Irlandczyka. Trzasnęła pękająca czaszka, a w następnej sekundzie cios nasadą dłoni od dołu w nos wbił odłamki kości w mózg ofiary. Farmer był martwy, zanim zważył się do przydrożnego rowu. Dobry był z ciebie chłop, Jerry O'Connell, ale miałeś pecha, pomyślał Rawi.

Rozdział 9

Raszud musiał teraz działać szybko. Rzutem oka ocenił sytuację: po lewej pagórkowata łąka, po prawej porośnięte gdzieniegdzie krzakami zbocze, opadające dość stromo ku nadmorskiemu klifowi. Rozwiązanie nasuwało się samo. Podniósł bezwładne ciało Jerry'ego za ramiona, przeciągnął na skraj stoku i pchnął silnie, by potoczyło się jak najdalej. Miał nadzieję, że jeśli trup nie doturla się do urwiska i nie spadnie na dół, to przynajmniej zniknie gdzieś w listowiu.

Tak się oczywiście nie stało. Zwłoki zjechały kilkanaście metrów, zawadziły o kwitnący rozrośnięty krzak i zatrzymały się, wyraźnie widoczne z szosy. Rawi zaklął pod nosem i zostawiwszy torbę w trawie, zsunął się zboczem, przetaszczył ciało na drugą stronę krzewu i wcisnął, na ile się dało między dolne gałęzie. Wspiął się na drogę, otrzepał ręce i ocenił efekt akcji: w porządku, teraz nic nie widać, choć gdy go złączą szukać na serio, znajdą bez większego trudu. Rawi wiedział, że zaginięcie farmera zostanie zauważone najpóźniej po południu, ale czas naglił, nie zamierzał więc poświęcać ani minuty więcej na lepsze ukrycie trupa. No dobrze, a co dalej? Iść czy jechać? Decyzja była natychmiastowa - i tak nie mógł zostawić ciężarówki w pobliżu zwłok. Naciągnął rękawiczki, usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i ruszył naprzód. Zakładał, że jest bezpieczny jeszcze przez jakieś pół godziny, zanim ktokolwiek zacznie wypatrywać przyjazdu Jerry'ego.

Wyboru trasy też nie miał; mógł tylko jechać dalej ku Goleen, Schull i Skibbereen. W Schull minął zajazd o dumnej nazwie „West End Hotel”, nie podejrzewając nawet, że kilka dni temu mieszkała w nim jego żona.

Na całej dwudziestokilometrowej drodze na jego przejazd zwróciła uwagę tylko jedna osoba. Patrick O'Driscoll, kierowca cysterny mleczarskiej, wychodził właśnie z „Baru Śniadaniowego Murphy'ego” w Goleen, kiedy zobaczył nadjeżdżającą szybko znajomą ciężarówkę z pobrzękującymi na skrzyni kadziami z nierdzewnej stali. Oho, staremu Jerry'emu coś dziś spieszo, zdążył pomyśleć, kiedy ku jego zdumieniu ford minął zlewnię w pełnym biegu i po chwili zniknął za zakrętem szosy do Schull. Domyślił się, że farmer ma tam jakąś pilną sprawę.

- Tylko niech za długo nie zamarudzi, bo mnie tu nie zastanie - mruknął do siebie. - Jak się spóźni, to niech sam zasuwa do Skibbereen.

Tymczasem Rawi zbliżał się już do tego targowego miasteczka i szukał miejsca, gdzie mógłby porzucić wóz. Znalazł odpowiedni zakątek niecały kilometr przed rogatkami; skręcił na polną drogę prowadzącą do skrytego za leśną kępą gospodarstwa. Udało mu się pokonać między drzewami dobrze ponad dwieście metrów, zanim zatrzymał się w gęstej młodej brzezynie. Wyłączył silnik, zabrał torbę i na przełaj pomaszerował ku miastu. Kiedy dotarł do pierwszej brukowanej uliczki, było piętnaście po siódmej - czyli dla Irlandczyków wciąż wcześnie; między malowniczymi budynkami nikt się jeszcze nie kręcił.

Po długim marszu i przygodzie z Jerryem Rawi czuł ostre ssanie w żołądku - o wieczornym kebabie na „901” jego układ trawienny już zapomniał - a przede wszystkim chciało mu się pić. Otwarte drzwi „Shamrock Cafe” były dlań pokusą nie do odparcia. Zdjął wiatrówkę i schował ją do torby; zorientował się już, że to ubiór zbyt nietypowy w tych stronach. W lokalu zamówił tosty, kawę i sok pomarańczowy u młodego i na oko bystrego barmana, zapytał też o autobus do Cork i dowiedział się, że najbliższy odchodzi o ósmej spod hotelu „Eldon” przy Main Street.

Przy stoliku usiadł tyłem do lady. Nie mógł się powstrzymać i przyniesioną szklanekę soku wypił duszkiem, od razu zamawiając następną. Pragnienie przeważało nad głównym przykazaniem każdego szpiega i terrorysty, by nie robić nic, co by się rzuciło w oczy. Wiedział, że barman może to zapamiętać, ale uznał, że błąd nie był znaczący. Grzanek z masłem i dżemem zjadł już spokojnie, a nad kawą posiedział całe pięć minut. Zapłacił banknotem o nominale dwudziestu euro i spacerkiem przeszedł pod rzeczony hotel.

Ze Skibbereen do Cork jest sześćdziesiąt pięć kilometrów i według rozkładu autobus pokonuje tę trasę w nieco ponad półtorej godziny. Rawiemu zajęło to jednak znacznie dłużej. Po drodze dwukrotnie wysiadał, raz w Clonakilty, a potem w Inishannon, i czekał na następny kurs. W Clonakilty zauważył z przystanku rzucający się w oczy sztyld muzeum Michaela Collinsa, podszedł tam więc i spędził pół godziny z grupą turystów, słuchając opowieści przewodnika o tym współczesnym irlandzkim herosie.

Do Cork dobrnął w końcu o wpół do pierwszej. Przewidując, że wkrótce zacznie go szukać policja, zrezygnował z bezpośredniego połączenia kolejowego do Dublina i kupił bilet z przesiadką w nadmorskim Waterford. Po drodze robił wszystko, żeby zacierać za sobą ślady. W pociągu co pół godziny przenosił się z wagonu do wagonu, z nikim nie rozmawiał, niczego nie zamawiał i trzymał nos w gazecie. Pasażerowie go oczywiście widzieli, ale nikomu nie dał czasu na bliższe przyjrzenie się i zapamiętanie jego rysów.

Do Waterford dojechał późnym popołudniem. O siedemnastej tego dnia Szakira miała na niego czekać przy Wielkim Mecze. Nie było możliwości, żeby zdążył na czas, ale

umówione miejsce i czas spotkania i tak traktował tylko jak plan podstawowy, który można zmodyfikować w zależności od sytuacji. Miał jej numer telefonu, ale zamierzał go użyć tylko w ostateczności i tylko raz, gdzieś w centrum Dublina, gdzie byłby nie do namierzenia.

Ostateczność jednak się właśnie zmaterializowała w postaci trupa Jerry'ego O'Connella. Najpóźniej za kilka godzin rozpoczną się poszukiwania nieznanego mordercy. Rawi był pewien, że nie zostawił po sobie żadnego wyraźnego tropu, ale wiedział też, że miejscowa Garda, irlandzka policja, bardzo weźmie sobie do serca zabójstwo Bogu ducha winnego i powszechnie znanego rolnika. Niewiele czasu upłynie, zanim się zorientują, że musiał go dokonać obcy przybysz.

Poniedziałek, 16 lipca, godz. 14.00. Crookhaven

U wjazdu na podwórkę farmy Seaview stały dwa policyjne radiowozy. Pani Mary O'Connell ze łzami w oczach tłumaczyła, że Jerry jak zwykle wyjechał rano z mlekiem i dawno już powinien być z powrotem. Tymczasem nie ma go i nie ma; obdzwoniła już punkt skupu i znajomych, ale nikt go dzisiaj nawet nie widział. Nie, jeszcze ani razu się nie spóźnił! Coś musiało się stać.

W miasteczku na dole dwójka posterunkowych metodycznie odwiedzała wszystkie domy, sklepy i bary. Wszędzie znano Jerry'ego O'Connella, ale tego dnia żadna z indagowanych osób go nie zauważyła.

Starszy detektyw Ray McDwyer, który osobiście przejął dochodzenie w tej niecodziennej tutaj sprawie, nie wiedział, co o tym sądzić. Czekał w radiowozie na kierowcę, konstabla Joego Careya, który kończył właśnie przesłuchiwać dziewczynę z obsługi stacji paliw na nabrzeżu. Kiedy wrócił, Ray zdecydował już, że następnym krokiem powinno być sprawdzenie w Goleen, czy zaginiony w ogóle dojechał do zlewni. Zadzwoił do oddziału Central Milk Corporation w Skibbereen i dowiedział się, że tego dnia cysterne prowadził Patrick O'Driscoll, który też mieszka w Goleen. Dziesięć minut później stukał już do jego drzwi.

- Jerry? Jasne, widziałem rano jego forda. Gdzieś koło siódmej. Pędził ulicą jak wariat. Zapamiętałem, bo nawet nie zwolnił przy zlewni i pognął dalej na Schull.

- Widziałeś może, czy wracał?

- Nie. Zwinąłem interes o drugiej. Jego wczorajsze kadzie wciąż stoją nieodebrane, a dziś nie przyjąłem od niego ani litra mleka.

- Czy on zazwyczaj tak szaleje na drodze?

- No, Jerry gazu nigdy nie żałował, ale ten dzisiejszy rajd był szybki nawet jak na niego.

- Pomachał ci na dzień dobry albo w jakiś inny sposób dał znak, że cię widzi?

- Ani mrugnięcia. Śmignął, aż się za nim kurzyło.

- Posłuchaj mnie teraz uważnie, Patrick i pomyśl, zanim odpowiesz na to pytanie. Czy jesteś absolutnie pewien, że to Jerry siedział za kółkiem?

- A kto mógłby to być? - O'Driscoll się zawahał. - Wie pan, panie władzo, jak to jest. Jak się gościa widzi codziennie przez całe życie, to się taki widok utrwała. Niby że stary ford bez plandeki plus cztery kadzie mleka równa się Jerry O'Connell.

McDwyer nie mógł powstrzymać uśmiechu. Był zadbanym, dobrze ubranym i poważnym mężczyzną po czterdziestce, i wyglądał bardziej na dyrektora banku niż na policjanta, ale detektywem był dobrym i wielu kolegów wróżyło mu awans na wysokie stanowisko.

- Patrick, przysięgnij mi tu na Boga, że widziałeś, jak Jerry O'Connell we własnej osobie przejeżdża dziś rano swoją ciężarówką przez Goleen.

Kierowca milczał długą chwilę, po czym wolno odpowiedział:

- Staram się przypomnieć sobie tę scenę, ale nie da rady. Nie mogę jednak przysiąc, że to na pewno Jerry prowadził. Wóz tylko mignął mi przed oczyma i prawdę mówiąc, gdybym nie wiedział, że to jego rupieć, to o kierowcę mógłby mnie pan pytać bez skutku do rana.

- A zauważyłeś może chociaż, jak był ubrany albo jakiego koloru miał włosy? - Detektyw nie poddawał się łatwo.

- Nic z tych rzeczy. Rzuciły mi się w oczy te rozkołysane kadzie na pace. Pomyślałem tylko, że widać Jerry ma coś do załatwienia i jeszcze wróci. Nie chciałem pana wprowadzić w błąd, sir. Przysięgam.

- Wiem, wiem. Pamięć to fikuśne urządzenie, czasem płata figle. Dziękuję za pomoc.

Policjanci wrócili na keję w Crookhaven i McDwyer ściągnął tam pozostałe radiowozy. Zebrał całą siódemkę swoich ludzi i oznajmił:

- Wygląda na to, że Jerry O'Connell zniknął ze swojej ciężarówki gdzieś między skrzyżowaniem tu, na klifie, a Goleen. To raptem pięć kilometrów. Ściągnijcie do pomocy kogo się da i przeczescie teren wzdłuż szosy. Sprawa jest poważniejsza, niż się mogło wydawać. Jego wóz widziano około siódmej w Goleen, ale możemy przyjąć, że już nie Jerry go prowadził.

Kilka telefonów do sąsiednich komend zaowocowało podwojeniem patroli poszukiwawczych. Kilkunastu konstabli metr po metrze badało teren po obu stronach szosy,

wypatrując oznak wypadku, a jak coraz bardziej podejrzewał detektyw McDwyer, także zwłok zaginionego farmera.

O szesnastej trzydzieści on sam natrafił na długie czarne smugi przysmażonej gumy na asfalcie. Wyglądały na świeże, wezwał więc Joego Careya z kilkoma policjantami i kazał dokładnie przeszukać całą okolicę. Na wynik nie musiał długo czekać. Tuż przed siedemnastą dwaj posterunkowi natknęli się na wystające spod gęstego krzaka ciało Jerry'ego O'Connella z paskudnie wgniecioną nasadą nosa.

Poniedziałek, 16 lipca, godz. 16.00. Atlantyk, 50°43'N/009°31'W

HMS *Artful*, podwodny okręt myśliwski klasy Astute o wyporności siedmiu tysięcy ton, płynął kursem południowo-zachodnim z prędkością dwudziestu dwóch węzłów, udając się do bazy w Gibraltarze. W centrali manewrowej panowała rozluźniona atmosfera; dowódca został przed wyjściem w morze poinformowany przez wywiad Royal Navy, że w Cieśninie Świętego Jerzego i na Morzu Irlandzkim nie ma żadnych podwodniaków amerykańskich, wszystkie francuskie stoją przy pirsach w Breście, a Rosjanie nie wychylają nosa z Bałtyku. Skoro się wie, że nikogo w okolicy nie ma, to się i nikogo nie spodziewa.

Dlatego tuż po zmianie wachty, minutę po szesnastej, wszystkich zaskoczył nagły okrzyk z pomieszczenia sonarzystów. Młody operator, starszy marynarz Jeff Copper, z niedowierzaniem patrzył na nowy element na ekranie sonaru pasywnego.

- Co jest, do diabła? - wypnęło mu się, zanim pomyślał, że nie tak powinien brzmieć regulaminowy meldunek. - Sonar do centrali, odbieram przyrost sygnału, wygląda to na linie od śruby. Prawdopodobnie okręt podwodny.

Oficer nasłuchu błyskawicznie znalazł się przy nim.

- Pokaż.

- O, tutaj, sir. - Cooper zdążył wskazać palcem, gdy tajemniczy znak zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Przez pięć minut na ekranie rysowały się normalne szumy tła, a potem znów wyskoczyła ta sama linia, już wyraźniejsza, jakby obiekt, od którego pochodziła, był bliżej niż poprzednio. Sonarzysta szybko wrzucił dane do komputera.

- Jest znowu, sir!

- Jaki masz procent pewności, że to odgłos śruby?

- Równe sto, sir.

- Myślisz, że to podwodniak?

- Absolutnie, sir.

- To byłoby bardzo dziwne. Według wywiadu w promieniu dwustu mil nie powinno być żywej duszy. Co na to komputer?

- Pojedyncza śruba, pięć piór. Skompresowana kawitacja. Pasuje do ruskiego Kilo, sir.

Pięć minut później meldunek o spotkaniu dotarł do dowódcy, który natychmiast zarządził wysunięcie masztu i nadanie sygnału satelitarnego do bazy.

Poniedziałek, 16 lipca, godz. 12.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Komandor porucznik Ramshawe patrzył na wydruk depezy z centrali wywiadu marynarki z rosnącym złym przeczuciem. Sygnał był zredagowany w neutralnym tonie i nikt go nie opatrzył klauzulą pilności. Ot, suche stwierdzenie:

RN HMS Artful 161606LIP12 UTC 5043N/00931W. Przelotny kontakt podwodny z bardzo cicho poruszającą się jednostką. Dane niewystarczające do pewnej klasyfikacji. Charakter kontaktu: akustyczny, skompresowana kawitacja, pojedyncza śruba o pięciu piórach, przypuszczalnie napęd konwencjonalny. Brak koordynacji ze znanymi pozycjami własnych i sojuszniczych okrętów.

- Dane niewystarczające, akurat - burknął Jimmy. - Obaj wiemy, że widziałeś podwodniaka i to mi wystarczy.

Otworzył plik elektronicznej mapy północnego Atlantyku i powiększył ją do dużej skali, najeżdżając kursorem na podaną pozycję brytyjskiego okrętu. Czterdzieści siedem mil na południe od Mizen Head... I czegoż, na Boga, szuka tam anonimowy podwodny sukinsyn?

Zadzwoił bezpieczną linią do COMSUBLANT⁸ i zapytał znajomego porucznika o bliższe informacje.

- Jack, podejrzewam, że to może być ruska jednostka. Tylko oni mają takie charakterystyki. Pięć piór, napęd elektryczny. Brytole dobrze wiedzą, że to Kilo, tylko widać nie chcą za to dać głowy.

- Jim, mamy coś takiego na tapecie. To może być Irańczyk, jakiś czas temu wyszedł ze stoczni remontowej na Bałtyku i kręcił się po Śródziemnym. Śledziliśmy go niedawno, gdy kierował się na Gibraltar, a tydzień temu przyuważyliśmy na Atlantyku w drodze na północ.

⁸ W US Navy kryptonim dowództwa floty podwodnej Atlantyku.

To na pewno on.

- Brytolom można wierzyć, znają się na robocie i nie walnęliby takiego byka. Mówisz, że go śledziliście... znaczy, pod wodą?

- Tak, miał go na muszce *Cheyenne*.

- Dzięki, stary. Teraz już wiem, na czym stoję.

Ramshawe wybrał numer Wielkiego Człowieka, który wzmiankę o niezidentyfikowanym okręcie podwodnym jak zwykle potraktował z pełną uwagą.

- Jesteś pewien, James, że wszystkie inne możliwości odpadają i to na pewno ten Kilo od ajatollahów?

- Absolutnie, Arnie. COMSUBLANT całą resztę podwodnej floty świata ma pod obserwacją.

- I teraz okręt o charakterystyce Kilo został wykryty przez Angoli u brzegów Irlandii? To będzie z tysiąc mil z hakiem od ostatniej znanej pozycji, nie?

- Tak jest.

- Oni spokojnie mogą robić do trzystu mil na dobę, czyli sprzeczności nie ma. A więc irański „901” grasuje u wrót Europy...

- Tak mi to wygląda, szefie.

- I co według ciebie mam z nim zrobić? Posłać mu torpedę?

- To chyba nie jest konieczne, sir. Ale mam w związku z tym parę przemyśleń...

- Niech zgadnę. Tym okrętem dowodzi barmanka z Brockhurst.

- Coś w tym stylu. Pogadamy później, jak sobie to poukładam.

Żegnając się z admirałem - to znaczy czekając na przerwanie połączenia - Jimmy usłyszał jeszcze jego pobłażliwy chichot, jak u dowódcy pewnego, że wyprzedza podkomendnego o dwa ruchy. Tylko że w jego przekonaniu było akurat na odwrót. Tym razem stary lis nie nadązał i jeśli nie wróci mu jego zwykła czujność, wkrótce mogą go przerobić na kołnierz.

Wrócił do komputerowej mapy i zmniejszył skalę tak, by widzieć na ekranie całą trasę od Gibraltaru do Morza Irlandzkiego. Szybko wykreślił trasę łączącą cieśninę z pozycją podaną w brytyjskim raporcie i sprawdził odległość. Tysiąc sto mil, plus minus kilkanaście. Przy umiarkowanej prędkości, powiedzmy dziesięć do dwunastu węzłów to daje... dziewięćdziesiąt parę do stu kilku godzin. Cztery doby, a równie dobrze i połowę tego, gdyby im się spieszyło. Po co turbaniarzom taka wyprawa? Przecież nie po to, by storpedować Tower Bridge. Jedynym powodem wysłania okrętu w taki dość ryzykowny rejs mogła być konieczność podjęcia kogoś lub wysadzenia potajemnie na ląd - co prawdopodobnie działo

się poprzedniego dnia.

Wytrawni oficerowie wywiadu często działają instynktownie i tak też postąpił komandor porucznik Ramshawe. Zatelefonował do znajomego w FBI i poprosił go o sprawdzenie, czy 3 lipca na Wschodnim Wybrzeżu ktokolwiek kupił bez rezerwacji bilet do Shannon lub Dublina, przypuszczalnie w klasie pierwszej lub biznesowej.

- Przede wszystkim zobacz w Aer Lingus - dorzucił jeszcze. - Oni praktycznie mają monopol na te połączenia.

Godzinę później miał odpowiedź. W podanym dniu niejaka panna Maureen Carson, zamieszkała w Michigan, nabyła bilet pierwszej klasy na poranny lot z Bostonu do Dublina przez Shannon. Odleciała o dziesiątej trzydzieści.

- I to nie wszystko, Jimmy. Bostońskie biuro Aer Lingus zarezerwowało dla niej pokój w dublińskim hotelu „Shelbourne”.

- Sprawdziłeś?

- Jasne. Spędziła tam trzy dni. Zapłaciła kartą American Express.

- No i...?

- No i właścicielem karty głównej o tym numerze jest jeden gość z jordańskiej ambasady w Paryżu. Miss Carson ma dodatkową.

Serce Jimmy'emu zamarło. Nie miał wątpliwości, że właśnie odnalazł Carlę Martin i to z islamskim powiązaniem. Dziewczyna na sto procent jest syryjską lub jordańską agentką i do Brockhurst przyjechała po to, by poznać plany Arnolda i Kathy Morganów. Misję wypełniła, zadźgała durnego Matta Barkera i związała przez Boston do Irlandii. A jeśli on, James Ramshawe, nie dostał kompletnego pomieszczenia zmysłów, to do Carli Martin właśnie dołączył co najmniej jeszcze jeden bliskowschodni szpieg czy terrorysta, dostarczony tam uprzejmie przez irańską marynarkę wojenną. Może właśnie Irańczyk, albo też Arab.

Błyskawicznie rozwijał w myśli scenariusz wydarzeń.

Potrzebował więcej informacji z różnych frontów. Najpierw zadzwonił znowu do porucznika Jacka Williamsa z COMSUBLANT z prośbą o przypilnowanie namierzonego Kilo i powiadomienie, kiedy minie Gibraltar.

- Stamtąd przyszedł i tam wróci, albo znów w rejon Libanu, albo przez Suez do domu.

- Jimmy, ty coś wiesz i nie mówisz. Co ten Ali Baba robił w Europie?

- Najprawdopodobniej przerzucił do Irlandii jakiegoś wrednego typa.

Następnie skontaktował się z kumplem z FBI i zasugerował, żeby rozejrzeli się na Wyspach Brytyjskich za tą Maureen Carson. Kolega nie widział przeszkód, by się tym zająć, a przy okazji obiecał sprawdzić jej paszport w kartotece.

Teraz przyszła pora, by wyłożyć nową teorię Wielkiemu Człowiekowi. Morgan nie był jednak tak chętny do współpracy jak służby wywiadowcze.

- Chłopcze, nie masz zielonego pojęcia, jakie ten okręt naprawdę miał zadanie - zgromił Jimmy'ego ze zniecierpliwieniem. - Mógł to być zwykły rejs ćwiczebny. Fakty, młodzieńcze, fakty! Wyobraźnia cię ponosi.

- Doniosła mnie do Maureen Carson - odparł Ramshawe, też nieco już rozeźlony.

- No to moje gratulacje. Znalazłeś trop jakiejś miłej starszej pani z nadmiarem forsy, co to miała kaprys podskoczyć do Dublina na zakupy. Nie masz przeciwko niej ani skrawka dowodu. Daj mi znać, kiedy ją znajdziesz, okay?

I gadaj tu z takim. Jimmy odłożył słuchawkę równo z admirałem.

Poniedziałek, 16 lipca, godz. 18.30. Dworzec kolejowy Waterford

Rawi wysiadł na peron zmęczony, głodny i spragniony po całodziennej skomplikowanej podróży z Crookhaven. Na przesiadkę nie miał za wiele czasu - pospieszny do Dublina odchodził o dziewiętnastej, a on musiał jeszcze kupić bilet - ale pierwsze kroki skierował do bufetu. Kupił półlitrową butelkę mineralnej, kawę i dwie apetycznie wyglądające bułki z szynką i serem. Zasiadł na wysokim stołku przy kontuarze na tylnej ścianie, wypił prawie całą wodę i wgryzł się w chrupiące pieczywo. Dopiero gdy zaspokoił głód, stanął w krótkiej kolejce do kasy biletowej. Przed nim było tylko dwoje ludzi, ale kasjer pracował wyjątkowo powoli. Stojąca przed Rawim młoda kobieta odwróciła się i rzekła z przekąsem:

- Myślałby kto, że jedziemy do Pekinu, co?

Rawi odpowiedział uśmiechem. Dziewczyna była ładna, ale szybko umknął wzrokiem w bok. Udał, że nie zna angielskiego, i powiedział parę słów po arabsku. Natychmiast tego pożałował, klnąc się w duchu za głupotę, ale skutek odniosło to pożądanym: Irlandka odwróciła się zniechęcona i więcej na niego nie spojrzała. Kiedy nadeszła jego kolej, poprosił o bilet drugiej klasy do Dublina i podał kasjerowi banknot pięćdziesięcioeurowy. W tej chwili jednak zadzwonił telefon i mężczyzna zamiast wydać resztę, zaczął z kimś rozmawiać. Rawi musiałby sterczeć na widoku - w głębi kasy pracowała jeszcze jakaś urzędniczka siedząca twarzą do okienka - czekając na głupie dwadzieścia dwa euro, wolał więc po prostu wziąć bilet i odejść do poczekalni.

Trzy minuty później zjawił się tam zaniepokojony kasjer, odszukał zapominalskiego klienta i wręczył mu odliczone pieniądze. Rawi zmełł w ustach przekleństwo i podziękował

uprzejmie, starając się na niego nie patrzeć, ale i tak wiedział, że facet już go tak łatwo nie zapomni. Zaczynał mieć dosyć Irlandczyków...

Podróż przez piękne hrabstwa Kilkenny i Carlow trochę go odprężyła. Zapomniał chwilowo o problemach, chłonąc uroki Szmaragdowej Wyspy w całej jej letniej krasie. Przez mniej więcej dziesięć kilometrów tory wiły się brzegiem rzeki Barrow, by potem ją przeskoczyć i prostą linią przeciąć hrabstwo Kildare, a potem wzdłuż kanału Grand wsunąć się między dublińskie ulice. Kiedy pociąg w końcu stanął na dworcu Heuston, peronowe zegary wskazywały dwudziestą drugą piętnaście.

Rawi wmieszał się w mały tłumek pasażerów i przeszedł z nimi do wyjścia; dopiero na placu przed stacją zatrzymał się pod drzewem, wyciągnął komórkę i zadzwonił do żony. Szakira była w swoim pokoju i oglądała telewizję. Odebrała telefon po pierwszym dzwonku.

- To ja - powiedział krótko. - Właśnie dojechałem. Spotkamy się jutro rano o jedenastej w umówionym miejscu. Gdzie jesteś?

- Hotel „Merrion”, niedaleko od St Stephen’s Green.

- Dobra dziewczynka. Nie spóźnij się.

Szakiraomal się nie zachłysnęła. Tyle przeszła, tyle tygodni na niego czeka w nerwach, a on tylko: „Dobra dziewczynka”, i rozłącza się bez słowa? Co to ma znaczyć? Unosiła już stopę, by tupnąć ze złością, kiedy telefon zadzwonił powtórnie. Usłyszała dwa słowa: „Kocham cię”, i znów się rozłączył.

Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Wybrała to drugie - ze szczęścia. Rawi jest bezpieczny, kocha ją i jutro znów będą razem.

On też był w rozterce. Piętnaście sekund rozmowy po tak długiej rozłące i tygodniach niepokoju o jej los to o wieczność za mało. Musiał jednak się trzymać tej ważnej reguły, gdyż dzięki temu miał pewność, że nikt go nie zdążył podsłuchać, nagrać ani tym bardziej zlokalizować.

Dobrze wiedział, że amerykańska NSA potrafiła namierzyć i podsłuchiwać rozmowy Osamy bin Ladena, kiedy dzwonił ze swych afgańskich kryjówek do matki w Arabii Saudyjskiej. Lepiej więc zachować ostrożność. Piętnaście sekund i kropka.

Miejsce na nocleg wybrał jeszcze w Gazie. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i kazał się zawieźć do hotelu „Paramount” na rogu Parliament Street i Essex Gate. Budynek miał wiktoriańską fasadę, wygodne wnętrza jednak nawiązywały do lat trzydziestych. Rawi nie pamiętał, kiedy ostatni raz spał w tak komfortowych warunkach - koja na „901” była raczej spartańska. Marzyło mu się wprawdzie, by natychmiast dołączyć do Szakiry w „Merrionie”, ale nie chciał na razie, by ich razem widziano, a poza tym był na nogach od wpół do trzeciej

rano i rozsądek podpowiadał, że śpiąc o kilometry od niej, wyśpi się trochę lepiej...

Zapisał sobie jeszcze w pamięci, żeby rano obejrzeć wiadomości w telewizji, i zasnął jak kamień.

Wtorek, 17 lipca, godz. 9:00. Komisariat Gardy w Skibbereen

Starszy detektyw Ray McDwyer uznał, że potrzebuje pomocy. Charakter śmiertelnej rany na głowie Jerry'ego O'Connella kompletnie go zaskoczył; czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widział. Czołowa część czaszki między oczami była zdruzgotana, a kość nosowa wepchnięta z wielką siłą prosto do mózgu. Denat musiał zostać najpierw uderzony w czoło tępym narzędziem, nic natomiast nie wskazywało, że został nim zadany także drugi cios, który bez wątplenia był bezpośrednią przyczyną zgonu.

Policyjny patolog także był w kropce, doszli jednak wspólnie do wniosku, że to morderstwo najlepiej opisuje przymiotnik „precyzyjne”. Sprawcą musiał być prawdziwy fachman. Na zwłokach nie stwierdzono żadnych innych obrażeń, siniaków czy otarć, które by świadczyły o stoczonej walce. Ktoś załatwił farmera błyskawicznie i bez zbędnego ambarasu. Nie było na co czekać; dziesięć po dziewiątej McDwyer zadzwonił do wydziału specjalnego Scotland Yardu w Londynie.

W stolicy z początku nie rozumiano, o co tyle zamieszania - ot, ktoś stuknął jakiegoś tam rolnika i to nawet nie na terytorium Zjednoczonego Królestwa, ale w zabitej deskami irlandzkiej mieścinie. Ray jednak miał asa w rękawie. Powiedział dobitnie, że mają do czynienia z bardzo niebezpiecznym przestępcą, który być może wylądował z morza i ma ambitniejsze plany niż pozbawianie życia miejscowych hodowców mlecznych krów. Po kwadransie nieustępliwej perswazji dyżurny ze Special Branch był skłonny przyjąć punkt widzenia rozmówcy.

- Dobra, przyślemy wam kogoś. Tak, od razu, bezpośrednio do Bantry. No mówię, że zaraz wyjeżdża!

Za dwadzieścia dziesiąta Colm McCoy, właściciel gospodarstwa nieopodal Skibbereen, szedł sobie z psem na spacer i natknął się na ukrytego w kępie brzoź forda O'Connella. Czytał już poranne wydanie „Cork Examiner” i wiedział o morderstwie. W gazecie wspomniano o czterech kadziach mleka na zaginionej ciężarówce, McCoy więc od razu się zorientował, co ma przed sobą. Zadzwonił na komisariat i dziesięć minut później na miejsce zajęły dwa radiowozy z czterema policjantami, a po chwili dołączył do nich wóz techniczny wezwany do odholowania forda.

- Niczego nie dotykajcie! - uprzedził kierowcę McDwyer. - Zaciągnijcie ją do naszych garaży i niech technicy szukają odcisków palców. Potem można zawiadomić Central Milk Corporation, żeby zabrali mleko i oddali kadzie rodzinie O'Connella.

Tymczasem w Crookhaven od ósmej dwójka podoficerów Coast Guard na motorówce patrolowej odwiedzała wszystkie kutry i jachty w porcie, pytając każdą napotkaną osobę, czy nie widziała w poniedziałek rano na wodzie lub na lądzie jakiegoś nieznanego. Przez dwie godziny przesłuchania nie dawały rezultatu, dopóki nie podpłynęli do amerykańskiego jachtu *Yonder*. Kapitan Bill Stannard opowiedział im o dziwnie ubranym facecie, który powolutku przepływał tędy wczoraj przed świtem.

- To był zodiak, może trzymetrowy, z przyczepną yamahą. Mam taką samą łódź podwieszoną na rufie.

- Dobrze pan widział sternika?

- Jasne. Był sam.

- Poznałby go pan?

- Twarzy to ja nie widziałem. Spałem na pokładzie i obudziłem się, gdy już mnie mijał. Płynął powoli, silnik ledwo było słycać. Niestary, dobrze zbudowany, z krótkimi, kędzierzawymi włosami.

- Jak był ubrany?

- Rzuciło mi się w oczy, że ma na sobie zamszową kurtkę, taką elegancką. Kompletnie nie do żeglowania.

- Koszula, krawat?

- Nie. Pod spodem miał jakąś ciemną koszulkę.

- Dokąd popłynął?

- Chyba do końca. - Stannard wskazał ręką w głąb zatoki. - Nie przyglądałem mu się dłużej i nie widziałem, czy i gdzie wylądował. Ale ta łódź musi tam gdzieś być, bo nie widziałem, żeby wracał, a cały dzień się kręczę na pokładzie.

- Jak pan myśli, skąd mógł przyplłynąć?

- Bo ja wiem? Mówię, że zobaczyłem go dopiero, gdy był tuż. Mógł się zjawić skądkolwiek. Ale stąd do morza nic praktycznie po drodze nie ma.

Przez następną godzinę policja i Coast Guard przeszukiwały przystanie i brzegi zatoki, wypatrując trzymetrowego zodiaka, ale bezskutecznie. Ta nitka dochodzenia również utknęła w ślepym zaułku. Bieda w tym, że wszystko działo się bladym świtem, kiedy wszyscy jeszcze spali.

Ray McDwyer zdecydował się skupić uwagę na drodze ucieczki mordercy. Dowódca

grupy z Crookhaven zameldował mu już o tajemniczym człowieku na motorówce i równie zagadkowym zniknięciu i jego, i łodzi. Dobra, założmy, że to był on, pomyślał. Czas by się zgadzał. Oczywiście, że z miejsca przestępstwa odjechał ciężarówką denata i sądząc po miejscu jej odnalezienia, musiał dotrzeć do Skibbereen. Ale co zrobił potem? Na pewno nie został w okolicy. Mógł wyjechać autobusem, taksówką albo skradzionym samochodem. Nikt jednak na razie nie zgłosił kradzieży, więc Ray wyprawił posterunkowego do miejscowej firmy taksówkarskiej, a sam z Joem Careym objechali wszystkie sklepy i lokale, które zaczynają działalność wcześniej rano.

Nie narobili się specjalnie - takich miejsc nie ma w Skibbereen zbyt wiele. Poza piekarnią i kioskiem z gazetami o tak nieludzkiej porze otwiera podwoje tylko „Shamrock Cafe”. Od niej też zaczęli i od razu trafili na żyłę złota. Carey wszedł pierwszy, pozdrowił młodego barmana, którego znał od małego, i zagadnął przyjaźnie:

- Cześć, Mick. Szukamy z bossem jednego gościa, który mógł tędy przechodzić wczoraj, powiedzmy, koło siódmej.

- Czy to ma związek z tym morderstwem koło Crookhaven?

- Pilnuj lepiej własnego interesu, co?

- A właśnie pilnuję - odparł Mick Barton. - Jak się w okolicy zjawia cholerny zabójca i zaczyna zagrażać życiu mojemu i współobywateli, to jest to jak najbardziej mój interes, nie? A zresztą czytałem, że śledztwo prowadzi właśnie twój boss, więc se dodałem dwa do dwóch.

Obydwaj się roześmieli i policjant wymierzył Mickowi poufałego kułaka. Chłopak był bystry, dwa lata po maturze i zawsze wodził rej w klasie, jeśli chodzi o gadane.

- No, dawaj. Szef tu zaraz wejdzie, a ja chcę zabłysnąć policyjną sprawnością. Powiedz mi tylko, czy był tu wczoraj rano jakiś nieznajomy w brązowej zamszówce.

- Nieznajomy był, ale nie w zamszówce. Wydoił dwa duże soki pomarańczowe w jakieś dwadzieścia sekund, a potem zjadł tosty i napił się mojej doskonałej kawy, gorąco polecam.

- Co miał na sobie?

- Czarny T-shirt i dżinsy. I wypchaną torbę ze skóry.

- Zapamiętałeś coś szczególnego?

- Mógł być cudzoziemcem. Taki śniady, czarne kręcone włosy, krótko ostrzyżone. Z lekka napakowany, ale raczej twardziel niż mięśniak. Mówił, rzecz jasna, po naszemu, bo inaczej nie wiedziałbym, co mu podać, nie?

- Orientujesz się, dokąd potem poszedł?

- A owszem. Pytał o autobus do Cork, więc go odesłałem pod hotel „Eldon” na ten o

ósmej.

Więcej szefowi posterunkowego Careya nie było trzeba. Wysłał jeden radiowóz na trasę autobusu, by wypytywali kierowców i ludzi na przystankach, zadzwonił też do oddziału Bus Eireann z prośbą, żeby każdy szofer zajeżdżający do Skibbereen meldował się w komisariacie. W południe wyjechał z Joem do odległego o trzydzieści osiem kilometrów Bantry, gdzie w kostnicy nowego Szpitala Katolickiego czekały na oględziny londyńskich fachowców zwłoki Jerry'ego O'Connella. Dwaj detektywi ze Scotland Yardu mieli bezpośredni lot z Londynu do Cork, skąd śmigłowiec Gardy miał ich zabrać do Bantry. Ray i Joe czekali na nich na małym lotnisku, zbudowanym specjalnie do obsługi niedawno oddanego do użytku dużego terminalu przeładunkowego ropy i gazu ziemnego. Już razem udali się do szpitala.

Inspektorowi z Londynu wystarczyło raz dotknąć czoła denata. Nacisnął kciukiem powyżej nasady nosa, cofnął się i oznajmił:

- Ray, tego waszego farmera zabił prawdziwy fachowiec od walki wręcz. Rozwalił mu czymś czaszkę, co pozwoliło drugim ciosem wbić przegrodę nosową w mózg. Widywałem już takie przypadki, ale częste to one nie są. Przy takich morderstwach automatycznie nasuwa się podejrzenie, że sprawcą był ktoś z SAS albo podobnej elitarnej jednostki specjalnej. Pewne jest jedno: twój zabójca naprawdę wiedział, co robi. Cios był precyzyjny, a śmierć nastąpiła w sekundę lub dwie.

- Tylko kto to mógł być?... - McDwyer pokiwał głową w zamyśleniu.

- Oto jest pytanie. Ten O'Connell to był raczej typ miejscowy, tak? Nie miał żadnych interesów poza hrabstwem?

- Poza hrabstwem? Jerry działał w promieniu kilku kilometrów od własnej chałupy!

- Czyli można przyjąć, że zginął przez przypadek. To znaczy, morderca nie miał zamiaru go zabijać, zjawiając się w tej okolicy. Jerry musiał mu po prostu wejść w drogę.

- Tak sobie założyłem od początku - przytaknął Ray. - Od razu było widać, że to nie robota kogoś z naszych zwykłych obwiesi.

- Absolutnie. To robota zawodowca. Pytanie tylko, co taki spec robił w naszym zaścianku i gdzie się teraz podziewa.

- Tropi go pół policji z całego okręgu, ale licho to nam idzie. Może się dowiem więcej, gdy wrócę do siebie. Panowie zostają tu na dłużej?

- Chcieliśmy wracać od razu do Londynu, ale to się okazuje bardzo zagadkową sprawą. Macie jakieś poszlaki co do tego, jak on się tu dostał?

- Słabe. Jedyne świadki to amerykański żeglarz z mariny w Crookhaven. Twierdzi, że

parę godzin przed morderstwem widział mężczyznę odpowiadającego naszemu rysopisowi, który wpływał do portu pneumatyczną motorówką, prawdopodobnie z otwartego morza. Naturalnie po łodzi nie ma ani śladu.

- Desant morski?

- Jeśli nie, to za Boga nie wiem, skąd mógłby się tam wziąć przed świtem. No dobra, zapraszam więc do naszego uroczego miasteczka. Załatwię wam pokoje w „Eldonie” i możemy się spotkać po południu na roboczą naradę. Cieszę się, że przyjechaliście, chociaż wasza diagnoza zdecydowanie pogorszyła i tak już ponurą sytuację...

Wtorek, 17 lipca, godz. 9.00. Hotel „Paramount”, Dublin

Generał Raszud obudził się dość wcześnie, wykąpał, ogolił i zamówił śniadanie do pokoju. Przed drzwiami znalazł egzemplarz „Irish Times”, podniósł go skwapliwie i omal nie podskoczył, widząc na pierwszej stronie szeroki na całą szpaltę tytuł dnia:

**BRUTALNY MORD WSTRZĄSNAŁ
PORTOWYM MIASTECZKIEM
ROLNIK Z HRABSTWA CORK ZATŁUCZONY NA ŚMIERĆ
GARDA BEZRADNA WOBEC BEZSENSOWNEJ ZBRODNI**

W notatce pod zdjęciem przedstawiającym zielone nadmorskie zbocze z policyjnymi taśmami ogradzającymi kwitnący krzak reporter donosił o zaginięciu znanego farmera z rodziny zasiedziałej w okolicy od pokoleń i odkryciu jego zwłok przy odludnym odcinku szosy. Ponieważ sprawca ukradł jego ciężarówkę pełną mleka, dziennikarz zaryzykował przypuszczenie, że mogło chodzić o zwykły rabunek; przeczył temu jednak zamieszczony na dalszych stronach artykuł na podstawie wywiadu z miejscowym szefem detektywów:

Dla usprawnienia śledztwa trzeba było ściągnąć posilki z sąsiednich okręgów, a wczoraj wieczorem ogłoszono ogólnokrajowe poszukiwania podejrzanego o tę zbrodnię. Starszy detektyw McDwyer pracował w swoim biurze do trzeciej rano, starając się ułożyć w całość rozmaite wątki i elementy rozwijającego się dochodzenia. Kto mógł chcieć śmierci Jerry’go O’Connella? Czy sprawca z takim zamiarem przyjechał do Crookhaven? A może mamy do czynienia z kolejnym maniakiem, a to morderstwo jest tylko pierwszym z serii? McDwyer działa pod silną presją, gdyż wzburzone społeczeństwo domaga się szybkiego rozwiązania i ujęcia zbrodniarza.

Rawi odłożył gazetę i włączył telewizor. Na kanale wiadomości show już trwał w najlepsze. Terenowy reporter tokował z Crookhaven, „wprost z tego pogrążonego w szoku miasteczka”, o gniewie i żalu jego mieszkańców, obiecując „już wkrótce nowe informacje ze sztabu operacji śledczej w Skibbereen”. W tle przewijała się panorama portu i zatoki. Potem nadano wywiad z wdową, obrazki z farmy Seaview i miejsca zbrodni, a nawet fotografię ślubną O’Connellów, kończąc reportaż rozmową z wiekowym już teściem zabitego.

Rawi wyciągnął z torby świeże džinsy i białą koszulkę. Ubierając się, przeglądał pobieżnie resztę gazety; na dłużej zatrzymał wzrok tylko na doniesieniu o silnej eksplozji w Tel Awiwie, która uszkodziła budynek ambasady amerykańskiej.

- Brawo, Ahmed! - mruknął.

Wrzucił do kieszeni grubą paczkę euro, spakował torbę i zszedł do recepcji. Rachunek na sto dziewięćdziesiąt euro zapłacił czterema pięćdziesiątkami i tym razem spokojnie poczekał na resztę. Na zewnątrz czekała już zamówiona przez recepcję taksówka. Rawi polecił kierowcy jechać pod meczet w Clonskeagh, po sąsiedzku z Uniwersytetem Dublińskim.

Wielki Meczet, uroczyście otwarty z udziałem prezydent Mary Robinson w 1996 roku i dotowany przez dubajskiego szejka i miłośnika koni wyścigowych Hamdana el-Machtuma, jest jedną z najładniejszych budowli w stolicy Irlandii, zaprojektowany w nowoczesnym stylu i zbudowany z cegieł i stali, ze strzelistym minaretem i wspaniałą, metalicznie błyszczącą kopułą. Cały kompleks, otoczony nienagannie utrzymanymi trawnikami, zajmuje ogromny plac i składa się z dziewięciu budynków, w tym majestatycznie pięknej sali modlitw. Dla zamieszkałych w Irlandii muzułmanów jest dumą i świętością ustępującą tylko samej Mekce.

Rawi wiele o nim słyszał i od lat pragnął go odwiedzić. Tego dnia jednak myślał tylko o tym, co było dlań jedynym powodem do życia: jego ukochanej Szakirze, Palestynce, dla której położył na szali własny los i karierę.

Taksówka skręciła na plac i podjechała pod główne wejście meczetu. Zobaczył ją z daleka, opartą o ścianę, jak zwykle w džinsach, sandałach i luźnej białej bluzce. Była! Czekwała na niego, stęskniona jak on i nieświadoma, że jest już tu ścigany równie zajadle jak ona sama w Wirginii.

Zastanowił się, czy jej o tym powiedzieć. Chyba nie... dość już ma zmartwień, nie ma sensu dorzucać jej nowego. Ale musi wiedzieć, że trzeba zachować najdalej posuniętą ostrożność. Szczegółów o przedwczesnym zejściu Jerry’ego O’Connella można jej oszczędzić.

Rawi kazał szoferowi zatrzymać się kilkadziesiąt metrów od niej. Zapłacił, wysiadł i

powoli ruszył w jej stronę. Patrzyła gdzie indziej; bezszelestnie podszedł od tyłu i bez słowa objął w talii obiema rękami. Nie drgnęła nawet, od razu wiedząc, że to on. Odwróciła się do niego i zarzuciła mu ręce na szyję, tuląc się całym ciałem i z całej siły, jakby już nigdy nie chciała go wypuścić. Odpowiedział równie mocnym uściskiem, szepcząc raz po raz do ucha, że ją kocha nade wszystko. Szybko jednak wyswobodził się i rzucił szorstko:

- W miejscach publicznych niczego, co by zwracało na nas uwagę. W naszym fachu trzeba uważać.

- Tak, tak, wiem - odrzekła, lekko nadąsana. - Ale tak się za tobą stęskniłam! Dokąd teraz idziemy?

- Musimy jak najszybciej zniknąć z Irlandii. To dla nas tylko drzwi do Anglii. Trzeba się jak najszybciej dostać do Londynu.

- Jak tam dojedziemy?

- Najpierw taksówką do Dun Laoghaire. To niedaleko, nad samym morzem. Tam złapiemy prom.

- Tylko najpierw złapmy taksówkę. Jak tu stoję od pół godziny, żadna tędy nie przejeżdżała.

- Już zamówiłem z hotelu. Zadzwoń tylko z potwierdzeniem i zaraz będzie.

Wystukał na klawiaturze jakiś numer i po chwili Szakira usłyszała, jak mówi z eleganckim akcentem spikerów BBC:

- Halo, tu Robert Bamford. Zamawiałem dziś rano taksówkę przed Wielki Meczec... Tak, teraz... Kurs do Dun Laoghaire, płatne gotówką... Za pięć minut? Dziękuję.

Wtorek, 17 lipca, godz. 7.00. Narodowa Agencja Bezpieczeństwa, Fort Meade

Jimmy Ramshawe tonął w serii katastrofalnie przygnębiających e-maili, z których niezbitnie wynikało, że Carla Martin definitywnie zniknęła z powierzchni planety. Trop Maureen Carson również prowadził donikąd. Wiadomo było tylko, że paszport jest podrobiony: jedyna mieszkanka Michigan o tym imieniu i nazwisku oraz danych osobistych zmarła przed paroma laty. Jordańska ambasada w Paryżu poinformowała FBI, że taka osoba nie jest tam znana. Zajmujący się tą sprawą attache oświadczył, że skoro owa kobieta podróżowała z fałszywym dokumentem, to na pewno jej wniosek o wydanie karty American Express był równie niewiarygodny. W recepcji hotelu „Shelbourne” nie wiadomo, dokąd panna Carson mogła się udać po wymeldowaniu.

Irański podwodniak też się już więcej nie pokazał, a w każdym razie go nie wykryto

ani na trasie do Gibraltaru, ani nigdzie indziej. Komandora porucznika Ramshawe'a nie przestawał jednak nurtować aspekt irlandzki. Był przekonany, że Carla i Maureen to ta sama dziewczyna. Kto kupuje w ostatniej chwili kosmicznie drogi bilet do Dublina, jeśli mu się grunt pod nogami nie pali? I wszystkie papiery fałszywe, do diabła!... Ewidentnie coś się w jakimś piekielnym kotle warzy niedobrego, tylko dlaczego nikt poza mną nie chce tego dostrzec? I jeszcze ten Irańczyk o rzut puszką guinnessa od podbródka Irlandii... Jak to się wszystko nie wiąże w jakiś paskudny spisek, to niech już nigdy nie skosztuję chłodnego meursaulta za pieniądze Wielkiego Człowieka!

Jimmy był od rana bardzo podminowany. Dla uspokojenia postanowił przejrzeć prasę, ale ponieważ Irlandia nie schodziła mu z myśli, tym razem zaczął nie od sztandarowych dzienników, lecz od internetowego wydania „Irish Times”. No i omal nie spadł z krzesła, kiedy uderzył go w oczy krzykliwy nagłówek artykułu o zbrodni w Crookhaven.

Crookhaven... Ile stamtąd do pozycji, gdzie Angole zauważyli Kilo? Kreska znacznika odległości na komputerowej mapie wskazała odległość czterdziestu dziewięciu mil. Farmera zabito jakieś dziesięć do dwunastu godzin wcześniej... Kto wie, czy to nie sprawa wysadzonego przez Kilo agenta... Nie przesadzam?... Jeżeli wylądował jak każdy porządny szpieg przed świtem i to on jest mordercą, to idąc na cichym biegu, powiedzmy, cztery do pięciu węzłów, do szesnastej okręt mógłby się znaleźć akurat tam, gdzie go wykryto. Ależ się z tego robi miszmasz!... Barmanka, Carson, turbaniarski podwodniak, zabity Irlandczyk... To nie może być tylko zbieg okoliczności!

Zadzwoił do admirała i przedstawił mu nowy element, który według niego pasował do układanki. Wnet jednak zrozumiał, że mentalnie znaleźli się obaj na rozstajnych drogach i odtąd w tej sprawie będą wędrować każdy swoją.

- Młody człowieku, ja tu wciąż nie widzę choćby jednego ziarnka prawdy, które by mogło spoić to wszystko w jakiś jeden obrazek - wybrzydzał uparty Morgan. - Nic nie łączy Carson i Martin, nijak nie da się żadnej powiązać z irańskim okrętem, który na pewno nie znalazł się tam po to, żeby wypuścić gołębicę z gałązką oliwną, ale może prowadzić zwykłe rozpoznanie angolskich systemów albo po prostu Ali z Ahmedem chcą poćwiczyć nawigację na prawdziwie trudnych wodach. A już teoria, że jeden albo drugi desantował się w irlandzkiej pipidówce, żeby zlikwidować irlandzkiego rolnika... zapewne bardzo groźnego dla islamskiej rewolucji... zakrawa na czysty nonsens.

- Arnie, ja sobie zdaję sprawę, że za dużo w tym luk. Ale nie powiesz mi, że to wszystko takie sobie normalne zdarzenia. Stanowczo odradzam ci ten wyjazd.

- I dobrze ci to wychodzi. Napisałbyś jakiś odradnik turystyczny, przynajmniej by ci

wpadło trochę grosza... ale ja się wstrzymam z zakupem.

Wtorek, 17 lipca, godz. 14.00. Dun Laoghaire, Irlandia

Generał Raszud kupił dwa bilety pierwszej klasy na odchodzący o czternastej prom do Holyhead. Nieświadomie znów zwrócił na siebie uwagę, gdyż był to szybki poduszkowiec obsługujący przede wszystkim pojazdy osobowe; większość pasażerów stanowili tego dnia irlandzcy wycieczkowicze wybierający się całymi rodzinami na objazd Walii i Anglii lub brytyjscy wracający do domu. Było też trochę pieszych podróżnych, ale zdecydowanie przeważali wśród nich studenci i plecakowcy. Rawi i Szakira nie pasowali do tł. Nie było już jednak rady, wspięli się więc do salonu pierwszej klasy i zamówili na obiad zapiekane kanapki i kawę.

Morze było spokojne i poduszkowiec rwał ku odległemu o pięćdziesiąt mil morskich brzegowi angielskiemu jak lampart, wyprzedzając powolny jak błotny bawół tradycyjny prom motorowy. Port Holyhead leży na wyspie Holy, w najbardziej wysuniętym na zachód punkcie Walii, przyległej do większej, trzydziestokilkukilometrowej długości wyspy Anglesey, na której zaczyna się droga krajowa A5 prowadząca w głąb Anglii.

Piesi pasażerowie musieli odczekać, póki z czeluści promu nie wyjadą wszystkie wozy, i dopiero potem pozwolono im wysiąść. Raszudowie znaleźli się pośrodku kolejki do kontroli granicznej. Szakira na tę okazję wybrała trzeci ze swych czterech paszportów, tym razem brytyjski na nazwisko Margaret Adams. Przepuszczono ją bez mrugnięcia okiem. Rawi, wciąż do szpiku kości brytyjski oficer, powiedział „Dzień dobry” tym charakterystycznym tonem, jakiego wyższe sfery używają, gdy chcą wzbudzić respekt w maluczkich. Urzędnik prawie na niego nie spojrzał, tylko skinął głową, dając mu znak, by przechodził dalej.

Bardziej czujna była jednak kamera telewizyjna, nieczuła na damską urodę ani tym bardziej na arystokratyczny akcent. Przekroczenie granicy Zjednoczonego Królestwa zostało przez pannę Adams i pana Charlesa Larkmana, takim bowiem nazwiskiem posługiwał się teraz Rawi, utrwalone na twardym dysku komputera wraz z datą, godziną i nazwą promu.

Z sali odpraw skierowali się prosto do wypożyczalni samochodów, gdzie Szakira wynajęła na miesiąc audi A6, płacąc z góry nową kartą kredytową American Express Gold wystawioną pierwotnie na pracownika ambasady syryjskiej w Londynie; Rawi zarejestrował się na formularzu umowy, okazując angielskie prawo jazdy. Formalności trwały krótko, i po kwadransie mogli już wrzucić swoje torby do bagażnika i z ulgą ruszyli w drogę.

Najkrótsza droga z Anglesey do stolicy wiedzie prosto przez środek północnej Walii i na południe od Liverpoolu przechodzi w autostradę. Ravi wybrał jednak trasę okreśną: najpierw przez walijskie góry na południowy wschód, do Shrewsbury, i stamtąd na południe do Hereford, domu brytyjskiej SAS. Sam nie wiedział czemu; być może był to przejaw tej przemożnej skłonności złoczyńców do powracania na miejsce - w najszerszym tego słowa znaczeniu - zbrodni.

Wtorek, 17 lipca, godz. 17.00. Komisariat Gardy, Skibbereen

Krótko po siedemnastej dwaj oficerowie Scotland Yardu zdecydowali się na konsultację z brytyjskim wywiadem MI6. Było już dla nich oczywiste, że zabójcą O'Connella nie był jakiś miejscowy zbir, tylko człowiek, który niemal na pewno nielegalnie przedostał się w granice Irlandii i w razie potrzeby gotów był bezwzględnie likwidować każdego, kto mu stanie na przeszkodzie. Spotkali już w swojej karierze niejednego takiego specjalistę i z reguły osobnicy ci mieli powiązania z terroryzmem. Nie brakowało ich w IRA, a najwięcej ich było wśród różnej maści dżihadystów.

Zabójstwo farmera z Crookhaven wyróżniało to, że dokonał go ktoś doskonale wyszkolony, prawdopodobnie były komandos. Na to potrzeba lat praktyki; byle rzeźmieszek, choćby miał muskuły Schwarzeneggera, nie potrafiłby tego zrobić tak sprawnie i precyzyjnie. Łącznik z MI6 wysłuchał sprawozdania policjantów z uwagą i przyrzekł, że niezwłocznie sprawdzi pod tym kątem bazę danych.

Agent słowa dotrzywał i w ciągu godziny uruchomił całą machinę dochodzeniową. Skontaktował się ze służbami wywiadowczymi wszystkich trzech rodzajów wojsk, rozmawiał też z dowódcą pułku SAS w Stirling Lines. Wiedziano już ponadto o obecności irańskiego okrętu podwodnego. Sprawa Jerry'ego O'Connella zaczynała nabierać coraz poważniejszego wymiaru.

Tego samego dnia, godz. 14.00. Fort Meade

O dziewiętnastej czasu londyńskiego - czternastej na Wschodnim Wybrzeżu - MI6 przekazało Amerykanom informację o prowadzonym dochodzeniu i dotychczasowych wynikach. To już nie było śledztwo w sprawie lokalnej zbrodni, ale wstępne postępowanie na wypadek wtargnięcia na Wyspy Brytyjskie nieznanego terrorysty. Jimmy Ramshawe, który wyszedł już z pracy i był z Jane w swoim mieszkaniu w Watergate, odebrał telefon od oficera

dyżurnego w NSA z powiadomieniem, że jego kolega z FBI ma pilną sprawę. Natychmiast zadzwonił pod podany numer i wysłuchał długiej relacji o wydarzeniach w Irlandii, o zaangażowaniu Special Branch i o całym zamieszaniu, jakie się wokół tej sprawy wytworzyło.

- Orientujesz się dlaczego? - spytał niewinnie Jimmy, ledwo opanowując podniecenie.

- Owszem. Otóż ten biedak zginął od uderzenia, jakie może znać i stosować tylko żołnierz sił specjalnych. Mowa o wysokim poziomie, jak SAS czy nasze Foki.

- Wiedziałem! - wykrzyknął Ramshawe i klepnął się w udo.

- Jak to wiedziałeś? Niby skąd?

- Wiedziałem, że w Irlandii musi się dzieć coś niezwykłego.

- Że już nie wspomnę o Wirginii. Jim, człowieku, myśmy ostatnio więcej ludzi obdzwonili w twojej sprawie niż we własnych! Carla Martin, Maureen Jak-Jej-Tam, Aer Lingus, „Shelbourne”, biura paszportowe, obce ambasady... Ale muszę ci przyznać, stary, że coś w tym może być.

- Co ty powiesz! No brawo, nareszcie! - zakpił Ramshawe.

Podziękował jednak wylewnie za informacje. Od razu zatelefonował do Arnolda Morgana i po raz kolejny wyłożył mu swoje „niepowiązane fakty”, coraz wyraźniej potwierdzające jego pierwotne obawy i podejrzenia. Teraz jednak miał - tak w każdym razie sądził - owo spajające wszystko ziarenko prawdy, którego brak przed kilkoma godzinami tak opryskliwie wytknął mu Wielki Człowiek. Z satysfakcją zrelacjonował mu nowinę o tropie wskazującym na siły specjalne.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jakiś komandos wyskoczył z tej irańskiej jednostki i stuknął poczciwego rolnika w drodze do Londynu, gdzie zamierza się na mnie zacząć?

- Niezupełnie. Ale tak się składa, że wprawnie władająca kindżalem syryjska agentka z premedytacją podbiła serce twojej teściowej i zniknęła z powierzchni ziemi, uzyskawszy od niej wcześniej twoje plany urlopowe włącznie z datą przylotu i rezerwacją hotelową. Jestem pewien, że odleciała stąd do Irlandii, gdzie oto ni stąd, ni zowąd pojawia się irański podwodniak, wysadza na brzeg agenta, który likwiduje niewygodnego świadka i też się zapada pod ziemię. Teraz prawdopodobnie oboje razem albo z osobna podróżują do Londynu, gdzie będą mieli sporo czasu na przygotowania, zanim ty trzydziestego pierwszego zajdziesz pod hotel „Ritz”.

- Pomału, chłopcze. W twojej teorii wciąż jest za wiele dziur, a za mało rzeczywistych powiązań. Zgadzam się, że śmierć tego farmera ma znaczenie i rzeczywiście wygląda na to, że zabójca mógł przybyć z morza, to znaczy... tak, tak, z tego twojego podwodniaka.

- Arnie, czy pójdziesz za moją radą i odwołasz albo choć przełożysz wyjazd?

- Do diabła, nie! Będę pod dobrą ochroną. Nic mi się nie stanie. Nie możesz dać im sobą kierować, brachu, bo wtedy oni już wygrali. A tego chyba nie chcemy, prawda?

Rozmowa skończona. Jimmy nie miał więcej argumentów i był bezsilny wobec uporu admirała. Postanowił teraz zmusić szare komórki do wydedukowania, kto mógł zamordować Jerry'ego O'Connella. Usiadł przed komputerem i otworzył listę najgroźniejszych bliskowschodnich terrorystów, poszukiwanych za zbrodnicze ataki w Izraelu, Jordanii, Iraku, Afganistanie i na terenie wielu innych państw. Czy któryś z nich został przetrzucony do Irlandii przez Irańczyków? I dlaczego właśnie tam? Arnie na Szmaragdową Wyspę się nie wybiera. Starł się wyobrazić sobie, jak on by się zabrał do planowania zamachu. No to tak... Mam zabić Wielkiego Człowieka w „Ritzu”. Najprościej będzie go zastrzelić. Z czego?... Wiadomo: ze snajperskiego karabinu z celownikiem optycznym. Gdzie go zdobyć?... Oczywiście już na miejscu, bo o przemyceniu broni przez granicę nie ma co marzyć, kontrola na lotniskach i w portach jest zbyt dokładna. Złapaliby mnie z czymś takim i do końca życia nie wyszedłbym z mamra.

- Czy mogę spytać, dlaczego rozmawiasz sam ze sobą? - Głos Jane przedarł się do niego przez grubą filtr skupienia. - Nie odpowiadaj, już wiem. Tracisz zmysły z przepracowania!

- Ja nie rozmawiam z sobą, kobieto, tylko przetwarzam informacje. Formułuję strategię.

- Aha. Bo dla mnie to wyglądało na ożywioną jednoosobową konwersację.

- Pozory lubią mylić, kochanie ty najdroższe. Patrz w serce, nie na moje szlachetne rysy.

- Uważaj, żebym ci ich nie porysowała. No więc, cóż to za strategia?

- Zaraz cię zaangażuję do współpracy. Wyobraź sobie, że jesteś terrorystą i próbujesz się dostać do Anglii, żeby kogoś zlikwidować. Bez broni, za to z paszportem. Jak to zrobisz?

- Normalnie. Kupię bilet i polecę.

- Źle. Zarejestrują cię kamery na lotnisku. Oni tam mają niewiarygodnie ścisłą kontrolę. Każdy, kto przekracza granicę na Heathrow, zostaje sfotografowany, zidentyfikowany i trafia do komputerowego archiwum. Pamiętaj, że po zabójstwie musisz się jeszcze stamtąd wydostać.

- Dobra, to w takim razie wjadę promem z jakiegoś innego kraju. W portach nie ma aż tak surowej kontroli.

- Okay. Skąd wypłyniesz? Z Francji, Holandii, Belgii?

- Powiedzmy, że z Francji.
- A skąd się tam weźmiesz?
- Jak to skąd? Przylecę samolotem.
- I znów trafisz na gęste sito ochrony. Podobne zasady.
- Trudno, zdaję się na ciebie. Którędy mam zatem wjechać do tej Anglii?
- Promem, zgadza się, ale z Irlandii, do której też trafisz drogą morską. To zawsze był miękki wariant. Oni tam między sobą od dawna mieli ruch bezwizowy i niepotrzebne były nawet paszporty, wystarczył normalny dowód osobisty. Dzisiaj można podróżować jeszcze swobodniej, jeśli się jest obywatelem Unii Europejskiej.
- A czemu miałabym wlec się do Irlandii statkiem zamiast jak normalny człowiek samolotem?
- Odpada, bo jednak lotniska wszędzie są bardziej pilnowane. Wybrzeża nie da się tak ochraniać. To tysiące kilometrów linii brzegowej, z zatokami, rybackimi wioskami, marinami, a Irlandczycy mają bardzo słabą morską straż graniczną. Lądować można tam niemal w dowolnym miejscu. Co innego Wielka Brytania... Tam czyhają Royal Navy, Coast Guard, rozbudowana służba celna, wydział narkotyków, no i służby antyterrorystyczne. Tam potencjalny szpieg znacznie łatwiej może wpaść.
- Dla zamachowca jedyną drogą jest zatem wynurzyć się z morskiej pianki w jakiejś cichej irlandzkiej zatoczce, wsiąść na prom do Anglii i gotowe?
- Tak to właśnie wygląda.
- I myślisz, że tak właśnie zrobiła Carla Martin?
- Nie, ona nie jest zabójczynią, choć Matt Barker byłby innego zdania. Chodzi o jej towarzysza. Człowieka, który zamordował Jerry'ego O'Connella.

Tego samego dnia, godz. 23.00. Belgrave Square, Londyn

Po długiej podróży przez pół Anglii Raszudowie wreszcie dotarli do celu. Zajęło im to siedem godzin, co należy uznać za świetny wynik, jako że Rawi nie chciał się trzymać jedynie autostrad. Uznał, że gdyby ktoś ich zauważył i rozpoznał albo w inny sposób wpadł na ich trop, o wiele trudniej byłoby policji zorganizować poszukiwania w rozległej sieci drugorzędnych szos niż na łatwej do patrolowania trasie szybkiego ruchu.

Opuściwszy Anglesey, sunął krajową piątką aż do Shrewsbury, ominął Birmingham i na południe od miasta skręcił na autostradę M5, przecinającą Herefordshire - tereny, które kiedyś znał jak własną kieszeń. Na zjeździe numer 10 odbił na drogę A40, wijącą się przez

Cotswold, jeden z najpiękniejszych regionów Anglii. Jeszcze przed zmierzchem dotarł do obwodnicy Oksfordu i skierował się na prowadzącą prosto do serca Londynu autostradę M40. Już w mieście skorzystał ze zjazdu na Holland Park; w tej części miasta orientował się lepiej niż w Damaszku. Błyskawicznie przedostał się do Knightsbridge, skręcił w prawo przy Harrodsie i po chwili podjechał na Belgrave Square, pod posesję z numerem ósmym, gdzie mieściła się ambasada Syrii.

Ledwo zatrzymał wóz, z furtki wyskoczyli dwaj ochroniarze.

- Generale, proszę szybko do środka! Samochodem i bagażem my się zajmujemy.

Rawi i Szakira wbiegli na schody ganku, podczas gdy jeden ze strażników wyciągnął ich rzeczy z bagażnika, a drugi usadowił się za kierownicą, by wjechać do podziemnego garażu za rogiem przy Motcombe Street, gdzie ambasada miała sporo zarezerwowanych miejsc. Dwoje terrorystów przebywało pod gołym niebem niecałe siedem sekund.

W holu czekał już na nich sam ambasador z małżonką i attache wojskowym. Był tam też attache kulturalny, który na kulturze znał się mniej więcej tak jak Dzyngis-chan - prawdziwym powołaniem Ahmeda był terror i szpiegostwo; dopiero co wrócił z Izraela, gdzie zorganizował udany zamach bombowy na ambasadę USA.

W jadalni czekał stół nakryty na sześć osób. Ambasador poprosił gości, aby zasiedli bez przebierania się (co Rawi uznał za uprzejmość, oboje nie bardzo bowiem mieli się w co przebrać na tę okazję), po czym - wbrew nakazom Proroka - osobiście nalał do kieliszków dobrego bordeaux. Dobór miejsc przy stole klócił się nieco z regułami dyplomatycznego savoir-vivre'u - ambasador usiadł u szczytu, mając po bokach oboje gości; jego żona Lani zajęła krzesło po lewej ręce Szakiry, Ahmed obok generała i attache wojskowy naprzeciwko gospodarza. Była to jednak bardziej narada robocza niż oficjalna kolacja, a Lani zaproszono tylko jako wyraz kurtuazji wobec Szakiry.

Nikt się nie bawił w lekką konwersację; od razu przystąpiono do omawiania bieżącej operacji. Syryjczycy mieli pełną świadomość celu przybycia generała Raszuda. Nigdy zbytnio nie kochali Amerykanów, a wybuch bomby na ulicy Bab Tuma w Damaszku był jak wetknięcie kija w mrowisko. Każdy z obecnych wiedział, że za tym zamachem stał admirał Arnold Morgan, i wszyscy czuli się wręcz zaszczytzeni, że szefostwo Hamasu właśnie do nich zwróciło się o zapewnienie kwatery i wsparcia logistycznego legendarnemu bojownikowi, który miał wreszcie uwolnić dżihad od tego jankeskiego Księcia Ciemności.

- Ma pan już dokładny harmonogram? - spytał Rawiego ambasador, mężczyzna wyjątkowo elegancki, odziany w letni garnitur skrojony przez Huntsmana z Savile Row - osobistego krawca księcia Karola.

- Mam, dzięki Szakirze. Jutro muszę odwiedzić rusznikarza. Na zaplanowanie wszystkiego, włącznie z moją ewakuacją... najpierw z Piccadilly, potem z Anglii... zostały nam raptem dwa tygodnie.

- Dokumenty są już gotowe, transport też - odrzekł dyplomata. - Wszystko będzie zależało od precyzyjnej koordynacji każdego posunięcia.

- Tak to zwykle bywa.

- Proszę tylko nie spudłować - rzucił Syryjczyk scenicznym szeptem i uśmiechnął się szeroko.

- Ja nie pudłuję - odparł oschle Raszud.

Środa, 18 lipca, godz. 9.00. Komenda Główna Gardy, Dublin

Starszy detektyw McDwyer przeglądał zapisy zeznań pracowników kolei i linii autobusowych. Podjęte przez Rawiego środki ostrożności nie na wiele się zdały i Garda zdołała prześledzić całą jego skomplikowaną trasę aż do Dublina. Dlatego też Ray przeniósł się do biura w komendzie głównej, zakładano bowiem, że zabójca jeszcze może być w mieście.

Poszukiwanego mężczyznę widziało wielu świadków, ale tylko dwie osoby miały okazję przyjrzeć mu się bliżej i zamienić z nim kilka słów. Jedną z nich był kasjer z dworca Waterford, ale choć sama sytuacja dobrze mu się wbiła w pamięć - niecodziennie trafiał mu się klient, który by zapomniał, fujara jedna, wziąć aż dwudziestu dwóch euro reszty - ale nie zapamiętał dokładnie rysów jego twarzy. O wiele przydatniejszym świadkiem okazał się Mick Barton, barman z „Shamrock Cafe”, który obsługiwał nieznanego w dzień zabójstwa i mógł opisać jego wygląd, ubranie i plany na najbliższą przyszłość, czyli wyjazd międzymiastowym autobusem do Cork o ósmej rano spod hotelu „Eldon”. Joe Carey zajrzał do niego i uprzejmie zapytał, czy Mick byłby gotów udać się do Dublina i przejrzeć zapisy z kamer monitoringowych w celu rozpoznania owego nietypowego klienta.

- Coś ty, Joe! Ja tu jestem zajęty zarabianiem na chleb i nie zamierzam tracić czasu na jakieś tam gonitwy za cieniem jak ty.

Carey pogodnie założył mu przyjacielskiego nelsona i wyjaśnił, że sprawa jest poważna. Barton odparował groźbą podania policji do sądu za uszkodzenie kręgów szyjnych i straty moralne.

- Wybulicie milion jak nic.

- O, kurczę... w takim razie może załatwimy to polubownie. Co byś powiedział na

przejażdżkę helikopterem do naszej pięknej stolicy i wynagrodzenie za pomoc władzom w wysokości podwójnej dniówki?

- Załatwione - skwapliwie zgodził się Mick. - Kiedy?

- Jutro o ósmej. Spotykamy się tu, na rynku.

- A gdzie będzie ten helikopter?

- Na łące za piekarnią.

- Dobra. Ale... niech to diabli, Joe... jednak jutro nie mogę. Mam wizytę u dentysty.

- Jasne. - Posterunkowy Carey westchnął i przewrócił oczami. - Okay, niech będą trzy dniówki.

- Namówiłeś mnie. Jakoś jeszcze wytrzymam bez tej plomby. To do jutra?

- Ano, do jutra, ty chytry lisie. Chciwość cię kiedyś zgubi, zapamiętaj moje słowa...

Czwartek, 19 lipca, godz. 9.00. Dublin

Mick Barton rozkoszował się atencją okazywaną mu przez mundurowych - sowite honorarium, lot prawie spod domu, dojazd z lądowiska do komendy głównej wygodnym nieoznakowanym samochodem. Zaprowadzono go do pokoju na pierwszym piętrze, gdzie Ray McDwyer powitał go wesołym „Się masz, Mickey”. Pod ścianą ustawiony był projektor cyfrowy, a naprzeciwko rozwieszono zwijany ekran.

- Dobra, chłopcze, zabieramy się do pracy. Pokażemy ci masę ludzi przechodzących przez kontrolę osobistą w hali odlotów międzynarodowych dublińskiego lotniska. Twoim zadaniem będzie wskazanie wśród nich faceta, którego w poniedziałkowy poranek poileś sokiem pomarańczowym.

- Czy dostanę premię, jak go znajdę? - spytał Barton z błyskiem w oku.

- Absolutnie nie - zgasił go Ray. - Wybrałbyś kogoś na chybił trafił, żeby zgarnąć ekstra forszę.

- Ja? Szefie, za kogo mnie pan ma?

- Za spryciarza, którego znam tylko jakieś osiemnaście lat. Żadnych premii.

Mick parsknął śmiechem, czując się w gruncie rzeczy mile połączony tym brakiem zaufania - w końcu uważał się za twardego negocjatora. Szybko jednak spoważniał i rzekł:

- Dobra, szefie, dawajcie ten film. Jeśli on tam jest, poznam go. Brunet, postawny, czarna koszulka. Jedziemy.

Projektor rozjarzył się ostrym światłem i na ekranie zaczęły się przesuwać sylwetki podróżnych. Chłopak siedział w milczeniu, od czasu do czasu prosząc o zatrzymanie klatki

albo przewinięcie do tyłu. Pracował solidnie przez trzy godziny, z jedną tylko przerwą na kawę, której pierwszy łyk odbił się pytaniem, czy komenda główna zamawia ją w cateringu z czyścica. Spotkało się to z pełnym zrozumieniem i wzbudziło powszechną wesołość, czego się Mick - jako samozwańczy pierwszy komediant Skibbereen - spodziewał.

Przyjrzał się setkom pasażerów, znalazł paru potencjalnych kandydatów, ale ostatecznie wszystkich odrzucił.

Na obiad przyniesiono mu kanapki i lody, po czym rozpoczęła się kolejna sesja, tym razem z materiałem z monitoringu brytyjskich portów promowych. Zgodnie z oczekiwaniami, gros pasażerów przybywających z dwóch dublińskich przystani, Dun Laoghaire i Dublin Port Terminal, stanowili młodzi turyści z plecakami - obdartusy, jak ich ochrzcił barman; wszystkim przyglądał się jednak z uwagą.

Do piętnastej nie było pozytywnego rezultatu. Na ekranie przewijała się siódma płyta z Holyhead, kiedy Mick po raz pierwszy poprosił o cofnięcie, a potem o stop-klatkę. Podeszedł bliżej, przyjrzał się uważniej, po czym pokazał palcem mężczyznę w trykotowej koszulce pod brązową kurtką, któremu towarzyszyła bardzo urodziwa kobieta, trzymająca się nieco z boku.

- Mam to powiększyć? - spytał operator.

- Dobry pomysł. Najedź na tego gościa.

Sylwetka na ekranie urosła do naturalnych rozmiarów. Teraz było widać wyraźnie, że wierzchnie okrycie jest uszyte z zamszu lub podobnego materiału.

- To on, bez dwóch zdań - stwierdził autorytatywnie Barton.

- Jesteś pewien? On ma na sobie biały T-shirt, nie czarny.

- Szczerze mówiąc, mój drogi, guzik mnie to obchodzi. - Mick sparafrazował nieśmiertelną kwestię Clarka Gable'a w roli Rhetta Butlera. - Mógłby sobie nałożyć różowe bikini, a i tak bym go poznał. To ten sam spragniony palant, co to nie umiał sam sobie znaleźć przystanku na przelotowej ulicy naszego pocziwego Skibbereen. - Ray zachichotał, barman zaś dorzucił: - I powiem wam coś jeszcze, już w ramach promocji. Palant czy nie, ale laseczkę sobie przygruchał pierwsza klasa.

Rozdział 10

Ray McDwyer wpatrywał się w fotografię człowieka, który prawdopodobnie zabił Jerry'ego O'Connella. Zastanawiał się, czy może ufać młodemu barmanowi, na którego pamięci i rzetelności opierała się teraz cała sprawa. Ogarnęły go mieszane uczucia. Chłopak najwyraźniej był pewien swego; jeżeli się nie myli, to mordercy nie ma już w kraju - o czternastej odpłynął promem do Anglii i teraz może być gdziekolwiek wśród jej sześćdziesięciomilionowej ludności. Właściwie rola starszego detektywa McDwyera na tym się zakończyła. Zabójca opuścił Irlandię i teraz można było tylko rozesłać jego podobiznę do wszystkich możliwych instancji w nadziei, że ktoś go gdzieś na świecie zidentyfikuje.

W dobie poczty elektronicznej nie nastęcza to oczywiście żadnych trudności. Ray polecił jednemu z techników wyretuszować cyfrowe zdjęcie do najlepszej możliwej jakości i przekazać do Scotland Yardu, MI5 i MI6, Interpolu, CIA i FBI, a także Mosadu. Każda z tych instytucji podrzuci fotkę dalej zgodnie ze swoimi procedurami i w parę godzin obejrzą ją wszystkie zachodnie służby specjalne. Starszy detektyw McDwyer nominalnie pozostanie odpowiedzialny za sprawę zabójstwa w Crookhaven, ale nie ma już przy niej nic do roboty - przynajmniej dopóki ktoś nie aresztuje podejrzanego i nie odstawi go do dyspozycji irlandzkiego wymiaru sprawiedliwości. Tymczasem mógł spokojnie wrócić do Skibbereen. Uprzejmie zapytał Micka Bartona, czy może się z nim zabrać helikopterem.

- Jakoś to zdzierzę - odparł niepoprawny wesołek. - Ale trzeba panu wiedzieć, szefie, że będzie pan pierwszy. Nikogo dotąd śmigłowcem nie wozilem...

Dwie godziny później zadowolony z siebie i wypłaty barman maszerował już dziarsko do swego domu na przedmieściu, a Ray wchodził do biura w komisariacie. Nie podejrzewał, że zainicjowana przez niego dystrybucja fotografii zabójcy z Crookhaven wywoła nielichą burzę w odległym o ponad cztery tysiące kilometrów Tel Awiwie.

Czwartek, 19 lipca, godz. 21.00. Kwatera główna Mosadu, Tel Awiw

Pułkownik Ben Joel, dowódca zespołu, który w lutym obrócił w gruzy damasceńską willę generała Raszuda, siedział wraz z dwójką swoich najbardziej zaufanych oficerów, majorem Izaakiem Szermanem i podpułkownikiem Johnem Rabinem, nad ostatnim tego dnia

zadaniem: rutynowym przeglądem najświeższych fotografii podejrzanych typów z galerii wywiadowczej międzynarodówki Zachodu, szukając wśród nich osób ściganych za przestępstwa przeciwko Izraelowi. Myślamy byli już w jednej z knajpek przy placu Dizengoff, kiedy wpatrzony w parę ostatnich zdjęć Joel nagle wykrzyknął:

- Ki diabeł? Spójrzcie tylko, kogo tu mamy!

Podniósł dwoma palcami wydruk formatu A4, przedstawiający Rawiego i Szakirę Raszudów w terminalu promowym Holyhead. Według nadruku na skraju plik nadszedł przed półgodziną z brytyjskiej MI6 z prośbą o identyfikację. Trudno o właściwszego adresata! Wszyscy obecni nie dalej jak przed pięcioma miesiącami brali udział w kosztownej, precyzyjnie zaplanowanej operacji w celu zlikwidowania tej pary. Przegrali wskutek nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności, ale nikt nie znał lepiej rysów twarzy palestyńskiego generała niż ci trzej oficerowie, a zwłaszcza pułkownik Joel. Żaden z nich nie miał najmniejszych wątpliwości, że nadesłane z Londynu zdjęcie przedstawia właśnie Rawiego Raszuda z żoną. Dla absolutnej pewności Joel wyszukał jeszcze w komputerze dotychczasowe fotografie - własnej produkcji z Damaszku i trzy fotki amerykańskie zrobione parę lat wcześniej na Wyspach Kanaryjskich. Wszyscy zgodnie uznali, że przedstawiają jedną i tę samą osobę.

Ben otworzył e-maila od MI6. W zasadzie było to sporządzone przez Raya McDwyera podsumowanie sprawy zabójstwa niejakiego O'Connella w hrabstwie Cork, o które sfotografowany w Holyhead człowiek jest podejrzany. W raporcie znalazła się też wzmianka o tym, że osobnik ów mógł wylądować z namierzonego u brzegów Irlandii irańskiego okrętu podwodnego.

Wywiad izraelski naturalnie wiedział o pobycie „901” u wybrzeży Libanu i śledził go jeszcze pilniej niż Amerykanie, choć tylko przez satelity. Ich bystre elektroniczne oczy odprowadziły go aż na Morze Albozańskie, gdzie zniknął w głębinie i więcej się nie pokazał, z czego wysnuto słuszny wniosek, że musiał wypłynąć na Atlantyk.

Pułkownik Joel niezwłocznie wysłał sygnał POSIDENT, pozytywnej identyfikacji, do wszystkich wydziałów Mosadu oraz do wywiadu wojskowego, a przede wszystkim do Szin Bet, służby kontrwywiadowczej. Nikomu w tej chwili tak nie zależało na dopadnięciu generała Raszuda, jak właśnie jemu, niedoszłemu egzekutorowi.

Tymczasem w Wielkiej Brytanii fotografia Rawiego i Szakiry także krążyła swoimi torami. MI6 przekazało ją między innymi do wywiadu armijnego, z kopią do sztabu SAS w Stirling Lines, gdzie ongiś major Raymond Kerman służył z honorem i odwagą. Poczta nadeszła wieczorem i normalnie nikt by się nią nie zainteresował aż do rana, gdyby nie pilny

komunikat z dowództwa izraelskich sił specjalnych, który około dwudziestej drugiej trafił do dyżurnego oficera pułku. Zgodnie z procedurą młody porucznik natychmiast powiadomił dowódcę.

Komunikat brzmiał następująco:

POSIDENT. Dotyczy zdjęcia z monitoringu w porcie Holyhead. Mężczyzna zidentyfikowany jako generał Rawi Raszud, wojskowy szef Hamasu, znany dawniej jako mjr Raymond Kerman, 22. pułk SAS. Towarzysząca mu kobieta to jego żona Szakira Raszud. Ostatnio zamieszkali w Damaszku, ul. Bab Tuma. Raszud jest poszukiwany za morderstwo w Irlandii. Ofiara: Jerry O'Connell, miejscowy rolnik, zabity klasyczną metodą sił specjalnych - strzaskana czaszka i kość nosowa wbita w mózg. Raszud prawdopodobnie przebywa w Anglii. Oferujemy pomoc w razie potrzeby.

Carter służył kiedyś z Kermanem podczas misji w Sierra Leone i dobrze go pamiętał. Wystarczył mu rzut oka na ścienny monitor z wyświetloną fotografią, by orzec: „To Ray, nie mam wątpliwości”. Wrócił do biura i wezwał swego zastępcę, majora Douglasa Jaryisa. Żaden z nich nie był w Herefordshire w 2004 roku, kiedy major Kerman zdezerterował, ale obaj dobrze znali ciężar gatunkowy jego późniejszej działalności, poczynając od morderstwa dwóch cenionych podoficerów, jego własnych przybocznych odkomenderowanych wraz z nim do Izraela, a kończąc na przypisywanych mu spektakularnych akcjach na rzecz Hamasu. Jego nazwisko odcisnęło się najbardziej haniebną plamą na historii pułku.

Major Jarvis przeczytał wiadomość od Izraelczyków i wykrzyknął:

- Jezu, on jest w kraju!

- Powiedzmy, że był, kiedy ten prom wpłynął do Holyhead - odparł Carter. - Kto wie, dokąd się dalej udał...

- Co robimy?

- Na razie możemy najwyżej potwierdzić ten POSIDENT. Wyślij wiadomość do MI6, a oni już to przerzucą gdzie trzeba.

- Czytał pan ten kawałek, gdzie mowa o morderstwie w Irlandii, sir?

- Jeszcze nie. Co tam znalazłeś, Doug?

- Wygląda na to, że sprawca posłużył się naszym patentem z rozbiciem kości czołowej i wepchnięciem nosa ofiary w jej szare komórki. O ile pamiętam tę historię z Kermanem, właśnie w ten sposób załatwił sierżanta Freda O'Hare.

- Osiem lat nam się wymyka. Wiesz, Doug, w tym chyba właśnie jego słabość. Zrobił się zbyt pewny siebie i sądzi, że może nas tak kiwać w nieskończoność. Wkrótce popelni jakiś

błąd.

- Myśli pan, że go znajdziemy?
- To możliwe. Przy odrobinie szczęścia...

Czwartek, 19 lipca, godz. 16.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Komunikat z Mosadu wylądował na biurku komandora porucznika Ramshawe'a o szesnastej, przekazany do Fort Meade przez CIA. Tuż potem rozdzwonił się telefon; o dostrzeżeniu generała Raszuda w Anglii donieśli mu kolega z Langley i oficer dyżurny wywiadu wojsk lądowych.

Dla Jimmy'ego byłaby to chwila triumfu, gdyby nie złowrogi wydźwięk całej sprawy. Ten jeden suchy e-mail odpowiedział mu na wszystkie kołaczące mu się po głowie pytania - poza jednym. Teraz musiał tylko sprawdzić, czy kobieta ze zdjęcia to Carla Martin.

Tego mógł się dowiedzieć tylko od paru osób: Emily Gallagher, Jamesa Caborna i ewentualnie kolegów Matta Barkera. Zgarnął z biurka fotografię wraz z korespondencją i niemal biegiem ruszył do dyrektora. Kontradmiral Morris akurat przeglądał z nostalgią byłego dowódcy liniowego nowe wydanie wojennomorskiego magazynu „Jane's International”, kiedy jego asystent bez pukania wtargnął do gabinetu.

George Morris potrafił w mig rozpoznać, kiedy sytuacja jest nagląca, a kiedy nie usprawiedliwia podobnego zachowania.

- Przyhamuj, młodzieńcze - powiedział cicho. - Co się dzieje?
- Wszystko naraz, sir. Pamięta pan, jak mówiłem o grupie terrorystycznej planującej zamach na admirała i Morgana?
- Pewnie, że pamiętam.
- No więc sprawa się skryształizowała. Wszystkie elementy wreszcie zaczęły do siebie pasować. Nie zgadnie pan, kto za tym stoi.
- To mi powiedz od razu.
- Hamas. Generał Rawi Raszud i jego połowica. Proszę spojrzeć na to zdjęcie - rzekł, podając przełożonemu wydruk.
- Tak, pamiętam te rysy. To on. Jej nigdy nie widziałem. Wiesz co, Jimmy? Streść no mi jeszcze raz tę swoją teorię.

Ramshawe pokrótce przedstawił swoją rekonstrukcję ciągu wydarzeń zakończonego zniknięciem Carli Martin z informacjami na temat planów wyjazdowych Wielkiego

Człowieka, następnie opisał podróż Raszuda do Irlandii, zabójstwo farmera i poszukiwania sprawcy, którego trop urwał się na przystani promowej w Holyhead.

- No i tu ich właśnie mamy - zakończył, wskazując zdjęcie. - Po spotkaniu w Dublinie oboje wjeżdżają do Anglii, gdzie nasz Rawi postara się odstrzelić Arniemu głowę i zwiąć, zanim się ktokolwiek połapie.

- Tak, wygląda to sensownie. - Dyrektor NSA pokiwał głową w zamyśleniu. - Co więc zamierzasz dalej robić? Domyślam się, że masz jakiś pomysł.

- Sir, muszę zdobyć pewność, że ta kobieta obok Raszuda jest Carlą Martin z hotelu „Estuary”.

- I to takie trudne?

- Najłatwiejsze pod słońcem, bylebym się szybko dostał do Brockhurst. Mogę wziąć śmigłowiec?

- Możesz. I wobec tego spotykamy się jutro rano, żeby zaplanować jakieś własne przeciwdziałanie. Trzeba by powstrzymać Arniego od wyjazdu.

- Powodzenia, sir. On nie przyjmie tego spokojnie. No, to znikam, czas nagli.

Po godzinie Jimmy wysiadał już z maszyny na nadrzecznej łące w północnej części miasteczka. Pierwsze kroki skierował do domu pani Gallagher; jeśli zastałby ją w domu, z pewnością udałoby mu się też nakłonić właściciela hotelu, aby do nich dołączył.

Stało się tak, jak przewidywał. Emily przywitała go ciepło i zaraz zabrała się do parzenia herbaty. Kiedy już imbryk był pełen i przykryty pikowanym kapturkiem dla zachowania temperatury, włożyła okulary i spojrzała na przywiezione przez gościa zdjęcie.

- Ależ tak, to właśnie moja Carla! - wykrzyknęła. - Gdzieżeście, u licha, zrobili jej tę fotkę? Dziewczyna nawet do mnie nie zadzwoniła, wyobraź sobie. Było mi naprawdę przykro.

Zatelefonowała do hotelu i poprosiła Jima Caborna, by się u niej zjawił. Hotelarz obiecał, że zaraz przyjdzie, i dziesięć minut później Ramshawe miał drugie potwierdzenie. Siedzieli potem we troje, popijając aromatyczny napar. Jimmy wyjaśnił im, że ich znajoma jest w rzeczywistości żoną znanego arabskiego terrorysty i sama należy do jego organizacji. Emily i Caborn byli wstrząśnięci, ale zarazem wdzięczni za wiadomość, która ostatecznie wyjaśniła zagadkę fałszywej panny Martin i jej zniknięcia. Pani Gallagher nie mogła wprawdzie zrozumieć, dlaczego Carla posunęła się do zabicia Barkera, skoro mogła go tylko obezwładnić; Jimmy starał się jej wyjaśnić sposób myślenia terrorystów i że Carla, to jest Szakira, nie mogła ryzykować przedłużającej się utarczki z silniejszym od siebie mężczyzną i ewentualnego rozgłosu, nie mówiąc już o policyjnym dochodzeniu. Emily trafiło to do

przekonania, choć wciąż nie mogła uwierzyć, że tak miła i uczynna dziewczyna może tak naprawdę być kimś zupełnie innym.

Jimmy dopił herbatę i pożegnał się. Nie planował rozmowy z detektywem Segelem, który nie mógł wnieść nic nowego do sprawy, jako że sam nigdy Szakiry nie widział. Postanowił poinformować go o wszystkim nazajutrz telefonicznie i wrócił do czekającego śmigłowca.

Wszystkie jego podejrzenia się sprawdziły. Co teraz? Ano, niewiele. Jimmy przypuszczał, że Anglicy wszczęli już poszukiwania obojga delikwentów w całym kraju, ale wątpił, by przyniosło to rezultaty. Z jego punktu widzenia jedynym sposobem zażegnania niebezpieczeństwa było wymuszenie na Arnoldzie rezygnacji z wyjazdu - na to zaś nie miał już nadziei, niezależnie od zdobytych nowych dowodów, że Hamas z całą pewnością zamierza go zlikwidować.

Pograżony w niewesołych rozmyślaniach ani się spostrzegł, kiedy helikopter lądował już na płycie przed głównym budynkiem Fort Meade. Do biura nie miał już po co wracać, udał się więc od razu na parking i pojechał do domu, gdzie czekała na niego Jane. Powitała go czułym pocałunkiem i wiadomością, że obrabowała kuchnię ambasady z dwóch najlepszych nowojorskich befsztyków wołowych i zaraz je upiecze na ruszcie na balkonie, podczas gdy on będzie sobie popijał piwo i przemawiał do rozsądku swojemu upartemu admirałowi.

Befsztuki wyszły idealnie, a rozmowa z Morganem potoczyła się zgodnie z przewidywaniami obojga. Arnold nie chciał słyszeć o odwołaniu podróży, choćby w Londynie czekało na niego pięciu sklonowanych Rawich Raszudów.

- Nie można żyć pod dyktando tych sukinsynów, chłopcze - oświadczył stanowczo. - Jeżeli ten typ chce mnie wziąć na muszkę, to będzie musiał się przebić przez najlepszą ochronę na świecie. Uprzedzę o wszystkim Secret Service i chłopaki będą gotowi. Sam też będę uważał.

Jimmy pocieszał się, że wiele służb z różnych państw traktuje sprawę Raszuda bardzo poważnie i nie będzie mu łatwo poruszać się po Anglii. Wiedział też jednak, że to przeciwnik wyjątkowy i jego zlekceważenie może mieć fatalne skutki.

Po kolacji usiedli z Jane przed telewizorem, by obejrzeć wiadomości, sącząc dobre porto z ojcowskich zapasów. Po długiej chwili dziewczyna spytała:

- Jim, naprawdę myślisz, że ktoś dybie na życie Arniego?

- Nie ma co do tego wątpliwości, kotku. To już tylko kwestia umiejętności snajpera.

Piątek, 20 lipca. Londyn

Zaraz po śniadaniu jeden z ochroniarzy podstawił samochód - z pracującym silnikiem i uchylonymi drzwiami - pod furtkę ambasady. Jak pierwszego wieczoru, Raszudowie błyskawicznie zbiegli po stopniach i wskoczyli na przednie siedzenia. Rawi ruszył szybko, ale bez pisku opon. Okrążył plac i przez Pont Street wyjechał na Knightsbridge koło Harrodsa. Skręcił w lewo, przeciwnie do gęstniejącego porannego ruchu, kierując się wysadzaną drzewami Cromwell Road ku zachodnim przedmieściom. Ulica przez trzy kilometry biegnie wzdłuż Tamizy, po czym odbija na północ i wtapia się w wiecznie ruchliwą arterię M4 prowadzącą do południowej Walii. Rawi ominął jednak wjazd na autostradę i jechał dalej starą drogą na lewo od szarych filarów estakady Chiswick, ciągnąc dalej wzdłuż Great West Road prosto na zachód. Na skrzyżowaniu z Heston skręcił na północ, zanurzając się w dzielnicy Southall, która wygląda bardziej na przedmieście Kalkuty czy Madrasu niż Londynu - w tej okolicy azjatyccy imigranci stworzyli bowiem przez lata całą etniczną społeczność. Żyją tam od stu lat rodziny hinduskie i pakistańskie, których pierwsze pokolenia przybywały już przed I wojną światową i z determinacją starały się zyskać akceptację i miejsce w brytyjskim społeczeństwie, zachowując jednak własną kulturę. Wielu ich potomków prosperuje w drobnym i większym biznesie; wszędzie tam pełno sklepów, sklepików i warsztatów otwartych o każdej porze dnia i nocy. Southall dzielą lata świetlne od Belgrave Square i West Endu, niemniej i ten świat - pamiątka po imperium - funkcjonuje i tętni życiem.

Rawi jechał prosto wzdłuż Merrick Road, przeciął tory kolejowe przy stacji Southall i zagłębił się w labirynt uliczek z domkami szeregowymi, szukając posesji numer szesnaście.

Okazało się, że to duża wiktoriańska bliźniacza willa z wygodnym podjazdem, na którego skraju stało nowe bmw. Ogród był zaniedbany: trawy chyba nigdy nie strzyżono, krzewy też rosły, jak im się podobało i wyciągały gałęzie daleko na chodnik. Sam dom lśnił za to świeżą farbą, białymi ramami okien i nieskazitelnie czystymi szybami. Rawi zatrzymał wóz przed gankiem, polecił Szakirze zaczekać i po chwili stuknął już do lakierowanych na czarno drzwi.

Otworzył mu starszy mężczyzna o hinduskich rysach, w turbanie i krótkiej szarej kamizelce, w jakiej kamerdyner mógłby się oddawać na przykład polerowaniu srebrnej zastawy.

- Dzień dobry, sir. Pan Spencer, tak?

Rawi skinął głową.

- Proszę za mną.

Służący poprowadził go korytarzem pod wąskie, obite skórą drzwi i wsunął kartę magnetyczną w szczelinę zamka. Otworzyły się z cichym szcęknięciem, ukazując dobrze

oświetlone, prowadzące w dół schody. Gdzieś z piwnicy dobiegł Rawiego melodyjny męski głos.

- Proszę, proszę, panie Spencer. Oczekiwałem pana.

Prendzit Kumar, jak mu powiedziano, był jednym z najlepszych rusznikarzy w całej Anglii. Rawi uścisnął mu dłoń, mierząc gospodarza uważnym wzrokiem, po czym rozejrzał się ciekawie wokoło. Kumar, wysoki i szczupły Bengalczyk, miał na sobie niebieskie robocze spodnie i białą koszulę pod błękitnym swetrem, ledwo widoczne spod długiego zielonego fartucha. Nie nosił turbanu i spoglądał badawczo na gościa przez okrągłe okulary w drucianej oprawie. Oprócz niego w piwnicy nie było nikogo; Rawi dostrzegł jednak trzy oddzielne stanowiska warsztatowe, jaskrawo oświetlone wiszącymi lampami i okryte czerwonym materiałem przypominającym aksamit. Wyglądało to bardziej na pracownię jubilerską niż warsztat produkujący narzędzia śmierci.

- Polecono mi pana jako dobrego klienta - rzekł Hindus. - Rozumiem, że potrzebuje pan egzemplarza nietypowego, dostosowanego do konkretnych wymagań.

- Zgadza się. Chodzi mi o karabin snajperski, najlepiej skonstruowany na bazie austriackiego SSG-69.

- Lubi pan ten stary model? - Kumar się uśmiechnął.

- Właściwie nigdy nie używałem innego.

- Bo i nie ma co szukać lepszego, panie Spencer. To niedościgniony wzór. Nikomu się nie udało zbudować lepszej broni w tej klasie... a wielu próbowało. - Rawi skinął głową, co rusznikarz skwitował kolejnym uśmiechem. - Wiem oczywiście, że nie zadaje się takich pytań, ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym że w poprzednim wcieleniu mógł pan być w SAS.

- W poprzednim pewnie mogłem. W obecnym jednak muszę działać ostrożniej. Myślę, że największym problemem będzie dla pana to, że karabin musi być składany. Powinien się mieścić w neseserze nie większym niż, powiedzmy, trzydzieści na pięćdziesiąt centymetrów i o grubości najwyżej dziesięciu.

- Nie zamierza pan chyba podróżować z nim samolotem?

- Absolutnie nie.

- Przepraszam za to głupie pytanie, ale ja też muszę zachowywać daleko idącą ostrożność. W pewnych kręgach moje rękodzieło jest dobrze znane, a choć pańska broń nie będzie nosiła numeru seryjnego, w interesie nas obu jest, aby pan nie został... hmm... zatrzymany.

- To zrozumiałe. Zapewniam, że ten karabin nigdy nie opuści Zjednoczonego

Królestwa.

- Zdaje pan sobie sprawę, że choć SSG-69 ma magazynek na pięć nabojów, to w sytuacjach... powiedzmy... dynamicznych można liczyć tylko na jeden strzał?

- Owszem. Przeładowywanie jest rzeczywiście dość czasochłonne, ale wynagradza to precyzja. Przy odległości ośmiuset metrów rozrzut nie przekracza czterdziestu centymetrów.

- Miło jest rozmawiać z kimś, kto docenia doskonałość tej marki. Czy ma pan dla mnie zapisane dokładne wymiary?

- Naturalnie. Będę też potrzebował tłumika i celownika optycznego. Preferuję ZFM, powiększenie sześć na dwadzieścia cztery.

- Nie będzie z tym kłopotu. Z zadanych wymiarów neseseru wynika jednak, że długość lufy nie może przekroczyć trzydziestu kilku centymetrów. Wobec tego nie mamy wyboru, musi pan przystać na ręczne przeładowywanie. Na komorę gazową ani żadne inne rozwiązanie, które zapewniłoby samopowtarzalność, po prostu nie będzie miejsca.

- Przewiduję tylko jeden wystrzał.

- Odległość?

- Do stu metrów. Panie Kumar, czy ma pan możliwość nabycia gotowego SSG-69 i przerobienia go według zamówienia?

- W moim fachu ma się możliwość nabycia wszystkiego.

- Kolba też musi być zdejmowana. Czy będzie stabilna?

- Jak najbardziej. Ale zrezygnujemy z fabrycznej. Zajęłaby zbyt dużo miejsca w neseserze. Zrobię dla pana smuklejszą aluminiową, łączoną na gwint. Zmieści się bez problemu.

- Mam nadzieję, że walizeczkę też pan dla mnie wykona.

- Oczywiście. Będzie jak ulał. Muszę zadać jeszcze jedno pytanie. Czy zamierza pan strzelać z pozycji statycznej, czy w ruchu? Wie pan, wtedy trochę inaczej wygląda przeładowanie, gdyby trzeba... poprawić wynik.

- Ze statycznej. I skoro już mowa o szczegółach, to wolę celować w głowę. W ten sposób zyskam kilka sekund, zanim ktokolwiek zlokalizuje wlot pocisku. Trafić w tors jest łatwiej, ale nie ma gwarancji skuteczności, a rana od razu rzuca się w oczy.

- Rozumiem. W takim razie tłumik powinien być maksymalnie efektywny. Wtedy nikt nie usłyszy wystrzału ani nie określi kierunku i będzie pan miał czas na ewentualną poprawkę...

- Panie Kumar, obaj pracujemy w zawodach wymagających precyzji. Jeżeli pański karabin będzie dobrze zrobiony, to ja też poprawiać po sobie nie będę musiał.

- Doskonale, panie Spencer. A zatem, reasumując: zamawia pan ręcznie ładowany karabin snajperski na bazie SSG-69, z lufą skróconą, utwardzoną normalną metodą na zimno, kaliber siedem sześćdziesiąt dwa, prędkość wylotowa osiemset sześćdziesiąt metrów na sekundę, gwarantowana niezawodność.

- Zgadza się. I z opakowaniem.

- Jak chce pan zapłacić? Cena wyniesie... wliczając wszystko, to znaczy koszt zakupu karabinu, robociznę, materiał, naboje ćwiczebne i specjalne bojowe... Nie kiwnę palcem poniżej dwudziestu tysięcy funtów.

- Płatność gotówką na miejscu. - Rawi skinął głową. - Dziesięć tysięcy dzisiaj, reszta przy odbiorze. Ile czasu pan potrzebuje?

- Trzy tygodnie.

- Za długo. Muszę go mieć do następnej soboty rano.

- Panie Spencer... - Kumar otworzył szeroko oczy. - Musiałbym pracować dzień i noc, rzucając wszystkie inne zobowiązania. To by wymagało pewnej korekty ceny.

Raszud popatrzył Hindusowi w oczy. Nawet najlepszym fachowcom niecodziennie trafia się klient płacący bez targu dwadzieścia kawałków, połowę z góry.

- Nie będzie żadnych korekt - odparł stanowczo. - Czas pracy nie ma tu znaczenia. Pan powiedział, ile chce za robotę, ja się zgodziłem i nie obchodzi mnie, czy będzie się pan wysypiał. Dwadzieścia i ani pensa więcej.

- A co będzie, jeśli nie zdążę na ten wyśrubowany termin?

- Będzie nieprzyjemnie. Musiałbym wtedy zrezygnować z zamówienia i znaleźć inne rozwiązanie, zapewne bardziej dla mnie ryzykowne. Uprzedzam, że w takich sytuacjach stosuję tylko jeden rodzaj kary umownej... kula między oczy.

Prendzit Kumar przywykł do załatwiania interesów z najróżniejszymi zbirami z międzynarodowego światka handlarzy bronią, terrorystów i najemników, ale człowiek stojący przed nim w tej chwili był inny niż wszyscy - spokojny, pewny siebie, elegancki, ale w środku czuło się zimno, od którego Hindusa przeszły ciarki.

- Karabin będzie gotowy na czas, panie Spencer.

- Za dwadzieścia tysięcy?

- Tak jest. Przypuszczam, że zechce pan wykorzystać pociski rozpryskowe? Miałby pan wtedy pewność, że cel nie przeżyje strzału w głowę.

- Tak, przydałyby się - potwierdził Rawi.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki kopertę zawierającą dwieście pięćdziesięciofuntowych banknotów i wręczył ją rusznikarzowi, który przyjął przedpłatę z

uśmiechem i pełnym szacunku skinieniem głowy. Bez liczenia. Odprowadził gościa do drzwi frontowych. Podali sobie dłonie, ale Rawi w ostatniej chwili zgłosił jeszcze jedno zapotrzebowanie.

- Panie Kumar, chciałbym, żeby pan załatwił mi także pistolet. Zwyczajny, ale lekki i skuteczny.

- Nie ma problemu. Znajdę coś odpowiedniego. Powiedzmy, że w ramach promocji i bez dopłaty.

- Piękne dzięki. - Raszud uśmiechnął się w duchu na to potwierdzenie, że suma, jakiej spec zażądał, była aż nadto wystarczająca.

Pożegnał się i zszedł do samochodu. Pojechali z Szakirą prosto z powrotem do ambasady, skąd oboje nie zamierzali wyściubiać nosa na ulicę przez najbliższy tydzień.

Tymczasem wieść o wjeździe generała Raszuda do Wielkiej Brytanii krążyła drogą służbową po wszystkich sieciach wywiadowczych. Wydział specjalny Scotland Yardu nie nagłaśniał wprawdzie poszukiwań, ale po cichu robił wszystko, żeby terroryście nie było łatwo wyjechać z kraju.

Fotografia z Holyhead została rozesłana do wszystkich portów lotniczych i morskich. Żołnierzy z 22. pułku SAS, którzy znali majora Kermana, odkomenderowano w sześciuosobowych grupach do obserwacji pasażerów na wszystkich przejściach granicznych z rozkazem odnalezienia go i zatrzymania za wszelką cenę. W miejscowościach, gdzie można się było spodziewać pojawienia ściganego, cofnięto policjantom, celnikom i funkcjonariuszom służb ochrony wszelkie urlopy i zwolnienia. Trzy główne lotniska londyńskie oraz to w Manchesterze zamieniły się w istne twierdze; podobnie było na najważniejszych portach morskich nad kanałem La Manche, gdzie drobiazgowej kontroli poddawano promy, frachtowce, kutry rybackie i prywatne jachty. Większość cywilnego personelu nie miała pojęcia, skąd to nagle zaostrenie rygorów bezpieczeństwa, atmosfera była jednak tak napięta, że wszyscy współpracowali z organami ścigania bez słowa skargi. Wstrzymywano starty samolotów, statki miały nawet po pół doby spóźnienia, ale nikt nie wpadł na żaden ślad generała Raszuda. Jego decyzja zaszycia się na eksterytorialnym terenie dyplomatycznego przedstawicielstwa Syrii okazała się doskonałym wyborem.

Bezsilny był także komandor porucznik Ramshawe z całym swoim rozbudowanym aparatem NSA. Amerykanie mogli tylko wystąpić z ofertą pomocy, gdyby okazała się konieczna, i nic ponadto. Wojskowy szef Hamasu z małżonką pozostawali w ukryciu, Arnold i Kathy Morganowie zaś z każdym dniem byli bardziej narażeni na zamach. Jimmy nie miał już co do tego żadnych wątpliwości.

Przez cały tydzień tylko raz pojawił się nowy ślad.

O szóstej trzydziści czasu londyńskiej stacja nasłuchowa Royal Navy w Gibraltarze wykryła irański Kilo przekradający się powoli przez cieśninę w drodze na Morze Śródziemne, na głębokości stu metrów. Ponownie dał o sobie znać już po drugiej stronie, kilkadziesiąt mil na wschód od Europa Point, już na peryskopowej, z wysuniętymi chrapami i różnym warkotem spalinowych prądnic. Obie obserwacje trafiły do COMSUBLANT, a stamtąd do NSA. I znów nikt nie mógł nic zrobić. Irańczycy, mimo wielokrotnego łamania prawa międzynarodowego, wciąż cieszyli się pełnią praw suwerennego państwa i wolno im wysyłać swoje okręty, gdziekolwiek im się zamarzy - oczywiście na wody niczyje i bez podejmowania aktów agresji. Wszyscy wiedzieli, że podejrzany rejs nie mógł być niewinną wyprawą, ale dowodów nie było i jakakolwiek próba zaatakowania „901” przez floty zachodnie byłaby jawnym aktem wojny - tego zaś nikt nie chciał... przynajmniej nie na Śródziemnym.

Dla Jimmy’ego Ramshawe’a meldunek o spostrzeżeniu irańskiego podwodniaka był tylko kolejnym potwierdzeniem jego tezy i nowym powodem bezsilnej irytacji. Kilo pokazał się tam, gdzie się go spodziewał, wprawdzie trochę później, ale czy można było z góry odgadnąć, z jaką prędkością jego dowódca zdecyduje się płynąć? Jimmy nie posiadał się ze zdumienia, że mimo tylu wyraźnych poszlak nikt nie bierze poważnie jego przewidywań. Nie było oczywiście wątpliwości, że generał Raszud przebywa w Anglii, dopuszczano możliwość, że wylądował tam via Irlandia z owego okrętu i Angole bardzo energicznie go poszukiwali, nikt jednak nie robił nic, żeby udaremnić jego plan zabicia Arnolda Morgana - a już najmniej sam zainteresowany.

Jimmy zdawał sobie sprawę z trudności, jakich następcza odnalezienie i aresztowanie pary terrorystów, widział też jednak brak działań prewencyjnych wokół osoby admirała. Na fali rosnącego niepokoju raz jeszcze zadzwonił do Wielkiego Człowieka. Arnold tym razem przyjął wreszcie do wiadomości, że teoria młodego komandora nabrała realnego kształtu, ale na tym się skończyło - uparcie trwał na stanowisku, że nie można dać się zastraszyć pieprzonemu turbaniarzowi, choćby był tak groźny jak Rawi Raszud.

- Tym bardziej gdy się ma do dyspozycji ochronę zapewnioną przez samego prezydenta Stanów Zjednoczonych, młodzieńcze. Tym chłopakom można ufać.

- Jak zaufali im Kennedy i Reagan?

- Nie, nie tak. Tamte zamachy nastąpiły podczas oficjalnych, z góry zaplanowanych i nagłośnionych wizyt. JFK jechał w odkrytym wozie wszystkim znaną trasą, Ronnie stał przed hotelem w tłumie narodu. A ja? Zwykły emerytowany oficer, wyjazd prywatny, tylko garstka ludzi zna moje plany...

- Jasne. My obaj, twoja teściowa, komputery linii lotniczych, pół personelu „Ritza”, krwiożercza barmanka z Brockhurst i jej mężulek, gwiazdor list wrogów publicznych w kilkunastu krajach. Arnie, wiem, że nic nie wskóram, ale zaklinam cię... uważaj na siebie.

Środa, 25 lipca, godz. 9.15. Piccadilly, Londyn

Cała Piccadilly, od łuku Wellingtona na zachodnim skraju Green Parku aż po Piccadilly Circus, była zupełnie zakorkowana. Poranny szczyt sięgnął punktu kulminacyjnego i szybciej było poruszać się pieszo niż autobusem czy taksówką.

Generał Raszud stał na rogu Dover Street niczym głaz w nurcie ludzkiej rzeki. Po drugiej stronie arterii, u zbiegu z Arlington Street, pyszniła się fasada hotelu „Ritz”. Mick Barton by go teraz nie poznał; Rawi miał blond perukę, wąsy i bródkę oraz okulary w grubej rogowej oprawie. W ręku trzymał elegancką skórzaną dyplomatkę. To była jego pierwsza wizja lokalna. Rozglądał się po otoczeniu, oceniając na oko odległość dzielącą go od wejścia do hotelu. Pozwolił sobie na trzy minuty obserwacji, po czym odwrócił się i wszedł do przeszklonej portierni najbliższego biurowca, wciśniętej między witryny sklepów zajmujących partery większości okolicznych budynków o tym samym przeznaczeniu, od poczty na Dover do skrzyżowania z Albemarle Street. Od ostatniego kryzysu na rynku nieruchomości wiele pomieszczeń biurowych było pustych. Rawi trafił na doskonały moment. Zamierzał tylko wynająć stosowne biuro na krótki czas, ale w razie konieczności gotów był nawet wykupić długoterminową dzierżawę; w obecnym finansowym klimacie okazało się to jednak niepotrzebne. Zarządcy z ochotą odnajmowali martwą kubaturę choćby na tygodnie. Czyszcze wciąż były słone, ale możliwe do przyjęcia.

Podszedł do portiera i poprosił, by go skierował do zarządcy biurowca.

- Dzwoniłem do niego jakiś czas temu. Nazywam się Fretheim, ze Zrzeszenia Fińskich Farmerów.

- Służę uprzejmie, sir.

Portier sam zaprowadził go pod drzwi na pierwszym piętrze. Zarządcą okazała się trzydziestoletnia okularnica w niebieskim kostiumie z przypiętą wizytówką: „Sotheby’s International, Judith Birchell”. Potwierdziła, że ma do wynajęcia siedem pomieszczeń, a to, o którym wspomniała w niedawnej rozmowie - pojedynczy pokój z recepcją - byłoby chyba najbardziej odpowiednie dla samotnego biznesmena z jedną sekretarką.

- Biuro jest na trzecim piętrze, w tym samym pionie z widokiem na Piccadilly, „Ritza” i St James Street. Może pójdziemy obejrzeć?

Rawi ruszył za nią do windy. Trzecie piętro wyglądało identycznie jak pierwsze: przestronny korytarz, po obu stronach kilkoro drzwi z matowymi szybami. Zza dwóch słychać było typowe odgłosy pracy biurowej, w jeszcze paru paliło się światło i dopiero ostatnie pomieszczenie było puste i zamknięte na klucz.

Judith wprowadziła go do średniej wielkości pokoju z miękką wykładziną, szarymi meblami i dwoma wychodzącymi na południe oknami. Rawi sprawdził, że zabezpieczony jest tylko mechaniczną blokadą, oparł się jednak pokusie otworzenia go. Zamiast zasłon założone były lakierowane na biało żaluzje. Rozejrzał się po spartańsko urządzonej wnętrze (dwie szafy, biurko i obrotowy fotel, nie najlepszej jakości). Judith wyjaśniła, że umeblowanie zostało po poprzednim dzierżawcy, który zniknął bez wypowiedzenia, za to z zaległościami w czynszu na kilkaset funtów.

- Tydzień minął, zanim się zorientowaliśmy, że już nie wrócą.

- Ile pani od nich... nie brała miesięcznie? - Rawi zachichotał.

- Nieco ponad trzy tysiące. Ale to przed zniżką. Jeśli biuro panu odpowiada, oddam je za dwa dwieście. Tak jak się umawialiśmy, na pół roku, dwa tysiące z góry jako zastaw do zwrotu po wygaśnięciu umowy, płatności ostatniego dnia miesiąca.

- Czy mogę zająć je od razu?

- Ależ oczywiście! W budynku mamy personel do codziennego sprzątnia. Biuro jest porządnie wysprzątane, wykładzina wyprana, biurko i szafy opróżnione. Telefon działa, numer znajdzie pan na aparacie, internet podłączony. Łazienka jest w holu po przeciwnej stronie, a obok są drzwi do zsypu do spalarki. Można tam wrzucać tylko suche śmieci, broń Boże odpady kuchenne. Jak wpłaci pan zastaw, dam panu dwa komplety kluczy i jeden do drzwi frontowych. Portierzy są na służbie od siódmej do dwudziestej drugiej, Don i Reggie. Są chętni do pomocy w razie czego, może się pan do nich zgłaszać z każdym problemem.

- Brzmi zachęcająco. - Rawi się uśmiechnął, zerkając raz jeszcze za okno, gdzie w dole widział niebieską markizę „Ritza”. - Tak, podoba mi się tutaj. Dobijemy więc targu?

- Umowa jest typowa, taka sama dla wszystkich dzierżawców. Możemy podpisać u mnie. Będę tylko potrzebowała referencji, o czym uprzedzałam, zaświadczenia z banku i pańskiego paszportu, jeśli nie jest pan obywatelem brytyjskim.

Zeszli schodami na pierwsze piętro. Rawi podał kobiecie sfalszowane pismo z ambasady egipskiej, stwierdzające, że pan Haakon Fretheim, obywatel Finlandii, kilkakrotnie zawierał rządowe kontrakty na dostawy fińskich produktów i jest partnerem godnym zaufania. Judith skserowała jego równie dobrze podrobiony paszport i rzuciła okiem na wyciąg z rachunku bankowego jego ekscelencji ambasadora Syrii (ze stanem osiemnaście

tysięcy trzysta czterdzieści sześć funtów), na którym fałszerz wstawił dane personalne „fińskiego handlowca”. Rawi zapłacił za trzy miesiące z góry kartą American Express przypisaną do rachunku jordańskiego attache wojskowego w Paryżu. W zamian otrzymał klucze do biura i informację, że ten od drzwi wejściowych do budynku może odebrać od Reggiego, który w tym tygodniu ma poranną zmianę.

- Zadzwoń do niego i uprzedzę. Życzę owocnego pobytu, panie Fretheim.

Raszud uściskał dłoń Judith i szedł na dół. Zamienił jeszcze kilka słów z Reggie'em i po chwili znów był na chodniku. Odszukał na fasadzie okno swojego nowego biura i stanął prosto pod nim, by sprawdzić kąt widzenia wejścia do hotelu. Odczekał, kiedy zapalą się żółte światła dla pojazdów na Arlington i szybkim krokiem przeszedł skrzyżowanie na przełaj, mierząc odległość od ściany swojego biurowca do sześciu marmurowych stopni wiodących ku mahoniowym obrotowym drzwiom „Ritza”. Oczywiście nie zdążył dopaść chodnika, zanim zielone światło uwolniło falę samochodów jadących w stronę centrum i nie obyło się bez kilku gniewnych klaksonów. Rawi nawet nie odwrócił jednak głowy, tylko szedł prosto i liczył kroki. Wyszło mu, że w rzucie poziomym biurowiec dzieli od stopni niemal dokładnie pięćdziesiąt metrów. Jeśli wziąć pod uwagę, że hol jest wysoki na jakieś pięć metrów, a wyższe kondygnacje po trzy, z półmetrową grubością stropów... to dolna krawędź okna znajduje się mniej więcej siedemnaście metrów nad poziomem ulicy... poprawka na kąt pionowy nie więcej jak pięć... czyli odległość strzału wyjdzie mniej więcej pięćdziesiąt pięć metrów, pod kątem kilkunastu stopni w dół. Z austriackiego SSG-69 trafił kiedyś w dziesiątkę na osiemset metrów...

W marszu obrzucił wzrokiem wejście do hotelu - mosiężne poręcze po obu stronach schodów, dwie donice z dobrze utrzymanymi iglakami, półokrągła markiza i dwaj odźwierni w liberjach i cylindrach, czujnym okiem monitorujący strefę przyległą do schodów. Rawi minął ich, unikając kontaktu wzrokowego, i pomaszerował dalej w tym samym tempie jeszcze sto metrów, póki nie doszedł do pubu na rogu Bennet i Arlington, „Pod Niebieskimi Słupkami”, z kilkoma stolikami w ogródku na trotuarze. Przysiadł przy środkowym i cierpliwie odczekał, aż kelner raczy się wynurzyć i łaskawie przyjąć zamówienie na kawę i sok pomarańczowy. Przez następną godzinę najbardziej poszukiwany człowiek w Wielkiej Brytanii spokojnie obserwował okolice „Ritza”, notując w pamięci natężenie ruchu pojazdów i pieszych, zachowanie odźwiernych i gości oraz potencjalne przeszkody i ułatwienia. Pierwsze, co mu się rzuciło w oczy, to stosunkowo niewielkie rozmiary przyległego placu, który bez trudu można było zablokować. Jeszcze bardziej niepokojący był drobny korek u wylotu Arlington Street, akurat na wysokości fasady hotelu. Gdyby podczas akcji napatoczyła

się jakaś wysoka ciężarówka, z pewnością przesłoniłaby mu pole ostrzału, natomiast limuzyna z amerykańskiej ambasady, którą niewątpliwie oddadzą do dyspozycji admirała, będzie mogła spokojnie na niego czekać na szerokim chodniku. Facet wsiądzie, zanim znów będę miał czysty widok... i tyle go zobaczę, pomyślał.

Zapłacił rachunek i wrócił do biurowca.

- Hello, sir - powitał go pogodnie Reggie. - Już do pracy?

- Przyniosłem tylko trochę papierów - wyjaśnił Rawi. - Jutro zacznę na dobre.

Wjechał na swoje piętro windą. Znalazłszy się w biurze, przysunął krzesło do okna i opuścił żaluzję, zostawiając tylko kilkucentymetrowy prześwit u dołu, usadowił się wygodnie przy parapecie i wyjrzał na zewnątrz. Przez kwadrans naliczył pięć przejeżdżających ciężarówek, z czego dwie zatrzymały się na wysokości hotelu na mniej więcej trzydzieści kilka sekund, póki nie zmieniły się światła, a jedna trzymała się środkowego pasa, nie zasłaniając mu widoku. Tylko jedna z tych pięciu sprawiłaby mu kłopot i Rawi uznał, że taki stopień ryzyka jest do przyjęcia. Opuścił żaluzje w obu oknach, starannie zamknął za sobą drzwi i wyszedł z biurowca, tym razem kierując się w prawo. Przemaszerował w równym tempie całą Piccadilly, a potem przeszedł na drugą stronę ogromnego ronda, na Grosvenor Place, korzystając z podziemnych przejść stacji metra Hyde Park Corner. Do Belgrave Square doszedł już leniwym spacerkiem, zadowolony z przeprowadzonego zwiadu. Marzyło mu się, by wieczorem pokazać Szakirze swój dawny Londyn, ulubione miejsca z młodych lat... z dawno minionej epoki, kiedy jeszcze nawet nie słyszał o Hamasie, a Palestyna kojarzyła mu się wyłącznie z Biblią. Jakże chętnie by wpadł do „Grenadiera” na rogu Grosvenor Crescent Mews... albo „Pod Kiścią Winogron” przy Knightsbridge, gdzie po niedzielnej sumie w Brompton można było zastać niemal wszystkie dziewczęta z dobrych katolickich domów... nieźle też bywało w „Windsor Castle”, a włoska kuchnia najlepiej smakowała w restauracji na rogu Fulham i King Road. Tyle było tych miejsc, w których był kiedyś mile widzianym gościem z kartą kredytową finansowaną przez ojca. Wszystkie zamieniły się teraz w pułapki, pola minowe, bez wątpienia wciąż uczęszczane przez ludzi, którzy mogliby go rozpoznać. Rawi z bólem nagle zdał sobie sprawę, że stał się banitą w mieście ongiś tak mu przyjaznym, wyrzutkiem i wrogiem publicznym. W tej jednej chwili, gdyby dane mu było cofnąć czas i przywrócić tamtą rzeczywistość, czuł, że mógłby to uczynić bez wahania... gdyby nie Szakira. Wszystko było Szakirą i ona była wszystkim. Czy ktokolwiek musiał żyć... miał szczęście żyć... z większym dylematem?

- Nikt nie kocha bardziej niż ten, który ojczyzny swej się wyrzeka dla żony swojej - mruknął pod nosem, parafrazując zapamiętany mgliście werset z Ewangelii św. Jana.

Moment słabości minął. Generał Raszud spokojnie wszedł na stopnie ambasady i zadzwonił do drzwi, jak było umówione - zawsze gość, nigdy rezydent. W holu kobieta, dla której wyrzekł się ojczyzny, przywitała go tak, jakby wracał do niej nie po czterech godzinach, lecz po czterech miesiącach.

Dla Szakiry towarzystwo męża było jedynym zadośćuczynieniem za długie, samotne dni, jakie odtąd spędzała w komfortowym apartamencie przydzielonym im przez ambasadora. Traktowano ją z wyszukaną uprzejmością, od czasu do czasu zapraszano na lunch czy podwieczorek, jakim dyplomata podejmował jakiegoś szejka czy polityka, ale większość czasu musiała sama zagospodarować. Rawi wychodził co rano do pracy jak wielotysięczne rzesze londyńskich urzędników i biznesmenów, przesiadywał w swoim biurze, dawał się poznać najemcom pozostałych pomieszczeń i podtrzymywał przyjazne stosunki z obu portierami, Donem i Reggie. Czasami jadał obiad w ambasadzie, ale po południu zawsze wracał na Piccadilly, a w piątkowy wieczór odsiedziało aż do wpół do dziewiątej. Ubierał się zawsze tak samo - dzinsy, T-shirt, sportowe buty, czym się wyróżniał wśród sąsiadów, z reguły hołdujących klasycznej biurowej modzie - i nieodmiennie witał kogo się dało radosnym „Hellou, i jak się dziś mamy?”, wypowiedanym z fińskim (jak mu się wydawało) akcentem, który jednak bardziej się kojarzył z karaibskim słońcem niż białymi nocami Helsinek. W kilka dni Haakon Fretheim, uprzejmy, zawsze zabiegany i nieco ekscentryczny dżentelmen z północno-wschodnich kresów Europy, który często pracował o dziwnych porach jak na biuralistę, stał się w biurowcu na rogu Piccadilly i Dover Street dobrze znaną postacią.

Sobota, 28 lipca, godz. 9.00. Southall, Londyn

Rawi przyjechał do warsztatu Prendzita Kumara sam. Zaparkował w tym samym miejscu co poprzednio, ale tym razem rusznikarz sam otworzył mu drzwi i zaprowadził do piwnicy. Na środkowym stole w zimnym blasku świetlówek leżała elegancka, ręcznie szyta walizeczka z brązowej skóry, w której wyłożonym czarnym welwetem wnętrzu spoczywały w precyzyjnie wymodelowanych zagłębieniach części zmodyfikowanego karabinu SSG-69: lufa i łożo z zamkiem i mechanizmem spustowym, elementy lekkiej metalowej kolby dopasowanej do długości ramienia nabywcy, celownik optyczny oraz sześć długich naboży z pociskami rozpryskowymi.

- Były jakieś problemy? - spytał Raszud.

- Żadnych. - Kumar energicznie pokręcił głową. - Pomijając to, że przez tydzień

prawie nie spałem.

- No to zapracował pan na swoje pieniądze - odrzekł Rawi z uśmiechem. - To co, może pan zademonstruje mi składanie karabinu, a ja go potem rozłożę i złożę sam.

- Proszę uprzejmie. Przekona się pan, że to prawdziwe arcydzieło.

Hindus wkręcił lufę w gniazdo łoża. Na trzewik kolby nałożył i zamocował wkrętem grubą metalową płytkę z dwoma gwintowanymi otworami. Następnie wyjął srebrzyste aluminiowe pręty i wkręcił je w tak uzyskane gniazda - górny prosty, równoległy do lufy, dolny wygięty u nasady lekko w dół i przechodzący potem do poziomemu. Połączył końce prętów odpowiednio wymodelowaną mosiężną poprzeczką, tworząc w ten sposób zarys kolby zbliżonej do oryginału, ale o wiele lżejszej. Teraz przyszła kolej na lunetę, mocowaną w dwóch zatrzaskach, a po niej na tłumik. Kumar ułożył gotowy karabin na wyciągniętych rękach i podał klientowi, mówiąc:

- Wspaniały, prawda?

Rawi wziął broń, przyłożył do ramienia i spojrzął w okular celownika, po czym zważył ją w dłoniach, z przyjemnością odnotowując neutralne wyważenie. Przez lata służby w SAS karabin ten, oczywiście w wersji seryjnej, był jego dobrym przyjacielem - precyzyjny, cichy i niezawodny. Więcej dobremu snajperowi nie potrzeba. Stary znajomy wyglądał teraz inaczej, ale Rawi nie czuł żadnej różnicy. Owszem, karabin był lżejszy od oryginału, ale poza tym leżał w rękach tak samo.

- Możemy go wypróbować? - spytał.

- Naturalnie! Proszę za mną. W magazynku jest sześć naboju ćwiczebnych.

Hindus poprowadził Raszuda przez drzwi w połowie zewnętrznej ściany do jasnego korytarza podziemnego. Kilkanaście metrów dalej otworzyła się przed nimi strzelnica: długi, ciemny tunel, oświetlony tylko na przeciwległym końcu, gdzie na podwieszonym na dwóch rozpiętych pod sklepieniem drutach wisiał stelaż z tarczą strzelecką trzydziestocentymetrowej średnicy. Stanowisko ogniowe było wyposażone w parapet na wysokości nieco poniżej ramion Rawiego.

- No, to zobaczymy, jak się z tym cackiem dogadacie - rzucił Kumar.

Rawi odbezpieczył broń. Pochylił się lekko naprzód, oparł lewy łokieć na parapecie i starannie wycelował w sam środek tarczy. Miętko nacisnął spust, przeładował, i tak kolejno wystrzelił wszystkie pociski. Na jego znak rusznikarz przyciągnął cel za pomocą małego kołowrotka. Ujrawszy wynik, uniósł ze zdumienia brwi; wszystkie sześć kul trafiło niemal idealnie w to samo miejsce. W okrągłym otworze widać było jedno lekkie wybrzuszenie z lewej strony, nie większe niż trzy milimetry, i drugie równie małe u dołu. Centymetrowe

czerwone kółko znaczące środek tarczy zniknęło.

- Jestem pod wrażeniem, panie Spencer. To dla mnie zaszczyt pracować z mistrzem.

- I wzajemnie, panie Kumar. Rzeczywiście stworzył pan arcydzieło. Dziękuję.

Wrócili do warsztatu, gdzie Rawi uważnie rozmontował karabin, delikatnie wkładając części na swoje miejsca w neseserze, po czym zamknął wieko. Wyjął z kieszeni grubą kopertę z dziesięcioma tysiącami funtów i wręczył Hindusowi, który i tym razem odłożył ją na stół bez sprawdzania.

Nie uszło to uwagi terrorysty. Poprzednim razem było to uzasadnione, jako że ewentualne roszczenia rusznikarz mógł zgłosić przy odbiorze zamówienia. Teraz sytuacja była inna - zleceniobiorca i klient mogli się już nigdy więcej nie spotkać.

- Nie chce pan przeliczyć pieniędzy? - spytał.

- Nie widzę potrzeby. - Kumar się uśmiechnął. - Od razu wiem, kiedy mam do czynienia z dżentelmenem. - Podeszedł do półki i przyniósł Rawiemu kartonowe pudełko. - Ma pan tutaj trzydzieści naboju ćwiczonych. Na pewno zechce pan przetestować broń i celownik w naturalnych warunkach, a to może wymagać sporo prób. Dołożyłem też trzy tarcze.

Generał odpowiedział uśmiechem, ale słowa, jakie padły z jego ust, zabrzmiały chłodno.

- Panie Kumar, tylko pięcioro ludzi na świecie wie, że wykonał pan dla mnie to zamówienie. Dwaj z nich są w tym pomieszczeniu, pozostałą trójkę dobrze znam. Gdyby ktokolwiek inny odkrył nasz drobny sekret, wszyscy czworo będziemy wiedzieli, że okazał się pan niedyskretny. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, jaka grozi za to kara.

- Panie Spencer, ja ryzykuję nie mniej niż pan. Zapewniam, że niedyskrecji nie będzie.

Zanim gospodarz odprowadził klienta do drzwi, podał mu jeszcze jeden przedmiot, zawinięty w czarny aksamitny woreczek.

- To jest pistolet, o który pan prosił. Nowy Glock siedemnastka, kaliber dziewięć milimetrów. Bezpiecznik jest stały, otwiera się automatycznie przy naciśnięciu spustu, a broń dzięki temu nie wypali przy upadku. Konstrukcja jest niezawodna.

Podali sobie ręce i Rawi opuścił willę. Wracał do ambasady w melancholijnym nastroju. Gościna u syryjskiego dyplomaty była wygodna, doceniał też w pełni bezpieczeństwo, jakie im zapewniała, ale co tu dużo gadać, nudno tam jak cholera. Była sobota i wszystko w nim aż się rwało, by wieczorem ruszyć z Szakirą w miasto... może do teatru, a potem na kolację do „Ivy”, gdzie lubią się zbierać aktorskie sławy. On sam za nic miał wszelkich, jak to się dziś mówi, celebrytów, ale wiedział, że żona byłaby wniebowzięta.

Cóż, pewnie i tak nie miałyby szans na wolny stolik...

W sypialni od razu przekazał Szakirze glocka, prosząc, by zawsze nosiła go w torebce. Obiad zjedli jak zwykle wraz z gospodarzem. Kucharze mieli stałe polecenie gotować potrawy, które przypominałyby jego ekscelencji o jego pustynnej ojczyźnie. Tego dnia podali drobiowy kebab z ryżem, humusem i surówką, a do tego wybór soków i wodę mineralną.

Po posiłku Raszudowie rozsiedli się w urządzonym z przepychem salonie. Szakira zabrała się do lektury kolorowych magazynów, a Rawi oglądał transmisję z wyścigów w Ascot o puchar królowej Elżbiety i króla Jerzego VI. Zwycięzcą okazał się po raz kilkunasty wspianiały ciemnogniady ogier, potomek Galilea, dumy stadniny Coolmore.

Do Szakiry, która puszczała mimo uszu płynące z telewizora słowa rozgorączkowanego reportera, nagle dotarła nazwa Coolmore. Omal nie podskoczyła na fotelu i wykrzyknęła:

- Ja tam byłam!

- Gdzie, w Ascot? - spytał Rawi.

- Nie, w tej stadninie. Odwiedziłam tamte strony, czekając na ciebie w Irlandii.

- I miałaś okazję ujrzeć wielkiego Galileo? Jego syn właśnie wygrał wyścig.

- No, do samej stadniny nie dotarłam, ale widziałam z daleka jej żelazną bramę i tę piękną zieloną przestrzeń, gdzie żyją konie.

Rawi - jak każdy, kto się interesuje światem wyścigów - naturalnie wiedział wszystko o Coolmore. Uśmiechnął się z pobłażaniem i pytał dalej:

- A co cię tam, u licha, zaniósło? Skąd w ogóle taki pomysł?

- W Dublinie poznałam miłego pana, który też jest hodowcą. Ma młodą klaczkę, która chyba właśnie w Coolmore przyszła na świat. Zależało mu, żeby jej brat, Wielkanocny Buntownik, wygrał puchar Irlandii czy coś w tym rodzaju.

- Jaki puchar?

- No jakiś, czy ja pamiętam takie rzeczy? Ale to były ważne wyścigi.

- Na początku lipca odbywają się derby Irlandii. Pewnie o nie chodziło.

- O właśnie, derby. Buntownik miał je wygrać.

- I wygrał?

- Wiesz, nie przyszło mi do głowy sprawdzić.

- No, twój miły nowy znajomy widać nie zdołał ci wpoić prawdziwego zamiłowania do koni i wyścigów. - Rawi się roześmiał. - Inaczej nie spoczęłabyś, dopóki nie poznałabyś losów Buntownika.

- Skoro ty mi go nie wpoileś przez osiem lat, to trudno, żeby dokonał tej sztuki ktoś

obcy, choć milszy od ciebie - odgryzła się. - A i tak wiem dużo. On jest synem tego... no, od astronomii... Galileusza, tak?

- Galileo? No, to rzeczywiście szlachetna linia. Tym bardziej powinnaś być ciekawa, czy ten koń wygrał i zarobił dla swego pana fortunę.

- A niby gdzie miałabym się tego dowiedzieć?

- Zrobię to za ciebie. Zaraz będziemy wiedzieli.

Podszedł do stolika, na którym czekał włączony laptop w stanie czuwania, i uruchomił przeglądarkę internetową. W Google wyszukał stronę czasopisma „Racing Post”, następnie wpisał w wyszukiwarce imię konia i po chwili rozwinęło się okienko z historią jego ostatnich gonitw.

- Twój Buntownik zajął drugie miejsce. Przegrał z liderem zaledwie o głowę.

- Biedny pan O'Donnell musiał być niepokieszony...

- Bynajmniej. Domyślam się, że chce dobrze sprzedać tę klaczkę. Niejeden hodowca chętnie by się z nim zamienił, żeby wystawić na aukcję siostrę ogiera, który był o włos od zwycięstwa w derbach. Nie musisz się nad nim użalać.

- To dobrze. Bardzo przyjemnie mi się z nim rozmawiało.

- Ta klaczka to też po Galileo?

- Czy ty za wiele ode mnie nie żadasz? - mruknęła, wracając do kartkowania miesięcznika poświęconego modzie.

Dla pana O'Donnella kwestia najwyższej wagi, dla mojej żony zeszłoroczny śnieg, pomyślał rozbawiony Rawi. Zaraz jednak sposepniał, gdyż przypomniało mu to ojca, o którym gazety zawsze pisały: „magnat okrętowy i znany hodowca koni wyścigowych”. Tęsknił za rodzicami, zdawał sobie jednak sprawę z tego, że pewnie od dawna wiedzą, co zrobił i jaką hańbą okrył ich nazwisko. Dezercja, zdrada, morderstwa, a potem cała późniejsza działalność... Na Boga! Nie śmiał nawet pomyśleć, z jakim przyjęciem mógłby się spotkać.

Okolo szesnastej Rawi wrócił do apartamentu, zostawiając Szakirę przed telewizorem, pochłoniętą perypetiami bohaterów serialu komediowego. Otworzył neseser i zabrał się do składania karabinu, licząc w myśli sekundy. Kiedy był gotowy, przeładował zamek i zaczął demontaż, także na czas. Złożenie zajęło mu dwadzieścia osiem sekund, rozłożenie i schowanie do walizeczki dwadzieścia cztery. Pierwszym wynikiem się nie przejął, ale drugi mógł oznaczać różnicę między życiem a śmiercią. Za długo! Od chwili, gdy wpakuje rozpryskową kulę kaliber siedem sześćdziesiąt dwa w głowę Arnolda Morgana, będzie się liczył każdy ułamek sekundy; wtedy bowiem rozpocznie się newralgiczna faza operacji - ucieczka.

Dwadzieścia cztery sekundy to prawie pół minuty. Wokół celu, był o tym przekonany, będą się kręcili agenci Secret Service, londyńska policja, a może i ludzie z sił specjalnych. Gdyby mieli choć cień podejrzenia, skąd oddano strzał, w piętnaście sekund byłoby już w portierni biurowca. Jeśli wejdą, zanim on zdąży opuścić budynek, to koniec. Znajdzie się w pułapce, otoczony przez przeważające siły. Zabiją go na miejscu albo aresztują, co opóźniłoby jego śmierć tylko o tyle, ile potrwałby proces w trybie doraźnym.

Rawi musiał zredukować czas demontażu broni. Gdyby okazało się to ponad jego możliwości, przyszedłoby mu zastanowić się nad rezygnacją z planu. Tego jednak nie brał pod uwagę. Zaczął ćwiczyć. Prawie dwie godziny wytrwale składał i rozkładał karabin, ucząc dłonie płynności i precyzji ruchów, szukając optymalnej procedury. Doszedł do wniosku, że podstawowe znaczenie ma szybkie zdjęcie lunety oraz siła dokręcenia płytki mocującej aluminiowe pręty do oryginalnego trzewika kolby. Po kolejnej godzinie treningu potrafił spakować karabin do neseseru w osiemnaście sekund, a na koniec obniżył wynik do dwunastu. To już była absolutna granica możliwości.

Wczesnym wieczorem, jeszcze przed kolacją z ambasadorem i dwoma saudyjskimi książętami, Rawi wybrał się samotnie do słynnego domu towarowego Harrods. Zanurzył się między wieszaki bogato zaopatrzonego działu konfekcji męskiej na parterze, gdzie kiedyś kupował z matką tweedową marynarkę do szkoły. Potrzebował teraz porządnego szarego garnituru, sportowej marynarki, kilku koszul i krawatów, bielizny, skarpetek, no i dobrych butów. Wybór zajął mu bite trzy kwadranse i kosztował rząd Jordanii via ambasada w Paryżu prawie dwa i pół tysiąca funtów. Na tym jednak nie skończył; w dziale sportowym kupił jeszcze luźny dres i sporą torbę z logo Adidasa. Przepakował do niej całe zakupy, wyrzucił firmowe zielone siatki Harrodsa i wrócił do siebie inną drogą, przez Sloane Street i Cadogan Place.

W niedzielny rano 29 lipca, dzień przed spodziewanym wylotem Kathy i Arnolda Morganów z Waszyngtonu, Rawi poprosił, by ktoś z personelu zatankował ich audi do pełna i podstawił pod wejście, wyjaśniając, że planują z żoną pokonać mniej więcej dwieście trzydzieści kilometrów w jedną stronę. Wyruszyli o jedenastej i raz jeszcze pojechali na zachód; tym razem jednak Rawi skorzystał z autostrady M4, kierując się ku odległym o godzinę szybkiej jazdy falującym pagórkom i dolinom Berkshire Downs. Na zjeździe numer 13 skręcili w szosę A34, w stronę Oksfordu, by w końcu znaleźć się na drugorzędnej drodze do zanurzonego w zieleni miasteczka West Isley.

Pamiętał tę okolicę doskonale. Wiele razy jeździł tam z ojcem popatrzeć, jak treserzy ujeżdżają ich rumaki; widział w wyobraźni majestatyczny przestwór Oxfordshire i Berkshire,

wyzłocony niekończącymi się łąkami pszenicy i jęczmienia, gdziekolwiek tylko pociętymi wstążkami dróg i rzadko rozszanymi hodowlami bydła i stadninami. Najbardziej jednak wbiły mu się w pamięć tutejsze leśne kępy na szczytach wzniesień. Dobrze znał jedną z nich, górującą nad koniarską wsią Lambourne. Nigdzie na świecie nie spotykał takich skupisk drzew, długich czasem na kilkaset metrów, o szerokości przeważnie poniżej stu, wyniosłych niczym rycerskie zamki.

Nie miał dokładnie określonego celu wyprawy, zamierzał go wybrać już na miejscu. Minął Farnborough, zjechał długim stokiem do Wantage, miejsca narodzin króla Alfreda Wielkiego i największej miejscowości w słynnej Dolinie Białego Konia. Skręcił tam na drogę wiodącą do wyrzeźbionej w kredowej skale ponadstumetrowej końskiej sylwetki, od dwóch tysięcy lat spoglądającej na położoną u jej stóp dolinę. Nie dojechał jednak do niej, tylko odbił pod górę ku Lambourne Downs i poszukiwanym leśnym wysepkiem, ostańcom po zamierzchłej puszczańskiej przeszłości tych ziem. I oto były, cała piątka, ciemniejące na tle lazurowego nieba, same jakby zasnute błękitną mgiełką. Najbliższa kępa wyrastała wysoko nad jedną z najbardziej liczących się w świecie stajni wyścigowych, należąca do maestro Nicky'ego Hendersona, chrześniaka marszałka Montgomery'ego. W odróżnieniu od pozostałych ta była jednak za blisko szosy.

Rawi zatrzymał wóz na wzniesieniu i rozejrzał się wokoło. Daleko po lewej widniał las górujący, jak pamiętał, nad popularnymi terenami do ujeżdżania, chętnie wykorzystywanymi przez wielu miejscowych hodowców. W przedzie, może o półtora kilometra dalej, ciemniały dwie następne kępy, ale jego uwagę przyciągnęła czwarta, schowana nieco niżej, na skraju rozległej posiadłości znajomego jego ojca, Henry'ego Candy, całkowicie niewidoczna z najbliższych zabudowań. Leżała na granicy włości Hendersonów i Candy'ch i doskonale nadawała się do celu, w jakim Rawi tu przyjechał.

Zjechał ze wzgórza i zaparkował na trawiastym poboczu wąskiej drogi. Wziął walizeczkę i zostawiwszy Szakirę przy samochodzie, ruszył na przełaj w las. Rozejrzał się jeszcze raz uważnie, przeskoczył ogrodzenie i zanurzył się między drzewa. Było parę minut po pierwszej - pora obiadowa. Rawi dobrze pamiętał, że dla ludzi, którzy w sezonie pracują siedem dni w tygodniu, jest to święty, nienaruszalny czas odpoczynku; nie spodziewał się, by ktoś mógł mu przeszkodzić.

W środku lasu wybrał miejsce na zaimprovizowaną strzelnicę. Przypiął pinezkami do starego dębu jedną z tarcz od Kumara, sześćdziesiąt centymetrów nad ziemią, aby uzyskać kilkunastostopniowy kąt strzału, po czym odmierzył krokami pięćdziesiąt metrów.

Niespiesznie złożył karabin, nakręcił na lufę tłumik i wsunął do komory ćwiczebny

nabój. Przyjrzał się celowi przez lunetę, lekko poprawił jej ustawienie. Nie miał o co oprzeć ręki, przycisnął się więc do drzewa, żeby ustabilizować pozycję, wycelował i nacisnął spust. Odgłos wystrzału był ledwie słyszalny. Podeszedł do celu i stwierdził, że kula uderzyła około siedmiu centymetrów w lewo od środka. Wrócił na stanowisko, wyregulował celownik i wystrzelił trzy razy. Rozrzut był minimalny, ale tym razem trafienia ułożyły się odrobinę na prawo od czerwonego krążka. Powtarzał te czynności jeszcze kilkakrotnie, aż wreszcie po dwudziestu minutach uzyskał pożądaną wynik. Zawiesił ostatnią tarczę. Teraz musiał trafić za pierwszym razem...

Ostatni pocisk uplasował się dokładnie pośrodku celu. Następny miał już być bojowy, wymierzony w skroń znenawidzonego wroga. Rawi wiedział, że nie spudłuje.

Rozdział 11

Poniedziałek, 30 lipca, godz. 10.00. Ambasada Syrii, Londyn

Generał Raszud przez cały lipiec prawie nie miał kontaktu ze światem. Nie orientował się zwłaszcza w tym, co się dzieje w USA. Dzięki jordańskiemu attache kulturalnemu w Waszyngtonie sztab Hamasu oczywiście zdawał sobie sprawę z rozgłosu, jakiego nabrało morderstwo z Brockhurst, ale nikt nie chciał ryzykować kontaktu telefonicznego czy e-mailowego ani z nią, ani tym bardziej z Rawim, który większość miesiąca spędzał pod wodą i wiadomości mógł odbierać jedynie drogą satelitarną za pośrednictwem dowództwa irańskiej marynarki wojennej.

Raszud działał więc poniekąd po omacku. Nie wiedział, czy ktokolwiek z Amerykanów się orientuje, że Arnoldowi Morganowi grozi niebezpieczeństwo. Szakira naturalnie opowiedziała mu całą historię, ale sama nie miała pojęcia, jakie były reperkusje zajścia z Mattem Barkerem, i nie wiedziała, czy ktokolwiek połączył jej działalność z osobą admirała Morgana. Kiedy odkryto zwłoki, była już bliżej Bostonu niż Brockhurst i odleciała ze Stanów prawie pół doby przed konferencją prasową detektywa Segela i ogłoszeniem poszukiwań zaginionej barmanki z „Estuary”.

Rawiego dręczyły pytania, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi. Jakiego należy się spodziewać poziomu ochrony admirała? Ilu agentów zabierze ze sobą z Waszyngtonu? Czy Brytyjczycy też będą w to zaangażowani, mimo że Morgan przyjeżdża prywatnie? I kto konkretnie odpowiada za ochronę - CIA, Secret Service, inna agencja, a może prywatna firma? Jeśli stronę brytyjską poproszono o wsparcie, na ile poważnie Scotland Yard to potraktuje? Wystawią kilku „bobbych”, czy obstawią cały teren ludźmi z grupy antyterrorystycznej, ze snajperami na dachach włącznie?

Znał tylko datę i godzinę przylotu Morgana, ale nie wiedział, na jak długo chce się zatrzymać w „Ritzu”. Jeżeli coś się popieprzy, to czy znajdą następną szansę zlokalizowania celu - i kiedy?

Na te i na wiele podobnych pytań mógł sobie odpowiedzieć tylko bardzo ogólnikowo. Był pewien, że amerykańska policja musiała powiązać Szakirę z zabójstwem tego sukinsyna z Brockhurst i przesłuchiwała każdego, kto miał z nią cokolwiek do czynienia. Nie ulegało

wątpliwości, że w takim razie gliniarze... a może nawet FBI?... trafiliby też do Emily Gallagher. I tak po nitce do kłębka... Tak, admirał na pewno będzie podróżował z ochroną, a CIA bez wątpienia skontaktowała się z władzami brytyjskimi w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa najbardziej zaufanemu doradcy prezydenta Bedforda.

Rawi uważał, że najgorszym możliwym czasem zamachu byłby moment przyjazdu Morgana z lotniska pod hotel. Jeżeli ochrona będzie tak ścisła, jak się spodziewa, to nie uda się zaatakować i ująć cało. Tam będzie rojno od policji, może nawet wóz otrzyma eskortę już na Heathrow, a o tak wczesnej porze nie ma prawie żadnego ruchu na ulicach. Nie uśmiechała mu się perspektywa ucieczki przez pusty Berkeley Square przed ścigającymi go z wyciem syren motocyklistami.

Przyjazd admirała był ważny, ale tylko jako punkt odniesienia. Rawi znał i jego, i Kathy z prasowych fotografii, ale trzeba się było liczyć ze sporym zamieszaniem. Gdyby wtedy strzelił, łatwo mógłby trafić kogoś innego. Dla niego dalszy ciąg byłby taki sam: na dwoje babka wróżyła, czy zdąży uciec, czy go osaczą - a cały trud, koszty i ryzyko poszłyby na marne.

Pozostawała zresztą jeszcze jedna istotna kwestia. Przy wizycie takiego ważniaka jak Morgan Scotland Yard na pewno nie zaniedba sprawdzenia wszystkich budynków z widokiem na hotel. Musi się więc liczyć ze wzmożoną aktywnością glin nie tylko w samym dniu przyjazdu, ale już dzisiaj. Trzeba zachować zimną krew i jeśli przyjdą, spokojnie dać się przesłuchać jako fiński handlowiec zajęty własnymi interesami.

Decyzja była więc w zasadzie podjęta - zamachu dokona dopiero przy pierwszym wyjściu państwa Morganów z hotelu. Będą po śniadaniu, odświeżeni i zrelaksowani, a i ochroniarze pocują się swobodniej. Musi jednak być na miejscu, kiedy spodziewana kawalkada zajedzie pod wejście. Rawi chciał przyjrzeć się celowi przez lunetę karabinu, zidentyfikować ich oboje, ocenić siłę i zachowanie agentów.

To zaś nastroczało kolejny problem. Nie mógł się zjawić w biurowcu o siódmej rano i zwrócić na siebie uwagi Reggiego jako pierwszy pracuś Londynu, a poza tym samolot admirała może przylecieć szybciej, niż to wynika z rozkładu; loty na wschód najczęściej mają sprzyjające wiatry z tyłu. Rozwiązanie było tylko jedno: należy się zamelinować w biurze już dzisiaj wieczorem, zabierając ze sobą wszystko, co potrzebne na dalszym etapie. Szakira spędziłaby tę noc sama w ambasadzie, a potem by do niego dołączyła. Raszud nie dopuszczał do siebie myśli, że może zostać schwytyany.

Portierzy w biurowcu pracują na dwie zmiany. W tym tygodniu Reggie zaczynał o siódmej i kończył o czternastej, przekazując pałeczkę Donowi, który pozostawał na

posterunku do dwudziestej drugiej. Żaden nie odnotowywał nigdzie, kiedy kto przychodzi i wychodzi, a tym bardziej nie przekazywał remanentu zmiennikowi - miałyby się to zresztą z celem - ale z pewnością mogli pamiętać, kogo widzieli w holu, zwłaszcza że w budynku pracowało nie więcej jak trzydzieścioro ludzi. Oznaczało to, że Rawi powinien zjawić się około trzynastej. Wpadnie w oko Reggie'emu, ale Don nie będzie wiedział o jego obecności, więc nie zdziwi się, nie widząc go wychodzącego wieczorem.

W południe zjedli z Szakirą lekki obiad - filety z soli z sałatą i sokiem owocowym - po czym Rawi schował do torby neseser z karabinem i zapakował na wierzch ubranie na zmianę: ciemnoszary garnitur, koszulę, krawat i czarne półbuty, do tego termos kawy, paczkę kanapek i dwa banany. Sam włożył dres i adidasy, a na koniec nasadził na głowę blond perukę, przykleił sztuczne wąsy i brodę, przeobrażając się po raz ostatni w Haakona Fretheima. Pozostało tylko oddać się w opiekę Allahowi...

Uklękli oboje z Szakirą na dywanie, zwróceniu na południowy wschód, w stronę Mekki. Popłynęły słowa modlitwy.

Zwróciłem się ku Najwyższemu, który stworzył niebiosa i ziemię, i Jego imię chwale. Tyś jest Bóg jedyny i najwyższy i nie ma innych bogów nad Ciebie. Wiedz nas prostą drogą, którą przed nami kroczyli ci, których sobie upodobałeś. Światłość nad światłości, Bóg prowadzi, kogo chce, do swej chwały...

Po modlitwie uścisnęli się bez słów i Rawi zszedł do czekającego już samochodu ambasady. Kierowca podrzucił go na Piccadilly, dwieście metrów od biurowca; resztę drogi generał pokonał już pieszo. Rażno pchnął szklane drzwi i jak zwykle wesoło przywitał się z portierem.

- Dobrego popołudnia, sir! - odwzajemnił się Reggie. - Był pan pobiegać?

- Jeszcze nie, ale później chcę wyskoczyć.

- Tak trzymać, sir! Serducho musi popracować.

Rawi wjechał windą na trzecie piętro. Na korytarzu nie spotkał nikogo. Cicho otworzył drzwi, wśliznął się do biura i przekręcił klucz w zamku. Opuścił żaluzje, ustawiając lamelki tak, by mieć widok na ulicę. Teraz pozostawało tylko czekać.

O czternastej zauważył Reggie'ego, jak przechodzi na drugą stronę i maszeruje ku stacji metra Green Park. To znaczy, że służbę przejął Don, który nie wie, że pan Fretheim jest na górze...

Popołudniowe godziny wlokły się niemiłosiernie. Rawi pozwolił sobie nawet na

krótką drzemkę na siedząco, z nogami opartymi na biurku. Nie korzystał z komórki, nie zapalił światła, kiedy przedwieczorny cień spowił kanion ulicy wciśniętej między sześciopiętrowe budynki, i w ogóle zachowywał się tak, jakby go nie było. Regularnie obserwował fronton „Ritza”. Zorientował się, że miałby kłopot, gdyby admirał, wychodząc z hotelu, trzymał się blisko prawej poręczy. Towarzysząca mu osoba - żona lub któryś z ochroniarzy - szłaby wtedy po lewej, częściowo zasłaniając pole ostrzału.

Siedząc tak w ciszy i samotności, miał czas na rozmyślenia. Nie wątpił, że dobrze robi, ale umacniał się w postanowieniu, wspominając całe zło, jakie za sprawą Arnolda Morgana spotkało jego braci w wierze tylko przez minione pół roku. Zaciskał pięści na myśl o osławionym więzieniu w Guantanamo i wyobrażał sobie los dręczonych w nim przyjaciół. Czy to samo spotkało Ramona Salmana, który odpowiadał za przygotowanie styczniowego zamachu w Bostonie i zameldował mu telefonicznie o rozpoczęciu akcji? A co z Rezą Aghanim, ambitnym bojownikiem, który podjął się wniesienia bomby na lotnisko Logan? Rawi wiedział, że młody Egipcjanin został postrzelony przez policję i aresztowany, podobnie jak Mohammed Rahman, człowiek Hamasu w Palm Beach. Czy wszystkich ich wywieziono na Kubę? Czy to któryś z nich załamał się na torturach i zdradził Amerykanom miejsce zamieszkania swojego generała?

Przed oczyma stanęła mu Szakira, zakrwawiona, oszołomiona, rozszlochana między gruzami ich domu w Damaszku. Serce wezbrało mu nagłym przypiływem nienawiści do całego Zachodu. Jakim prawem te psy pozwalają sobie na takie zbrodnie? Na obracanie w perzynę pół ulicy tylko dlatego, że nie podoba się im jeden z mieszkańców? Za kogo się mają, że bez skrupułów depczą prawa arabskich narodów? Wszystko, co złe na Bliskim Wschodzie, dzieje się przez Amerykanów i ich nienasyconą żądzę ropy.

A za każdym ciosem, jaki spotykał bractwo dżihadu przez ostatnie kilka lat, stał ten sam człowiek - złowrogi admirał Arnold Morgan, budzący oburzenie nawet wśród własnych rodaków, czego dowodziły artykuły w amerykańskiej prasie. Tak, nie ma wątpliwości, że on, Rawi Raszud, wykonuje wolę Allaha. W takiej misji nie strach nawet umrzeć, albowiem byłaby to śmierć chwalebna, po której śladem innych męczenników wiary przeszedłby przez most do raju przy dźwiękach trzech tręb, prosto w rozwarte ramiona Pana.

W takiej misji nie wolno też zawieść, skoro patrzy na niego sam Najwyższy, a prorok Mahomet zagrzewa do walki, jak sam walczył przed czternastoma wiekami.

O porażce nie może być mowy, kiedy się jest ich wybranym, a przy tym lepiej od innych wyszkolonym żołnierzem. Rawi czuł w tej chwili, że to zadanie od samego początku było jego przeznaczeniem. Niech się więc dokona. *Allahu akbar.*

Dochodziła dwudziesta pierwsza i nad miastem z wolna zapadał zmierzch. Raszud posilił się bananem i łykiem słodkiej kawy. Za godzinę Don zakończy pracę i pójdzie do domu. Ani on, ani Reggie nigdy nie sprawdzali, czy ktoś z najemców jeszcze pracuje. Zdarzało się to zresztą rzadko, a każdy miał swój klucz i wiedział, że musi za sobą zamknąć drzwi frontowe.

Północ zastała terrorystę drzemiącego przy biurku, z głową opartą na wyciągniętej ręce. W budynku panowała głucha cisza, z dali dobiegało przytłumione odległością bicie Big Bena. Rawi ocknął się, przeciągnął i wstał. Na palcach podszedł do drzwi i otworzył zamek, by pójść do łazienki. Do kieszeni wsunął szklany przycisk do papieru; gdyby bowiem natknął się teraz na kogoś, nie miałby innego wyjścia, jak zabić go na miejscu i ukryć ciało w biurze.

Miał bardzo ciemny zarost, ogolił się więc, żeby rano wyglądać jak człowiek. Zachował wszelkie środki ostrożności - zamknął drzwi na zasuwkę, zasłonił szparę przy podłodze bluzą i dopiero wtedy zapalił światło; oszczędnie używał też ciepłej wody, żeby nie spowodować włączenia się grzałki bojlera. Wróciwszy do biura, usadowił się najwygodniej jak mógł i spokojnie czekał świtu.

Poniedziałek, 30 lipca, godz. 18.00. Waszyngton

Ahmed, jordański attache kulturalny, siedział w sali odlotów lotniska Dulles, pozornie pogrążony w lekturze „Washington Post”, obserwując znad gazety pasażerów pierwszej klasy wsiadających do jumbo jeta American Airlines, lot 163 do Londynu. Widział, jak Kathy i Arnold Morganowie otoczeni przez czwórkę tajniaków przechodzą odprawę pokładową pierwsi, przed innymi podróżnymi. Nie uszło jego uwagi, że dwaj agenci zostali przy kontuarze i dyskretnie zaglądają przez ramię uroczej dziewczyny w uniformie linii lotniczych w paszporty. Dopiero kiedy ostatni pasażer zniknął w rękawie, ruszyli zająć miejsca w samolocie. Ahmed odczekał, aż pracownik lotniska zamknie za nimi szklane drzwi, i dopiero wtedy przeszedł do okna, skąd mógł patrzeć, jak boeing powoli cofa się ze stanowiska i zaczyna kołować na koniec pasa startowego. Dziesięć minut upłynęło, zanim zobaczył go znowu, gdy już wzbijał się stromym torem w niebo. Dopiero wtedy wyjął komórkę i wybrał numer w Londynie. Telefon odebrał attache z ambasady syryjskiej. Ahmed powiedział tylko:

- Ptaszki w drodze. Dwa plus cztery.

Wtorek, 31 lipca, godz. 1.00. Dover Street, Londyn

Rawiego wyrwał z drzemki wibrujący w kieszeni dresu telefon. Czyjś elektronicznie zniekształcony głos oznajmił: „Wystartowali o osiemnastej czterdzieści sześć. Czterej ludzie w ochronie”, i połączenie się urwało.

A więc zaczęło się. Nie czuł napięcia, ale zgłodniał, wyciągnął więc prowiant i termos, naciągnawszy przedtem rękawiczki - nie zamierzał bowiem go zabierać z biura. Jadł powoli, dokładnie przeżuając chleb z pieczonym kurczakiem, i popijał kawą z szerokiej plastikowej zakrętki. Zostawił dwie kanapki i trochę napoju na śniadanie i znów czekał, na przemian przysypiając i czuwając. Godziny płynęły, odmierzane kwadransami cichą sygnaturką Big Bena i oznajmiane o pełnej głośniejszymi uderzeniami. Druga, trzecia, czwarta... Piętnaście po piątej ustalony nocny rytm zakłóciło nagle zamieszanie. Gdzieś niedaleko na krótko zawyła syrena policyjna, okno zajaśniało blaskiem reflektorów. Rawi ostrożnie wyjrzał przez żaluzje i zobaczył odbite w szybach wystawowych niebieskie błyski „koguta” radiowozu... nie, dwóch radiowozów.

Nie usłyszał, ale raczej wyczuł, że do budynku wchodzi jacyś ludzie. Szybko wrzucił do torby termos i kanapki, schował ją pod biurko, a neseser wsunął do szerokiej środkowej szuflady. Bezszelestnie zajął pozycję przy drzwiach po stronie zawiasów i sprawdził, czy zamek jest zamknięty.

Z dołu dobiegło głucho stuknięcie szklanych drzwi frontowych, a potem kroki i pogłos rozmowy. Grupa ludzi wchodziła na górę. Słychać było, jak rozchodzą się po korytarzu pierwszego piętra, potem drugiego, stukają do biur, pokrzykują. Drgnął, gdy nagle usłyszał, zdawałoby się, tuż za ścianą głos Reggiego.

- Nie ma tu nikogo, możecie mi wierzyć, chłopaki. Don na pewno obszedł budynek przed zamknięciem.

Kłamię w żywe oczy, pomyślał Rawi. Żaden z nich nigdy tego nie robił...

Hałas jednak nie ustawał; najwyraźniej policjanci sprawdzali wszystkie pomieszczenia. Co chwila niesło się wołanie: „Policja! Jest tu kto?”, a od czasu odzywał się portier, zwracając się po nazwisku do któregoś z najemców: „Panie Marks, to ja, Reggie... Sprawdzamy tylko budynek... Jest tam pan?” Odgłosy się zbliżały, aż wreszcie krótko po piątej ktoś trzykrotnie załomotał do drzwi Rawiego.

- Policja! Jest tu kto?

Mógł rozegrać to inaczej. Zostawić drzwi otwarte, zapalone światło i przyjąć ich jakby nigdy nic zza biurka, udając, że pracuje. To by jednak znaczyło, że spędził tu noc. Głupi pomysł. Stał nieruchomo, wstrzymując oddech, i liczył na to, że żaden z gliniarzy nie uprze się, by portier otworzył puste biuro zapasowym kluczem. Po chwili tamci odeszli pod

następne drzwi. Usłyszał, że zaglądają i do łazienki, a potem wspinają się na następne piętro. Zerknął na zegarek - było szesnaście po piątej. Do lądowania samolotu Morgana pozostało siedemdziesiąt minut. Musi teraz być gdzieś nad Irlandią...

Na górze wciąż słychać było kroki, aż w końcu patrol zaczął schodzić na dół. Dobiegły go słowa portiera:

- A nie mówiłem, że nie ma tu żywego ducha? No, ale przynajmniej mogliście znaleźć sobie dobrą pozycję.

- Dzięki, że się zgodziłeś przyjechać, Reggie.

- Nie ma za co. Od dziecka marzyłem, by się przejechać radiowozem. Ale odwiedźcie mnie pod dom, bo inaczej sąsiedzi pomyślą, żeście mnie zapuszkowali.

Wkrótce wszystko ucichło. Wyczulone ucho byłego komandosa wychwyciło jednak różnicę: na dół zeszło mniej ludzi, niż wchodziło na górę. Gdzieś nad nim paru policjantów zostało na posterunku. Rawi trwał w bezruchu jeszcze dobry kwadrans, czekając, czy nie dołączą do kolegów, ale nic już nie zmąciło ciszy.

Co ma z tym fantem począć? Próbował to zbagatelizować, ale niepokój był silniejszy. Nie miał wątpliwości, że to obserwatorzy, a może nawet snajperzy, przydzieleni do ochrony admirała, żeby wypatrywać pojawienia się zamachowca.

Nie pomylił się. Scotland Yard rozstawił strzelców wyborowych na dachach wszystkich budynków z widokiem na fronton „Ritza”. Złowieszcze wróżby komandora porucznika Ramshawe’a przekonały w końcu decydentów, żeby na wszelki wypadek otoczyć doradcę prezydenta żelaznym pierścieniem ochrony, choć Jimmy nadal uważał, że podjęte działania nie są wystarczające, by powstrzymać tak groźnego przeciwnika jak generał Raszud.

Big Ben wybił szóstą. Rawi wyjął z szuflady neseser i wyciągnął lunetę. Podszedł do okna i spojrzął przez nią na schody hotelowe, wyobrażając sobie przyszłą scenę - czarna limuzyna, wir aktywności, czarne okulary ochroniarzy, głowa w celowniku, strzał... Zdawał sobie sprawę, że porywa się na niezwykle trudne zadanie, ale odwrotu już nie było.

Nad Londyn zaczynały nadlatywać pierwsze nocne samoloty zza oceanu. Przez wychodzące na południe okna było widać, jak błyszczące w nisko jeszcze zawieszonym słońcu wielkie metalowe ptaki w barwach Northwest Airlines, Air Canada, British Airways, Delty, Virgin kładą się w wirażu nad wschodnimi dzielnicami i lecą wzdłuż Tamizy nad Hammersmith i Chiswick ku Heathrow, jeden za drugim podchodząc do lądowania. Rawi starał się wypatryć charakterystyczny srebrny, o niemal lustrzanym połysku kadłub liniowca American Airlines. Piętnaście po szóstej zdawało mu się, że go widzi. Pewności nie miał, ale wkrótce zabręczała mu w kieszeni komórka i ktoś rzucił tylko jedno słowo: „Wylądowali”.

Pół godziny później telefon zawibrował ponownie.

- Obiekt wyjeżdża spod terminalu trzeciego. Dwa wozy dyplomatyczne i dwa policyjne - zameldował nieznany mu obserwator.

Dzwoniący nie wiedział, że kilkaset metrów dalej, na dojeździe do autostrady M4, do konwoju dołączyła jeszcze czwórka motocyklistów. Mała kawalkada z dużą szybkością pomknęła w kierunku West Endu. Ruch nie był jeszcze zbyt wielki, poranny szczyt dopiero się zaczynał. Aż do zjazdu u zbiegu Cromwell Road i Earls Court Road ani razu nie musieli się zatrzymać i dopiero potem tempo znacznie zmalało. Wtedy jednak motocykliści włączyli syreny, torując drogę; wkrótce konwój dotarł do Knightsbridge i przejechał przez Beauchamp Place i Belgrave Square.

*

Szakira widziała z okna sypialni pędzące limuzyny z policyjną eskortą i od razu odgadła, kogo wiozą. Nie pomyślała jednak o wrogu dżihadu, nienawistnym Arnoldzie Morganie, lecz o jego żonie Kathy, pięknej córce jej przyjaciółki Emily, która musiała poprzedniego dnia odwiedzić Kipperera do Brockhurst. Ogarnął ją nagle wielki żal. Nie z powodu bólu, jaki jej mąż miał wkrótce zadać tej rodzinie, ale za utraconym własnym normalnym życiem, spokojnym i szczęśliwym. Może Rawiemu uda się zastrzelić admirała. Ona jednak coraz bardziej się bała, że w końcu obróci się to przeciwko niemu i prędzej czy później podzieli los swojej ofiary. Kiedy odwróciła się od okna, po jej policzkach płynęły łzy.

Światłość nad światłości, Bóg prowadzi, kogo chce, do swej chwały...

Konwój wyjechał z Belgrave Square i pomknął na wschód, ku niekończącemu się wysokiemu murowi wokół pałacu Buckingham. Minął Royal Mews, Galerię Królewską i wpadł na Mail. Za Clarence House, rezydencją księcia Walii, skręcił na północ, w St James Street. Tuż przed pierwszymi światłami na Piccadilly motocykliści znów włączyli syreny, odbijając w Bennett Street. Gdy tylko ostatni motocykl zniknął za rogiem, jak spod ziemi wyrosli dwaj uzbrojeni w pistolety maszynowe policjanci i zagrodzili wjazd na ulicę kilkoma pomarańczowymi stożkami. Na wysokości zamkniętego na cztery spusty pubu „Pod Niebieskimi Słupkami” kawalkada skręciła w wąską Arlington Street i po chwili zatrzymała się przy schodach hotelu „Ritz”.

Motocykliści zatoczyli szeroki łuk i zajęli pozycje na półokręgu wokół limuzyny. Agenci Secret Service w mig wyskoczyli na trotuar i żywym murem osłonili wysiadającego admirała. Czterej policjanci zrobili to samo z Kathy, która wysiadła od strony jezdni, i razem

dołączyli do Secret Service i Arnolda. W ten sposób ośmiu ludzi stworzyło ciasny kordon wokół tej pary. Cała grupa szybko weszła na schody i po chwili zniknęła za drzwiami.

*

Ze swej pozycji na trzecim piętrze biurowca przypatrywał się temu przez celownik optyczny generał Raszud. Jego przewidywania się spełniły. Strzał w głowę w tych warunkach był zbyt niepewny. Po prostu za dużo wokół ludzi. Oprócz ośmioosobowej ochrony na schodach byli jeszcze dwaj odźwierni, a przez chwilę jeszcze dwie inne osoby. Dwaj ochroniarze idący po lewej stronie Morgana zasłaniali go niemal zupełnie - i o to w całej tej akcji chodziło. W ocenie Rawiego pojawiły się dwa „okienka”, najwyżej dwusekundowe, kiedy mógłby zaryzykować. To jednak zdecydowanie za mało. Nawet najlepszy strzelec na świecie musiałby się liczyć z przypadkowym postrzeleniem kogoś innego. Generał Raszud śmiało mógłby pretendować do tego tytułu, ale w tej chwili nie ośmieliłby się nacisnąć spustu. Cel był za trudny, ochrona zbyt ścisła, ryzyko niepowodzenia powyżej akceptowalnej granicy. Będą jeszcze lepsze okazje.

Rawi nie zdążył się nawet dobrze przyjrzeć Arnoldowi Morganowi, który nie należał do wysokich - wszyscy agenci górowali nad nim wzrostem - ale był mocno zbudowany. Przez sekundę miał na celowniku jego szpakowatą skroń - i na tym koniec. Na Kathy prawie nie zwrócił uwagi. Machinalnie tylko odnotował jej obecność u boku męża, bujne rude włosy i ciemnoniebieski kostium. Nie chciał jej śmierci; to, że wkrótce złamie jej serce i zrujnuje życie, nawet nie przemknęło mu przez myśl.

*

Gdy admirał i jego świta zniknęli za obrotowymi drzwiami „Ritza”, uliczna sceneria błyskawicznie wróciła do normy. Policjanci pokręcili się jeszcze chwilę, po czym patrol motocyklowy odjechał w lewo, ku Hyde Park Corner, radiowozy pociągnęły dalej na wschód, wzdłuż Piccadilly. Przed hotelem zostały tylko obie limuzyny z ambasady.

Agenci odprowadzili Morganów do ich apartamentu. Dwóch zostało na warcie w korytarzu, dwaj pozostali mogli na razie odpocząć w swoim pokoju. Mieli do pilnowania dwoje drzwi: jedne dwuskrzydłowe prowadzące do salonu i mniejsze - bezpośrednio do sypialni. Tych drugich nikt nie otwierał od ponad czterdziestu lat. Apartament cieszył się nieustającym powodzeniem i przez cały ten czas ani razu nie było konieczności rozdzielania go na pojedyncze pokoje.

Arnold wyłożył żonie swój plan działania.

- Pierwszy punkt programu zaczynamy od razu, to znaczy prześpimy się ze dwie i pół godziny. Potem zamówimy do pokoju prawdziwe angielskie śniadanie... jajka sadzone na

chrupiącym boczku, pieczona fasola w sosie pomidorowym, białe kielbaski, pieczarki, tosty, herbata... wiesz, w domu przez głowę mi nie przejdzie, żeby dolewać do niej mleka, a w Anglii robię to automatycznie od pierwszego dnia. Przypomina mi to dawne dobre czasy, kiedy mój okręt stacjonował w Holy Loch. Potem przejdziemy się na koniec Piccadilly do mojej ulubionej księgarni Hatchardsa. Pobuszujemy między regałami, kupimy parę książek niedostępnych w Stanach i każemy przesłać do domu. Potem zaprowadzę cię na Jermyn Street, na zakupy u Fortnuma i Masona. Ślinka mi już cieknie na myśl o tych wszystkich delikatesach... Wiesz co, zrobimy sobie drobny zapasik. Przyślą nam przez kuriera w dniu powrotu do Waszyngtonu, co ty na to? Z Jermyn spacerkiem pójdziemy poszukać najlepszego krawca i zamówimy sobie po pół tuzina, ty bluzek, ja koszul... Nie patrz tak na mnie z ironią, ja wcale nie chcę sterować twoim życiem. Będiesz mogła pójść na przepustkę... Polecam Burlington Arcade, podczas gdy ja się udam na Savile Row, gdzie krojczy od Gievesa i Hawkesa zdejmie mi miarę na parę nowych garniturów. No, jak ci się podoba nasz plan?

- Brzmi nieźle - odpowiedziała Kathy z uśmiechem. - A co z lunchem?

- Niepotrzebny. Pochłonę tak gigantyczne śniadanie, że wystarczy mi do podwieczorku.

- Tobie może niepotrzebny, ale ja nie mam zamiaru się napychać od rana jak Henryk Ósmy. Nie bierzesz pod uwagę, że na śniadanie mogę chcieć tylko owoce i kawę, a potem jakiś lekki obiad, na przykład solę z Dover i sałatę?

- W takim razie z przyjemnością zrealizuję tę twoją zachciankę na przykład u Greena na rogu ulicy Księcia Jorku.

- A ty co będziesz robił, kiedy ja będę się posilała?

- Och, najprawdopodobniej zamówię sobie coś w tym samym stylu.

Kathy nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Ten wybuchowy tytan amerykańskiej polityki zagranicznej ze swoim falującym nastrojem, błyskotliwością i dowcipem nieodmiennie potrafił ją rozbawić nawet w drażliwych sytuacjach. Uwielbiała jego ironiczne poczucie humoru, pewność siebie, zamiłowanie do dobrego jedzenia i wina, i to niezachwiane przekonanie, że należy mu się - i jej, naturalnie - wszystko, co absolutnie najlepsze. Uśmiechnięta spytała, czy chce się położyć tak jak stoi, na zasłanym łóżku, czy pójdzie na całość, z piżamą włącznie.

- Na Boga, kobieto! - wykrzyknął Arnold. - Ta atłasowa pościel kosztuje nas z pięćdziesiąt dolców za cal kwadratowy. Mam zamiar wykorzystać ją w pełni. Piętnaście minut na szybki prysznic i idziemy do łóżka, kochanie.

Po drugiej stronie ulicy generał Raszud odtwarzał sobie w pamięci obserwowaną przed kwadranssem scenę, starając się utrwalić wizję czterech agentów, ich posturę, ustawienie wokół celu, metodę działania. Było pewne, że przynajmniej jeden z nich wyjdzie z hotelu przed Morganami. Jak ich pryncypał, wszyscy mieli krótko przystrzyżone włosy; jeden wyglądał na łysogo, jeden był czarnoskóry, dwaj pozostali byli blondynami o jasnej karnacji. Pod marynarkami rysowały się kabury i każdy na pewno był niezłym strzelcem.

Limuzyny z ambasady odjechały, ale w głębi Arlington, za pubem, stał policyjny radiowóz, a przy schodach na chodniku umundurowany „bobby” rozmawiał z jednym z odźwiernych. Korka jeszcze nie było, ale rzeka samochodów wlewała się już z Bennett Street na Piccadilly. Rawi pozwolił sobie na trzy założenia a priori - luksus, na jaki sobie rzadko pozwalał; wolał zawsze mieć niezbitą pewność. Po pierwsze, na dachu biurowca wciąż czuwają snajperzy; po drugie, Reggie siedzi kamieniem w portierni; po trzecie, kiedy Morgan będzie wychodził, jego ochrona zadzwoni po samochód i załaduje go do kabiny równie szybko jak przy wysiadaniu. Spodziewał się, że jego „okienko” znów będzie bardzo krótkie, ale liczył na mniejszy tłok.

Była dopiero ósma, ale ludzie już się schodzili do pracy. Rawi słyszał znajome poskrzypywanie windy przy jeździe w górę; na dół zjeżdżała już ciszej. Gdyby policjanci z dachu z niej skorzystali, nie wiedziałby o ich odejściu. Z drugiej strony nikt nie wiedział o jego obecności w budynku, a ostatni obraz pana Fretheima, jaki zakonotował sobie Reggie, to wczorajszy uśmiechnięty sportsmen w luźnym niebieskim dresie i z torbą od Adidasa. W tego rodzaju operacjach utrwalony fałszywy wizerunek ma podstawowe znaczenie - maści pamięć świadków, zaciemnia prawdę, zniekształca rzeczywistość.

Rawi nalał sobie resztkę zimnej już kawy i zjadł ostatnie kanapki, siedząc przy parapecie. Kiedy skończył, odbezpieczył blokadę okna i przesunął dolny panel do góry na całą wysokość. Z daleka nie będzie widać, że jest otwarte, bo rama górnej części pokryła się z dolną. Napiął dobrze żaluzje, żeby wiatr nie mógł poruszać lamelkami. Pora była na ostatnie przygotowania. Zdawał sobie sprawę, że Morganowie mogą nie ruszyć się z hotelu nawet do wieczoru, a może nawet do następnego dnia. Do tego czasu on będzie więźniem w swoim biurze. O wpół do jedenastej postanowił się przebrać i odtąd już nie ruszać z posterunku przy oknie.

Zdjął dres i adidas, wyciągnął ubranie z torby, włożył spodnie, buty i śnieżnobiałą koszulę, zawiązał ciemny krawat w drobne czerwone prążki, marynarkę zaś powiesił na drugim krześle, żeby nie wygnieść. Wszystkie stare rzeczy, opakowanie po koszuli, folię z kanapek i termos wrzucił do torby, na wierzch dokładając sztuczny zarost. Do wewnętrznych

kieszeni marynarki upchnął gruby plik banknotów - funty i euro - brytyjskie prawo jazdy, paszport i kartę kredytową z limitem stu tysięcy euro na nazwisko Michaela Bardena, urodzonego w Maidstone, hrabstwo Kent. Tak przygotowany zajął się montażem karabinu. Do magazynka załadował pięć naboń, szósty wsunął bezpośrednio do komory i zarepetował zamek. Na koniec zamocował lunetę i tłumik, po czym pieścizotliwie pogładził lufę i potrzywał broń na wyciągniętych dłoniach, zadowolony z jej doskonałego wyważenia. Uśmiechnął się na wspomnienie testu w lasku w Oxfordshire. Jeśli tylko będzie miał czyste pole ostrzału, z tego karabinu nie spudłuje.

Kwadrans mijał za kwadranssem, a Raszud siedział nieporuszenie przy parapecie, wpatrzony w fasadę „Ritza” i sześć stopni dzielących wejście od poziomu chodnika, obserwując ruch gości, zatrzymujące się taksówki, ceregiele z bagażem.

*

O wpół do dwunastej na ganek wychynał łysy goryl admirała. Powiedział coś odźwiernemu, który natychmiast zszedł na trotuar i gwizdkiem oraz uniesioną ręką przywołał samochód. Z Arlington Street nadjechała czarna limuzyna z przyciemnionymi szybami, otoczona przez czterech policjantów na motocyklach, i zatrzymała się na chodniku przy samych schodach.

W holu Arnold Morgan wymieniał z trójką ochroniarzy uwagi na temat pięknej pogody i zgłosił chęć udania się do Hatchardsa piechotą. Agenci żywiołowo zaprotestowali, tłumacząc mu, że podczas alertu antyterrorystycznego dla wszystkich będzie lepiej, gdy będzie się poruszał po mieście wyłącznie opancerzonym samochodem z wykwalifikowanym szoferem z ambasady.

- Cholerny Ramshawe narobił więcej zamieszania, niż to wszystko warte - burczał zirytowany Wielki Człowiek. - Od miesiąca knuł tylko, jak by tu najskuteczniej zepsuć mi przyjemność z podróży!

- Kochanie, nie mów tak o Jimmym! - ofuknęła go Kathy. - Chłopak troszczy się o ciebie jak nikt na świecie, poza mną oczywiście. On się naprawdę martwi, wiesz?

- Wiem, wiem, ale przyznasz, że to denerwujące - odparł Arnold, a zwracając się do Dużego George'a, jak wszyscy zwali nowego agenta wśród jego pretorianów, warknął: - No i gdzie zamierzacie zaparkować tę landarę, kiedy będę w księgarni? Wjedziecie do działu motoryzacyjnego?

- Proszę się nie martwić, sir - odrzekł spokojnie George Kallan. - Wóz będzie podstawiony, kiedy tylko skończy pan zakupy. Ja jedynie wypełniam rozkazy. Prezydent żąda, żeby wszystko szło zgodnie z procedurami, dopóki zagrożenie nie zostanie

wyeliminowane.

Admirał skrzywił się z niesmakiem, ale chcąc nie chcąc, musiał się pogodzić z rzeczywistością. George wyrzwał na zewnątrz, wymienił sygnały z agentem czekającym na schodach i oznajmił:

- Samochód czeka, admirale. Proszę za mną.

Arnold podał żonie ramię i cała piątka ruszyła ku obrotowym drzwiom. Duży George wyszedł pierwszy, za nim dwaj koledzy, potem Kathy i na końcu admirał.

*

Rawi czekał z karabinem wycelowanym w wejście. Patrzył przez lunetę, jak ochroniarze jeden po drugim wychodzą na ganek, grawitując ku prawej poręczy. Odźwierny stał przy lewej i kiedy Morgan wysunął się na zewnątrz, skierował się bliżej niego, aby Kathy mogła jak zwykle wziąć go pod rękę z prawej strony.

Kiedy ruszali na dół, Rawi znalazł swoje „okienko”. Wypuścił powietrze z płuc i wstrzymał oddech. Krzyż celownika nasunął na skroń admirała. Nieruchomy jak posąg nacisnął spust.

Ułamek sekundy wcześniej Duży George wyczuł bardziej, niż spostrzegł, że Wielki Człowiek ma odkrytą lewą flankę, i zawróciwszy na pięcie, podskoczył na wyższy stopień.

Wystrzał był cichy jak delikatne cmoknięcie. Rozpryskowy pocisk kalibru 7,62 mm opuszczał lufę z prędkością ośmiuset sześćdziesięciu metrów na sekundę w tej samej chwili, kiedy George Kallan zasłonił Arnolda.

Kula trafiła go w środek lewej skroni, tuż przed linią włosów, przebiła czaszkę i eksplodowała już wewnątrz puszeki mózgowej. Agent zmarł, zanim zdążył się zachwiać od uderzenia pocisku. Osunął się naprzód, spychając Kathy i Arnolda na prawą poręcz, i upadł, z głową wykręconą w prawo na najwyższym stopniu. Przez pięć sekund nikt nie rozumiał, co zaszło, dopóki na marmurze nie pojawiła się krew.

Pozostali trzej agenci utworzyli już kordon wokół Morgana. Jeden krzyknął do odźwiernego:

- Wzywać policję! Strzelano do admirała! Mamy ранnego!

Portier zadał z całych sił w gwizdek, ochroniarze zaś popchnęli Arnolda w dół i niemal wrzucili go do limuzyny. Motocykliści zajęli pozycje, agenci zaś rzucili się na ganek po Kathy, stojącą jak skamieniała przy odźwiernym. Dowódca zespołu, czarnoskóry Al Thomson, praktycznie poniósł ją do wozu, wolną ręką przyciskając do ucha telefon i wykrzykując meldunek sytuacyjny. Z Bennett Street wyjechał z piskiem opon policyjny radiowóz na sygnale. Procedura mówiła wyraźnie: w wypadku zamachu natychmiast

ewakuować admirała jak najdalej od miejsca zdarzenia.

Rawi tymczasem zatrzasnął okno i szybkimi, wyćwiczonymi ruchami demontował karabin. Wiedział, że cała akcja spaliła na panewce. Nie trafił! Chybił celu przez głupi traf, jeden na milion, kiedy ten osiłek niespodziewanie zawrócił i wlaź mu w paradę. Mijały sekundy. Broń spakowana, czarna falująca peruka na głowę. W ciemnym garniturze i krawacie, z eleganckim skórzanym neseserem wyglądał jak dobrze prosperujący biznesmen - postać, w jakiej nikt go jeszcze w Londynie nie widział. Od naciśnięcia spustu upłynęły dwadzieścia cztery sekundy. Do lewej ręki wziął torbę, wyrzwał na korytarz i wyszedł z biura, zamykając drzwi na klucz. Ominął windę, kierując się ku klatce schodowej. Na niższym podejściu nie było nikogo, na wyższym też. Otworzył klapę zsypu i wcisnął torbę, sprawdzając, czy poleciała w dół, do spalarki.

Miękko zbiegł na parter i nie zerkając nawet na siedzącego za kontuarem Reggiego przemaszerował przez hol i nierozpoznany wysunął się na ulicę. Portier popatrzył wprawdzie za nim, ale oczywiście nie skojarzył ciemnowłosego, dystyngowanego dżentelmena z wiecznie uśmiechniętym, noszącym się na sportowo blondynem z dalekiej Finlandii. Zanim drzwi się za Rawim zamknęły, znów był pochłonięty relacją z ostatniego meczu w dziale sportowym „The Sun”.

Generał Raszud vel Michael Barden skręcił w prawo i ruszył przed siebie wzdłuż Dover Street, sunąc sprężystym, lecz niespiesznym krokiem. Za jego plecami na Piccadilly rozpętało się tymczasem pandemonium. Co najmniej trzy wozy patrolowe pędziły na miejsce zamachu. Jeden zamaszystym poślizgiem zajechał przed wejście do hotelu, blokując drogę na zachód, ku Hyde Park Corner. Zamknięta została również Bennett Street, a cały ruch skierowano na Albemarle w stronę Mayfair.

*

Na miejscu był już superintendent z wydziału specjalnego i rozmawiał z agentami Secret Service, próbując się zorientować, skąd mógł paść strzał. Cała trójka dobrze widziała upadek Dużego George'a i wszyscy zgodnie twierdzili, że strzelec musiał się znajdować w jednym z budynków po przeciwnej stronie. Arlington Street była pod nadzorem policji i nikt na pewno nie strzelał z poziomu ulicy, gdyż w przeciwnym razie któryś z konstabli musiałby coś zauważyć. Nie ulegało wątpliwości, że feralną kulę wystrzelono z któregoś z dwóch budynków na rogach Dover Street, najprawdopodobniej z tego po stronie południowo-wschodniej. Superintendent spojrział w górę i dostrzegł na dachu sylwetki policyjnych snajperów. Odwrócił się do sierżanta kierującego akcją i spytał, czy budynek został rano przeszukany.

- Oczywiście, sir - padła odpowiedź. - Tuż przed piątą. Byłem tam osobiście. Sprawdziliśmy wszystko, biuro po biurze, od parteru po strych. Nikogo nie zastaliśmy. Portier otwiera wejście dopiero o siódmej.

- Wchodziliście do poszczególnych pomieszczeń?

- Nie, sir. Na noc wszyscy je zamykają na klucz. Obeszliśmy jednak wszystkie korytarze. Nigdzie nie paliło się światło.

- Kto jest tam portierem?

- Reggie Milton, sir. Zgarnęliśmy go z domu w Putney po czwartej. Oprowadził nas po budynku i zarzekał się, że wieczorem nikt nie został na noc i przed naszym przyjazdem nikt na pewno nie wszedł.

W tym czasie limuzyna wioząca Kathy i Arnolda wynurzyła się z tunelu przy Hyde Parku i skręciła do Belgravii. Dwaj motocykliści jadący w awangardzie doprowadzili ją na Lowndes Square i zatrzymali się. Jeden z nich zsiadł i podszedł do kierowcy.

- Zapadła decyzja o ewakuacji admirała i pani Morgan - poinformował go. - Niezwłocznie odlecą z Londynu śmigłowcem gdzieś na zachód, w cichą i odludną okolicę. Proszę spytać, czy admirał życzyłby sobie zatrzymać się w jakimś konkretnym miejscu. Jeżeli nie, to proponujemy na przykład Henley-on-Thames.

- Dobra, przekażę admirałowi - odrzekł szofer. - Na razie zasuważmy dalej, gdzie tam czekacie z helikopterem.

- Jasne - przytaknął policjant i wrócił do motocykla.

Pojechali na południe, w stronę Eaton Square, i skręcili ku Buckingham. Stamtąd eskorta poprowadziła ich przez Birdcage Walk do Horse Guards, wielkiego placu defilad przy gmachu Admiralicji na skraju St James's Park. Na dany przez policjanta znak kierowca zatrzymał się na północnym rogu.

Kathy nie mogła dojść do siebie. Uczepiła się obiema rękami mężowskiego ramienia i powtarzała:

- Mogli cię zabić, Arnie... mogli cię zabić.

- W moim fachu takie rzeczy się zdarzają, kochanie. - Arnold był całkiem spokojny. - Dla rodziny Dużego George'a to wielka tragedia, ale dla nas najważniejsze, że się im nie udało. Już parę razy wywijaliśmy się kostusze, ale przyznaję, że tym razem dużo nie brakowało.

- I co teraz zrobimy?

- Cóż, za parę dni zgodnie z planem ruszymy do Szkocji odwiedzić starego Iaina MacLeana. Chciałem ten czas spędzić w Londynie, ale co tam, angielska prowincja też ma

swoje uroki. Postaram się załatwić, żeby nas zamelinowali w takiej jednej wiosce nad Tamizą. Iain się tam zatrzymuje, gdy przyjeżdża na południe, i twierdzi, że tamtejsza restauracyjka nie ma sobie równych.

Arnold wyciągnął komórkę i zadzwonił do ambasady przy Grosvenor Square. Telefon odebrała jego stara znajoma z Białego Domu, Sandra King. Poprosił ją, żeby odszukała jakoś wspomniane miejsce i sprawdziła, czy mają tam wolne pokoje.

Jak się można było spodziewać po kierownicze sekretariatu jednej z najważniejszych amerykańskich placówek dyplomatycznych, już po dziesięciu minutach oddzwoniła z wiadomością, że polecany przez admirała MacLeana lokal to zajazd „Pod Bukłakiem”, nad odcinkiem Tamizy zwanym Goring Reach, poniżej miasteczka Wallingford, i że zarezerwowała dla nich na dwie doby apartament dla nowożeńców.

- Świetnie się spisałaś, Sandro - pochwalił Wielki Człowiek. - Tego nam było trzeba.

W tym samym czasie hurma policjantów przeczesywała biurowiec, w którym Raszud wynajmował biuro. Sierżant polecił Reggieemu zamknąć drzwi frontowe i nikogo nie wypuszczać.

- Musimy przesłuchać wszystkich, którzy znajdują się w budynku.

Zaczęli od jedyne go lokalu na parterze i posuwali się wyżej. Nie pominęli żadnej osoby, czy to stały pracownik, czy gość; nikogo nie zastali tylko w siedmiu zamkniętych na głucho pomieszczeniach. Sierżant naturalnie zapytał portiera, czy można je otworzyć i obejrzeć, co dla Reggiego nie stanowiło problemu. Kiedy wszedł za policjantem do pokoju pana Fretheima, zdumiała go panująca w nim kompletna pustka. Nigdy tam nie zaglądał, kiedy Fin był w pracy, ale wyobrażał sobie, że jak w każdym biurze, zobaczyłby na biurku komputer, w drucianym koszu papierzyska, drukarkę, notatniki, długopisy i flamastry, książki, skoroszyty, może parę kubków i czajnik elektryczny... Tymczasem pokój ział martwością, jakby nikt w nim nigdy nie przebywał.

Sierżant też wyglądał na zdziwionego.

- Ten gość od dawna tu urzęduje? - spytał, obchodząc pomieszczenie wzdłuż ścian.

- Może z tydzień... - Reggie wzruszył ramionami. - Miły facet. Widziałem go wczoraj w porze obiadowej. Był w dresie, mówił, że wybiera się później pobiegać. Chyba w parku.

- Jak wygląda?

- Dość młody, może koło trzydziestki. Blondyn, z kocią bródką i wąsem, niemodne okulary w grubych oprawkach. Średniego wzrostu, na pewno mniej niż metr osiemdziesiąt. Mówił z fińskim akcentem.

- Z fińskim, powiadasz? A wiesz, jak on brzmi?

- A skąd miałbym wiedzieć? Poza nim nigdy z żadnym Finem nie gadałem. Święty Mikołaj się nie liczy.

- Pytam, Reggie, czy jesteś pewien, że fiński, a nie na przykład francuski, niemiecki czy arabski.

- Ba. Mógł być i zuluski, ja się na tym nie znam. Powiedział, że jest z Finlandii, no to uznałem, że oni tam tak szprechają.

- Wyróżniał się jeszcze czymś? - Policjant uśmiechnął się pod nosem.

- Bo ja wiem? Chyba tylko strojem. Zawsze chodził w dżinsach i trykotowych koszulkach, na sportowo. Posturę miał rzeczywiście raczej atletyczną.

- Dobra, możemy iść. Nic tu po nas. Czy on pracował w stałych godzinach?

- Tego to ja nie wiem. Zmieniamy się z Donem o czternastej, na dobrą sprawę w połowie dnia, więc nie zawsze wiemy, kto kiedy przyszedł lub wyszedł.

- Zdarzało mu się przychodzić o nietypowych porach, na przykład wieczorem?

- Raczej nie. W każdym razie nigdy go tu nie widywałem później niż normalnie. Prawdę rzekłszy, to w ogóle nie wpadł mi w oko od wczoraj.

- I nie widziałeś, jak wychodzi z pracy?

- Nie mogłem go widzieć, bo skończyłem robotę o drugiej, mówiłem. Może Don go przyuważył na swojej zmianie.

- Czy jest możliwe, że ten Fretheim został w budynku na noc?

- Eee, nie. Don by to zobaczył. Zawsze się wie, kiedy ktoś zostaje po godzinach. Tak między nami, to zwykle się wymykamy na kufelek koło dziewiątej. Od razu się widzi, że w którymś pokoju pali się światło.

- Może wasz Fin lubił siedzieć po ciemku? W końcu oni tam mają te noce polarne... - zażartował detektyw. - No, dobra, Reggie. Dzięki za pomoc. Powiedz Donowi, że wieczorem wpadnę z nim pogadać.

- Zrobi się, sir.

W tej chwili z windy wysiedli dwaj snajperzy zwolnieni z posterunku na dachu. Kiedy się zrównali z sierżantem, jeden przystanął i powiedział:

- Słyszeliśmy, co się stało, sir. Przez telefon. Żaden z nas nic nie widział i nie słyszał. Cały czas obserwowaliśmy z Brianem hotel. Ktokolwiek strzelał, musiał siedzieć gdzieś pod nami, ale tłumik miał lepszy niż my, bez dwóch zdań.

*

Generał Raszud dotarł do końca Dover Street i skręcił ku Berkeley Street, a potem w wąską alejkę Lansdowne Row, gdzie znalazł się w chwili, gdy policja zaczynała

przeszukiwanie jego biurowca. Znał ten zakątek głównie dlatego, że tamtejszy salonik prasowy miał chyba najlepsze zaopatrzenie w całym Londynie; zachodzili tam czasem z ojcem po bliskowschodnie czasopisma.

Tym razem kupił tylko dwa londyńskie dzienniki, „Daily Mail” i „Daily Telegraph”, po czym wstąpił do pobliskiej kafejki i zamówił kawę i grzanki z masłem. Zdjął marynarkę i przewiesił ją przez oparcie krzesła, neseser zaś wsunął pod stół. I tu bywał kiedyś, w dawnym życiu. Lokal niewiele się zmienił, choć wydał mu się większy. Domyślił się, że właściciel musiał wykupić kwiaciarnię po sąsiedzku. Rawi czuł się tu bezpieczny, tym bardziej że nie rozpoznawał nikogo z personelu. To jednak kilkanaście lat... Spokojnie popijał kawę, pogrążony w lekturze. W kafejce było dość tłoczno, a wśród klientów przeważała rozgadana młodzież z okolicznych agencji reklamowych, kancelarii prawniczych i biur rachunkowych. Dobrze się wtapiał w ten tłumek, obojętny na zawodzące gdzieś w oddali policyjne syreny i charakterystyczny warkot krążącego w pobliżu śmigłowca.

Wyszedł kilka minut po wpół do pierwszej i pomaszerował na Berkeley Square, pełen spieszących na obiad ludzi. Przeszedł zachodnią stroną placu, gdzie mieści się najbardziej ekskluzywny nocny klub na świecie, „Annabel’s”, po czym skręcił w lewo, na Mount Street. Z daleka zobaczył ich srebrne audi z Szakirą za kierownicą. Ona też go zauważyła; wysiadła i od niechcienia przeszła na drugą stronę, zajmując miejsce pasażera. Rawi wrzucił marynarkę i neseser na tylne siedzenie, usiadł za kółkiem i bez słowa ruszył, kierując się wzdłuż północnej krawędzi Berkeley, po czym odbił w lewo, w ruchliwą jednokierunkową ulicę. Przez kwadrans się nie odzywał i nawet na nią nie spojrzał. Szakira od razu się zorientowała, że wszystko poszło na marne, ale przynajmniej wrócił cały i zdrowy, czuła więc tylko przemożną ulgę.

*

Helikopter, który Raszud słyszał z kawiarni, stał teraz na Horse Guards. Była to maszyna Królewskich Sił Powietrznych z jednostki specjalnej zwanej Eskadrą Królowej. Arnold i Kathy siedzieli już w kabinie z dwoma agentami i czekali tylko na bagaż, który był już w drodze z hotelu. Ciało George’a Kallana ambulans zabrał do kostnicy szpitala St Mary’s, ale policyjny patolog zdążył potwierdzić, że kula została wystrzelona z wysokości i pod ostrym kątem do poziomu.

Piccadilly wciąż była zablokowana w kierunku zachodnim i hotelowy mikrobus z walizkami Morganów musiał się przedzierać okrężną drogą, ale w końcu dojechał i można było startować. Pilot skierował się na zachód, szybko wzbijając się na trzy tysiące metrów, i leciał wzdłuż Tamizy. Wkrótce zostawili za sobą mozaikę gęstej zabudowy Londynu i

znaleźli się nad zieloną płaszczyzną Berkshire. Nad Henley-on-Thames Arnold dostrzegł słynne biało-niebieskie namioty na mecie toru Regat Królewskich. Znał kiedyś tę okolicę dość dobrze. Dobre czterdzieści lat temu brał udział w wioślarskich zmaganiach w obsadzie Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis; przegrali wtedy z gogusiami z Harvardu.

- Sukinsyny... - mruknął pod nosem.

- Słucham? - Kathy spojrzała na niego z uniesionymi brwiami.

- Sukinsyny, mówię - powtórzył melancholijnie. - To był falstart, wysunęli się o pół długości jeszcze przed sygnałem sędziego. I weź tu ich dogoń. Ale na mecie byliśmy gorsi tylko o włos.

- O czym ty mówisz?

- Ach, przepraszam... Ot, przeżywam na nowo jedną z wczesnych porażek. Wyobraź sobie, że Annapolis przegrała tu regaty. Widzisz te pasiaste namioty nad wodą? Tam jest meta.

- Byłeś w obsadzie?

- Jako szlakowy. Ale nie mogę o tym mówić, to zbyt bolesne.

- Arnoldzie Morgan, kto cię kiedykolwiek zrozumie? Spokojnie przyjmujesz do wiadomości, że tylko cudem uniknąłeś śmierci z rąk szaleńca, ale o palpitanie przyprawia cię wspomnienie jakichś tam zawodów sprzed pół wieku?

- Tak jest. Szaleńcowi się nie udało, więc to tylko hipoteza, a wzięcie w skórę od cywilów to rzeczywistość. Bardzo bolesna rzeczywistość.

Kathy tym razem nie było do śmiechu. Pokręciła tylko głową i zapatrzyła się w sunącą pod nimi mozaikę pól i łąk.

Helikopter leciał dalej prosto na zachód i skręcił w prawo dopiero tuż przed Wallingford, starym targowym miasteczkiem pamiętającym czasy Robin Hooda. Pilot zwolnił i zaczął schodzić niżej, aż zatrzymał się na pułapie trzydziestu metrów, trzymając się koryta rzeki. Na południowym brzegu wznosiło się pasmo wzgórz Chiltern, daleko z prawej ciemniały wysoczyzny Berkshire Downs. Okolica wydawała się pusta: wszędzie ciągnęły się nadbrzeżne łąki usiane kępami liściastego starodrzewu, ale kiedy w pewnej chwili śmigłowiec zawisł w powietrzu i obrócił się przodem do lewego brzegu, oczom pasażerów ukazała się wtopiona w zieleń rustykalna restauracja „Pod Bukłakiem”. Pilot opuścił maszynę prawie nad samą wodę i powoli wsunawszy się nad mały betonowy parking, wylądował z ogonem wystającym nad rzekę. Morganowie i dwaj towarzyszący im agenci wysiedli, załoga wylądowała ich walizki i po chwili helikopter zniknął już za drzewami, a Kathy z Arnoldem przeszli wykładanym kamiennymi płytami tarasem do sympatycznej sali restauracyjnej o

ścianach z surowej cegły i niskim stropie wspartym na masywnych, poczerńiałych ze starości belkach. Kathy okręciła się wokół i aż pisnęła z zachwytu, ujrawszy rozciągającą się za dużymi oknami panoramę Berkshire po drugiej stronie Tamizy.

- Piękne miejsce - pochwalił admirał, zwracając się do młodego człowieka o imieniu James, który przytaszczył z parkingu ich bagaż.

- Jeden z najładniejszych widoków w Anglii - potwierdził chłopak z dumą. - Walizki zaniósę od razu do pokoju, dobrze? Nie mamy tu, wiecie państwo, normalnego hotelu, tylko dwa apartamenty dla specjalnych gości. Takich jak wy.

- My? - Morgan uniósł lewą brew, co nadało mu kpiarski wyraz. - Jesteśmy tylko parą bezdomnych turystów szukających jakiegoś kąta na dwa dni.

- No tak, normalka... - James zachichotał. - Pełno tu się kręci zagubionych turystów, którzy zlatują się nam na parking helikopterami Jej Królewskiej Mości.

Arnold uśmiechnął się z sympatią do wesołego młodziana, ale dalszą rozmowę przerwało pojawienie się policyjnego landrovera, który z fasonem zajechał pod samo wejście. Sierżant z komisariatu z Wallingford przybył sprawdzić, czy wszystko w porządku, poinstruował właścicielkę lokalu o konieczności utrzymania pobytu Morganów w tajemnicy i uprzedził, że wkrótce limuzyną z amerykańskiej ambasady dojadą kolejni dwaj ochroniarze, dla których wraz z już obecnymi kolegami będzie przeznaczony drugi apartament.

Wybiła właśnie trzynasta i słońce stało wysoko. Od chwili, gdy terrorysta z Hamasu usiłował zabić admirała, upłynęło niecałe półtorej godziny. James zaprowadził Kathy i Arnolda na taras do stołu nakrytego tuż nad brzegiem, pod obrośniętą powojem pergolą.

- Jeśli państwo zechcą, mogę już podać lunch - zaproponował. - Szeף kończy właśnie przyrządzać płastugi ze szpinakiem.

- Doskonale! - rzuciła Kathy z aprobatą. - Od rana chodzi za mną dobra ryba.

- A nie znalazłby się porządny sandwicz z pieczoną wołowiną, majonezem i musztardą? - spytał Arnold, przekornie zerkając na żonę.

- Nie, nie znalazłby się - odparła, zanim kelner zdążył otworzyć usta. - Poprosimy o dwie płastugi ze szpinakiem.

James zawahał się, lecz Morgan machnął ręką ze śmiechem.

- Pani każe, sługa musi... na ogół - powiedział. - I bądź tak dobry, James, podaj tam chłopakom, na co mają ochotę. Na mój rachunek.

- Nie sądzę, sir. Zapowiedziano nam wyraźnie, że cały koszt państwa pobytu pokrywa ambasada Stanów Zjednoczonych.

- Ha! Muszę być popularniejszy, niż myślałem - skwitował Arnold.

*

Rawi i Szakira wciąż jechali na północ. O trzynastej dotarli do Baldock w Hertfordshire, gdzie generał zatrzymał się na parkingu przy hotelu „King’s Arms”. Wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał numer „Ritza”.

- Czy może mnie pani połączyć z admirałem Morganem?

Telefonistka milczała kilka sekund, zanim odpowiedziała:

- Przykro mi, sir. Admirał i pani Morgan wymeldowali się ponad godzinę temu.

- Czy zostawili nowy adres lub telefon?

- Niestety, nie mamy takich informacji.

Rawi się rozłączył. Był na linii dwadzieścia pięć sekund, a dobrze wiedział, że policji wystarczy piętnaście, by się podłączyć, a może nawet zlokalizować jego położenie. Musiał jednak się dowiedzieć, czy Morgan wyjechał, czy nie. Domyślał się, że hotelowa centrala jest na podsłuchu i że Scotland Yard już wie, iż ktoś z Hertfordshire dopytywał się o admirała. Trzeba było ruszać dalej. Wycofał się z parkingu na główną drogę i skierował na Cambridge. Znał trochę to miasto i postanowił zatrzymać się tam w którymś z sieciowych hoteli, zapewniających większą anonimowość. Teraz podstawowa sprawa to odnaleźć trop Morganów - inaczej wszystko będzie na nic.

Jazda potrwała godzinę. Rawi wybrał „Sheratona” na przedmieściu, gdzie wynajęli pokój na jedną noc jako państwo Bardenowie. Dokumentów od nich nie zażądano. Rozgościwszy się w pokoju, zamówili kawę i ciastka, po czym zabrali się do opracowania planu, jak zdobyć nowy adres admirała.

Po półgodzinie został tylko jeden sposób, którego nie odrzucili. Nie było innego wyjścia, jak skontaktować się z Emily Gallagher, która mogła znać nowe miejsce pobytu córki i zięcia, i być może zdradziłaby je jego przyjacielowi... bo przecież nie Carli Martin. Arnold Morgan mógł teraz być wszędzie. Kto wie, czy nawet nie został w Londynie? Gdziekolwiek jest, na pewno otoczono go jeszcze ściślejszą ochroną i Rawi nabrał przekonania, że teraz akcja może być tu trudniejsza niż w Stanach. Nieudana próba zamachu musiała rozdrażnić Brytyjczyków i policja weźmie się do roboty jeszcze gorliwiej. Tym bardziej nie mógł korzystać z żadnych oficjalnych źródeł; każdy, kto by zadał choćby najniewinniejsze pytanie o admirała, automatycznie wskoczyłby na listę podejrzanych. Tak, pozostawała tylko rodzina, czyli Emily.

Rawi planował zadzwonić do niej tylko raz, bo zakładał, że i jej telefon jest monitorowany przez FBI. Nie wiedział, jak szybko mogą go namierzyć; na wszelki wypadek wolał wyjść i telefonować z jakiegoś otwartego miejsca. Miał nadzieję, że uda mu się

przechytrzyć starszą panią.

Szakira zgłosiła sprzeciw. Nie podobał się jej pomysł ponownego wplątywania Emily w spisek przeciwko własnej córce. Rawi jednak zaczynał się zachowywać, jakby zabicie admirała stało się jego obsesją. Jak gdyby nic innego już się nie liczyło. Bała się, że skończy się to dla nich tragicznie. Nie uszło jej uwagi, że mąż zamyka się w sobie, niechętnie z nią rozmawia; teraz, w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa - nie wątpiła, że oboje są ścigani - chce wydzwaniać do Emily. Uważała, że zrobili już wszystko, co w ich mocy, i spokojnie mogą się wycofać do Gazy, gdzie byliby stosunkowo bezpieczni. Pora, by ktoś inny spróbował szczęścia w tej grze. Upór Rawiego wykraczał już daleko poza normalne poczucie obowiązku.

Generał krążył nerwowo po pokoju. Spojrzał na zegarek; dochodziła siedemnasta - południe w Wirginii. Ich pokój znajdował się na najwyższym piętrze; zauważył po drodze tabliczkę znaczącą wyjście na taras dachowy. Szorstko polecił żonie zostać na miejscu i wyszedł. Po chwili stał już na dachu, owiewany rześkim wiatrem, i wybierał numer do Brockhurst. Po trzech dzwonek usłyszał kobiecy głos.

- Halo, tu Emily Gallagher.

- Moje uszanowanie pani. Mówi komandor Toby Trenham z Royal Navy. Dzwonię z Londynu. Jestem starym przyjacielem admirała Morgana, stacjonowaliśmy razem w Holy Loch. Mieliśmy się spotkać, ale on musiał zmienić plany, bo już go w „Ritzu” nie zastałem. Dał mi kontakt do pani na wypadek, gdybyśmy się minęli.

- W takim razie przykro mi, komandorze, ale muszę pana rozczarować. Ja też wiedziałam tylko o „Ritzu” i jeśli ich tam nie ma, to nic panu nie poradzę.

- Cóż, wielka szkoda. Chciałem podjąć ich kolacją w Admiralicji. Nie domyśla się pani, dokąd mogli się udać?

- Naprawdę nie mam pojęcia. Arnold wspominał wprawdzie, że chce się wybrać na kilka dni do Szkocji.

- Hmm... a dokąd konkretnie, nie wie pani?

- Absolutnie nie.

- W takim razie trudno. Przepadnie nam taka okazja... Gdyby admirał się do pani odezwał, proszę powiedzieć, że dzwoniłem, i przekazać pozdrowienia od starego kumpla Toby’ego Trenhama.

- Nie omieszkać. Do widzenia, komandorze.

Rozdział 12

Raszud wrócił do pokoju i od progu zapowiedział, że się pakują i jadą dalej.

- Przecież dopiero co przyjechaliśmy! - zaprotestowała Szakira. - Nie jesteś zmęczony? Dwa dni nie widziałeś łóżka!

- Zmęczony to ja jestem, ale nie zapominaj, że to nie wczasy. Wypełniamy misję.

- Jakbym nie wiedziała! Dokąd zamierzasz pędzić?

- Do Szkocji.

- Do Szkocji... - mruknęła. - Dlaczego tam?

- Bo Emily Gallagher powiedziała mi, że tam się wybiera nasz admirał.

- Tylko że to cały kraj, nie? Z miastami, hrabstwami i w ogóle.

- Zgadza się. I daruj sobie następne pytanie. Tak jest, nie wiem, gdzie konkretnie go tam szukać.

- Gdzie więc zamierzasz zacząć?

- Jeszcze nie zdecydowałem. Wiem tylko jedno: albo go spróbujemy tam znaleźć, albo możemy wracać do domu z niczym.

- Jak się tam dostaniemy?

- Samochodem. Na lotniskach nie możemy się pokazywać.

- A pociągi?

- To samo. Poza tym samochód i tak będzie nam potrzebny, a nie chcę ryzykować drugiego wynajmu. Im mniej się będziemy rzucać w oczy, tym lepiej.

Worek, 31 lipca, godz. 19.30. Goring-on-Thames

Arnold i Kathy siedzieli na tarasie nad Tamizą. Admirał zamówił kolację na wpół do dziewiątą i teraz cieszyli się ciepłym wieczorem, sącząc doskonałego białego burgunda, Corton-Charlemagne 2004, dumę winnicy braci Olivier Leflaive, cieszącego się opinią jednego z najtrwalszych i zarazem najsmaczniejszych win świata. Arnold uznał, że będzie najlepsze na rozpoczęcie pierwszego wieczoru ich wakacji i jako eliksir na ukojenie nerwów po dramatycznym wydarzeniu sprzed ośmiu godzin.

Tamiza jest na tym odcinku szeroka, a pojawiające się z rzadka barki nie

przeszkadzały kręcącym się leniwie przy brzegu kaczkom. W zmieniającym się przedwieczornym świetle widok był piękny i nastrojowy. Kathy dawno nie widziała męża tak odprężonego, postanowiła więc zaryzykować i naruszyć największe tabu, jakie się świeżo pojawiło w ich życiu.

- Jimmy miał rację, prawda?

- Ano, miał. - Arnold pociągnął łyk wina. Nawet pokonany musiał jednak mieć ostatnie słowo. - Sprytny młody skurczybyk.

- Raczej bystry i zdolny, chciałeś powiedzieć. Nikt tak jak on nie potrafi kojarzyć faktów.

- Skojarzył je nieźle. Za szybko wyciągał wnioski, ale wynik okazał się prawidłowy. Cóż, szczęście początkującego, można powiedzieć.

- Arnoldzie!

- Czego chcesz, on nigdy przedtem nie pracował nad taką sprawą. Pół cywilna, pół wojskowa. A rozwikłał ją, zanim się na dobre rozdmuchała.

- Sprytny młody skurczybyk - rzuciła Kathy z przekąsem.

- Łut szczęścia, ot co. Nie miał ani krzty porządnego dowodu na poparcie tej swojej teorii.

- Może jest geniuszem?

- Pewnie jest - burknął admirał. - Ale nie zapominaj, że on jest moim wynalazkiem. Gdyby nie ja, do dziś by siedział w sortowni poczty.

- Czasami jesteś po prostu nie do wytrzymania. James jest synem admirała i dyplomaty, a do NSA trafił z bardzo dobrą opinią. Jest jednym z najmłodszych oficerów tej rangi w całej historii amerykańskiej marynarki. W sortowni poczty tak szybko się nie awansuje.

- Mówiłem oczywiście w przenośni. Dobrze, poddaję się. Tak, Jimmy okazał się bystrzejszy ode mnie. Starzeję się, straciłem widać tę iskrę. Uczeń przerósł mistrza.

- Och, nie musisz tak sobie brać tego do serca. Zaczęłam tę rozmowę właściwie tylko po to, by cię o coś spytać. Myślisz, że ten zamachowiec będzie próbował dalej?

- Pewnie chciałby. Ale już nie wie, gdzie nas szukać. Twoja mama powiedziała Carli o „Ritzu” i tam też się zjawił. Teraz nawet my dwoje nie wiedzieliśmy, gdzie będziemy przez najbliższe parę dni, wątpię więc, by zdołał nas zlokalizować na tyle szybko, żeby przygotować następną zasadzkę.

- Słuchaj, może po prostu powinniśmy wrócić do domu?

- Na pewno nie przed kolacją, moja droga! - Arnold zachichotał. - Powtarzam ci, nikt

nie ma pojęcia, gdzie nas szukać.

Gestem przywołał Jamesa i polecił mu zabrać burgunda do stołu, a przynieść im po kieliszku Chateau de Carles 1998, którego butelkę odkorkowano godzinę temu. Ta szczególnie ciemna odmiana czerwonego bordeaux z prawego brzegu Żyrondy ma tradycję sięgającą VIII wieku, kiedy obozował tam cesarz Karol Wielki, choć ta akurat winnica została założona siedem stuleci później. Ujrzawszy to wino w karcie, Arnold nie mógł się oprzeć urokowi tak bogatej historii.

Wkrótce potem kelner oznajmił, że specjalność lokalu, kaczką miodem szkliwiona z marynowanymi śliwkami, już czeka gotowa do podania, przeszli więc do restauracji.

Wtorek, 31 lipca, godz. 12.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Tak się złożyło, że wiadomość o próbie zamachu na admirała Morgana dotarła do komandora porucznika Ramshawe'a dopiero o dwunastej czasu Wschodniego Wybrzeża, równo z transmisją głównego wydania popołudniowych wiadomości londyńskiej BBC, której dopiero o siedemnastej Scotland Yard pozwolił podać garść informacji o popełnionym w południe morderstwie przed „Ritzem”. Ujawnione zostało nazwisko ofiary, ale już funkcja George'a Kallana pozostała w sferze domysłów. Spiker użył sformułowania, że „według niepotwierdzonych doniesień należał on do zespołu ochrony amerykańskiego admirała Morgana, przebywającego w Wielkiej Brytanii prywatnie”.

Jimmy o wszystkim dowiedział się z e-maila od kolegi z CIA:

Jim, ktoś dzisiaj usiłował zlikwidować adm. Morgana w Londynie. Spudłował, ale kula trafiła jednego z ochroniarzy. Trup na miejscu.

Ramshawe'owi krew odpłynęła z twarzy. Nie czuł ani cienia satysfakcji, nie mówiąc o triumfie, że jego przewidywania okazały się trafne. Po prostu ogarnął go śmiertelny strach o dwoje przyjaciół. Spełniły się wszystkie jego koszmary - i bynajmniej nie chodziło tylko o chybiony strzał na Piccadilly. Przerazała go świadomość, że organizacja, której przewodził generał Raszud, wydała na Wielkiego Człowieka wyrok śmierci. Był pewien, że Hamas poświęcił wiele pieniędzy i wysiłku, żeby zmontować tę operację, która tylko przypadkiem im się nie powiodła. Co z tego, że on, Jimmy Ramshawe, odkrył ich intrygę już w zarodku? Praktycznie dopięli swego, a wiedział, że dżihadyści łatwo nie rezygnują z raz powziętego zamiaru. Czuł, że wkrótce się pozbierają i spróbują jeszcze raz.

Zadzwoił do londyńskiej placówki CIA i uzyskał zapewnienie, że oboje Morganowie są cali i zdrowi, w ukryciu za miastem i pod dobrą ochroną: oprócz stałego zespołu Secret Service czuwa nad nimi łącznie siedmiu brytyjskich policjantów, w drodze na miejsce jest też uzbrojona łódź patrolowa, która przejmie wachtę od strony rzeki.

Ładnie, pięknie... ale Jimmy'ego to nie uspokoiło. Zamachu przed „Ritzem” - dzięki niemu - się spodziewano, zastosowane zostały, choć może bez przekonania, poważne środki ostrożności, a mimo to Raszud zdołał się prześliznąć przez zastawione sieci i nie tylko wkręcić do budynku naprzeciw hotelu i oddać strzał, ale jeszcze wymknąć się z niego i uciec!

To nie jest zwykły zabójca, pomyślał. Mamy tu do czynienia z najwyższej klasy zawodowcem, wyszkolonym przez jedną z najlepszych jednostek specjalnych na świecie, który dzisiaj pewnie by nią dowodził, gdyby nie wybrał innej kariery. Jeżeli admirał ma być bezpieczny, to musi mieć u boku człowieka o porównywalnych umiejętnościach, a nie pluton sztywnych angielskich konstabli. Kogoś, kto sam ma za sobą trening i doświadczenie w tego rodzaju akcjach zaczepnych, wymagających przechytrzenia nawet tak dobrej ochrony jak Secret Service. Jimmy nie wiedział, gdzie takiego specy szukać, zadzwonił więc do szefa. Dyrektor też jeszcze nie wiedział o zamachu i kazał mu natychmiast zameldować się u siebie.

Ramshawe wpadł do gabinetu George'a Morrisa po trzydziestu sekundach i zrelacjonował mu zajście w Londynie sprzed pięciu godzin. Szef NSA słuchał go z szeroko otwartymi oczami.

- Sir, musimy mu znaleźć ochroniarza z prawdziwego zdarzenia. Nie glineę, nie szpiega, nie agenta, nie Sherlocka Holmesa, ale kogoś z sił specjalnych. Kogoś, kto wie w czym rzecz i umie się wczuć w rolę zabójcy, bo sam nim był. Navy SEALs? Zielone berety?

- Jimmy, masz rację, ale to nie takie proste, wysłać takiego Rambo na polowanie do suwerennego, sprzymierzonego kraju. Zwłaszcza gdy idzie o Brytanię, państwo de facto socjalistyczne. Oni tam drgawek dostają na myśl o naruszeniu praw człowieka... w każdym razie odkąd ten ptyś Blair ze swą żoną adwokatką wkręcili się na Downing Street 10.

- Nie możemy jakoś tego z nimi załatwić?

- Może i tak, tylko musiałby to zrobić sam prezydent. Nie ma dwóch zdań, że Arnold wymaga ochrony skrojonej na miarę aktualnych potrzeb, a Brytolom nie będzie przyjemnie wziąć na siebie winę, gdyby coś mu się stało na ich terenie.

- Zadzwoń pan zatem do prezydenta?

- Tak, ale nie teraz. Jest na rybach w Kennebunkport z George'em Bushem. Wraca jutro rano i wtedy go złapię.

- W porządku, sir. Załóżmy, że będzie zgoda. Może pogadałbym z Johnem

Bergstromem? On na pewno będzie mógł podsunąć nam odpowiedniego kandydata.

- Dobry pomysł, Jim. Bierz się za to od razu.

Ramshawe wrócił do siebie, sprawdził czas - w Kalifornii była dziewiąta trzydzieści - i wybrał numer SPECWARCOM w Coronado. Uzyskanie połączenia z samym dowódcą zajęło mu niecałe trzy minuty.

Wiceadmirał Bergstrom kończył już karierę szefa sił specjalnych marynarki wojennej i od emerytury dzieliły go zaledwie tygodnie. Jimmy spotykał się z nim wcześniej na gruncie zawodowym, obaj zaś darzyli jednakowym szacunkiem Wielkiego Człowieka. Krótki opis wydarzeń w Londynie wystarczył, by przywódca „foczego stada” zamienił się w słuch, gdy komandor porucznik Ramshawe wykladał mu swój postulat przydzielenia admirałowi Morganowi osobistego pretorianina o nadzwyczajnych kwalifikacjach. Jimmy pokrótce przedstawił osobę zamachowca, przypomniał, ile z nim mieli kłopotów w przeszłości, i dobitnie oznajmił, że teraz ten diablo groźny przeciwnik wziął na celownik ich idola.

- Raszud od początku wyprzedza nas o kilka posunięć - tłumaczył. - Tylko cudem wpadliśmy na trop jego planu we wstępnym stadium, kiedy wysłał agentkę, żeby pociągnęła za język teściową Arnolda. Można powiedzieć, że byliśmy uprzedzeni, a on mimo to o mały włos go nie zabił.

- I naprawdę czekał na niego w wynajętym lokalu naprzeciwko hotelu?

- CIA twierdzi, że był tam już tydzień wcześniej i wtapiał się w tło. Współpracują teraz ze Scotland Yardem i starają się go zlokalizować, ale według mnie równie dobrze mogą szukać igły... co tam igły, jednego źdźbła w stogu siana.

- Chcesz powiedzieć, że go nie przyskrzynili na miejscu?

- A skąd! Zniknął, zanim się zorientowali. I jak dotąd jedyne, co zdołali zrobić, to przydzielili Arniemu kilku „bobbych”. Powiedzieć, że to za mało, to niedomówienie roku. Co tacy stójkowi mogą wskórać przeciwko specowi z SAS?

- Dobra, Jimmy, mów, czego potrzebujesz.

- Najlepszego z pańskich ludzi, admirale. Może gościa, który świeżo przeszedł do cywila, ale zachował sprawność i bystrość Foki, a prochu się nawąchał w różnych gorących sytuacjach, wie, na co zwracać uwagę, i umie spostrzec zagrożenie, zanim się ono pojawi.

- Tak, mamy takich. Tylko czy Angole się zgodzą, żeby ktoś tego kalibru działał swobodnie na ich ukochanej wysepce?

- Admirał Morris twierdzi, że tak. Odmowa postawiłaby ich w bardzo niezręcznej sytuacji, gdyby doszło do tragedii.

- Kto ich o to poprosi? To ważne.

- Sam prezydent Bedford.

- To w porządku. Jemu nie odmówią. Masz rację, podejrzewam nawet, że z ulgą przekażą nam odpowiedzialność za ochronę Arnolda.

- To jak, admirale, mamy kogoś odpowiedniego?

- Widzisz, Jim, problem w tym, że akurat teraz brakuje mi ludzi. Rozrzuceni są po całym świecie. Irak, Afganistan, Birma, Arabia Saudyjska, Bahrain... A byle kogo wysłać też nie możemy. Tam potrzeba specy całą gębą, najlepiej pełnego komandora. Myślisz, że tacy u mnie na grządce rosną? Ale jest ktoś, kto by ci pasował.

- Kto taki?

- Nasz stary przyjaciel Rick Hunter. Nadałby się w tej sytuacji idealnie. Po pierwsze, jest rzeczywiście najlepszy z najlepszych. Po drugie, uwielbia Arniego Morgana, a po trzecie, niedawno przeszedł w stan spoczynku i powinien mieć czas.

- A trzyma się w formie?

- Nie chciałbyś się przekonać na własnej skórze, komandorze. Ma w domu dobrze wyposażoną salę gimnastyczną i codziennie biega wokół tej swojej farmy... a jest cholernie duża.

- Tylko czy to forma farmera, czy Foki?

- Forma Ricka Huntera, mój drogi. Lepszej nie trzeba.

- Gdzie on mieszka?

- W Kentucky.

- Ach, teraz sobie przypominam! Jego rodzina ma tam stadninę koni, nie?

- Tak jest. Tylko szczerze mówiąc, obawiam się, że żona mu nie pozwoli na powrót do służby liniowej. No, powiedzmy, że to nie byłaby akcja stricte bojowa... Miałby tylko towarzyszyć admirałowi i dopilnować, żeby nikt go nie załatwił... Niebezpieczeństwo daleko mniejsze niż w czynnej służbie.

- Kto mu złoży propozycję? Mam nadzieję, że pan, sir.

- Niestety, to musi wyjść od ciebie. Raz już go prosiłem o powrót do jednostki i wrócił z przestrzeloną nogą. Diana odłoży słuchawkę, gdy tylko usłyszy mój głos.

- Przecież nie mogę ot, tak do niego zadzwonić i kazać mu wyciągnąć ze strychu colty i gwiazdę szeryfa! - zaprotestował Ramshawe.

- Jasne, że nie. Musisz do niego pojechać i całą rzecz wyłożyć. Z Rickiem nie będziesz miał kłopotu, ale Diana to twardy orzech do zgryzienia. Jest nadopiekuńcza i chętnie trzymałaby go na więzi. Wie, że ma w domu wojownika, ale ani się domyśla jak wielkiego.

- Proszę w takim razie, aby pan go uprzedził o mojej wizycie i o znaczeniu problemu.

- Wyślę mu e-maila, ale dalej już musisz sobie radzić sam, komandorze.
- Okay, ale niech to będzie dzisiaj, dobrze? Jutro bym tam poleciał. Nie mamy ani chwili do stracenia.
- Nie ma sprawy. Zaraz siadam do komputera. Zanotuj adres: stadnina Hunter Valley, Lexington, Kentucky.

Środa, 1 sierpnia, godz. 9.30. Biały Dom

Paul Bedford przeczytał już wiadomość, że kontradmirał Morris prosi go o rozmowę telefoniczną za kwadrans dziesiąta. Kiedy dyrektor NSA zgłasza się z pilnym problemem, nawet prezydent rzuca wszystko i słucha - nie zdarza się bowiem, żeby Crypto City zawracało mu głowę drobnostkami.

Kiedy telefonistka zaanonsowała, że Morris jest na linii, Bedford przywitał go uprzejmie i z ledwie skrywaną ciekawością. Pod wpływem usłyszanych wieści wyprostował się na fotelu i zbladł.

- Słuchaj, George, musimy natychmiast sprowadzić go do kraju! - wykrzyknął. - Ci ludzie nie żartują, to fanatycy! Nie damy rady skutecznie osłonić Arniego na obcym terenie, nawet tak przyjaznym jak Brytania.

- Łatwo powiedzieć, panie prezydencie - odrzekł Morris. - Od tygodni usiłowaliśmy odwieść go od tego wyjazdu. Grochem o ścianę. W kółko powtarza tę swoją mantrę, że nie można dać się zastraszyć terrorystom. Sam pan go zna.

- No, teraz chyba zmienił zdanie, kiedy kula mu świsnęła koło ucha?

- Niestety, nie. Nawet śmierć George'a Kallana nie zrobiła na nim wrażenia.

- A propos, jak tam ze sprowadzeniem ciała do kraju? Arnold powinien chyba być na pogrzebie.

- Wprost przeciwnie, sir! Szef jego ochrony, Al, rozmawiał już z Jimmym Ramshawe'em w tej sprawie. Według niego zabójca właśnie tam spróbuje szczęścia ponownie.

- Skąd Kallan pochodził?

- Z Peru, stan Indiana.

- O, to był ziomkiem Cole'a Portera!

- Cole'a Portera? Myślałem, że on się urodził w Nowym Jorku.

- Większość ludzi tak myśli. Błędna informacja! - Prezydent się uśmiechnął. - Pewnie dlatego to ja siedzę na tym stołku, et cetera...

Morris parsknął śmiechem. Naprawdę lubił Paula Bedforda.

- Pozwoli pan, że przejdę do rzeczy - powiedział. - Chcę pana prosić o pomoc w zapewnieniu Arniemu dobrej ochrony. Próbujemy zwerbować byłego komandosa z Navy SEALs, żeby poleciał do Anglii i nie odstępował go na krok.

- Doskonały pomysł. John Bergstrom pewnie już wtajemniczony?

- Tak jest. Dostaniemy najlepszego człowieka, ale bieda w tym, że on będzie musiał mieć broń i prawo jej użycia na terytorium Wielkiej Brytanii. Normalnie to niemożliwe, oni tam ściśle tego przestrzegają. Proszę, żeby pan zdobył dla niego to pozwolenie.

- Nie widzę problemu - odparł Bedford. - Zaraz zadzwonię do ich premiera. Załatwi wszystko odgórnie i to z radością. Nie dlatego, że mu się to podoba, ale w razie czego będzie mógł umyć ręce.

- I ja tak uważam, sir. Ale czas nagli... pomoże nam pan wyekspediować naszego wojaka jak najszybciej?

- Daj mi tylko znać, gdy będzie gotowy. Resztą już sam się zajmę.

Tego samego dnia, godz. 11.30. Lotnisko Blue Grass, Lexington

Lockheed airies z emblematami US Navy schodził do lądowania, przelatując nad kilkoma z najbardziej renomowanych hodowli koni wyścigowych na świecie. Lot z bazy Andrews zajął siedemdziesiąt pięć minut. Na pokładzie był tylko jeden pasażer. Pilot po mistrzowsku posadził maszynę na pasie startowym i podkołował na wyznaczone mu stanowisko postojowe, gdzie już czekała półciężarówka z logo Hunter Valley na burtach. Jimmy Ramshawe w galowym mundurze zszedł na płytę, przywitał się z kierowcą, który przedstawił się imieniem Olin, i po chwili ruszali już w drogę. Rozmowny szofer nie omieszkał poinformować gościa, że normalnie pracuje w stajniach, a tylko latem zamienia się w mechanika samochodowego.

- Cała flota jest pod moją pieczęcią, a pan Hunter ma sporo pojazdów i maszyn.

- Czy Hunter Valley zajmuje dużą powierzchnię? - spytał Jimmy.

- Ha! Setki akrów, mówię panu. Samych kłaczy mamy ponad siedemdziesiąt. Większość tu przyszła na świat.

- Znaczy, to poważna hodowla. I pan Hunter sam wszystkim zawiaduje?

- No, on jest szefem, nie? Ale większość personelu pracowała tu już dla jego ojca. Kierownicy działów znają się na robocie nie gorzej od niego i sami wiedzą, co i jak. Ale pan Rick trzyma wszystko w garści, no i odziedziczył po tacie smykałkę do rozplodu.

Komandor porucznik Ramshawe nie bardzo wiedział, jak rozumieć tę ostatnią uwagę, ale słowotok sympatycznego kierowcy zasiał w nim ziarno niepokoju. Wyglądało na to, że Rick Hunter może być zbyt zajęty, żeby się zgodzić na zaproponowaną eskapadę. Czuł jednak, że hodowla wierzchowców to biznes z natury sezonowy, zapytał więc, czy sierpień to pora intensywnych prac.

- Nie bardzo - odrzekł Olin. - Klacze są kryte od lutego do lipca, żeby młode się rodziły po Nowym Roku, najpóźniej do maja. Nikt nie chce czerwcowego źrebaka.

- Jak długo trwa ciąża u koni?

- Jedenaście miesięcy.

- A dlaczego źrebaki z czerwca nie są pożądane?

- A dlatego, że dniem urodzin dla wierzchowca jest zawsze pierwszy stycznia. Wtedy urodzone w minionym roku źrebaki przechodzą do kategorii roczniaków i tak dalej. Po raz pierwszy stają do wyścigów jako dwulatki, wciąż jeszcze młode i nie do końca dojrzałe. Ale koń, który się urodził w styczniu, ma już wtedy niemal pełne dwa lata, czerwcowy zaś zaledwie osiemnaście miesięcy, a to na torze sprawia wielką różnicę. Starsze są większe, silniejsze i z reguły szybsze.

- Czyli w sierpniu macie trochę wytchnienia? I wy, i ogiery...

- Na to wychodzi, sir. Oczywiście kłopotów ze źrebnymi klaczami nie brakuje, ale to nic w porównaniu z wiosną, kiedy wszystkie zaczynają rodzić, ogiery harują w nadgodzinach z następnymi, a my wtedy śpimy czasem nie więcej jak parę godzin na dobę.

- Pan Hunter też?

- A jakże! To nie jest facet, który by siedział za biurkiem.

- Tak mi o nim mówiono...

Samochód przejechał przez bramę stadniny - dwa kamienne słupy z ustawionym z boku głazem, na którym wykuta była nazwa „Hunter Valley”. Podjazd był długi, wysadzany drzewami cytrynowymi rosnącymi na starannie przystrzyżonym trawniku. Kończył się drugą parą obelisków, a za nimi otwierał się widok na rezydencję z wysokim gankiem ozdobionym doryckimi kolumnami. Na lewo od budynku rozpościerał się duży padok, na którym kręciły się trzy klacze ze źrebiętami.

Pani domu zobaczyła nadjeżdżający pojazd i wyszła powitać gościa. Prezentowała się wspaniale w stroju jeździeckim: wysokich butach, bryczesach i białej bluzce, mówiła zaś z angielskim akcentem.

- Pan komandor Ramshawe? Witam w Hunter Valley. Jestem Diana Hunter. Jaką miał pan podróż? Rick zjawi się za chwilę. Zapraszam na filiżankę kawy.

- Miło mi panią poznać, madame - wyrecytował Jimmy, na którym Diana zrobiła duże wrażenie. - Mają państwo piękny dom. Olin zabawiał mnie po drodze rozmową. Przeszedłem wstępny kurs hodowli rasowych wyścigowców.

- O, to dobra szkoła! - Diana zaśmiała się perliście. - Olin jest koniarzem w piątym pokoleniu, podobnie jak ja. To nasz spec od ogierów i praprawnuk masztalerza, który opiekował się Czarnym Tonym - dodała z miną wyrażającą pewność, że o tym koniu uczą dzieci w szkołach na wszystkich kontynentach.

- Czarnym Tonym! - wykrzyknął Jimmy. - Wie pani, że mieliśmy takiego w Australii?

- Czy pełnej krwi?

- Wątpię. Nasz Czarny Tony był czempionem, ale napadów na banki.

Tym razem Diana wybuchnęła szczerym śmiechem.

- U nas to imię nosił jeden z najwspanialszych tutejszych ogierów - wyjaśniła. - Spłodził dwóch zwycięzców derbów Kentucky z lat dwudziestych i trzydziestych. Wasz pewnie miał ciekawszą historię.

- Ale marnie skończył. Zasłynął rabunkiem miliona dolarów z Sydney National Bank, w czasie którego zabił czterech kasjerów. Powieszono go sześćdziesiąt lat temu.

W tej chwili do salonu wszedł Rick Hunter.

- Dzień dobry miłemu gościowi! - huknął od progu, sunąc ku Jimmy'emu z wyciągniętą dłonią. - Admirał Bergstrom nie chciał mi wyjawić, z czym pan przybywa. Należę sobie kawy i może pan zaczynać, komandorze.

Były oficer SEALs mierzył sto dziewięćdziesiąt siedem centymetrów i miał posturę byka; nie widać na nim było ani uncji tłuszczu i wyglądał na siłacza, który z łatwością podniósłby każdego ze swych ogierów. Ramshawe zapoznał się z jego karierą wojskową. Rick brał udział w tajnych operacjach na całym świecie - w Birmie, Iranie, Afganistanie, Iraku, Argentynie, a nawet w Rosji. Sześciokrotnie dowodził akcją, bywał ranny, ale zawsze wychodził z tarczą. Zaszedłby wysoko i doczekał się najwyższych odznaczeń, gdyby nie opuścił przedwcześnie formacji z poczucia lojalności wobec przyjaciela, niesłusznie potępionego i zwolnionego ze służby przez sąd marynarki wojennej.

Niejeden z amerykańskich admirałów gotów był poruszyć góry, żeby tylko Rick wrócił do jednostki, był on jednak bardzo nietypowym oficerem. Pochodził z zamożnej rodziny hodowców, zasiedziały w Kentucky od pokoleń, i karierę miał od początku zapewnioną. Za młodu marzyło mu się jednak życie barwniejsze niż na ranczo, aukcjach i wyścigach, wstąpił więc wraz z serdecznym przyjacielem do akademii w Annapolis. Ich drogi się rozeszły; Rick trafił do komandosów, Dan Headley - syn jednego z masztalerzy w Hunter

Valley - wolał tradycyjną drabinę służbową i dosłużył się funkcji zastępcy dowódcy okrętu podwodnego. Los zetknął ich podczas wspólnej akcji, która dla Dana zakończyła się oskarżeniem o bunt i usunięciem do cywila, mimo że nie brakowało okoliczności usprawiedliwiających jego postępowanie. Rick zawdzięczał komandorowi Headleyowi życie i kiedy zapadł wyrok skazujący, nie mógł już sobie znaleźć miejsca w marynarce. Obaj przyjaciele wrócili do Hunter Valley i poświęcili się koniom. W dwa lata później obaj się ożenili; Rick poślubił Dianę Jarvis, córkę szanowanego angielskiego hodowcy oraz siostrę - cóż za traf! - jego bratniej duszy, oficera brytyjskiej SAS.

Teraz były komandos stał przed niespodziewanym gościem, zastanawiając się, czego, u diabła, chce od niego NSA. Diana usiadła na sofie i dała im znak, by też zajęli miejsca, niedwuznacznie sygnalizując w ten sposób, że nie zamierza dać się wyłączyć z konwersacji.

- Rick, znasz chyba admirała Morgana, najbliższego przyjaciela prezydenta? - zagaił Jimmy.

Hunter skinął głową.

- Tak się składa, że przebywa on teraz w Anglii. Od paru tygodni mamy powody, by niepokoić się o jego bezpieczeństwo. I oto wczoraj w południe ktoś usiłował go sprzątnąć. Snajper chybił o włos, zabijając jednego z ochroniarzy.

- Strzelał z poziomu ulicy? - spytał Rick.

- Nie. Wszystko wskazuje na to, że zadekował się w biurowcu po przeciwnej stronie ulicy, na trzecim piętrze.

Dalej potoczyła się opowieść o barmance z Brockhurst, irańskim okręcie podwodnym, morderstwie w irlandzkim porciku i wreszcie o namierzeniu szefa Hamasu w angielskim porcie promowym.

- Cholera, źle to wygląda - mruknął Hunter. - To nie jest jakiś tam świr porywający się z motyką na słońce, ale profesjonalnie przygotowana akcja terrorystyczna z prawdziwym zawodowcem w roli głównej. Skoro ci ludzie wyprowadzili w pole cały nasz aparat wywiadowczy i rozwalili World Trade Center, to z pewnością mogą też stuknąć Morgana.

- Chyba że im przeszkodzimy. Zostało właśnie uzgodnione na najwyższym szczeblu, żeby przydzielić admirałowi kogoś z naszych sił specjalnych jako osobistego ochroniarza. Potrzebujemy człowieka z doświadczeniem bojowym, i to także w warunkach miejskich.

Do Ricka dotarło wreszcie, o co naprawdę chodzi.

- I to temu zawdzięczam zainteresowanie NSA? - spytał, unosząc brwi. - Chcecie, żebym znów włożył mundur i poleciał pilnować Arnolda Morgana?

- Krótko mówiąc, tak.

- Wykluczone! - odezwała się Diana.

- Słyszałeś, komandorze. Szefowa nie da mi przepustki. - Rick rozłożył ręce. - Poza tym nie mam na to czasu. Za dużo spraw na głowie, nie mogę tak po prostu spakować się i odfrunąć do Europy.

- Nawet na dwa, trzy tygodnie? - Jimmy nie dawał za wygraną. - Sierpień to dla was najmniej pracowity miesiąc. Krycie skończone, żadna klacz się nie żrebi...

- Skąd taka wiedza u kogoś, kto był przekonany, że Black Tony to gangster? - spytała Diana z uśmiechem.

- Od Olina - odpowiedział Ramshawe. - Ale pozwólcie mi dokończyć. Nie zdążyłem wam uzmysłwić, o jaką stawkę toczy się gra. Jak może wiesz, admirał Morgan jest najbliższym współpracownikiem prezydenta Bedforda, który polega na jego radach w sprawach o globalnym znaczeniu, zwłaszcza zaś w kwestii zagrożeń dla USA. Prezydent dobrze wie, jak niebezpiecznym przeciwnikiem jest ten generał Raszud. On sam natychmiast zasugerował, żebyśmy wciągnęli na orbitę Johna Bergstroma. A dowódca „Fok” bez wahania wskazał na ciebie. Prezydent o tym już wie i w pełni popiera ten wybór.

- Hmm... Co prawda absolutnie nie mogę się tego podjąć... - wymamrotał zaskoczony Hunter - ale z drugiej strony nie chciałbym odmówić samemu prezydentowi...

- Rick, ta sprawa sięga wyżej, niż nawet ja wiem - naciskał Ramshawe. - Bedford dziś ma się oficjalnie zwrócić do brytyjskiego premiera o carte blanche dla amerykańskiego uzbrojonego ochroniarza, z prawem do... legalnego użycia broni w razie konieczności.

- No, bez tego ani rusz. Kogokolwiek wyślecie, będzie tego potrzebował. W takich sytuacjach decyzje podejmuje się w ułamku sekundy. Coś zobaczysz i działasz, inaczej zamachowiec osiągnie cel.

- Którym oczywiście nie będziesz ty - wtrącił sprytnie Jimmy.

- Ten ochroniarz też nim nie był - odparła błyskawicznie Diana. - Ale do domu wraca w trumnie.

- Słuchaj, Rick, jeżeli przyjmiesz to zadanie, to po latach nie będziesz pamiętał żadnych niedogodności, jedynie zaszczyt, że prezydent USA wybrał cię do misji, która mu leży na sercu jak żadna inna. W tej chwili mówi ci to nędzny komandor porucznik z NSA. Jeśli wrócę do Waszyngtonu i powiem, że odmówiłeś, jutro ty sam staniesz w Gabinetie Ovalnym, wierz mi.

- Nawet prezydent nie może nikogo zmusić do czegoś takiego, prawda? - spytała Diana, patrząc na męża.

- Zmusić nie może - odrzekł powoli Hunter. - Ale ty nie jesteś Amerykanką i nie

rozumiesz, ile u nas znaczy ten urząd. Zwłaszcza jeśli się nosiło mundur. - Zwracając się do gościa, dodał: - Przyznaję, że głupio by mi było powiedzieć prezydentowi, że w nosie mam jego apel o pomoc dla jego najbliższego przyjaciela, który jest też jednym z naszych najlepszych strategów i największych patriotów.

- Rick, nie znajduję mocniejszych słów, żeby to wyrazić - powiedział poważnie Jimmy. - Najwyższe organy władzy chcą, żebyś to ty jechał do Anglii i za wszelką cenę zapobiegł zamachowi na Arnolda Morgana.

- Ale to takie niesprawiedliwe! - krzyknęła Diana. - Rick już nawet nie służy w marynarce. Dlaczego to on ma nadstawiać karku, skoro tytu jest młodszych oficerów, którzy taki rozkaz uznaliby za wielki zaszczyt?

- Głównie dlatego, że Rick wciąż jest najlepszy - odpowiedział Jimmy. - Tak przynajmniej uważają w sztabie marwoju i takiego zdania jest prezydent Bedford. Dlatego tu jestem. Możesz mi odmówić, ale na tym się sprawa nie skończy. On będzie chciał z tobą rozmawiać, Rick.

- A co on z tego będzie miał, prócz zaszczytu? - Diana nie zamierzała ustępować.

- Zapewne wszystko, czegokolwiek zażąda. - Jimmy wzruszył ramionami. - Jeżeli jednak dojdzie do incydentu i uda mu się ocalić admirała, to z pewnością dostanie najwyższy order wojskowy... bo zapomniałem dodać, że Rick na czas misji będzie oficjalnie oficerem US Navy.

- Chcesz powiedzieć, że prezydent może go uznać za oficera czynnej służby w obliczu wroga, czy jak to się tam określa?

- Pani Hunter, prezydent może go uznać nawet za marszałka. Jest naczelnym zwierzchnikiem sił zbrojnych i nikt nie może mu się sprzeciwić.

- Ze mną włącznie - mruknął Rick. - Nie ułatwiasz mi życia, Jimmy... - Odwrócił się do żony i spokojnie rzekł: - Ja wiem, Diano, że cywilowi trudno pojąć... zabrzmiało to pompatycznie, ale nie znajduję lepszych słów... co czuje żołnierz, gdy ojczyzna wzywa. Dla ciebie to niełatwe...

- Tak, a będzie jeszcze trudniejsze, jak ci się uda polec na polu chwały, wojowniku.

- Tego akurat najmniej się boję. Widzisz, zawodowy kiler na ogół musi strawić dużo czasu na przygotowanie się do akcji, a potem wszystko dzieje się już w sekundy. Najlepsze karabiny snajperskie nie mają automatycznego przeładowania, a to znaczy, że ma do dyspozycji tylko jeden strzał... jeśli oczywiście zamierza uciec. Facet, z którym tu mamy do czynienia, to nie jakiś dzieciak nasączony wersetami z Koranu o rajach i gotowy na męczeńską śmierć. Z tego, co Jimmy opowiada, to jest najwyższa szarża w Hamasie, prawdziwy as,

którego ani razu nie mieliśmy szansy dopaść. Zawodowiec pierwszej wody, były komandos z SAS. Wiecie, czemu się tak waham? - Odwrócił się do Ramshawe'a. - Najbardziej się boję tego, Jim, że mógłbym zawieść, a potem musiałbym żyć z poczuciem winy.

- Rick, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Wszyscy jesteśmy tego samego zdania: jeżeli tobie się to nie uda, to znaczy, że rzecz jest nie do zrobienia. Nikt nie będzie wiedział, że w ogóle tam byłeś. Twoja misja ma najwyższy stopień tajności. Tylko parę osób będzie ją znało w całości. Jeśli ci się nie powiedzie, nikt się o tym nie dowie.

- Wystarczy, że ja będę wiedział. I dlatego nie mogę pozwolić, żeby cokolwiek się stało admirałowi Morganowi.

Jimmy się wyprostował i zapytał oficjalnie:

- Sir, czy mam rozumieć, że przyjmuje pan zadanie?

- Przyjmuję.

Diana wstała z sofy.

- No cóż, zostałam pokonana. - Uśmiechnęła się do Jimmy'ego. - Pocieszam się tylko tym, że ten zabójca nie będzie strzelał do Ricky'ego, prawda?

- Nie miałby na to czasu - odrzekł rzeczowo Ramshawe. - Nie uszedłby wtedy żywy.

- Kiedy chcecie, żebym zaczął? - spytał Hunter.

- Jak najszybciej. Problem w tym, że jeszcze nie wiemy, dokąd i którądy się Arnold wybiera. Wiadomo tylko, że na koniec trafi do Edynburga na obchody święta brytyjskiej armii, gdzie na jego cześć odbędzie się jeden z uroczystych apeli. Dobitnie mi wyłożył, jakie to dla niego ważne i jaki honor go spotyka, ale koniec końców daty nie zdradził.

- Spotkałem go parę razy, wiesz? Przelotnie co prawda, ale i tak wywarł na mnie wielkie wrażenie. Rozmawialiśmy o Bliskim Wschodzie. To prawdziwy ekspert!

- To jego naczelną zasadą: wroga trzeba znać. - Jimmy się zaśmiał. - Dzięki, Rick, od razu poczułem się spokojniej. Przed odlotem zadzwoni do ciebie jeszcze admirał Bergstrom, a przypuszczalnie także prezydent. Do Andrews zabierze cię odrzutowiec marynarki, a stamtąd polecisz do Glasgow lub Edynburga, jeśli Arnie będzie już w Szkocji, albo do bazy RAF w Lyneham. Ekwipunek będziesz miał gotowy. Masz jakieś preferencje co do broni?

- Będę potrzebował krótkolufowego peemu CAR-15. Przywykłem do niego, jest chyba najlepszy w swojej klasie. Mały kaliber, ale siła uderzenia niesamowita. Jeden nabój powaliłby pumę w skoku.

- Coś ponadto?

- Tak, wezmę jeszcze pistolet. Może być nasz służbowy dziewięćmilimetrowy sig sauer z paroma zapasowymi magazynkami. Bez niego czułbym się nagi...

- CAR-15, sig sauer. - Jimmy zapisał zamówienie w notesie. - Munduru zabierać nie musisz. George Morris powiedział, że będziesz działał zakamuflowany jako londyński gliniarz. Wystarczą ci normalne cywilne ciuchy, całą resztę zapewnią Angole.

- Niezły pomysł - ocenił Rick. - To mi da swobodę działania.

- I w ogóle cieszą się jak baki miodem, że przejmiesz ochronę Arniego. Ten zaszczyt trochę ich uwiera od wtorkowego południa i chętnie się go zrzekną na twoją rzecz.

- Miło być wyczekiwany gościem! - Hunter parsknął śmiechem. - Zostaniesz na obiedzie, Jim?

- Nie tym razem, dzięki. Muszę wracać.

- Dobra, zaraz poderwę Olinę na nogi, odwiezie cię na lotnisko.

- Będę zobowiązany, komandorze. Przykro mi, że tak obcesowo wtargnąłem w wasze życie, Diano. Wszystko będzie dobrze.

- Ta operacja zapowiada się interesująco. Prawdę mówiąc, dobrze mi zrobi takie wyzwanie. - Rick wyszczerzył zęby w zawadiackim uśmiechu. - Sierpień, jak już wiesz, to u nas taki nudny miesiąc...

Czwartek, 2 sierpnia, godz. 9.30. Goring-on-Thames i Cambridge

Główne osoby dramatu tymczasem łapały oddech po wtorkowym pierwszym akcie. Kathy i Arnold spali do późna i postanowili zostać jeszcze jeden dzień w zacisznym i gościnnym lokalu. Ravi Raszud dał się jednak przekonać Szakirze i zamiast gnać dalej na północ, pozwolił sobie na odpoczynek i spokojnie przespaną noc w „Sheratonie” w Cambridge, dłużej jednak leniuchować nie zamierzał. Zjedli lekkie śniadanie i o wpół do dziesiątej ruszyli na zachód, ku Huntington, do najbliższego wjazdu na autostradę A-1, którą pojechali na północ aż do Yorkshire. Ravi zdecydował się pociągnąć raczej do Glasgow niż do Edynburga, musiał więc w pewnym punkcie odbić na zachód i pokonać górski kręgosłup Brytanii, pasmo Penninów. Przebył już kiedyś tę trasę i tak jak wtedy wybrał teraz malowniczą szosę A-66, przecinającą prostym jak strzelił, prawie dziewięćdziesięciokilometrowym odcinkiem przepiękne dzikie wrzosowiska Yorkshire i lasy Stainmore aż do Cumbrii. Po ponad siedmiu godzinach jazdy dotarli do Penrith, miasta na skraju angielskiej Krainy Jezior, i zajęli na parking pod przyjemnie wyglądającym zajazdem „Claymore”, usytuowanym pośrodku miejscowej starówki.

Szakira prawie całą drogę spędziła zatopiona w niewesołych myślach, ale w końcu się odezwała, pytając, dlaczego Ravi wołał zjechać z wygodnej i szybkiej autostrady po

wschodniej stronie kraju na rzecz tej pięknej wprawdzie, ale bardzo czasochłonnej górskiej drogi. Mąż, zmęczony godzinami nabrzmiałej ciszy, ostrożnie wyjaśnił, że admirał Morgan służył kiedyś na okrętach podwodnych i stacjonował w bazie Royal Navy w Holy Loch.

- Wszędzie wokół Firth of Clyde można spotkać byłych podwodniaków - tłumaczył. - Są szanse, że Morgan zechce odwiedzić znajome strony. Jeśli tu jest, to kto wie, czy nie wspominają o tym tutejsze gazety? Taki ważniak, doradca amerykańskiego prezydenta, nie może tak zupełnie zginąć w tłumie.

- Będziesz próbował go zlikwidować?

- Oczywiście! Po to tu jesteśmy i tylko dlatego skręciłem na zachodnie wybrzeże. Od czegoś trzeba zacząć.

Zameldowali się w „Claymore”. Rawi wyciągnął się na łóżku i zasnął, tak jak stał. Szakira pozostawiona sama sobie wyszła się przejść, kupiła kilka magazynów ilustrowanych i wróciwszy do pokoju, zaczęła je przeglądać, ale nie mogła się skupić. Miała serdecznie dosyć całej tej wyprawy i ugania się za Amerykaninem. Przeczuwała, że to się źle dla nich skończy. Od samego początku operację prześladowało jakieś fatum. Za dużo zostawiali za sobą niepotrzebnych trupów - najpierw ten idiota Barker, potem nieszczęsny Jerry O’Connell i ochroniarz, który zginął zamiast admirała. Nie mogła się opędzić od myśli, że ściągnęli przez to na siebie nieszczęście i że sami w końcu zginą, jeśli natychmiast nie zrezygnują z tego polowania i nie wrócą między swoich. Sam Rawi przyznawał, że się nie spodziewał, iż Amerykanie otoczą tego człowieka aż tak szczelną ochroną. Tylko że zamiast się poddać i uznać zadanie za niemożliwe do wykonania, tym zapamiętałej dążył do celu. Szakira bała się, że Rawi traci swój błogosławiony, zimnokrwisty realizm, dzięki któremu zawsze zdawał się panować nad sytuacją, nawet w najgorszych chwilach.

Była pewna, że to wszystko się wiąże z tą okropną nocą w Damaszku, kiedy wrogowie wysadzili w powietrze ich dom, a oni cudem tylko uniknęli pogrzebania pod jego gruzami. Właściwie to nadal nie wiedziała, kto za ten zamach odpowiadał. Rawi raz tylko mgliście napomknął, że podejrzewa Izraelczyków, których mogli naprowadzić na cel Amerykanie, a konkretnie Arnold Morgan. Rozumiała więc jego determinację, by odpłacić głównemu winowajcy, ale to trwało już tyle czasu... taką długą przeszli drogę... a teraz resztkami sił szukali wiatru w polu. Admirał mógł być w Glasgow, ale równie dobrze w Londynie, Paryżu czy w ogóle na innym kontynencie. I ta nierozumna obsesja Rawiego... Zachowywał się jak opętany. Nic poza zabiciem Morgana już się dla niego nie liczyło. Nigdy jeszcze go takiego nie widziała.

Siedziała przygnębiona w fotelu pod oknem, przerzucając strony „Vogue’a”, a potem

bardziej plotkarskiej „Marie Claire”, ale na niczym nie mogła dłużej zatrzymać wzroku. Podeszła do stolika i wzięła broszurkę z opisem okolicy. Przejrzała ją pobieżnie, właściwie patrząc tylko na zdjęcia, odnotowała w pamięci, że za miastem stoi zamek z XIV wieku, i odłożyła z powrotem.

Naszła ją całkiem niemuzułmańska ochota na łyk wina, zadzwoniła więc do recepcji, zamówiła dwa kieliszki czerwonego bordeaux i zarezerwowała stolik w restauracji na wpół do ósmej.

Rawi obudził się o siódmej i bez słowa poszedł wziąć prysznic. Jakby jej w ogóle nie zauważył... Był jak odmieniony. Szakira ani przez chwilę nie obawiała się, że przestaje się nią interesować, ale coraz bardziej przerażała ją obsesja, która nim wyraźnie owładnęła. Zawsze podziwiała jego nieustępliwy upór i bezwzględność w walce z wrogiem, ale to był inny wróg, ich wspólny, zbiorowy, przeciwko któremu jednoczyli się wszyscy ich współbracia - i wtedy go doskonale rozumiała. Tym razem jednak chodziło nie o dżihad, ale o jakąś osobistą, nie wiadomo jak i kiedy wyrosłą nienawiść do jednego człowieka, którego żadne z nich w życiu nie widziało. Czowała, że to nie jest zdrowa sytuacja, i była przekonana, że nie tak powinien postępować dowódca poważnej wojskowej organizacji. Było to zarazem nienaturalne i niepotrzebne.

Rawi zdawał się czytać w jej myślach, gdy tylko bowiem wychynął z łazienki, powiedział:

- Nie poddam się, Szakiro. Choćby przyszło mi ścigać go na sam koniec świata, dopadnę go.

Kolacja minęła w minorowym nastroju. Po raz pierwszy od lat pojawiło się między nimi takie napięcie i taki rozdźwięk. On siedział z ponurą miną, zatopiony we własnych myślach, czując, że żona nie podziela jego determinacji i nie chce więcej słuchać o zamachu na życie Morgana; ona coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że to już nie jest ich wspólna akcja i że straciła wiarę w jej sens. Pragnęła z całej duszy powiedzieć mu - wykrzyknąć wręcz - że pora odwołać całą operację, ale nie starczało jej odwagi. Gdyby ogłoszono konkurs na najintensywniejsze ciche dni, zdecydowanie mieliby szansę na złoty medal.

Penrith leży o pięćdziesiąt kilometrów od granicy Szkocji, ale od Glasgow dzieliło ich jeszcze prawie trzy razy tyle. Prawdę mówiąc, Rawi sam nie wiedział, dokąd jechać. Kierował się tylko mglistą przesłanką, fragmentem biografii Arnolda Morgana, którego okręt przez jakiś czas korzystał z największej brytyjskiej bazy podwodniackiej położonej w głębokiej zatoce na zachód od tego drugiego co do wielkości szkockiego miasta.

Emily Gallagher potwierdziła, że Morganowie wybierają się do Szkocji, resztę jednak

Raszud musiał sam sobie dośpiewać. Zamierzał zatrzymać się w którymś z hoteli w Glasgow, gdzie miałby dostęp do internetu, i zacząć przeczesywać sieć w poszukiwaniu jakiegokolwiek sygnału, że doradca prezydenta USA jest oczekiwany w okolicy.

Tego ranka znowu podróżowali w milczeniu. Do obwodnicy Glasgow dotarli około południa i Rawi zjechał z autostrady, kierując się drogowskazami do centrum. Przejechał most na Clyde i zaparkował przed hotelem „Millennium” przy George Square, centralnym placu miasta. Nie był tu od wielu lat, ale dobrze pamiętał ten ostatni na Wyspach ośrodek stoczniowy, pamiątkę po dawno minionych latach świetności brytyjskiego przemysłu okrętowego. Uśmiechnął się po raz pierwszy w tym tygodniu, kiedy recepcjonistka potwierdziła, że mają wolny dwuosobowy pokój klasy „lux” i że miło im będzie gościć państwa Barden przez następne dwa dni.

- Internet oczywiście mamy, może pan korzystać bezpłatnie z naszego całodobowego centrum biznesowego, gdzie do dyspozycji gości są cztery laptopy Macintosh. Na śniadania zapraszamy od siódmej do dziesiątej rano. Życzę państwu miłego pobytu.

Rawiemu od razu poprawił się humor. Zanieśli bagaż do pokoju, po czym zaprosił żonę do baru z widokiem na plac, gdzie zjedli kanapki z kurczakiem i napili się dobrej kawy. Przeprószył ją za swoje ponuractwo i usiłował wyjaśniać, że musi wypełnić świętą przysięgę złożoną towarzyszom z Hamasu, że uwolni dżihad od najgorszego wroga. Gdyby zawiódł, straciłby cały ich szacunek, nie ma więc odwrotu. Musi zgładzić admirała Morgana albo zginąć w akcji.

- Ale co ze mną? - spytała Szakira bliska łez. - Nie dam ci zginąć samemu, wierz mi, ale nie mogę pojąć, dlaczego nie traktujesz tego jak zwykłą operację wojskową? Spróbowałaś, nie wyszło, no to się wycofujesz, opracowujesz nowy plan i albo próbujesz ponownie, albo pałeczkę przejmuje ktoś inny. Wielkie zwycięstwa często przychodzą dopiero w którymś kolejnym starciu... nie uczyli cię tego w tej twojej akademii? Nie musisz za każdym razem stawiać wszystkiego na jedną kartę!

- Tym razem muszę, Szakiro. To walka na śmierć i życie, do końca. Wszystko albo nic.

- I naprawdę liczysz na to, że go tu znajdziesz? Gdzie, w tej miejskiej dżungli?

- Wiem, że Glasgow może się wydawać ogromne po tylu godzinach jazdy przez takie pustkowia. Kiedyś nazywano je drugim miastem imperium... a było ich przecież do licha i trochę. Wiele wtedy znaczyło...

- Tak jest, zabawiaj mnie konwersacją, erudyto. Może mi w takim razie powiesz, co się ze mną stanie, kiedy w końcu napytasz sobie biedy. Pomyślałeś o tym? Co ja wtedy

zrobię? Dokąd pójde?

Rawi zamilkł na długą chwilę. Kiedy się odezwał, głos miał nabrzmiały bólem.

- Tak, masz rację. Nie masz gdzie się schronić. Ciebie też będą ścigać nie mniej zajadle niż mnie, choćby za morderstwo Matta Barkera. Kochana, uwierz mi, że nie tak łatwo mnie zabić. Nawet nie biorę pod uwagę takiej możliwości. Jeśli jednak czeka nas śmierć, to zginiemy jak prawdziwi żołnierze świętej wojny.

- Wiesz co, rzygać mi się już chce od tej świętej wojny! - odparła zapalczywie. - Mam dość podkładania bomb, zabijania i nienawiści do wszystkich i wszystkiego! Od miesiący jestem na tym wrednym, szatańskim Zachodzie i za nic nie mogę się doszukać najmniejszego powodu, by ich wszystkich wyrzucić w pień. Polubiłam prawie każdego, z kim się tu zetknęłam. I wiesz, co ci powiem? Nie wierzę, by ten twój admirał był rzeczywiście takim wcieleniem zła, jak go malujesz.

Mimo jej oczywistego wzburzenia Rawi nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Opanował się jednak, wgrzył w kanapkę - bez apetytu, raczej żeby zyskać na czasie - i odrzekł:

- Trzeba umieć dostrzegać szerszy obraz niż ten skrawek świata wokół naszych nosów.

- Szerszy obraz? Mnie na nim nie ma. Jestem tu, w Glasgow, jem kanapkę i z całego serca nie chcę, żebyś lał gdzieś tam ze swoimi rozpryskowymi kulami na tego człowieka i dał się zabić policji!

- Cicho, głupia! - syknął Rawi. - Jeszcze cię ktoś usłyszy!

- I nie mam zamiaru siedzieć cicho ani chować się po mysich dziurach przez resztę życia! Dlaczego nie możemy wrócić do takiej na przykład Irlandii? Podobało mi się tam. Moglibyśmy zaszyć się w jakimś zakątku i spokojnie żyć.

- Dlatego, że ścigają mnie tam za morderstwo, pamiętasz? My już nigdy nie będziemy żyli spokojnie. Mamy tylko jedną drogę. Muszę dokończyć misję, a potem wrócimy do Gazy albo Damaszku, gdzie będziemy bezpieczni. Musimy zamieszkać w kraju arabskim, bo tam się nami zaopiekują i nas ochronią.

Szakira długo milczała, a potem rzekła:

- Rawi, ja po prostu mam złe przeczucie. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. Amerykanie muszą już wiedzieć, że zamach na Morgana był dziełem którejś z naszych organizacji. Jeżeli on tu jeszcze jest, to na pewno zapewnili mu taką ochronę, jakiej nawet ty nie pokonasz. Jestem pewna, że nasze zadanie będzie teraz o wiele trudniejsze niż kiedykolwiek. Idziesz sam pod ogień pistoletów maszynowych, snajperów i Allah wie, czego

jeszcze. Błagam cię, zrezygnujmy z operacji, a Hamas może sobie jeszcze raz spróbować szczęścia choćby za rok. Niech ktoś inny podejmie ryzyko. Ty już dosyć zdziałałeś!

- Szakiro! - Rawi prawie krzyknął, mierząc ją surowym spojrzeniem. - Już ci powiedziałem, to walka do samego końca. On albo ja.

- Nawet jeśli jest pewne, że to ty zginiesz? Powiedzmy, że go zabijesz. I jak, do cholery, zamierzasz się wycofać? Wszystkich zamachowców prędzej czy później dopadają. Złapali Oswalda? Złapali. Tych, którzy strzelali do Reagana i Johna Lennona, też. Zabójców Martina Luthera Kinga i Roberta Kennedy'ego też. Myślisz, że tobie się uda?

- Skąd u ciebie tyle wiedzy o słynnych zamachach?

- Czytam nie tylko „Vogue”, wiesz? Trzymałam ten argument na czarną godzinę, która właśnie nadeszła. Nie było takiego kilerka w historii, który by w końcu nie wpadł. Carlos i Abu Nidal wymykali się im tyle lat... i gdzie dziś są?

- Mnie nie złapali i nie złapią. Gdyby nie głupi pech, Morgan by już nie żył, a ja tak samo wyszedłbym z matni.

- Dobra, może jesteś sprytniejszy od innych i miałeś sporo szczęścia. Fortuna jednak kołem się toczy.

- Szczęścia? - zachnął się Rawi. - Zapewniam cię, moja droga, że szczęście nie odegrało tu żadnej roli. Nie złapali mnie, bo lepiej zaplanowałem atak niż oni obronę.

- Dobrze, cofam to. Jesteś najlepszy. Ja tylko chcę, żebyśmy zaczęli normalnie żyć. Dość już zrobiliśmy dla sprawy, nikt temu nie zaprzeczy.

- Mogę tylko powtórzyć, co już mówiłem. Za dużo mam do stracenia. Reputacja jest dla mnie wszystkim. Nie zapominaj, że choć się urodziłem w Iranie, to jednak wychowałem się jako Anglik, co w oczach niektórych naszych braci zawsze będzie podejrzane. Powiedziałem swoje i nie będziemy więcej o tym dyskutować.

Obiad był skończony. Szakira wstała, by odejść do pokoju. Rawi objął ją, pocałował i szepnął, że jest mu droga nade wszystko, po czym ruszył do centrum biznesowego. Wybrał komputer najbardziej oddalony od drzwi i znalazł w Google stronę internetową dobrego miejscowego dziennika „The Herald”. Wpisał w okienko wyszukiwarki hasło „admiral Arnold Morgan” i cierpliwie czekał na wynik. Nie było żadnego.

Próbował potem wytropić wzmiankę o nim pod hasłami „okręty podwodne”, „Holy Loch” i „spotkania weteranów Royal Navy”. Morgana ani śladu. Rawi uznał, że musi zmienić założenie. Przyjął z góry, że admirała będzie ciągnęło do starych kątów, ale przecież mógł się mylić. Może przyjechał do Szkocji z zupełnie innych pobudek i kto wie, czy nie siedzi już na przykład w Edynburgu?

Odszukał stronę innego dużego dziennika szkockiego, „The Scotsman”, i powtórzył manewr. Bez rezultatu. Niezrażony zaczął przeglądać najświeższe archiwalne wydania gazety w nadziei, że trafi na coś, co mu podsunie rozwiązanie. Fortuna się doń uśmiechnęła przy edycji z poniedziałku, w której całą stronę poświęcono zbliżającemu się Międzynarodowemu Festiwalowi Edynburskiemu, na którym spodziewano się nawet pół miliona odwiedzających.

Dziennik zamieścił obszerny wywiad z przewodniczącą komitetu festiwalowego, niejaką lady Annie MacLean, małżonką emerytowanego brytyjskiego admirała, sir Iaina MacLeana. Opowiadała w nim reporterowi o bogatym programie wielodniowej imprezy, pokazach filmowych i teatralnych, balecie, koncertach chóralnych, a także o obchodach święta armijnego połączonego z serią uroczystych apeli, z których pierwszy miał się odbyć w najbliższą sobotę. Lady MacLean ujawniła listę dygnitarzy, którzy podczas kolejnych odsłon będą zasiadać w łoży królewskiej edynburskiego zamku jako goście honorowi. Na czwarty wieczór zapowiedziany był... adm. (w st. spocz.) Arnold Morgan, US Navy.

Dziennikarz nie omieszkał okazać zdziwienia pojawieniem się amerykańskiego oficera wśród bohaterów apeli. Przewodnicząca zaspokoila jego ciekawość, wyjaśniając, że pan Morgan, były doradca prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego, jest starym przyjacielem jej męża i służyli ramię w ramię na atomowych okrętach podwodnych na wodach brytyjskich. Cieszy się w brytyjskiej Admiralicji wielkim szacunkiem i stąd zamysł uhonorowania go podczas dorocznego święta. Dodała, że przed festiwalem admirał Morgan z małżonką zatrzymają się w ich posiadłości w Inveraray. Poświęcony mu apel odbędzie się we wtorek 7 sierpnia.

Generał Raszud nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Poczul tak przemożną ulgę, że ani pomyślał o nowym problemie: podczas uroczystości jego cel oprócz zwykłej, i tak już silnej ochrony, będzie osłaniać pół brytyjskiej armii.

Jego pierwszą myślą było, żeby spróbować zlikwidować Morgana podczas pobytu u MacLeanów w Inveraray. Dopiero gdyby tam mu się nie powiodło, zamierzał powtórzyć atak w Edynburgu. Tak czy owak, sytuacja raptownie się zmieniła na jego korzyść. Pięć minut temu nie miał zielonego pojęcia, czy uda mu się w ogóle wpaść na trop admirała; teraz dysponował aż dwiema możliwościami wypełnienia misji. Czuł, że tym razem mu się uda.

Zanotował parę szczegółów w notesie i wrócił windą na szóste piętro. Szakira spała, zbudził ją więc delikatnie i powiedział, że chce iść na popołudniową modlitwę do Centralnego Meczetu Glasgow. Pomiął milczeniem drobny fakt, że potrzebował duchowego wsparcia właśnie przez nią - tak mocno wstrząsnęły nim bowiem jej słowa. Zawsze cenił jej proste, logiczne podejście; potrafiła dostrzec oczywiste błędy w rozumowaniu, luki w

planach, przewidzieć zwykłe ludzkie reakcje. Tyrada, którą go przed południem poczęstowała, też trafiła mu do przekonania, choć nie zamierzał się do tego przyznać. Rzeczywiście, dlaczego to oni mają dalej narażać życie, skoro w porównaniu z nimi nikt inny nie robi nic?

Tak, zdecydowanie potrzebował boskiej zachęty. Muzułmanie nie zwracają się wprawdzie nigdy bezpośrednio do Allaha - nie czynią tego nawet ajatollahowie - on jednak często czuł w meczecie dziwnie wyraźną więź z boską istotą. Bywał wtedy pewien, że jest tym wybranym, i miał nadzieję, że któregoś dnia usłyszy głos Najwyższego.

Wątpliwości, jakie go naszły po scysji z Szakirą, nie oznaczały, że traci wiarę. Był nadal przekonany, że musi stać murem przy Proroku i wykonywać jego misję na ziemi. Odwieczny muzułmański sen o wielkim królestwie islamu rozciągającym się od bram Indii i Rogu Afryki po marokańskie i mauretańskie wybrzeża był bliski realizacji dzięki danemu jego wyznawcom podziemnemu bogactwu - ale tylko wojownicy tacy jak on mogli przetrzeć drogę do tego wysnionego celu, usuwając bardziej dających się we znaki wrogów z Zachodu.

Tęsknił do pieśni muezzina wzywającej wiernych na modły; chciał znów móc chłonąć ducha ich prastarej, pustynnej religii. Tu, w tym znajomym, a zarazem obcym szkockim mieście jak powietrza potrzebował umocnienia wiary, która dzień w dzień kazała mu zwracać się twarzą do Mekki i bić czołem przed Bogiem.

Do meczetu pojechał taksówką. Nigdy go przedtem nie widział; budowla okazała się imponująca, większa nawet od londyńskiej świątyni w Regents Parku, z ogromną kopułą i wolno stojącym minaretem. Ledwie wysiadł, z wysoka rozległo się modulowane, gardłowe, śpiewne wołanie: zew dla wszystkich wiernych, by rzucili swoje powszednie zajęcia i zjednoczyli się w modlitwie.

Był wśród swoich. Należał do nich sercem i duszą. Dołączył do ludzkiego strumienia płynącego ku sali modlitewnej. Jak wszyscy, zdjął buty i uklęknął na wzorzystym dywanie. Gdy uderzył czołem przed Miłosiernym, kolące słowa Szakiry rozplynęły się gdzieś w mroku, jaki jest udziałem wszystkich niewiernych. On znów widział jasno swą drogę.

Kiedy wrócił do hotelu, Szakira była już wykąpana i przebrana na wieczór.

- Nie będę dziś jadł kolacji - zapowiedział. - Wyjeżdżam na rekonesans do Inveraray. To jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów stąd. Nie czekaj na mnie, jesteś zmęczona.

- W porządku - odrzekła obojętnym tonem. Nie zaproponowała, że z nim pojedzie. - Zjem sama na dole.

- Powinienem wrócić koło dziesiątej.

- Inszallah.

Jak Bóg da. Nie uszło jej uwagi, że Rawi zabiera swój neseser. Gdy zamknęły się za nim drzwi, przez głowę przemknęło jej pytanie, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Tego samego dnia, godz. 15.00. Goring-on-Thames

Arnold i Kathy nacieszyli się już zaciszem zajazdu „Pod Bukłakiem” i gotowi byli ruszać dalej. Śmigłowiec z Eskadry Królowej czekał już z pracującym silnikiem, bagaże załadowano, policyjne radiowozy blokowały stromy zjazd - jeden na szczycie wzgórza, drugi na dole - dwaj agenci Secret Service czekali pod drzwiami helikoptera, Al Thomson zaś z nowym człowiekiem z ambasady, który zastąpił George’a Kallana, stali u wejścia do restauracji, gotowi osłaniać admirała i jego żonę podczas krótkiego przemarszu przez taras i parking.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, a sierżant z załogi sprawdził zapięcie pasów, pilot zgrabnie podniósł maszynę, cofając się przy tym nad wodę, po czym ruszył naprzód, kierując się początkowo wzdłuż rzeki ku Wallingford i szybko nabierając wysokości. Na pułapie trzystu metrów skręcił na północ i minąwszy Oksford z daleka po lewej, leciał dalej nad Leicester, Nottingham i Yorkiem na lotnisko wojskowe Leeming, gdzie już na nich czekała obsługa naziemna. Pokonanie tych pierwszych trzystu kilometrów zajęło im nieco ponad godzinę. Uzupełnianie paliwa potrwało dwadzieścia minut i gdy tylko odłączono wąż, śmigłowiec znów wzbił się na pułap przelotowy, tym razem kładąc się na kurs północno-zachodni, równoległe do szosy A-66, którą poprzedniego dnia jechali Rawi i Szakira, nad Durham i Northumberland, ku Carlisle i szkockiej granicy. Pilot ominął Glasgow od wschodu, jezioro Loch Lomond zostawił po prawej i lecąc ponad lasem Argyll, dotarł nad wąską, wrzynającą się głębokim łukiem w ląd zatokę Loch Fyne. Dalej już według wskazówek Arnolda zbliżył się do zachodniego brzegu i wylądował na rozległym trawniku przed piękną, białą tynkowaną georgiańską willą.

Admirał Iain MacLean, mężczyzna wciąż postawny i budzący respekt mimo siódmego krzyżyka na karku, z daleka usłyszał nadlatujący śmigłowiec i wyszedł na spotkanie. Towarzyszące mu trzy czarne labradory chciały być jeszcze gościnniejsze i zapuściły się aż do wody, a widząc, że maszyna je mija i siada na suchym lądzie, wróciły i z radosnym szczełaniem rzuciły się witać Arnolda jak starego przyjaciela, sprawiając mu przy okazji solidny prysznic. Zamieszanie i zgiełk potrwały długą chwilę, zanim gość się wyswobodził i podszedł uściskać gospodarza. Przez ten czas Kathy i ochroniarze również wysiedli, załoga wystawiła na trawę walizki i wkrótce helikopter był już dziesiątki metrów nad nimi, kierując

się z powrotem na południowy wschód. Była siedemnasta trzydzieści. W tej samej chwili generał Raszud ruszał swoim audi z parkingu hotelu „Millennium”.

Sir Iain uściskał serdecznie Kathy, przywitał się z agentami i poprowadził całe towarzystwo do domu. Znał się z Morganami od lat i szczerze się cieszył z ich przyjazdu, choć nie mógł się pozbyć marsa na czole.

- Chłopaki mówili mi o waszych kłopotach w Londynie - rzekł, gdy podchodzili już do tarasu. - Wcześniej czytałem naturalnie o tym w prasie i domyśliłem się, że może chodzić o was. Wiadomości były bardzo ogólne. Czuło się, że policja chce utrzymać sprawę w możliwie największej tajemnicy.

- Tak to wygląda, Iain. - Arnold kątem oka dostrzegł zaparkowane na uboczu trzy wojskowe landrovery i dwa policyjne radiowozy. - Snajpera nie ujęto, zniknął, zanim się ktokolwiek połapał. To była bardzo profesjonalna robota.

- Trochę za profesjonalna, jak na mój gust - wtrąciła Kathy. - O mało nie zabił Arnolda. No i ten biedny George Kallan... To bardzo niebezpieczni ludzie, prawda?

- Trudno zaprzeczyć. - MacLean pokiwał głową. - Ale nie martw się, Kathy, u mnie nic wam nie grozi. Nasz komendant policji... to ten wysoki gość na tarasie... zapowiedział, że przez cały wasz pobyt będziecie pod policyjnym parasolem.

Arnold się tylko roześmiał, Kathy zaś dała mu sówkę w bok i poskarżyła się Szkotowi:

- Widzisz? Tak to z nim jest. Co ja się go naprosiłam, żebyśmy wracali do domu! Ale oczywiście nie chciał nawet o tym słyszeć. A teraz dostaliśmy wiadomość od prezydenta, że wysyła nam specjalnego ochroniarza, byłego komandosa z SEALs, żeby przejął dowodzenie. Przyleci jutro rano na pokładzie Air Force One, uwierzyłbyś? Będzie jedynym pasażerem. I to wszystko dla tego uparciucha!

Podczas gdy admirał MacLean zapraszał Morganów do biblioteki na spóźnioną popołudniową herbatę, czwórka agentów Secret Service konferowała już z dowódcą przydzielonego mu oddziałku żandarmerii Royal Navy i komendantem policji z Inveraray, ustalając zasady współdziałania, kanały łączności i podział obowiązków. Wszyscy wiedzieli, że ani na chwilę nie można osłabić czujności. Generał Raszud był przeciwnikiem nie do przecenienia.

Godz. 18.30. Las Argyll

Rawi mknął tymczasem tak szybko, jak na to pozwalała przecinająca las Argyll kręta górską drogą A-83, kierując się ku krańcowi Loch Fyne. Od mostu nad wpadającą do niej

rzeką do Inveraray zostało mu jeszcze siedem kilometrów. Przed dziewiętnastą przejeżdżał już przez miasteczko. Nie znał położenia domu admirała MacLeana, ale przeczuwał, że łatwo go rozpozna. Niecały kilometr za rogatekami, na skraju lasu, z daleka dostrzegł wysoką kutą bramę, a w głębi posesji duży, dwupiętrowy biały dom. Przed bramą stał policyjny wóz patrolowy z migającymi niebieskimi światłami na dachu. Rawi zdjął nogę z gazu i stateczną pięćdziesiątką przejechał wzdłuż ciągnącego się setkami metrów wysokiego płotu. Na podjeździe budynku zauważył drugi radiowóz. Nie musiał nikogo pytać, czyja to posiadłość.

Niedaleko za rogiem ogrodzenia spostrzegł szeroki dukt prowadzący w głąb lasu. Niewiele myśląc, skręcił i powoli przejechał nim paręset metrów, póki między drzewami nie zaczęła prześwitywać woda. Z tego miejsca dom MacLeanów zasłaniało bujne listowie, ale Rawiemu wystarczyło to, co zobaczył przez lunetę celownika. Na dachu czatowali dwaj policyjni lub wojskowi snajperzy uzbrojeni w ręczny karabin maszynowy; zdawało mu się też, że dostrzega lufę granatnika RPG. Daleko na brzegu widniały sylwetki dwóch umundurowanych policjantów i dwóch cywilów, prawdopodobnie ochroniarzy Morgana. Kręciły się przy nich czarne rozbrykane psy, w których rozpoznał labradory. Wiedział, że ich radosne usposobienie łatwo może się zamienić w nieustraszoną agresję, jeśli wyczują w kimś wroga - a on był nim bezsprzecznie.

Zawrócił i wyjechał na szosę, kierując się z powrotem na Inveraray. Wyciągnął telefon, zadzwonił do recepcji „Millennium”, poprosił o połączenie z pokojem 622 i powiedział Szakirze, że jednak zdąży na kolację. W lusterku wstecznym widział niebieskie błyski policyjnego „koguta”.

Opcja numer jeden okazała się niewykonalna. Pozostawał już tylko Edynburg.

Rozdział 13

Sobota, 4 sierpnia, godz. 19:20. Lotnisko międzynarodowe w Glasgow

Od dwudziestu minut cały ruch na lotnisku i podejściach był wstrzymany, a pasy startowe wolne. Od zachodu nadlatywał boeing 747 z godłem prezydenta Stanów Zjednoczonych, powszechnie znany jako Air Force One, wiozący komandora Ricka Huntera - i nikogo więcej. Tym razem, ponieważ prezydenta nie było na pokładzie, lot oznaczony był kryptonimem SAM 38000 (od Special Air Mission, lot specjalny), na specjalną prośbę Białego Domu zachował jednak wszelkie normalne przywileje, włącznie z pierwszeństwem startu i lądowania. Sarkali pasażerowie opóźnionych samolotów, psioczyli piloci, denerwowali się urzędnicy linii lotniczych, centrum kontroli lotów było jednak nieubłagane.

Osiem kilometrów za boeingiem leciał naszpikowany elektronicznymi systemami nasłuchowymi mniejszy samolot należący do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. To rutynowe działanie prewencyjne; NSA musi w każdej chwili monitorować i analizować wszelkie sygnały transmitowane w pobliżu maszyny prezydenckiej. Air Force One nie należy do najtańszych środków transportu - godzina jego lotu kosztuje sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Sprawa admirała Morgana rozgrywała się jednak na zupełnie innej płaszczyźnie niż przyziemne względy ekonomiczne: prezydentowi zależało na jego bezpieczeństwie i chciał mu zapewnić niezawodną ochronę. Nie był to czas na liczenie każdego centa.

Rick Hunter przespał większą część lotu - z Lexington wystartował o czwartej rano - a godzinę przed Glasgow zjadł kolację: befsztyk po nowojorsku i szarlotkę z lodami. Obsługiwały go tylko dwie stewardesy; ponieważ był jedynym pasażerem, załoga została ograniczona do minimum. W tylnej kabinie leciał też drugi skład, na razie zażywający odpoczynku, który po uzupełnieniu paliwa miał odprowadzić boeinga z powrotem do Stanów.

Potężna maszyna dotknęła kołami najdłuższego pasa startowego o dziewiętnastej dwadzieścia trzy. Pilot podkołował na wyznaczone miejsce na otwartej płycie, daleko od terminalu. Gdy tylko boeing się zatrzymał, obsługa podstawiła samojezdny trap i po chwili samotny pasażer mógł już postawić stopę na szkockiej ziemi. Na dole czekali na niego oficer Royal Navy w randze komandora porucznika i celnik, który postawił kredą dyskretny krzyżyk na podręcznej torbie Huntera i brezentowym futerale z pistoletem maszynowym, tym samym

oficjalnie dopuszczając ten nietypowy bagaż na terytorium Wielkiej Brytanii.

O kilkadziesiąt metrów dalej stał gotowy do lotu czerwony śmigłowiec z emblematami marynarki wojennej, szybki dauphin-2. Rick i brytyjski komandor zajęli w nim miejsca, zapięli pasy i pilot natychmiast poderwał maszynę w górę. Zatoczywszy ciasny łuk, skierował się na północny zachód, ku odległym o sześćdziesiąt kilometrów w linii prostej Loch Fyne i Inveraray. Dauphin-2 osiąga prędkość do trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę i już po kwadransie wylądował na trawniku przed rezydencją admirała MacLeana. W tym samym czasie zawiedziony generał Raszud wyjeżdżał już z miasteczka do Glasgow, a lady Annie wysiadała z samochodu przed frontowym wejściem, wróciwszy z partii golfa ze znajomymi. Zaskoczona stanęła przy trójce dyżurujących na dziedzińcu policjantów i odprowadzała wzrokiem wznoszący się ponad las śmigłowiec, a potem przyjrzała się nadchodzącemu wysokiemu mężczyźnie.

- Rozumiem, że on jest po naszej stronie? - spytała.

- Tak jest, milady - odrzekł młody konstabl z Inveraray. - Oczekiwaliśmy go. Dopiero co przywiózł go do Glasgow Air Force One.

- Boże, to kimże on jest?

Policjant nie miał czasu na odpowiedź, gdyż Rick Hunter w tej chwili zrównał się z nimi, zatrzymał i prawidłowo odgadł, że stoi przed panią domu.

- Madame, nazywam się Rick Hunter i jestem oficerem US Navy. Zdaje się, że zapowiedziano państwu moją wizytę?

- Tak, tak, oczywiście - odrzekła spieszenie. - Przepraszam, nie sądziłam, że pan tak... spadnie z nieba.

- W moim zawodzie, proszę pani, często przychodzi mi robić ludziom takie psikusy. - Rick uśmiechnął się zniewalająco.

- Aha... Pan jest tym komandosem z Navy SEALs, o którym mąż mi mówił?

- Tak jest. To znaczy, byłem. Jestem na emeryturze.

- Wygląda pan o wiele za młodo na emeryta. - Annie MacLean odpowiedziała wypraktykowanym w roli admirałkiej żony promiennym uśmiechem, którym przez lata dodawała otuchy młodym oficerom sparaliżowanym strachem przed jej mężem.

- Skorzystałem z wczesnej opcji. Rodzinne zobowiązania. Mamy w Kentucky pokazną hodowlę rasowych koni i po prostu byłem ojcu potrzebny.

- Naprawdę? Musi mi pan o tym opowiedzieć. Ale lepiej wejdźmy do domu. Jestem już godzinę spóźniona, a pan pewnie zmęczony podróżą.

Rick podążył za nią przez otwarte dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi tarasu do

dużego salonu, gdzie zastali obu admirałów i Kathy Morgan pogrążonych w pogodnej konwersacji.

Arnold poderwał się z fotela, przywitał serdecznie z Annie, po czym zwrócił się do Huntera.

- Cześć, Rick. Kopę lat! Cieszę się, że cię widzę.

- Ja również, panie admirale.

Lady MacLean przedstawiła go mężowi, zerknęła na zegarek i rzekła:

- Dochodzi siódma... Czy to nie pora na drinka? Oczywiście nikt wam niczego nie zaproponował... Iain, wstydziłbyś się. Czasem myślę, że za długo wszyscy wokół ciebie skakali na paluszkach w Royal Navy... Arniemu i Kathy na pewno już w gardłach zaschło, a pan Rick ma za sobą tysiące kilometrów lotu ze środka Ameryki.

Jak na zawołanie wyrósł przy niej kamerdyner Angus i przyjął zamówienia. Wszyscy zgodnie poprosili o białego burgunda, jedynie komandor Hunter wybrał wodę mineralną.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy możemy zostać zaatakowani - wyjaśnił.

- Sądząc po ostatnich wydarzeniach, to całkiem prawdopodobne - odrzekł ze śmiechem Morgan.

Nie wiedział, jak sam jest bliski prawdy; nie dalej jak pół godziny temu, kiedy Rick Hunter przesiadał się z prezydenckiego boeinga do helikoptera marynarki, Ravi Raszud przyglądał się posesji przez lunetę celownika i zrezygnował z ataku tylko z powodu zbyt silnej, jak stwierdził, ochrony. Gdyby został w przyległym lasku dłużej, przypuszczalnie wzbudziłby alarm - w tej chwili bowiem wojskowy śmigłowiec rozpoczął patrol, omiatając okolicę kamerą termowizyjną w poszukiwaniu intruzów. Wystrzelony w Londynie pocisk, który przeciął nić życia George'a Kallana, pozbawił też nadmiernej pewności siebie władze po obu stronach Atlantyku i uzmysłowił im realność zagrożenia. Admirał Morgan chroniony był teraz jak sam prezydent.

Annie MacLean zaprowadziła Ricka do jego pokoju, pokazała również sypialnię Arnolda i Kathy.

- Nie będzie chyba konieczne, żeby pan spędził noc na posterunku pod ich drzwiami, prawda?

- W tym wyręczą mnie państwa przemiłe labradory. Będę jednak spał przy otwartych drzwiach, żeby w razie czego usłyszeć, że warczą.

- Prędzej wskoczą wtedy panu do łóżka - zaśmiała się gospodyni.

- Milady, z psami i końmi jestem za pan brat. Dogadamy się.

- Rzeczywiście, zauważyłam, że do pana Igłą. Ciekawa rzecz, jak labradory

bezbłędnie potrafią wyczuć w człowieku przyjaciela.

- Sam mam w domu parę takich samych. Kręcą się po stajniach, włączą nawet do boksów ogierom i aż dziw, że żaden nigdy nie został kopnięty.

- No, panu daję pozwolenie obdzielić je kopniakami, gdyby się naprawdę wdarli do pańskiego łóżka. Kolację podamy kwadrans po ósmej - zapowiedziała. - Panowie będą na sportowo, bez marynarek.

Kiedy Rick został sam, podszedł do okna i zapatrzył się na rozległy trawnik, połyskującą powierzchnię zatoki i czerniejący w oddali drugi brzeg. Pokój Morganów znajdował się po tej samej stronie domu. Oceniał, że przy całodobowej warcie wokół posesji zabójca nie ma szans zbliżyć się do admirała - przynajmniej nie z tego kierunku.

Przy kolacji pytano go, jak widzi swą rolę szefa ochrony i jak ocenia sytuację. Zapewnił, że przy zastosowanych środkach zapobiegawczych dom MacLeanów wydaje się bezpieczny.

- Na ile mogę to ocenić, przeciwnik najprawdopodobniej spróbuje ataku w mieście, gdzie nie mamy nad nim takiej przewagi jak tutaj. Tam trzeba naprawdę mieć oczy dookoła głowy. Czytałem raport Scotland Yardu o morderstwie pod „Ritzem” i doszedłem do wniosku, że skoro snajper strzelał z budynku naprzeciwko, to musiał mieć otwarte okno i broń opartą na parapecie. Lufa musiała wystawać poza futrynę, ale nikt jej nie widział. Mogę tylko powiedzieć, że gdyby tam był ktoś z „Fok”, spostrzegłby ją od razu i rozwalił strzelcowi łeb, zanim tamten by się zorientował. Ja bym tak zrobił, bo tak zostałem wyszkolony i wiem, czego szukać.

- Nie chcę gasić pańskiego entuzjazmu, komandorze - odezwał się Iain MacLean - ale może się pan przekonać, że w Brytanii niełatwo reagować na zagrożenie tak samo jak w zaułkach Bagdadu czy Kabulu.

- Panie admirale - odparł Rick. - Zostałem poinformowany, że w tym wypadku brytyjska policja, wojsko i rząd zgadzają się z naszym prezydentem i problemów nie będzie. Jeżeli rzeczywiście zamachowiec zdoła wysledzić pana Morgana i podejmie kolejną próbę ataku, to moim zadaniem jest go ująć albo zabić, a wybór będzie zależał tylko od mojej oceny sytuacji.

- Jest pan pewnie mistrzem walki wręcz? - spytała Annie.

- W naszej jednostce każdy nim jest. I zazwyczaj, kiedy już nieprzyjacielowi uda się podejść na odległość skutecznego strzału, nie ma czasu na precyzyjne celowanie. Trzeba reagować natychmiast i zdecydowanie, nie bawiąc się w żadne ceregiele, żeby nie było za późno.

- Wiedzie pan ekscytujące życie, komandorze.

- To akurat jest dla niego dziecinną zabawą, Annie. - Arnold zachichotał. - Zaprzeczę, że to kiedykolwiek powiedziałem, ale komandor Hunter wysadził kiedyś w powietrze całą rafinerię w Iranie. To dopiero musiało być ekscytujące!

- Nie można żyć minioną chwałą, sir. - Rick się roześmiał. - Teraz muszę dopilnować, żeby nic się państwu nie stało w Edynburgu. Słyszałem, że natychmiast po uroczystości odlatujecie do Stanów?

- Pod przymusem - odburknął Morgan. - Zepsuli nam wakacje, wystraszyli mi żonę i kazali wracać. Niewiarygodne, z czym się człowiek musi godzić.

- Apel na pańską cześć ma się odbyć we wtorek, tak? To właśnie będzie newralgiczny moment. Muszę wiedzieć dwie rzeczy - zwrócił się do gospodyni - Jakie tam będzie oświetlenie i ilu widzów się spodziewacie?

- Zazwyczaj przychodzi około dziesięciu tysięcy ludzi. Tak będzie każdego wieczoru przez całe trzy tygodnie festiwalu - odpowiedziała Annie. - Zasadnicza część programu odbywa się na głównej zamkowej esplanadzie. Czasem jest tam zupełnie ciemno i tylko wykonawców oświetlają jupitery. Na pewno tak będzie podczas głównej atrakcji, czyli pokazu akcji bojowej piechoty morskiej.

- A jak to wygląda w loży królewskiej, gdzie zasiądzie admirał?

- Tam światło jest zawsze. Trochę przyćmione, ale i tak jasne w porównaniu z resztą widowni.

- Czyli ogólnie mamy zaciemnioną przestrzeń, w której w zasadzie nic i nikogo nie widać, poza gośćmi w loży? Niedobrze...

- No, niezupełnie. Reflektory stale krążą po terenie, zwłaszcza na esplanadzie, gdzie stoją orkiestry wojskowe.

- Czy łatwo jest się dostać do loży królewskiej? To znaczy, czy każdy może tam wejść?

- Absolutnie nie - odpowiedział admirał MacLean. - Obu wejść i całego otoczenia pilnują uzbrojeni wartownicy. Trzeba mieć kartę VIP, żeby przepuścili.

- Chciałbym się jutro rozejrzeć po zamku, jeśli to nie kłopot.

- Nie ma problemu. Rano zabierze pana śmigłowiec.

Niedziela, 5 sierpnia, godz. 10.00. Edynburg

Rawi i Szakira wymeldowali się z hotelu „Millennium” w Glasgow przed dziewiątą, bez trudu wyjechali z miasta i dotarli wylotową szosą do autostrady M-8 prowadzącej do Edynburga. Siedemdziesięciopięciokilometrową odległość pokonali w niespełną godzinę. Rawi, który zdążył przeczytać wszystkie dostępne w internetowych wydaniach gazet artykuły na temat dorocznego festiwalu, skierował się prosto do hotelu „Caledonian Hilton” na końcu Princes Street, niedaleko zamku.

Zatrzymał audi przed wejściem, w przelocie poprosił portiera, żeby miał na nie oko przez parę minut, i pewnym krokiem podszedł do recepcji.

- Dzień dobry. Bardzo przepraszam, że panią kłopotzę. Kapitan Martin, adiutant dowódcy 42. pułku Royal Marines - przedstawił się. - Byłaby pani uprzejma powiedzieć mi, czy to u was zatrzymały się najwyższe szarże od apeli wojskowych w tym tygodniu? Obawiam się, że zgubiłem swojego pryncypała...

Młoda recepcjonistka się roześmiała - bardziej pod wrażeniem męskiej urody oficera niż jego dowcipu - i poinformowała go, że niestety, w tym roku „Hilton” nie został przez najwyższe szarże zaszczycony.

- Zdaje się, że zatrzymali się w nowym „Cavendishu” przy Princes Street. Mają stamtąd bliżej do zamku niż od nas.

- Wdzięczność jestem pani winien dozgonną. - Rawi skłonił się z galanterią. - Prawdopodobnie uratowała mi pani karierę.

Usiadłszy znów za kierownicą, ruszył dalej główną ulicą w stronę zamku, aż zauważył po lewej wysoką bryłę szukanego hotelu. Zatrzymał wóz o sto metrów od wejścia. Szakira, ubrana w tanią czarną sukienkę i z dużą, koszmarnie drogą markową torebką (miała nadzieję, że nikt nie zwróci na to uwagi), wysiadła, podeszła pod drzwi i zapytała portiera, do kogo ma się zwrócić w sprawie pracy.

- Zgłoś się panna do recepcji i zapytaj o panią Robertson - odrzekł jowialnie zagadnięty. - To wicedyrektorka od tych spraw.

Pięć minut później siedziała już w małym biurze na pierwszym piętrze przed elegancką siwą kobietą, na oko pięćdziesięcioletnią, pod wierzchnią skorupą surowej powściągliwości odchodzącą niemal od zmysłów z powodu niedostatku siły roboczej w tym najbardziej obłożonym miesiącu.

- Czy ma pani jakieś doświadczenie w zawodzie? - spytała pani Robertson.

Szakira kiwnęła głową.

- A w jakim dziale wolałaby pani pracować? Potrzebujemy pokojówek i kelnerek w restauracji, barze i room service. Ale przyjmujemy tylko z referencjami.

- Mogę robić cokolwiek, a referencje posiadam. Pracowałam już w kilku hotelach. W Londynie, Irlandii i USA.

- Odpowiadałaby pani praca zmianowa? Wtedy w grę wchodzi godziny wieczorne i nocne.

- Nie ma problemu, jestem dyspozycyjna.

- Potrzebuje pani zakwaterowania i wyżywienia?

- Nie, mieszkam w mieście u siostry.

Janet Robertson podobała się schludność ubioru kandydatki i jej pełne szacunku zachowanie. Na podany jej irlandzki paszport na nazwisko Colleen Lannigan ledwie rzuciła okiem, podobnie jak na list polecający z baru w Covent Garden w Londynie.

- Bardzo dobrze, Colleen - orzekła. - W takim razie spróbujemy, co? Zacznieś jako pokojówka na dwunastym piętrze, tam mamy największy deficyt. A wieczorem, jeśli możesz, chciałabym, żebyś pomogła w room service. Skoro nie będziesz korzystała ze świadczeń na miejscu, zaproponuję ci stawkę dziesięć funtów, nadgodziny... to jest wszystko powyżej siedmiu godzin, nie licząc przerwy obiadowej... płatne sto pięćdziesiąt procent. W czasie pracy przysługują ci też posiłki. Kafeteria dla personelu jest w podziemiu.

- Bardzo dziękuję, pani Robertson. Czy będę potrzebowała uniformy?

- Oczywiście! Zadzwoń zaraz do szefowej piętra, wyda ci wszystko, co potrzeba. Podjedź tylko służbową windą na dwunaste, ktoś cię tam odbierze.

*

Odczekawszy umówione pół godziny, Rawi odjechał spod hotelu. Okrążył monumentalne zameczko posadowione na wyniosłej czarnej skale, zatrzymał się i zadzwonił do recepcji. Udało mu się zarezerwować pokój tylko dzięki temu, że ktoś w ostatniej chwili odwołał przyjazd. Wyszukał parking i przeszedł przez zabytkową część miasta pod zamek. Przy wejściu dla zwiedzających zauważył dwóch uzbrojonych strażników, czujnie obserwujących żądnych historycznych wrażeń turystów. Edynburski zamek był siedzibą królów, koszarami i państwowym więzieniem. Królowa Maria tam właśnie powiła syna Jakuba, przyszłego władcę zjednoczonych pod jego berłem Anglii i Szkocji. W części pałacowej można obejrzyć między innymi szkocką koronę.

Generał Raszud nie był jednak nic a nic zainteresowany burzliwymi dziejami tego kraju. Przybył tu tylko na zwiad; musiał się zorientować w okolicy, oszacować jakość ochrony i wybrać dogodne miejsce dla swoich zamiarów. Był pewien, że wtorkowy apel to jego ostatnia szansa, by dopaść Admirała Morgana, zanim Amerykanie wywożą go za ocean.

Zapłacił w kasie dziesięć funtów za bilet i ruszył pod górę drogą wijącą się już w

obrębnie zamku aż do korony jego wysokich murów, skąd rozpościera się oszałamiający widok na rozłożone u jego stóp miasto. Obszedł całe fortyfikacje, mijając średniowieczną kaplicę św. Małgorzaty, wieżę Argyle, dom komendanta, więzienie i Wielki Refektarz. Stał na półokrągłej Baterii Półksiężycowej, skąd ongiś zamkowe działa broniły dostępu do wschodniego skrzydła. Wszystkie umocnienia opadały ku miastu bardzo stromo, a cały zamek był tego dnia patrolowany równie gęsto, jak pięć lat wcześniej przedpola amerykańskiego garnizonu w Bagdadzie. Gdzie by zaszedł, gdzie spojrzął, wszędzie kręcili się młodzi żołnierze na służbie, czasem dwójkami, czasem w większych grupach. Wszyscy mieli przy sobie podstawową broń ręczną brytyjskiej armii, krótkolufowe pistolety maszynowe SA-80, kalibru 5,56 mm, z magazynkiem na dwadzieścia pięć nabojów.

Pchnięty impulsem Rawi zatrzymał się i przybierając zafascynowaną minę kompletnego laika, zapytał przechodzącego kaprała Gwardii Szkockiej:

- Przepraszam pana, czy ten karabin jest nabity ostrą amunicją?
- Się wie, panie szanowny. Prawdziwą bojową.
- Przecież to bardzo niebezpieczne...
- I o to właśnie chodzi - odrzekł wesoło żołnierz.

Raszud pokręcił głową z udawaną dezaprobatą i ruszył dalej, kierując się do wyjścia.

W tej samej chwili czerwony śmigłowiec Royal Navy zatoczył krąg nad zamkiem i powoli osiadł na rozległym dziedzińcu za koszarami, największym budynkiem w całym kompleksie. Plac chwilowo zamknięto dla zwiedzających, aby wizytujący amerykański komandor i przewodnicząca komitetu festiwalowego mogli spokojnie wysiąść i zająć się swoimi sprawami. Annie MacLean postanowiła zacząć oprowadzanie Ricka od górnych partii zamku, aby pokazać mu cały teren przewidziany na potrzeby parady. Z tego odcinka murów dobrze było widać całą esplanadę, trybuny i oczywiście lożę królewską, gdzie mieli razem zasiąść we wtorkowy wieczór. Zwróciła jego uwagę na nachyloną stromo ścianę Baterii Półksiężycowej, po której żołnierze z 42. Pułku Królewskiej Piechoty Morskiej mieli zjechać na linach na esplanadę w efektownym pozorowanym szturmie na umocnione pozycje wymyślanego nieprzyjaciela.

Rickowi to się nie podobało.

- I cała ta okolica będzie pogrążona w ciemności podczas pokazu? - spytał.
- Zgadza się. Oświetlona będzie tylko loża, a reflektory punktowe wydobędą z mroku sylwetki żołnierzy na tle baterii.

Rick kręcił głową z niezadowoleniem. Toż nic tu nie będzie widać, zżymał się w duchu. Arnold natomiast cały czas będzie widoczny jak na dłoni, a podczas odbierania salutu

nawet dodatkowo skąpany w blasku skierowanego nań jupitera. Jedynym plusem tej imprezy była stała obecność licznych uzbrojonych wartowników i patroli.

Współpracował nieraz z Brytyjczykami i wielce cenił ich wyszkolenie i sprawność. Pocieszał się, że w tych warunkach nikt nie zdoła się zbliżyć do łoża na tyle, by skutecznie zaatakować. Arnolda będzie stale pilnowała piątka specjalistów, w tym on sam, a do tego ubezpieczać ich będzie cała falanga policji.

Rick przyglądał się dokładnie całej scenerii, oszacowując odległość, jaka będzie dzielić admirała od podnóża baterii i wzniesionych nieopodal tymczasowych trybun. Zauważył, że cały ten teren jest lekko pochyły, a powierzchnia nierówna. Zastanawiał się, czy zabójca mógłby podbiec tędy w stronę łoża, ale odrzucił tę wersję z prostej przyczyny: pistolet byłby w takich warunkach zbyt niepewny, potrzebny jest karabin - a gdyby ktoś się tu pokazał tak uzbrojony, warta z pewnością naszpikowałaby go kulami, zanim zdążyłby unieść broń do ramienia. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy są czujni i traktują swoje zadanie poważnie. Rick wierzył, że Arnold będzie tu bezpieczny, ale nie mógł się pozbyć obaw.

Wrócili z lady MacLean do czekającego z włączonym silnikiem śmigłowca, który natychmiast wystartował i odleciał na zachód. Rawi wsiadał właśnie do samochodu i widząc oddalającą się maszynę, zastanawiał się, kogo wiezie i w jakim celu osoba ta złożyła tak przelotną wizytę na edynburskim zamku.

W „Cavendishu” zajął zarezerwowany pokój, wiedząc że nie zdoła w tym gmazysku o kubaturze większej od Kremla odnaleźć Szakiry; musiał poczekać, aż ona go znajdzie. Umówili się, że będzie zameldowany jako kapitan Harry Martin, a gdyby nie udało mu się dostać pokoju, zostawi w recepcji wiadomość dla Colleen Lannigan.

W szufladzie stolika znalazł plan Edynburga i mapę najbliższej okolicy, zabrał się więc do ich dokładnego przestudiowania. Interesowały go zwłaszcza dzielnice i sąsiednie miejscowości położone nad brzegiem szerokiego leja zatoki Firth of Forth, jak Musselburgh i Port Seton. Od map oderwał go dzwonek telefonu. Szakira powiedziała tylko kilka słów: „Będą na ostatnim piętrze, pokoje od strony Princes Street”, i się rozłączyła.

Rawi zajrzał do książki telefonicznej i po krótkim wertowaniu znalazł to, czego szukał, po czym wyszedł na ulicę. Przeszedł na drugą stronę i obejrzał uważnie płaski dach hotelu, starając się oszacować odległość od jego krawędzi do rzędu okien na szesnastym piętrze. Zaczynał opracowywać wariant awaryjny, ogarnęły go bowiem wątpliwości, czy przy takim nasyceniu okolic zamku wojskiem i policją możliwe jest nie tyle samo dokonanie zamachu podczas uroczystości, ile późniejszy bezpieczny odwrót. Teraz musiał się udać na zakupy.

Pojechał w kierunku wybrzeża i pół godziny później znalazł się w Port Seton. Miał nadzieję, że zostanie tamtejszy sklep żeglarski otwarty - była wprawdzie niedziela, ale w sezonie wszyscy ruszają w weekend na wodę, więc interes powinien się opłacać.

Okazało się, że nie tylko jest otwarty, ale wręcz oblegany przez jachtsmenów zaopatrujących się w najróżniejsze części takielunku, narzędzia, a nawet kamizelki ratunkowe i farby, co Rawi w duchu błogosławił - w takim tłoku jego sprawunki nie zwrócą niczyjej uwagi. Stał w ogonku dwadzieścia minut, zanim doznał do lady, za którą pół ściany zajmowały duże szpule z nylonowymi linami różnej grubości. Zamówił dwa jedenastometrowe odcinki o centymetrowej średnicy i poprosił, żeby zaopatrzono je w kausze i szekle na jednym końcu.

- Jock, szplajsowanie! - krzyknął przez ramię młody ekspedient.

Z zaplecza wynurzył się jego rówieśnik w niebieskim podkoszulku i flegmatycznie zabrał się do robienia oka: włożył w małe imadło stalową kauszę - rynienkę o półokrągłym przekroju, wygiętą w kształt łyżki - oplótł ją liną tak, by wolny koniec przylegał do niej u wierzchołka kauszy, i zamocował go mocną nylonową nicią. Następnie zapalił przenośny palnik gazowy i ostrożnie obracając złączenie nad płomieniem, topił nylon, dopóki obie części nie zespoliły się w jednolitą masę, którą na koniec schludnie owinął białą elastyczną taśmą.

- Proszę nie zapomnieć, sir, że gdyby chciał pan przyciąć któryś kawałek, musi pan tak samo zabezpieczyć końcówkę nad ogniem - poinstruował Rawiego sprzedawca, sprawnie zakładając na praktycznie niezniszczalne oko zgrabną szekłę ze stali nierdzewnej.

Rawi skinął głową i poprosił jeszcze o szelki bezpieczeństwa, jakie żeglarze noszą przy złej pogodzie, by móc się przypiąć liną ratunkową do jachtu, a do tego sześć wygiętych w ósemkę klamer podobnych do używanych przez alpinistów w celu bezpiecznego opuszczania się na linie. Jock tymczasem uporał się z drugą kauszą i zwinąwszy obie linki w foremne buchy, podał je klientowi zawieszzone w palcach za oka. Raszud dokupił jeszcze taną płócienną torbę żeglarską, zapakował do niej sprawunki i zapłacił gotówką, uszczuplając stan posiadania o niecałe sto pięćdziesiąt funtów. Żeglarstwo do tanich sportów nie należy.

Wrócił do centrum i zostawił audi na odkrytym parkingu w pobliżu zamku, a do hotelu dotarł piechotą. W pokoju wyciągnął się na łóżku i czekał na Szakirę. Zjawiała się po dwóch godzinach i padła obok niego na wznak wyczerpana.

- Szefowa mówiła, że brakuje im ludzi, ale nie myślałam, że aż tylu! - jęknęła. - Zasłaliśmy chyba z tysiąc łóżek tylko we dwójkę z inną dziewczyną. Nie było nawet kiedy poodkurzać!

Rawi roześmiał się, obrócił na bok i pocałował ją. Natychmiast jednak spoważniał i powiedział:

- Słuchaj, kończy nam się czas. Przygotowałem dwa plany działania, oba bardzo niebezpieczne. Muszę teraz popracować nad szczegółami, a potem pomyślę nad drogą ucieczki. Dla ciebie jest parę zadań do wykonania. Może się na koniec okazać, że wszystko będzie zależało od ciebie - zakończył posępnie.

Minęła szesnasta trzydzieści i Szakira musiała zgłosić się do pracy na popołudniowej zmianie.

- Nie zobaczymy się aż do dziesiątej - zapowiedziała. - Wybierasz się gdzieś teraz?

- Pójdę do meczetu na wieczorną modlitwę. Ostatnio łaknę tego jak nigdy przedtem. Trzymaj się, kochana. Może wszystko jeszcze będzie dobrze...

Poniedziałek, 6 sierpnia, godz. 16.00. Inveraray

Przed dom admirała MacLeana zajechał samochód policyjny. Sierżant, który z niego wysiadł, niósł trzy okryte plastikowymi workami wieszaki z kompletem umundurowania: granatowymi spodniami i swetrem, dwiema białymi koszulami, krawatem i żółtym płaszczem przeciwdeszczowym. W drugiej ręce trzymał białą siatkę z butami, pasem i czapką z charakterystycznym otokiem w czarno-białą szachownicę. Wręczył cały ten majdan Angusowi, informując, że to dla amerykańskiego komandora. Dziesięć minut później na dziedziniec wychynął Rick Hunter przebrany za oficera brytyjskiej policji, z torbą podróżną i pistoletem maszynowym w zielonym pokrowcu. Pokiwał odprowadzającym go gospodarzom dłonią na pożegnanie i wsiadł do radiowozu obok kierowcy.

Dzielące ich od Edynburga sto sześćdziesiąt kilometrów przebyli w niespełna dwie godziny; przedarcie się przez miasto i resztki popołudniowego korka swoje musiało potrwać i kiedy Rick wchodził do eleganckiego holu „Cavendisha”, było już kilka minut po dziewiętnastej. Zamienił parę słów z recepcjonistką, która skinęła na jednego z portierów, aby zaprowadził go do pokoju. Radiowóz czekał na niego tuż przed wejściem.

Duży dwuosobowy pokój numer 168 miał wewnętrzne drzwi - w tej chwili otwarte - łączące go z narożnym apartamentem prezydenckim, złożonym z dwóch przestronnych sypialni i wielkiego salonu, w którym można było urządzić koktajl party na szesnaście osób. Portier pokazał Rickowi, jak regulować klimatyzację, i zapytał, czy może być jeszcze w czymś pomocny; na widok wsuniętego mu w dłoń dziesięciofuntowego napiwku powstrzymał się wprawdzie od gwizdnięcia, ale uniesionymi brwiami dał poznać, że to całkiem nieźle jak

na gliniarza.

Zostawiony sam sobie komandor przeszedł się po pokojach, zastanawiając się, który przydzielić Arnoldowi i Kathy, a który MacLeanom. Wszyscy czworo byli już z nim na ty; szkoccy arystokraci nie mieli kłopotów z zaakceptowaniem go jak swego - był w końcu milionerem nie w pierwszym pokoleniu, z rodziny parającej się tak szlachetnym zajęciem jak hodowla pełnokrwistych wierzchowców, no i miał za sobą chwalebny oficerską służbę w marynarce jak sir Iain. Uzgodnili wcześniej, że to on, jako odpowiedzialny za bezpieczeństwo admirała Morgana, zadecyduje o zakwaterowaniu. Sprawdzał teraz jakość zamków i blokad okien, oceniał widok na świat - oczywiście nie w kategoriach krajobrazu, ale potencjalnego ryzyka zewnętrznego - i wypróbował, czy telefony działają sprawnie. Usatysfakcjonowany zadzwonił do recepcji i zastrzegł, że odtąd nikt z personelu nie może się zbliżyć do apartamentu bez jego wyraźnego pozwolenia, a i wtedy wyłącznie w jego obecności. Miało to dotyczyć pokojówek, sprzątaczek, kelnerek i w ogóle każdego, kto miałby cokolwiek wspólnego z obsługą obu admirałów i ich żon.

Powiesił cywilny garnitur w szafie, na dno schował pistolet maszynowy. Sig sauera włożył do kabury na pasie i wyszedł, zostawiając na klamce zawieszkę „Nie przeszkadzać”. Zjechał do holu i wrócił do radiowozu.

- Na zamek, sir? - spytał kierowca.

- Tak jest. Pod główne wejście, proszę.

Rick przybył na miejsce na godzinę przed przewidzianym na dwudziestą pierwszą uroczystym otwarciem apelu, ale widownia już się zapełniała w oczekiwaniu na paradę orkiestr najszlachetniejszych szkockich pułków. Zapowiadało się świetne widowisko i niezależnie od rzeczywistego celu wizyty komandor sam był go ciekaw. Na razie jednak głowę miał zaprzątniętą czymś innym. Przeszedł do łoża królewskiej i usiadł na środkowym krześle w pierwszym rzędzie. Wpatrując się w trybuny, szukał miejsca, skąd zabójca mógłby liczyć na czysty strzał z dużej odległości. Ustalił już, że dostępu do trybun będą z obu stron strzec policjanci lub żołnierze, pod których doświadczone okiem niełatwo byłoby przemycić karabin snajperski.

Rick ocenił, że położone wyżej elementy fortyfikacji nie zapewniają dobrej pozycji strzeleckiej. Za dnia może tak, ale w ciemnościach to jednak zbyt duża odległość i dobre oświetlenie łoża tego nie zmieni. Poza tym wszędzie tam pełno wojska; warty rozstawiono co pięćdziesiąt metrów wokół całego zamku. Nawet teraz, przy zapadającym zmierzchu, było je dobrze widać.

Zszedł na dół i ruszył ku trybunom po lewej stronie, chcąc sprawdzić, czy ciągną się

do samego muru na końcu esplanady. Kończyły się jednak w pewnej odległości, zapewniając swobodne przejście. I tam był posterunek żandarmerii wojskowej; dwaj żołnierze zatrzymywali wchodzących widzów, sprawdzając bilety. Rick nie mógł nigdzie znaleźć pozycji dogodnej dla snajpera - ani na trybunach, ani na murach. Wszędzie, gdzie chciałby się uplasować z karabinem, ryzykowałby natychmiastowe wykrycie i aresztowanie.

Wrócił do łoży i przysiadł na jednym z wolnych krzeseł w pierwszym rzędzie, obserwując gęstniejący tłum. Zaczynali już przybywać honorowi goście, wśród nich dwaj generałowie i pierwszy lord Admiralicji, który miał być bohaterem wieczoru.

Apel rozpoczął się pompatycznym utworem odegranym przez reprezentacyjną orkiestrę Royal Navy, *Fanfara dla pierwszego lorda*. Ledwo przebrzmiały ostatnie akordy, odezwały się kobzy i werble. Ruszyła parada. Na esplanadę pierwsze wkroczyły zespoły z pułków szkockich: Guards, Highlanders i Borderers, a za nimi orkiestry Gwardii Irlandzkiej, królewskich strzelców gurkhijskich i Szczurów Tobruku. Prastare, przejmujące dźwięki marszów bojowych zdawały się wzbijać pod niebo. Rick rozpoznał jedną z melodii, *Nadchodzą Campbellowie* - dumną reminiscencją bitwy pod Lucknow z 1857 roku, kiedy to generał sir Colin Campbell na czele czterech i pół tysiąca szkockich piechurów rozgromił sześćdziesiątych tysięcy siły hinduskich rebeliantów oblegających tę brytyjską enklawę.

Było to rzeczywiście wspaniałe widowisko. Podziwiając paradną musztrę, Rick na chwilę zapomniał o napięciu, choć nie mógł opanować niepokoju, gdy ujrzał, że pierwszy lord Admiralicji podnosi się z krzesła, by odebrać salut. Kiedy widownia poderwała się z siedzeń, komandor wstał ze wszystkimi i przyłączył się do aplauzu, rozumiejąc dumę Szkotów z ich walecznej przeszłości.

Po tym uniesieniu pokaz akcji bojowej w wykonaniu Royal Marines wydał mu się niemal cyrkową rozrywką. Kilka plutonów sprawnie zjechało z korony murów po linach, sformowało szyk i dało ognia z peemów, co miało symbolizować udany atak na nieprzyjacielskie umocnienia. Już wcześniej Rick sprawdził, że w magazynkach mają tylko ślepe naboje.

Został w łoży do końca uroczystości, podziwiając występy rosyjskiego Kozackiego Zespołu Pieśni i Tańca, defiladę orkiestr pułkowych piechoty morskiej grających *Święto Trafalgaru* i ponowny przemarsz Szkotów w rytm znanych na całym świecie *Mull of Kintyre* i *Kaledonii*. Paradę zakończyły uświęcone narodową tradycją nuty *Auld Lang Syne* w wykonaniu tysiąca instrumentalistów wojskowych, a finałem wieczoru był występ samotnego kobziarza z Gwardii Szkockiej, który ze szczytu muru odegrał *pibroch lament*, klasyczną melancholijną elegię.

Widownia eksplodowała owacją, na stojąco żegnając wykonawców odmaszerowujących przy dźwiękach *Dzielnej Szkocji*.

Rick Hunter nigdy jeszcze nie widział czegoś tak doskonałego, poruszającego i imponującego. Zapomniał niemal o swojej roli, policyjnym mundurze, o śmiertelnym niebezpieczeństwie czyhającym na wielkiego Amerykanina, którego zobowiązał się strzec. Przez chwilę stał przy poręczy, przyglądając się oczarowanym widzom tłoczącym się u wyjścia, a potem zszedł na dół i dołączył do tłumu wypływającego na zewnątrz przez wąską lej między trybunami a murem esplanady. Rozejrzał się na wszystkie strony i doszedł do wniosku, że dla zamachowca to jedyna szansa ucieczki po oddaniu strzału: wmieszać się między ludzi i wydostać na ulicę. A to znaczy, że musiałby odczekać z atakiem do samego końca...

Odszukał swój radiowóz i wrócił do hotelu. W pokoju wyswobodził się z munduru, przebrał się w garnitur i zjechał do restauracji. Na kolację zamówił befsztyk à la Aberdeen i Jacka Daniel'sa z lodem. Nie zwrócił uwagi na innego samotnego gościa - mężczyznę w czarnej koszulce pod brązową zamszową wiatrówką, konsumującego kanapkę z kurczakiem pod whisky z wodą sodową. On również dopiero co wrócił z apelu, który oglądał z wysokości zamkowych murów, obserwując ruchy wartowników i przygotowania marines do pokazu. Obydwaj mieli kiepsko spać tej nocy, wążąc w niespokojnych myślach własne posunięcia i starając się przeniknąć zamiary przeciwnika.

Wtorek, 7 sierpnia, godz. 15.00

MacLeanowie i Morganowie wyjechali z posiadłości range roverem gospodarzy w konwoju prowadzonym przez wóz policyjny. Za nimi jechał zespół Secret Service w samochodzie sztabowym Royal Navy, a straż tylną trzymał drugi radiowóz. Okrążywszy Loch Fyne drogami lokalnymi, dojechali do autostrady M-8, którą pociągnęli do samego centrum Edynburga. Policjanci nie włączyli syren, żeby niepotrzebnie nie zwracać uwagi na tę i tak rzucającą się w oczy kawalkadę. Droga zajęła im trzy godziny; pod hotelem „Cavendish” zatrzymali się krótko po osiemnastej. Dwaj policjanci odprowadzili całe towarzystwo aż pod drzwi apartamentu na szesnastym piętrze, gdzie napotkali tylko jedną sprzątaczkę, gorączkowo machającą szczotką odkurzacza po wykładzinie. Widząc nadchodzących gości, dziewczyna podniosła głowę i przepaszającym tonem wyjaśniła:

- To już nie potrwa długo, proszę państwa. Mamy dziś okropne spóźnienie. Dwie minutki i skończę.

- Okay, mała, nie ma problemu - uspokoił ją jeden z mundurowych.

Szakira, aktualnie w połowie swojej przerwy obiadowej, bez słowa wróciła do odkurzania.

Stanęli pod podwójnymi drzwiami apartamentu prezydenckiego, oznaczonymi numerami 170-172. Czterej agenci weszli pierwsi, szybko przeszukali sypialnię i salon, po czym otworzyli drzwi do przyległego pokoju komandora Huntera. Zastali go rozpartego w fotelu z gazetą w rękach i nogami opartymi na stoliku.

- Dobry wieczór, sir - zagadnął Al Thompson. - Relaksujemy się?

- Próbujemy, Al. Wszyscy są?

- Aha. Obejrzeliliśmy pokoje, teraz chłopaki sprawdzają okolicę. Dwaj ludzie będą na stałym posterunku przed drzwiami. Wszyscy mamy pokoje na tym piętrze.

- Brzmi dobrze. - Rick skinął głową. - A jak będzie wieczorem, na apelu?

- Wszyscy tam będziemy, sir. Właśnie miałem pana zapytać o dyslokację. Ustawię ludzi, gdzie pan zechce.

- Dobra, na razie się roztasujcie, a potem my dwaj popatrzymy sobie na plan zamku. Przydałoby się zająć stanowiska już gdzieś koło ósmej. Admirał Morgan planuje przyjechać za dziesięć dziewiąta, tuż przed rozpoczęciem.

- Zostawię z nim jednego człowieka, do tego będzie miał sześciu gliniarzy, a już na miejscu eskortę wojskową, która doprowadzi państwa Morganów do łoża.

- To powinno wystarczyć - przytaknął Hunter. - Ale wiesz co, Al? Ten zamek jest cholernie duży, a większość przestrzeni będzie zaciemniona. Ochrona jest naturalnie silna, ale i tak dostaję gęziej skórki.

- Będzie dobrze, sir. - Thompson się roześmiał. - To w takim razie widzimy się za pięć minut.

Rick słyszał za ścianą rozmowę obu admirałów. Z korytarza dobiegły go kroki bagażowego toczącego wózek z walizkami, a potem drzwi wewnętrzne się otworzyły i do pokoju zajrzał Arnold Morgan.

- Cześć, Rick. I jak ci się podobał wczorajszy apel?

- Wspaniała rzecz, admirale - odrzekł komandor, wstając na powitanie. - Świetna tradycja, a wykonanie w każdym calu perfekcyjne.

- Pewnie sama muzyka?

- Prawie. Ale musztra fantastyczna, a Rusczy tańczyli niesamowicie. Orkiestry też dały z siebie wszystko. Nie mogę się doczekać, żeby to jeszcze raz obejrzeć.

- Tylko nie zapomnij o mnie! - napomniał go Arnold z mrugnięciem. - Ty sobie

będziesz podrygiwał zafascynowany kozackimi wyczynami, a ten przechrzczony turbaniarz wpakuje mi kulkę w siwy łeb...

- Wszystko będzie pod kontrolą, sir.

- To na razie, Rick.

O dziewiętnastej trzydzieści Al z dwoma agentami wyruszyli na zamek. Za specjalnym zezwoleniem MI5 i edynburskiej komendy policji cały zespół był uzbrojony. Towarzyszyło im czterech policjantów z Inveraray.

Czterdzieści pięć minut później w ich ślady poszli admirałowie z żonami pod czujnym okiem Ricka i czwartego agenta. Przed windą dołączyli do nich czterej miejscowi funkcjonariusze. Nikt nie zauważył, że w tej samej chwili, kiedy zamykały się za nimi drzwi, ze służbowej klatki schodowej wysunęła się ta sama czarnowłosa sprzątaczką z płócienną żeglarską torbą, otworzyła drzwi prowadzące na dach i zniknęła za nimi. Na parterze szef konserwatorów jeszcze się nie zorientował, że nie ma swojego klucza.

Tymczasem w zachodnim skrzydle zamku czekał na swoją porę generał Raszud. Siedział tam od popołudnia, ukryty za niskim murem przed oczyma ochroniarzy, którzy do osiemnastej trzydzieści mieli wyprosić turystów z części ogólnodostępnej. Ulokował się w najbardziej odludnym zakątku fortyfikacji, zdecydowany nie ruszać się stamtąd do zmierzchu. Kwadrans po dwudziestej uznał, że jest już dostatecznie mało światła dziennego, by ruszyć do akcji. Upewnił się, że nóż mu nie wypadł zza paska na plecach, odczekał, aż jego kryjówkę minie kolejny patrol, i szybkim krokiem podszedł do wysokiego muru, na którym umieszczony był silny reflektor oświetlający najbliższą okolicę. Kabel zasilania poprowadzony był luźno po ścianie i Rawi przeciął go paroma pociągnięciami noża bojowego, po czym równie zwinnie zniknął w kryjówce.

Robiło się coraz ciemniej. Na krótki odcinek dzielący hotel od zamku przydzielono admirałom sztabowy wóz Royal Navy; Rick z agentem Secret Service wsiedli do prowadzącego radiowozu, a konwój zamykał jak zawsze drugi samochód policyjny. Z Princes Street zapuścili się w uliczki starego miasta i zjawili się pod zamkiem za dziesięć dziewiąta. Eskorta z Gwardii Szkockiej już na nich czekała i wkrótce cała grupa znalazła się w łoży królewskiej. Ochrona Morgana, już w komplecie, zajęła pozycje po obu stronach pierwszego rzędu; Rick uzbrojony w pistolet maszynowy stanął z agentami po lewej ręce admirała.

Łoża się powoli zapelniała. Krzesła bezpośrednio za Arnoldem przypadły rektorowi Uniwersytetu Edynburskiego i jego małżonce, a obok nich usiedli dowódca 42. pułku Royal Marines i komendant główny policji regionu Lothian. Resztę miejsc zajęło dziesięciu innych dygnitarzy i wyższych oficerów.

W tej chwili Rawi stał skryty w cieniu nieopodal budynku nowych koszar. Nie ruszył się z miejsca, kiedy rozległy się pierwsze takty *Fanfary dla US Navy*, utworu specjalnie skomponowanego przez dyrygenta orkiestry Royal Marines na cześć bohatera wieczoru. Był głuchy na muzykę; interesowali go tylko wartownicy rozstawieni wzdłuż muru, tego dnia bardziej czujni niż zwykle. On sam był uzbrojony tylko w nóż i ciężki szklany przycisk, który nosił w kieszeni kurtki. Wyglądałby jak przeciętny turysta, gdyby nie buty - wojskowe kamasze z cholewami schowanymi pod nogawki.

Rawi czekał na moment zaobserwowany poprzedniego dnia, kiedy jeden z żołnierzy pójdzie po herbatę. Na tym odcinku pełniło służbę czterech żołnierzy; co pół godziny spotykali się wysoko na zachodnim murze i wtedy właśnie któryś zawsze schodził po cztery kubki do ustawionej przy starym szpitalu kantyny polowej.

Apel trwał już kwadrans, kiedy czwórka marines zebrała się pierwszy raz. Gawędzili parę minut, po czym jeden z nich oderwał się od kolektywu i ruszył w dół stoku, tego wieczoru - za sprawą Raszuda - pogrążonego w największym mroku.

Żołnierz nucił sobie pod nosem w rytm wdzierającej się w każdy zakamarek szkockiej melodii, kiedy Rawi jak pantera wyskoczył z ciemności, dopadając go z tyłu od lewej. Potężny cios szklaną kulą wymierzony wprost w splot nerwowy za uchem. Rozległ się trzask pękającej kości i młody kapral marines, ten sam, który dzień wcześniej poinformował szefa Hamasu, że nosi broń naładowaną ostrą amunicją, upadł martwy na ziemię. Rawi błyskawicznie ściągnął z niego kurtkę mundurową i spodnie, chwycił pistolet maszynowy i zerwał z głowy czapkę. Zwłoki chwycił pod ramiona i przerzucił za mur, w piętnastometrową przepaść, gdzie powinny pozostać nieodkryte co najmniej do rana. Słyszał, jak pod ich ciężarem łamią się gałęzie jakichś krzaków. Odskoczył w cień z naręczem nowego ekwipunku. Mundur nałożył na cywilne ubranie, wciskając tym razem nogawki do cholewek butów zakupionych w miejscowym sklepie z demobilem. Nałożył cienkie rękawiczki i ruszył ku Baterii Półksiężycowej, gdzie kompania piechoty morskiej szykowała już liny do karkołomnego zjazdu na esplanadę. Przyczaił się w mroku i czekał z bronią przewieszoną przez ramię.

Minęło dziesięć minut. Orkiestra za orkiestrą popisywały się brawurowo granymi utworami, wzbudzając salwy aplauzu. Wreszcie odezwał się megafon: „A teraz zobacz państwo pokaz militarnej sprawności i odwagi w wykonaniu naszych dzielnych Royal Marines! Żołnierze z czterdziestego drugiego pułku zademonstrują szturm na ufortyfikowane nieprzyjacielskie pozycje. Panie i panowie, marines w akcji!”

Światła wokół esplanady przygasły, a po chwili nagłą ciemność przecięły smugi

jupiterów, pokrywając jasnymi plamami ścianę baterii. Wszystkie oczy zwróciły się w tamtą stronę. Z daleka ledwo było widać, jak czarne nitki lin rozwijają się i opadają wężowymi skrętami ku odległej o osiemnaście metrów podstawie muru. Nagle coś się zaczęło dziać. Pierwsza czwórka dobiegła do krawędzi, chwyciła liny i stanęła obrócona plecami do publiczności. Na niesłyszalną z dołu komendę żołnierze odbili się i skoczyli w otchłań, lądując stopami na murze kilka metrów niżej. Kolejnymi odbiciami zsuwali się coraz niżej, by wreszcie stanąć na płaszczyźnie esplanady, i zajęli pozycje bojowe. Cwórka po czwórce ich koledzy dołączali do nich, jednakowo sprawnie i szybko.

Rawi czekał w mroku, aż na koronie muru zostało tylko sześciu marines. Dopiero wtedy wysunął się naprzód i podbiegł z innymi do krawędzi, wybrał linę i ustawił się w gotowości do skoku. Dwaj ludzie dołączyli do niego po obu stronach.

- No to jazda! - zakomenderował jeden, nie orientując się, że ma obok siebie obcego.

Za czasów SAS Rawi robił to setki razy i teraz swobodnie, może nawet lepiej niż marines, zsunął się eleganckimi, równo odmierzonymi skokami wzdłuż kamiennej ściany baterii, jak przystało na oficera sił specjalnych. W kilka sekund był na dole i biegł do następnego zestawu lin, by zjechać po murze na samą esplanadę. W dole widział, jak żołnierze po zjeździe przypadają do ziemi, czekając na pozostałych, aby rozpocząć pozorowany szturm. Rawi nie dołączył do nich; jako jedyny stał wyprostowany, niewidoczny w cieniu, z bronią gotową do strzału - tyle że w przeciwieństwie do reszty uczestników pokazu załadowaną bojowymi pociskami.

Przed nim na tle ciemnego nieba odcinał się prostokąt światła z łoża królewskiej, z sylwetką bohatera wieczoru wyraźnie widoczną pośrodku. Pozostali goście na stojąco nagradzali żołnierzy oklaskami. Rawi poznał Morgana i ubraną w zielony kostium Kathy.

Rick Hunter stał na swoim miejscu, kiedy marines otworzyli ogień. Myśli błyskawicznie przelatywały mu przez głowę. Od początku nie podobało mu się to otoczenie: zaciemnione podzamcze, oświetlona trybuna. Instynkt nabyty i doszlifowany w ogniu walki podczas służby w SEALs nie dawał mu spokoju, alarmując o niebezpieczeństwie. Zebrał się w sobie, czekając na jakąkolwiek oznakę ataku, z nerwami targanymi każdą kolejną serią z peemu.

Dwieście metrów od niego generał Raszud także znieruchomiał i - niewidziany przez nikogo - podniósł broń do ramienia, celując prosto w pierś admirała Morgana. Wypuścił powietrze z płuc, wstrzymał oddech i nacisnął spust.

Rick był jednak o ułamek sekundy szybszy. Dwoma skokami znalazł się przy Arnoldzie, zbijając go z krzesła klasycznym futbolowym szczupakiem. Dwa ciała runęły na

podłogę, zgarniając po drodze przerażoną Kathy. Hunter instynktownie odwrócił się tak, by zasłonić oboje własnym torsem.

Krzyk kobiet w łoży zagłuszały serie z broni maszynowej. Paru policjantów rzuciło się, by rozdzielić walczących, jak im się w pierwszej chwili zdawało, Amerykanów. Hałas stopniowo cichł, goście podnosili się i otrzępywali. Nikt się nie odezwał, ale wszyscy widzieli rząd wykwitłych w oparciu krzesła Arniego otworów po pociskach kalibru 5,56 mm, a tuż za nim bezwładne, zakrwawione ciało rektora uniwersytetu.

Rick pomógł wstać Kathy. Ani ona, ani jej mąż nie odnieśli żadnych obrażeń, ale oboje byli wyraźnie wstrząśnięci. Arnold z niedowierzaniem patrzył na przeszyte kulami krzesło. Któryś z policjantów wezwał ambulans, rozjarzyły się główne światła. Zdenerwowany spiker ogłaszał przez megafony, że z powodu nieprzewidzianego incydentu i popełnionego morderstwa apel zostaje przerwany.

- Proszę spokojnie opuszczać trybuny, nie ma powodu do paniki. Panie i panowie, kierujcie się do najbliższego wyjścia.

Pod trybunami na lewo od łoży Rawi gorączkowo ściągał mundur. Podejrzenia komandora Huntera okazały się trafne: po zamachu sprawca przecisnął się między murem i widownią. Przewieszony przez ramię SA-80 ukrył pod zamszową kurtką i opuścił podzamecze wraz ze wszystkimi, po czym okrężną drogą wrócił pieszo na Princes Street (audi wolał na razie zostawić na parkingu).

Wiedział, że chybił po raz drugi. Nie uszło jego uwagi zamieszanie w łoży królewskiej; widział, jak pchnięty przez ochroniarza admirał przewraca się na podłogę akurat w chwili, gdy on naciskał spust. Przez ulotną chwilę łudził się, że choć jedna kula trafiła, lecz żołnierz z jego doświadczeniem ma już wyrobiony instynkt; Rawi czuł, że jego wróg wciąż jest cały i zdrowy.

Najważniejsze jednak, że i on wyszedł z tego kolejnego starcia wolny i bez szwanku. Jeszcze nie wszystko było stracone - ale musiał działać natychmiast. W drzwiach hotelu z uśmiechem pozdrowił odźwiernego i poszedł prosto do windy. Miał nadzieję, że Szakira szybko się z nim skontaktuje i będą mogli sfinalizować plan awaryjny. Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści. Na telefon od żony przyszło mu czekać pół godziny. Powiedziała tylko cztery słowa: „Wszyscy wrócili. Zaraz będę” - i dwie minuty później weszła do pokoju świadoma, że Rawi znów nie wykonał zadania.

- Kochany... - zaczęła od progu. - Czy to nie dosyć? Czemu by teraz nie wrócić do domu? Mamy samochód, możemy łatwo zniknąć.

- To nie jest operacja wojskowa. - Rawi stanowczo pokręcił głową. - Wykonujemy

wolę Allaha, nie mogę ot, tak zrezygnować w pół kroku. Chcesz, żebym się smażył w piekle? Musimy dokończyć, cośmy zaczęli.

- Ale dlaczego? Tak się staraliśmy! Może to znak, że nie jest nam pisane zwyciężyć? Dlaczego po prostu nie odejdziemy?

- Daj spokój, dobrze? Na dachu wszystko gotowe?

- Gotowe, ale nie chcę, żebyś tam szedł.

- Nie pojmujesz, kobieto, że nie mam innego wyjścia? - Rawi podniósł głos. - Muszę go zabić, rozumiesz? To wróg naszego ludu, gończy pies Zachodu, przysięgły wróg Proroka, bicz na nasze armie! Admirał musi zginąć z mojej ręki...

Teraz już krzyczał i Szakira struchlała na myśl, że ktoś go usłyszy. Co gorsza, sama zaczynała się go bać. Podejrzewała, że stracił zmysły.

- Idź! - rozkazał. - Idź, Szakiro, i wykonaj nakaz Najwyższego, jak i ja wykonuję! Idź!

Dziewczyna bez słowa wyszła na korytarz. Rawi ruszył za nią ku schodom awaryjnym, zabierając broń i kupione w sklepie z militariami kominiarkę i gogle. W milczeniu pokonywali piętro po piętrze. Gdy dotarli na szesnaste, przystanęli przy drzwiach na korytarz. Rawi powiedział, że oboje są wysłańcami Boga i może to być ich ostatnie spotkanie na tej ziemi, ale potem będą na wieczność zjednoczeni w Jego ramionach, bo przecież przygarnie dwoje z najlepszych wojowników dżihadu.

- Nie smuć się, kochana. Dla nas i tak nie ma już tutaj nic. Nie mamy dokąd pójść i gdzie zamieszkać. Musielibyśmy żyć w ukryciu przez resztę naszych dni. Tej nocy Allah rozstrzygnie nasz los.

Objął ją i mocno przytulił. Milczeli oboje. Rzucili całe swoje życie na szalę świętej sprawy... i je przegrali? Jeszcze przed chwilą Rawi myślał, że admirał Morgan znalazł się w pułapce - ale czyż ich sytuacja nie przypominała jej jeszcze bardziej?

Pocałował ją i szepnął:

- Szakiro, wiesz, co muszę zrobić. Jeżeli mi się powiedzie, będziemy jeszcze mieli szansę się wymknąć. Jeśli wyjdzie inaczej, to umrę szczęśliwy, że dane nam było tyle cudownych, wspólnych lat, a wkrótce spotkamy się w raju.

To rzekłszy, puścił ją, odwrócił się i ruszył służbowymi schodami na dach. Za obudową wielkiego klimatyzatora znalazł torbę z linami i uprzężą. Zamocował obie szelkami do solidnej rury i przerzucił końce przez niski murek na krawędzi. Założył szelki, upewnił się, że zatrzaski dobrze trzymają, po czym połączył alpinistycznymi sprzączkami z liną. Mógł się teraz opuszczać w sposób kontrolowany, regulując za ich pomocą szybkość zjazdu. Usiadł oparty plecami o murek i czekał na telefon od Szakiry.

Tymczasem na podzamczu trwało gorączkowe śledztwo. Detektywi zjawili się w dowództwie 42. pułku i sprawdzali dane wszystkich żołnierzy, którzy brali udział w pokazie. Wszyscy byli obecni, nikt nie zgubił broni, a oficer dyżurny potwierdził, że wydano im z magazynu wyłącznie ślepa amunicję. Równocześnie zablokowano - za późno, oczywiście - wszystkie wyjścia i opuszczających teren poddawano rewizji. Na koniec poprosili dowódcę pułku o przeprowadzenie apelu całej kompanii wyznaczonej do ochrony uroczystości. Dopiero wtedy wyszło na jaw, że brakuje jednego z młodszych podoficerów - dwudziestotrzyletniego kaprała ze służby wartowniczej, oraz jego peemu z magazynkiem pełnym ostrych nabojów. Kryminolodzy określili już, że z takiej właśnie broni wystrzelono kule, które zabiły rektora uniwersytetu. Tym samym o dwudziestej trzeciej trzydzięci wyłoniono już podejrzanego - który co prawda sam zaginął.

Do hotelu „Cavendish” skierowano dodatkowy pododdział policji, wzmacniając ochronę szesnastego piętra. Agenci Secret Service czuwali całą czwórką, Rick zaś na krok nie odstępował Arnolda i Kathy. Po tak bliskim spotkaniu ze śmiercią nikomu nie chciało się spać, admirał więc zaproponował kolację w hotelowej restauracji.

- Nie ma co, Rick, uratowałeś mi dzisiaj życie! - powiedział Morgan. - Winien jestem wdzięczność i przeprosiny wam obu, to jest tobie i Ramshawe'owi.

- Nic nie jest mi pan winien, sir - zaprotestował Hunter. - To dla mnie zaszczyt, że mogłem wykonać to zadanie.

- Wygląda na to, że robię się za stary na polityczną pierwszą linię - mruknął Arnold. - Za stary i za głupi.

- Jakoś trudno mi to przyjąć do wiadomości - odrzekł sir Iain.

- Nawet jeśli weźmiesz pod uwagę, że Jim Ramshawe od miesiąca wołami próbował mnie odciągać od tego wyjazdu?

- Arnie, nie możesz ulegać panice za każdym razem, gdy ktoś wystąpi z jakąś szaloną teorią - wsparła męża Annie MacLean.

- To prawda, Annie, i pewnie dlatego się uparłem przy swoim. Myślałem, że potrafię przechrzyć tych zamachowców, kimkolwiek naprawdę są, i nie zwracałem uwagi na fakty, którymi świecił mi w oczy nasz Jimmy.

- Tak to bywa z błyskotliwymi umysłami - rzekł admirał MacLean. - Tyle razy mają rację, że w końcu nabierają przekonania, iż mogą kształtować wydarzenia według własnej woli.

- Jest na to nawet stosowny termin: megalomania - wtrąciła Kathy, uśmiechając się po raz pierwszy od paru godzin. - Na to, co teraz przeżywam, też. Załamanie nerwowe. Bo

wiecie... ten, kto strzelał do Arniego, jest wciąż na wolności.

Rick Hunter siedział z ponurą miną. Zdjął odblaskową żółtą kamizelkę policyjną i nakrył nią swój peem, który odłożył na wolny fotel.

- Tak, on tam wciąż jest - przytaknął. - I zakładam, że pozostaje niebezpieczny. Musimy być bardzo ostrożni, sir - zwrócił się do Morgana. - Dzwoniłem już do Waszyngtonu i prezydent wysłała po nas Air Force One. Samolot będzie tu jutro rano i wsiądziemy do niego, cokolwiek by ktokolwiek o tym myślał. Można sobie igrać z ogniem, ale wsadzać głowę w płomienie to już byłaby przesada.

- O której więc rzucamy jutro cumy? - spytał Arnold.

- Tankowanie ma się skończyć około siódmej, więc myślę, że będziemy mogli wejść o wpół do ósmej.

- Lepiej więc zamówmy budzenie na jakąś piątą.

- Nie ma potrzeby, sir. Będę na nogach do rana. Nie zasnę, dopóki nie zamkną za nami drzwi boeinga i nie zaczniemy kołować na start.

- No, ja mam zamiar się położyć - oznajmiła Kathy. - Pytanie tylko, czy usnę po tym wszystkim. Niecodziennie się zdarza, że ktoś próbuje ustrzelić mi męża... ale chyba zaczynam się do tego przyzwyczajać.

Wszyscy parsknęli nerwowym śmiechem. Rick wezwał dwóch policjantów z holu, podnieśli się też ludzie z Secret Service. Cała szóstka otoczyła Morganów ciasnym kręgiem. Rick ruszył przodem, jawnie trzymając CAR-15 gotowy do strzału. MacLeanowie szli tuż za nimi, osłaniani przez pozostałych konstabli. Całym konwojem pojechali windą na szesnaste piętro. Dwaj agenci pierwsi weszli do apartamentu i szybko przeszukali wszystkie pokoju, obwieścili, że są „czyste”, i dali znak, że można wchodzić.

Rick zapowiedział, że zostaje na warcie w salonie i po prosił o dwóch agentów do asysty. Al Thomson zgłosił się na pierwszą zmianę, a dwóm policjantom powierzono posterunek przy drzwiach w korytarzu.

Sir MacLean, któremu nie dawała spokoju myśl, że cała ta afera odbija się niekorzystnie na reputacji jego kraju, zaproponował wszystkim pożegnalnego drinka.

- Kto wie, kiedy znów się spotkamy w tym gronie? - zauważył z uśmiechem.

Dwaj policjanci wolni od służby udali się do domu. Nie zwrócili najmniejszej uwagi na pokojówkę, kilkadziesiąt kroków przed nimi pchającą nakryty obrusem wózek z room service. Żaden nie spostrzegł też, że kobieta wyjmuje z kieszonki fartucha telefon komórkowy i wybiera numer.

Cichy brzęczyk wyrwał Rawiego z zamyślenia. Sygnał od Szakiry. Dobrze, on jest

gotowy. Jeszcze raz sprawdził liny i uprząż, przeładował broń i przewiesił ją przez pierś. Opuścił kominiarkę na twarz, nasunął gogle na oczy i stanął na krawędzi dachu. Odchylił się w tył i odbił od murku, lekko zeskakując stopami na ścianę. Powoli przepuszczał linę przez sprzączki, opuszczając się tuż nad linę okien szesnastego piętra, na wysokości salonu apartamentu prezydenckiego. Przystanął na chwilę, poprawił osprzęt tak, by mieć niecałe dwa metry luzu. Odbezpieczył peem i zaczął ostatnią modlitwę.

Iain MacLean akurat nalewał whisky do czterech kryształowych szklanek, kiedy generał Raszud silnym wybiciem oderwał się od ściany i wyciągniętymi stopami uderzył w okno, rozbijając szybę w drobny mak. Inercja pchnęła go do wnętrza, a z lufy peemu już wylatywały pociski. Widział przed sobą kilka rozmytych ludzkich sylwetek, ale jego umysł rejestrował wyraźnie tylko admirała Morgana. Naciskał spust z całej siły, jakby to miało zwiększyć moc rażenia. Któraś z kul dosięgła celu; Rawi z satysfakcją dostrzegł czerwoną plamę na białej koszuli swego wroga numer jeden.

Na pierwszy odgłos tłuczonego szkła Rick Hunter obrócił się na pięcie i otworzył ogień, pakując serię prosto w głowę zamachowca. Raszud zginął na miejscu. Wolno rozwarł palce i wypuścił broń. Naprężone liny pociągnęły go jak wahadło z powrotem za okno, gdzie zawisł bezwładnie głową w dół, brocząc krwią z kilku ran.

Do salonu wpadli z korytarza zaalarmowani kanonadą policjanci; Al Thompson przyciskał już ręcznik do rany w ramieniu Arnolda, póki Rick nie przejął pałeczki. Polecił ułożyć go na łóżku i doświadczone okiem obejrzał postrzał.

- To głupstwo! - Morgan trzymał fason. - Pierdoła nie potrafił prosto strzelać nawet z takiej odległości. Nie dziwota, że wciąż pudłował. Kto to był, u diabła?

W tej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi i damski głos zaanonsował:

- Room service!

- Wejść! - rzucił konstabl, który akurat niósł z łazienki dodatkowy ręcznik.

Rick jednak nagle przypomniał sobie wydane menedżerowi instrukcje. Obejrzał się przez ramię i zobaczył wjeżdżający do pokoju wózek ze srebrnym dzbankiem i filiżankami.

- Stać! - krzyknął. - Proszę natychmiast wyjść!

Wózek jednak płynął dalej, a w ślad za nim pojawiła się ładna brunetka w uniformie pokojówki. Wsunęła dłoń pod obrus, a kiedy ją uniosła, czernił się w niej austriacki glock od Prendzita Kumara.

Nie dostrzegł tego nikt poza Hunterem. Szakira nie zdążyła nawet wycelować w admirała, kiedy seria pocisków z CAR-15 przeorała jej piękną twarz na ukos, odrzucając ją na wznak z powrotem na korytarz.

- Rany boskie! - wrzasnął Arnold. - Co to jest, pieprzony Dziki Zachód?

Na szesnastym piętrze zaroilo się od policji. Ulica rozbłysła feerią czerwonych i błękitnych lamp sygnałowych. Lady MacLean omal nie zemdlala ze zgrozy, Kathy zaś blada jak sciana sciskala dloni meza, który slabym glosem protestowal przeciwko robieniu takiego zamieszania wokol niego. Dopiero po drugiej nad ranem w apartamencie przywrócono jako taki porzadek. Zwloki zamachowczyni zwieziono na dol do ambulansu, policjanci wciagali tez na dach ciało Strzelca. Do opatrzenia rannego gościa sprowadzono chirurga i dwie pielęgniarki; komendant wolał nie ryzykować przewożenia go na salę zabiegową pobliskiego szpitala, a zresztą na szczęście rana okazała się powierzchowna.

- Obawiam się, sir, że gdy wyściubi pan nos na ulicę, znów się rozpęta wojna światowa.

Arnold Morgan zachichotał i rzekł ochryplym od nadmiaru wrażeń głosem:

- Wyrazy wdzięczności nie przychodzą mi łatwo, ale chciałbym wszystkim podziękować za to, co dla mnie zrobiliście. Byłem starym, upartym głupcem i naraziłem wielu ludzi na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Ale za to po raz ostatni - weszła mu w słowo Kathy. Albowiem teraz już na amen będziesz emerytem, Arnoldzie Morgan. Żadnego doradzania prezydentom, żadnego dyktowania im polityki. Twoja służba dla kraju właśnie się zakończyła... to jest, jeśli nie chcesz, by zakończyło się twoje małżeństwo.

EPILOG

Środa, 8 sierpnia, godz. 7.30. Lotnisko w Edynburgu

Air Force One był zatankowany i gotowy do lotu. Sztabowy samochód Royal Navy podjechał pod mobilne schody. Rick Hunter wysiadł pierwszy i odruchowo rozejrzał się wokoło, zanim dał Arnoldowi znak, że wszystko w porządku. Admirał powoli wszedł na stopnie, obejmując Kathy w pól. Czwórka jego ochroniarzy z Secret Service była już na pokładzie i komandor wspiał się ostatni. Drzwi boeinga zamknęły się natychmiast i pilot zaczął kołować na początek pasa startowego.

Tożsamość obojga niedoszłych zabójców nie była jeszcze potwierdzona i pokładowy oficer łączności miał polecenie powiadomić pasażerów natychmiast, gdy odbierze komunikat z komendy głównej policji Lothian w Edynburgu.

Tak się złożyło - poeta doszukałby się w tym pięknej symetrii - że oczekiwana depesza dotarła akurat wtedy, gdy prezydencka maszyna przelatywała nad półwyspem Mizen Head.

Zabity mężczyzna zidentyfikowany jako były mjr Raymond Kerman, który osiem lat temu zdezerterował z SAS. Pokojówka to najprawdopodobniej jego palestyńska żona, Szakira Raszud. W bagażu znalezionym w pokoju wynajętym przez Kermana w hotelu „Cavendish” trzymała pięć paszportów, w tym amerykański na nazwisko Carla Martin. Oboje zabici byli prawdopodobnie członkami terrorystycznej organizacji Hamas.

- Pieprzeni turbaniarze! - burknął Arnold Morgan. Zawsze musiał mieć ostatnie słowo.